

EOKUŃ. 1903.

155. wzór. wszystkie okładki oprawić tak jak ułożone

IX.

Czasop. pol. 1201/IX.

CHIMERA — 25.

TREŚĆ

TOM IX. ZESZYT 25. — X/MCMV.

Autolitografię okładkową odbito w sześciu kolorach w zakładzie W. GŁÓWCZEWSKIEGO w Warszawie.

Klisze rysunków wytrawiono w zakładzie TOW. AKC. S. ORGELBRANDA S-ÓW w Warszawie.

Papier wyrobiono dla Chimery w fabryce C. A. Moesa „Pilica."

Składał i łamał JÓZEF PERŻAK. — Odbijali na maszynie:
tekst — ALEKSANDER TATAROWSKI, okładkę i autotypie — TOMASZ STANKOWSKI
Pod zarządem PIOTRA UKLAŃSKIEGO.

Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów w Warszawie.

BIBLIOTHECA VNIV. IAGELL.

CHIMERA.

100323/II

Czasop. pol. 1201/IX.

Chimera.

TOM DZIEWIĄTY. — X / XI / XII 1905.
WARSZAWA — NOWY ŚWIAT, 22.





Pociecho moja ty, książeczko,
pociecho smutna;
nad małą siedzę schylon rzeczką,
z wód igrające falą dziecko,
żal mroku skrada się zdradziecko
nad łąkę, rzeczkę, nad mój strumień,
w duszącej mgle nieporozumień
zapada noc okrutna.

Pociecho moja, straszna nocy,
pociecho smutna;
nad wielką siedzę schylon rzeką,
wód pędem chyżym fale cieką,
wiary potęga rośnie w mocy,
nad rzeką, łąką, nad polami,
nad borów rzeszą, nad mrokami
noc gaśnie w zorzach,
w świtach, błyskach,
i słońce wstaje na przestworzach,
słoneczna moc okrutna.

Pociecho moja, dniu słoneczny,
pociecho smutna;
nad morza siedzę fal roztoczą,
wiara nade mną w niebios kręgu,

widzę te fale wód, jak biegą
we sprzęgu wałów, w brył rozprzęgu
w górę się piętrzą, w doły legą,
jak nowe fale znagła kroczą,
a jedna dola im okrutna.

Pociecho moja, księgi moje,
schylony w karty księgi patrzę,
od kart tych patrzę w wód rozwoje,
z ksiąg karty rzucam w fale twoje,
o morze, morze, wód olbrzymie,
a tylko fal powrotne rzuty,
w czas wód rozgwaru, w wód skłębieniu,
na brzeg rzucają, kędy siedzę,
z ksiąg, co przepadły w zapomnieniu,
wydarte z kart tych moje imię,
nic więcej tylko własne imię.
Znikąd okrętu, znikąd łodzi,
a rośnie fala powodzi,
ha! tam! — jest łódź! — tam — ktoś — przewodzi,
tam, na dalekim kresie,
o, bliżej, bliżej, już — fala go niesie,
to nie powódź — to przypływ — wał bije,
jęk złowrogi — ha! mordują — orkan wyje — — —
Gdzie łódź?! czy fala schłonie ją okrutna —?
o księgo — — oczy patrzą — w wód roztoczy
o księgo — serce — oczy,
pociecho smutna.

Dnia 1-ego marca 1905. Stanisław Wyspiański.

POWIEŚĆ

O UDAŁYM WALGIERZU.

PRZEZ

STEFANA ŻEROMSKIEGO.

F. W.







I.

Na progu wyniosłym morza, gdzie sosny rumiane cień błękitnawy na jasne piaski rzucają, — oparły się wozy królewskie. Ustały zgonione konie, zarznęły się w piasku skrzypiące koła. Każe król rozbić szkarłatny namiot swój. Zwisła ciężka, złota frendzla zasłony, na wiotki piasek opadła. A przed zasłoną na żerdzi głęboko wkopanej szeleści plemienna stannica, królów wojenny proporzec. Czterdzieści wnet stanęło stołów. Siadła pospołu drużyna bojowa. Siadł i najemnych gości tłum: pieczeniagi i waregi, czechy i morawy, za złoto żołdu zdradzające swój ród nemety, sasy, bawary.

Na siedzisku wyniosłem rozparł się król. Szkarłat rodowy piastowski obleka jego tron i ziemię szeroko-daleko. Po prawicy i po lewicy ma król wiciądze swe, ojczyce ziemi. Cieszy się król.

Pierwszy to raz od tylu czasów wielki rostruchan podnosi. Bezcenne migają kamieńce, lśni złoto, gdy do ust niesie wino z za gór, z za światów. Na cześć drużyny pije. Krzyczy mu w ląd i w morze drużyna wieczną cześć.

Haw — białe morze. Pod sinem, dalekiem niebem chluszcze bryzgami fal, na niskie piaski dumne wełny wyrzuca.

Władacz wciąga nozdrzami wiater słony, w siwą dalekość morskich potoków oczy zanurza.

— Na twoją cześć, głębokie morze! Na twoją wieczną sławę, święta, jedyna, moja! — woła w płaszczyznę ziemi.

— Pieśni! — wzywa drużyna.

Wyjdzie z tłumu, gdzie czeladnicy, pachoły i posługacze wojenni, spomiędzy chorągwi chłopskich — starców kudłatych zgraja. Siwy tłum. Zasiądą wokrąg. Nastroją liry.

Śpiewają panu słowiańską, przedwieczną, wojnopamiętną pieśń. A pieśń jasnego pana za nogi obłapia, czołem mu bije. A pieśń go woła...

Wsparł na mieczu łokieć, na pięści wielką głowę niezwyciężony. Obrócił jasne oczy na dziady grające. Słucha. Słucha, jako ta pieśń uderza w krzyk, pomstą pomstuje. Dym kłębami siwemi, ogień drżącemi jęzory wybucha z niej. Ku niemu leci, ku jego sercu z żelaza, ku piersiom szlochającym tajemnie pod kolczą zbroją, co płaczu jako żyw nie zaznały. Krzemienie proc furczą, cięciwy w pieśni tej brzęczą i brzechwy lotnych strzał świszczą. Słychać w niej płacz śmiertelny dzieciąt bezsilnych i dziewek ledwie podrosłych. Hańba z niej woła ojczyców za siwe kudły wleczonych ze siół przez długie mosty w kajdany żelazne, w plenice.

Czarna się dymi krew, co wypłynęła bez pomsty z żył mocnych chłopów nieznanemi broniami pobitych w paliszczach, kamienną ongi ciosanych siekierą, w warownych grodach pośrodku bagien i w tynach nad słodkiemi wodami, gdy się z najeźdźcą piersią gołą o jego żelazną pierś siepali.

Wzdycha król. Ręką szarpie głownię mieczową. Krwawemi oczyma, w których ogień bucha i dym się kłębi, wodzi po ludziach. Nagle się uczta przerwie. Jeden drugiego pyta: czemuż to władacz sposępniał?

Postrzegł król ich milczenie i skinął ręką na grajki.

— Milczeć!

Porwie w lewą dłoń czarę, a prawą uściśnie jelca straszliwego koncerza. Wstaje olbrzymi. Ciało jego obleczone od stóp do głów w kolczugi sieć stalową. Kutta, koszula pancerna, lśni na ramionach, a płach jej mieni się i drży na wielkich piersiach. Stolica pod stopą żelazną trzeszczy. A w pięści zwartej sieczysty brzeszczot raz wraz szczęka.

I słowo wieszcze pada w tłum:

— Słuchajta! Wodze, namiestnicy, i wy, chorągwie! Na śmierć piję sasom, którzy na nasze ziemie przedwieczne idą. Abym ich, póki mego żywota, tym mieczem i waszym mieczem wyrąbał, zdradzieckiem zegadłem wyźgał, żeleźcem grotów przebódł, garścią zemściwą pociemku wydusił. Ziemią nagłym pożarów zagonem wiecznie za nimi chodźmy, rzekami będziewa tajemnie brodzić, w morze na łodziach zbiegniemy i na wałach bezdennych pod próg uśpiony podpłyniem. Złupimy miasta i sioła, spalimy siedliszcza do ostatniej przyciesi...

Okrzyk:

— Na śmierć sasom!

— To wam zapowiadam wszem wobec: nie pozwolę grzebać trupów pobitych, gdziekolwiek niemców do-

padnę — w kraju dziadoszan, czy na piaskach lutyckich. Niechaj z nich korazuny i gugelhauby, nabiodra i plechy nagolenne łupi ciura, trupy ich niechaj wilcy roznoszą po puszczach, sępy po skał grzebieniach. Niechaj nagi między zasiekami leśnemi leży pfalcgraf Burkhard i margraf Gero. Nie zazna czci, ani rozkoszy spoczynku w ziemi, która jest moja, Frydrych mąż żelazny, Widredy i graf Folkmar z dwiestą zwalonych rycerzy! Niech zgniją u wierzchu bagna w potokach krwawych i w pyle! Na wieczną rzeczy pamiątkę zostaną niepogrzebani Adelhajd, Ira, Thietmar, Doda i Ludolf. Tak rozkazuję. A ktoby się woli mojej sprzeciwił, przez Boga wiecznie żywego — biada mu!

Wołanie:

— Biada mu!

A skoro siadł, każe czeladnikom odpasać sprzączki skórzanych tłumoków i wywalić przed bracią wojenną zgarniony za Odrą łup. Sam rzuca w ciżbę głębokie czary i kruże ze złota, rogi i kielichy, sadzone parangonami bezcennej wody, dzbany z kryształu przejrzystego, jak woda, greckie amfory i szkatuły niemieckich majstrów cudnie w metalu kowane. Między srogie zastępy, w krzywoślepą hordę pieczeniagów każe nieść w darze italskie arbalety, cisowe kusze, zaciągane lewarem z żelaza, hiszpańskie tarcze i krótkie piki. Pieszym chorągwiom chłopów, odzianym jeno w serdaki a czuje, w szłyki z rogami i kły, uczynione z obłupionych łbów dzików i turów, wilków i lisów, uzbrojonym jeno w oszczepy z osękami, w rogaciny, w kamienne oksze na długich styliskach, a wielkie na chłopa pawęże, szczodrze rozdaje czekany, barty i obuchy z żelaza, cepy kolczaste, smycze i arkany z surowego rzemienia. Konnym swym wojom każe nieść wielkie, obosieczne koncerze, radość serca męskiego, i cudne kapaliny z połyskliwego żelaza, miedziane nagłowne

myśnice, czepki kolczate, rękawice, płachy przedsobne i zasobne pancerzów. Rotom drabów najemnych sypie bez liku, garściami, srebro i złoto denarów kupieckich. A gdy tak szczodrze król wręcza dary każdemu ze swych rycerzy, każdemu ze swych sług do ostatniego pacholęcia, słychać od czat dalekich wrzaskliwe hasło rogu. Wszystkie się oczy w tę stronę zwróciły i jako czujne ogary pomknęły w las. Oto wyszedł z brodów orszak konny pod czatowniczą strażą i ku namiotowi pańskiemu podąża. Przysłonił wódz dłonią oczy i wilcze miota spojrzenie.

Aż znagła wstał.

Ciężko po stopniach idzie z tronu.

Zmierzały wprost ku królewskiemu stołkowi wielkie rycerze niemieckie zakute w żelazo. Forgi wielobarwnych piór, jakoby obłoki na czubach krzesanic, chwiały się na wierzchołkach obłych szyszaków. Nieustraszone ślepia patrzały zuchwale z widzierów hełmowych. Każdy miał prawicę żelazną na klindze miecza, a lewicą ściskał rękojeść mizerykordyi. Ze środka ich, jakgdyby z zamczystego łona zastępu, wyszedł człowiek chudy, z kaprawemi oczyma, z twarzą wykrzywioną od boleści. Nogi miał bose i nagie aż do kolan, ręce nagie aż do ramienia. A nagość jego kości kryła kapa wytarta, z nędznego sukna żałoby uszyta. Pod nią wisiały strzępy mniszego habitu. Na głowie miał czapkę biskupią, w ręku biskupią krzywulę. Ujrzawszy w oddali majestat, stanął skulony, stopa przy stopie, kolano przy kolanie. Podniósł rękę i pokazał w niej krzyż.

Wnet blada trwoga skupiła dookoła wodza drużynę. Opat-doradzca przysunął się do pańskiego boku i szepce:

— Panie!.. Bacz... Święty człowiek idzie przeciwko tobie.

— Tenże to z Myśny?

— On. Patrz, płacze.

— Czegóż płacze?

— Płaczek on boży. Kaprawy, patrz, z płakania. Bosy. Bez koszuli i bez nogawic zimie i lecie. A zamiast łoża pień ma bukowy, który był sobie wydłubał w tajemnicy przed ludźmi. A obwiedziony jest pień-łoże płotem z tarniny, żeby go kolce wyrywały ze snu. Głowę zaś, panie, układa na poduszce z badylów róży dzikiej. Za dnia, gdy nań nie patrzy nikt, wdziewa na głowę mitrę biskupią z pnia drzewnego uciosaną, na której ze wszech stron ciężkie zawiesza kamienie.

— Czemuż to czyni, powiedz?

— Żeby go, panie, biły po głowie, gdyby się o sprawach żywota ziemskiego zadumał. Patrz, wielki królu,— na tobie zbroja złocona z łusek stalowych na skórę nieprzebitą naszytych, pod stopą twoją szkarłat bezcenny. A na nim gałgan zetlały! Wiedz o tem, panie. Zanim, posłuszny woli cesarskiej, po stopniach stolicy biskupiej poszedł, gdy w puszczy, w bratnim eremie przebywał, widzieli bracia na zemdlonym od twardej pracy, że przepasany jest łańcuchem żelaznym z kolcami, który mu w biodra wrósł, a skórę brzucha przetarł i, w otwartych wieczyście ranach, gołych wnętrzności dotykał.

Duma król. Z głębi potężnych piersi wzdycha. Aż oto woła ku biskupowi:

— Wydam ci ciała poległych w boju, jeno tu nie płacz przede mną.

Szepce opat do ucha monarchy:

— Panie, ach, panie!..

Patrzy król pod przyłbice, w zawarte maski onego towarzyszów lwiemi oczyma. W oczy ich patrzy ze straszliwym uśmiechem, jak między żelazy goreją.

— Wydam ci ciała poległych: z chwałą je chowaj w tej ziemi.

Pomruk złowrogi w drużynie. Spinają sprzączki żupic pancernych. Mocno przypasują obojczyki i blachownice, zarękawia i fartuchy kolczate. Nisko spuszczają przyłbice, żeby ocienić lica nanośnikami. Trzask słychać mieczów i pobrzęk cięciw. Pomruk głośniejszy w drużynie. Gwar.

Schyla się biskup, podnosi krzyż i błogosławi nim króla.

Postąpił król ku biskupowi. Ujął dłoń i powiódł w pokorze bosego ku złotej zasłonie namiotu. Orszak niemiecki za królem. A gdy komornik spuścił za nimi zasłonę, rozejdzie się w obóz drużyna z gwarem złowrogim, z szeptem zemściwym. Zostali jeno na placu czterej.

Stoją w hełmiech zawartych. Jeden ma kamail na głowie, szyszak z nanośnikiem, spadającym aż do brody, drugi i trzeci mają lambrekiny frankońskie. Paiże dzierżą na lewem ramieniu. Na wielkich mieczach się wsparli. Cierpliwie stoją. Długo czekają milczący. Aż ów na czele, którego głowę okrywa olbrzymi gocki szłom, Walgierz o dłoniach potężnych, o udach z żelaza, a kolanach z miedzi, uderzy głośno mieczem w puklerz.

Raz, drugi.

Cisza.

Uderzy Walgierz powtóre, z łoskotem.

Rozdzieliła się złota zasłona. Komornik.

Uderzy Walgierz Udały mieczem w puklerz potrzecie.

Rozdzieliła się złota zasłona.

Król.

Stoi między zasłonami z głową odkrytą, jasnowłosy. Ręka jego za pasem. W oczach zaduma. Patrzy ku czterem.

— Udały... — cicho wyszepta.

Milczą rycerze.

— Słuchasz, patrzysz, mierzysz chytremi ślepiami me

sprawy. Wciąż mrok na twojej twarzy, a chmura na twojem czole.

— Wciąż chmura na mojem sercu!

— Wciąż cię pycha na rumaku oszalałym unosi. Wciąż ci strzyga o jednym zamku dalekim szepce po nocach.

— Dusza się moja wydziera do tyńca, praojcowego dworzyszcza, do stolicy mej ziemi.

— Milcz o stolicy twej ziemi!

— Dawno, dawno już milczę. Nazbyt dawno już milczę.

— Bylebyś nigdy nie zaczął przemawiać o tem, co na wieki minęło. Goście w moim obozie...

— Dziś będę mówił.

— Nie mów dziś nic, koniądzu!

— Dziś będę mówił pierwszy raz i ostatni.

— Pilnujże dobrze głowy!

— Oto me słowo: idę ze stanu z towarzyszami. Niech słyszą niemce, że z obozu twojego wychodzę! W dziedzinę moją, w żupy wiślańskie powracam. Przed chwilą piłeś, wodzu, w dłonie nasze puchar rycerski na zgubę rodu sasów. Zaprzysięgałeś pomstę żywym i trupom. A ledwie się pokazał bosy wróż, jużeś się przeląkł haniebnie.

— Sądzisz moje uczynki! Ja wasz jedyny sędzia i wódz! Ja życia i śmierci pan!

Śmieje się hardo Walgierz Udały.

Spojrzą po sobie z żelaznych oknisk wściekłe oczy czterech rycerzy. Milczą żelazne ich usta.

Król rozkazuje:

— Zdemijcie zbroje. Odpaszcie pasy. Złożycie na ziemi paiże, a na nich miecze i włócznie w krzyż.

Spojrzą po sobie powtóre z żelaznych jam okrutne oczy. Milczą żelazne usta. Rozkaz królewski nie spełniony.

Szarpie król pas. Porwie miecz. Klasnął w ręce. Biegnie ku niemu komorzych tłum.

Rozkazał:

— Trąbić!

Zawrzasną rogi. Biegnie rycerstwo. Trzepie się ręka królewska ze stopni tronu nad głowami zuchwałej czwórcy.

Rozkazał:

— Sąd! Szarpajcie ich w sztuki mieczami! Oburącz! Walcie w zdradzieckie piersi obuchy młotów!

Rozruch i zgiełk w drużynie. A porwać za koncerz, za młot nikt nie ma siły.

Nie zadrżał Walgierz Udały i nie uchylił głowy ni jeden z towarzyszów: Mściw, ani Wydrzyoko, ni Nosal wielkoramienny. Stali czterej przeciwko wojsku.

Wokoło żelazny mur rycerskich ludzi. Na silnych koniach kiryśnicy w zbroi zupełnej. Paiże na ich ramieniu rozsiały wszechmocną zgrozę, a drzewa włóczni pod pachami — czyhają. Daleko stanęły seciny pieszych chorągwi. Jasno srebrzone pawęże, wielkie na chłopa, stworzyły równy, śmiercią błyszczący tyn, co idzie daleko, daleko, aż do fal pienistych morza. Glewie dobyte z pochwy czeka na rozkaz, na cios. W słońcu glewie połyska. Napięte są cięciwy samostrzałów.

I rzekł w koło wojenne i w ulicę rycerską gromowym głosem Walgierz Udały:

— Drużyno polska, drużyno bojowa! Schodziłem z tobą, drużyno bojowa, ziemie saskie i ziemie lutyckie. Paliłem z tobą zamczyska i miasta. Tym oto mieczem rąbałem za dnia w boju męże w żelazo okute. Tą oto dagą przeszywałem po nocy serca śpiących. A teraz, słuchaj, drużyno bojowa, szarpie mię słowy król, który me ziemie w szpony porwał. Szarpie mię w sztuki jakoby mieczem, przeszywa uśmiechy piersi moje jakoby puina-

łem. Znieważa król mnie, wiślańskiego koniądza, władzcę na Tyńcu i ponad całym światem rzecznym od niezmierzonych gór po łyse góry, pana wszech puszcz jodłowych aż po mazowszańskich piasków sosny. Bije król słowem twardszem od obucha okszy w piersi Nosala z za Dunajca, Wydrzyoka z za Pilicy i Mściwa z puszczy, gdzie się poczyna w ciemnościach bożych Czarna Nida. Słuchaj mię, królu polski! Mnie wiślańskiego władacza...

— Nie słucham cię, rycerzu Udały. Nie znam twej władzy i zakazuję ci zwać się panem świata wodnego, widni świętej, przez którą biała Wisła idzie. Zakazuję ci zwać się władaczem puszcz. Obie oce moje sięgają za łyse i za niezmierzone góry, a ręce moje sięgają w dalekie morawy. Moje są dunaje-wody bystre-głębokie, co ze śniegów się rodzą, i moje są strumienie, co z puszczy jodłowej płyną niskiemi łąkami. Wziąłem ziemie, które swemi nazywasz, żelazną dłonią. Jam jest jedyny ich odzierżyciel. Wydarłem cię z morawskiej pięści, ja wolny i niezwalczony. A przygarnąłem cię pod mój proporzec, żebyś nie leżał u cudzego progu i żebyś chodaka krzywoślepej dziczy węgierskiej nie całował. Uczyniłem cię rycerzem polskim, pozwałem cię i powiodłem na zwycięstwa przeciwko niemcom, którzy są wrogowie na wieki wieków mego i twego plemienia. Ziemiom twym kazałem wrosnąć na wieki w moje ziemie. Siłom twym kazałem wrosnąć w moje siły, w moje ręce żelazne, w głos mego rogu, w połysk mojego pancerza. Moje siły są z waszych pancerzów i szczytów, pióra mego szyszaka wzdyma wicher waszego krzyku przed bitwą. Moje siły nie są moje i nie są wasze, jeno są nasze. A siły nasze zrosły się w naszą rzecz wiekuistą, rzecz pospolitą...

Woła zuchwale Walgierz Udały:

— Królu polski! wychodzę z twojego koła, gdyż nie chcę służyć pod twoją stannicą. Jestem ci równy i wła-

dzy twojej już nie chcę dźwigać. Dotąd dźwigałem, a teraz nie chcę. Wracam na zamek, gdzie ojce moje od początku czasów władały. Ze mną Wydrzyoko, Nosal i Mściw. Każ mię porąbać mieczami, walić w me piersi młoty, bić w moje oczy z kusz. Nie chcę już niemców wojować pospołu z tobą, któryś jest twardy samowładzca, któryś jest straszny najeźdźca, a bosego się niemców wróża boisz. Nie chcę z tobą wojować, bo mi się wojować z tobą nie podoba!

Jak grom spada z wysokości słowo królewskie:

— Znam ja cię, władzco drewnianego zamczyska, hardy ojcowicu nędznej dziedziny! Widzę na wylot twe myśli. Chodziłeś pod moją sprawą i w cieniu mego proporca na sasy i na lutyckie sioła. Łakome twoje ręce czerpały moje mienie, a oczy zdradzieckie wypatrywały moc moją. A teraz chcesz moc moją w swojem zawrzeć zamczysku, za tynem ją przyczaić i przeciwko mojej pięści wykręcić. Wziąłem cię za gardziel tą pięścią, gdyś był w broni skórzanej, którą ci z turzej skóry ciura uszył, a kowal żelaznemi nabił gwoździami. Teraz odziany jesteś kolczugą z niemieckiej stali, którą z ramienia swego zwlokłem i tobiem z łaski dał. Ale przetnie miecz mój łuski...

— Na głowie mojej szłom pradziadów!

— A ty, Mściw! Ty, Wydrzyoko! Ty, Nosal! Dałem wam miasto wilczych szłyków zbroje rycerskie. Otworzę ja te zbroje nanowo! Znam ja nienasycone wasze gardziele! Znam piersi, pełne szału kłótni, a ślepia chciwe jak u sępów!

Ponuro gorëją oczy towarzyszów Walgierza. Ręce ich na głowniach mieczów, na toporzyskach złożone — czekają. Zawarte milczą usta.

II.

Uciekł w noc ciemną Walgierz Udały z obozowiska polskiego króla. Z nim Wydrzyoko towarzysz, z nim Nosal, a także Mściw. Puściła ich straż dodana (rzekomo zmorzona snem), a otworzyła im między hufcami drogę wolną drużyna bojowa (rzekomo otumaniona czarami).

Po mostach zrazu mknęli zbiegowie drewnianych, polską sztuką rzuconych na błota i sitowia, na trzciny, łąki i bagno. Gdy wyszli z obszaru wodzisk kaszubskiego pojezierza, w pierwszych na suszy siedliskach wyprowadzili z za zawor rosłe wierzchowe konie. Odtąd już dniami - nocami pędzili w cwał. Ku ostrowcowi łysych gór, z mazowszańskich równin wyrastającemu, była ich droga. Przeszyli leśne sosnowe puszcze, suche bory i światy piachów, minęli widnie jeziorne, przebrnęli w bród słoneczne rzeki i przesadzili strumienie. Aż ujrzał

Mściw i pokazał daleko sine pasma na niebie. Wparli żeleźca w boki biegunów. Dopadli wskok jodlowych kniej. O ciemnej nocy weszli w nie szlakiem - bezdrożem. Kamień rudy, od wody stoczony z wysoka, zgrzytał pod końskiem kopytem w suchem łożysku ruczaja, kiedy się darli pod górę. Drzewa wielkoliściaste, buki i klony, dęby i jarząby stanęły kołem. Kosmate, czarne ręce jodłowe przywitały strudzone ciała i zgonione dusze zbiegów.

— Teraz, — rzecze jeden, — już my na wiślańskiej, na ziemi. Niechże ta naju szuka polski król.

— Ha - ha!

— Niechże ta szuka pilnie.

Zstąpili nad ranem w nizinę, ku łąkom zawilgłym od niecieczy, a utajonym w jodłowem pustkowiu. Rumiany kwiat górski przed oczyma ich ponadrzeczu strumienia. Zapach niewysłowiony płynie powietrzem. Ptaszęcy śpiew...

Ujrzą z leśnego pobrzeża dolinę rozległą między puszczami. Góry nad nią z północnej strony wielobarwnym lasem odziane, góry z południa. Zachodnie wiatry odgania od doliny niskiej zasłona, jakoby sworzeń górski, a ode wschodu czernieje wyniosła macierz łańcuchów, wszystka w tumanie, we mgle.

Stanęli mężowie w strzemionach, nakryli dłońmi oczy od blasku rannego słońca, co się w wodach dalekich nurzało. Patrzą w dół. Góry przed nimi strome, góry okrągłe i pochyłe. Cudne błamy lasów, bezgraniczny ciąg puszcz, jakoby dym z ziemi wybuchły, płynie z jednego szczytu na drugi. Tam i sam osłoniona jest ziemia jeno pawłoką brzozowych bugajów, co zstępują ku dolinie uroczej, tworząc widok piękności nieporównanej. A jeśli ma być widok jej przyrównany, to jedynie do widoku piękności piersi dziewiczych, gdy się przed stęsknionemi oczyma nagle odsłonią. Aż zakołyszą się od szlochania żelazne

bary Mściwowe. Upadł w szeroką dolinę olbrzymi jego krzyk:

— Dolino moja... Da-dana!..

Spyta Nosal:

— Powiadaj, bracie, miana gór, boć miejsce to nama obce.

— Tam, widzisz, bracie, macierz tych gór, Łysica, w której ciemności bogi mieszkają i skąd czarna woda, Nida płynie. A idzie woda Nida ztela aż do Wiślice, gdzie koniądz Wyślimir włada.

— Koniądz Wyślimir... — śmieje się cicho Walgierz Udały.

— Tamta, widzisz, bracie, siostrzyca—to Strawczana góra, a za nią idzie Bukowa, a za nią idzie Klonowa. Nad siołem mojem włodyczem i nad jeziorzyskiem wielka i święta góra, którą czcili ojcowie, miejsc tych osadźce, — Radgostowa. Strumienie tam płyną z wąwozów leśnych dołami niskiemi w kalinach, w cierniach, w głogach. Słońce ranne szuka tam gwaru wód w głębokich trawach. A w środku owo, co lśni pod słońcem: — woda moja.

— Teraz, — rzecze Nosal, — domowy próg...

— Teraz, — rzecze Wydrzyoko, — zwleczesz, człeku, z ramion, z bioder a z nóg żelazne blachy, zawiesisz na kołku ciężki szczyt, odpaszesz długi miecz od siodła i drzewo sulicy w kącie postawisz.

— Teraz się, — rzecze Mściw, — obleczesz, bracie, w ochopnię domową, albo się w kaftan skórzany odziejesz, i pójdziesz w pachnący las na łów swobodny, na wesoły...

— Albo się w komorze zamkniesz żoninej...

— Każdy o dziedzinę się swoją przecie zatroska, co na łasce byle czyjej została, gdy my światami gonili, żeby w sasa rogacinę ciskać, mieczem go w sztuki rąbać.

— Ej, dzieci!.. Podrosły... świat! Jako też... dzieci?.. Jako też to ze świergoleniem na kolana z żelaza rozzute leźć będą, a wieszać się po ramionach, a włóczyć z kąta w kąt koncerz, co krwi tyle wylał...

Stał Mściwa stary dom, gniazdo pograniczne ziemi, na kamienistym wzgóreczku, przy brzegu wielkiego stawiska. Cztery wielowieczne lipy osłaniały jego czarny, gontowy dach. A z lewej strony skłaniała się ku ścianom przychylnemi konary wielka i bardzo stara grusza. Pień jej był rozsadzony, spękany. Widły konarów osnute małemi liśćmi. W dole ogrodu wyrastał modrzew osobny, uroczy, jasny. Przy drodze dwie wierzby splecione korzeniami, dwa obumarłe kadłuby, dwa puste wewnątrz korzyska, choć toczyły od lat z trzewiów swoich rude próchno na ziemię, to przecie ze ściętych czubów puszczały strzeliste badyle, żeby zaś chłopcom na wiosnę nie zabrakło piszczałek. Nad brzegiem wody wznosiły się niezmierne pnie bez gałęzi. To czarne olchy patrzyły wiecznie w przeczystą wodę. Wielka woda leżała w miękości pobrzeżnego sitowia, w zielonem łożu roskoszy, które sama sobie stworzyła. Ku niej to biegły z gór parowy i dolinki, o których mówił Mściw. Smugi ich wysłane były cudnością traw, a w nich szemrały ciekoty leśnych strumieni i łąkowych poników. Tam to niepłoszone ptactwo śpiewało dokoła wiosennych gniazd...

Białe wodne lilie otwierały to tu, to tam kielichy na płani jeziornej. Wyniosłe pędy sitowisk schylały się nad ciemnym nurtem rzeki, która w płaszczyznę stawiska wlewała bystre wody. Błękitne ważki na przezroczystych skrzydłach snuły się nad tą ruchomą, wiecznie żywą, nieustanną wodą. Zdyszane od polotów nad głębiami, padały nadobnice piersiami na obły badyl sitowia i bujały pospołu z nim, pracą rannego wiatru kołysane.

Mgły wstawały z topieli.

Mściw stanął pierwszy nad brzegiem. Zapatrzył się, zadumał... Odpasał rzemień szyszaka i odkrył kudłatą głowę. Ponurem spojrzeniem ogarnął towarzysze. Wzniósł dłoń na znak, żeby się żaden nie ruszał. Szepnął z pogańską trwogą:

— Cichajta! Wodnice ze spania wstają...

Wstawały z fal lekkie, śniado-białe zwoje. Nogi ich i powłoki szat jeszcze się kryły w topieli, a jasne kędziory cudnych głów dźwigał pachnący wiatr ponad kępy lękliwej trzciny. W głębokim cieniu, pod urwistemi brzegami, znać było przezroczyste ich ciała, ich zmienne lica i oczy bławe, a już za mgnienie źrenicy stawał się z nich jeno przejrzysty dym — i nic. Śniło się wojom, że z nich to, z mgieł stają się ważki błękitne...

Cofnęli uzdy rumaków i poszli ztela w cwał, pełni dumania i czci. W pobliżu, Mściwa dom czerniał na wzgórzu. Ogromny jego dach i ściany stare stwarzały obraz swój żywy w porannej wodzie. Tyn z wielkich kłód, bitych na pal, a od wnętrza mocno spojonych płatwami, otaczał go ze wszech stron. Gdy mocno wiązane wrota obróciły się na biegunowych wierciejach i przed jadącym zastępem rozwarły, ujrzeli dwór. Stał przed nimi dawny, przedawny, zbity na moc, na siłę, z bierwion, kładzionych w węgły, na wieniec i na zamek. Przyciesie i same płazy były szerokie na cztery i na trzy piędzie, utkane w szparach mchem. Sloty jesienne i zadmy zimowe okryły je rudą polewą.

Zsiadł z konia Mściw. Uderzył radosnym ciosem we drzwi. Wnet się usunął zębaty wrzeciądz bukowy i uchyliły skrzypiące dźwirza, nabite jesionowemi kołkami. Zsiedli z koni przybysze i przekroczyli wysoki próg, schylając głowy pod niskim ocapem dźwirzowym. Stanęli w izbie czarnej, czupryniami sięgając dymu, co wałem

w górze stał grubym. Schylili głowy w niskim pokłonie przed ogniem pośrodku płonącym. Skłonili się powtóre z radością i wielką czcią przed ogniem błogosławionym, co na wielkiem palisku z gliny między szczapami smolnemi połyskał. Skłonili się potrzecie przed ogniem wiecznie radosnym...

Obrócił oczy Mściw ku światłu, padającemu przez dym z dziury szczytowej, — i szeptał pozdrowienie domowemu bogu. A pozdrowiwszy domowego boga, starł połą niskie, dookolne ławy z balów cisowych i prosił gości pokornie, żeby zasiedli.

Zdjęli rycerze kolpaki, ściągnęli z ramion blachy ciężkie, odpasali pasy i odsunęli broń. A skoro oczy do mroku domowego przywykły, ujrzeli z radością na ścianach ze smolnego drzewa, które był powlókł dym pokostem ciemnobursztynowym, starą praszczurów broń. Szerokie siekiery z bronzu i krótkie, zamorskie miecze, wielkie rogaciny bukowe i osęki, maczugi - bunkosze, śliskie od wielu dłoni, co niemi władały, szczyty olbrzymie, powleczone skórą zwierzęcą... Przedwieczne tam młoty na styliskach dębowych, uczynione nie wiedzieć przez kogo, za ojców, z głazu twardego kamienia, przeborowane pracą krwawą... Wielkie tam łuki i kołczany, pełne strzał o bełtach krzemiennych i bronzowych, zaprawnych śmierciośnym ciemierem. Na wbitych w szpary kłach odyńców i na rogach turzych, na wielkich widłach jelenich wyświechtane rzemienie, uzdy zeschłe od słot i upałów, siodła, popręgi, kańczugi plecione, pętle i arkany z kręconej skóry, a pieśń śmierci świszczące proce.

Poczną się z komór wychylać głowy nałożnych Mściwa żon, dziewek. Radosny krzyk... Dzieci... Nie szedł ich witać Mściw, gdyż gości gościł. Wnet każe wynieść z lochu miody - lipce, dymione połcie sarnie i dzicze, wnet każe dawać chleby przecudne, słodkie kołacze ze zboża

w żarnach mielonego, co się na niwie przywodnej łońskiego urodziło roku, gdy on daleko wojował.

Hucznie ucztują rycerze. Róg turzy, pełen miodu, z rąk do rąk idzie.

Hucznie ucztują rycerze.

Piją koniądza Walgierza przezdrowie, co ich z obozu, z żelaznej garści królewskiej wydarł. Do dom ich wrócił, do komór żoninych, do kolebek... Chwalą rycerze koniądza Walgierza moc, mądrość, czyn i słowo. Wynoszą go krzykiem pospólnym ponad króla polskiego...

Tęgo a bez rachuby pije Walgierz. Chwali Mściwową dziedzinę. Wysławia ciche dolinki i jeziorzysko, pochyłe, zadumane góry, pole zorane i cichy sad, gdzie białe kwitną wiśnie. Wysławia Walgierz ojce Mściwa i czci ich świętą broń.

Długo trwa uczta, do ciemnej trwa nocy. Aż runął koniądz Walgierz na skóry niedźwiedzie, warstwami w kącie izby usłane. Kamiennym zasnął snem.

A o północku, o pierwszych kurach, padnie zmora na jego chrapiące piersi. Przydusi mu zmora potężne barki, jakoby zbója kolany, a gardziel ściśnie kleszczami. Śni się sen.

Wypływa z pustki nocnej mgła - ważka, łąteczka błękitna, co nad wodami w poranek się unasza, co na badylach nocuje, na liliach wodnych śpi, — boginka cudnej postaci, dziwnej urody. Spojrzał w nią nagle rycerz Walgierz oczyma widzącemi i poznał ją w krzyku radości.

Cudki to żony twarz!

Oczy jej bławe, jak głękokość nieba i jak rozdoły królowego morza. Oczy jej żywe, jak źródlana woda. Rumiane śmieją się usta. Senna roskosz objęła głowę i otoczyła szyję. Roskosz, której słowo nie wypowie a śpiew nie wyda. Wyciągnął rycerz ręce przez sen ku pochyłym narcyzom, co we włosach odmieńki tkwią, ku

róży nieśmiałej na młodych piersiach. Aliści ręce jego wrośnięte są w głębokość ziemi, jak góry ciężkie, jak skały nieporuszone. Wołać na nią, krzykiem wołać!.. Brak tchu. Padła na piersi wieszczyca błękitna, ważka ulotna, w to miejsce, gdzie serce wzburzone huczy. A padła, jakoby złom strzelistej w Tatrzech góry. Poczuł koniądz ból przeraźliwy, bardziej nieznośny, niż od przeszycia nawskróś cienkim italskim puinałem. Pochwycić chce rękę, co mu zadala cios, pochwycić dłonią wojacką, ale jej ująć nie zdoła. Ma ją i nie ma jej wcale. Chwyta ją skurczem śmiertelnym, jakby nadwodną mgłę chwytał. Miota się w męce i strasznie walczy, niby pod nożem skrytobójcy a pod zegadłem siepacza. Aż oto słyszy błękitnej ważki tajny-tajny, do duszy mówiący szept:

— Walgierzu, Walgierzu...

— Cudna...

— Jam jest.

— Żono!

— Jużem nie twoja, — mówi, — żona.

Krew w żyłach krzepnie, a serce staje w biegu. Słowa się wymkną spomiędzy skostniałych warg:

— Któżeś ty jest, umiłowana?

— Wróć się, wróć...

— Dokąd mam wrócić?

— Wróć się, wróć...

— Czemu tak mówisz, żono moja?

— Jużem nie twoja, rycerzu, żona.

— Któżeś ty jest, jasnowłosa?

— Walgierzu, Walgierzu...

— Cudna...

— Jam to jest dusza twoja.

— Ty jesteś dusza moja...

— Dusza twoja...

(D. c. n.)

„FRANCZESKI Z RIMINI,“ TRAGEDYI GABRIELA D'ANNUNZIO, FRAGMENTY. WYBÓR I PRZEKŁAD JANA KASPROWICZA.

AKT I.

W dziedzińcu pałacu Polentów, w Rawennie, towarzyszki Franczeski pocieszne — w pierwszych scenach AKTU PIERWSZEGO — z wędrownym grajkiem wyprawiają krotochwile. Grajek, Dżian Figo, zmuszony przez damy o rycerskie potrącać opowieści, przygotowuje czytelnika na przybycie Paola Malatesty, brata i swata Jana Kulawca, który, w zamian za pomoc zbrojną w walce z gibelinami, ma otrzymać rękę Franczeski. Doradcą rodziny Polentów w tej mierze jest chytry notaryusz Ser Toldo, prący do związku nadobnej dziewicy z potwornym Kulawcem (Dżianczioto Malatesta). Opiera się temu brat jej, Ostazio, albowiem Franczeska

„warta królestwa! Jaka ona piękna!
Nie ma tak prostej szpady, jak jest prosty
wzrok jej, gdy rzuci spojrzenie! A wczoraj
pytała mi się: „Komu mnie dajecie?“
A kiedy stąpa z tym włosem rozwianym,
opadającym swobodnie wkół pasa
i wokół silnych bioder (a jest silna,
chociaż tak blada), kiedy wstrząśnie głową,
to sprawia taką radość,
jako proporzec na wichrze, gdy człowiek

oblega miasto bogate,
z jaśniejącymi szyszaki!
Wówczas się zdaje,
jak gdyby w swoich ręku
trzymała orła Polentów,
aby go nijak sokoła
na łup wypuścić obfity.
A wczoraj mi się pytała:
„Komu mnie oddajecie?“
Któżby mógł patrzeć na jej śmierć?“

Lecz i on ulega—racyi stanu, tem bardziej, że przyrodni brat jego, bękart Bannino, przynosi wiadomość o klęsce, zadanej Polentom przez Forleańczyków.

„*...co się stanie z madonną Franczeską?*“—pyta Ser Toldo.
„*Tak! będzie żoną Kulawca*“—odpowiada Ostazio, albowiem:
„*Przed nami wielkie dzieło zemsty;*
i łza niejedna, jeśli Bóg pomoże,
spłynie po świecie,
łza bardziej gorzka
niżeli wszelka sól ze żup czerwijskich (zabrana właśnie przez owych Forleańczyków).
Chodźmy, Ser Toldo.
Chodźmy, Paolo Malatesta czeka...“

Exeunt ambo, a na widownię —

SCENA PIĄTA.

— wchodzi niewolnica z wiadrem i ścierką. Milcząco schodzi bosemi stopami po schodach. Przygląda się kałuży krwi na posadzce i klęka, aby ją obmyć. Z górnych komnat słychać śpiew towarzyszek Franczeski, podczas gdy niewolnica zajęta jest swą pracą.

CHÓR PANIEN.

Oj biada! Poznałam, jak w duszy
nadmiar miłości się pali — oj biada!
Oj biada! Któż mnie ocali,
nim żar ten serce mi skruszy! Oj biada!

Magister Scontrinus drepanitanus sonum dedit.

Z komnat wychodzą i idą lodżią Franczeska i Samarytana, wzajemnie opasawszy się ramionami. Za niemi chór panien z kądzielami i lnem różnobarwnym w ręku. Przystają w lodżii, jakgdyby w kantoryi, podczas gdy obie siostry schodzą ku progowi ogrodu. Niewolnica, zmywszy krew z posadzki, chcąc zataić zajście, wylewa prędko wodę skrwawioną do stojącego w pobliżu sarkofagu z kwiatami.

FRANCZESKA, zatrzymując się na schodach.

To miłość pcha je do śpiewu.

Przechyla głowę nieco w tył, jak gdyby śledząc tchnienie lekkiej, drżącej melodyi.

CHÓR PANIEN.

Oj biada! oj szukam ostoi
przed troską, że serce mi niszczy! oj biada!

FRANCZESKA.

Jak gdyby były pijane woniami!
Czy ty nie słyszysz? Na bolesną ucztę
śpiewają sprawy
przedoskonałej radości.

Odejmuje rękę od pasa siostry, jak gdyby się chciała uwolnić z jej objęć. Staje w miejscu, tamte zaś schodzą.

CHÓR PANIEN.

Oj biada! śród szczęścia zgliszczy
życie goryczą mnie poi — oj biada!

FRANCZESKA w zadumie.

Jako ta woda bieżąca,
która wciąż płynie i płynie,
a oko tego nie widzi,
taką jest moja dusza.

SAMARYTANA w nagłem przerażeniu tuli się do siostry.

Dokąd ty idziesz? Któż mi cię zabiera?

FRANCZESKA.

Przebudziłaś mnie.

Śpiew umilka. Panny podchodzą ku drugiej poręczy łodżii i, plecami zwrócone do widza, patrzą w drugi, leżący pod niemi dziedziniec. Zdają się coś śledzić. Dwurożne fryzury i wysokie kądziele błyszczą w słońcu, a od czasu do czasu od twarzy i sukien płyną w jasną przestrzeń powietrza szepty i szelesty.

SAMARYTANA.

O siostrzyczko, siostrzyczko, posłuchaj:
pozostań jeszcze ze mną!
Pozostań, gdzieśmy wyrosły!
Nie odchodź, siostro! Nie zostawiaj samej!
Pozwól mi moje łóżeczko
ścielić i nadal przy twojem —
niech w nocy słyszę twój oddech!

FRANCZESKA.

Przybył już, przybył.

SAMARYTANA.

Kto? ten, co zabrać chce ciebie?

FRANCZESKA.

Przybył, siostrzyczko!

SAMARYTANA.

Ten bezimienny, bezlicy —
Nie widziałyśmy go dotąd.

FRANCZESKA.

A może
ja go widziałam.

SAMARYTANA.

Ty? Kiedy?

Nie rozłączałam się z tobą,
z twoim oddechem.
Na twoich oczach zwisało me życie.
Gdzieżeś go mogła widzieć,
siostro, beze mnie?

FRANCZESKA.

Tam, gdzie ty, słodkie me życie,
dotrzeć nie mogłaś,
w głębokiem, samotnem miejscu,
gdzie bezustannie
wielki się pali ogień.

SAMARYTANA.

Przemawiasz zagadkami,
a lice twoje jakby przesłonięte.
Ach! zdaje mi się, żeś ty już odeszła
i że zdaleka
jeszcze się ku mnie odwracasz, a głos twój
jak gdyby straszną pobrzmiewa wichurą.

FRANCZESKA.

Uspokój-że się, moja duszo droga,
moja ty mała gołąbko!
Dla czego jesteś taka przerażona?
Uspokój-że się! Niedługo
nadejdzie i twoja godzina,
i ty z naszego precz ulecisz gniazda,
i twoje małe łóżeczko,
które zaścielasz przy mojem,
stać będzie opuszczone —
i ja o świcie słyszeć już nie będę,
jak bosa podbiegasz ku oknu,
już ja cię widzieć nie będę, ty moja

mała gołąbko, jak biegniesz ku oknu
bosemi nożętami —
już ja cię słyszeć nie będę, jak wołasz
„Franczesko! wzeszła jutrzenka,
kogut już z grzędy zlatuje!“

SAMARYTANA.

A jednak będziemy żyły,
o, mimo wszystko będziem żyć — o biada!
a czas wciąż płynie —
płynie i płynie, jak zawsze!

FRANCZESKA.

Już ty mnie rankiem pytać się nie będziesz:
„Czemu jęczało twe łóżko, jak trzcina.“
A ja ci nie odpowiem:
Obracałam się, by zasnąć, a we śnie
widziałam, siostro, we śnie, który śniłam — —
Już ja ci nie opowiem,
com zobaczyła we śnie — — —
I trzeba będzie umierać;
ach! minie wszystko — trza będzie umierać,
a czas wciąż płynie,
a czas wciąż płynie, jak zawsze!

SAMARYTANA.

Serce me bolem napełniasz, Franczesko,
i, patrzaj, cała
drżę z przerażenia.

FRANCZESKA.

Uspokój się, siostro.

SAMARYTANA.

Opowiadałaś mi sen, który śniłaś

wczorajszej nocy, a podczas
kiedyś mówiła do mnie,
zdawało mi się, że słyszę
jakoweś gniewne odgłosy,
a potem jakiś krzyk,
a potem jakieś kołatanie w bramę,
co się zamknęła — a potem
cisza.
Nie dokończyłaś —
Twe towarzyszki zaczęły kanconę —
I serce moje lękało się wielce,
siostro, o ciebie.
Komu oddaje cię ojciec?

FRANCZESKA.

Pamiętasz
ów dzień sierpniowy, gdyśmy były same,
o tam! na wieży?
Spoglądałyśmy, jak nad głębią morza
wzbijał się obłok nawalny
w gorącym wichrze, że krtań nam wysuszał.
I cały ciężar pochmurnego nieba
zwisał nad nami,
i naokoło cały las, daleko,
aż po wybrzeże Kiassi, był czarny
jak owo morze, i ptactwo stadami
w lot uciekało przed idącą burzą.
Pamiętasz dzień ten? Byłyśmy na wieży,
a potem, nagle, była cisza. Wicher
umilkł. Słyszałam bicie twego serca,
a potem odgłos młotka:
jakiś rozbójnik, jadący po grabież,
podkuwał konia na okraju drogi...
Las był milczący, jak cień nad grobami.

Rawenna cała posępna, jak miasto,
które splądrował wróg z nadejściem nocy.
Zdawało nam się, że śmierć na nas czeka
pod tym wiszącym obłokiem. A jednak
nie uciekłyśmy. Pamiętasz? Powieki
ani nam drgnęły — czekałyśmy gromu.

Zwraca się ku niewolnicy, stojącej nieruchomo nad otwartym sarkofagiem.

Powiedz, Smaragdi, któż to był ten w waszej
pieśni ludowej, co podkuwał konia
w blasku księżyca? Mówiła mu matka:
Proszę cię, synu, podczas tej wyprawy
nie pojmaj brata ze siostrą,
kochanka razem z kochanką.
A on, człek krwawy, odrzecze:
Napotkam troje, to zabiorę troje,
gdy znajdę dwoje, zabiorę z nich jedno,
a jeśli ujrzę jedno, nie sfolguję
temu jednemu — zabiorę!
Jakże-ż, Smaragdi, zwie się on w twym kraju?

SMARAGDI.

Przeklęte nazwisko,
którego nawet wymienić nie wolno.

FRANCZESKA.

Co czynić będzie Smaragdi beze mnie?
Cóż, odjeżdżając, mam ci pozostawić?

SMARAGDI.

Zostawcie mi, pani,
trzy kubki goryczy:
jeden wypiję, gdy wstanie poranek,

drugi w południe,
trzeci, gdy wieczór zapadnie.

FRANCZESKA.

Nie, nigdy
trzech ci goryczy kubków nie zostawię —
pojedziesz ze mną razem do Rimini —
będziemy miały okienko na morze:
ja ci opowiem każdy sen, byś mogła
widzieć w nich lice radości lub bolu;
będę-ć mówiła o tej siostrze słodkiej,
o tej gołąbce małej,
a ty zaś, stojąc przy oknie,
patrząc na łodzie korsarskie,
będziesz śpiewała: „Do jakich
zawiniesz portów, mój statku,
na jakiem rzucisz kotwicę wybrzeżu?“ —
„Zawinąć chcę do Cypru,
rzucić kotwicę pod Limisso,
na ląd wysadzić żeglarzy
za pocałunek, a zasię
za miłość wysadzić sternika.“
Chcesz-li, Smaragdi, bym cię wzięła z sobą?

NIEWOLNICA.

Wielkie to szczęście dla mnie
choćby przez ciernie kroczyć i płomienie,
aby być z tobą.
Jesteś jak niebo z gwiazdami,
jesteś jak morze z falami.

FRANCZESKA

Morze z falami! — — —
Ale, Smaragdi, po coś przyszła z wiadrem?
Powiedz!

SMARAGDI.

Podlałam krzak róży.

FRANCZESKA.

Dla czego
czynisz to teraz? po za zwykłą porą?
Samarytana pogniewa się! Ona
podlewa krzak różany,
gdy dzwon wybije wieczór.
Samarytano, cóż ty powiesz na to?

SAMARYTANA.

Niech kwiat ten uwiędnie,
kiedy ty z domu odchodzisz, Franczesko!

FRANCZESKA.

Jaki on piękny!
A może nawet święty jest, wyrosły
w tej trumnie dawnej, która była może
grobem jakiego męczennika
albo też jakiej chwalebnej dziewicy.

Obchodzi otwarty sarkofag i palcami dotyka rzeźb na wszystkich czterech ścianach.

Oto Zbawiciel,
lwa ma pod sobą i węża; Elżbieta
nawiedza Pannę Maryję;
zwiastun anielski zjawia się Dziewicy;
jelenie gaszą pragnienie u źródła.

Prostuje się, wyciąga ramiona, jak gdyby zamknąć w nich chciała krzak róży.

Krew męczenników wykwita purpurą
i ogniem. Spojrzyj, siostro, jak on płonie!
Spojrzyj, jak krew ta goreje!

Myśmy go własną zasadziły ręką —
tak, w październiku, w dniu, w którym szkarłatny
orzeł Polentów odniósł był zwycięztwo.
Pomnisz, jak groźne rozbrzmiewały rogi
od Porta Gadza do Torre Dzankana
na cześć nowego sztandaru,
który nam ojciec kazał
uszyć z czterdziestu łokci karmazanu.
Potężne drzewce jego czy pamiętasz?
My same
złotaśmy dały na obrzeże —
sztandar zwyciężył. I krzak ten
był dla nas święty —
był nietykalny dla nas
niby dziewiczość, i nigdy
nie zerwałyśmy ani jednej róży —
przez te trzy wiosny kwitły
i kwiat traciły
w tym sarkofagu. Lecz nigdy
nie było tyle pęków, co w tym maju;
ze sto ich będzie — więcej! więcej! Spojrzyj!
One-ć dziewice z San Apollinaro
takim nie płoną ogniem
na swojem niebie złocistem.
Samarytano!
Samarytano, powiedz,
która z męczennic leży
tu pogrzebiona? która
złożona tutaj do grobu po wielkiem,
wielkiem męczeństwie, powiedz!
Spojrzyj, o, spojrzyj: ten cud krwi!

SAMARYTANA.

Co mówisz,

co mówisz, siostro? Tak przemawiasz do mnie,
jakby w gorączce.

BIANKOFIORE z lodżii:

Madonna Franczeska!

ADONELLA.

Madonna!

FRANCZESKA.

Czego wy chcecie?

ADONELLA.

Madonna,
przyjdźcie tu do nas co tchu!

ALDA.

Przybiegnijcie!

ADONELLA.

Zobaczyć swego małżonka!

BIANKOFIORE.

Przechodzi
właśnie dziedzińcem razem z waszym bratem,
panem Ostazio. Toldo Berardengo
jest także z nimi.

ALDA.

Madonna Franczeska!
chodźcie co prędzej! O ten! ten!

Córka Gwidona biegnie po schodach na górę. Samarytana chce w pierwszej chwili pójść za nią, wnet się jednak zatrzymuje w miejscu, bez siły i tchu.

ADONELLA, pokazując kogoś Franczesce, przechylonej nad balustradą.

Ten właśnie
ma zostać waszym małżonkiem.

GARSENDA.

Szczęśliwa,
o, jak szczęśliwa!
Zaiste! rycerz najpiękniejszy w świecie!
Patrzajcie, jakie ma włosy —
andagaweńską wodą
spadają mu na ramiona!

ALDA.

Jakiego wzrostu i jak leży na nim
płaszcz, spięty pasem, jakie ma wyloty
aże do ziemi sięgające!

ALTIKIARA.

Jaka
spina i jakie koronki!

BIANKOFIORE.

Wysoki, smukły, i chód ma królewski!

ADONELLA.

A jakie białe ma zęby! Błysnęły,
kiedy się nieco uśmiechnął. Madonno,
nie widzieliście?

GARSENDA.

Szczęśliwa, szczęśliwa,
która całować go będzie
w te usta!

FRANCZESKA.

Milczcie!

ALDA.

Już go niema! Wszedł już
w portyk.

Niewolnica otwiera kratę, zamyka za sobą ukradkiem i znika w ogrodzie.

FRANCZESKA.

Ach! milczcie! milczcie!

Odwraca się, zakrywa twarz obu rękoma, opuszcza po chwili ręce i wygląda, jakby przemieniona. Po pierwszych stopniach schodzi powoli, potem z nagłą zbiega szybkością, aby się rzucić w objęcia siostry, czekającej u stóp schodów.

ALTIKIARA.

Messer Ostazio wraca sam, bez niego.

BIANKOFIORE.

Dokąd tak biegnie niewolnica? Biegnie
przez ogród.

GARSENDA.

Pędzi jak wyżeł.

Śmieje się.

Lecz dokąd
ona tak biegnie? dokąd?

ADONELLA.

Zaśpiewajmy
pieśń o nadobnej Izoldzie:
„O drzewo daktylowe —“

Panny ustawiają się w lodżii.

CHÓR PANIEN.

O drzewo daktylowe,
o moja słodka miłości,
co teraz czynić zamierzasz?

Magister Antonius sonum dedit.

Franczeska, znajdująca się w objęciach siostry, nagłym wybucha płaczem. Chór przerywa pieśń. Panny szepczą między sobą.

BIANKOFIORE.

Madonna płacze.

ADONELLA.

Płacze!

ALDA.

Czemu płacze?

ALTIKIARA.

Serce ją boli z radości.

GARSENDA.

Tak, w samo
ranił ją serce. Jeśli ona piękna,
to i on piękny — — Malatesta!

ADONELLA.

Dla niej
jakby urodzon. Oboje
pod jedną zrodzeni gwiazdą.

GARSENDA.

Ona szczęśliwa,
i on szczęśliwy.

ALDA.

Niech długie żyje lata
ten, który da jej wieniec.

BIANKOFIORE.

Upadł pierwszy deszcz wiosenny,
zieleni się niwa —
spadła pierwsza łza miłości
i dusza szczęśliwa.

ADONELLA.

Teraz się śmieje! Teraz się śmieje!

BIANKOFIORE.

Widzisz, jak rosa
śmieją się wszystkie jej łzy.

GARSENDA.

Idź, zagrzej kąpiel,
przygotuj grzebienie!

Panny rozbiegają się po lodżii, szeleszcząc sukniami, jak ptactwo w gęstwinie, podczas kiedy wysokie kądziele z pasmami różnobarwnego lnu połyskują, jak pochodnie, na skrawku nieba. Niektóre udają się do komnat i potem razem wracają; jedna staje na straży i patrzy, a wszystkie szepczą półgłosem i tłumią swe kroki.

BIANKOFIORE.

Mamy te nowe, srebrne
napełnić flakoniki
wódką różaną i pomarańczową.

ALDA.

Prześcieradłami
o jedwabistych obrąbkach,
mamy napełnić cztery wielkie skrzynie.

ALTIKIARA.

A ileż-to cudnych
haftowałyśmy wezgłowi,

o jakich nawet nie śniły
panie z Rimino.

ADONELLA.

O, jeszcze dużo mamy do czynienia.

GARSENDA.

Trzeba nam zwijać bieliznę
obszytą koronkami
i kołdry składać z pozłocistej lamy.

BIANKOFIORE.

Trzeba przeliczyć siatki,
obrączki, i spiny, i pasy.

ADONELLA.

O, dużo jeszcze mamy do czynienia.

GARSENDA.

Przysięgam,
że większe wiano wnosi Malateście
córka Gwidona,
niż weneckiemu doży
przyniosła córka Boemonda,
króla Dalmacyi i Serbii.

ADONELLA.

Dosyć też mamy wódki lawendowej,
by, gdy pojedzie przez morze,
zlewać to morze wonnością

ALDA.

Wżdyć pokażemy tym nieco
prostaczym paniom z Rimino,
jak się przyrządza wonności.

BIANKOFIORE.

I jak się gra, i śpiewa,
i tańczy.

ALTIKIARA.

O rety! o rety!
bym tylko nie zapomniała
szkarłatną przypiąć łatę
na Dżiana Figa kubraczku —
wróci o wpół do dziewiątej.

BIANKOFIORE.

Powinien mówić nam dalej
o tarczy Morgany
i o tym trunku — — —

ALDA.

Hoho! wesele w maju!
Stu będzie kuchtów
i dań trzydzieście.

BIANKOFIORE.

Słóweczko
trzeba Madzarellemu
powiedzieć w sprawie muzyki.

ADONELLA.

O, dużo jeszcze mamy do czynienia.

GARSENDA.

Więc dalej! do roboty!

ADONELLA.

Rzućmy kądziele,
a bierzmy wieńce!

Wracają do komnat z brzękiem pszczół na roju. Franczeska podniosła twarz zapłakaną i nagłym rozjaśnia ją uśmiechem. Podczas kiedy panny rozmawiały szeptem w lodżii, otarła łzy z twarzy swojej i siostry. Teraz mówi, a pierwsze jej słowa łączą się z zespołem ostatnich słów weselnych.

FRANCZESKA.

Siostro, ma siostro!
Daj spokój płaczom! daj spokój! Nie widzisz,
że ja się śmieję? Śmieję się i płaczę,
i jeszcze niedość mam tego. Za ciasne
zda mi się serce na taką potęgę,
płacz mi się zdaje siłą już zużytą,
a śmiech zbyt lekką krotochwilą;
i całe me życie
z wszystkiemi jego żyłami,
z wszystkiemi dniami, z wszystkiemi
przenajdalszemi sprawy,
aż do tej ślepej i niemej godziny,
kiedym leżała, ach! na łonie matki,
a ciebie jeszcze nie było na świecie,
jednem jest dla mnie drżeniem,
drżącem po ziemi okręgu;
we wszystkich źródłach,
które się śmieją i płaczą,
w nieznanych dla mnie miejscach,
kryje się cząstka mej siły, powietrze
pełne jest dla mnie jakichś wielkich krzyków,
a światło
jak gdyby grzmiało grzmotem trąb,
i huk i bunt jest we mnie
daleko większy, niźli w ów dzień pomsty,
gdy krew zrosiła
bramy naszych domów.

SAMARYTANA.

Franczesko, Franczesko, ma duszo!
Cóżeś widziała, ach! cóżeś widziała?

FRANCZESKA.

Nie drżyj, ma siostro, nie drżyj!
Cóż ty chcesz widzieć w mych oczach?
Jaka mnie gnębi choroba? I kogo —
kogom widziała?
Życie tak płynie,
płynie jakoby rzeka,
która się rwie na rabunek
i morza znaleźć nie zdoła —
jej szum mnie przeraża...
Ach! bierz mnie!
bierz mnie ze sobą, droga siostro, bierz!
zawiedź mnie do komnaty,
i zamknij okno,
i daj mi trochę cienia,
i daj mi łyk wody,
i na twem małem połóż mnie łóżeczku,
i zasłoń mnie zasłoną.
I niech ten szum się uciszy,
spraw, aby umilkł ten łoskot,
który rozpiera mą duszę!
Sprowadź mi spokój,
ażebym mogła znów słyszeć,
jak pszczoły majowe
o nasze okna biją skrzydełkami
i jak świegocą jaskółki.
Spraw, bym znów mogła słyszeć twoje słowa,
jak wczoraj, o tej chwili
tak dziś dalekiej,
tak dziś odległej — nie wiem,

wskutek jakiego zaklęcia.
Trzymaj mnie, siostro,
trzymaj i więź mnie przy sobie!
Czekajmy wieczora,
modlitwy czekajmy i snu,
i świtu czekajmy, siostrzyczko,
aż twoja wzejdzie jutrzenka.

GARSENDA wpada do lodżii.

Idzie, już idzie, madonno!
Idzie, madonno Franczesko, ogrodem!
Spostrzegłam go z izby, gdzie skrzynie,
spostrzegłam go pod cyprysami —
Smaragdi wskazuje mu drogę.

Za Garsendą wpadają inne panny, wesołe i rozbawione; na skroniach mają wieńce radosne i ciągną ze sobą trzech w kwiaty strojnych chłopców - grajków z lutnią, skrzypkami i fletem.

FRANCZESKA, blada z przestrachu i wzruszenia, jak gdyby bez zmysłów.

Nie! nie! biegnijcie!
Dziewki, biegnijcie,
by nie przychodził! Biegnijcie
co tchu naprzeciw niego,
aby tu nie przychodził.
Zamknijcie bramy, zagrodźcie
wszelakie przejścia i mówcie,
mówcie mu, że go pozdrawiam...
A ty mnie wspieraj, ty, Samarytano,
bym nie uciekła ztąd.
Kolana gną się pode mną
i oczy moje zaćmione!
Biegnijcie!
O dziewki moje, biegnijcie,
by się natychmiast zawrócił!

Biegnijcie naprzeciw niego
i mówcie, że go pozdrawiam!

PANNY.

Jest już! Jak blisko! Jak blisko!

Oparta na ramieniu siostry, Franczeska idzie schodami do góry; w tej samej chwili zjawia się jednak, z drugiej strony kraty, Paolo Malatesta. Franczeska staje w miejscu bezwładna, a on zatrzymuje się śród krzewów w ogrodzie. Stoją naprzeciw siebie, oddzieleni kratą, i nieruchomie patrzą sobie w oczy. Niewolnica ukryła się w głębi. Panny w lodżii stają do korowodu, a grajkowie uderzają w narzędzia muzyczne.

CHÓR PANIEN.

Pośród zielonej dąbrowy
myśliwiec śpieszy na łowy,
na cel wziął biedną zwierzynę —
a w biesiadników gronie
w krwi własnej serce tonie,
w obcą wygnane krainę.

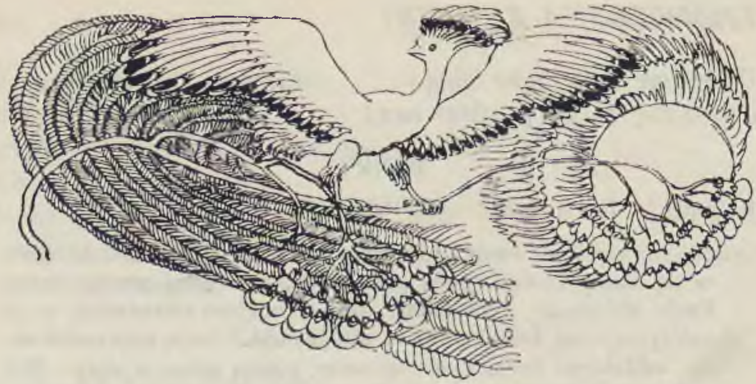
Magister Antonius sonum dedit.

Franczeska puszcza ramię siostry i wolnym zbliża się krokiem do sarkofagu. Zrywa wielką różę szkarłatną, wraca się i przez kratę podaje ją Paolowi Malateście. Samarytana, z głową zwieszoną i płacząc, idzie po schodach do góry. Panny w wieńcach zaczynają śpiewać na nowo. W głębi poza kratą zjawia się Bannino (przyrodni brat Franczeski) z podwiązanym policzkiem; cofa się na chwilę, potem kilkakrotnie w zakratowaną uderza bramę, którą był zamknął Ostazio. Franczeska drży.

GŁOS BANNINA.

Franczesko, otwórz! Franczesko!

Zasłona.



AKT II.

AKT DRUGI rozgrywa się w zamku Malatestów, w Rimino. Walka gwelfów z gibelinami. Śród łuczników, rzucających pociski na wroga, zjawia się Franczeska, małżonka Jana Kulawca. Rozgorzała ogniem występnej miłości ku jego bratu, Paolowi Malateście, szuka odpowiedniego swemu wnętrzu żywiołu w zamęcie boju. Bohatersko zmaga się z nieprzyjaciółmi domu Malatestów — igra z ogniami, pochłonięta blaskiem płomiennych pocisków:

„ . . . . . O cudzie!
Rozkoszy oczu! O żądzo jasności —
żądzo zniszczenia! Żali w sercu jakiejś
wysokiej góry leżały te zsiadłe
drogie kamienie, które znów roztapia
ten straszny płomień i przemienia znowu
na duchy ognia? O życie, tak drżące
a niespodziane! Piękności zabójcza!
Leci ten pocisk śród nocy bezgwiezdnej,
upada w obóz, zbrojne chwyta męże,
otula sobą dźwięczące pancerze,
przeszywa płytę za płytą,
wżera się w każdą żyłę,

rozkłada kości, szuka szpiku,
skręca ich, dusi, oślepia —
ale nim jeszcze oślepły źrenice,
dusza wydaje ryki, zatopiona
w tym strasznym blasku, który ją pochłania.

Czujnie nadsłuchuje, przechylona nad otworem schodów.

Ktoś tutaj idzie po schodach. Kto idzie?

STRAŻNIK.

Na każde piętro mamy po stu strzelców,
po stu łuczników, ukrytych, a którym
nawet niewolno oddychać. Tam, w dole,
stoją, jak strzały w sajdaku.
Może widzieli płomień.

FRANCZESKA.

Nie! to jeden
podzwania zbroją. Któż to
idzie po schodach?

STRAŻNIK.

Na wszelki wypadek
raczcie, madonno, odsunąć ten pocisk
na bok; z pewnością to nie wróg nadchodzi —
twarz mu spalicie; być może to messer
Dżiovanni. (Jan Kulawiec).

FRANCZESKA.

Któż to? Któż to jest?

GLOS PAOLA.

Paolo!

FRANCZESKA ucieka, cofa pocisk, który wskutek nagłego ruchu wybucha plomieniem i oświeca hełm i żelazny kołnierz PAOLA MALATESTY.

SCENA TRZECIA.

PAOLO wychyla się aż po pas z otworu schodów i zwraca ku bratowej, która cofnęła się ku ścianie, trzymając jeszcze w ręku żeleźce pocisku, pochylonego ku ziemi, tak, że może podpalić sobie nogi. Łucznik odchodzi ku platformie.

STRAŻNIK.

Dobrze się stało, żeście przyszli, dobrze,
messer Paolo!
Nie wiele brakło, byśmy się spalili
razem z tą wieżą; madonna
tak z greckim igra ogniem,
jak z pieskiem na linwie.

FRANCZESKA, ogromnie pobladła, oparta o ścianę, śmieje się śmiechem bolesnym i wypuszcza pocisk z dłoni.

STRAŻNIK.

Istny cud, że dotąd
nie wijemy się w piekielnych płomieniach.
O patrzcie...

STRAŻNIK kilku garściami piasku gasi ogień. Paolo szybko przeskakuje ostatnie schody. Gdy stanął na platformie wieży, łucznik wskazuje ręką w stronę miasta, gdzie rozpoczęła się utarczka.

ŁUCZNIK.

Zamęt w dzielnicy San Kataldo; walka
rozpoczęła się przy moście Membruto,
tam! ponad fosą patarską!
Przy Gualkierze biją się — patrzajcie —
tuż popod wieżą Mosketto,
koło Masdonii.

FRANCZESKA cofa się, postępuje kilka kroków pomiędzy bronią i rozmaitemi narzędziami, tamującemi przejście, wraca się ku drzwiom, któremi weszła, i chowa się za pilastr, który ją zakrywa przed oczyma Paola.

STRAŻNIK.

My czekamy jeszcze
na hasło, messer Paolo.
Nie długo wieczór zapadnie. Co czynić?

PAOLO zdaje się nie słyszeć, jedną opanowany myślą i jednym lękiem. Zobaczywszy, że Franczeska znikła, opuszcza wieżę, zstępuje na dół bocznemi schodami, aby jej poszukać.

PAOLO.

Franczesko!

FRANCZESKA.

Hasło, Paolo! wydajcie
hasło! Nie bójcie się o mnie, pozwólcie
zostać mi tutaj i słuchać
świstu cięciwy.
Nie mogę oddychać,
zamknięta w izbie, w gronie wystraszonych
mych towarzyszek, podczas kiedy w mieście
toczy się walka. Piękny hełm mi dajcie,
panie kuzynie!

PAOLO.

Dam wam!

FRANCZESKA.

Wróciliście
teraz z Czezeny?

PAOLO.

Tak, dzisiaj — z Czezeny.

FRANCZESKA.

Zabawiliście dość długo.

PAOLO.

Czterdzieści
dni siedzieliśmy w obozie z Gwidonem
Montforckim. Miasto Czezenę
zdobywaliśmy i zamki.

FRANCZESKA.

Niemałe
znać na was trudy, wychudliście nieco
i pobledliście nieco — tak się zdaje.

PAOLO.

Jakowaś febra jesienna
zapanowała w okolicy Savia.

FRANCZESKA.

A więc jesteście chorzy. Przeto drżycie?
A Orabile nie dała wam leku?

PAOLO.

Febra się strawi sama w sobie. Nie chcę
żadnego leku. Ziół nie szukam żadnych,
aby wyzdrowieć, ma siostro.

FRANCZESKA.

Miałam-ci ziele, co leczy,
miałam-ci ziele w ogrodzie ojcowskim,
w ogrodzie mego szlachetnego ojca —
Niechaj go strzeże Bóg!
Miałam-ci ziele lecznicze w ogrodzie —
wyście pewnego dnia w ten ogród weszli,
odziani płaszczem, który w słodkim świecie

zowie się kłamstwem;
nadepnęliście na to ziele moje,
nadepnęliście, nieświadom, i zioło,
choć stopa wasza była lekka, zwiędło,
przestało rosnąć, mój panie kuzynie,
przestało rosnąć, umarło!

PAOLO.

Jam go nie widział,
anim nie wiedział, gdzie jestem,
ani też, kto mnie przywiódł na tę drogę;
nie rzekłem słowa,
nie słyszałem słowa,
żadnegom progu nie przekroczył,
nie zmogłem żadnej przeszkody.
Ujrzałem-li różę,
którą mi wówczas podano, ach, świeższą
od warg świeżej rany! I śpiewy
jakieś młodzieńcze słyszałem, i straszne
jakieś pukanie do straszliwej bramy,
i głos pełen gniewu,
was wzywający po imieniu!
To było wszystko! to wszystko!
I nie dla tego wróciłem,
że miałem wolę powrotu,
albowiem drogi śmierci
nie są mroźniejsze od tej mojej drogi. —
Tak, moja siostro! Niechaj Bóg nas wspiera.

FRANCZESKA.

Me oczy
świty ujrzały poranne,
dające nam jutrznię,
tę karmicielkę niebieską,

co nas zbudziła, ażeby nas mlekiem
swojem nakarmić, kiedy sen ostatni
zbliżył się k'naszej łożnicy.
Z wstydem i lękiem
patrzały na nią me oczy,
niby na wodę nieczystą,
z urągowiska
nagle wylaną na lice,
zwrócone do góry,
pełne tęsknoty
za drogim napojem światłości.
Widziały to me oczy
i widzieć to będą, dopóki
noc ich nie zamknie na wieki,
noc nieznająca
świtu, mój bracie!

PAOLO.

Ach! na mnie
niech wstyd ten spadnie i hańba.
Nie spałem, gdy ów zawitał poranek.
Precz uszedł już spokój
z duszy Paola Malatesty!
I wszystko już we mnie
było dla siebie wrogie od tej chwili,
gdyście stanęli swą stopą na progu,
z którego niema powrotu,
i gdy ja z świtą odszedłem weselną.
I gwałt stał się lekiem
na me nieszczęście owej strasznej nocy —
z ręki mej zginął Tindar Omodei,
dom mu w perzynę-m obrócił,
na pastwę
mej krwawej świty dałem jego mienie!

FRANCZESKA.

Niech wam Bóg przebaczy
tę krew i to wszystko,
tylko nie łzy te, których nie płakałam,
tylko nie oczy, co owego ranka
zostały suche.
Jam nie płakała
i nigdy odtąd nie płaczę, mój bracie.
A owy napój,
podan mi przez was u brodu — pomnicie —
tej pięknej rzeki?
z tem waszem sercem fałszywem,
szaleństwu pełnem i zdrady? —
to był ostatni trunek, który zgasił
moje pragnienie; i odtąd
nie było wody, mój panie,
któraby mogła zgasić me pragnienie.
I zabłysnęły wieżyce Rimina,
i zabłysnęła brama galeańska,
i słońce zaszło za szczyty,
i ku wieżycom zarżały rumaki,
i nieme wasze oblicze zabłysło
między lancami pachołków.
Przekleństwo,
żeście mnie wówczas nie chcieli powierzyć
falom tej rzeki, coby mnie ze sobą
porwała k'morzu i słodko złożyła
gdzieś na wybrzeżu Rawenny: poznaną
byłby mnie może zaniósł kto do ojca,
do mego ojca dobrego, co, nie chcąc
żadnej mi krzywdy wyrządzić, za żonę
oddał mnie temu, który mu się widział —
niech Bóg go strzeże, tego ojca mego,
i niech mu daje coraz większe władztwo.

PAOLO.

Tak-ci jest srogi, Franczesko, wasz wyrzut,
a taki słodki, że serce się kraje
i moja smutna rozpływa się dusza
w tym dziwnym dla mnie dźwięku waszej mowy.
Dusza się moja rozpływa,
i wszelka odbiegła ode mnie świadomość,
i nie wiem, jak ją napowrót przygarnąć.
W jakiż mam umrzeć sposób?

FRANCZESKA.

Jako niewolnik, przykuty
do stawu łodzi, która zwie się „Rozpacz,“
tak umierajcie!
A pamięć owego trunku,
który z rąk waszych wzięłam
u brodu tej pięknej rzeki,
zanim doszliśmy do murów
fałszu i zdrady,
niechaj was spali i strawi. Przez Boga,
przez najwyższego Boga
i przez świętego Jana,
lepiej ci było, mój bracie, zostawić
głowę, niż shańbić tak biedną swą duszę.

Słychać bicie dzwonów u świętej Kolumby. Oboje budzą się z odrętwienia.

A! gdzież jesteśmy? Kto woła? Paolo,
która godzina? Co robicie?

STRAŻNIK i ŁUCZNIK, zajęci naciąganiem proc i przygotowaniem płomiennych pocisków, zrywają się na odgłos dzwonów.

STRAŻNIK.

Hasło!
Hasło! dzwon świętej Kolumby!

ŁUCZNIK.

Dać ognia!
Ognia! niech żyje Malatesta!

Zapala jeden z pocisków i wypuszcza go w stronę miasta. Z otworu schodowego wypada z wrzaskiem tłum łuczników, zajmuje platformę wieży i zabiera się do broni i machin.

ŁUCZNICY.

Niech żyje messer Malatesta! Niechaj
żyje stronnictwo gwelfów!
Śmierć Parczitadzie oraz gibelinom!

Z murów pada na miasto grad pocisków, który rozpłomienia duszne powietrze. Paolo Malatesta zdejmuje z głowy hełm i podaje go bratowej.

PAOLO.

Daję wam szyszak!

FRANCZESKA.

Paolo!

PAOLO wskakuje na wieżę. Głowa jego, ujęta w pukle włosów, panuje nad tłumem, rzucającym pociski. FRANCZESKA rzuca szyszak na ziemię i z krzykiem biegnie za Paolem. Świst cięciw i wrzask żołnierzy.

PAOLO.

Łuk mi podajcie! dajcie łuk!

FRANCZESKA.

Paolo!

Jeden z łuczników pada z przeszytą gardzielą.

STRAŻNIK.

Na Boga! precz ztąd, madonno!
Tu zaczynają walić już na dobre!

Kilku łuczników podnosi swe wielkie malowane pawęże i zagradza drogę Franczesce, pragnącej dotrzeć do Paola.

ŁUCZNICY.

Wieża Galassa odpowiada.
Od Masdonii
pędzą tu ludzie Czinjatty!
— Niech żyje messer Malatesta!
Niech żyje stronnictwo gwelfów!
Verukkio! Verukkio!

FRANCZESKA stara się przedrzeć przez zwał łuczników, zagradzających jej drogę.

STRAŻNIK.

Madonno! Na Boga,
którego czcicie! O, zastanowienia,
messer Paolo! Madonna Franczeska
jest bez osłony! Tutaj śmierć!

PAOLO stoi z łukiem na murach i, wystawion na pociski wroga, strzela bez upamiętania, jak szaleniec.

FRANCZESKA.

Paolo!

PAOLO odwraca się na krzyk ten i widzi Franczeskę w ogniach pocisków. Bierze pawęż jednego z łuczników i osłania ją.

PAOLO.

Franczesko, zejdźcie! Cóż to za szaleństwo!

Pcha ją ku wyjściu. FRANCZESKA patrzy mu z poza pawęży w jego piękne, rozpalone oblicze.

FRANCZESKA.

Wy szalejecie! Wy!

PAOLO.

Wszakże mam umrzeć!

Odciąga ją ku sklepieniu wieży, rzuca pawęż, pozostając tylko z łukiem w ręku.

FRANCZESKA.

Jeszcze nie pora! Nie! Jeszcze nie pora!

ŁUCZNICY.

Malatesta! Malatesta!
Ludzie Czinjattty
stoją przy wieży Rubbii —
Tu, na tę stronę!
Tu, na tę stronę!

Schodzą bocznemi schodami z lewej i opierają łuki o strzelnice muru. Dzwony biją na alarm. Słychać w oddali dźwięk rogów.

Verukkio! Smierć Parczitadzie!
Śmierć gibelinom!
Niech żyje Malatesta!
Niech żyją gwelfowie!

PAOLO.

Teraz jest pora, abyście widzieli,
jak ja umieram, abyście mi głowę
podnieśli z ziemi rękoma swojemi.
Cóż ja innego mógłbym mieć już od was?
Nie chcę umierać
jako niewolnik u wioseł galery.

FRANCZESKA.

Trzeba, Paolo, zahartować serce
naprzeciw losom
i stać milczący,
jako owego dnia, śród strasznej świty,
jako owego dnia, pośród oszczepów
najemnej ciżby! Niechże nie pohańbię
i mojej duszy dla was!

PAOLO.

Tak! igrać z losem
pragnie fałszywe me serce,
pełne szaleństwa i zdrady.

Nagłym ruchem przyciąga Franczeskę ku zakratowanemu oknu i podaję linę od drzwi zapadowych.

Podnieście!
Dziecko podniesie,
niewinna ręka podniesie!

PAOLO porywa pęk strzał i rzuca je pod nogi Franczeski. Potem naciąga łuk.

FRANCZESKA.

Szaleńcze!
Szaleńcze! Czy myślisz
w ten sposób kusić mą duszę?
Gotowa jestem do wszelkiej śmiertelnej
gry i nie przegram,
choć wszystko przegrane!
Ty zasię stoisz u straszliwych granic —
niech Bóg cię wspiera!
Ja ci otworzę wyjście!
Teraz uważaj! celuj! celuj dobrze,
abyś nie chybił, bo ja śmiać się będę!

Podnosi w górę drzwi zapadne; przez otwór widać ogrom morza w blaskach zachodzącego słońca.

Morze! Morze!

PAOLO chwyta łuk, celuje i strzela.

PAOLO.

Dobry strzał! Przeszyłem
stalowy kołnierz i szyję.
Wieść ten zaniesie o mnie
piekłu!

FRANCZESKA spuszcza drzwi zapadne; słychać, jak pociski wroga uderzają o kratę. Paolo składa broń.

ŁUCZNICY NA WIEŻY.

Zwycięstwo! zwycięstwo!
Śmierć Parczitadzie!
Niech żyje messer Malatesta!
Niech żyje partya gwelfów!
Zwycięstwo!
Gibelinowie rozbici na moście
fossy patarskiej. Gualkiera
już oczyszczona z wrogów!
Messer Dżiovanni w galopie,
z lancami, przy bramie
Gattolo. Ludzie Czinjatty
pierzchli! Uważać,
aby w zamęcie
nie trafić swoich!
Zwycięstwo Malateście!

FRANCZESKA, w wielkiem wzburzeniu ducha.

Ach, widzę morze,
morze wieczyste,
świadectwo Pana.
A na tem morzu żagiel,
szczęśnie kierowan przez Pana.
Paolo, bracie mój w Bogu,
uczynię ślub,
aby się Pan ulitował
nad Tobą.

PAOLO.

Podnieście kratę!

FRANCZESKA.

I już jej nie spuszczę,
niech się ta próba zakończy
wyrokiem bożym,
spełnionym z pomocą strzały!
Człowiek jest kłamstwem, a zaś Bóg jest prawdą.
Bracie mój w Panu, słuchaj: zmora zdrady,
którą masz na duszy,
niech przebaczona będzie ci przez miłość,
a wyrok boży
niech się objawi
z pomocą strzały,
która cię nie tknie —
albo też raczej
oddaj swe życie
i ja swe oddam.

Z napiętą liną w ręku klęka do modlitwy, z źrenicami wlepionemi nieruchomie w odsłoniętą głowę Paola. Przez podniesioną kratę widać jaśniejące morze. Paolo nakłada pocisk na cięciwę i strzela bezustanku. Od czasu do czasu pociski gibelinów wpadają przez okno, odbijają się o mur i nie wyrządzając szkody padają na posadzkę. Pod wpływem bolesnej męki kurczy się twarz modlącej. Wymawiane wyrazy zaledwie poruszają wybladłemi jej wargami.

Ojcze nasz,
któryś jest w niebie,
święć się imię Twoje,
przyjdź królestwo Twoje,
bądź wola Twoja,
jak w niebie, tak i na ziemi.
Chleba naszego powszedniego
daj nam dzisiaj — —

PAOLO, chybiwszy kilkakrotnie, z wielkim wysiłkiem woli napina cięciwę, jak gdyby pragnął dać strzał mistrzowski. Świst cięciwy. Słychać krzyk z pośród zastępów nieprzyjacielskich.

PAOLO *z dziką radością.*

A! Ugolino! w złe-m cię trafił miejsce!

FRANCZESKA.

— i odpuść nam nasze winy,
jako i my odpuszczamy
naszym winowajcom,
i nie wódź nas
na pokuszenie,
ale nas zbaw ode złego.
Amen.

Na wieży krzyk i objawy radości łuczników; kilku z nich wynosi na rękach zabitych i rannych.

ŁUCZNICY.

Zwycięstwo przy Malateście!
Śmierć Parczitadzie! Śmierć gibelinom!
Niech żyje!
Ludzie Montanii pierzchają
przez bramę San Kataldo!
Pożar się wszczyna! Jedna z naszych beczek
padła na domy Akkarizia!
Pożar się wszczyna!.. Zwycięstwo!
Malatesta! Malatesta!
A! messer Ugolino
Czinjatta upada z konia!
Zabit! zabit!
Strzała przeszyła mu gardziel!
Kto go położył? Bartolo Gambitta?
Kto go położył? To ktoś z naszych ludzi!
Sto lir raweńskich wart ten strzał — wart tysiąc
złotych!.. Zwycięstwo!

Strzała musnęła głowę Malatesty i przeszła mu wskroś włosów. Franczeska wypuszcza z rąk linę, zrywa się na równe nogi,

przybiega do Paola, obejmuje mu głowę, myśląc, że trafiony, i szuka rany. Przeraża się jeszcze bardziej, widząc śmiertelną bladość, którą, podczas tego, powlekła się twarz Paola. Strzała pada na ziemię.

FRANCZESKA.

Paolo! Paolo!

Przygląda się swym rękom, czy nie splamiła ich krew. Ręce są białe. Szuka ponownie, ciężko oddychając.

Co się stało, na Boga, Paolo!
Krew ci nie cieknie, nie ma twej głowie
krwi ani śladu, a, zda się, umierasz.

PAOLO głosem stłumionym.

Nie, nie umieram, Franczesko!
Żelazo mnie nie tknęło!

FRANCZESKA.

Uratowan i oczyszczon!
Oczyszczon jesteś z fałszu!
Podziękuj Bogu! Bracie,
klęknij!

PAOLO.

Lecz wasze dotknęły mnie ręce
i z karbów wyszła dusza mego serca,
i chłód przenika wszystkie moje żyły,
odbiegła mnie siła życia
i cóż mi z niego zostaje?

FRANCZESKA.

Na głowę
twoją, Paolo! klęknij!

PAOLO.

Niewymowna

zdjęła mnie trwoga i wstręt stokroć większy
od trwogi.

FRANCZESKA.

Klęknij!

PAOLO.

Kiedy już tak żyłem
tą mocą szaloną,
walcząc sam na sam, na wzniosłej wieży
waszej modlitwy, w płomiennej
samotnej waszej źrenicy — — —

FRANCZESKA.

Uklęknij!
Dzięki złóż Bogu!
Uklęknij i sam się już nie gub!

PAOLO.

Walczący samotnie
i mordujący ludzi — —

FRANCZESKA.

Już przebaczono ci w niebie! Oczyszczon
jesteś, a sam się chcesz gubić.

PAOLO.

W mem rozszalałem wnętrzu
zwarła się razem wszystka ma odwaga
i wszystka zamknięta
mojej przeklętej miłości potęga.

FRANCZESKA.

Zgubiony! zgubiony!
Mów, że szalejesz! Na twą głowę, mówże,

mów, że szalejesz! Że twa biedna dusza
nie słyszy wyrazów twych ust!
Na oną strzałę,
która się ciebie nie imie,
na śmierć, co się ciebie
dotknęła palcem,
lecz nie zabrała cię, mówże,
mów, że już nigdy podobne wyrazy
z ust twych nie wyjdą!

ŁUCZNICY.

Niech żyje
messer Dżiovanni Malatesta.

SCENA CZWARTA.

W otworze wieży Mastry zjawia się Kulawiec, cały w zbroi, z sardyńskim oszczepem w ręku. Skacze po schodach, kulejąc, a stanąwszy na blankach wieży, potrząsa strasznym dzirytem, podczas gdy głos jego przerywa wrzaski łuczników.

DŻIANCZIOTTO.

Krocset! plemię tchórzów!
Łotry! wisielcy!
Ja was wszystkich razem
rzucę do Auzy, jak ścierwo!

FRANCZESKA.

Brat twój!

PAOLO rzuca łuk.

DŻIANCZIOTTO.

Sprawniejsi jesteście
w czynieniu wrzawy,

niż w garbowaniu gibelińskiej skóry.
Może sądzicie, że wyście cokolwiek
tutaj zrobili — z łukami bez cięciw?
Gdybym ja nie był przygnał z moją jazdą,
byłby Czinjatta obie wyparł bramy!
Niech Bóg wam łokcie potrzaska, wy tchórze!

ŁUCZNICY.

Wyszły nam strzały. A przytem astrolog
zwlekał z podaniem hasła. Wszakci zmilkła
wieża Galassa. Przez nas na Masdonii
leży ich kupa.

DŻIANCZIOTTO.

Krocset! mało ognia!
Nie widzę domów płonących! Źleście
rzucali ognie!

ŁUCZNICY.

Wszakże Akkarizia
dom się już pali! — A zacny Czinjatta —
któż się z nim sprawił! Toć to jeden z naszych
zatkał mu gardziel.

DŻIANCZIOTTO.

Któż to stał przy oknie
zakratowanem?

ŁUCZNICY.

Czyż na jego głowę
nie wyznaczono nagrody? — Nasz oddział
zarobił swe tysiąc złotych.

DŻIANCZIOTTO.

Mówcie,
kto stał przy oknie?

ŁUCZNICY.

Walczyliśmy, panie,
z pustym żołądkiem — giniemy z pragnienia
i z głodu! Żyj nam messer Dżiovanni,
nigdy — niekontent!

PAOLO bierze swój hełm i, nakrywszy nim głowę, idzie na wieżę. FRANCZESKA podchodzi ku drzwiom, któremi weszła, i otworzywszy woła:

FRANCZESKA.

Smaragdi! Smaragdi!

DŻIANCZIOTTO do łuczników.

Zamknijcie gęby! Niech wam język uschnie!
Nie lubię pustej paplaniny. Moim
ten, który działa a milczy! Tej chwili
potrzeba rzucić jedną z wielkich beczek;
ja sam pokażę kierunek, w imieniu
wielkomożnego mego ojca
trzeba ją posłać Parczitadzie
już na ostatnie pożegnanie!
Berlindżerio, gdzie jest
brat mój, Paolo?
Czy nie był tutaj?

NIEWOLNICA zjawia się we drzwiach, potem, wysłuchawszy jakiegoś rozkazu pani, znika. FRANCZESKA pozostaje w progu.

PAOLO.

Jestem, mój bracie Dżiovanni. Jać-to
stałem przy oknie kratowanem, jam też
przeszył tę gardziel wrażą,
co zbyt szeroko rozwarła swą gębę,
by ci urągać.

Szmer śród łuczników.

DŻIANCZIOTTO.

Dzięki ci, bracie!

Zwraca się do strzelców.

Taki strzał mógł tylko
pochodzić z ręki Malatesty —
słyszycie, samochwalcy?

NIEWOLNICA zjawia się z dzbanem i puharem. FRANCZESKA wraca ku otworowi schodów, aby się pokazać. DŻIANCZIOTTO schodzi naprzeciw brata.

DŻIANCZIOTTO.

Paolo! przynoszę-ć
dobre nowiny!

Spostrzega żonę. Głos jego przybiera nagle łagodniejszy odcień.

Franczeska!

FRANCZESKA.

Witam was, panie, który nam przynosisz
zwycięstwo!

Kulawiec podchodzi ku niej i bierze ją w objęcia.

DŻIANCZIOTTO.

Droga małżonko, a zkądże
widzę was tutaj, w tem miejscu?

FRANCZESKA broniąc się uściskom.

Na zbroi
dużo krwi macie.

DŻIANCZIOTTO.

Żalim was powalał?

FRANCZESKA.

I cały kurzem okryty.

DŻIANCZIOTTO.

Małżonko,
kurz moją strawą!

FRANCZESKA.

A rany
żali nie macie jakowej?

DŻIANCZIOTTO.

Nie jestem
ranny.

FRANCZESKA.

Z pewnością czujecie pragnienie?

DŻIANCZIOTTO.

O tak, ogromne.

FRANCZESKA.

Smaragdi, daj wino.

NIEWOLNICA zbliża się z dzbankiem i puharem.

DŻIANCZIOTTO z radosnem zdumieniem.

Jakto? Małżonko! A więc myśleliście
o mojem przyjściu? O droga ma żono!
Pewnieście swojej kazali służebnej
zważać, by dała wiadomość, że idę?

FRANCZESKA nalewa puhar i podaje go małżonkowi. PAOLO stoi milczący u wejścia i czuwa nad ludźmi, zajętymi przy beczce z materyałami palnemi.

FRANCZESKA.

Pijcie, to wino z Chios.

DŻIANCZIOTTO.

Pijcie pierwsza,
jeżeli łaska — jeden haust.

FRANCZESKA.

To wino
nie jest zatrute, mój mężu.

DŻIANCZIOTTO.

Śmiejcie się!
Nie podejrzliwość jest tu w grze — przenigdy!
O waszą łaskę tu idzie, o łaskę
waszą, Franczesko,
żono ma wierna.
Zdrada mi od was nie grozi; mój rumak
dotąd pode mną
jeszcze się nigdy nie potknął. Małżonko,
pijcie — choć jeden haust!

FRANCZESKA dotyka wargami puharu.

DŻIANCZIOTTO.

Jakaż to rozkosz
ujrzeć znów wasze oblicze, po bitwie,
wziąć z waszej ręki puhar tego wina,
mocnego wina, i pić jednym haustem —

Wychyla puhar.

O, tak! — Raduje się serce!
A cóż Paolo?
Czemu do niego nie rzekniecie słowa?
Wrócił z Czezeny, a wy go
nie przywitacie, mego rodzonego?
Chodź tu, Paolo! Czy nie masz pragnienia?
Rzuć grecki ogień dla greckiego wina.
Potem spalimy wszystkich Parczitadów.
Nalejcie, żono, jeszcze jedną czarę —
wypijcie, proszę, na cześć mego brata,
jeszcze haust jeden i raczcie pozdrowić
dzielnego strzelca.

FRANCZESKA.

Już go pozdrowiłam.

DŻIANCZIOTTO.

Kiedy?

FRANCZESKA.

Gdy strzelał.

PAOLO.

Wiesz, Dżiovanni,
przyszedłszy na wieżę,
już ją zastałem
jak wraz z Berlindżerim
strzał próbowała ognistych.

DŻIANCZIOTTO.

Żali to prawda?

PAOLO.

Igrała
z strzałą płomienną, aż strażnik
narobił wrzasków, że podpali wieżę.
A zasię ona się śmiała! Słyszałem
śmiech jej, gdy ogień igrał u jej stóp,
jak chart na smyczy.

DŻIANCZIOTTO.

Żali to prawda, Franczesko?

FRANCZESKA.

Dłużyło mi się w komnacie
pośród lamentów moich towarzyszek.
I wierzaj, panie, stokroć mi jest lepiej
patrzeć na bitwę otwartą,
niźli w zamknięciu pocieszać te płaczki.

DŻIANCZIOTTO.

Córko Gwidona, dobrze cię naznaczył
twój rodzic, dobrze! Oby Bóg cię dla mnie
uczynił płodną i obyś lwie plemię
dała mężowi!

FRANCZESKA marszczy brwi.

DŻIANCZIOTTO.

Tyś jeszcze nie pił, Paolo!
Pij — coś pobladłeś. O ma wojowniczko,
pełny mu nalej puhar, niech wypije.
Przedziwny uczynił strzał.

PAOLO.

Wiesz, Dżiovanni, podczas gdym ja strzelał,
ona trzymała kratę! Ona! W ręku
silnie trzymała linę drzwi zwodzonych,
jako giermkowie przy rycerzach. Nie drżał
puls jej i oczy jej nie drgnęły.

DŻIANCZIOTTO.

Hejże!
Pójdziemy razem zdobywać zamczyska,
ty moja żono! Szyszak dam ci złoty,
a ty, dosiadłszy rumaka,
pośpieszysz z lancą i mieczem,
jak owa dzielna grafini Aldruda,
ta z Bertinora, kiedy w bój ruszyła
wraz z Markesellą przeciw kanclerzowi
z Magoncy. Droga małżonko,
już mi bez ciebie czas się nazbyt dłuży.
W tej ciemnej wstędze naokoło skroni
i popod szyją, wyglądasz, jak gdybyś
żelazne miała podgardle. A jaki

BIBLIOTHECA

wdzięk w twej postaci! Nieprawda, Paolo?
Aleś ty nie pił. Pijże, jesteś blady.
Zbyt to cię, widać, utrudziło. Dzisiaj
spać nie będziemy w swoich łóżkach. Proszę,
nalejcie wina swojemu szwagrowi.

FRANCZESKA.

Owszem, nalewam.

DŻIANCZIOTTO.

Tak jakby była noc już. Przelewacie...

FRANCZESKA.

Pijcie, mój szwagrze! Pijcie-że z puhara,
z którego napił się wasz brat. I niech wam
Bóg powodzenia nie skąpi — wam obu,
a i mnie również!

PAOLO pije, patrząc Franczescе w oczy.

DŻIANCZIOTTO.

Tak, powodzenia, Paolo!
Zacząłem mówić, ale nie skończyłem.
Dobrą ci niosę nowinę — posłuchaj.
Oto w godzinie zwycięstwa
nasz wielkoduszny ojciec przyjął w domu
posłów florenckich z wieścią,
że cię wybrano naczelnikiem ludu
i gminy miasta Florencyi.

PAOLO.

Florenckich
posłów!

DŻIANCZIOTTO.

Tak! bracie! Czy to martwi ciebie?

PAOLO.

O nie, pojadę.

FRANCZESKA kryje twarz w mroku i przechadza się po wieży. NIEWOLNICA cofa się na stronę i stoi bez ruchu.

DŻIANCZIOTTO.

W trzech dniach musisz jechać.
Będziesz miał czasu dosyć, by pośpieszyć
do Giadżiolo, do twej Orabile,
przyzwyczajonej snać już do wdowieństwa.
A wiedz, że jedziesz do miasta swywolnych
biesiad, do miasta, gdzie rządzi gromada
„braci wesołych," gdzie pełno bogatych
kupców, trefnisiów i giętkich dworaków,
gdzie biesiadują rankiem i wieczorem,
gdzie lubią tańczyć i śpiewać, — dowoli
tam się zabawisz.

Posępnieje i mówi z goryczą:

My za to będziemy
zastawiać sidła na wilki i rzezać
marne jagnięta, żelazem
uderzać będziem o żelazo
dla ucieszenia uszu,
stalić będziemy pociski, topory,
lance sardyńskie z rana do wieczora.
A potem czekać będziem, czy przy szturmie
nie spadnie znowu głaz i nie roztrzaska
drugiego jeszcze kolana. I potem
Janko Kulawiec, Janko Kuternoga
każe się sznurem przywiązać do grzbietu
rozszalałego wierzchowca i pomknie
na łeb na szyję do Piekieł.

FRANCZESKA śród wielkich udręczeń przechadza się w mroku. Przez otwór wieży widać niebo, zachodniemi zlane płomieniami.

PAOLO.

Dżiovanni,
gniewasz się na mnie?

DŻIANCZIOTTO.

Nie! czyżeś nie wyrwał
języka temu, który mi urągał?
„Hejże na Kulawca
i jego piękną małżonkę!"
Tak szydził Ugolino,
z ogromnym krzykiem najeżdżając na mnie.
Czyż krzyk ten jego dotarł aż do kraty?
Jam się z nim zetknął oko w oko,
strzemię o strzemię,
kiedy twój pocisk
przeszył mu gębę
na wskroś, aż na wierzch wyszedł potylicą.
A mogłeś chybić!
Czułem, jak pióra twojego pocisku
twarz mi owiały. Mogłeś chybić, bracie.

PAOLO.

A żem nie chybił, cóż ty o tem myślisz?

DŻIANCZIOTTO, kładąc mu rękę na ramieniu.

Widać, że wszelkie miłujesz ryzyka.
Lecz we Florencyi bądź ostrożny. Wielki
bierzesz na siebie obowiązek: ostry
i wielce szybki miewaj wzrok, lecz rękę
zawsze ostrożną.

PAOLO.

Tak radzący, bracie, —
żali nie lepiej będzie, gdy się zrzeknę

tego urzędu? Wszakże całej naszej
potrzeba siły w ojczyźnie!
Rok ten dla nas gwelfów
niezbyt szczęśliwie się składa po klęsce
Dżiana z Appii i po sycylijskim
buncie przeciwko Andagaweńczykom.

DŻIANCZIOTTO.

Trzeba to przyjąć bez zwłoki. Obrońcą
spokoju będziesz tam, gdzie ongi
nasz wielkoduszny ojciec namiestniczył
w imieniu króla Karola, w szczęśliwem,
bogatem mieście gwelfickiem. W ten sposób
i z tamtej strony granicy Romanii
brzmieć i rozszerzać się będzie
głośne nazwisko Malatestów; każdy
z nas niechaj śpieszy za swoją wschodzącą
gwiazdą. Ja pójdę swą drogą, z tym mieczem,
który ma oczy i widzi.
Jeszcze się koń mój
dotąd nie potknął pode mną.

Podczas jego słów wnoszą z pochodniami rannego Malatestina, który zdaje się, jakby już był bez życia. Zmrok czyni się coraz gęstszy.

FRANCZESKA.

Nieszczęście! Nieszczęście!
Czy nie widzicie! Ach! czy nie widzicie
Malatestina? Wnoszą go na rękach
zbrojni rycerze — wnoszą z pochodniami!
Malatestina zabito dla ojca!

Malatestino jednak żyw. Brat Paola i Jana Kulawca (Dżiancziotta) wziął sam jeden do niewoli głównego rodziny swej wroga, Montanię Parczitadę, lecz w walce z nim

utracił oko. Bój szaleje na ulicach miasta, Malatestino—odtąd Malatestino dall'Okkio (M. Jednooki)—zrywa się, rycerskich żądny zapasów, lecz, ranny, ulega namowom Franczeski i pozostaje w domu, pod jej opieką. Żegna się tylko Paolo, aby objąć urząd florenckiego naczelnika ludu.

PAOLO.

„Żegnaj, Franczesko!"

Zbliża się ku niej, Franczeska cofa się z przerażeniem.

DŻIANCZIOTTO na wieży:

Paolo! Paolo!

FRANCZESKA.

Żegnaj mi, bracie!

PAOLO zwraca się ku wieży, gdzie dalej płomienne rzucają pociski. FRANCZESKA, pozostawszy sama, żegna się, ukląkłszy, a potem rzuca się na ziemię. W głębi gwałtowniejszy słup światła rozjaśnia niebiosy.

ŁUCZNICY.

Dać ognia! Dać ognia!
Śmierć Parczitadzie! Koniec gibelinom!
Górą gwelfowie! górą Malatesta!

Płomienne pociski padają z bastyonów. Dzwony biją do szturmu. Dźwięki rogów przerywają zamęt na ulicach płonącego i krwią zlanego miasta.

Zasłona.

(Dok. nast.)



Rysunek ołówkowy
STANISŁAWA WYSPIAŃSKIEGO.

„Chambres garnies.“

1.

.... Urodziłem się w „umeblowanych pokojach do wynajęcia.“

Rodziców moich pono nie stać było na własne mieszkanie. Spotkali się na ulicy, przypadkiem, i nie długo szukali schronienia. Tyle jest czerwonych, lub innych szyldów, ze złotym napisem: „Chambres Garnies.“

— Dopiero o wiele później zdałem sobie sprawę, że mam o to do nich głęboki żal, ponieważ zmuszony byłem opuścić ich dla tego.

— Na razie wszystko było w porządku, nie spostrzegłem się nawet, że zamiast piersi matczynej podsuwają mi flaszkę ze smoczkiem i że płyn w niej zawarty nie jest zwykłem mlekiem, tylko już jakimś mądrze wymyślonym preparatem. — Znacznie później, będąc na wsi, widziałem raz ot taki obrazek, gdy zupełnie nagie dziecko, na czworakach przypełzało do obok pasącej się kozy i bez niczyjej pomocy, z własnej przemyślności, wymiona jej

ssało. — Otóż o ile sobie przypominam wrażenie owej chwili, — nazwałbym je teraz uczuciem zazdrości.

— Przyszedłszy zatem na świat, odrazu znalazłem się za szklaną szybą, w pokoju zastawionym meblami, których uszanowanie stanowiło treść wpajanych we mnie zasad.

Nie wytłómaczyli mi powstawania sprzętów i słów, których używałem, więc było to sobie tak, jak trawa rosnąca i grzyby w lesie, a wszystko w sposób z góry nakazany, jak patarafka pod lampą i pogrzebacz przy kominku.

Wytworzyła się we mnie cała mechaniczna strona życia, w której odczuwałem brak nieokreślony, ale ponieważ wszystko już na świecie zastałem gotowe, więc od samego założenia wszelka moja osobista potrzeba nie miała racyi bytu i musiala być zwalczaną. Tembardziej, że była nieokreśloną, a często i nielogiczną, bo w faktach najbardziej oczywistych, w prawach ogólnie uznanych dopatrywałem się czegoś więcej, np. zadania arytmetycznego, które należało koniecznie rozwiązać, aby cośkolwiek zrozumieć.

Szukałem wciąż odpowiedzi — przyglądałem się rozmaitym ludziom, ale nie doszedłem do żadnego z nimi porozumienia, bo kiedy, stawiając pytania, z natężeniem patrzyłem im w twarz, oni spokojnie sięgali do kieszeni i, wyjmując z niej posążek, kazali mi patrzeć na coś oddawna martwego, żyjącego może niegdyś w rękach, ktore je lepiły, ale co z chwilą ukończenia pracy stało się przedmiotem handlu i teraz, wędrując z rąk do rąk, jest upiększeniem wszystkich „Chambres Garnies.“

Kolekcya owych posążków, cz. pozorów, jest nader bogata, bo od najodleglejszych epok, aż po dzień ostatni. Zwłaszcza te na czasie bywają niebezpieczne, bo prędzej wzruszają. Czego przykład dam zaraz.

Każdy z nas coś wie o zepsuciu wielkich miast. Otóż dowiedziałem się niechcący, że obok nas, w tym samym domu, mieszka jakaś zacności rodzina. Z ciekawości, pewnego dnia otworzyłem cichutko drzwi i wszedłem do ich mieszkania.

Był mrok, a nikt nie myślał o zaświeceniu. Po chwili spostrzegłem kilka dziewczynek, większych i mniejszych. Wszystkie siedziały nieruchomo i sztywnie — jedne na wyższych krzesłach, drugie na podnóżkach. Widziałem wszędzie bezczynnie splecione ręce. Zdawało mi się, że to jak w bajce, i pytałem:

— „W makatami wyłożonych komnatach —
— na kwiecistych, wzorzysto utkanych dywanach
— siedzą księżniczki?“
— „W najcudniejszych, złotem haftowanych,
— z dalekiego kraju przywiezionych szatach
— czekają dziewice?“
— „Pójdźmy więc. . . . .“

Odpowiedziały mi, że nie mogą, że mają wielki dług do spłacenia, na który całego życia nie dosyć, bo dzieci winne rodzicom dozgonną wdzięczność.

— Siedziałem sam jeden na środku pokoju, a naokół mnie był ścisk przedmiotów ogólnego użytku — był rój uznanych wartości, których krąg zacieśniał się i zbliżał, pętlicę zarzucić chciał.

Ciasno mi było wśród zapisanych papierów, martwych płócien, skamieniałości, szczątków z odległych epok, jakichś trylobitów, enkrynitów, rozmaitych muszli szumiących morzem — okruchów życia, porcelanek słodko uśmiechniętych.

— W pokoju, naokół mnie, dział się ruch szczegółów, owych nieznacznych, mozolnych poruszeń, które nie są

w stanie zmienić całokształtu—zacieśniał się krąg drobiazgów — podzielne do nieskończoności atomy, jak kolorowe „confetti“ zewsząd padały — kwiatki odczepiały się od tapet i szły ku mnie — aż zakręciło się wszystko i, w zygzakowatych, łamanych liniach serpentyny, zapamiętale kołowało.

— Postanowiłem wszystko sprzedać — byle komu, za pół ceny, za bezcen — tłumowi zwrócić, płynnemu życiu oddać.

— Trwało to jakiś czas. Wyzbywanie się dziedzictwa, a właściwiej, wyżywanie się z rodziców — długa praca. — To też w końcu spostrzegłem się, że oto połowa mego życia już upłynęła.

I stanąłem jak ów las przetrzebiony, dla którego ludzie byli drwalami. Wycinali zeń dowoli, żywicę wiosenną toczyli i pili do syta, a on im szumiał konarami.

Ale dosyć jednego, dwóch drzew nie ściętych, aby las w nich dalej żył i w ziemię kładł nasiona swej przyszłości.

II.

.... Myślałem rzeczy, które przychodzą człowiekowi samotnemu do głowy.

My wszyscy chodzimy po lesie i grzyby zbieramy — każdy do swego koszyka, a tylko od czasu do czasu podnosi się garście ku ustom, by huknąć: Hop! hop! na brata — i przez chwilę nasłuchiwać odpowiedzi. Potem znów, każdy wciąż mozolnie grzyby zbiera i sam... zawsze sam po lesie chodzi.

Tak ja pojmowałem wzajemne stosunki.

Wiedziałem jednocześnie, że człowiek potrzebuje rozmaitych dobrych słów, by mu łatwiej było żyć. Więc pragnie towarzystwa, więc mnoży się i roi, albo do mogił ucho przykłada, zaklęciem, tchnieniem zbroje ożywia — ducha testamentu między księgami poszukuje i fantomy na ucztę sprasza. Ale te czasem za wcześnie pierzchają, i wtedy, między nocą a dniem, kiedy to wozy robocze tak niemiłosiernie głucho po bruku wielkiego miasta dudnią, — człowiek słabnie i drży. Instynkt gatunku bezbronny i sam, a naprzeciwko niego, oko w oko, to, co było zawsze dalekiem, o tysiące mil odległem. Trzęsą się kości w zawiasach, śmierć za rygle szarpie, gdy zmora nocy powstaje — — — gdy wieją białe mgły — — — — — —

— Najczęściej było mi w życiu, jak choremu, którego niemoc powaliła. Słyszałem kroki równomierne i ciężkie — zegary od dawien dawna jednako brzmiące.

Wiedziałem, że stopy, które tak chodzą, milionem są — że zegary, które tak biją, nigdy inaczej nie uderzą — godziny zawsze jednakie, te, które były i będą.

— Słyszałem pacierze starych, bezzębnych ust, jakgdyby szept cienia strasznego, przy kopcącej łojówce schylającego się nade mną.

Później jakieś histeryczne wrzaski, rozpacze — otwierano mi gwałtem powieki... kazano kochać — to znów złowroga cisza i palące łzy, jak ukłócia na twarzy i rękach.

— Teraz nareszcie jestem sam w sobie — tylko poświata miesięczna, cichym krokiem ducha, przez okno schodzi, drży... łagodnem falowaniem obejmuje.

— Tyle dziś obłoków — spuchnięte, rozdęte, niosą

się szybko — niebo podniosło się w górę i przeraźliwie rozwidniło się między czubami drzew. — W takim dniu, ludzie czują niepokój i mówią, że idzie coś, wieści nadciągają. — Takie jasne dnie bywają z wiosną, ale teraz jesień — wczoraj jeszcze brunatne mgły rozwłóczyły się między konarami, obszywając gęstwiną nagie drzewa.

. . . . Jaką ja mam dużą głowę, pełną wielu słów. Zdaje mi się, że jestem globusem ziemi i na ramionach niosę cały świat dotąd poczęty.

— Otwieram książkę — padają mi oczy na własne, niewypowiedziane dotąd myśli. Zmienił się ich strój jedynie — zrobiły się pysznym, przebogatym tłumem świątecznych biesiad. A na przodzie całego pochodu niedowiarek biegnie, podskakuje, garście drobnych kolorowych papierków w górę wyrzuca, bo podzielność atomów jest nieskończona i nie ma dalszych konsekwencyj i nie ma poprzednich, jest tylko ruchem bez końca. — Niedowiarkowi zachodzi drogę artysta, pomazaniec królewskości nietykalnej, i mówi, że trzeba pewną siłę wynieść ponad wir kolorowych papierków, trzeba z niej władzę uczynić, by złote insygnia skreśliła, — więc wyciąga ręce, a tłum znów widzi to tylko jako znak zapytania. — Myślątka strojne i barwne szumią pióropuszami.

— I oto ziemia dokonywa ostatniego obrotu, bo formy dalszej nie stało — są tylko stare rzeczy w nowe słowa ubrane.

A doskonałość pozostała owem morzem rozległem, w deszczu brylantowych gwiazd leżącem aż poza oczyma. Człowiek słyszy potęgi szum wezbrany — czuje, jak fale rosną, podnoszą się, przerosły wszystko, niebios sięgają, a on wciąż plecami do prześwietlonego słońcem muru zielonej wody zwrócony. — Jest chwila, w której fala załamuje górny brzeg i ku otchłani dąży, wtedy człowiek podaje się cały w tył i głowę przechyla, — w szklance

pomieścić morze chce, którego zawartość rozsadza mu czaszkę, i wody ponoszą łupinkę mózgu, w jego ostatniem dążeniu do doskonalszego wyrazu. — — — — — — — —

— Gdy się pawich czubów zbyło, jakże można dalej żyć?

— Trzeba zaprzysiądz na miecz obrony, na sztukę.

III.

.... Takie smutne, bez wyjścia godziny. Nic w nich niema, tylko jakieś kłębiaste, nudne myśli. „Stoją krowy na zapomnianych pastwiskach i, przeżuwając dawną strawę, patrzą gdzieś...“ To zdanie uformowało się bezwiednie, tak, jak, patrząc na bańki mydlane, wie się naraz dokładnie, jakim był szklany pałac któregoś tam królewicza, gdy się tęczą słoneczną przepasał.

.... Idę wciąż przez miasto — od wielu godzin chodzę. Latarnie skąpo się palą, i tylko od czasu do czasu jaśniejszy ogień i war głosów przez oświetlony otwór bucha. Dymy błękitne zasnuwają brzęk szkła, muzyczny zgiełk.

— Nie mogę być z nimi, to książki w nieznanym języku pisane, choć wezmę do ręki, czytać nie umiem i nic też nie mam im do powiedzenia!

Ja, człowiek zbyteczny ludziom, do których zwrócenie przemowy powinno być jak bicie w kotły i bębny do ataku na okopy.

Albo też musiałbym żebrać — nagiem ciałem przyświecać cudzej litości. — Znam kobiety, które dzieci swoje wywodzą pod mur publiczny i nauczają, że przyjdą ludzie, którzy ich nakarmią, nasycą. Napróżno dzieci czekają — przypadek rzuci im czasem miedziaka na piersi — ot wszystko.

— Siadłem przy oknie — patrzę, z tego zaduchu kawiarnianego, na miesięczną, jarzącą się noc.

Długie, białe nici telegraficznych drutów na niebie rozpięte.

— Myślę, że podobno w taką zimową ciszę słychać po wsiach dalekie głosy o mile.

Poszedłbym ja może, nocą, w białe pola, i wołał...

Kupiłem sobie pęk „roses de France“ i przenoszę oczy z niebieskiej toni księżyca na ich różowe ciepło, a zdają mi się żywsze i bardziej zmysłowe w tym kontraście barw. —

— Śniłem kiedyś marzenie o kobiecie - roślinie, którejby miłość kwiatów, daleko od siebie rosnących, wystarczała. — Szeroko rozstawionemi ku skroniom oczyma patrzyła — a spojrzenie to było, jak dwa kwitnące, ciemnofiołkowe bratki. Pyszczek miała rybi i nozdrza przezrocze, ale to wszystko ludzkim obleczone wyrazem. Na głowie, miast włosów, kręciły jej się zczochrane płatki złocieni, a ręce dłońmi zawsze odwracała, i między szeroko rozstawionemi palcami mieniła się błona. Stała ona gdzieś na pograniczu między mną, zielonym lasem. Czasem widywałem ją za progiem mego pokoju, gdy nieuchwytnie się przesuwała, i myślałem wtedy, że chciałbym ją mieć, ową bezpośredniość czucia. Umieściłbym ją w słoju zielonym, aby poprzez tafle grubego szkła śpiew ziemi leciutko i dźwięcznie, jak łąka, brzęczał.

— Gdy patrzę na ludzi, są zawsze tylko niejasnem, mżącem się tłem, wśród którego chcę lampę o niezwykłej sile światła wymalować.

— Ale czemże jest właściwie dzieło sztuki dla ogółu? prawie że właśnie tego rodzaju przedmiotem, jak lampa (minus użytek), a dopiero przychodzi jeden „taki“, i kiedy

się w ognisko światła zapatrzy, to mu ludzie znikną, w ściany wsiąkną — jest wtedy sam wśród tłumu.

— Z myślami trzeba coś robić — trzeba je gdzieś zaczepiać, rozwieszać. Później, to mnie dziwi każda taka gotowa, skończona myśl, której wypowiedzenie jest jakby pokazaniem klejnotu, jest kunsztem złotniczym. — Patrzę wtedy i staram się od zewnątrz zrozumieć ten przedmiot użytku stworzony moją potrzebą, ale tylko moją, więc pewno dla innych, dla ludzi ta potrzeba pozostanie ciemną, bo nie zechcą jej odkryć. Wezmą w ręce tylko kształt, jak pusty garnuszek, i będą się zastanawiali, czy ładny, czy brzydki. Tego ich nauczyli literaci — a mnie się zdaję, że niema ścisłej zależności formy od treści. — Są zapewne dzieła sztuki, które jak wodospad zawisły, skamieniały w jednem mgnieniu, gdy rozbryzgany pęd nad przepaść wybiegł i stanął. Ale bywają nadto rzeki, oddające tylko barwy przepływających obłoków, albo też fontanny, owo cudne schylanie się po perły i wyrzucanie ich pełnemi rękoma w słoneczną grę harmonii. Ale oprócz tego, w zagłębieniach ciemnych, stoją wody, źrenice lasów, w których żaden się obraz nie odbije, najwyżej cień spotęguje. Co mieszczą, niewiadomo. — — —

— Jednem słowem, według mnie, może być takie myślenie z potrzeby, z tęsknoty, której żadna forma życiowa nie ukoi.

.... Tak, ale czasem, chciałoby się do kogoś blizkiego mówić. Mówić bez słów, które są krótkie, jak te nasze kroki na powierzchni ziemi, w pogoni za śmigłym lotem ptaka. Mówić jakgdyby kołysaniem tęczy barwnej, między dwoma, pobudzającemi się ruchami.

— Na sali tłumy — wszystkie stoliki zajęte — śpiewają kuplety: „Viens pou-poule! viens pou-poule! viens...“

— Ktoś mówi, że za dwa dni Boże Narodzenie.

— Patrzę przez okno, śnieg łagodnie prószy — —

— — Twórczość jest płodna i bożki lepi, ale w taką noc spływają z gwiazd srebrne włosy, któremi nieskończoność zamiata wszystko.

— „Przepraszam — czy to miejsce niezajęte?“

— Dziwny głos — moc, blaski, i słowo chcące — —

Wyglądała na damę z przed lat, tak staromodnie była ubrana, a na głowie miała kapelusz z mocno wystającą po bokach budą, która twarz niewidzialną czyniła, gdy tak na nią z profilu patrzyłem.

Szmer ludzi nagle upadł — wspomnienia chwiały się blado — jeszcze parę razy wybił się zgiełk i zginął jak w oddali. Dźwięki powstawały—księżycowe przędziwo na dalekim skraju — delikatne cienie zamierzchłych czasów...

— — — — — — Dale takie niebieskie, przepojone światłem. Na jesieni złote wierzchołki zarzucona, misternie wzorzysta liśćmi koronka błękitu. Bogactwo barw silnych, rozpłomienionych, we fioletowej oprawie, gdzieniegdzie w zagłębieniach szafirami wysadzanej.

Po ogrodzie asani chodzi, w suto nafałdowanej sukni, ze skrzyżowanym na drobnych piersiach szalikiem.

Dawne lata — rozpylone światłem niebieskie dale. A w powietrzu szmer i szelest, odczepiających się od macierzy liści. Lecą... lecą z drzew — błyszczą w słońcu, jak roztopiony, kapiący metal — i nagle opadają w cień, rudawą plamą na ziemi się kładą, drogi smutku ścielą— — —

— — Asani idzie — — — — — — — — — — — — — — —

Szelest liści—zmęczonych skrzydeł łagodny szelest.

IV.

.... I nastała taka chwila dla mnie i dla niej. Klęska, żeśmy się wtedy spotkali i chcieli być dla siebie zaspokojeniem głodu.

— Strasznem jest, gdy dwoje ludzi, zkądinąd pięknych, zwraca się ku sobie, by zająć jedno i to samo miejsce w przestrzeni. Oczywiście za pomocą wzajemnego spychania się. — Wiemy, że linie w punkcie swego przecięcia rozchodzą się. Otóż dwa głodne pragnienia idą wtedy dalej. — Idą w splątany las, w straszną gmatwaninę zwojów, gdzie wszystko, co wyrasta, jest jak splot z jednego kłębka wyrzucony. Jest pniem, konarami — przechodzi w smukłe liany, sprężyste wiązy — potysiąckrotnie łączy się, supła, wrasta w siebie i zmaga.

Las cały.

Dróg w nim niema, tylko miejscami tkwi ciężkie spojrzenie zastygłej, ciemnej wody i huczą z pod zielonego poszycia niewidzialne głosy. Zbrodniczy to wicher, kręci się i światłą gasi — szatańską ręką zakwitłe kwiaty przydusza, a ciało swe piękne wygina i idzie na żer.

Same uroczne, jadowite zioła rosną —

— Już od wieków trwa to rozmijanie bolesne. Już całe setki umęczonych ciał w mogiłę wielką urosły, od której cień zagarnia ludzkie dusze, i w mroku jego płacz słychać.

— Czyż ten szloch rwący, co zalepia oczy, usta, i ciepłą mazią spływa — ten szloch brudnych godzin głodu, tarzający się o zmroku, płakać będzie wciąż dalej i bez końca?

— Czyż zawsze, w porze, gdy słońce krwawą raną przepada za wodami, powtarzać się musi dla każdego przedzgonna chwila?

— Iść więc będzie dalej ten pochód zniszczenia i w piorunowe dzwony nad przyrodą bić —

— A męką krzyżową prężą się ramiona — a gdy spójnie pękają, słychać tę podziemną ciszę i... nagle opada lochów rozpacz brzękiem łańcuchów — —

— A dusza idzie za łkaniem szarych płacht deszczowych, na beznadziejnych pustkowiach szukać wiary dla siebie —

.........Później, zdawało mi się, że toniemy razem w jakiejś głębinie, której wody bezlitośnie nami obracają, a ona obślizgłemi ramiony czepia się i ma w oczach nienawiść topielca, bo śmierć jest między nami, więc mówi tak, jak gdyby czuła, że każde słowo ma być ostatnim dźwiękiem staczającym się po pochyłości.

I to wszystko szło nieubłaganie. —

— Ataki nerwowe, w których jej biedna dusza wiła się, skręcała w podrzutach na miejscu, to znów w pustej, otchłannej przestrzeni, bez rozpostartych skrzydeł, w leżącej postawie sztywniała.

A potem wir... wir rozpaczliwie drgających rąk.

Z głębi wyciągały się bolesne ręce — guzowate zmęczone palce — zgrabiałe jak te wyschnięte badyle, z ponad grudy sterczące, — i popękane, ziemią do cna zabite paznokcie — takie płomyki liliowo-sine na woskowych, gromnicznych palcach. —

— Wiedziałem, że spotężnieje przez ból i kiedy rozepnie ramiona, to stanę się owym krzyżem, z którego dusza zmartwychpowstanie.

— Kiedy o tem myślę, przypominać muszę, gdzie się to działo. Wiem zaledwie, jakby z trzecich ust, że mieszkaliśmy wtedy w Paryżu.

— Taki pokój — niewiadomo gdzie, co, jak — jakgdyby okien wcale nie miał i nic doń z zewnątrz nie dochodziło. A w tym pokoju było źrenic dwoje zadużo, bo nic innego, tylko tych źrenic dwoje zadużo w pokoju, który nie miał okien, ni drzwi —

— Niebieskie blaski na szynach i żal... głosem świstu przeciągłego.

Jakieś jęki ciężarne, charczące piersi — zamieć krwawych, potępionych gwiazd, w odmęty przestrzeni lecących — i białe zawieje dymu, łagodnie, wielkiemi płatami ku ziemi opadające.

— Mgła otula, spowija. — Mgła płacze, na powiekach osiada.

Wśród zasnutej sennie przestrzeni, światła stoją nieruchomo.

A wszystko to lampki mego dnia zadusznego płoną w aureolach z mgły . . . .

. . . . Stało się coś jednak — noszę w sobie krzywdę tego —

Oglądam się za czemś nadzwyczajnem. Wszystko tak samo, ulica dudni, przewala się łoskotem tysiącznych kół.

Drukowane litery przesuwają się wciąż — drukarskie czcionki wszędzie migają — po chodnikach czarne znaczki skaczą.

Wielka drukarnia. Boże! co ty piszesz?

— Gdzie jest to coś okropnego?

Aha, pod powiekami tkwi klęska, której ja, niemy świadek, ocalałem— — — — — — — — — — — — — —

A naokół wszystko tak samo — napróżno szukam nazewnątrz wyrazu mego.

Ludzie, zajęcia wciąż te same — wszystko jak dawniej, jak zawsze, i ja też, bez krwawych stygmatów, w świeżo nabytym kapeluszu, niosę coś, czego się boję. Boję się, żeby nie zadźwięczało śmiechem drewnianej kołatki, śmiechem bez treści, śmiechem opuszczonego ciała.

— Przeczucie dosięgło jakiegoś wierzchołka, kędy szło pieczarami, grotami, ową wewnętrzną drogą, równoległą do ścieżki życia, która się urywa przepaścią, zawcześnie dla kroku dalej mierzącego nad ów ludzki kres.

Tylko ptaki ciągną wzwyż i w dal —

— Mieszkaniec pustyni, w słońca zwycięzką kwadrygę wpatrzony, ślepnie—i nie poleją się już zapachy żywiczne, ni szumy, ni wiatry na wypalone jasnym blaskiem oczy.

Godziny jego ugrzęzły na wydmie, jak koła zbyt ciężkiego wozu, gdy, w osiach ostro sycząc, na miejscu się obracają, a naokół suchy piasek sypie się z szelestem.

. . . . I wstąpiłem do „Chambres Garnies“ — więc i ja też musiałem w nich zamieszkać. — Patrzę na ścianę, na portret mej babki i na drzwi, któremi wyszła „ona“.

Kolejno spozieram, i w końcu zdaje mi się, że to ta sama, ta jedyna „ona-asani,“ którą samotność biednego człowieka wytwarza, a nieskończoność zamiata mu ją później srebrnemi włosami i gwiazdom światła przyrzuca, by silniejszą tęsknotą paliły się ludziom na nizinach —

— A może Bóg, świadom siebie, narodzi się dopiero? Może na to pracuję ja, i ty, i ów trzeci, który przyjdzie? A dzieła mego nie ujrzę, albowiem będzie niem dusza drugiego człowieka, i gdy mnie światło-bóstwo pochłonie, wzmoże się jego płodność i narodzi się następny duch.

Koniec tej pielgrzymki — w narodzinach ostatniego ducha pełnej samowiedzy, który będzie Bogiem sam.

Oto idę w pozłocie odwieczoru, a koniec mej drogi niedaleki.

Wszystko zbiega się i ginie w tem widnie jasnem, w szumie niewidocznym, który pochłania wrzawę i ciszę, płomienne globy rodzi i złotą siejbą w ćmę szarego miasta leci — zapada się miękko w liliowy pył zmierzchu —

I będę szedł... szedł, po długich w nieskończoność ulicach — nie pamiętając domu, z któregom wyszedł, ani do powrotu drogi —

— nie niosąc w piersiach uczucia, któreby było śladem łagodnej ręki —

Helena Kwiatkowska.



Rysunek ołówkowy ST. WYSPIAŃSKIEGO.

ZE SZLAKÓW DUCHA. NOWE CYKLE.

Z CHŁODÓW.

Zimno mi. Więcej futer na zmrożone ciało —
Przysuńcie mnie do ognia i przyrzućcie drzewa
Do żaru. — Mdło się pali. Nie czuję płomienia.
Rozniećcie. Ziębłam bardzo, ziębłam aż do kości.

Sople lodu mam w mleczu — i wargi zbielały.
Dawno ich nie całował bóg ognistousty.
Dawno płomienne ręce opadły z mych ramion.
W ogień wejść! ziębłam bardzo, mróz mam w szpiku kości.

Tańczyć w ogniu! Płomienia okręcić się wężem!
W płomiennych mieczów kole tańczyć! Płomieniste
Języki uczuć żrące w mózgu słotnej przędzy —

Niech zgrzyta, schnie, zczernieje — w popiół się przetrawi
Wśród ognia — może wtedy, z gorących popiołów,
Feniksowa w strop nieba strzeli iskra życia.

Przybądź, ognisty skwarze bezchmurnego nieba
Nad szafirowym ogniem mórz rozbałwanionych —
Trzaśnij, gromie, spal suchą topolę przydrożną —
Tryśnij, kipiące źródło, w pylny śnieg pustyni.

Przybądź, gorący wichrze rozkiełznanych marzeń,
Płomienny boże wszechświat chłonącej miłości —
Zachwycie archaniołów hufcem grzmiący w niebo —
Tęsknoto — Simum z wirów lecący zwrotnika.

Przybywaj! twego przyjścia czekam — swej zagłady,
Stratowania pod hordą śnieżystych rumaków,
Zgrzytu iskier, wydartych skale mego serca —

Smolnych łez mrącej nędzy, palenia się żywcem
Mych żalów zardzewiałych, mej kurnej pieczary —
O Płomieniu! o Śmierci! o Życie!

POKUSA.

Ciągną mnie zła sfinksowe lice —
Ciągnie płomienno-czarna toń —
Jej niezgłębione tajemnice —
Jej świetne, ostre błyskawice
I rudej szerci dzika woń.

Gorący dech demona pali
Mą nagą pierś, mój nagi kark —
Chór potępionych słyszę w dali,
Z chrzęstem drzew suchych, z szczękiem stali —
I drżę… i wtórzę ruchem warg.

Na trzęsawiska ostre trawy

Weszły me nogi czyste — bose —
Przede mną łuny rozświt krwawy —
Za mną szemranie trwóg bezgłose...

I oddalony płacz siklawy.....

Z ODMĘTU.

Od bladych furyj zwierzęcej wściekłości,
Od śmiertelnego skurczu niemych gniewów,
Od słów zatrutych, od pijaństwa złości,
Od samobójczych krwi bratniej rozlewów
Wybaw nas, Ciszo!

Niechaj usłyszą
Szept twoich zdrojów ogłuchłe uszy,
Niech w twoich nurtach zielonych, chłodnych,
Znajdzie kres dzikiej katuszy
Duch potępiony!

W pustynię, w jałową topiel piasku
Przemieniona
Święta puszcza, słoneczna puszcza mojej duszy.
Wicher potrzaskał ramiona
Drzew wiekuistych i ognistych krzewów, —
Wichr — szatan gniewów —
Zmiótł bór święcony jednym oddechem zatrutym —
Zwiał jak obrazu błędnego
Fale...

O ciszo gajów w południowem słońcu!
Ciszo majowych mglistych dni i nocy!
O ciche, modlitewne płomienienie

Róż czerwcowych!
O szmeru pełna ciszo niw zbożowych —
Ciszo strzelistych smug płynących niebem —
O Ciszo, w której tłum umarłych marzy —
Głuche, świąteczne milczenie cmentarzy —
Zstąp na mą duszę!

Pod strasznym, suchym żarem słońca,
Duch mój, pustynia naga,
Mrze z gorąca —
Czarny orkan pędzi na oazy
Całą szerokością widnokręgu
Tumany wściekłych, potępieńczych chuci,
Grzebie źródła żywe i porywa
W odmęt zniszczenia pór łagodnych żniwa.

Na duszę moją — w szaleństwach mrącą pustynię —
Gdy wiosny ptak skrwawiony w kurzu leży —
Niebiosa — grudniowych zmierzchów spuśćcie ciężką Ciszę —
Niech z rdzawopiennych świerków uroczyska
Płacz stratowanych pobojowisk spłynie
W widm tłum szalony
Grozą ostatnich pacierzy —
— Ten spokój może usłyszę.

ŻAL.

Ojcze słoneczny! ty, coś promienisty
Tem, że wszelaką prześwietliłeś nędzę!
Dusz jasny Władco,
Przed którym w świętej niemieję bojaźni —
Ty, co w otchłani przebywasz błękitu,
A mnie z podziemnej wyrwałeś otchłani —

I widzisz we mnie jak w górskim potoku —
I każdą myśl nazywasz, nim się zrodzi
Z mrocznych odmętów —
Ojcze mój! zkąd dzisiaj ten żal tajemniczy
W twojego dziecięcia duszy —
Gdy wsparte na rękach skrzydlatych
W pogodne twe patrzy lice —
Ciche jak słońce, gdy przez wodne mgły odpływa? —

Promienna Głowo!
Gwiazdo rodzinnej przystani
Świecąca fali tułaczej —
Dziwnie tęczową
Rozświetniasz się dziś aureolą.
Tak się otęcza księżyc,
Gdy go przed ziemią tuman przejrzysty osłoni —

Jasny Rodzicu!
Ty, coś mnie świętej Mężnych nauczył bojaźni!
Patrzyłam dzis na słońce —
Dziwnie złociło się mym oczom —
Promienniej jeszcze niż zawsze,
Lecz jakby bledszą, umęczoną twarzą —
Jakby w niebieskiej zasmucone kaźni —
I nędzy wszelkiej łaskawsze — —
Jakby te jasne dokoła promienie
Koroną mu były cierniową —
Uśmiechem w cierniowej koronie
I nieobjętą dla ziemi
Skargą —

I gdym w ten rozzłocony, cichy
Patrzyła żal —
Co w żyły lał mi się mocą i światłem w oczy

I dziwną w serce zadumą —
Ja, nędzarz, ja, robak lichy,
Przed tobą, królewskie słońce,
Drgnęłam żalem — —
Powiedz, mój Ojcze! więc w niebie
Nie kończy się cierpienie? — więc tam — w górze —
Gdzie mi się zjawiasz w chwale,
Jest Nędza — boska, niepojęta Nędza, —
I Ty, mój Ojcze ......

I gdy tak stałam przed słońcem,
Pławiącem się w dziwnym blasku,
Jak w złotej krwi własnej — lub łzach
Niebieskiej kaźni —
Nieznana zdjęła mnie trwoga —
Jakby na płycie grobowca
Znak do mnie przemówił tajemny —
Nieznany przeszył serce, złoty ból —
Mgłą złotą przesłonił się wzrok —
I czoło skrzydlate
Wzniosło się cicho ku tobie
W dziecięcej serca bojaźni — —

I zstąpił na mnie płacz,
Że i to słońce jest grobem —
I zstąpił ból niezmierzony,
Że ból w nim światłością szafarzy —
Że światłość ta jasna, cicha,
Co w ziemię spływa potęgą żywota,
To całopalnych ostatnich ołtarzy
Straszliwy ogień w zenicie —
To boskiej, najwyższej nędzy
W najwyższych ofiar wświecanie się dobę.

Więc padłam twarzą na ziemi twarz
I piersią wryłam się w piersi senne —
By wtopić w jej serce żądzę,
Co we mnie rosła wzdęta morzem żalu —
Żądzę dziecięcych serc,
Miłości świętą płonących bojaźnią, —
By żalem twym zapłakać — Ojcze jasny!
By nędzę twoją cierpieć — Nędzo święta!
By twą niebieską — Słońce! — spłonąć kaźnią — —

DUMA.

Płynie albatros ranny nad morzem,
W czerwieniach zmierzchu, jak czarny krzyż —
Jednem się skrzydłem rwie w gwiezdne głębie,
Drugiem, omdlały, potrąca wodę.

Leci albatros ostatkiem siły,
Z rany się toczy strumieniem krew —
Krwią się zapala niebo i morze —
Przez krwawe ognie gna ptak mdlejący.

Gdzie dłonie, co go z wód groźnych zdolne
Wybawić — wstrzymać płynącą krew —
W sercu mu gniazdo uwić spokoju —
Gdzie takie wielkie serce — i dłonie?

Z skalistych zrębów nocny włóczęga
Patrzy żałośnie w posępną dal,
Kędy ostatkiem sił ptak zraniony
Swe krwawe, ciężkie opuszcza skrzydła.

Nie jemu ranne ptaki brać w dłonie —

Tchem słodkim koić płomienie ran,
W ramionach ostrów mu dać zdrowienia —
Ni w sercu grotę snów, co kołyszą.

On tylko, z ponadżlebnych krawędzi,
Kędy, sam, w głębiach nocy się pnie,
Na mórz skrwawionych głuchą balladę
I na krzyk trwogi rannego ptaka —

On tylko swoją może zadumę
Dać ciężką, głowę zamknąwszy w dłoń —
I jęk, co padnie w otchłań bezdenną,
Która go dzieli od reszty świata —

Od niw radosnych i mórz tych krwawych,
Kędy, mrąc, leci zraniony ptak.

BÓL FATALNY.

Adamie! ojcze w grzechu! grzech twój cierpię!
Grzech i klątwa mnie twa w otchłań ściga!
Darmo duszę swoją chwytam w ręce —
Darmo ją chcę wdusić w trumnę piersi —
Jak drapieżny ptak pierś mi rozrywa
Swych pazurów groźbą i popłochem —
Z rąk mi pierzcha — przez ramiona spływa
Jak olbrzymia, pasorzytna grzywa —
Jak niewyczerpana nigdy łez kaskada —
I bez chwili ciszy pada w bezmiar —
I ostatnie fale z żył mych toczy,
By spadały wiecznie w otchłań szlochem —
I wciąż nowe bije mi do serca —

I zanurza je w tej krwi ofiarnej —
By je wyżąć w szale rąk jak szmatę —
By nie znało chwili odetchnienia —
Jednej chwili ciszy! — Wieczna męka!
Ból tworzenia cierpię — Ojcze w grzechu!
Ah, i nigdy bólu nie wyczerpię!

Konieczności bicz nieubłagany
Gna mnie z trudu w trud, zapału furyą —
Zachwyt jedni płodzi ból rozpadu —
Wnętrzna moc skupienia wnet nazewnątrz
Jak wezbrana lawa się rozprasza —
Duch nie może zawrzeć w sobie cudu —
Wre pod wodospadem płytka czasza —
Pryska skier miliardem w otchłań pustą
I zostawia suche dno mym ustom.

Zachwycone światłem rwą się skrzydła —
Pierś wezbrana dymi żądzą lotu —
Lecę — ziemia kłębem mgły w głąb' znikła —
Złota brama świeci w chmurach nieba.
Ah! i nagłe trzask się rozległ głuchy —
Straszny mrok zawrotu padł na oczy — — —
— To w odwieczne uderzyłam sidła!
To krew bucha z mózgu w spiekłe usta!
Płynie krew z otwartej znowu rany —
Toczy się wieczysta krwi kaskada —
Miecz tworzenia rozdarł świeżą bliznę —
Krew się toczy — w czarną otchłań spada —
Pękła pierś wezbrana — pryska czasza —
Skier miliardem, szydem piekieł dzwoni —
O boleści! klątwo! grzechu! — — Tworzę!

Jak za kulą w morze rwie skazaniec,

Spadam w chaos, w wir, — uderzam w skałę —
Wrywam się jak granat w nią — wybucham —
Piorunowym lotem gardzi niebo —
Między prochy wraca piorun nieba!
Bije w łono ziemi — i wytapia
Kryształ mętny — — ludzkich tworzeń słowo!

Cichą mgłą wymknęłam się odmętom
I do słońca płynę wciąż lotniejsza —
Pod ognistym wzrokiem jego twarzy
W purpurowy płomień rozwichrzona.
— Nagle — jakby między niebios stropem
Gorejącym a dymiącą ziemią
Rozsunięto lodu płynną taflę,
By nie spłonął świat od ognia słońca —
Nagle na mój wzbity dym — na duszy
Mej kadzidło wniebowzięte — spada
Mróz — mgłę ścina w grad — w dół spycha — zwala —
I spadam — spadam — spadam — spadam —
Ja obłok niemy — gradem słów!

Tworzeniem zmiera mi dzień każdy,
W proch lecą szczeble do wieczności —
Słońce gra w niebie — huczy morze —
Gna z wiatrem niwa zbóż pachnąca —
Bezcenne księgi leżą w pyle —
Księga mej duszy — księga świata —
Czas dzień za dniem pożera — spala —
W śmierć toczy się me krótkie życie —
A ja szalona, ja nieszczęsna,
Wyjąc swą wieckuistą raną
Grzęznę w rozpuście twórczej męki —
W otchłani czarnej, złej — wzbronionej —
Wiję się — walczę — błagam — zgrzytam —

Dławię słów węże — słuch zamykam —
Nie chcę! przeklinam! — Sił już nie mam.
— Ah, na to tylko już me siły
Idą, by walczyć z własnym Losem,
Wyczerpać do dna mękę działu,
Której nic nigdy nie wyczerpie!

* * *

Moc niezbadana, sroga, niema,
Drga ciężkim nad mą głową sądem:
„Wszystko dać musisz! — co do włókna
Spłacisz, coś wziął, nim zdjęta klątwa!
Skra wiedzy ci nie będzie dana,
Aż w płomień dawnej nie rozniecisz,
Nie wtłoczysz w ziemię twórczą męką,
Nie wtopisz w słowa ogniem bólu!
Darmo nic! Skrzydłem twem ciężary!
Okupem ciężki, jak ładowny
Wielbłąd, pod górę — o Wiel-błądzie! —
Wspinać się będziesz. — Lot nie dany
Adama synom. — Syzyfową
Pracą nieść będziesz głaz na głazy —
Aż w niebo dźwigniesz Górę Śmierci!
Aż przedrze się przez strefy lodu
Twych całopalnych mąk Golgota,
Kędy się w grad mgła ścina płocha
I ptaka lot uderza w sidła —
Lecz niewzruszone stoją Głazy!
Wtedy zawistne niegdyś chmury
Przed ziemi cię zasłonią okiem —
Otoczą góry pierś — a z szczytu,
Kędy nie sięga ptak ni tuman,
Ognisty zstąpi wóz zachwytu
I duch twój wolny porwie w słońce".

NA ROZDROŻU.

— Gdzie idziesz, naga? — Po płaszcz z gwiaździstych zamieci.
— Sama? — Na wietrze gniją ostatnich zwłok strzępy.
— Zkąd? — W bagnach śmierci kwiat pachnie, tańczy i świeci.
— Głodna-ś. — Wnętrzności wyżarły pożądań sępy.

— Uciekasz? — Gna mnie z przepaści wzrok zimny, tępy.
— Idziesz bez żalu? — Nie płaczą matki twe dzieci.
— Wrócisz? — Księżycem w twej duszy senne ostępy
I błyskawicą wszechzgrozy, gdy pierś twą prześwieci.

— Stań chwilę. — Pali me stopy jesienne ściernisko.
— Wezmę cię w ręce. — Oczy twe syczą jak żmija.
— Pięknaś! — Pięknem jest wszystko ginące — gdy mija.

— Wejdź w dom swój dawny. Rozpalę smolne ognisko. —
— Dymi twoj ogień — i wilczym jękom za blisko.
— Tyś nasza! — Niegdyś. Dziś wolna, sama, niczyja.

* * *

W noc chmurami złowieszczemi ciemną
Leżałam jak zwalony krzyż,
A duchy mocowały się nade mną
O mnie —

Jeden o buławę wsparty stał niezłomnie,
Rozkazując przepotężnem swem milczeniem:
Pojdzie wzwyż.

Drugi szeptał przez obłęd i trwogę,
Wbity we mnie rannych ócz płomieniem —:
Bez ciebie żyć nie mogę —
Czoło zbliż —
Chodź do mnie...

W noc chmurami złowieszczemi ciemną
Leżałam jak zwalony krzyż,
A duchy mocowały się nade mną
O mnie —

LOHENGRIN.

On jest z hartownej stali — z dyamentu.
Ludzka w nim dusza łka — lecz nie wybucha.
On rozkazuje wściekłej wrze odmętu —
Smok pod zwycięską legł mu stopą ducha
I nie ma innej mowy — prócz lamentu.

On cię miłuje, duszo pół-zwierzęca,
Lecz gardzi ócz twych łzawych błyskiem zdrady,

Lecz twój syreni śpiew go w wir nie znęca,
Lecz nie pogrąży lica w uścisk śniady,
Co mu Dalili splotem kark okręca.

Niż uledz skarg twych czarom, o Kochana!
Piekielnym raczej podda cię katuszom.
Miłości Wola mu nad tobą dana.
Więc zbądź złej żądzy, duszo! słodka duszo!
Legnij snem dziecka w piersi swego pana.

PEŁNIA.

Z dnia Przeznaczenia zniknęła kresu konieczność.
Niepokój pierzchł, już nie drży krok mój pośpiechem.
Bezmiar mą drogą i czasem moim jest wieczność,
Jutrznia i zmierzch — rozfalowanych mórz dechem.
Pługiem mym słońce. Noc siecią w Morze gwiaździstą.

Z zegaru doby znikły godziny tułacze.
Pierś każdej mglistą
W kamienny hieroglif znaczę.
Jedna po drugiej mnie wita
Wolnym obrotem
Swej dwulicowej głowy —
Broń dźwiga obosieczną —
Strach nowy i nowe męstwo —
Tchem wieczną rozżarza
Tęsknotę —
Groźbą zgrzyta —
Moc wraża —
Śmierć niesie i z śmiercią zwycięstwo — — —

PRAGNIENIE.

Jak nurek w ciężkim, szklanym swoim dzwonie,
Pragnę iść na dno, tonąć z swym ciężarem.
Szukam otchłani, która mnie pochłonie,
Podmorskich świateł olśniewając czarem.
Jako dojrzałe zeschłych kłosów ziarno,
Dręczone skarbem niemej tajemnicy.
Pragnę się w ziemi pierś pogrążyć czarną,
Ujść oku słońca i ludzkiej źrenicy.
Jak wód rozgrzanych opar w noce letnie,
Tak zniknąć pragnę, oddać się niebiosom,
— Aż mnie ojczysty wiatr na obłok zetnie —
Iskrą powrócę wtedy — tęczą — rosą.
Jak chce szlachetna ruda tyglów waru,
Pragnę się stopić, spalić, zwęglić, zginąć —
Zniszczeć na popiół w orkanie pożaru
— I z prochu skrzydła Feniksa rozwinąć.
Pragnę z pamięci świata tak doszczętnie
Wymrzeć, by z nazwy nic zostało śladu —
By mnie nie poznał nikt po dawnem piętnie,
Gdy ląd pozdrowię z floty mej pokładu.
Chcę uciec, zniknąć, zginąć — jak nurek, ruda, mgła,
[ziarno;
Przeistoczenia szukać w morzu, w ogniu, w chmurach,
[w ziemi,
Przeistoczony wrócić w głusz mego domu cmentarną,
Z twarzy osłupionych czar ustami zdjąć budzącemi———

PROŚBA.

Wiem, że się tutaj na ziemi nie ziści Wielkie Marzenie,
Co w sercu mem tron objęło strąconej w niepamięć Zbrodni.

Wiem, że Twojego Synostwa w swych ludzkich kształtach
[niegodni
Ci, co w płomieniach Gehenny srom ich gwałcili szalenie.

—

Wiem, że ta Jutrznia spóźniona, co noc mą czarną w różany
Zachwyt owieńcza, nie wejdzie słonecznie w tęskny dom nędzy;
Że przed Południem odejdę, wydana śmierci, pomiędzy
Tlum niespełnionych Powrotów, milczącym wichrem w dal
[gnany.

—

Ojcowski niegdyś lęk wieszczy, od Jutra żądając znaku,
Znalazł nad głową dziecięcia ten w Księdze wyrok złowrogi:
„Zliczyli wszystkie me kości, — przebili ręce i nogi“. —
Przedwieczność wplotła me imię do całopaleń orszaku.

—

O śnieżno-błękitnych zmierzchach, w mrocznej splątanych
[drzew gęstwie,
Zadumą wyroczną błądzi duch mej ostatniej godziny.
Od wielkich skrzydeł po ziemi wlecze się cieniem Krzyż siny —
Krzyż w niemy głos się rozdzwania o dobrowolnem mę-
[czeństwie.

—

Zapóżno ocknął się martwy, by niósł przed ludem Pochodnię,
Pęknięty filar nie wrośnie w strop Nawy kwietną głowicą.
Więc w dniu trzebiącej siekiery — daj, Panie! hart bladym
[licom,
Niegodny Chwały syn ziemi niech śmierci cios przyjmie godnie.

Marya Komornicka.



EX-LIBRIS, autolitografia czterobarwna
A. PROCAJŁOWICZA.

Zródła i ujścia nietzscheanizmu [1]).

I.

W czasach, gdy możliwie szybkie wykształcenie ku możliwie rychłej sprawności zarobkowej wyklucza nieomal zupełnie wszelką kulturę,—„gdy ta najlotniejsza i najbardziej eteryczna bogini stała się dziewką i dójką zarobku... gdy wszystkie po za granicę pożytkową wybiegające dążenia popadają coraz to wyraźniej w lekceważenie i pogardę... gdy heroldzi oświaty ludowej, widziani zbliska, okazują się fanatycznymi wrogami prawdziwego ukształcenia,“ — w czasach takich pytanie wartości naszej kultury, oraz jej wskaźników na przyszłość, narzuca się z nieodpartą siłą. Podział pracy do-

---

1) Zamiast wstępu do polskiej edycyi pism Fr. Nietzschego. (Wydanie J. Mortkowicza. Patrz prospekt dołączony).

prowadza powyższego ducha kultury do dalszych konsekwencyj, podział pracy tyranizujący nawet uczonych, którzy po za ciasnym zaprzysięgłym zakresem swej fachowości staczają się w rzeczach ogólnych i najogólniejszych coraz bardziej na intelektualny poziom trywialnej pospolitości.

„Wszystkie pytania najogólniejszej i najpoważniejszej natury, wszystkie miary, wagi i wskaźniki życia, wszelka łączność między pojedyńczemi wysiłkami ludzkiemi, wszystko, co z chaosu tworzy kształt życia, stało się niepodzielnem władaniem dziennikarza.“ — Ogarniając bądź co bądź szersze widnokręgi życia, myśli on za innych, on kształci, wychowywa, on kieruje nawą, doprowadzając ducha współczesnej oświaty do jego ostatecznych granic i konsekwencyj.

Za sprawą tego ducha „rozlegają się miasta wrzaskiem uczonego motłochu,“ „zaludniają się pokoje i sale pretendentami do nauki, rozumu i dowcipu, na których wspomnienie drży rozsądek, a które raczej lazaretami moralnemi nazwaćby należało.“ — Że nie są to twory wyłącznie obcego życia i wczorajszego poczęcia, świadczą bodaj powyższe słowa Jędrzeja Śniadeckiego. Różnica jest tylko ta, że wówczas były to wytwory nowe i naprzykrzające się zaledwie rozsądkowi, zaledwie pierwsze plewy w plonach Komisyi Oświecenia; dziś zaś stanowią one atmosferę, w ktorej żyć i działać wypada, są nieunikniona, a tyranizującą instancyą wszechwładnej *chwili,* są żarnami, w których najsiewniejsze nawet ziarna rozpylają się na chudą strawę codziennie nowej ciekawości.

Tkwiąc w tej atmosferze sądów kapryśnych i fałszywych, sądów dusznych, bo nie wychodzących najczęściej po za granice ludzkiej próżności, interesów i potrzeb, — zniewolone życiem do nieustannych na rzecz ich ustępstw, połowicznych zgodności i kompromisów, — nikczemnieją

największe nawet zdolności, mając pozornie do wyboru już tylko uparte wyjaławianie się w gorzkiej melancholii, w cierpkiem i bezcelowem (bo nieochoczem) odosobnieniu.

„A niemasz nic żałośniejszego, nad ludzi, którzy zminęli się ze swym geniuszem.“ Zezujący na prawo i na lewo, zazdroszczący każdemu jego każdości, bakałarzujący jak te dawne dziady po wszystkich gościńcach, czyhający z zawziętą radością na wszystko chybione, upokorzeni do głębi wszystkiem, co udane, — ludzie ci żyją już tylko negatywnie uświadamianiem sobie szkód, jakie inni przynoszą. To jest karmem i miodem ich ducha, kołowrotem dla ich myśli. Obmierzłem staje się wreszcie obcowanie z temi ludźmi, których niepospolita nieraz inteligencya odzyskuje całą swą żywość, nagłość i prężność wobec rzeczy ujemnych, a staje się kapryśną, gnuśną, zdechłą wobec dzieł i czynów dodatnich.

Gdzie się atmosfera tem tchnieniem bakałarstwa zagęści, tam każde ochocze poczynanie grzęźnie jak ta siekiera z przysłowia. A biada temu, kto prócz ochoczości ma jeszcze i cierpliwość do stracenia. Gdyż owo niebezpieczeństwo życia wyłącznie negatywnego — smutno i wstrętnie uświadomić to sobie — grozi właśnie najlepszym, najofiarniejszym: stracił cierpliwość i zaczyna walczyć; w rezultacie tylko sam przejmie zarazę. Bo tajemnica tej zarazy psychicznej tkwi we wrogościach drobnych, jest jadowitym wawrzynem małego zwycięztwa.

Im rzetelniejsze i głębsze zadatki, tem rozpaczliwiej szamotać się muszą w tej pajęczynie zapleśniałych kątów; im szlachetniejsze płonki, tem rychlej więdną w tem zatęchłem powietrzu.—„Bądź sobą!“ — te najprostsze słowa nie dochodzą do nich nigdy, słyszą natomiast nieustanne: „bądź czemś dla kogoś lub czegoś.“ Gną się tedy, naginają i łamią do obowiązku. Łamią się najtragiczniej, bo

w ten obowiązek przez pół już tylko wierzą, natomiast sobą jako bierną ofiarą gardzą całkowicie i rzetelnie.

„Kim jesteś? coś najbardziej ukochał? co twą duszę pociąga, opanowywa i uszczęśliwia najbardziej?“ — kto z młodych i gdzie takie pytania dziś słyszy. A każdy z nich czuje tłumionym instynktem życia, że naokoło nagromadziło się mnóstwo gruzu z rzeczy, które niegdyś żyły, a dziś w imię troskliwej obłudy nieuprzątane wytworzyły mur graniczny między duchem i wolą, książką i życiem, każdą ideą a jej czynnem ujawnieniem.

Ów mur, wyłącznie zarobkowy duch dzisiejszego wykształcenia, działalność tłumiąca bakałarza i kierownicza dziennikarza: oto czynniki wychowawcze młodego pokolenia.

Bluszczowe to i kobiece natury ci wszyscy, którzy po to tylko żyją, aby poczynali i rodzili, i tem zawczasu przyziemnie karleją, że nie znajdują w otoczeniu oparcia, i tem też więdną przedwcześnie, że, gdy jeszcze samodzielnie żyć nie zaczęli, już wszystko naokół wyjaławiać ich się stara.

I oto znajdzie się ktoś, co wątłością pierwszych poczynań i szamotania się młodzieńczego nie pogardzi jak otoczenie, nie zlekceważy ich jak bakałarz, lecz ujrzy w tem najlepszych zadatków wyraz bezsilny. Nie człowiek to może (i lepiej, że nie człowiek!), lecz książki duch, w najlepsze wnętrza zapatrzone najszlachetniejsze oko, oko rozumne, co z ośmieszanego entuzyazmu rozgrzesza, oko płomienne, co samo ten entuzyazm nieci, duch szczodry, co wir poczynań w tobie budzi i to nagłe prężenie się sił, których istnienie w sobie witasz zdumieniem i łzami wdzięczności za życie.

„W tem łgnieniu serdecznem do najrzadszych, najcenniejszych okazów człowieczeństwa,“ — powiada Nietzsche, — „w tej miłości początkowo bodajby służebnej zyskuje dusza jasne, pogardliwe wejrzenie na siebie, lecz

zarazem pragnienie wyjścia po za siebie, ku gdzieś ukrytej wyższej jaśni, i żądzę dotarcia do niej skupieniem wszystkich sił.“ A jest to pierwsze święcenie kultury. Oraz czyn *twórczego wychowawcy*.

Pierwszym duchowym czynem Nietzschego było odczucie potrzeby takiego wychowawcy, odczucie tak intensywne, że ono nakreśliło linie dalszego jego rozwoju, uświęciło to życie celem. A wówczas człowiek zwykł się oddawać na służbę i ofiarę swemu dziełu, a pustelnictwo jest takiego życia koniecznością. W języku najniepoprawniejszych marzycieli dzisiejszych zwie się taka egzystencya nieobecna — życiem w treść najbogatszem.

Pisma z tej epoki stoją pod wpływem Schopenhauera i pod znakiem uwielbienia dla Wagnera. Nie należy wszakże zapominać, że i filozofia Schopenhauera i sztuka Wagnera miały dlań przedewszystkiem znaczenie kulturalnej dźwigni: pierwsza jako najgenialniejszy może wyraz niemieckiego ducha, do którego zwracały się podówczas wszystkie lepsze umysły; druga przez potęgę muzycznego wyrazu, przez powinowactwo z grecką tragedyą, przez sięgnięcie do najczystszych źródeł poezyi niemieckich sag i celtyckich legend, wreszcie przez olbrzymią, dotychczas bezprzykładną koncepcyę sztuki. Entuzyazm był pierwszą odpowiedzią młodego wychowańca w lgnieniu serdecznem do tych dwóch geniuszów wieku. Jądro metafizyki Schopenhauerowskiej (aby pominąć sprawę Wagnera) pozostawało na uboczu. Wszakże, gdy ten problem kultury się rozszerzył, gdy objął zagadnienia moralności, genezę i teoryę morału, gdy przybył, przemijający zresztą, wpływ psychologów angielskich i angielskiego pozytywizmu, — upadł wraz z uwielbieniem dla metafizyki i sztuki entuzyazm dla Schopenhauera i Wagnera. Głębszym i dalej sięgającym był wpływ moralistów fran-

cuzkich i wogóle zapoznanie się z pisarzami francuzkimi 17 i 18 wieku.

Mimo wszystko, o uleganiu obcym wpływom może być właściwie wtedy tylko mowa, gdy one odwodzą w przeciwną stronę, gdy w dalszych dziełach gubi się wytycznia pierwszych. Kto kapryśnie chwytać będzie tomy Nietzschego, ten może odnieść wrażenie ustawicznego zwalczania się najróżnorodniejszych wpływów; kto je zechce czytać kolejno, rozumiejąc, że ma do czynienia z dziełem życia, z dziełem dojrzewającem, ten skłonniejszy będzie szukać podziemnych prądów tych myśli, które, cudzemi wpływami pozornie tłumione, dojrzewały stale, i jasny, twardy swój wyraz znajdują w tomach ostatnich.

Inne „sprzeczności“ wynikają ze zgoła odmiennych powodów i tkwią w, tak niesłusznie zwanej, aforystycznej formie pisania; są one często przez pół zamierzone, a nieraz nawet i konieczne. Wszak mowa tu o rzeczy tak ruchliwej, że chwilami wprost nieuchwytnej, tak proteuszowej, że już odmiennej, zanim ją pojęcie ogarnęło, a słowo nazwało; wszak mowa tu o przejawach duszy ludzkiej.

Środki ku oddaniu tej ruchliwości w sprzecznościach posiada artysta plastyk dzięki narzędziom obrazu, symbolu, życia. Cóż ma czynić operujący pojęciami analityk, zwłaszcza gdy jest „wirtuozem w pytajnikach,“ gdy upodobał sobie „skoki i uskoki“? Czy nie spróbuje np., wzorem artysty, krótkim, bocznym błyskiem światła, sugestyonować nam przedmiotu w kształtach i perspektywie niezwykłej, monstrualnej, na to tylko, aby tem zadraśnięciem wyobraźni uczynić myśl czujniejszą na szczegół, o który chodzi? Czy nie ulegnie złośliwej pokusie: rzec, aby wnet potem zaprzeczyć, — by tą zagadką niespodzianego paradoksu, tym pytajnikiem zawieszonym w powietrzu, nie rzucić w nas niespokojnego zarzewia stu innych pytań zamiast udzielenia jednej odpowiedzi, — bo takie py-

tania mówią nieraz więcej, wiodą dalej, bo nowe pytania i nowa zagadka mają dla badacza więcej uroku niźli uświadamiająca się już odpowiedź, bo w szczęśliwej chwili prześcigają mu się one. Zaś w tych wędrówkach po labiryntach duszy ludzkiej, rodzący się niepokój nowych wątpliwości, jawiący się jakby na żywo, w oczach czytelnika, budzi w nim żywy współudział myśli, zaostrza pobudliwość psychologiczną ku dalszym, bardziej subtelnym zagadnieniom.

Taki pisarz—myśli cudzych na pasku nie wodzi, czytelników chce mieć takich, co myśl wszczętą sami domyślą do końca, pragnie, by jego międzywiersze były dla nich nutami do myślenia, a jego „skoki i uskoki“ — nowej myśli krzyżowym błyskiem, nieomal wezwaniem do sprzeciwienia się jemu.

Te świetności giętkiego stylu stoją nieraz na pograniczu muzycznem: to są prawdziwie nuty wymagające nietylko muzykalnego ucha, wprawnych oczu, lecz i giętkości nieomal fizycznej.

Nic tak nie obrażało niedawnemi jeszcze czasy niemieckich profesorów jak świetny styl w książce niemieckiej, — nic też większej nie wzbudza nieufności u ich przykładnych i pilnych uczniów ze wschodu. Nie był to czynnik błahy w tak długiem i upartem ignorowaniu Nietzschego przez pewne sfery.

Pisano tedy obficie o filozoficznym i psychologicznym dyletantyzmie wiecznego podróżnika; w ostatnich czasach dopiero zaniechano epitetów dla rozejrzenia się w bogatej puściźnie po dyletancie, który gotów stać się fatalnością dla ludzi fachu. Jeśli idzie o dyletantyzm, to niemniej prawdopodobnie mieli prawo do nazwy tej Montaigne, La Bruyère, La Rochefoucauld, Chamfort, ci najwięksi po dziś dzień mistrze i analitycy duszy nowożytnej. — Czy Nietzsche był filozofem w znaczeniu podręcz-

ników? Nie był nim (krańcowo zresztą odmienny) Rousseau, nie był nim (podobniejszy) Voltaire, nie byli nimi w ścisłem znaczeniu i encyklopedyści: zgoła ci wszyscy, pod których panowaniem bywał w nowszych czasach duch ludzki.

Styl Nietzschego, o tak szerokiej skali, staje się wówczas najbardziej giętkiem narzędziem, najpotężniejszym środkiem sugestyi, gdy o duszy współczesnej mowa.

Rzuca wtedy najśmielsze linie konturów, rzeźbi najjędrniejsze bryły, nakłada najgorętsze barwy obrazów i przenośni, porywa myśl w najodleglejsze dale najzłudniejszemi mirażami symbolu, rozdziera najgnuśniejsze chmury apatyi błyskawicami gniewu, płomieniem nienawiści roznieca wszystkie namiętności, niewoli wszystkie uczucia „wnętrznym żarem tonu,“ płoszy je zimnemi błyskami analizy, ujarzmia wreszcie człowieka nagłem, niespodzianem cięciem w głąb', aż do najskrytszego uczuć nerwu.

Tego przedziwnego narzędzia słowa stał się Nietzsche mistrzem pierwszorzędnym.

Owe zaś przejawy ludzkiej duszy, które tem narzędziem analizuje, są nieraz zbyt migotliwe, zbyt tęczowe, zbyt skłócone, gwarne i wirowe, aby mogły być czem innem ważkie prócz tego jądra *arcyludzkiego*, jakie ukryć się starają, — prócz istotnych „wartości życia,“ prócz probierzy ideałów, jakiemi człowiek opanował dzisiejsze formy życia.

O życiu tu mowa: o jego ruchliwej powierzchni, o skrętnych pozorach obłudy, o omamach ideału i morału, wiodących w najciemniejsze labirynty duszy ludzkiej.

Może te napomknienia tłómaczą się już same. Oto mistrz słowa, genialny analityk, niewyczerpany wizyoner obrazów i symbolów, dla którego najbardziej pociągającą zagadką jest życie współczesne i dzisiejsza dusza ludzka: —

taki pisarz nie jestże przedewszystkiem z krwi i instynktów — poetą?

I oto istotna sprzeczność w Nietzschem i skłócenie ducha sięgające korzeniami w głąb' natury wszechludzkiej: ta wieczna rozterka płomiennych uczuć z chłodem myśli; marzycielskiej, tanecznej wyobraźni z surowym spokojem ścisłego wnioskowania; udręki poety, co się za szaleńca jeno ma, za widmo tęczowe, za wygnańca z dziedzin prawdy, z intuicyjnem wyczuciem najgłębszych tajników życia, paraliżowanem nieufnością myśliciela do wyczuć i intuicyj.

A ta rozterka potęguje się w duszy twórczej do wróżdy potęg, do nieustannej walki światła z cieniem, miłości z prawdą, dnia z nocą, Ormuzda z Arymanem: do kosmicznych wprost mocy wszelkiej genezy! Lecz takim bywa pono zawsze pierwszy dzień tworzenia.

Są natury nadmiarem właśnie i bujnością idei tak fatalne, że dzień każdy jest dla nich tworzenia dniem pierwszym, że każdy ma coś z chaosu dnia pierwszego. Kilka stopni niżej, woli nieco mniej, a chaos ów tłumi moc twórczych owładnień, i zewnętrzna martwota jest wyrazem wewnętrznej bujności. O wiele stopni wyżej, woli o wiele więcej, a i w następne dnie przeniknie owa waśń wewnętrzna, to nieustanne ścieranie się potęg, przewyższające nieraz siły ludzkie, a wraz z niemi jakiś groźny okłęb, zachmurzający ów dzień siódmy, w którym twórca na dzieło swe spogląda, aby rzec: „dobre jest!“ To jasne południe dnia siódmego, wymarzone święto świąt, zamroczyła Nietzschemu ciężka chmura obłędnej melancholii (w której konało odporne ciało w przeciągu lat jeszcze dziewięciu).

Za myśliciela i człowieka doznał takiego południa — poeta, w cudownej jego wizyi — dla Zaratustry.

Indywidualne w nim samym ustosunkowanie tych dwóch wrogich mocy, lub może brak trzeciej potęgi: harmonii (jak u Goethego), któraby nad tamtemi dwiema zapanować zdołała, — wykreślają tymczasem Nietzschego z rzędu tych, których pospolicie zwie świat wielkiemi filozofami, a zarazem nie zmumifikowały go jeszcze w podręcznikach jako wielkiego poetę.

Rozterka ta, wiodąc nieubłaganego analityka do nihilizmu zasady: „nic nie jest prawdziwem, wszystko jest dozwolonem," — burzy moraliście z krwi aryańskiej i z tradycyi trzech pokoleń pastorskich wszystkie imperatywy, ratując go zasadą wychowawcy: „pereat veritas, fiat vita!" Zaś tę koncepcyę wszechwładnego i tryumfującego życia wieńczy wróg metafizyki — metafizyczną ideą wrotu rzeczy wszelkich, a wróg poezyi — koronuje dzieło swego życia wspaniałym poematem: „Zaratustra."

Jeśli wolno zestawiać filozofa i poetę koncypującego pewien ideał człowieka—z najwszechstronniejszym geniuszem, który przed wiekiem sam w sobie ten ideał ucieleśniał; wyzwalającego się z pod jarzma demokracyi „dekadenta" — z przespokojnym wytworem arystokratycznej kultury; jeśli wolno zestawić Nietzschego z Goethem, — uderza przedewszystkiem daleko mniejsza uniwersalność pierwszego. Wspomnijmy tylko brak zainteresowań i zmysłu do nauk przyrodniczych, oraz względną obojętność w stosunku do sztuk plastycznych. Obie dziedziny ogarniał geniusz Goethego całkowicie, obie wiódł na nowe tory, wyprzedzając rozwój pierwszej o pół wieku co najmniej.

W stosunku do życia: tu pustelnictwo ze wstrętu do wszystkich współczesnych jego objawów, podkopujące wszystkie ostoje życia przeciętnego; tam tkwienie w po. środku życiowej realności, bez istotnych zamierzeń burze-

nia jakichkolwiek ostoi, z duchem zawsze ponad życiową realnością, lecz z otwartemi zmysłami ku wszechstronnemu doznawaniu życia swą całkowitą pełnią człowieczą.

Epitet „spóźnionego romantyka,“ jakim obdarzano Nietzschego, jest nawet jako epitet całkowicie chybionym. Jeśli słowo „klasyczny“ nie ma być formułką z podręczników, patyną nudy nakładaną przez profesorów na pewne dzieła i postacie, jeśli ma ono pewną treść kulturalną i sens historyczny, — wówczas świadomie klasyczniejszym (a te dwa pojęcia należą do siebie nieodłącznie) był Nietzsche. Był nim nietylko dla lepszej wiedzy dzisiejszej, która wykazała całą papierowość Winkelmannowskiego hellenizmu; nietylko dla zmysłu i geniuszu historycznego, będących zdobyczą niemiecką ostatniego wieku; lecz dla wrodzonych skłonności umysłu, który w okultystycznych mrokach pracowni alchemicznej, w grozie nocy walpurgisowej, wśród spiętrzonych alegoryj i zawiłej symboliki drugiej części Fausta, czuł się bądź co bądź obco, a natomiast u siebie — równie dobrze w świecie helleńskim, jak i wśród pisarzy francuzkich 17 i 18 wieku. Niedarmo zarzucał Nietzsche Goethemu i jego czasom, że, idąc coraz bardziej śladem urojonego hellenizmu Winkelmanna, odwracano się równocześnie od wzorów francuzkich, jak gdyby *najistotniejszych* rzeczy nie można się było równie tu jak i tam nauczyć. Klasyczniejszym podobnież był Nietzsche i w swej prozie (z wyjątkiem Zaratustry i może pism z ostatnich dwóch lat).

Ogarniał też Nietzsche szerzej widnoręgi dawnych czasów i kultur, kierowany przytem rzadkim zmysłem historycznym; jako mistrz duszy ludzkiej, patrzał bez wątpienia jednostronniej; jako psycholog wszakże i analityk docierał bezlitośniej do spodów i podspodów uczuć; jako poeta wreszcie, kto wie, czy w Emersonowskiej hierarchii

nie był mniej pisarzem, t. j., podlegał bardziej podszeptom niespodzianej intuicyi, nakazom natchnienia.

Ostatnie słowa mogą wzbudzać nieufność. Lecz oto co pisze N. w autobiograficznych notatkach z roku 1888 o powstaniu Zaratustry:

— Czy ktokolwiek w końcu dziewiętnastego wieku może mieć dokładne pojęcie o tem, co poeci krzepkich czasów zwali natchnieniem? Jeśli nie, gotów jestem opisać je. Przy najmniejszej pozostałości przesądów w duszy, byłoby wprost nie do ominięcia przypuszczenie, że jest się jedynie inkarnacyą, głosem, medium nadprzyrodzonych potęg. Pojęcie objawienia, w tem znaczeniu, że nagle z niesłychaną pewnością i subtelnością staje się widocznem i słyszalnem coś, co człowieka do głębi wstrząsa i zmaga, — pojęcie to określa poprostu rzeczywistość. Słyszy się wówczas — nie szuka się bynajmniej; bierze się — nie pytając, zkąd i kto daje; jako błyskawica olśniewa każda myśl, niechybnie konieczna, w formie niepodlegającej najmniejszym wahaniom, — ja nigdy nie miałem wyboru... Wszystko dzieje się w wysokim stopniu niewolnie, jakby w nawałnicy poczucia swobody. niezależności, potęgi, boskości. Niewolność obrazu i porównania jest może rzeczą najbardziej zdumiewającą: nie ma się wówczas pojęcia, co to jest obraz, co porównanie, — wszystko jawi się jako rzecz najbliższa, najsłuszniejsza, jako wyraz jedynie prawdziwy... Zachwycenie, którego niesłychane napięcie wyzwala się niejednokrotnie wytryskiem łez... Niesłychanie czujna świadomość nieskończonej ilości subtelnych wstrząsów i dreszczy aż po palce stóp. Taka głębia szczęścia, iż rzeczy najboleśniejsze i najbardziej ponure odczuwa się nie jako przeciwieństwo, lecz jedynie jako rzecz zależną, wywołaną, jako niezbędną barwę w tym nadmiarze światła... Oto *moje* doznanie natchnienia; nie wątpię, że o lat tysiące cofnąć się trzeba, aby znaleść kogoś, ktoby rzec mógł: „takiem jest też i moje!“ — —

Jakże odmienne odnosi się wrażenie z „Rozmów“ Eckermanna, jakże inaczej brzmi np. wyznanie Goethego, że cudze myśli i pomysły nosił w sobie tak długo, póty przeinaczał je w sobie, póty dojrzewać im w sobie pozwalał, póki wszystko cudze nie opadło niby skorupa z wytworzonego tymczasem własnego ziarna.

Może te zestawienia zdołają podsunąć myśl o *konieczności* pewnych kontrastów, mających swe źródło nietylko w charakterze umysłów, w randze dostojeństw duchowych i w kierunku dążeń?

Może te kontrasty mają swe potężniejsze i bardziej decydujące odpowiedniki w charakterze czasów i życia? Może między owym najbardziej dostałym owocem wielkiego drzewa jednolitej kultury, którego pień podcinano właśnie w owych czasach po tamtej stronie Renu,—a między tym wytworem kosmopolitycznej, przeciążonej historyzmem, demokratycznej kultury, takie różnice i kontrasty są konieczne, i w charakterze czasów i życia głębiej uzasadnione niźli w założeniach ducha? Może w obu najgłębsze sprężyny były jednakowe, — żądza pełni człowieczeństwa, żądza ujawnienia wszystkich bogactw natury ludzkiej, prężności wszystkich sił: ta zawsze jednakowa wola geniuszu?

Może między tamtem ostatniem dokonaniem a tą tęsknotą zaledwie toczy się rzeczywiście pierścień wrotu rzeczy wszelkich, a więc i wrotu człowieka pełnego, który ongi w życiu tkwił, nad nim wolą i duchem panował, zwał się chociażby Goethem czy Napoleonem, a dziś w połowie tej drogi, w pustelni Sils Maria, o życiu marzyć tylko potrafi, zwąc *samego siebie* Zaratustrą i nadczłowiekiem?

Czerpiąc z jednolitej i zwartej kultury, otrzymał Goethe w darze i jej harmonię. Życie takich ludzi, wyniesione podówczas wysoko ponad tłumną przeciętność, wykluczało istotne starcia instynktów i upodobań, rzetelności czucia i myślenia z cieśnią i obłudą życia niższego. Te fale rozbijały się gdzieś pod nim: mógł na nie patrzeć spokojnemi oczyma epika. Granice własnemu życiu i doznaniu zakreślała wola i ciekawość intelektu. Drzewo jednolitej i wyłącznej kultury, nieprzeciążone historyzmem, nie-

poobwieszane sztucznie obcemi owocami, nieposzczepione w gałęzie wyrosłe na innych pniach, rzucało mu pod nogi nieomal ostatnie najbardziej dostałe owoce zagadnień i odpowiedzi. Stanął jak posąg na granicy wieków i kultur, posąg tak olbrzymi, że do dziś dnia najbardziej widoczny (z germańskiej przynajmniej perspektywy!), a swą zwartą potęgą tak pociągający, że nic dziwnego, iż w chaosie czasów dzisiejszych, po wszystkich ślepych i błędnych drogach, nawołują się tam wszyscy zbłąkani zgodnem hasłem: „Zurück zu Goethe!“ On zda się im najpewniejszą ostoją; od stóp tego posągu, sądzą, wiedzie najpewniejsza droga w przyszłość.

Taką modę na pisarza i poetę stworzyć może w dzisiejszych czasach zręcznie w obieg puszczona doktryna literacka; rzetelną wszakże siłą przyciągającą poprzez wieki mieć będzie nie pisarz choćby najgłębszy, nie poeta bodajby najszczytniejszy, lecz ta siła, co ich obu stwarza: potęga wielkiej indywidualności, która i według Goethego jest najpiękniejszym z wymarzonych darów życia.

Jest ona czasu chaosu w wierzeniach, ideałach, probierzach i wartościach życia, najpewniejszem światłem, do którego garną się ludzie. Gdy się ta tęsknota zrodzi w sferze uczuć i potrzeby wiary, zwać się będzie Buddą, Chrystusem, św. Franciszkiem... Gdy się w sferze intelektu i jego potrzeb pocznie, gdy się ocknie w dusznych komorach zubożałego życia, pośród skarlałych w automatyzmie dusz, — wówczas oglądać się będzie za wyobrazicielem największej bujności człowieczej, ujarzmiającym życie wolą i własnym celem: twórczo i płodnie, — za najbardziej szczodrem bogactwem ducha i życia, największą prężnością wszystkich sił drzemiących w człowieku.

Gdy ta tęsknota, nie wyzbywszy się całkowicie pierwiastków wiary, zechce mieć koniecznie namacalne bożyszcze, domaca się wreszcie w przeszłości posągu, pod

którego stopy zechce cofnąć teraźniejszość k' woli przyszłości. Gdy się wyżej wzbije, w sfery ideału sięgnie, wytworzy może zlepek cnót rycerza i maga, twór bezcielesny bez podstawy na ziemi, lecz jako tęsknota tembardziej fascynujący, wytworzy ideał mędrca, twórcy i bohatera zarazem. Tej tęsknoty ideał ochrzcił Nietzsche mianem nadczłowieka.

Słowo brzydkie! Dla polskich uszu jest ono zlepkiem sztucznym; dla niemieckich nawet ma coś z ociężałości i przypadkowości terminu. Dla czytelników gazet jest ono naprzykrzeniem: wężem morskim, którego można znieść już chyba tylko w chwilach kanikuły i to w bardzo nowej i bardzo zabawnej anegdocie. Nadaje się ku temu doskonale przystawka „nad." Reporterscy pajace poczęli ją też przyczepiać wszędzie, a przedewszystkiem jako hałaśliwy pęcherz do własnego ogona. Dzięki im slowo to poznali nawet wszyscy głusi,—co więcej: wie o niem coś nie coś i polska prowincya.

Dla wybrednych uszu jest w niem tyle dziś wyszargania, że można na nie reagować dreszczem obrzydzenia. Wszakże przeciwko tym zarazkom wstrętu należy się dziś przedewszystkiem imunizować. Gdy wszystkie imiona i symbole skaczą dziś, brzęczą i kołaczą w kupletach, należy umieć podnosić perły ze śmietnika, a książki z nad rynsztoka, znajdując w nich nowe dla siebie piękno i nową dla siebie treść. Mamy wszak w Niemczech pensyonaty „pod Nirwaną," w Londynie szynki „pod Epikurem." Maluczko a ujrzymy bardzo już podejrzane domy „pod Platonem," arcy efektowne tyngle „pod św. Antonim," wreszcie, jeśli marzyć wolno, redakcye dzienników (jako szczyt kompromisowości): pod - nad - czlowiekiem.

Nomina sunt, dziś naprawdę, odiosissima.

Już oficyalny chrzest tego ideału, wiodącego nieświadomy i bezimienny żywot we krwi wszystkich ludzi wielkiego czynu, w instynktach wszystkich wielkich poetów, świadczy, jak bardzo oddalił się on od instynktu w dalekie sfery dyalektyki, jak bardzo świadomym, wyrozumowanym, intelektualnym stał się ten ideał — życia!

I tak oto w tem jednem słowie tkwić może klucz do bolesnych sprzeczności i skłócenia ducha. Życie, które odmładzać się może zawsze tylko u źródeł instynktu i woli, wobec tak uświadomionego, intelektualnego ideału stwierdza przedewszystkiem, że te źródła wysychać już poczynają. Ideał zwracający się wyłącznie do intelektu jest nieomal ostatniem słowem krytycyzmu i negacyi, pium desiderium intelektualizmu, który do naiwnych bodźców instynktu już nie powróci. Nadczłowiek za dużo wie i myśli o sobie jak na nadczłowieka, Zaratustra gotów się stać wiecznym zwiastunem samego siebie i tego progu nadziei nigdy nie przekroczyć.

Uczniowie zaś Zaratustry, „zapisani od góry do dołu znakami przeszłości, z których wołają natrętnie wszystkie czasy i ludy, wszystkie obyczaje i wiary... są jak malowane obrazy wszystkiego, w co kiedykolwiek wierzono.“ Jakżeby tacy ludzie wierzyć mogli? Wierzyć przedewszystkiem w instynkt, w siebie? Jakżeby tacy ludzie mogli znieść określone horyzonty, które są nieodzowną koniecznością duchowej płodności? Napoły zmurszałe pnie, poszczepione w gałęzie najrozmaitszego pochodzenia, wydają owoce barwne, egzotyczne; lada podmuch wiatru wszakże strząsa je z gałęzi jako niewczesne, nieźrzałe, cierpkie i gorzkie owoce zawodu, rzuca je im pod nogi jako wyzywające pytajniki: „czemże ty jesteś? kim ty jesteś?“ Zachłanna pamięć i znużony duch ma jedną już tylko odpowiedź: „Wszystko już było!“

„Jest pewien stopień bezsenności i przeżuwania w historyzmie, przy którym wszystko żywe staje się coraz bardziej wątłem i zanika wreszcie: dotyczy to zarówno człowieka jak i narodu oraz całej jego kultury.“ — Tak bardzo uświadamiał sobie Nietzsche niebezpieczeństwo historyzmu w samem zaraniu twórczości.

Z drugiej wszakże strony, ułatwienie dostępu do na-

gromadzonych skarbów ludzkiego ducha, czerpanie z nich pełnemi dłońmi jest istotnym przywilejem współczesnego człowieka, jest więcej niż nałogiem zachłannej ciekawości, bo prawdziwym głodem dzisiejszego ducha, a w potrzebie ciągłej rozszerzalności swego ja, kto wie, czy nie największą jego rzetelnością. Ta potrzeba, przekraczająca nieraz fatalnie twórczą moc owładnień, jest wprost piętnem i znamieniem wszystkiego, co dziś głębiej myśli i czuje.

Czy to jest dobrze czy źle, najłatwiej roztrzygną oczywiście ci, co najmniej myślą i czują. Faktem jest, że tak być musi! Drugim faktem jest to, że taki stan umysłów i dusz czyni częstokroć tylko widzem życia, widzem czujnym i subtelnym, naprzykrzającym się scenie życia ciągłemi pytaniami, — że stan ten zwęża zakres osobistego życia i doznania; instynktów i woli (impulsów nieświadomych, a więc i twórczych) nie wzbogaca. Owo „pan-" zda się być wrogiem Pana.

„Czem to tłómaczyć," pyta jeden z najsubtelniejszych pytających widzów dzisiejszego życia, — „czem to tłómaczyć, że właśnie ci ludzie o najbardziej rozwiniętej duchowości, którzy dziś jedynie na miano indywiduów zasługują, odczuwają swe istnienie jako niedolę, aczkolwiek, jako synom bogatej kultury, najszlachetniejsze owoce życia padają im bez mozołu w ramiona? Czemu nawet artyści i poeci, którzy przecież jako twórcy doznają najwyższej rozkoszy, stają się głosicielami tego złego poczucia się, jakie ogarnia rozkapryszonego syna współczesnej kultury, ilekroć przypomni sobie ułudne szczęście minionych czasów?.. Czemu nam wszystkim bez wyjątku ten nasz rozwój przynosi cierpienie? Czemu już tylko tak bardzo nieliczni zdołają wziąć na barki dziedzictwo przeszłości i nieść je ze szlachetną godnością, nie tracąc przytem nic ze swobody ruchów, siły męzkiej i twórczego

rozmachu? Czemu *istotni* [1]) twórcy stają się coraz to rzadszymi, im bardziej błogosławieństwa i skarby przeszłości stają się dobrem najszerszych i najświeższych kół ludzkości, najróżnorodniejszych natur człowieczych? Czemu właśnie *głębsze* wejrzenie w warunki życia działa przygnębiająco, jest wprost temu życiu wrogiem?“ —

Czy właśnie wśród takich ludzi i w takiej atmosferze problem wartości dzisiejszej kultury i jej wskaźników na przyszłość nie musiał się narzucić z całą grozą? Czy właśnie takie czasy i ludzie nie będą szukały resztą instynktu oparcia o wielkie indywidualności, o geniuszów z czasów najbliższych? A gdy im pod stopy nie zechcą cofać czasu, czy nie stworzą same, poprostu napięciem swych duchowych potrzeb, ideału nadczłowieka, czekającego—już nawet nie na sformułowanie i imię (miał je nadczłowiek już dawniej!), lecz tylko na tchnienie weń życia i siły od geniusza?

Czy ta jego zawsze jednakowa, a dziś zewsząd tamowana wola wyżycia z siebie całkowitej pełni człowieczeństwa, najbardziej szczodrego ujawnienia wszystkich jej bogactw, prężności wszystkich sił człowieczych, nie musiała się przeistoczyć w tak napiętej atmosferze i wśród takich oczekiwań w wolę *twórczego wychowawcy?*..

A że ta wola zewsząd tamowaną była, wystarczy uprzytomnić sobie to tylko, że Nietzschego-Zaratustrę odepchnął od życia wstręt. Fale, co się rozbijały poniżej stóp Goethego, zalewały mu życie naokół. Zniknął nie-

---

[1]) Mowa tu o istotnej twórczości, wnikającej głębiej w życie i dusze, do właściwych ich sprężyn, do ideowych wartości tego życia. To, co się pospolicie „twórczością“ zowie, t. j., fachowe, czysto formalne kombinacye starych myśli, uczuć i doznań, nie ma nic wspólnego z omawianemi tu sprawami. Nie świadczy to również o większej krzepkości stosunków i dusz, chyba tylko o większej prymitywności jednych i drugich.

tylko „patos odległości“ między ubóstwem sił duchowych i życiowych a świadomą ich pełnią i żądzą ich ujawnienia; nastała tyrania wszystkich wartości i mierników ideału i morału tego ubóstwa. Czy pogodne, ciekawe wejrzenie epika, to wejrzenie, co barwi rzeczy i ludzi, nie musiało się tu przeistoczyć w złe oczy analityka, co barwne płaszcze i maski z ludzi i rzeczy zdziera? — Czy tu zatamowana wola geniuszu nie musiała się przeistoczyć w wolę *psychologa i burzyciela morału?*..

I tak oto życia niedoznający pustelnik, w imię jego praw, walczy przecie na jakiejś wymarzonej, duchowej Cyterze swych wysp szczęśliwości, a w samotnem sercu pielęgnuje ostatnią tęsknotę wszystkich głębszych natur, ostatnią i najkrwawszą ułudę samotników: marzenie o przyjaciołach. Ci z życia bywają nieubłagani wobec samotników: jak owe złośliwe lisy w borsuczą jamę, będą znosili mu początkowo własne odbyty, a wykurzywszy go wstrętem z pracowitych jam kilku, poniechają go wreszcie. Ci z marzenia (bo przyjaciel samotnika ma dwa życia) nie stają się bynajmniej echem i wtórem jak u natur płytszych, lecz wróżdą, waśnią i kolcem. — „Jednego mam wokół siebie zawsze za wiele, myślał pustelnik. Zawsze tylko jeden razy jeden uczyni nareszcie dwa. Dla pustelnika przyjaciel jest zawsze trzecim: trzeci jest korkiem, niedopuszczającym, by rozmowa dwóch zapadła w głębię. Och, zbyt wiele głębin czeka na wszystkich pustelników. Dla tego też tęsknią do przyjaciela i do jego wyżyn“...

Dlatego też tęsknią nieraz do poniechanego życia i jego tanecznej lekkości. Osobliwie gdy światło na podwieczór złagodnieje i długie cienie gasnąć już poczynają. Wówczas ogarnia Zaratustrę taka żałość za poniechanemi barwami życia, że gdy błądzący samotnie natrafia w lesie na rozpląsany krąg dziewcząt, mędrzec piosnkę do tańca śpiewać im pragnie. Lecz, czy że niepoprawny Zaratu-

stra tym stworom pustoty wiosennej omamy życia burzyć zamierzał, tym tęczowym kaprysom chwili pieśń o człowieczej przyszłości do tańca nawet śpiewać pragnął, lub czy że zmierzch był już zapóźniony, — rozpierzchły się dziewczęta: — w oczach nielitościwego analityka i zamyśleńca nad wiecznością gasną nieubłagalnie epickie barwy życia, milknie tego piękna „święty śmiech i drżenie."

Zbliża się wieczór, chłód przejmujący zawiewa ze szczytów. Pierzchli przyjaciele, rozpierzchły się taneczne kręgi życia, po raz wtóry zgasły jego barwy; pozostała już tylko natura w grozie milczenia i samotności... „Coś nieznanego jest wokół mnie i spoziera w zadumie. Jakto? Więc ty żyjesz jeszcze, Zaratustro? Dlaczego?.. Po co?.. Dokąd?.. Gdzie?.. Jak?.. Czy to nie szaleństwo żyć jeszcze?.."

Czy te p o d w ó j n e pogrzeby życia: raz w wyrzeczeniu się, po raz wtóry w marzeniu, nie uczynią z najchłodniejszego nawet myśliciela — poety, poety dziwnego, w którego oczach gasną epickie barwy życia, rozwiewają się wszystkie jego ułudy, a żyje już tylko natura w grozie niemego pytajnika wieczności, oraz własna dusza na mroźnych wyżynach nadczłowieczych... „Och, lód naokół mnie, dłoń moją lodowate parzą dotknięcia! Och, pragnienie mi dolega, a łaknie ono waszego pragnienia!— Nastała noc: och, że też światłem ja być muszę! I pragnieniem pragnień ponocnych! I samotnością!.. Nastała noc: zagadały głośniej wszystkie źródła bijące. I dusza moja jest źródłem bijącem. Nastała noc: ocknęły się wszystkie pieśni kochanków. I dusza moja jest pieśnią rozkochanego"...

Czy to zwaśnienie się najżywotniejszych mocy w człowieku aż do paradoksu życia, paradoksu marzenia, paradoksu mądrości, co ciemnym ich ponocnych pragnień zazdrości, nie jest najboleśniejszą rozterką dzisiejszych głębszych dusz?

Czy tak zatamowana wola geniuszu nie musiała się przeistoczyć prężnością sił twórczych w wolę *poety nowego życia i twórcy nowych dla niego ideałów?!..*

I tutaj, tu wreszcie podają sobie dłoń wychowawca, psycholog i poeta. Czynią to dla pogromu wszystkich wrogich potęg dzisiejszej duszy, wszystkich upiorów rozterki, chwiejności i zwątpienia w nadmiarze, dla tryumfu woli nad bogactwem dzisiejszego ducha, które groziło, że stanie mu się klęską. A do zwycięztwa wiedzie ten, kto w sferze uczuć i woli przedewszystkiem zwycięża: wiedzie poeta... „Za długo tęskniłem i wyzierałem w dal, za długo władała mną samotność: i tak oto oduczyłem się milczenia. Ustami jam się stał wskroś, wzburzonym na graniach stałem się strumieniem... I niechże mi ten potok miłości na bezdroża nawet runie: jakżeby nie miał potok drogi ku morzu wreszcie odnaleźć!.. Nowemi drogi idę, nowa nawiedza mnie mowa; jako wszystkich twórców stare znużyły mnie języki. Zbyt wolno wlecze mi się wszelka mowa:—w twój wóz skaczę nawałnico! I ciebie jeszcze chłostać będę a naglić mą złośliwością! — Jako krzyk i zawołanie radosne popłynę po toni mórz dalekich, hen ku wyspom szczęśliwości, gdzie przyjacioły me bawią!.. — Zaprawdę jako burza nadciąga me szczęście i wolność moja! Niechże myślą wrogowie, że to zły szaleje nad ich głowami“...

I tak oto z pustelni samotnika, z jaskini anachorety rozległ się nowego piękna święty śmiech, nowej mądrości głos: wytrysnął porywający nurt życia, co, w obronie życiowych wartości, w imię ich najwyższych mocy, przemocy i prawa, żłobi sobie najgłębsze koryto w najtwardszych graniach wierzeń, wiar i przesądów, w opokach dobra, cnoty, altruizmu, litości i prawdy. Wszystkie na mieliznach osiadłe łodzie wyniesione zostają na te szerokie morza dowolności, które jedynie łodzi doświadczyć są

w stanie, aby tylko sterem woli i żaglem instynktu najdzielniejsze skierować do lądu człowieczej przyszłości; do tego lądu, w którego wstecznej, ku dziś zwróconej perspektywie dobrem i najlepszem jest bezwzględnie wszystko, co żywe, twórcze, siewne, a złem i najgorszem wszystko mdłe, krótkie, sobą zakończone, wszystko, co skarla, wyjaławia i tłumi siłą pospolitego ideału i jeszcze pospolitszego morału.

A zwie się ta książka: „*Tako rzecze Zaratustra.*"

Dok. nast.

Wacław Berent.

EX-LIBRIS, akwaforta FR. SIEDLECKIEGO.



Przewoźnik.

Ująwszy wiosła dłońmi obiema
I płynąc długo na przełaj fali,
Przewoźnik w zębach sitowie trzyma.
Lecz ta, co wzywa z za fal go mety,
Co hen w dalekość, za szumne wały,
Wzywa wciąż dalej, — ciągle, niestety,
Cofa się, cofa we mgle zgęstniałej.
Tarcza zegaru spogląda z wieży
I oczy duże okien z wybrzeży
Patrzą na jego zapał i znoje,
Kiedy sprężając muskułów zwoje,
Tułów przeginał we dwoje.
Znienacka pęka mu wiosło —
I wnet się z prądem poniosło,
Skróś wały ciężkie, do morza..
A ta, co woła go w one dale,
We mgły i wichry, — zda się, szalona.

Wypręża wściekłej coraz ramiona
Ku temu, co się nie zbliża wcale.
Przewoźnik chwyta wiosło jedyne,
Zdwojoną siłą orze głębinę,
Aż mu z wysiłku pękało ciało,
Aż serce grozą i żądzą drgało.
Znów nagłe fal uderzenie
Zmiażdżyło ster mu i żenie
Te druzgi ciemne do morza.
Widzą samotne wieże — te wdowy,
Które, o milę jedna od drugiej,
Stoją przy rzekach sztywnie na warcie; —
I, mto z oczu, lśnił gorączkowy
Wzrok wielkich okien, śledząc czas długi
Szaleńca, który walcząc uparcie,
Przedłuża sobie mękę żeglugi.
Istota, co go wzywa na morze,
W tumany mroku, — ryczy i wyje,
Przerażająco sprężając szyję
Ku nieznanemu w mglistym przestworze.
Przewoźnik, stojąc jak posąg żywy,
Otoczon wokół burzy nawalą,
Wiosłem jedynem chłoszcze fal grzywy,
Wgryza się w wały—choćby, co chce, się stać miało.
Wzrok jego stary, otumaniony,
Widzi w światłości całe te strony,
Zkąd głos dobiega, zawsze z oddali,
I wciąż pod niebem chłodnem się żali.
Ostatnie pękło mu wiosło —
I wnet się z prądem poniosło,
Jako źdźbło nikłe, do morza...
Wtedy spochmurniał, przypadł do ławy;
Krzyże mu zerwał trud czczy a krwawy,
Zwisłe ramiona rozmach odbiega...

Lecz gdy prąd zepchnął lódź na bezdroże,
Spojrzał za siebie — — złuda-ż to może?
Toć on kołował ciągle u brzega...
A okna duże i wież zegary
Oczy swe szczerzą i widzą jasno,
Że w nim już iskry zapału gasną...
Ale zacięty przewoźnik stary
Wciąż trzyma jednak — Bóg jeden to wie,
Na jakie jutro? — zielone w zębach sitowie.

Z cyklu: „LES VILLAGES ILLUSOIRES"
PRZEŁOŻYŁA El-ka. Emil Verhaeren.

Fenomen przyszłości.

Niebo blade, nad światem dogorywającym ze zgrzybiałości, gotowe rozwiać się razem z obłokami: szmaty zużytej purpury zachodów blakną w rzece śpiącej na widnokręgu zalanym promieniami i wodą. Drzewa nudzą się, a pod ich listowiem zbielałem (od pyłu czasów raczej niźli dróg) wznosi się płócienny dom Pokazywacza rzeczy Minionych: tu i ówdzie latarnia oczekuje zmierzchu i ożywia oblicza nieszczęsnej tłuszczy, zmożonej przez chorobę nieśmiertelną oraz grzech wieków, oblicza mężów i wątłych ich towarzyszek, brzemiennych nędznemi płody, z któremi zaginie ziemia. W niespokojnem wszystkich milczeniu, gdy oczy błagająco zwracają się w oddal ku słońcu, zapadającemu już pod wodę z rozpaczą krzyku, oto prosta perora szarlatańska: „Żaden szyld nie uracza was widowiskiem wewnętrznem, bo niemasz dziś malarza, który zdolen byłby dać chociażby

smutny cień jego. Przynoszę wam, żywą (a zachowaną przez ciąg lat mocą wiedzy najwyższej), Kobietę z czasów pradawnych. Jakieś szaleństwo, pierwotne i naiwne, jakaś ekstaza złota, czy ja wiem? zwana przez nią swemi włosami, faluje z wdziękiem drogich tkanin wokół oblicza rozświeconego krwawą nagością jej warg. Miasto daremnego odzienia ma ona postać swoją, a oczy, acz rzadkim podobne kamieniom! nie warte są spojrzenia, które bije z radosnego jej ciała: od piersi wezbranych i jak gdyby pełnych mleka wiekuistego, z wierzchołkami wzniesionemi ku niebu, do nóg polerownych i niosących na sobie sól pierwomorza.“ Wspominając biedne małżonki swe, bezwłose, chorobliwe i wstrętne, mężowie cisną się; one również, przez ciekawość, smętne, chcą widzieć.

Gdy wszyscy napatrzą się szlachetnemu stworzeniu, śladowi jakiejś dawno przeklętej epoki, jedni z obojętnością, bo nie mają siły zrozumieć, drudzy z rozdartem sercem i łzami rezygnacyi pod wilgotną powieką, spojrzą na siebie; podczas gdy poeci owych czasów, czując, jak rozpalają się im oczy przygasłe, podążą każdy do swej lampy, z mózgiem na chwilę pijanym jakąś chwałą niewyraźną, nawiedzani przez Rytm i niepomni istnienia swego w epoce, która przeżyła piękno.

PRZEŁOŻYŁ Z. P. Stefan Mallarmé.



EX-LIBRIS, autolitografia trójbarwna T. RYCHTERA.

BAJKA O RYBAKU I RYBACZCE.

Był raz sobie rybak młody, z sercem prostaczka.
Niewód, łódka — ot i wszystek skarb nieboraczka.
Była też, jak zwykle bywa, — była rybaczka.

Ona serca łowiła, on — ryby niewodem.
Kochał, jak to zwykle bywa, — szał w życiu młodem.
Jak Syrenę ją pokochał, na swoją szkodę.

Poszedł do niej, gdy mu było nad wytrzymanie.
Złożył ręce, jak w pacierzu, kląkł na kolanie:
— Cóż ja ci mam dać — powiada — za twe kochanie? —

Rzekła: — Chcesz-li, abym tobie powolną była,
Daj mi rzecz, nad kwiat barwniejszą, i żeby żyła. —
Ach, rybaczek dusza dziwna jest i zawiła!

Co tu robić? Ha, co robić?.. Prostaczek wstał ów,
Poszedł — niewód, łódź narządził, i jechał na łów.
Naprzywoził z dalekiego morza ukwiałów.

Jedne były pozłociste, z zielonym wąsem,
Inne lśniły róż czerwienią i krwawym ponsem...
Wiózł je w wodzie, by nie zdechły. — Weź — rzekł z prze-
[kąsem.

Brała, ale skoro darzyć chce go pieszczotą,
Zaraz taki ukwiał blednie i traci złoto.
— E, do licha — rzekła wreszcie — z taką robotą!

Innej teraz żądam rzeczy. Takiejbym chciała,
Żeby dłużej, dłużej mogła żyć od ukwiała,
I żeby mi, wedle woli, zawsze coś grała. —

Z ócz rybaka zdrój łez trysnął, wielkich łez-ziarek.
Co tu robić? — myśli biedny... Narznął fujarek,
Wiezie, wiezie, aż i przywiózł — nowy podarek.

Jedne grały mu fujarki, jak ptaki z rana,
Z innych brał, jak flet, przelewne, cudne soprana.
— Masz tu — mówi — przyłóż usta, graj, ukochana. —

Brała jedną — zła, zła druga, choć dmie w nią chciwie.
Grają wszystkie, wszystkie grają, ale fałszywie.
— Tobie — mówi — gra, mnie piszczy. Bardzo się dziwię.

Przynieś inną mi rzecz, żeby lśniła przezrocznie
I żeby mi sama grała — przynieś niezwłocznie. —
Co on pocznie? — myśli rybak: — co on tu pocznie?

Siadł na łódkę znów i przywiózł dla swej Syreny
Muszli, muszel i muszelek niezmiernej ceny,
Migocących stu barwami tęcz, jak barweny.

— Każdziuteńka coś ci szumi szumem czeluści,
I jest mocna: nie umiera, choć się ją puści,
I od kwiatów kolorowsza. Dość chyba już ci? —

Przykładała konchy muszel do konchy uszka:
— Szumieć, szumi, jakby w środku siedziała muszka...
I nic więcej? — Któż rybaczek zbadał serduszka?

— Nie chcę twoich — rzekła — muszli, choć tak mieniące,
Ani twoich chcę piszczałek, choć śpiewające. —
— Więc cóż dać ci mam w ostatku? — Samo daj słońce!

Jeśli żądasz już koniecznie, bym się kochali,
Daj mi słońce, które samo stem tęcz się pali,
Daj mi, zamiast muszli szumu, szum samej fali. —

Jęknął rybak i zawołał w wielkiej rozpaczy:
— Żal się, Boże, mojej doli, doli rybaczej! —
Ach, rybaczek nieraz dusza dziwnie dziwaczy!

Sam się rybak, sam pozostał. Gryzł się i smucił.
Zebrał wszystkie swe muszelki, w morze je wrzucił,
Siadł, pojechał w dal ku słońcu... I już nie wrócił.

Oto bajka jest o sercu tak kochającem,
I rybaczce, która chciała samem żyć słońcem.
Koniec sobie już dośpiewaj sam, koniec końcem.

Jan Lemański.

Kronika miesięczna.

GLOSSY.

„Pogrom“ sztuki. Prasa nasza, tak dziś obfita w wieloznaczne publicystyczne łamigłówki, wyłoniła ostatnio ze swej mgławicy osobliwie szpetne monstrum: zbiorową napaść na sztukę.

Nienawiść dla sztuki jest u nas co prawda chroniczną; należy do penatów utrzymywanych po zaułkach żarłocznej albo bezsilnej ambicyi. Jest to zjawisko zrozumiałe w społeczeństwie, którego Luci-ferem jest Sztuka. Nigdy jednak szkarada tego uczucia nie wystąpiła bezczelniej. I to również wytłómaczyć łatwo: elektryczna atmosfera chwili sprzyja wszelkim egzaltacyom — ducha jak instynktu, rozżarza zapały i chucie, otwiera perspektywy marzeniom Chrystusa i Kaina. Wielka sprawa, jak kropla bodaj najczystszej wody, roi się od zaciętych walk między drobnoustrojami osobniczemi i społecznemi. Dobro i Zło, odwieczni szermierze, rozpoczęły nową „seryę“ tytanicznych zapasów, mnożą swe przyłbice, i podstępami wojennej mimicry wytwarzają zamęt w pojęciach, wprawiają w niepewność, między kim i o co bój się toczy, i czy, podobnie jak w niedawnej wojnie Mandżurskiej, przeciwnikom nieraz się nie zdarza uledz fatalnym, samobójczym pomyłkom... mundurowym.

Tę myśl ostatnią nasuwa zwłaszcza *solidarny* charakter napaści na sztukę. Zgodność dziwna w atmosferze ogólnej wzajemnej *negacyi,* w której oparach jawią się zbyt często stare upiory prywaty i pieniactwa. Były chwile ogólnego rozstroju i zamętu, w których przybierała ona haniebne pozory powszechnego spychania zarzutu odpowiedzialności za niezwykły bieg zdarzeń na kozła ofiar-

nego; jedni czynili to w delirium niszczycielskiego purytanizmu demagogicznego; inni nie mieli na swe usprawiedliwienie nawet formułki, robili to jakby drogą targu, najmniejszej szkody, oszczędnego kompromisu ze społecznym szantażem, odwracając hordy „karzące" od domów rozpusty do... laboratoryów twórczych, muzeów...

Gdy zaś burza ścichła, impuls tak podwójnie dany jął się rozchodzić dalej, spokojniejszemi, lecz niestety i szerszemi kręgami. Nawet ogniska kultury objęła pewna, tymczasowa jakoby, wzgarda dla sztuki, streszczona w źle zbudowanem haśle: „Precz ze sztuką — miejsce życiu." Zkądinąd zaś, przysięgli i pokątni *anti-esteci*, w świeżej pamięci mając niesłychane tryumfy twórczego trudu nad grafomańską blagą, uprawiają dalej swą nędzną specyalność trafiania piłkami z kłaków w cierpliwy manekin „dekadenta." Ostatnią nowością w tej ubogiej szopce jest świeżo kreowana kukła dekadentki-Mesaliny.

Tym wszystkim obliczom i maskom „pogromu" przypatrzmy się bliżej.

* * *

Slowo naprzód o „dekadentach" i „dekadentkach."

Przez prostą sprawiedliwość uwolnijmy tę bądź co bądź uwagi godną gromadkę od tendencyjnie jej narzuconego a krzywdzącego koleżeństwa pornografów płci obojga, których proceder do sztuki nie należy, a którzy zresztą sposobem i smakiem — czyli bezsmakiem — podchodzą pod dawniejsze pokolenie, noszą liberyę realizmu — —

Zostaje się długowłose, pochyłokrzyże, tęsknookie i szyderczouste plemię „*beanów*" i żaków sztuki... żyjące kawą i dymem papierosów (porterem z naftą wedle p. Choińskiego), gorączkujące z powodu byle pokusy, pokrywające bezbrzeżną niedolę głodów, nostalgii i nędz życiowych złotogłowiem marzeń i naiwną pychą hyperboli; bezobronne i okrutnie doświadczane pasierby Muzy, wydane na łup wszystkim spolecznym magnetyzmom sprytu, arogancyi przepychu, radości życia, zepsucia, gróz bytu i duchowej tyranii...

Te „duchy letargiczne," te przez sen jęczące igraszki losu — mistrzami rozpusty? inicyatorami nierządu? O, ironio!

Mistyfikacya to chyba, mająca złośliwie schlebiać ich dziecinnej pozie bajronicznej, lub może napędzić gęsiej skórki tym „indywidualistom" przed terorem społecznej potęgi?

Zaiste! ci rzekomi wirtuozi zepsucia wyglądają raczej na jego

ofiary... Tylko warunki *ogólnego* rachityzmu zdolne są wyprodudukować takie muzealne bogactwo spaczeń, złudzeń, póz, manij i zacieśnień. Na *społeczeństwa* kulturalnych pustyniach dziczeją i w złej hodowli narowią się ich dusze; na sabatach *społeczeństwa* znieprawiają się ich wyobraźnie; od fatalnych suggestyj *środowisk* wężeją im piersi i wzrok od ciemnic *in-pace*'ów odbity staje się krótkim i słabym.

Nie przyczyną złego są — lecz jego zdobyczami; nie grzesznikami — lecz dziećmi, „kwiatami grzechu"...

*

Idziemy dalej.

„Precz ze sztuką — miejsce Życiu!" — oto hasło popularne.

Nie zatrzymamy się dłużej nad trafną zresztą uwagą: z jakiego to i kiedy entuzyazmu dla sztuki mamy dziś ostygać?

[Boć nie nazwiemy nim przecie sieczki sprawozdań i reklam teatralnych i powieściowych, któremi przed niedawnym jeszcze czasem zapełniały swe szpalty dzisiejsze „z życiem idące" pisma.]

Spytamy tylko, czy prawowitem jest podobne przeciwstawienie i jaką jest zawartość tego terminu: Życie.

Przecie nawet — i przedewszystkiem — z materyalistycznego punktu widzenia jest ono zespołem wszystkich energij. Im więcej tonów, tem akord bogatszy.

Czyżbyśmy więc byli kalekim, wąskogłowym ludem monomanów, z równowagą władz nie w przestrzeni, lecz jedynie w czasie, z procesem psychicznym zredukowanym do kolejnych „idees fixes," i ośrodkami mózgowemi usypianemi po kolei przez Ducha Dziejów?

Nie jestże ta zbiorowa dusza raczej panteonem twórczych mocy, — wielkim, w różnorodności swej spoistym, promieniście wzrastającym obozem Pracy? A tego obozu sztabem generalnym, namiotem hetmańskim jest wielka, syntetyczna Sztuka.

„Miejsce Życiu!" znaczyć powinno w naszych ustach: niech żyją i kwitną wszystkie władze duszy ludzkiej—a zwłaszcza te najlepsze, najwyższe, różniące człowieka od zwierzęcia; niechaj wszystkie jej moce na światło się wynurzą i wszystkie potrzeby znajdą zadośćuczynienie.

Nawet pod najstraszliwszym ogniem bitew krząta się wiecznie czujna, niezmordowana troska o zasadnicze podstawy bytu walczących. Żołnierz musi mieć chleb, wodę, sen i... papierosa. Inaczej ginie lub szaleje.

Na wielkiej wojnie duchów zwanej życiem społecznem, bojownik każdy winien być opatrzonym we wszystkich swych potrzebach, a zwłasza w zasadniczych, dla tej walki podstawowych, t. j., ideowych. Inaczej płodna walka wynaturza się w mord bezmyślny.

W walkach społecznych, jak na wojnie, każdy u swojej reduty walczyć musi. Wszelkie entuzyastyczne zlatywania się ze stanowisk są psuciem rozumnego ładu, lekkomyślną dezercyą, nieprzebaczalnem gapiostwem lub stchórzeniem przed siłą odurzonej opinii publicznej.

„Życie“ w naszych ustach nie powinno oznaczać chaosu, solidarności owczego pędu, zamętu w hierarchicznej harmonii zadań człowieczych.

A któż goręcej i godniej wygląda bogatego ładu, proporcyjności społecznej od Sztuki?

Nie ona, mistrzyni Harmonii, żywi ciasne i zabójcze ambicye zmonopolizowania sił społecznych, naruszania ich równowagi dla celów z konieczności nie trzymających miary, żądanego wysiłku poprostu niegodnych.

Nie ona, budzicielka wszelkich uśpień, hodowczyni wszelkich indywidualności, wskazicielka powołań i pól działania.

Ale czynił to zawsze jej wróg odwieczny, czynił *przeciwko niej* stuskrętny ciemięzca człowieka, smok fanatycznych Egoizmów i Kainowych zawiści — — —

. . . .

I gdyby nawet (wedle hypotezy nienowej) Duch Rozwoju, jak słońce, miał swój *zodyak* i chwałą swoją znak po znaku rozpromienial, zostawiając je potem kolejno w zmierzchu — aż do przyszłego obrotu —

toć i wtedy zgodzićby się trzeba na tę oczywistą prawdę, że *Geniusz naszego plemienia wciąż mieszka w „domu“ Sztuki,* i że gdyby nawet z biegiem czasu go opuścil, to w tym *domu słońca* praca ustaćby nie mogla, ni powinna, że ta praca mogłaby tylko — — — przycichnąć.

*

Na pociski z okopów materyalizmu społecznego odpowiemy przypomnieniem kilku odwiecznych prawd—idealnych, a mianowicie:

Że Sztuka w *pierwszym* swym momencie, najniedostępniejszym, ezoterycznym, na wysokościach, jest WYROCZNIĄ, jutrznią dnia nowego, wyprzedzającą Syntezą, nieustannie święcącem się

przechodzeniem ducha w materyę, przemienieniem intuicyjnych przeczuć w wieszcze słowo twórców.

Że w momencie *drugim*, na padołach, słowo staje się ciałem, sztuka FERMENTEM psychicznym, nurtującym jednostki ku *społecznej realizacyi*, działającym w nich wedle dróg indywidualnych reakcyj, oraz OTOCZĄ wyobraźniową następujących po sobie pokoleń, magicznym kręgiem przepotężnych zbiorowych suggestyj.

Że w momencie *trzecim* (bardziej specyalnie) jest ona dla przyszłych swych adeptów domowem ogniskiem i rodzinnym dachem tradycyj, szkołą dla umysłów i zdolności, polem uświadamiających mozołów i eksperymentów. Ten to PROCES PRZYGOTOWAWCZY (coś jak Wilhelmów Meistrów „*Lehrjahre*“) obfituje w zjawiska „kierunków“ mniej więcej „ekscentrycznych,“ w niezgrabności, dziwactwa i zuchwalstwa, które dla klasycznego piękna dojrzałych tworzeń są tem, czem *junactwo* dla wytrawnej *cnoty* obywatelskiej, i na które *zdrowy, uświadomiony ogół* zapatrywać się winien mniej więcej tak, jak np. na wystawę uczniów szkoły sztuk pięknych, t. j., jako na specyalne, fachowe, a niezmiernie ważne i konieczne studya terminatorskie...

Takiem jest społeczne znaczenie Sztuki, jej rola idealnego równoważnika materyalnych impulsów w rozwoju gromady. Obfitych dowodów dostarcza naszemu twierdzeniu chwila dzisiejsza, zawdzięczająca zintensywnienie energii ogółu przepotężnemu fermentowi estetycznemu.

Ta to boska Kusicielka, tysiącem barw i powąb swego zaczarowanego ogrodu, który otwarła zagłodzonej rzeszy, ocknęła w niej zmysły (nie *płeć*, zastrzegamy się przed tym trywialnym synonimem), rozkołysała marzenia, zaostrzyła żądze; „ta to mądra Mistrzyni podała bezbłędne zwierciadło jej szpetnej osobniczej i społecznej nędzy, i z tych przeciwstawień piękności a upadku dobyła uświadomienie praw oraz twórczy niepokój inteligencyi zarodczej.

I trzebaż właśnie, by lud, z gnuśnej drzemki odwiecznej budzony gęślą pieśniarzy, pierwszym swym na jawie ruchem przeciwstawiał się ojcom-Orfeuszom i miast hołdu wdzięczności i czci — znieważał swe bóstwo opiekuńcze — Sztukę.

Smutne to zjawisko jest jednak w gruncie — jak wszystkie smutki — złudzeniem.

Antynomia sztuki z rozwojem społecznym, Geniuszu z Gromadą, jest jednym z tych intryganckich fałszów, z tych machiaveli-

zmów Historyi, które wskutek nieprzemożonej bierności mas odwiecznie bronią do nich przystępu impulsom postępowym, a któremi z tak szatańską zręcznością włada klasyczny ród FAKTORÓW. On to między twórcą (wytwórcą) i ludem (odbiorcą) rozsnuwa miraże nienawiści... Pamiętajmy, że za Chrystusem szły wielbiące rzesze, a ukrzyżowały go dopiero za wdaniem się Faryzeuszów...

Faktorzy! pośrednicy, krytycy, popularyzatorowie (przeinaczający myśl dzieła) — i benjaminki ich: niedorodkowie, półmędrcy, niewolnicy, wypędki... oto biesi świat sił przekornych, oto prawdziwy *tłum* nienawistny artystom, tępiący komunię twórców *z ludem*, który ich wydał i gotów jest zrozumieć i przyswoić, mimo wszelkie ochronne systemy zręcznie przez opiekunów stosowane...

Potrzebę tej komunii, przebicia się przez ciżbę faktorów zawalających przejścia, aż przed wielotysięczne ludowe amfiteatry, odczuwa każdy rasowy twórca, pożąda jako najwyższej sankcyi i tryumfu „doczesnego." Pragnienie to znalazło udzielny i czynny wyraz w belgijskim ruchu *udostępnienia wielkiej*, *nieadaptowanej, niepopularyzowanej, czystej sztuki warstwom najszerszym.* Wzniosłe helleńskie tradycye zdają się i u nas budzić echa; w światłości dnia kształtują się olbrzymie wizye heroicznej sztuki w społeczeństwie-arcydziele. „Domy ludowe," igrzyska atletyczne, termy, hodowle ludzi na wielką skalę, muzea — cała nowa czy odnowiona tylko gigantyczna struktura spółżycia buduje się coraz wyraźniej w wyobraźni tłumnych zastępów twórczych i wykonawczych. Robotami kieruje wielki Architekt-Geniusz rasy budzącej się do życia. Bliska jest chwila, w której realizacya będzie niezmożoną koniecznością dojrzałej Idei. A wówczas, o faryzeusze, w gulfstreamie woli powszechnej zatoną same przez się misterne intrygi i bezsilne już wtedy przesądy i iluzye...

Tredecim.

NOWE POLSKIE EX-LIBRIS'Y ARTYSTYCZNE.

Wszystko dokoła nas winno być piękne, każdy szczegół, każdy drobiazg (książka, stołek, dom, szklanka, kostyum) winien odznaczać się wyrazistością linij, szlachetnością barw, oryginalnością pomysłu. Żyjąc w pięknie, człowiek sam piękniejszym, wyrazistszym i szlachetniejszym się staje, podczas, gdy otoczenie trywialnych szablonów fabrycznych i wielkohandlowych czyni go niewątpliwie, szybko czy zwolna, trywialnym, szablonowym i bezwrażliwym. Oto źródło, oto zasada, oto wielkie znaczenie t. zw. sztuki stosowanej. Dla te-

go, w dzisiejszej powodzi brzydot i banalności, żaden wysiłek jej nie jest bez wagi — i popierać go i wskazywać należy niezwłocznie. Dla tego, jak kiedyś podnosiliśmy lwowskie próby nadania charakteru artystycznego tej prawdziwej zmorze dzisiejszych czasów, jaką są fabryczne karty pocztowe, — tak dzisiaj zwrócić chcemy uwagę na pierwsze brzaski odrodzin — lub raczej, rzecby należało, narodzin — artystycznego *ex-libris*'u polskiego, które może zdołają uwstrętnić ludziom ohydne, znieprawiające książkę, a tak dzisiaj zwykłe w użyciu, fiołkowe odbicia stempli kauczukowych.

W istotnie artystyczne ex-libris'y byliśmy, pomimo kilku epok kultu dla pięknych książek, który z natury rzeczy wywołuje równoległe mnożenie się tych „znaków własności," — nader ubodzy. Dość przejrzeć monografię p. Wittiga, aby przekonać się, że w czasie, gdy na zachodzie A. Dürer, Sebald Beham, Ł. Cranach, A. Wierix i inni tworzyli wspaniałe, po dziś do najpiękniejszych zaliczające się ex-libris'y drzeworytowe, u nas — (a był to przecież złoty wiek drukarstwa i epoka wysoce artystycznych opraw książkowych!) — ograniczano się do niedołężnie, bez żadnego rozmachu twórczego, bez żadnego wysiłku ku bogactwu i sile linii, przerysowywanych znaków herbowych, albo też do prostych drukowanych napisów: „z księgozbioru takiego i takiego," w ciągłej lub kropkowanej, pojedynczej lub podwójnej obwódce. Wiek XVII nawet z obczyzny nic nam nie mógł przynieść, bo i tam była to doba wyraźnego w tej dziedzinie upadku, a XVIII, którego koniec nowym drukarstwa polskiego zaznaczył się rozkwitem, nie zdołał również podnieść poziomu tych znaków bibliotecznych. Nawet ex-libris wytwornego bibliopoli Grölla jest raczej drukarsko skonstruowaną, nikłą dosyć stampilią. W całem dziełku p. Wittiga trzy tylko znaki zwracają uwagę: wielkie i nieco ciężkie, ale z najlepszemi jednak europejskiemi w zawody iść mogące, portretowe ex-libris Tomasza Czapskiego (przez obcego zresztą artystę wykonane); po ośmnastowiecznemu symboliczna, ale wdzięczna w rysunku etykieta na własne książki D. Chodowieckiego; wreszcie, ciekawy znaczek drzeworytowy biblioteki szkolnej przy kaplicy Św. Barbary w Gdańsku. Reszta może mieć wagę dokumentarną dla historyi krajowych bibliotek prywatnych i publicznych, oraz wartość dla zajadłych zbieraczy, zasadzających ambicye swe raczej na ilości niż na jakości. Pod względem artystycznym wszakże są to okazy bez znaczenia.

Powodów tego ubóstwa szukać należy, przedewszystkiem, w braku szerokich, zatrącających o wszystkie gałęzie sztuki artystów; powtóre, w przeważającej skłonności właścicieli bibliotek do

znaków czysto heraldycznych i w zadowalaniu się ich szablonem bylejakim; wreszcie, w konkurencyi, jaką robiły ex-libris'om uherbowane czy nazwiskiem właściciela oznaczone oprawy. Powody te przeszły, w różnej mierze, i na pierwsze trzy ćwierci wieku XIX-go, a dołączył się do nich zupełny upadek drukarstwa, zdobnictwa książkowego i bibliofilstwa równie ze strony wydawców jak publiczności. Ztąd nic pierwszorzędnego i w tej jeszcze epoce nie mamy do zanotowania w dziedzinie ex-libris'ów, a rzeczy jako tako interesujących nader niewiele. Dopiero w ostatniem ćwierćwieczu warunki zwolna lepiej układać się jęły. Olśniewająco rozwinęła się odsądzana jeszcze w polowie wieku od prawa do istnienia sztuka polska. Coraz nowe generacye, coraz liczniejsze zastępy artystów szukać zaczęły dróg nowych, własnych, i z natury rzeczy najrozmaitszemi sztuk plastycznych interesować się dziedzinami. Minęło wyłączne przez czas długi „olejnictwo;" rysunek odzyskał swe prawa; odradzać się jęły mające niepoślednią u nas przeszłość, ale od lat kilkudziesięciu zapomniane sztuki graficzne; do walki z historyjkową „ilustracyą" zbudziła się dekoracya artystyczna; t. zw. sztuka stosowana, coraz szersze ogarniając zakresy, dźwignęła wreszcie i drukarstwo z długotrwałej banalności i zdawkowości. Książka przestała być mizerną szmatą, osłaniającą bylejak wnętrze treściowe, zaczęto i od niej wymagać odpowiedniego piękna — i, wbrew wrzawie krótkowzrocznych utylitarystów, wykrzykujących, iż dyament myśli nie potrzebuje Cellini'owskich opraw, gdyż i w kupie nawozu nie przestaje być dyamentem,—jęli, równie śród wydawców jak śród odbiorców, pojawiać się coraz liczniejsi miłośnicy książki-dzieła sztuki. W książce takiej i sam „znak własności," choćby nawet czysto heraldyczny (na co, zresztą, moda, zda się, minęła), nie może być utylitarną banalnością, ani przykro rozrywać całości artystycznej. Ztąd—wyraźny jego rodzaj, oraz jedyne dlań miejsce. Ponieważ „znak własności" jest rzeczą stałą dla całej, mniejszej lub większej, rozmaitości książek, przeto nie powinna to być ani sygnatura czy stampilia odbijana na karcie tytułowej, gdzie mogłaby częstokroć sprzeczać się z drukarskim tej ostatniej stylem, ani znak herbowy czy inny na oprawie introligatorskiej, od której smak dzisiejszy wymaga również pewnej indywidualizacyi w sensie zbieżności stylowej z treścią książki,—lecz odpowiednia etykieta artystyczna, przyklejana na względnie najobojętniejszem w książce i jak gdyby żądnem szlachetnego urozmaicenia miejscu, jakiem jest wewnętrzna strona oprawy. To właśnie zwie się ex-libris'em artystycznym — i nie dziw, iż, w miarę wspomnianego rozwoju bibliofilstwa, potrzeba ta-

kich etykiet objawić się w ostatnich czasach musiała. Niestety, dla braku bliższego spółżycia między artystami, literatami i kolekcyonerami, nie objawiła się impulsywnie, naturalnie, jakby ze zbiegu żywej, samorzutnej chęci artysty z pragnieniem posiadacza książek, lecz przybrała odrazu zwykłą u nas postać konkursów. O wadliwościach tej w sprawach artystycznych zasadniczo chybionej metody pisaliśmy niejednokrotnie. Zamanifestowały się one i w danym razie z całą okazałością. Nowość zadania zdołała wprawdzie zainteresować rzetelnych, doskonałych artystów, zazwyczaj w takich „wyścigach o nagrodę" udziału nie biorących—i skutkiem tego śród nielicznych prac wyróżnionych znalazły się, wbrew smutnym tradycyom poprawnej mierności, rzeczy istotnie i niekiedy nawet zadziwiająco piękne. Nie obyło się atoli, przynajmniej w jednym z dwu konkursów, bez skandalicznej, niczem niewytłómaczalnej „pomyłki" grona sędziowskiego, niweczącej— i to gorzej, nieodwołalniej, niż w jakiejbądź innej dziedzinie [1]) — ten wyjątkowy, niespodziewany szczęśliwego trafu rezultat. Normalnym zaś trybem wezbrała powódź niedołęstw, zdawkowości, naśladownictw bezmyślnych, niedbałych „chlapnięć" pod godłem „kupić nie kupić, potargować można" – i wszelakiej nieuniknionej plewy grafomańskiej.

Konkurs pierwszy, inauguracyjny, ogłoszony w Krakowie przed kilku laty, za pośrednictwem towarzystwa „Polska Sztuka Stosowana," na „znak własności" dla Muzeum Narodowego,—do najbardziej udanych i jednocześnie najbardziej chybionych zaliczyć trzeba. Do najbardziej udanych—bo między 65-ma nadesłanemi projektami przyniósł jedno prawdziwe arcydzieło ex-libris'owe; do najbardziej chybionych— bo wyrok sędziów, w sposób poprostu niepojęty, zdołał nas tego arcydzieła pozbawić. Mówimy o kapitalnej, wielkostylowej kompozycyi Józefa Mehoffera: *Vita somnium breve* [2]), która — pod względem głębokości i wyrazistości koncepcyi, ogromnej, spokojnej harmonii w układzie, subtelnie stopniowanej ekspresyi w postaciach, szerokiej, szlachetnej dekoracyjności w traktowaniu, mistrzowskiej wresz-

[1]) Niedoceniony przez sędziów poemat, powieść, dramat, obraz—może potem, w książce, na scenie czy na wystawie, wywalczyć sobie z powrotem należne prawa — i nic na tem urzędowem niedocenieniu, prócz nagrody oraz krzykliwej reklamy dziennikarskiej, nie traci. Projekt na ex-libris, jak każda przystosowana wyłącznie i wyraźnie do czegoś dekoracya, z chwilą nienagrodzenia, nieprzyjęcia i niezreprodukowania, przestaje istnieć poniekąd.

[2]) Czytelnicy nasi znają przepyszne to dzieło z *Chimery*, gdzie, usunąwszy za zgodą autora górny napis: *Muzeum Narodowe*, odtworzyliśmy je kilkakrotnie (Nr. 14 str 245, oraz okładki N-rów 14-go i 16-go).

cie odrębności i mocy w rysunku — zwycięzko stanąć może obok najlepszych prac Anning Bella, Ospovata, B. Shawa, C. Goldie'go, Klingera, H. Thoma, Greinera, Pankoka, Orlika, Fidusa, Donnay'a, Khnopffa, Rassenfosse'a i innych szeroko uznanych majstrów ex-libris'u, a wytrzyma porównanie nawet z przeslynnym (i przedziwnym) *Ygdrasil*'em K. Rickettsa. Czemu świetne to dzieło znakomitego naszego a zawsze niedocenianego artysty uzyskało tylko wyróżnienie zaszczytne, podczas gdy nagrodę przyznano o całe nieba niższemu, w pomyśle nieco suchemu, w rysunku wątłemu, niezdecydowanemu i nieszczeremu, w całem wykonaniu zbyt winietkowemu projektowi p. J. Bukowskiego,—długo nie mogliśmy odgadnąć. Wreszcie, widząc owe „ręce unoszące koronę ponad klepsydrą" na tytułowych kartach wszystkich publikacyj Muzeum Narodowego, a nie spotykając ich bynajmniej w odbitkach ex-libris'owych, zaczęliśmy przypuszczać, że—czy to dzięki inicyatorom, czy sędziom konkursu — zakradło się tu pewne pomieszanie terminów, że mianowicie ogłoszono konkurs na ex-libris, podczas gdy właściwie chciano mieć sygnaturę wydawniczą. Na tę ostatnią monumentalna kompozycya Mehoffera, która jako „znak własności" imponująco zdobiłaby odwroty opraw w bibiotece Muzeum Narodowego, — oczywiście przydać się nie mogła, podobnie jak znowu rysunek p. Bukowskiego, od biedy ujść mogący jako winietka tytułowa, stanowczo ginąłby jako ex-libris, zwłaszcza na licznych w tej książnicy dziełach i albumach wielkiego formatu.—Jeżeli wszakże taki był istotnie powód zdumiewającego wyroku (innej przyczyny szukaćby należało w prostej chyba nienawiści do szczerego i wysokiego piękna), jeżeli rysunek p. Bukowskiego został nagrodzony jako sygnatura wydawnicza,— to Muzeum Narodowe znaku własności bibliotecznej dotychczas nie posiada. Czy wobec tego nie powinnoby—gwoli choć częściowemu naprawieniu „pomyłki" konkursowej—starać się o pozyskanie z powrotem dzieła Mehofferowskiego? W ten sposób, jeden z najpiękniejszych ex-libris'ów świata zostałby uratowany od zapomnienia w rękopisie i zaczął istnieć w praktyce — a nie byłoby to bez chluby ani dla sztuki polskiej, ani dla Muzeum Narodowego.

Konkurs drugi ogłosili w roku ubiegłym anonimowo (za pośrednictwem uprzejmem d-ra Tadeusza Estreichera) dwaj gorliwi zbieracze i miłośnicy sztuki, pp. Adolf Sternschuss (z Krakowa) i Leopold Wellisch (z Warszawy). Anonimowość ta, z punktu widzenia istoty i wymagań ex-libris'u, zasadniczą była wadą. Dekoracyjny znak własności bibliotecznej (Bucheignerzeichen) nie może być jakimkolwiek obrazkiem z dopisanemi bylejak słowami *ex li-*

bris, oraz nazwiskiem u góry lub u dołu. Zasada sztuki stosowanej wymaga, aby rysunek odpowiadał przedewszystkiem swemu przeznaczeniu. W danym razie winien on zatem uwydatniać, do kogo książka należy oraz, że etykieta ma służyć do książek, nie zaś do czegobądź innego. Z dwu tych pierwiastków, osobistość właściciela, nowa i różna w każdym ex-libris'ie, nadaje kompozycyi cechę *par excellence* indywidualną; stanowi tedy właściwie główną jej treść, a jednocześnie otwiera wyobraźniom artystów najszersze pole. Dróg i sposobów szereg tu cały: bądź „par un plaisant rapprochement de l'image et du nom"; bądź przez rysunkową alegoryę, dewizę czy emblemat, streszczający upodobania i aspiracye specyalne danego bibliofila; bądź przez włączenie wizerunku samej osoby; bądź wreszcie przez czysto zdobnicze sharmonizowanie liter nazwiska lub jego inicyałów z liniami i barwami dekoracyi. W konkursie, gdzie przyszły właściciel ex-libris'u był niewiadomy, przeważna ta część zadania odpadała zupełnie. Można było jedynie rezerwować miejsce gwoli mniej lub więcej odpowiedniemu dostosowaniu później liter nazwiska. Kryła się w tem dla współzawodników pewna drobna zaleta praktyczna, że, mianowicie, w razie nienagrodzenia projektu, pozostawały widoki ewentualnego zużytkowania go przy innej sposobności. Z zasadniczego wszakże stanowiska, brak wyraźnego przeznaczenia odbierał z góry każdemu rysunkowi cechę *jedynej odpowiedniości,* a zarazem ograniczał fantazyę artysty do drugiej, mniej wdzięcznej, stałej w każdym ex-libris'ie i przeto nader już wyeksploatowanej połowy zadania, jaką jest uwydatnienie wyłącznego, specyalnego charakteru przedmiotu własności. I to znowu osiągnąć można dwojako: przez czysto zdobnicze powiązanie liter słowa ex-libris z linijną i barwną całością kompozycyi, albo też symbolicznie, przez motyw, temat, alegoryę czy emblemat zawarty w samym rysunku. Prawdopodobnie z powodu, iż poczucie niehistoryowanej, linią i barwą jedynie działającej dekoracyi chroma u nas jeszcze naogół, — ogromna większość konkurentów chwyciła się drugiego sposobu. Rezultatem przesmutnym—świadczącym, w dodatku do zwykłych niedolęstw i niedbalstw wykonania artystycznego, o zdumiewającym braku pomysłowości, wyobraźni, dowcipu — był zalew najbardziej wyszarzanych, wiekuistych, nieuniknionych szablonów i banalności, albo też fabrykowanych z wysiłkiem i niekiedy wprost nonsensowych rebusów. Na 40 nadesłanych projektów dwa tylko znalazły się bezwzględnie godne uwagi, którym nie zaszkodziły ani sama metoda konkursu, ani dodatkowe, przez bezimienność, jej uwadliwienie. — Autor pierwszego, p. Ant. Procajłowicz, wzorując się, ale

w szlachetny, twórczy sposób, na wycinankach i malowankach ludowych, dał pełną prostoty i umiarkowania, fantazyi i elegancyi, smaku i jędrności razem, linijną i barwną dekoracyę. Jest to jakby odrębna i świeża w formie tarcza heraldyczna, wykwitająca u góry w ciekawą, bogatą koronę, strzeżona z boków przez dwie cicho siedzące na gzémsach, stylowo wysymplifikowane ptasie sylwety, i wystrzelająca nagle z płaskiego, szerokiego brzegu dolnego fantastyczną kaskadą jakiegoś ostrokańciastego chwosta smoczego, z którym oginające się elastycznie wokół tarczy ogony tamtych strażników rozwidlonemi językami swobodnie się zbiegają. Na tarczy, skromnemi, prostotliwemi literami, słowa *ex libris* oraz nazwisko właściciela. Niewyszukane to, odruchowe jakieś, a wyraziste, krzepkie i wykwintne zarazem. Rzecz traktowana szerokiemi płaszczyznami, co do dekoracyi książkowej najlepiej się nadaje. Harmonia barw również wytworna a mocna. Cała tarcza intensywnej, ale niekrzykliwej czerwieni; kontury wszystkie, dolne ptaków połowy, oraz jakieś turmaliny, inkrustujące środek chwosta smoczego i czuby korony, — matowo czarne; litery — białe w czarnym konturze. Całość, na spokojnem szaro-bzowem tle, łatwa do sharmonizowania z najróżnorodniejszemi *vorsatz*-papierami. Rozmiary — w stosunku do dzisiejszej przewagi małych 8-ek — może nieco zawielkie. Miejsce na imię i nazwisko może nieco zaciasne. Ale to już, wobec wszystkich zalet, drobiazgi. W każdym razie jest to jeden z najsmaczniejszych i najoryginalniejszych ex-libris'ów czysto dekoracyjnych, który w każdym zbiorze wybitne zajmie miejsce. — Drugi projekt nagrodzony do symbolicznych, aluzyjnych raczej zaliczyć należy. Autor jego, p. Tad. Rychter, dążył niewątpliwie przedewszystkiem do osiągnięcia impresyi artystycznej. Zainteresowała go plama i ruch — i, starając się wydobyć je, nie myślał jeszcze zapewne o przeznaczeniu swej autolitografii na ex-libris. Trafem wszakże — i sam temat, i ów ruch pociągający artystę, nabrały w późniejszem, niespodzianem tem zastosowaniu dyskretnego, naturalnego, pozbawionego wszelkich sztucznych dociągań, jakby mimowolnego, a przedziwnie na znak własności bibliotecznej odpowiedniego znaczenia. Owa wojowniczo rozskrzydlona sowa, z jednej strony przez odwieczny stosunek jej rodu z Ateną, z drugiej zaś przez pogróżkowy charakter rozmachu, którym zda się bronić powierzonego straży jej przedmiotu, — stanowi doskonały emblemat w etykiecie książkowej, a niewymuszeniem swem i jakimś wdziękiem przypadkowości odbija szlachetnie i zwycięzko od niepoliczonych sztywnych sów siedzących z urzędu na księgach (częstokroć nawet u majstrów ex-libris'u, że wymie-

nię tylko Orlika), oraz od wszelakich zwierząt van Muyden'owskich, będących raczej winietkowo-historyjkową ilustracyą, suchym przekładem na rysunek jakiejś słownej dewizy czy anegdoty. Jako autolitografia jest to jedna z wiele obiecujących produkcyj najmłodszej grafiki polskiej, śmiała i oryginalna w całem traktowaniu, a w kolorach nader miła i do celów ex-libris'owych ze wszech miar podatna. Napis, później dodany, zbyt może tło zapycha; litery mogłyby być dyskretniejsze, a nie tak sucho szablonowe.

Z produkcyi pozakonkursowej, opartej na bezpośredniem skomunikowaniu się właściciela książnicy z trafiającym mu do przekonania artystą, — mamy do zanotowania tylko ciekawe akwafortowe ex-libris'y p. Fr. Siedleckiego, wykonane dla d-ra J. Drzewieckiego, prof. Wł. Heinricha i p. J. Lorentowicza. W pierwszym z nich (który, jako istniejący już w odbitkach ostatecznych, sam jeden omówieniu podlegać może) artysta, w symbolicznej kompozycyi, zawarł aluzyę do najbogatszego w księgozbiorze i najbardziej umiłowanego przez właściciela działu wiedzy tajemnej (alchemii, magii, kabały, filozofii indyjskiej, gnozy i mistyki). W głębi czystą światłością promienieją, strzeżone z obu stron przez uskrzydlone sfinksy, wrota memfickie, na zasłonie których zarysowuje się imię najwyższe (jod-he-wau-he) oraz zawarta w kole gwiazda pentagramu. Na pierwszym planie, ciemną, materyalniejszą plamą, tamują ku bramie tej dostęp: kobieta (nieco *modern*) o fascynujących oczach i ciemnym płomyku nad czołem, oraz leniwie i bezmyślnie gotowe ledz w poprzek wszemu cielsko jaszczura. Koncepcya nawet dla profanów dość wyrazista, dla świadomych zaś — interesująca aż do szczegółów, zwłaszcza ze względu na śmiałe, nieszematyczne traktowanie. Całość objęta migotliwą, swobodną ramką barokową, z za której dolnego brzegu wychyla się jak gdyby szerokie passe-partout z dyskretnie stonowanym napisem. Co do kwasorytu samego, — pragnęlibyśmy może tu i ówdzie większej energii i solidności w rysunku, ale za to raz jeszcze stwierdzić musimy, że pod względem specyalnych „smaków“ akwafortowych, osiąganych przez umiejętne kolejne wytrawianie, mało kto u nas p. Siedleckiemu wyrówna. Odbitki paryskiej Imprimerie Salmon — jak zwykle — znakomite.

Oto całe żniwo nowych polskich ex-libris'ów artystycznych. Jak widzimy, pokaźne jakościowo. Liczebnie za to nader niewielkie. Mamy zatem doskonałych wytwórców, ale brak nam amatorów. I nie dziw. Potrzeby estetyczne człowieka tak długo traktowano u nas jako zbytek i na ostatnie spychano plany, że dziś, acz znowu

kiełkować zaczynają, ale powoli i z trudnością. Gardłuje się dziś wiele o sztuce stosowanej, ale mało kto pamięta, iż zasadą jej i dążeniem jest nadać cechę piękna *każdej,* najmniejszej rzeczy w naszem otoczeniu. To też co chwila dysonanse wybuchają jaskrawe. W naszym zakresie — iluż to ludzi, już umiejących smakować w pięknych drukach, nie waha się zepsuć ich banalnym lub niesmacznym znakiem własności? Ileż bibliotek, nawet okazalszych, magnackich, pochlubić się zdoła własnym ex-libris'em *artystycznym?*

Może dla kogo przykładem i zachętą się staną trzy ostatnie wytwory sztuki polskiej w tym kierunku, które — za zgodą autorów i właścicieli — dołączamy w zeszycie niniejszym (str. 117, 140 i 146) w oryginalnych odbitkach autolitograficznych i akwafortowych.

Z. P.

KSIĄŻKI NADESŁANE.

POEZYA. — K. D. Balmont. *Sobranje stichow.* Tom I. Moskwa. Knigoizd. „Skorpion."—E. Dantinne. *Les rythmes de douceur.* L'édition artistique. Liege.—Deotyma. *Sobieski pod Wiedniem.* Cz. III i IV. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — J. Jankowski. *Skoczek.* Kraków. Druk. Uniw, Jagiell. — J. Jankowski. *Zwrotki.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — S. Jasiński. *Poezye.* T. I. Lwów. J. Chęciński. — B. Knösl. *Hrziczky s nebem i srdcem.* V Praze. Bursik a Kohout. — M. Konopnicka. *Poezye.—Przekłady.* T. VI. Warszawa. Gebethner i Wolff. — Z. Krasiński. *Pisma.* T. I—VI. Lwów. Księg. Polska.— Fr. Kvapil. *Když kvetly maky.* Praha. J. Otto. — Jan Lemański. *Colloquia albo rozmowy.* Lwów. Tow. Wydawn. — W. Rolicz Lieder. *Nowe wiersze.* (Wydane jako rękopismo). W. L. Anczyc i Sp. — J. Marcinowska. *Ogniwa.* Lwów. H. Altenberg. — J. Marcinowska. *Przebłyski.* Kraków. Anczyc i Sp. — H. Ochenkowski. *Klucz.* Kraków. Nakladem autora. — J. Pietrzycki. *Refleksy światła.* Lwów. Tow. Wydawnicze. — J. Przecławska. *Dusza.* Warszawa. P. Laskauer i Sp. — J. Rokyta. *Pouta a peruti.* Praha. F. Szimaczek. — *Schwedische Lyrik.* Deutsch von H. v. Gumppenberg. München. Dr. J. Marchlewski. — E. Słoński. *Okruchy.* Wilno. J. Zawadzki.— E. Słoński. *Pieśń nad pieśniami.* Warszawa. M. Borkowski. — A. Stodor. *Adoracya.* Stanisławów. A. Staudacher i Sp. — A. Stodor. *Jawnogrzesznica.* Stanisławów. R. Jasielski. — K. Woyczyński. *Poezye.* T. II. Kraków. D. E. Friedlein. — K. Wroczyński. *Circenses.* Warszawa. Centnerszwer i Sp.

POWIEŚĆ. — G. d'Annunzio. *Romanse Lilii— — Dziewice skał.* Lwów. Księg. Polska. — J. Augustynowicz. *W pryzmacie.* Warszawa. Centnerszwer i Sp. — M. Barrès. *Wyrwani z gruntu ojczystego.* Cz. I i II. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — F. Brodowski. *Liote.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Conrad. *Lord Jim.* T. I i II. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — A. Czechow. *Opowiadania.* Warszawa. M. Borkowski.— M. Czerny. *Dno Lety.* T. I i II. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — A. Dygasiński. *Lebensfreuden.* München. Dr. J. Marchlewski. — F. van Eeden. *Mały Janek.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — G. Flaubert. *Salammbo.* 2 tomy. Bibl. Dz. Wyb. — A. France. *Wybór pism.* Tom. II. *Gospoda pod królową gąską.* Lwów. Polskie Tow. Nakladowe. — K. Gliński *Boruta.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — M. Gorkij. *Troje.*

Tom I i II. Kraków D. E. Friedlein. — V. v. Heidenstamm. *Hans Alienus*. München. Dr. J. Marchlewski. — Helia (M. Cz. Przewóska). *Wnieskończoność*. Warszawa. Druk S-ów St. Niemiry. — T. Jaroszyński. *Chimera*. 2 tomy. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — M. Jokai. *Biała dama z Liwoczy*. Cz. I i II. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — M. Konopnicka. *Na normandzkim brzegu*. Warszawa. Gebethner i Wolff. — A. Krechowiecki. *Mrok*. Warszawa. Gebethner i Wolff. — J. Lie. *Ulwungowie* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — *Listy, które go nie doszły*. Przekł. J. Milczyńskiej. Lwów. H. Altenberg. — Guy de Maupassant. *Na wodzie*. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — A. Menszik. *Kralovna mych snu*. Trenczyn u Bakova. Revue „Dvacaty viek." — A. Miller. *Trzy cmentarze*. Warszawa. J. Fiszer. — M. Mutermilch. *Żydzi*. Warszawa. Gebethner i Wolff. — E. Orzeszkowa i J. Romski. *Ad astra*. Warszawa. Gebethner i Wolff. — S. Nałęcz Ostrowski. *Przed burzą*. Warszawa. Gebethner i Wolff. — M. Pawlikowski. *Obrazki i opowiadania*. T. I i II. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — S. Pilecki. *Historya ubogiej panny*. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — M. hr. Piniński. *Nowiny*. Lwów. H. Altenberg. — St. Przybyszewski. *Synowie Ziemi*. Lwów. Księg. Polska. — St. Przybyszewski. *Syny ziemli*. Moskwa. Knigoizd. „Skorpion." — M. Rodziewiczówna. *Dewajtis*. Trzy części. Warszawa. Nakł. „Wędrowca." — M. Rodziewiczówna. *Klejnot*. 3 tomy. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — A. Gjems-Selmer. *Nad dalekim, cichym fjordem*. Warszawa. G. Centnerszwer i Sp. — W. Sieroszewski. *Powrót*. Warszawa. Gebethner i Wolff. — M. A. Szimaczek. *Obrazki z życia*. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — Kaz. Przerwa-Tetmajer. *Zatracenie*. Warszawa. Gebethner i Wolff. — Jan Wroczyński. *Gawoty gwiezdne*. Lwów. H. Altenberg. — *Wybór nowel francuzkich*. Przekł. M. Rakowskiej. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — G. Zapolska. *„A gdy w głąb' duszy wnikniemy."* T. I, II i III. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — G. Zapolska. *Sezonowa miłość*. T. I, II i III. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — G. Zapolska. *Modlitwa Pańska*. Lwów. Polskie Towarz. Nakładowe. — H. Zbierzchowski. *Na złotej przełęczy*. Lwów. Księg. Polska. — *Z jednego strumienia*. Szesnaście nowel przez dziesięciu autorów z przedm. E. Orzeszkowej. Warszawa. E. Wende i Sp. — A. Znamirowski. *Śmierć*. Kraków. G. Gebethner i Sp. — S. Żeromski. *In Schutt und Asche*. Band I u. II. München. Dr. J. Marchlewski. — W. Żmudzki. *Z pamiętnika psychopaty*. Lwów. Księg. Polska. — W. Żmudzki. *Księga Bytu*. Lwów. Księg. Narodowa.

TEATR. — J. German. *Lilith*. Lwów. Polskie Tow. Nakładowe. — M. Golberg. *Prométhée Repentant*. Reims. Edition de la Jeune Champagne. — J. Kasprowicz. *Uczta Herodyady*. Lwów. H. Altenberg. — W. Lewicki. *O inne życie*. Kraków. Nakł. autora. — A. N. Nowaczyński. *Siedm dramatów jednoaktowych*. Lwów. Księg. Polska. — A. N. Nowaczyński. *Smocze gniazdo*. Warszawa. Centnerszwer i Sp. — L. Staff. *Skarb*. Lwów. Księg. Polska. — G. Zapolska. *Jojne Firułkes*. Kraków. D. E. Friedlein.

STUDYA LITERACKIE. — S. Brzozowski. *O Stefanie Żeromskim*. Warszawa. G. Centnerszwer i Sp. — J. Jankowski. *„Samuel Zborowski" J. Słowackiego*. Kraków. Druk. Uniwers. Jagiell. — Dr. J. Kallenbach. *Zygmunt Krasiński. Życie i twórczość lat młodych (1812—1838)*. 2 tomy. Lwów. Księg. Polska. — J. Leneveu. *H. Ibsen*. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — D. Mereżkowski. *Leon Tołstoj i Dostojewski jako ludzie*. Lwów. Polskie Tow. Nakład. — Dr. W. Rubczyński. *John Ruskin. Studya nad powiązaniem i uzasadnieniem jego głównych pomysłów*. Kraków. Nakł. autora. — T. Sierzputowski. *Romantyzm polski*. Warszawa. J. Fiszer. — K. Sosnowski. *Poezya Krakowska*. Kraków. Nakł. Tow. Miłoś. Hist. i Zabyt. Krakowa. — M. Zielewiczówna. *Amerykański filozof poeta (Ralf Waldo Emerson)*. Warszawa. E. Wende.

STUDYA ESTETYCZNE. — Prof. R. Muther. *Historya malarstwa*. Cz. III, IV i V. Warszawa. J. Fiszer. — A. Roux. *Życie artystyczne ludzkości*. Warszawa. Ge-

bethner i Wolff. — J. Tenner. *Estetyka żywego słowa.* Lwów. H. Altenberg. — J. Warchałowski. *O sztuce stosowanej.* Kraków. Nakł. Tow. „Polska Sztuka Stosowana."

WYDAWNICTWA ARTYSTYCZNE. — K. Sichulski. *XXX karykatur.* Kraków. W. Teodorczuk i Sp. — *Sztuka polska. Malarstwo.* Sześćdziesiąt pięć reprodukcyj najwybitniejszych przedstawicieli. Pod kierownictwem F. Jasińskiego i A. L. Cybulskiego. Lwów. H. Altenberg.

NAUKI FILOZOFICZNE. — K. Lasswitz. *Gustaw Teodor Fechner.* Warszawa. Wyd. „Przeglądu Filozoficznego." — H. Lichtenberger. *Fr. Nietzsche i jego filozofia.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — S. Saenger. *John Stuart Mill.* Warszawa. Wyd. „Przeglądu Filozoficznego." — H. Siebeck. *Arystoteles* Wyd. „Przeglądu Filozoficznego. — Dr. J. Vaihinger. *Filozofia Nietzschego.* Lwów. H. Altenberg.

KWESTYE SPOŁECZNE. — E. Demolins. *Potęga wychowania.* Cz. I i II. Warszawa. Wyd. Bibl. Dz. Wyb. — L. Braun. *Historya rozwoju ruchu kobiecego.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — E. Key. *Miłość i Małżeństwo.* Warszawa. M. Borkowski. — Dr. K. Niedzielski. *Słówko w sprawie feminizmu.* Warszawa. P. Laskauer i Sp. — M. Osmala. *O racyonalnym rozwoju kredytu dla rzemieślników w Królest. Pol.* Warszawa. Nakł. autora. — A. Parczewski. *A survey of the language map of Europe and a sketch of an International Peace Union for the Protection of Linguistic Minorities.* Paris. Paul Geuthner.— R. Penzig. *Jak odpowiadać na pytania dziecięce.* Warszawa. M. Borkowski. — Fr. Queyrat. *Gry i zabawy dziecięce.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Dr. S. Rundstein. *Studya i szkice prawne.* Lwów. Polskie Tow. Nakładowe. — G. Simmel. *Jak się utrzymują formy społeczne?* Lwów. Polskie Tow. Nakładowe. — Światlomir. *Ciemnota Galicyi.* Lwów. Polskie Tow. Nakładowe. — G. Tarde. *Opinia i tłum.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — E. Tardieu. *Znudzenie.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — H. G. Wells. *Wizye przyszłości.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — M. Zdziechowski. *„Pestis perniciosissima."* Warszawa. E. Wende i Sp.

DZIEJE KULTURY. — Ks. H. Kołłątaj. *Stan oświecenia w Polsce w ostatnich latach panowania Augusta III (1750—1764).* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Dr. J. Muczkowski. *Kościół św. Franciszka w Krakowie.* Kraków. Nakł. Tow. Miłoś. Hist. i Zabyt. Krakowa. — J. Ptaśnik. *Obrazki z przeszłości Krakowa.* Kraków. Nakł. Tow. Miłoś. Hist. i Zabyt. Krakowa.—M. Rawita-Witanowski. *Kłodawa i jej okolice.* Warszawa. Wyd. Kasy Dr. J. Mianowskiego. — S. Tomkowicz. *Bielany.* Kraków. Nakł. Tow. Miłoś. Hist. i Zabyt. Krakowa. — Dr. S. Tomkowicz. *Tyniec.* Kraków. Nakł. Tow. Miłoś. Hist. i Zabyt. Krakowa. — *Rocznik Krakowski.* T. V. Kraków. Nakł. Tow. Miłoś. Hist. i Zabyt. Krakowa.

HISTORYA. — K. Landmann. *Napoleon I.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — A. Rembowski. *Spadek piśmienniczy po gen. Maurycym hr. Hauke.* Warszawa. E. Wende i Sp.

PAMIĘTNIKI. — H. Keller. *Historya mego życia.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — W. Siemens. *Wspomnienia z mego życia.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — K. Tański. *Piętaście lat w legionach.* Warszawa. E. Wende i Sp.

ETNOGRAFIA. PODRÓŻE. — R. Kipling. *Listy z Japonii.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Z. Kłośnik. *Japonia.* Lwów. Nakł. Tow. Wydawniczego. — M. Ratuld-Rakowska. *Podróż Polki do Persyi.* T. I i II. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — Wacław Sieroszewski. *Korea. Klucz dalekiego wschodu.* Warszawa. Gebethner i Wolff.

NAUKI PRZYRODNICZE. — W. Bölsche. *O pochodzeniu człowieka.* Warszawa. G. Centnerszwer i Sp. — Dr. A. Combe. *Nerwowość u dzieci.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — A. Leduc. *Telegraf bez drutu.* Warszawa. E. Wende i Sp. — E. Metschnikoff. *Studya nad naturą ludzką.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — J. Tur. *Potwory w średniowieczu.* Warszawa. P. Laskauer i Sp. — *Wszechświat i człowiek.* Zeszyt I. Warszawa. Nakł. Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów.

WYDAWNICTWA ZBIOROWE. — *Myśl.* Księga zbiorowa wydana staraniem Redakcyi „Ogniwa.“ Warszawa.

VARIA. — A. N. Nowaczyński. *Skotopaski sowizdrzalskie.* Kraków. Drukarnia Narodowa.— *Sprawozdanie Towarzystwa „Polska Sztuka Stosowana.“* Z. I i II. Kraków. Nakł. Tow. „Polska Sztuka Stosowana.“ — *Wystawa drukarska w Krakowie.* (Katalog). Kraków. Nakl. Tow. „Polska Sztuka Stosowana.“

VARIA.

PROTOKÓŁ posiedzenia komisyi sędziów WYSTAWY DRUKARSKIEJ, urządzonej przez Towarzystwo „POLSKA SZTUKA STOSOWANA“ w pałacu hr. Czapskich przy ul. Wolskiej w Krakowie. Dnia 17 Lutego 1905 r. — —

Skład sądu: pp. Wacław Anczyc, właściciel drukarni, Dr. Artur Benis, delegat Izby Handlowej i Przemysłowej, prof. Józef Mehoffer, artysta-malarz, Dr. Władysław Męsowicz, delegat c. k. Starostwa, Stanisław Szwejcer, zecer w drukarni Fiszera, prof. Jan Stanisławski, artysta-malarz, i Edward Trojanowski, artysta-malarz. — Przewodniczył prof. Jan Stanisławski. Protokół prowadził sekretarz T-wa Jerzy Warchałowski.

Komisya miała do rozdania 3 medale srebrne i 6 bronzowych, przyznanych wystawie przez c. k. Ministerstwo handlu, nadto nagrody pieniężne Wydziału krajowego dla pracowników drukarskich.

Po dokładnem zapoznaniu się z materyałem i po wyczerpującej dyskusyi, komisya powzięła następującą uchwałę:

Z pośród zakładów drukarskich, które wzięły udział w wystawie, wyróżnia się poważnem traktowaniem drukarstwa, pierwszorzędnemi zaletami zarówno technicznego wykonania jak i artystycznego układu całości

Drukarnia Uniwersytetu Jagielońskiego w Krakowie.

Korzystając z prac artystów: Stanisława Wyspiańskiego i Jana Bukowskiego, w osobie tego ostatniego pozyskała nadto stałego artystycznego kierownika. Drukarni tej przyznano *medal srebrny.*

Artystą, który drukarstwo współczesne polskie pchnął na tory prawdziwej sztuki jest p. Stanisław Wyspiański w Krakowie. Poczynając od tygodnika „Życie“, którego typ artystyczny stworzył, aż do ostatnich licznych własnych wydawnictw, nadaje on dziełom swoim odrębny wyraz, nie ograniczając się do rysowania ozdób i winiet, lecz układając osobiście po drukarsku całą książkę. P. Wyspiańskiemu przyznano *medal srebrny.*

P. *Jan Bukowski,* z Krakowa, podobnie jak Wyspiański pojmuje zadanie artysty w zakresie drukarstwa. Poświęciwszy mu się

specyalnie, będąc nadto stałym kierownikiem artystycznym drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego, zasila swemi pracami, zarówno rysunkowemi jak i wzorowemi kompozycyami drukarskiego układu książki, wszystkie niemal wybitniejsze drukarnie polskie. P. Janowi Bukowskiemu przyznano *medal srebrny*.

Z wydawnictw reprezentowanych na wystawie, PIERWSZE MIEJSCE zajmuje „CHIMERA“ miesięcznik wydawany i redagowany przez p. Zenona Przesmyckiego w Warszawie, drukowany w warszawskiem Towarzystwie Akc. Art. Wyd. (obecnie Tow. Akc. S. Orgelbranda i Synów). JEST TO JEDYNE WYDAWNICTWO PERYODYCZNE W POLSCE, KTÓRE, dbałością o artystyczny układ całości, o dokładne odbijanie klisz, o całą stronę ilustracyjną, papier, czystość druku, STOI NA POZIOMIE NAJWYŻSZYCH WYMAGAŃ WSPÓŁCZESNYCH ZARÓWNO ARTYSTYCZNYCH JAK I TECHNICZNYCH. Ze względu na warunki, w jakich powstało, na trudności natury technicznej, które mu stały na przeszkodzie, na szczęśliwe przełamanie istniejącego szablonu, ma wydawnictwo „CHIMERY“ zasługi niepospolite, ZNACZENIE DLA ROZWOJU POLSKIEGO DRUKARSTWA PIERWSZORZĘDNE. Oddziaływanie „CHIMERY“ nie ogranicza się do Warszawy, lecz znalazło również oddźwięk w Krakowie, wpływając i tutaj niewątpliwie na wzmożony ruch w zakresie drukarstwa; nadto korzysta „CHIMERA“ z licznych prac artystów krakowskich. Dla tych względów, mimo, że podług regulaminu Ministerstwa handlu, firmy pozakrajowe o nagrody państwowe ubiegać się nie mogą, komisya, uznając, że „CHIMERA“ zasługuje na ODZNACZENIE PIERWSZORZĘDNE, uchwaliła prosić Ministerstwo handlu o przyznanie jej dodatkowego medalu srebrnego, drogą wyjątku, przewidzianego regulaminem [1]).

Liczne wydawnictwa beletrystyczne, odbijane w *Drukarni Narodowej (N. Telca)* w Krakowie, odznaczają się czystością druku, starannością układu i artystycznemi okładkami i ozdobami, których dostarczają artyści. — Drukarni narodowej przyznano *medal bronzowy*.

Drukarnia Władysława Teodorczuka (A. Ripper) w Krakowie, specyalizująca się w tak zwanych robotach akcydensowych i wyko-

[1]) „Nagrody rządowe Ministerstwa handlu mają być oznakami uznania za znakomite prace zdziałane przez reprezentantów *krajowego* przemysłu i rękodzielnictwa... Jeżeli komisya wystawowa jest tego zdania, że zasługi zagranicznego uczestnika wystawy albo sprzedawcy usprawiedliwiają obdarzenie go nagrodą rządową Ministerstwa handlu, winna przedstawić ten przypadek Ministerstwu handlu.“ *(Rozporządzenie Ministerstwa handlu z dnia 10 czerwca 1875. Punkt 6.* — Nr. 80 Dziennika ustaw państwowych).

nywaniu odbić jedno i wielobarwnych za pomocą płyt wyciętych w linoleum, wykazuje wielką ruchliwość, dbałość o dokładność odbić i o artystyczne ozdoby o charakterze swojskim. Drukarni Wł. Teodorczuka przyznano *medal bronzowy*.

Księgarnia H. Altenberga we Lwowie przedstawia rzadki u nas typ firmy wydawniczej, dbającej o estetykę książki. Posługując się w tym względzie często pracami artystów, osiąga również dobry rezultat techniczny przez powierzanie druku pierwszorzędnym zakładom. Firmie H. Altenberga przyznano *medal bronzowy*.

Za wystawione prace (rysunki, układ drukarski książek i t. d.) przyznano również *medale bronzowe* następującym artystom: Stanisławowi Dębickiemu ze Lwowa, Karolowi Fryczowi z Krakowa i Henrykowi Uziembło z Krakowa.

Ponieważ pp.: Eugeniusz Dąbrowa Dąbrowski i Antoni Procajłowicz z Krakowa za prace swoje drukarskie zasługują również, zdaniem komisyi, na podobne odznaczenia, medali jednak więcej komisya do dyspozycyi nie miała, uchwalono prosić Ministerstwo handlu o dodatkowe *medale bronzowe* dla dwóch wymienionych artystów.

Po wyczerpaniu odznaczeń Ministerstwa handlu uchwalono rozdzielić *nagrodę pieniężną Wydziału Krajowego* pomiędzy pracowników: Drukarni W. L. Anczyca i S-ki pp.: Franciszka Junego i Franciszka Kocha; Drukarni Narodowej (N. Telca) pp.: Rudolfa Blausztejna i Marka Schlaefriga; Drukarni Władysława Teodorczuka (A. Ripper) pp.: Alberta Botko, Tadeusza Kolkiewicza, Franciszka Remberkowskiego, Ottona Szedenika, Karola Seyfrieda, Henryka Taulmanna, Franciszka Zemaneka; Drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pp.: Ludwika Królikowskiego i Karola Topińskiego.

Za dobrze odbite afisze artystyczne jedynej reprezentowanej na wystawie *Litografii A. Pruszyńskiego* w Krakowie, komisya, nie rozporządając już odznaczeniami Ministerstwa handlu, uchwaliła dać zakładowi A. Pruszyńskiego *list pochwalny od komitetu wystawy*.

Nie ubiegali się o nagrody, jako członkowie jury: Drukarnia W. L. Anczyca i S-ki, pp.: Józef Mehoffer, Edward Trojanowski i T-wo „Polska Sztuka Stosowana."

Komitet wystawy składa niniejszem podziękowanie komisyi Sędziów, nadto p. Wacławowi Anczycowi za bezinteresowne wydrukowanie katalogu i p. Władysławowi Teodorczukowi za również bezinteresowne odbicie afisza.

CHIMERA.



Józef Mehoffer 1899

CHIMERA — 26.

TREŚĆ

TOM IX. ZESZYT 26. — XI/MCMV.

KRONIKA MIESIĘCZNA

Litografię okładkową odbito w pięciu kolorach w zakładzie W. GŁÓWCZEWSKIEGO w Warszawie

Światłodruk z rysunku F. KHNOPFFA wykonano w chemigrafii B. WIERZBICKIEGO; autotypie i cynkotypie — w zakładzie TOW. AKCYJNEGO S. ORGELBRANDA SYNÓW w Warszawie.

Papier wyrobiono dla Chimery w fabryce C. A. Moesa „Pilica."

Składał i łamał JÓZEF PERŻAK. — Odbijali na maszynie: tekst — ALEKSANDER TATAROWSKI, autotypie — TOMASZ STANKOWSKI, okładkę — FRANCISZEK ADAMCZEWSKI.

Pod zarządem PIOTRA UKLAŃSKIEGO

Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów w Warszawie.

Powieść o Udałym Walgierzu.

III.

Spod głuchej męki wstał rycerz rano. Głęboki lęk ozionął serce upadłe i żal, niebaczny na wywody rozumu. Dokądkolwiek zawrócić wolę, nie ratunek się znajdzie, lecz wątłą mgłę obawy. Raz wraz przekosi duszę trwoga, jak dreszcz, co się z mokradeł wylęga. Piersiom rycerskim brak tchu. Z ręki omdlałej czyn wylata...

Zatroskał się głęboko Mściw: pod jego dachem dziwożona piersi koniądza dusiła... Pod jego dachem gościa serce jest oczynione i od strzygi uczynek został zadany.

Siedli do rady towarzysze i ugwarzyli gorącem słowem, że trzeba, nie tracąc czasu, iść do wróża po odczynienie.

Szli tedy wnet wszyscy czterej we święte tęgobory, w puszczę Łysicy. Zdążali chyłkiem, żeby ich zaś nie

dojrzał świadek, a nie doniósł niemcom z eremu, co u krańca puszczy siedzą. Brnęli woje brzegiem strumienia Czarnej Nidy, urodziwemi wądoły, wśród olch i świerków, po smugach mokrawiny, kędy się żywa woda w wysokich trawach kręgiem-kręgiem, wstęgą-wstęgą wije. A gdy się rozdzieliły strumienie i rozeszły, ten ku Strawczanej, a tamten ku wielkiej górze, ruszyli za środkowym, co po ostrych kamykach, po rudych mchach z uroczym szmerem pląsa. Skacze tam strumień z weselem w głębi swego łożyska, bełkoce pośród koślawych pazurów jodłowych, biega zdyszany to tu, to tam na obraz młodego a zdrowego ogara.

Weszli za nim rycerze w pustosz, w ciemną i głuchą knieję. Cichy wiatr nuci tam samemu sobie, kołysząc się w spławach jedli zielonych, co zwisają ku ziemi. Cichy tam wiatr, pachnący wiatr błądzi, stąpa, wzdycha w puszczy. Kiedy niekiedy sfrunie na trawy. A trawy tam mokre, wysokie, rubinowe spodem od ukrytej jagody, a wielobarwne po wierzchu. Trawy tam modre i rumiane, złote i białe od uśmiechów dobrotliwej matki, świętej Pogody.

Przywiążą wiciądze konie do pniów, odpaszą miecze, zdejmą skórzane kaftany. Strach pada w dusze.

Idą ostrożnie w głęboki bór.

Zwały na drodze ich, wykroty, doły. Tramy przed czasy upadłe gniją w wieczystym pokoju. Zwalił je wicher z zachodu lecący, straszliwe skoki Śwista-Pośwista, gdy, pędząc na wielkich koniach grzywiastych chmur z grzmotem pod kopytami, a piorunem u lewego boku, deptał puszcze. Ponad zgniłemi truchłami jodeł plenią się cudne bugaje młodocianych jodełek, chciwe na wodę, ciche potomki Lela-Polela. Olbrzymie głazy, obleczone w grube kożuchy mchów, we śnie tam śpią nieprzespanym. Szemrze wśród nich ukryty głos strumyka. Wiedzie pogwarem w górę a w górę, pod szczyt, jak młody, wierny pies.

Aż oto we dwie strony odchyli się zwarty, jodłowy bór i ukaże się widnia polany. A na polanie buki niezmierne, buki głuche, buki piorunowe kępą samotną królują. Głowy ich, co burz tysiącem wzgardziły, zawżdy we mgłach. Ramiona konarów krzyżują się pomiędzy sobą. Plączą się twarde rózgi i dotykają liście.

Zdala tu płyną podróżne chmury nocować na widłach konarów, owijać się o wielkie śniaty i śnić chłodnemi rankami o ziemi nisko rozległej. Z gałęzi buków rozchodzą się i zstępują w różne strony na garbatą i płaską ziemię dzikie, srebrnosiwe pawęże gradowe, posępne białe kudły śnieżyc i bure, senne kądziele dżdżu. Tam się w stalowych gałęziach hodują czerwone wstęgi piorunu. Pnie ze wszech stron otacza wielki tyn. Zaparte w nim na głucho wrót wierzeje.

Przyszli czterej do wrót i kołacą z łoskotem, — raz, drugi, trzeci. A gdy raz trzeci kołacą potężnemi pięściami, cicho się wrótnie rozsunęły na prawo i na lewo. Święta przed nimi kontyna.

W cieniu buków starych - prastarych kryje się jej wysoki dach i ściany z cisowych śniatów. A wkoło niej trawy a trawy. Niedeptany, kwietny łan, niwa bodze poświęcona. Kości tam koni Swaroga w ziołach bieleją. Grzbietu koni Swaroga nie dosiadł przenigdy człowiek. Nie okiełznał ich uzdą jeździec, ani opasał popręgiem. Nie znieważył ich rzemień kiścienia, ani dotknęło pogłaskanie. Nie obciążała ich przenigdy praca, ani ogłuszył zgiełk boju o ludzkie krzywdy.

Żyły tu wieszcze rumaki w trawniku świętej Pogody. Wodę piły, gdy wola, ze źródliska wiecznie żywego Czarnej Nidy, co z głębin góry bije, a spod przyciesi bożnicy baniami przejrzystemi wytryska. Starość je do snu wiekuistego śmiercią uśpiła. W owych się ziołach, na puchach kwiatów, pod bukami układły, spać z dobrawoli na wieki.

Swarog rozwiązał ich żyły, a piękne kłęby i lśniące łopatki w zwłoki gnijące zamienił. Lel-Polel obmył czystemi wodami z chmur na bukach osiadłych kości białe, krew struchlałą a ciało zgniłe połączył z ziemią i niewidzialnemi drogami poniósł do głębokich korzeni bukowych. Świst-Poświst osuszył, co się ostało, i prochem życie rodzącym rozniósł po puszczy, a rozdał kwiatom i mchom.

Rogi tam, kręgi, piszczele lotnych nóg świętych jeleni puszczańskich, które na dni ostatnie starości przyszły były paść się w ogrodzie — i, strudzone długością żywota, zasnęły u drzwi kontyny.

Kości tam białe i kielce wygięte wieprza dzikiego, co bezpiecznie przychodził z pustyni leśnej gnić pod progiem wysokim... Kości tam wilka, co stary i zapadłoboki, z żelaznemi od głodu ślepiami, a pod okiścią zimową przemarzły, przywłóczył się na chwilę ostatnią...

Śnią ponad źródłem, co, jak serce w piersi człowieka, wiecznie w łonie ziemi bije, kępy dzięgielu. W pierzastych liściach rozkwitł kwiat. Tajemny kwiat, co tynem bezpiecznym otacza dom człowieka od uroku czarownicy... Tajemny kwiat, co za dnia weseli widokiem swoim upadłe serce, a nocnym zapachem odgania cień chodzący dokoła węgłów i niweczy wielki strach nocny pod strzechami.

Patrzą ku słońcu niezmrużonemi oczyma promieniste złocienie. Jasna ich moc za siódmą górę a za dziesiątą rzekę odgoni widmo złośliwe, jeno o świcie wstań, gdy jeszcze łąka rosą opita, rwij jasne główki złocieniowe i pilnie noś na sercu.

Pod ciemnym tynem jakgdyby poblask na wodach zorzy wieczornej... Lecz to nie zorzy poblask na wodach, jeno ciemno-niebieskich dzwonków zatoka. Na powikłanych odnóżkach, jakoby na rusztowaniach ciesielskich, przedziwnej siły wiszą dzwony, w które ranna zorza

dzwoni. Skłonią się barwicą swoją oczom przybyszów dzwony z zorzy porannej przez wiatr i słońce tkane. I pozdrawiają oczy przybyszów nadobne kwiaty plemieniu ludzkiemu przychylne, a darowują oczom tę barwę, której ponad wszystkie inne trwożą się dziwożony.

Wielobarwne motyle, rzekomo latająca łąka, snuły się nad kwiatami, ssąc z nich tajemne pokarmy. Jaskółki śmigały żywo dookoła ścian bożnicy z piskiem, świadkiem radości żywota. Znosiły żer pisklętom do gniazd przytulonych u szczytu kontyny pod głowicami Swaroga. Szerokie, boczne podstrzesza świątyni pełne były gołębich gniazd. Gruchanie płynęło stamtąd dwiema żywemi falami. Płomienista wiewiórka przemknęła po gałęziach i skokiem znikła w szczytowym dymniku.

Jakoby na jej znak, na oznajmienie stanął na progu dziad prastary. Kudły siwe pasmami spływały na jego ramiona, a biała broda na piersi. Przeraźliwe i groźne oczy miotały ogień spod wielkich brwi. Zgarbiony był, wsparty na kiju, odziany w łachman. W ręce dygocącej, jakoby z zimnicy, trzymał kazubek z osikowej kory, a rubinowe jagody sypały się z naczynia w trawę.

Ujrzawszy obcych, straszliwych ludzi, wejście sobą zaparł i rozkrzyżował ręce.

Rzekł Mściw pokornie:

— Wróżu, my swoi...

Milczał.

— Dziadu, patrz na mnie.

Spojrzał na niego wróż i długo przebija oszczepami oczu. Aż wyszepce:

— Krzyż na twej piersi.

— Krzyż na mej piersi, lecz w sercu bogi.

— Czegóż to chcesz?

— Żebyś z jednego spomiędzy nas urok odczynił.

Zwiesił dziad głowę na piersi. Duma. Mamroce:

— Odczynić urok...

Aż się nagle poderwie, jak jastrząb ugodzony strzałą. Krzyczy:

— Idźta borem-lasem ku widni, idźta do niemców, co dzwonami strasznemi w knieję biją! Niechże ta woma urok odczynią.

Chwieje się jego stara głowa. Usta wykrzywia i oczy bielmem zawłóczy głęboki ból. Splatają się koślawe, sękate ręce. Śpiewa samemu sobie:

— Spaliły kloc...

Kloc stary, kloc wielgi, kloc święty w dymie, w dymie. Ogień go źre...

Pobiły żelaznemi broniami święte jelenie. Podusiły ptaki-krogulce. Gniazda zdeptały nogami. Zmaściły trawy końskiem kopytem i wycięły kosą świecącą...

Święte buki wyrąbały do cna żelazną siekierą. Upadł na ziemię buk... —

Zakołysał się, nikiej gałęź od wiatru. Pełne łez zamknął oczy. Zaszlochał:

— Świstu - Świstu - Poświstu...

Chodzisz stronami, borami a po górzystych wierzchołkach. Grzmot lata po ostrych skałach, a wiater maści lipy po górach. We wody pieron twój bije, w kamienie, w chałupy, w kostnice.

Pali, tratuje...

Przychodź...

Polelu - Polelu - Polelu...

Bij z wierzchołka, z wysoka! Strzelaj czerwoną procą!

Polelu! —

Wyciągnął ręce w świat i począł wzywać:

— Świstu - Świstu - Poświstu!

Przychodź!

Wielgi, wielgaśny, okropny!

Latasz teraz turniami, po wysokich, po górach. Śmigasz po siołach, po wodach, po żaliskach dalekich.

Uderz we wielgie we skrzydła, w szerokie!

Przychodź!

Bij krzywym nosem i rwij ostrym pazurem. Zakwicz, zaskowycz, zawyj, jako za małemi wilczyca w kniei.

Rozdujesz płomyczek mały-maluśki, rozdmuchasz we skrzydło tylośne, jako połać borowa od Jeleniej góry po Kamień.

Będziesz se chybko polatał nad dymem, będziesz se fruwał i wartko wiał krzyżami w ogniu, szubienicami po górach.

Będziesz se walnie tańcował we zgliszczach, w popiołach będziesz się bawił.

Będziesz se poświstywał dadana-da w piecowiskach wyziębłych, da na wysokich na grobach... —

A gdy śpiew dziada stał się cichy, a gdy ręce jego w przestrzeń podane stężały, gdy oczy w przestrzeń wbite zastygły, — daleko—daleko—daleko zaszumiał górski bór. Rozszedł się w puszczy jodłowej osłuch wichrowego polotu. Zdało się tym, co słuchali, że głucha ziemia stęka od wielkich kroków, gdy idzie przez bory lasy wezwany wicher-bóg. Cięciwa jego łuku tęskny wydaje dźwięk, a kołczan pełnostrzały szeleści nad kniejami. Padnie na jedle, na modrzewie, na cisy i na sosny podmuch-szum. Poda go knieja kniei. Wdyma się głos na górach, rozwija się, jako chorągiew bojowa, jako proporzec królewski.

Uśmiech na twarzy dziada.

A skoro buki, piastuny chmur, buki wzgardliwe, buki ponadleśne w harfiany głos uderzyły, padł na oblicze wróż. Kudły jego długie rozwiały się w badylach traw i wpełzły pomiędzy kwiaty. Siwy włos okręcił się dokoła szypułek, zahaczył na odnóżkach i plewach. I zstąpił

powiew Świstu-Poświstu z gałęzi buków na wyniosłe, na liliowe, na białe, rumiane i żółte zioła. Zakołysał się kwiecisty łan. Westchnęła od wonnych szmerów, od łaskawych szelestów, zagrała ze wszech strun łąka bodze poświęcona. A wonny powiew, jakoby dym, szedł przez szerokość tam i sam — ni to westchnienie, ni to pokłon, ni to uśmiech ocknionej dzieciny w majowe rano, ni to zalęknienie starca, co wita wchodzącą w progi śmierć. I wraz z zagajem badylów, wraz z wiotkiemi kiściami tysiącznika, chwiały się tam i sam włosy rozwiane wróżowe.

Gdy zamilkł powiew i ucichł szmer, a trawy rozkołysane w ciszy natchnionej nieme i czekające stanęły, dźwignął się wolno dziad. Twarz jego jako u trupów, oczy nie widzą, jak za dnia oczy sowy. Zgrabiałe ręce szukają w przestrzeni. Zwróciła się skostniała twarz wróża w koniądza Walgierza stronę, a przepaściste oczy uderzą weń, jako krzemienne groty ślepych, polotnych strzał. Szepcą uschnięte wargi:

— Woju wysoki...

Zła twoja, woju wysoki, dola.

Hej, bardzo zła twoja dola!

Słychać, jak ziemia w głębokości nad tobą głucho stęka, a woda nad tobą szlocha.

Sława twoja głęboko wzdycha, — och, głęboko, a nisko twoja sława w lochach płacze, och, bardzo nisko...

Wysoko twoja chwała polata, szeroko, daleko wieje. A chwale twojej końca niema. Idź, woju mocny, do stoku, co haw ze ziemi bije, nachyl się nisko, nisko nad wodą. I patrz. A skoro samego siebie zobaczysz, przypatrz się, woju, dobrze, żebyś, widzisz, samego siebie poznał po czasach...

IV.

Śmieje się w głos z bredni dziadowej.

Pędzi w cwał.

W konie! W stronę tynieckiego zamczyska, ku słońcu! Za nim dwaj towarzysze: Wydrzyoko i Nosal. Miecze trzaskają w strzemiona, parska biegun wypoczęty.

W piersi Walgierza serce radośnie łomoce. Tęskno mu do Wisły - wody, do widoku gór o świtaniu, gór, co daleko we mgłach błękitnieją. Obcą mu każda puszcza, długą mu każda droga, a ziemia zda się wielka nad świat. Kiedyniekiedy przemknie się w dreszczach cielesnych myśl urocza, jak widok łąk wiślańskich w podwiośnie:

— W cisowej komorze czeka, w cisowej Cudna żona śni. W podziemiu jęczy koniądz żupy wiślickiej — Wiślimierz...

I przyjdzie wnet do ucha, nieczekany w końskim tętencie, słabego szept wietrzyka:

— Uczyń mu dobrze, woju wysoki... Puść mu winę z dobrawoli, a karę zaklętą skróć. Odemknij kluczem ciemnicę. Zajrzyj w mrok, wejdź. Straszny jest mrok ciemnicy. Wyrwij słabego z kuny żelaznej. Weź-że go, weź w ramiona... Ugość go chlebem, napój go miodem. Zawrzyj z nim pobratymstwo na życie i śmierć przeciwko polskiemu i przeciwko czeskiemu królowi. Puść-że go, puść na koniu bogato siodłanym w Wiślicę, w starą ojczyznę...

Serce rycerza drży. Oczy się śmieją ku niebu A myśl, jak zapach kwiatowy, dymi się w duszy:

— Takem zaiste postanowił. Tak mu uczynię. Przez twą przyczynę, Cudna żono...

Jakby w nagrodę za ową myśl, jakby w przedziwnem powinowactwie z postanowieniem, — rozchylą się het-het lasy szerokie. Wiślańskie łęgi! Widać z wyżyny kwieciste, nieogarnione oczyma. Wierzby tam ponadwodziu rosochate, wikle się srebrzą w porannej mgle. Daleko dumają kępy sokorów, daleko w błękitach toną białe brzozy. W brzegach roskosznych płynie połyskliwa Wisła-woda. Toczy się popod wzgórza okrągłe i chlupie w gliny żółte osypisk, toczy się popod skały wapienne i wstęgą błękitu ich białe stopy otacza. Wraca się w łąki i zanurza się w lasy... A nad nią krzyk wiosenny czajek. Na skale białej, na skale wysokiej zamek drewniany basztami w niebo strzela.

— Tyniec widać... — szepcą druhowie.

Weprą rycerze żeleźca w boki biegunów i sadzą wskok łąkami kwietnemi. Wpław płyną przez Wisłę-rzekę. Skoro zaś bystry koń strząśnie ze siebie wodę na brzegu, uderzy Walgierz w róg. Uderzy raz, uderzy drugi w hejnał radosny, w dźwięk rodowy.

Padła z łoskotem brona nad rowem. Rozwarły się cisowe podwoje...

Cudna w nich żona!

Stoi we słońcu. Słońce w jej włosach jasno-białych nurza się, jakoby w sobie samem.

Jakże jest piękna!

Promień słońca wiecznego, gdy spadł z niebios na ziemię, gdy ziemię czarną nawiedził i spoił się z nią uściskiem, — zaprawdę w nią się przemienił.

Nie wierzy oczom swym Walgierz Udały. Nie wierzy uszom swym. Uśmiecha się do widziadła sennego, do duszy swej, do wieszczycy na jawie stojącej.

— Tyś to jest zaprawdę dusza moja... — szepta samemu sobie.

Szybkiemi kroki przypadła do strzemienia rycerza. Ręce do jego żelaznych ramion wyciąga...

Dźwięczą bale lipowe, w prastarej puszczy ciosane, pod ciężarem stopy żelaznej zadumanego, kiedy szepcąc, nie widząc w komnaty zamkowe idzie. Szumią nad jego szyszakiem drzewa zamkowe. Pachną ku niemu z dziecięcych lat znajome trawniki. Chwieją się w jego stronę pławiny domowych krzewów.

Nie widzi nic, nie słyszy nic...

Och, szepty teraz ciche...

Tęskota już skończona, już ukojone westchnienia i uschłe łzy. Już się oczy w oczach zamknęły, niby obłoki żeglujące od krańców świata — w głębinach jezior. Słowa nurzają się w słowa, usta nurzają się w usta. A każde słowo jest jako dym kadzidła, każde westchnienie pada do kolan żony, do stóp się schyla, na twarz upada we czci, ślad jej całuje. Nazwy nieznane, pogwary cudze, rzekomo z zaziemskiego języka spływają z warg. Wciąga rycerz oczyma roskosz widoku sprzętów i szat żoninych,

BIBLIOTHECA VNIV. IAGELL.

a ręką, drżącą od zachwytu, od szczęsnej trwogi, głaska długą, głaska jedwabną, rozpuszczoną burzę włosów.

Westchnął pocichu ze szczęścia.

Zakrył oczy, stanął i duma.

Duma o tem, że niewiadome moce dały mu oto taką chwilę. Duma o tem, że nie napróżno uszedł z obozu i polskiego zdradził króla, bo oto ziścił się sen, spełniła tęskna żądza. Dobrze uczynił... Duma o włosach żoninych, pieszcząc je ręką chciwą, i sen śni o jej oczach zaćmionych marzeniami, patrząc się w nie bez końca. Stał się bezsilny, dobry, szczęśliwy, jak ptaszek leśny, co na gałązce kalinowej śpiewa w boru. Stał się łaskawy, jak kwiat na błoniu od wiatru kołysany.

Wiedzie go żona cicho, cicho...

Wiedzie go żona sennemi kroki. W tajne idą sienie, w alkierze, w bokowe świetlice. Do baszty, do baszty, gdzie z dawien dawna ulubiona izba ich otworem stoi...

Odpasał koniądz po drodze i rzucił na ziemię ciężki miecz. Zwalił z ramienia puklerz olbrzymi. Szybko pozdzierał rękawice żelazne, co lubej dłonie uwierają. Rozpręga prędko sprzączki blachownic pancerza. Rzuca za siebie szłom, żeby nanośna stal pocałunkowi jasnych oczu nie wadziła. Już twarda przyłbica nie stoi między bezsilnemi czołami...

Aż oto próg miłosnej świetlicy.

Pozdrawia Walgierz oczyma roskosznice - ściany i uśmiech szczęścia posyła ciemnej, bizantyńskiej kotarze.

Wstrzymał się u proga — w modłach duszy, jakoby w gęstym obłoku.

W owej to chwili rzuci niewidzialna ręka rzemienny stryk na jego szyję.

Zdusi pętlica gardziel rycerza.

Mrok w oczach!

Strach!

Płaty krwi, zielone krzyże, koła ogniste. Huk w głowie!

Runął olbrzymi Walgierz na wznak. Ciemno mu w oczach. Tchu niema!

Błysk myśli:

— Śmierć nagła moja...

Chichot nad nim żonin — i jeszcze czyjś. Przez bogi! — i jeszcze czyjś... Cienki puinał przerażenia zwolna, nawskroś idzie przez serce:

— Wiślimierz!

Pochwycił rycerz Walgierz dech w piersi. Straszliwy gniew szarpie się w sercu. Pierwszą myśl siepie z pochwy mózgu, jak miecz:

— Jeszcze się wydrę!

Ale nim oczy rozewrzeć, sto rąk skrępuje mu ramiona i lędźwie rzemiennemi pętami, sto kolan przydusi piersi. Wloką go za bujne włosy. Wykręcili z jabłek ramiennych ręce obie i spoili łokcie rzemieniem. Spętali nogi w kostkach i kolanach, a w usta wbili z pakuł tłok skręcony. Ciągną go, dysząc, — tam — ku ścianie. Mamrot tłuszczy. Prędkie a krótkie rozkazy.

A w ścianę wbity żelazny słup.

Kuny przy nim zamczyste na ręce i na nogi, okrągłe skoblice na gardziel i pod pachy. Sprawnie zamknęli nieudźwignione kajdany żelaznemi kluczami. Młoty ciężkiemi zakuli na żywem, zdyszanem ciele sztaby zagięte.

Zaklepali. Na wieki wieczne zaklepali. Na wieki wieczne zaklepali.

V.

Dnie, noce, miesiące, lata...

Długie są dnie Walgierzowe, a noce są nieprzemierzone.

Zstępuje noc. Idzie mrok. Jak wilk zapadłoboki, wychylający się z lasu na łup, na żer czai się mrok... Ciemność pracowicie zatyka wąskie szpary między prętami okiennych krat. Strach pełza po nagich ścianach, zgryzota się wałęsa z kąta w kąt, a bose nogi zmory, nogi z mgły stąpają w ciszy.

Rozsunęła się niespodziewanie wielka zasłona, którą był Walgierz Udały onego czasu na carogrodzkich kupcach zdobył. Blask ognia uderza w oczy — i widok. Tam, w głębi!

W głębi, na skórach niedźwiedzich, w boju na puszczy ręką Walgierza zabitych... Tam w głębi Cudna żona w ramionach leży zwycięscy. Śmieją się w głos oby-

dwoje pośród pieszczoty. Odwraca głowę Cudna żona i mówi w ciemność:

— Więźniu! Więźniu, czy jeszcze śpisz?

Kochanek dorzuci z krzykiem:

— Więźniu, czy śpisz? Zbudź się, ospalcze, i patrz!

Ów milczy, do żelaznego słupa podobien, na którym wisi z dawien dawna. Powieki się raz na zawsze zawarły i oczy patrzą w głębinę nieszczęścia, w jaskinię wewnętrznej ciemności. Wówczas Cudka żona rozepnie pągwice, zwlecze z ramion oświk, szatę zwierzchnią, a gzło rozchyli. Nagiem ramieniem otoczy szyję zwycięscy. Śpiewa mu w czerwone usta miłosną piosneczkę, którą była mężowi dawniej śpiewała. A piosenka jest cicha, cicha, padwanek półszeptany, półnucony o leśnym ptaszku, o słowiczku i o gałązce nad wodą kaliny. Slucha Walgierz piosenki małej, w której, jakoby w kropli rosy, mieści się wszystek świat. A po każdym nawrocie padwanka, a po każdym pocałunku słyszy w ciemnicę swą zlatujące pytanie:

— Więźniu, czy śpisz?

Och, śpi. Zamknięte ma oczy na tryby tak twarde, jak twarde są ogniwa kajdanów. Głowa na piersi zwalona. Palce rąk twardy łańcuch objęły...

Wezmą wtedy oboje szczęśliwi lampę i zstąpią ku niemu z wysoka. Świecą mu płomieniem w oczodoły. Palcami mu dźwigają powieki mocno zawarte. A czynią tak dopóty, aż je otworzy i patrzy w nich ranami śmiesznemi źrenic, plugawym wstydem oczu. Wtedy z nadmiaru uciechy chichocą oboje. Wiedzą dobrze szczęśliwi, że skoro się te oczy rozewrą, już ich zawrzeć nie sposób. Wiedzą, że będą bezsilnie na roskosz ich patrzały, póki nie posną od szczęścia znużeni.

A gdy oni posną wysoko, jego, leżącego tak nisko, otoczą widma bezsenne i zmory wiecznie żyjące. Chodzi

dookoła głowy zabitej widmo ciche, zmora-mgła, a nóż ma w ręce ostry, szeroki. Niemasz miejsca w duszy, któregoby nie zraniło, niemasz chwili dawnej, ani chwili przyszłej, którejby nie pokazało w lustrze ostrego noża. I tak długo, tak długo, póki się ranek nie włamie między kraty okienne i świt jaśnie litosnemi oczyma nie wejrzy w norę więzienną.

Gdy ranek śpiących w roskoszy obudzi, siada Wiślimierz na posłaniu i ciska do stóp więźnia wzgardliwą kość jałmużny, kęs pożywienia z wczorajszego stołu.

Mocny jest głód.

Bardzo jest mocny głód.

Schyla się dumny rycerz i żre łaknącą żuchwą.

Pan pyta:

— Widziałżes szczęscie moje?

Wrosły w łańcuchy nie mówi nic.

I słychać jeszcze pańskie słowo:

— Skoro me szczęście uznasz dobrowolnie za prawe, uszanuję twoją sromotę.

Wówczas Walgierz Udały mamroce:

— Nie szanuj mojej sromoty, nie szanuj...

— Czemu, rycerzu?

— Albowiem, — rzecze, — jestem w kajdanach.

Lecz mówiąc słowa te, Walgierz drży w duchu i niegiętą dłoń trwogi czuje na gardzieli. Smaga się batami słów dawnych, słów dumnych, słów rycerskich, byleby nie dojrzano, jak żebra drżą pod łachmanem. Maca w sobie wzrokiem ducha ranę, źródlisko wieczne, i krew broczącą nieustannie trwożnemi dłońmi osłania.

Wie, co go czeka.

Cudna śmieje się ku porankowi.

Wieniec z kwiatów nadwiślańskich kładzie na jasne włosy. Blisko, blisko podejdzie...

Wyciągnie ku niemu rękę małą i dłoń na czole schylonem położy. Zanurzy palce we włosy, rzekomo ku pieszczocie. Weźmie na usta dawny uśmiech, podobnie jak bierze na ramiona szatę tkaną, a wieniec kwiatów nowych na bardzo piękne włosy. Łagodnym szeptem przedrzeźniać będzie imioniska pieszczotliwe, słowa - całunki i słowa - pogłaskania, które mu niegdyś w usta szeptała.

Wiślimierz wdzieje szatę wspaniałą z bezcenną futra opuchą, szatę, co ją był Walgierz nosił za dni szczęśliwych. Otworzył Wiślimierz skarbiec naddziadów i świętości rodowe Udałego przegląda. Jedne sobie zatrzymał, a inne rozdaje sługom.

Zeszli się słudzy, których był Walgierz w lochu trzymał bezprawnie, nogą popychał dla swej uciechy, psami szczuł z zemsty, pędzał kiścieniem do pracy, jako bydło robocze. Teraz go oni potrącają szyderstwy, smagają batem drwiny, kąsają zelżywem słowem i szarpią nikczemną ręką. Najśmielszy będzie go posiepywał za brodę, targał za uszy, szczypał w policzki. Najpodlejszy plunie z wysoka na jego spuszczone powieki.

A wtedy słychać z wierzchnicy książęcej śmiech Cudnej żony.

Więc oszaleje na nowo, po raz stokrotny, po raz tysiączny głowa Walgierza. Wydarł się z piersi po raz stokrotny, po raz tysiączny wewnętrzny głos, głos, co warg nie porusza, co na podobieństwo krwi żywej płynie z rany włócznią zadanej:

— Przyleć w huku płomiennym, Świstu - Poświstu! Boże - rycerzu! Uderz w shańbione oczy moje piorunem miecza i rozwal gromem czoło plugawe!

Wypal żagwią ognistą nędzną siłę widzenia! Niech już oczy moje nie widzą! Zagłusz nikczemne uszy gromem wojennym! Niech już ogłuchnę na wieki!

Zatop krynicę niewolniczych łez górnemi wodami, Lelu-Polelu! Niech już na wieki ustaną... —

Nie przyjdą ku pomocy bogowie.

Jasny jest błękit niebios, — trwa cisza, — a Pogoda udziela łaski swej Wiślimierzowi.

Tedy Walgierz przeklnie bogi i straszliwą zniewagę ciśnie w niebiosa. Zatrzasło się jego serce i zawarło, — mózg się wywrócił. Ciało, skręcone w kłąb, popadło w bydlęcy sen, w sen niedźwiedzia poszarpanego od stada psów.

Tak miną dnie, tak miną noce.

W godzinach zniewag, o każdej porze dnia, w każdym momencie wieczora Walgierz o jednem śni. O jednem śni...

Pociąga ramieniem łańcuch, pociąga łańcuch... A od pracy długotrwałej, niestrudzonej, stały się ogniwa łańcucha czujące tak samo, jak stawy, ścięgna i więzy ramienia. Wydłużyły się kości, rozciągnęły się żyły i przeszły w skręty żelaza. Dłoń czuje żylami i zna kośćmi każdy ruch ogniw, wie do cna siłę haków. Jest łańcuch niby wydłużona, bolesna ręka. Myśl pod maską snu i pod figurą upadku ciała śledzi wciąż jedno. Tam w górze macica śrubna, wkręcona w żelazny słup... Nie widzą jej oczy, nie dotyka jej ręka, lecz zna ją myśl. Wciąż niestrudzone, bezsenne, obłąkane badanie okrąża ją dzień i noc. Mutra zdaje się spać, jako i on. Nieruchoma jest, jako i on, ślepa i głucha, jako i on. Lecz pod nią śruba, wkręcona w słup, już się od targania porusza. Już się porusza...

Tak miną dnie, tak miną noce.

Aż o wyśnionym północku, gdy zamieć bije skrzydłami w czuby zamczyska, gdy Poświst łamie lasy i rozjuszony błąka się w puszczach, — natężył Walgierz ramiona, porwał dech w piersi, zestrzelił siły, postawił

wszystkę moc kości przeciwko wszystkiej mocy żelaza i wyrwał śrubę ze słupca.

Skrwawiona dłoń błądzi w powietrzu! A u niej łańcuch zwisa. A u łańcucha śruba, jak sztylet zwisa. Nogi w dybach, lewa dłoń w zamku, młoty zaklepana, pod pachami obręcz, ale prawica rycerska swobodnym łańcuchem włada.

Śmiech radości!

Porwał się ze snu Wislimierz. Krzykiem zbudził zamkowe sługi. Strach blady leci w komnaty. Wrzask przerażenia oddaje echo.

Cudna żona w kucki na łożu przypadła. Drży. Wielkiemi oczyma patrzy w więźniowy kąt.

Walgierz pieśni śpiewa. Ciemnej nocy i hukowi burzy dziękuje za chwilę. Woła ku sobie wroga, wzywa go na bliski bój. Ścierwo zniewag rzuca mu w oczy. Idą ku niemu siepacze chyłkiem, kupą, wilczemi skoki, ze wszech stron. Pan ich słowem i obietnicą nagrody podjudza. Rzucą się wraz.

Straszliwe ciosy więźniowej prawicy poczęły rozsiewać śmierć. Łańcuch się zmienił w rozszalałą włócznię, a śruba w koncerz sieczysty i w zdradziecki puginał. Leci na zbirów z wysoka, pada z boku, kołem się wije, z dołu godzi. Pękają czerepy od ciosów wielkiego gniewu, zapadają się piersi, zwisają złamane ręce.

Lecz krótka jest chwila szczęśliwej walki — i przeminęła. Nastała inna. Ręka zbroczona przykuta dziesięćkroć, stokroć.

Pan policzkuje zwyciężonego.

(Dok. nast.). Stefan Żeromski.



MUZYK. Rzeźba K. DUNIKOWSKIEGO.

I.

Kołysanka na początku.

. . . .

Zmruż oczęta, niewiniątku,
Pościj w Środzie, pościj w Piątku.

W cichym domku, w cichym kątku,
Krakowiaczek przy jagniątku . . .

. . . .

Burz się, burzo, kipiej wrzątku!

. . . .

W raju „pan" był na początku,
A ty później, kobieciątku: —
Służ! — dla zdrowia, dla porządku!

. . . .

Ideał małżeńskiego łóżka:
Być podkładną, jak pieluszka,
Być podległą, jak poduszka.

Choćby serce ci zadrgało,
Bądź naiwną i nieśmiałą,
Jak naczyńko — świeć pobiałą!

Lekuchniejszą bądź od puszka,
I ciężarną jak mać-stróżka!
Oto ideał sen-dziewuszka!

. . . .

Burz się, burzo! Kipiej wrzątku!

. . . .

Dość po-duszek śpiących w kątku
Dla hygieny, dla obrządku!

. . . .

Cobykolwiek gdzieś się działo,
Ty nie-dzielność wdziej na ciało,
Przysiąż tycia ideałom,

Módl się, na targ chodź z kobiałą,
Bądź okrągłą, jajko-białą,
A o inne troszcz się mało!

Po hesperyd czar-jabłuszka
Nie wyciągaj róż-paluszka!

. . . .

Wzór gosposi, lub kopciuszka!

. . . .

Burz się, domku! wal się, kątku!
Biedz na wolność daj trusiątku,
Według nowego obrządku!

. . . .

. . . .

. . . .

Biel jaj? pieluch? Pal sześć biel ich!



Dość truś, stróżek i kobielich!
Dość po-duszek! W górę kielich!

Dość mam „panów“! Licho strzel ich!
Idealów dość gazelich!
Trud, niewola — oto cel ich!

. . . .

„Cnót“ apostol przy mnie wzdycha
I odmawia od kielicha…
Dość!.. I na mnie przyszla krécha!

Czas już wyjść z tego zamątku!
Pora dojść do życia wątku,
Jako było na początku!

Pora rozsnuć elementy
Życia i spleść w nowe skręty!
Szczęść mi, Królu-Duchu-Święty!

. . . .

Długo bylam w domku *cicha,*
Niech mnie w kątek *„pan“ nie spycha!*

Dość! Swobody chcę do licha!

. . . .

„Pan“ piał basem, barytonem,
Solo, duo, trio, gronem...
Dość! Wystąpię ja z bardonem!

Hej! niech burzy się głąb'-fala!
Niechaj słońcem się opala!
Niech od lądu się oddala!

Niech ucieka od łach bieli,
Od mielizny, od kobieli,
Od bielizny, od pościeli!

Dosyć pełzać w kurateli
Ideałów-stręczycieli!
Dość! Popłynę głębiej, śmielej!

. . . .

„Pan“ mi duszę brudzi, wala!
Nie chcę „pana“ mieć brzydala!
Nie ustąpię ani cala!

Zagram sobie dziś czerwone
Sny, jak „pan“ zapalę, spłonę...
Niech śpią żony ciemiężone!

Niech śpi biała małża-żonka,
Niech sylaby życia bąka...
Ja się spalę w ogniu słonka!..

. . . .

Mieć mi każesz na uwadze,
Że, gdzie ogień, tam i sadze:
To ja na to nie poradzę.

Zapalenie sobie przełóż:
Zapał odkrył Prometeusz,
A gasidło — faryzeusz!

Z rozpalonych lic mych nie szydź!
Sam, gdyś lepiej umiał grzeszyć,
Mogłeś ogniem się nacieszyć!

Mogłeś w domu i za domem:
Tu'ś miał kościół, tam — Sodomę...
Życia'ś ziarno gryzł, ja — słomę.

Ślubny anioł prosto z pączka...
Ródź i ródź za bączkiem bączka...
Ach nie! Dość! Minęła śpiączka!

Czułolistną być mimozą
Nie chcę!.. Wierszem (białym!), prozą,
Rymem wołam: precz z tą pozą!

II.

W stały byt ufności nie łóż.
Przejadł mi się „Pan“ (Tadeusz)...
Byt się mieni, jak Proteusz.

Dziś nie trzeba mnie już bawić:
Sama umiem się nabawić,
Sama umiem się wybawić.

Ztąd wesele, a nie smutek
Powinienbyś mieć za skutek,

A ty smucisz się, głupiutek...
. . . .

Od wszystkiego trzymać zdala
Chciałbyś ją, bo wszystko kala?..
I cóż da ci taka lala?

Musisz nie z nią: za nią chodzić,
I jak z jajkiem się obchodzić:
Ono umie tylko rodzić.

Umie-ż pytać? odpowiadać?
Zadać? zgadać? badać? władać?..
...aje — tylko tłuc i zjadać.

Stuknąć, roztłuc jajka denko,
Jeść na twardo, średnio, miękko...
Taką Lala jest panienką..

Połowiczną, albo całką
Lubisz, jedz: jedz żółtko, białko,
Sól lub przaśne łykaj ciałko...

Sprawiedliwość jej tu trza dać:
Umie psuć się, staczać, spadać,
I kurczęciu życie nadać.
. . . .

Czasem jaje — hyc na konia...
Ale zaraz mu ciotunia
Krzyczy: — Stępa! Wolno, Niunia!..
. . . .

Tępe niunie od zła gorsze!..
Ze mną tempo *bierz najskorsze.*

Ja tam męztwem się nie zgorszę.

. . . .

Nawet jeśliś rzekł: „kobieta“ —
Milczę: rzecz nie do mnie pita.
Dosyć! Nie chcę! Nie i kwita!

. . . .

Nawet gdy małżeńskie łoże
Znęci mię (i to los może),
Zamiast dzieci — siebie tworzę.

. . . .

Próżno gniewać się i srożyć.
Nie dam ci się już potworzyć!
Bydła dość! Chcę ludzi *mnożyć!*

Formą *nie chcę być niczyją!*
Chcę być sobą!.. *Chcę* — per Dio! —
Być z lwem lwicą, z wężem żmiją;

Być panterą z leopardem;
Żyć drapieżnem życiem, twardem...
A na krów byt rzucam wzgardę!

Z krów — być chcę Jowisza Io...
Reszta krów, jak świnie żyją:
Karmią, karmią się, żrą, tyją.

Radećby żyć? lecz pasterzy
Z dworem pacht je (jak należy)
Do społecznej doi dzieży.

Czasem krowi archaniołek
Radby dumać... Nie — stój! Wołek
Ryczy, kopie... Miłość... Ciołek!..



Nie pomyśli ani troszka,
By swej użyć broni — rożka,
Przeanielska ta białoszka!..

. . . .

III.

Wśród błoń wsi, miast nizin, dołów
Nachwytałam tych aniołów —
Krowo - roślin. *Oto połów:*

Jajko - białek, byko - wołów,
Samcołówek, samicołów,
Ciał ciężarnych, brył woł - ołów;

Ćwiercio - ludków, zwierzo - połów,
Sumo - wąsych apostołów,
Cnót społecznych kuj - dzięciołów,

W pień kujących cały dzionek;
Dźwięcznych, szumnych małż-*małżonek,*
Skowroneczków, wron, skowronek;

Zniczka-stróżek i kapłonek,
Pni, kłód, próchen, witek, płonek,
Żon korzonków, kur-kurzonek.
. . . .

. . . .
Wieś... W dwór krówkę na zaplonek
Anioł wiedzie za postronek...
. . . .
W cichym domku gaśnie dzionek.
. . . .
Pan-ziem-dóbr-Arch-Anioł-Marek
Zejrzał szmat swych gospodarek.
Wieczór... Wszedł w domowy barek.

Zegar cyka... Słów pogwarek...
Serc kram-kramarz-gruchot-parek...
Szumi muszla-*samowarek...*

Jak w organach rząd fujarek,
W szafie lśni stek butli starek,
Szczęsnej doli lep-szafarek...
. . . .
Z kusą duszą, z sutym karkiem,
Mąż jej popchnął życia barkę,
I zaczęli gospodarkę.

Kark *oziębił jej krew krewką.*
Jak jesienne uschła drewko...
Pono lepiej było dziewką!

Wołająca chłosty bicza,
Rozkiełznana sprosność bycza
Zdarła krasę z jej oblicza.

Ach, gdy zewrą się współrzędnie
Byk z aniołem, — anioł więdnie...
Po anielsku, nieoględnie!..
. . . .

IV.

Ujrzał, wziął na ślubny lep ją.
Bylejakie gniazdko lepią
I cnotliwą biedę klepią.

Zrazu ślicznie: amo, amo!..
Później dziatwa wyje gamą:
Czemuś mię zrodziła, mamo?

Jakie ziarno, taka mąka.
Cóż wyłuskwi się ze strąka: —
Bąk, co toczy się i błąka.

Bączek kręci się na osi,
Nakształt Basi, Kasi, Zosi,
Gdy zakręci ośką ktoś jej.

Skończył, przestał kręcić słupek —
Basia bęc — upada trupek...
Spójrz... aż biało *od skorupek.*
. . . .
Wziął anioła fotografię,



Spłodził jej dzieciątko: baw je!
I zamyka książki w szafie.

Bo — powiada — są ode mnie
Lepsi, a to nieprzyjemnie...
Więc ich pod klucz, w szafy ciemnię.

Sam — w handelek, cnót przytułek,
Marsz — lub marsz do przyjaciółek...
Oto los małżeńskich spółek.

. . . .

Biało, biało, jak w kościele...
Anioł, anioł na aniele...
„Razem, młodzi przyjaciele!“

. . . .

Gdy nie w kuchni, gdy nie niańczy
Anioł, — papla w oklepańczy
Sposób, gra ci, chcesz, to tańczy.

. . . .

Śpiewa, turka, konfiturka...

Tur *tuż przy niej: póty turka,*
Aż ją zje — zje i da nurka.

. . . .

Słodki anioł lep-siostrzyca
Dobra: da każdemu lica,
Choć nic więcej — męczennica.

. . . .

Anioł nie śmie tchnąć. Ucieka
W kąt, jak mysz. Patrzy z daleka
Kot... Biedactwo się doczeka...

. . . .

V.

Po społecznych trudach, w przerwie,
Niech anielstwo *się rozerwie*
W gzach szakali, w hyen ścierwie!

. . . .

Mąż do utrzymanki macha.
Żona widzi, lecz się stracha
Robić piekło, *bo ma gacha.*

Pan dóbr: Władzio, Zdziś, Konstanty,
Dał jej stroje i brylanty...

. . . .

Oto są anielstwa kanty.

. . . .

Nowy Świat. Niebo-ulica.
Idzie biedna anielica...
Wnet Che-Rubin za nią hyca.

— „Zdrowaś?“ — „Pod twoją obronę
Uciekam się“... za mamonę!..
Tak już w niebie uświęcone!

Zmamił duszkę, ciałku lek da;
Niema drobnych, to jej czek da,
I skończona drobna klechda!..

. . . .

O przyjdź do mnie, Lucyferze!
Niech cię ujrzę, niech cię zmierzę,
Ty upadłe z nieba zwierzę!

. . . .

VI.

Jechał anioł w kraj paryzki:
Miał sztuk przywieźć nowe błyski...
Skonczyło się u kołyski.

Chodziła na „akademie.“
Piękny rapin *też nie drzemie...*
Ach, dziewictwa ciężkie brzemię!..

Mąż ją wyrwał ze sztuk toni,
Więc całuje go po dłoni,
Lub w co insze, gdy nie broni.

Szczęście, jakby się uwzięło:
Jedno, drugie dziecię-dzieło,
I rozwiane arcy-dzieło!..

. . . .

Spłodził anioł kupkę wierszy.



Zaraz niesie plon swój pierwszy
Pytać: czy ma talent szczerszy?

Znawca wziął ją w „cichy kątek.“
Oddała mu swój początek...

. . . .

Taki los już niewiniątek!..

. . . .

VII.

O przyjdź do mnie, Lucyferze!
Niech cię ujrzę, niech cię zmierzę,
Ty upadłe z nieba zwierzę!

Ty, co szukasz w niewiniątku
Rajów utraconych wątku,
W biednym domku, w cichym kątku!

. . . .

Burz się, burzo, kipiej, wrzątku!

. . . .

Tyś mię zmamił w drzew zakątku
Do pierwszego grzech-początku!

Tyś celował w nas, jak w metę!
Siebie'ś szukał przez kobietę.
Pora zająć się odwetem.

. . . .

Oto jasny wzrok otwieram.
Przebudzona'm, śmiała'm, szczera'm:
Teraz ja się w was pogmeram.

VIII.

W wszystkich, co mię obstąpili,
Mam coś: ten wre, tamten kwili,
Z tym jest miło, z tamtym milej.

Ten mię jawnie, ów do „kąta“
Szeptem ciągnie i zaprząta
Sobą, i w sieć własną pląta.

Rozżebranych oczu błyskiem
Łechce mię, jak odaliskę...
Górne słowa, myśli nizkie.

Gada mi o sobie, gada,
Sidli, mydli ta szkarada
Nieudolna, no i wpada.

— *Myślę — rzekł — o* górnem *dziele.*
Ja cię kocham górnie, *wiele,*
O zniż *do mnie lot,* aniele! —
. . . .

Gdy lot zniżę — jemu zguba,
Duszy mord, a mnie — czcza chluba,
Żem zniżyła górnoluba.

Ci to winni są pigmeje,
Że kobieta okrutnieje,
Gdy słów górnych jej się przeje.
. . . .

Tak, ty jesteś tym człowieczkiem,
Co na jour'*y chodzi z ćwieczkiem;*
Miodkiem, żółtkiem czka i mleczkiem;

Z tych, co wielbią nas pół-chutnie
I umią pół-brio, *pół-smutnie*
W familijną brzdąkać lutnię,

Mieć nad społeczeństwem pieczkę,
Oraz literatureczkę
Na obroczną międlić sieczkę...

Bluszczyk, czułek-mimozica,
Rymująca do księżyca,
Gwiazdek, szybek i do nic'a.

Denkiem swojem pół-spękanem
Chcą być duszy mojej panem
Te donice z mleczkiem grzanem!
. . . .

Inny znów mię z obawiaczy



Wolać „w kątek“ wiedzą raczy.
O, ten kocha mię inaczej!

Duchów spójnia synetyczna
Jego do mnie tak przytycznia
I ze mną umonistycznia...

Jeśli ci o duszę chodzi —
Weź ją: ciało me odchodzi.
A co? kwaśno? skisł dobrodziej?..

. . . .

Ten adorant — kwiat dzieciucha,
Gdy się zbliży — krew zeń bucha:
Lecz to nie promienie ducha!

. . . .

Ten tam owo Don-Michałek
Puszcza we mnie groty strzałek
Z szkieł i z oczu-ulęgałek...

. . . .

Trusi-poł, poł-szaławiły,

Do dobrego brak mu siły
I do złego: zbyt przegniły!

. . . .

Boże, albo Lucyferze!
Weź mię, bo mię złość już bierze!
Grzechów daj lub cnót bezbrzeże!

. . . .

. . . .

. . . .

A o — jest cnót bezbrzeg: o — ten.
O którą go kolwiek cnotę
Spytać, każdej zna istotę.

Wszelkie dobro zna z nazwiska,
Wie, co się przez cnotę zyska,
Ale z ciała grzech mu tryska.

. . . .

Jest i bezbrzeg nędz, sromoty —
Juda, brat Iskaryoty...
Zły, lecz kazi go cień cnoty.

Z czartem ma konszachty lisie,
I z „aniołem“ w kompromisie:
Bo pamiętać trza o misie.

. . . .

Jest i ten, co rozpustował,
Lecz już dziś się ustatkował,
Pod surdutem grzech pochował...

Czasem tylko się rozpina,
Czasem twarz drgnie libertyna
Wspomnień czkawką, fuzlem wina.

. . . .

Dosyć! dosyć! bo w zapale
Uniosłam się w takie dale,
Że nie będzie żyć z kim wcale.
. . . .

IX.

„Ci panowie“ mą zabawą.
Czasem im zaklaskam brawo,
Ale czasem... tak nudnawo!

Gdy coś Jan ode mnie wskóra,
Skora ćmi „pana“ Artura —
Ot zabawa — konfitura!

Każdy pragnie wyłączności,
Lecz mu w myślach to nie gości,
By mieć żal do swej jakości.

Więc ci powiem, choć zaboli'ć,
Że ja wolę cię nie wolić:
Nie — bo chcesz mnie przyniewolić.

Miłość — wola. Spójrz na dzieci:
Dziecko wolne do ust lgnie ci;
Gwałcisz — mierzchnie i nie świeci.
. . . .

Chcesz przynękać mą uwagę?
Na oschłości spójrz swe nagie,
Po których mam czczość i zgagę!



Cierpisz? Cierp. Myśl. Zbrój się zbroją!
Którzy cierpienia się boją, —
Nie będą moją ostoją.

Chce się pań-niewolnic-żonek?..
Gdybyś choć, in spe *małżonek,*
Władzy umiał dzierżyć trzonek!..

. . . .

Gdybyś ty mi był za ojca,
Mojej byłbyś mary zbójca,
Z domu umkłabym — ogrójca.

Gdybyś ty był moją matką,
Byłbyś złą arystokratką,
Bylby dom mi ptasią klatką.

Gdybyś ty był moim bratem,
Chciałbyś woli mej być katem,
Żywiłbyś mnie za opłatę.

Gdybym miała ć za siostrzycę,
Kłółbyś mię zawiści szpicem,
Wydzierałbyś mi, co chwycę!

A gdybyś mi był za męża:
Zamiast bronić, jak pawęża,
Strzelałbyś do mnie z oręża…

. . . .

Kochaj drgnienia swej dziewczyny
Do najmniejszej odrobiny
I odgaduj chęci z miny!

. . . .

Gdy chęć nie w twą zwracam stronę,
W siebie *zgany miej cofnione:*
Mrzyj i twórz się, jak ja płonę.

Tyś jest na to pan stworzenia,
Abyś ziszczał me życzenia.
Tyś jest dłuto: jam z kamienia.

Słabyś?—milcz; moc?—bierz mię w stadło.
Co stworzone, to przepadło:
Czcij lub w śmierć ślij nieodgadłą!

W twej niechęci, w nagan chmurze,
Ja ci się nie odnaturzę.
Bierz prym: miłuj! — ja przywtórzę.

Jeśli ujrzę coś tam w górze,
Wyżej wspinaj się ku chmurze,
A nie sięgniesz — mrzyj, Arturze!

. . . .

Co?.. draśnięta czuła tkanka

Niedorodzonego panka?..
Tak, otwarta boli zganka

Chcesz-li górne reje wodzić,
To bądź łaskaw się dorodzić:
Umrzeć i znów się narodzić.

Chociaż grzejesz mię oczyma, —
W twojem sercu obcość, zima...
Szukam duszy, lecz jej niema!

Mówisz słówka czyjeś? cudze?..
Nie wiem... Słucham, serce studzę,
Śmieję się, lecz w duszy nudzę.

Opowiadasz anegdotki,
Figle-migle, psotki-plotki...
Takież twoje górne lotki?

Jeśli chcesz wziąć górną górę,
Zaraz — bęc w literaturę...
A gdzieś ty?.. *za ciała murem!*

Wyraz twój — ckliwy kwas masek!
Cała twoja trestka — kwasek!
Ser-doniczny niedokwasek!..

. . . .

„Razem, przyjaciele, razem!“
Poco?.. Dokąd?.. Precz z ócz gazę!
Dość tumanić czczym wyrazem!

Rzuć „klucz“ górny, krat złam pręty,
Miej swój cel z Ducha poczęty,
Będziesz mi jedyny, święty!



Stłum ból-puzon, nie mnóż krzyku,
Nie trzymaj mnie na „kluczyku,“
Nie ucz kluczyć, ty „Kluczniku!“

Nie nauczaj w kahaliku
O tym cnót-idealiku,
Co się kończy na szafliku!

Nie chciej, bym była klucznica,
Miała fartuch, biel-jaj-lica
I czczy czciła świat Don-Nic'a.

Dziel mój cel-duch: będę celna
I różana i niedzielna;
Chcesz, to biało-ślub-weselna!

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

X.

O gdyby mi kto dał moce
Ciemnych dusz rozwidniać noce:
O to jeno się kłopocę!

Bo mi życie za sierocę,
Za pustynne, choć je złocę
Marzeniami w ciche noce.

. . . .

Cichy domek, cichy kątek...
Siedź i siedź w nim świątek-piątek,
Nakształt muszel-*małż-żyjątek!..*

Na podwodnych skał opoce
Nocą sny sobie stokrocę:
Śnię Król-Ducha czary-moce.

. . . .

Cichą noc „pan" zgwałcił — dzionek.
Jedno, drugie dziecię-dzwonek
Dzwoni... Wstał mąż — władzy trzonek...

Tryb codzienny — żon zagonek:
Wrzask, czesanie, mycie płonek...
Oto życie-tryb-skowronek!..

. . . .

Ach, ja grzeszna!.. Z moich słonek-
Dzieci — w noc mi jasny dzionek,
Lśniący złotem z kos-plecionek!

Me anioły-Magdaleny,
Me ukwiały, *me barweny!*
Me dziw-czary-cud bez ceny!

. . . .

Cichy domek, cichy kątek,
Pełen głośnych niemowlątek,
Aniołków... — Molocha wziątek!

„Pan“, gdy zbyt nabrzmieją weny,
Idzie zczczyć je do pij-weny.
Toć mu wolno — „dla hygieny!“

. . . .

Cichy domek, cichy kątek!..
Raju życia znikł początek:
Lucyfera to zawziątek!

O wy moje dzieci-weny,
Krew mi ssące śpiew-syreny,
Złotokose me hygieny!

. . . .

. . . .

. . . .

Cichy kątek, ciche łoże...
Biel pościeli... Pachną róże...
Bez zaleciał... Boże! Boże!

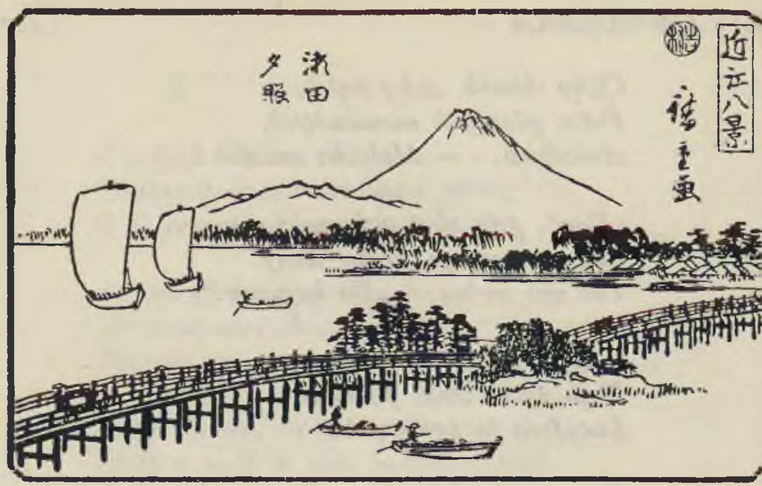
Ach, spadł z nieba aniol-zwierzę,
Gzom Molocha legł w ofierze...
Lucyferze, Lucyferze!

. . . .

Pst... Szept w cichej mej komorze:
Zwie Lucyfer na bezdroże,
Pali biel mą... Boże! Boże!

Czemuś w zmysły wlał mi wrzątek?
Czemuś wtrącił mię w zamątek?
Ach, już raju znikł początek!..

. . . .



Mąż podejrzał mnie w niewierze:
Podpatruje, śledzi, strzeże...
Lucyferze! Lucyferze!

Ach, łkam w cichej mej komorze...
Zapomniałam o honorze,
O kontrakcie... Boże! Boże!

. . . .

Kiedy weny chuć rozbierze,
Nie obronią cnót puklerze,
Lucyferze! Lucyferze!

Nie obronią mnie pacierze,
Nie obronią mnie szkaplerze,
Gdy nastawi czart więcierze!

. . . .

Jedno, jedno mi pomoże,
Jeno jedno: — gdy się STWORZĘ,
Gdy się TOBĄ stanę, BOŻE!..

. . . .

Sen-Duch-Księżnik-Król-Czar święty
Rozsnuł życia elementy,
By je w nowe zewrzeć skręty.
. . . .

XI.

Wykwitł ze mnie czar zaklęty.
Oto swe rozwijam skręty
Do miłości wielkiej, świętej.
. . . .
Ukochałam Króla-Ducha,
Tego moja hardość słucha,
Tego tylko chcę łańcucha!

Z ciał, co mię obległy mrowiem,
Najprzedniejsze ja wyłowię,
Jemu STAŃ SIĘ sama powiem.

Będzie to czarodziej-książe-
Księżnik czarny... Ten rozwiąże
Czar mój, tego uposążę.

Mojej woli mocą tchnienia
Jakiekolwiekby zachcenia
Miał — doznają wypełnienia.

Tak mu żądze rozświadomię,
Że, skoro pomyśli o mnie,
Będę jego, jak przytomnie.

Jam wężowo-skrętna wonność,
Niepożytość i niezgonność,
Nieuchwytność i wszech-chłonność!

Jam jest tem, co w snach się tai
Indów, Gang, Teb i Synai:
Agni'm, Wisznu, Adonai!..

. . . .

Izys... Moloch... i Astarte
Leżą, law ałunem zżarte...

. . . .

Księżnik-Czar odwraca kartę.

. . . .

Czaru nie mam już dzieciątek,
Im oddałam swój początek,
Im'em raju dała wątek.

By im w duszach raje uwić,
Musiałam się rozzasuwić,
Musiałam się rozobuwić,

Z Lucyferem zszeptać, zmówić...

. . . .

Jeszcze pachnie wonna bzu wić,
Jeszcze skrętów pełna'm, uwić...

. . . .

Im już nie kądziele lnu wić:
Im już pilno strój swój uwić,
Jasnościami świecić, mówić...

Księżnik-Czar-Król-Duch mój święty
Zżenił życia elementy:
Nowy żywot już poczęty...

. . . .

Jam wężowa raju wonność,
Jam owocność, rodność, płonność,
Niepożytość i niezgonność!

. . . .

Patrz... Lucyfer samotniczo
Płacze... Żal mu za dziewiczą
Nieświadomych dusz słodyczą.

Dusz anielskich niedorostki
Pożarł do ostatniej kostki...
— Żadnej, żadnej już miłostki!..

O chutliwe, biedne zwierzę!
Całuj sukni mej rubieże!
Słuchaj, wyrok ci odmierzę!

Stoję nad twem cielskiem wrogiem.
Leż!.. Na piers ci stawiam nogę.
Żyj!.. Lecz jam twym Panem-Bogiem.

Jan Lemański.



Zródła i ujścia nietzscheanizmu.

II.

Analogie historyczne dzisiejszej krytyki wytworzyły dziwaczne skróty przymiotnikowe, jak np. w dziedzinie sztuk plastycznych: „Giorgionesque,“ „Leonardesque“ i t. p. Co bynajmniej nie ma oznaczać prostego „jak Giorgione“ etc., lecz mówi o istotnych, nieuchwytnych, słowami niedających się może określić właściwościach mistrza, przytrafiających się u innego bezwiednie i niezależnie od wszelkich wpływów. Jest w tym przymiotniku coś jakby z absolutnych wartości życia ujawnionych w sztuce najwymowniej przez nazwanego mistrza. Nie są więc one zamknięte w granicach określonego czasu, nie są wyłącznym wyrazem jednej tylko dziedziny ducha.

Podobnie dziać się zaczyna i w krytyce literackiej. Od czasu większej poczytności dzieł Nietzschego przeddźwięków „nietzschéanesque“ poszukuje się wszędzie. A że to słowo jeszcze się nie utarło, przymiotnik „nadczłowieczy“ oddaje tymczasowe usługi, przesuwając zresztą punkt ciężkości i zwężając pojęcie, o które chodzi.

Szukano tych przeddźwięków przedewszystkiem w życiu: a więc w potężnem, ideowo jak puszcza groźnem życiu trzynastowiecza germańskiego, w prześwietlonych czasach Odrodzenia łacińskiego, w najbujniejszym z nierządów siedmnastowiecza polskiego, w nagłem rozprzężeniu tłumionych sił w czasach bezpośrednio porewolucyjnych — w roku 1789, i znacznie mizerniej, choć dla naszych czasów bardzo charakterystycznie, po 1830.

Lecz już w późnem Odrodzeniu naga zuchwałość udzielnej jednostki zmuszona jest narzucać na siebie płaszcz dworskiej obłudy i, jakby w potrzebie zemsty za tę konieczność, zdobywa nową broń: przenikania cudzej, tej niższej, pospolitej, tej „arcyludzkiej,“ która zmusza wprost wszystko samoistne do nakładania maski. A ten wzrok, z za wielkiej maski przenikający cudze, lichsze, jest nieubłagany: udzielność jednostki zatamowana w sferze życia mści się nielitościwie w sferze ducha. Tego poczęcia jest Macchiavel, potem w znacznie szlachetniejszym i głębszym typie Montaigne, wreszcie późniejszy i wykwintniejszy La Bruyère, ci pierwsi mistrze duszy nowożytnej.

A przeddźwięki te mówią nieco więcej niźli o tem, że czasu bujnego życia, pewnego rozluźnienia sprzęgów społecznych, tęższymi ludźmi kierowały moce mające dużo wspólnego z głuchym fermentem duszy dzisiejszej. Ówczesna tężyzna człowiecza w swych spontanicznych rzutach ideowych trafia nieraz w samo sedno intelektualnych i papierowych koncepcyj dzisiejszego immoralizmu,

w przeszłości dalekiem sercem dzisiejszego mózgowego „indywidualisty.“

To zakreśla też granice tych analogij. One są — jeśli tego terminu użyć wolno — zbyt heterogeniczne, aby dalsze ich rozwijanie nie natrafiało na wielkie ryzyko zarówno historyczne jak i psychologiczne. „Nadczłowiek“ jest ideałem dzisiejszej kultury czasów i życia, on ma je w sobie (ma nawet i demokratyzm oraz dekadencyę), lecz w ich ostatecznych konsekwencyach: w przezwyciężeniu. On jest ideałem postępu, nie zaś uwstecznienia, nadto, jak się rzekło, wytworem przeintelektualizowanych dusz. Bujne, na pół dzikie, własną wolą jak fatum kierowane jednostki średniowiecza, Odrodzenia, czy też polskiej retorycznej italo-kozaczyzny z 17 wieku, stoją z nadczłowiekiem w wątpliwem pokrewieństwie. Wszakże ich czucia, pomyślenia i słowa niejedne są znamiennie „nietzschéanesques.“

O właściwych zwiastunach Zaratustry, może być mowa od przedświtu warunków dzisiejszego życia, formowania się dzisiejszej duszy, od prototypów i ujarzmicieli dzisiejszego człowieka. Ci ujarzmiciele pewnych epok stworzeni przez ducha czasu na wzór i podobieństwo ich współcześników, stworzeni z gruba i ciosowo siłą tłumnych namiętności, stają się z kreatur bogami swych twórców, modelując ich indywidualne dusze na wzór i podobieństwo własnej. W tych soczewkach skupiają się wszystkie rozpierzchłe moce duszy czasu, rozniecając się do płomiennej potęgi. Nie odbiciem, głosem i narzędziem czasów jest człowiek wielki, lecz, mocą pewnego pokrewieństwa woli z tłumnemi podówczas namiętnościami, szczęśliwie nad poziom wyniesioną soczewką, kondensatorem duchowej energii czasu, używającym jej dla własnych swych celów.

I chociażby ten jego cel dla ludzi nienawistnym się stał, chociażby z czasem zgoła zapomnianym został, soczewka woli, mimo wszystko, póty fascynować ludzi bę-

dzie, póki w jej ognisku nie będą oni dostrzegali rozpierzchłych i skarlałych mocy własnej duszy, tam oto skupionych do światoburczej wprost potęgi. To zaś godzi z życiem, godzi z człowiekiem i sobą samym, darzy zaufaniem w swe siły, na najniższych szczeblach życia, w najbardziej własnych granicach ujawnienia swej woli.

I tuż na samej rubieży nowych czasów, tuż u źródeł współczesnej duszy, stoją dwa posągi, których bez pewwnych myśli i uczuć minąć niepodobna, jak niepodobna przejść bez podobnych uczuć i myśli przez Forum Romanum. To tchnienie potęgi z dusz najbardziej współczesnych upaja ludzi dzisiejszych do s n ó w o niej wśród ruin i gruzów realności.

Wokół Napoleona i Goethego krystalizowała się koncepcya nadczłowieka.

A gdy ocknięty ze snów swoich marzyciel, z rozedrganemi wszystkiemi strunami woli, zwróci się do realności z postanowieniem twardego jej opanowania, bez dobrowolnych lub na pół świadomych ułud i czułostkowości, i gdy ta realność spojrzy na niego tysiącem masek rzeczy i ludzi, wówczas — (koniecznemi byłyby tu omówienia analogiczne do uczynionych poprzednio przy Macchiavelu, Montaigne'u etc.) — natrafia na tejże rubieży wieków na Stendhala, którego zapoznani, a dziś na nowo odkryci bohaterowie okazali się pod wieloma względami esencyą dusz dzisiejszych, z tym dominującym w woli pierwiastkiem opanowania najbliższej realności, zdzierania masek z rzeczy i ludzi i zwalczania ich maską własną, lecz lepszą.

I tak oto błądzący wśród posągów marzyciel nie czuje się bynajmniej na cmentarzu, lecz przeciwnie wśród najszczęśliwszych ujawnień życia, w promieniowaniu najcelniejszych właściwości dzisiejszego indywiduum; czuje się pośród prototypów, mających w nieujawnianych głębiach historyi swe duchowe odpowiedniki i, aż po naj-

większe niże życia, na największych jego szerokościach, całkowitą hierarchię dusz: na wschód — aż po katorgi syberyjskie, na zachód—aż po galery Kajenny.

A że każda dusza ma w sobie to ślepe parcie do ujawniania najgłębszych, najbardziej nieświadomych swych podkładów, do prężności najbardziej nawet skarlałych w niej mocy, tedy tętno nadczłowiecze pulsować może w najnikczemniejszych nawet skroniach.

Syntetycznych wyrazów tej tęsknoty (aby od nich zacząć) w wieku ubiegłym nie brak. Przypomnijmy tylko: Carlyle'owskich „bohaterów,“ Emersonowskich „reprezentantów,“ Stirnera „jedynego“ i Renana „devasów.“ Dla nich wszystkich celem i dążeniem kultury była nie oświata wielkich mas, lecz najcelniejsze, najrzadsze okazy człowieczeństwa: ludzie wielcy [1]).

Żywsi, intensywniejsi i bardziej bezpośrednio do ducha przemawiający są ci inni, gatunkowem imieniem nienazwani, a żyjący jak prawdziwe indywidua własnem tylko życiem: immoralni jak żywioł, potężni jak wizya wielkich poetów. A więc: chociażby niektóre typy Słowackiego, niektóre Shelleya, wreszcie, egzotyczniejsi, bardziej kostyumowi i szumni, lecz mniej głębocy, mający natomiast liczne literackie potomstwo, ludzie Byrona [2]).

---

[1]) Wyjąwszy może Maxa Stirnera. W swej monotonnej i marudnej dyalektyce wywalcza on prawa udzielne dla każdej jednostki; wszakże tak olbrzymio rozrosłe jego „ja“ jest zawsze udziałem nielicznych. Renanowscy devasowie mają nawet swą zwartą definicyę: ludzi o szlachetniejszej krwi, tęższym mózgu i mięśniach, ludzi mających prawo i obowiązek panowania nad innymi.

[2]) Przypadkowe zbieżności kilku przypowieści Zaratustry z niektóremi aforyzmami Hoelderlina, Schlegla i Nowalisa mówią znacznie mniej i są raczej przypadkowem zaawanturowaniem się tamtych romantyków po za rubieże zła i dobra, a u Nowalisa buddyjskim raczej indyferentyzmem wobec zła i dobra niźli świadomym immoralizmem.

Silniej ujarzmiają też naszą wyobraźnię (i przez to znowuż siewniej działają) ci najgłębiej zaprzepaszczeni z hierarchii Napoleonów, Goethych, ludzi Stendhalowskich i innych: te z głębin życia twórczo dobyte jednostki, ztamtąd, gdzie wszelkie więzy i sprzęgi społeczne, wszelkie żmudy, nudy, fałsze i jałowizny towarzyskie są zbyt jeszcze luźne, lub zgoła nieobecne, aby zdołały wyplenić całkowicie życie jednostkowe. Pod wielką tłocznią społeczną, na samem jej dnie, pośród mętów i zbrodni, jest, zda się, jeszcze najwięcej powietrza dla jednostki. W tej atmosferze żyje najbujniejsze człowieczeństwo, nietylko Rosyi, jak myślał Dostojewski. Do tego powietrza rwali się instynktownie, choć sporadycznie, nietylko Verlaine i Rimbaud. W te światy zanurza się dziś Gorkij, w najdoskonalszym rynsztunku literackiego nurka, docierając zresztą tylko „do dna" życiowej realności.

Wszakże ta atmosfera, w której obracać się może swobodnie tylko istotna prymitywność, staje się otchłanią dla ludzi piętnowanych nadmiarem wyobraźni, — taką jej bujnością, że gdy się ona na jednym celu pożądań skupi, tam, w pierwszem zetknięciu z przegrodą społeczną, drzemie możliwość zbrodni. Wystarczy zaś, aby w tych potworach dna wyobraźnia zwróciła się w kierunku takiej możliwości w instynktach,—wówczas prędzej czy później spadnie z duszy czyn, jak spada z drzewa owoc dojrzały. Lecz wtedy swą ciasną i duszną ograniczonością postępku tak się skłóci z wyobraźnią, taką chmurą na myślach zaciąży, że na tej „pierwotnej" glebie, w którą kapryśne wiatry zachodu przesiały gorzkie ziarno analizy, rozrasta się ono w dotychczas niesłyszaną dyalektykę duszy. Niech czująca dłoń na takiem czole spocznie, a wyczuje, że w tych skroniach bije wprost młotem tętno „nadczłowiecze."

To ciemne życie przeżył wewnętrznie Dostojewski

aż do dna wszystkich ohyd i zbrodni, a wraz z niemi aż do oślepiających wprost błysków w duszę współczesną.

Ten pisarz, Nietzschemu tak biegunowo przeciwny, ten quasi „mistrz moralności niewolników,“ ten epileptyk nadczuły i nadświadomy, słyszący poprzez siedm murów bicie serca ludzkiego; tak perwersyjnie tkliwy w stosunku do wszystkiego, co shańbione, zdeptane, oplwane; taki niezmordowany w analizie całego piekła tłumionej w tych duszach nienawiści; tak niestrudzony i uparty w uszlachetnianiu jej wszystkiemi ideałami chrześciaństwa (temi ideałami, których istotną nieraz nieszlachetność, mściwość w pomyśleniu, „ressentiment,“ tak genialnie przejrzał Nietzsche); ten quasi „prorok niewolników“ — był zbyt wielkim artystą, aby swych quasi wrogów i całej „moralności panów“ nie przedstawić w ich właściwej fascynującej potędze. A że był przytem bardziej dyalektykiem niż plastykiem, wiec też ideał „nadczłowieka“ ma tu nieraz sformułowanie tak jędrne, zwarte i do dna przemyślane, że nie powstydziłby się go i Zaratustra [1]).

Miał więc zwiastun Zaratustra przedzwiastunów swych w historyi. Miał ideał nadczłowieka swe możliwe w niej ucieleśnienia, oraz podatną magmę dusz współczesnych, w której krystalizował się powoli jako koncepcya; miał nawet heroldów z głębin potępionego życia.

Przykładów możnaby tu namnożyć. Wszakże po co? Dziś bardziej, niż kiedykolwiek, wiemy, że każda wielka fala musi mieć swe ośm poprzedniczek. A jeśli się o nich napomyka, to jedynie dla wskazania na dziejową ostatniej konieczność.

---

[1]) W takich opowieściach, jak o Chrystusie i inkwizytorze, w niektórych dyalogach Raskolnikowa, a zwłaszcza Iwana Karamazowa. Tak ulubione przeciwstawienie Nietzschego: nächsten-fernsten:— nie bliźni i najbliższi, lecz najdalsi —pochodzi od Dostojewskiego.

Bardziej jeszcze znamienne od tych poprzedniczek wielkiej fali są owe drobne zmącenia i dreszcze, poczynające się z nią równocześnie: od najbardziej na wszystkie szerokie siewy otwartego lądu Francyi, aż po najcichsze fiordy norweskie.

Aby nie przytaczać tu jednym tchem nazwisk, mówiących w długich listach zawsze bardzo mało i rozbieżnych zresztą pod każdym innym względem, wystarczy przypomnieć pamięci każdego, zachowującego jaką taką styczność ze współczesnym ruchem literackim, że ze wszystkich wybitniejszych utworów dzisiejszych bezpośrednio lub ubocznie wyziera zagadnienie dobra i zła, z każdej niemal ich stronicy zaczyna przebijać niechęć, jeśli nie świadoma odraza, do sądów t. z. moralnych, pozorujących tylko istotną wartość czynów ludzkich, rzetelność uczuć i prawdziwość wewnętrznych mocyj. Wszystkie te normy, jakie wytworzyło gromadne życie w stosunkach bądź społecznych, bądź towarzyskich, bądź rodzinnych, bądz miłosnych, wszystkie te normy skrzepłe w obyczaj, uświęcone „ideałem,“ zagadywane na śmierć ustawiczną obłudą sądów moralnych, stanowią niezmienną nieomal ramę dzisiejszej komedyi uczuć: są bagnem, siecią lub murem dla każdego samoistnego objawu życia.

A gdy w artystycznem zwierciedle ujrzy cichy filisterek taką komedyę, nietylko schlebia swej uprzedniej przenikliwości (któż bo lepiej od niego zna istotną wartość uczuć w stosunku np. do pieniądza), lecz oddaje się nieszkodliwym uczuciom mściwego zadowolenia, widząc w obłudniku niechybnie sąsiada swego, a nigdy samego siebie.

Gdzie zaś szczersze życie mimo wszystko ujawnić się zdoła, bodajby tylko w użyciu, gdzie zatętni południowym żarem temperamentu, a wraz z nim nasyci świat barwami i słońcem południa, gdzie, rozpętawszy wszystkie

namiętności, zbudzi upiory tragedyi indywidualnej, — tam ów filister, zdolny jedynie do moralnej komedyi i sporadycznych reakcyj płaskiego cynizmu, nietylko schlebia swym chuciom, lecz upaja się tym razem szczerem, tęgiem winem życia.

Mówimy: filister, gdyż najznamienniejszą cechą stosunku dzisiejszej społeczności do tych utworów, podkopujących wszystkie t. z. moralne ostoje życia, jest fakt, że i ona już się niemi rzetelnie nie gorszy.

Oglądamy na deskach teatralnych lub na stronicach książek codziennie nieomal najjaskrawsze obrazy gnusnej obłudy rodzinnej, towarzyskiej i społecznej: tej pełnej cichych ofiar bellum omnium contra omnes, gdzie zbite w kupę czułostkowe egoizmy nękają się naprzemian litością i wzbudzaniem współczucia, ofiarą i jej wymaganiem, przywiązaniem i pętaniem, zwężając ludzką wolę do granic obowiązku, wtłaczając wzajemnie swe czucia i doznania w cieśnię obyczaju, zwyczaju i nawyku. W takiej to atmosferze sądy moralne rozlegają się najgłośniej, niby głuche dzwony pogrzebne. — Oglądamy te katakumby w ponurem oświetleniu jedynego nieraz płomyka życia, jakiejś żywej lampy, gorejącej nadomiar przed ołtarzem — jawnego grzechu. Wpadamy w złośliwą zasadzkę artysty, który całe nasze instynktowe ukochanie życia, a więc wszystkie nasze współczucia, wszystkie tętna naszej wyobraźni przynęca na stronę tak oto przedstawionego grzechu, aby w jego fascynującem świetle okazać całą nędzę obyczajowego i cnotliwego automatyzmu, całą żałosną chudziznę sądów moralnych.

I wewnętrznie—szczerze a rzetelnie—nikt się tem dziś nie gorszy (choć niejeden czyni to głośno z powinności lub z ubocznych powodów doktryny literackiej): — z pod skorupy sądów moralnych przebija w ludziach anarchiczna wprost potęga — współczucie bujnemu życiu.

Czytamy oto lub oglądamy nieomal codziennie... Lecz czy nie lepiej zaniechać tu przykładów, by nie zwężać konkretnemi obrazami sugestyjnego odczucia tego stanu dusz, nie upraszczać w myślach tak przebogatej, przedziwnie zawiłej linii oceanicznych brzegów życia wśród miliona najcichszych jego zatok. Wszędzie, gdzie tylko z szerokiego morza dowolności dochodzą bodajby najsłabsze wiewy, wszędzie chwiać się poczynają wszystkie normy i mierniki moralne w stosunkach społecznych, towarzyskich, rodzinnych, miłosnych, przyjacielskich i t. p.

Przegryza je rdza analizy, a tak nadwątlonemi wstrząsa każde intensywniejsze życie. Z pod rozdartej osłony sądów moralnych wyziera szpetna nagość komedyi uczuć współczesnych: komedyi miłości, farsy przyjaźni, żałosnego dramidła uczuć rodzinnych, płaskiej i zimnej feeryi uczuć towarzyskich i wyrafinowanej a krwawej już tragedyi moralności społecznej.

Za sprawą naszego stosunku do wszystkich wybitniejszych artystycznych utworów ostatniej doby, to współczucie dla bujnego życia przebija poprzez skorupę moralną coraz to częściej, coraz to naglej i jawniej, — coraz to anarchiczniej! Wszystkie mury, odgraniczające każde samoistne ujawnienie życia, drżeć poczynają u podstaw. Przez ziemię przechodzi dreszcz, dreszcz życia, jeśli kto chce: idzie Pan! [1]).

---

[1]) Oczywiście z wszelkiem użyciem i nadużyciem ma to wszystko minimalny i zaledwie uboczny stosunek, a czego już podkreślać chyba nie trzeba, — Pan nie jest niewolnikiem Erosa. Co dla jednych bywa tylko nawiasem, dla drugich jest treścią życia, co dla bujnych jest nadmiarem i wytryskiem sił, nieraz nawet nowych sił źródłem, dla wątłych i zdegenerowanych jest tylko gnuśnem bałagulstwem i zamrą ducha. I ta moralność jest względną.

Zaś najmniej ma to wszystko wspólnego ze stałą i ciągłą f e b r ą u ż y c i a, która jest jedną z naznamienniejszych cech zastoju i marazmu. Sapienti sat.

I wtedy, wtedy dopiero uderza fala dziewiąta...

Stosunek ludzi do niej świadczy wymownie, jak to świat okrzykiem zgrozy wita rzeczy w zasadzie nienowe, lecz przerażające właściwie tem tylko, co geniusz w nie wnosi: całkowitem i pełnem życiem, przemyśleniem rzeczy do dna, wyciągnięciem ostatnich konsekwencyj. Wprzódy pozostawało zawsze „a jednak,“ „wszakże,“ „mimo wszystko“ — tę nową dziurę w myślach i czuciu można było załatać byle czem, bodajby zapomnieniem. Z chwilą wszakże, gdy zostaje wytrącona z rąk ostatnia broń wszystkich ostoi moralnych: obosieczny miecz ideałów chrześciańsiwa, ta ultima ratio wszelkiej gnuśności myślowej; gdy najszlachetniej nawet pomyślaną ich koncepcyę burzy Antychryst, — nie ten z klątwy i legendy, lecz z własnego mianowania i mądrości: świadomy wróg Chrystusa w obronie życia, — wówczas z wrogą ideą każdy na swój sposób załatwić się m u s i.

Ta wielka fala kulturalna niesie ze sobą pytajniki, których każdy, jako tako duchowo egzystujący człowiek ominąć dziś nie zdoła:

„Czy wszelkie przepisy postępowania nie odnoszą się jedynie do strony zewnętrznej, dającej tylko ułudę równości, czy każdy czyn nie jest czemś odmiennem mimo tych pozorów równości, czemś, w istocie swej, niezgłębionem i niepoznawalnem?“

„Czy słuchasz rozkazów swego sumienia, jak żołnierz dowódcy, kobieta—kochanka, czy jako pochlebca lub tchórz, czy też jako głupiec uległy, bo nic odpowiedzieć nie umiejący?“ —

Czy rzeczywiście współczucie, litość i altruizm służyły dotychczas życiu najlepiej? były najhojniejszym posiewem przyszłości? Czy nie wprost przeciwnie: czy nie czynił i nie czyni tego właśnie e g o i z m?

A gdy takie pytania i wątpliwości poczną komuś kruszyć w dłoniach wszystkie dotyczasowe bronie w życiu, gdy zbłąkanemu na życiowych ścieżkach zastępuje drogę niby upiór trzynastowiecznego raubrittera z napisem na przyłbicy: „Nieprzyjaciel miłosierdzia, Chrystusa wróg!“— wówczas, zdawałoby się, należy sięgać na dno serca i ducha po miecze wprost płomienne.

Stosy kacerskie nie były bynajmniej najstraszniejszą bronią ludzkości w walce z ideą. Na nich ginął tylko człowiek, idea wtedy dopiero, gdy swego posłannictwa zaczynu i fermentu życia dokonała. Dzisiejsza ciekawość literacka, potrafi największą falę dziejową zamienić w bańkę literacką.

I gdyby się tu w przyszłości zjawił nawet jaki Tomasz z Akwinu, przyjdzie on za późno, przedewszystkiem dla tych, co ongi okrzyki zgrozy podnosili, a dziś albo zgoła już zobojętnieli, albo (chcąc być bardziej „współczesnymi“) zużyli już całkowitą energię duchową na to, aby się do dawnej wrogości przystosować kompromisowo.

W tym zabawnym kłopocie spóźnionego najczęściej kompromisu, znajdują się nasze „sfery inteligentne“ mniej więcej zawsze. Wyciągając jedynie możebny wniosek w swej sytuacyi, dojść one muszą koniec końców do przekonania, że żółw jest stworzeniem najrozważniejszem: bo skoro linia postępu duchowego jest falistą, żółw przepełznąwszy po przekątnej, gotów każdej chwili zwyciężyć Apollina. (Słownie brzmi to zwykle inaczej: „sędziwy kościół koniec końców zawsze zwycięży“).

To też z chyżością i wrażliwością żółwi reagują dziś na prądy duchowe, nie podejrzewając, zda się, nawet, że te prądy to nie są bynajmniej podniebne wiewy, któremi zajmować się mogą tylko próżne umysły, że mogą one wywiać wszelką treść z życia — z jego przykazań, norm, obowiązków i stosunków, z ludzi i rzeczy, pozostawiając

tylko zewnętrzną armaturę pozoru i fałszu, że one to stanowią właśnie tę nieuchwytność, na którą wszystko spędzać lubimy, stanowią „ducha czasu.“

A znaczą te skargi: tam, gdzie o tej nieuchwytności ideowego fatum, może być wogóle mowa, t. j., wyłącznie tylko pośród na pół uświadomionych, lub zgoła bezkrytycznych,—wśród ideowo bezbronnych czyni „duch czasu,“ niby kiła wśród ras pierwotnych, największe spustoszenia, wyjaławiając każdą glebę gnuśnym sceptycyzmem. Tak bardzo mści się lekceważenie idei, tak wielkiem jest niebezpieczeństwo wszystkich na pół cywilizowanych warstw i społeczeństw, żyjących tylko gazeciarską plewą, felietonowym okwiatem i krytycznym, martwym preparatem żywych i siewnych ziaren idei.

Wszystko, co się mówi i pisze o niebezpieczeństwie pewnych haseł, doktryn czy idei, ma swe jedyne uzasadnienie w tem stępieniu głębszej wrażliwości intelektualnej, w nieustannem prześciganiu się ciekawości ze znudzeniem i, co za tem idzie, w całkowitym zaniku intelektualnego sumienia.

A wszak mamy i bez tego „wszyscy bez wyjątku, wbrew wiedzy i woli, wartości, słowa, formuły i moralności biegunowo przeciwnego pochodzenia, mamy je w ciele nieomal: jesteśmy, fizyologicznie rzecz biorąc, fałszywi... Człowiek współczesny przedstawia biologicznie sprzeczność wartości... Siedząc na dwóch stołkach wygłasza „tak“ i „nie“ jednym tchem... Ta niewinność w kłamstwie jest cechą spółczesną par excellence, nią można wprost definiować spółczesność...“ (Są to słowa Nietzschego skierowane po części pod adresem twórcy Parsifala).

I powiedzmy dla przykładu tylko: gdyby ów sędziwy kościół kiedyś zwyciężyć nawet miał, to zanim zwyciężyć zdoła, rdza jałowego sceptycyzmu przetrawi wszystkie formy życia. Co więcej! jałowa ciekawość tak prze-

pali wrażliwość dusz, że to jego problematyczne zwycięztwo będzie jednem z upragnionych „tak!“ dla ciekawości, wobec wielu równorzędnych apatycznych „nie“ wczorajszego entuzyazmu.

W mieście, naprzykład, które dla swej pstrokacizny i jurności również „Pstrą Krową“ mianowaćby się mogło, gromadzi „biologicznie fałszywy“ twórca Parsifala wokół Czary Grala ciekawe hordy ludzkie, nie mogące mieć nic wspólnego ani z jej symbolem wiary, ani też z jej symbolem ideału, a najmniej chyba z rycerską w służbie ideału tego „wiernością samemu sobie.“ Świadczy o tem, prócz nosów węszących równie chciwie sensacyę jak zyski, zasadnicza nierzetelność wrażeń i uczuć, przebijająca jaskrawie z każdego gestu. Ci ludzie, z uchem, gębą i podbrzuszem zamiast duszy, swą liczebnością i życiowemi wpływy zaważą z czasem i na duchowem życiu społeczeństwa, a raczej poczną mu z czasem odbierać wszelką ważkość.

Z czary Grala ulotni się najistotniejsza jej treść, wyczuwalna tylko w chwilach prawdziwego „podniesienia“: potęga zniewalającego dusze symbolu. Kryształna czara ideału, sztuka „czysta“ stać się może wtedy rzeczywiście pustą. Tem natrętniej wołać będą nowi jej wielbiciele, aby się wypełniała winem t. z. przez nich ż y c i a, jako upojną podnietą do użycia.

Życie pocznie się w ten sposób konsekwentnie wyzbywać nietylko przewodnictwa idei, ale wprost kierunku. Silniejsze nawet jednostki przestaną się zaawanturowywać w dziedzinę własnego prawodawstwa i własnej moralności, przekonawszy się, że te wymagają tak wytrwałej i zawsze napiętej woli, że przy pierwszem jej zachwianiu życie staje się cięższem do zniesienia od najbardziej uległego poddaństwa. Ostrożność i praktyczna przebiegłość nauczy ich, że określony cel jest zbędny, że bynajmniej nie trzeba przewidywać, by módz żyć, żyć szczęśliwie! Egzystencya, tem zbrataniem jałowego sceptycyzmu z praktycznem wyrachowaniem tak bezdennie nikczem-

na, oprze się całym ciężarem na bezwładzie i nawyku, pozostawiając przykazania i normy, z których czasy wszelką treść już wywiały, jako umówione pozory, jako przydatne słupy graniczne dla ostrożnych ujawnień życia.

Zaś to życie, pozbawione wszelkich „wartości,“ nie jest bynajmniej zmorą przyszłości, ta chmura już dziś zawisła nad człowiekiem.

A zwie się ona: nihilizmem współczesnym.

Takim też będzie (takim jest już!) człowiek ostatni, o którym kazał Zaratustra na rynku, — „człowiek, co niezdolny będzie wyrzucić strzały tęsknoty ponad człowieka, gdyż zwietczeje cięciwa jego łuku... po tysiąckroć wzgardy godny człowiek, co nawet samym sobą gardzić już nie zdoła... Czem jest miłość? Czem twórczość? Czem tęsknota? Czem gwiazda? — tak pyta ostatni człowiek i mruży wzgardliwie oczy.“ —

„Każda dusza musi czemkolwiek być poruszana, — powiada gdzieś Mickiewicz, — jeśli nią nie ruszają rzeczy wielkie, to się będzie ruszać w niskości i podłości.“

III.

Daj nam, Zaratustro, ostatniego człowieka, uczyń z nas ostatnich ludzi, a darujemy ci twego nadczłowieka“ — odpowiedział lud na rynku na pierwszą mowę Zaratustry. W lat kilkanaście po śmierci Nietzschego czynią to niektórzy krytycy jawnie i świadomie, większość zaś czytelników w milczeniu i bezwiednie: wszyscy oni akceptują krytykę współczesności w dziełach Nietzschego, odrzucając ideał nadczłowieka.

Analiza wartości dzisiejszego życia bez nowego dlań ideału i nowej nadziei byłaby nie „odwróceniem“ tychże wartości, lecz ich nihilowaniem, poczynałaby się nie z „woli mocy“ lecz z „woli nicości:“ Zaratustra wiódłby najprostszą drogą do ostatniego człowieka.

Co też niejednokrotnie czyni!.. Najchętniejszym posłuchem darzą Nietzschego te mdłe dusze, dla których

najroskoszniejszą strawą jest zawsze negacya wszelkich wartości, zkądkolwiekby ona pochodziła i do jakichkolwiek wiodłaby celów. One bo do żadnego celu dowieść się nie dadzą: dla nich ideał będzie zawsze czemś sztucznem, wobec ich jałowego sceptycyzmu na długo ostać się nie mogącem. Samo uświadomienie w sobie nihilizmu nie jest bynajmniej jego przezwyciężeniem,—pisał Nietzsche—przeciwnie ono pogrąża weń stokroć głębiej. Tak więc na wspak celom, zamierzeniom i logice własnej twórczości stać się mogą pisma Nietzschego wprost biblią tego nihilizmu, który był dlań największą grozą przyszłości.

Nic tak nie syci jałowego sceptycyzmu, jak życiowe karykatury każdego ideału. Nic tak bardzo nie było na rękę takim czytelnikom Nietzschego, jak te lekkie duszyczki wraz gotowych nadludzi.

Co się tyczy tych ostatnich, wylano na nich z gazet tyle żółci, a przedewszystkim tyle wody, że owi pierwsi młodzieńczy prozelici, zda się, już w niej potonęli. Ci nadludzie z farsy i sentencyjnego felietonowego morału wywołani zostali domowem, zda się, nieporozumieniem między rozmaszystością młodej naiwności, a niedołężnym lamentem starej.

Mimo całej groteskowości tej niedawnej jeszcze maskarady nadludzi, mimo, że trzy czwarte z tych masek zasługuje tylko na wzruszenie ramion, część pewna mimo wszystko zastanowić musi. Wszak to wrażliwość na sprawy duchowe objawia się w sposób tak dziwaczny? wrażliwość bądź co bądź zawsze cenna, a tembardziej u nas i dzisiaj! — wrażliwość wreszcie, którą zawsze łatwiej wykoszlawić tłumieniem, niźli nią pokierować. Ujawnia się ona przytem w wieku, w którym duchowe pobudki przenoszą się z całą bezpośrednią naiwnością do najbliższej namacalnej realności. W pewnym wieku przenosić się one tam będą zawsze; tem pewniej, im rzetelniejszym jest ten proces wewnętrzny.

Wszak to u dziewcząt tylko, pod maską chichotu, grymasów, śmiechu i pozorów, pod całą słoneczną wibracyą wiosennego życia, dojrzewa, niewiadomo gdzie, czem i jak, nieraz całkowita i zwarta dusza kobiety. U młodzieńców odbywa się i to wewnętrzne nawet dojrzewanie żmudniej, boleśniej, dla oka zawsze niemilej, dla otoczenia nieznośniej i najczęściej pod patetyczną maską: kotłujeż bo się w nich więcej duchowej energii. W tym ponurym otroku, w tym rozwichrzeńcu z nadmiaru i bujności wewnętrznego życia, dojrzewa nieraz żywa dusza dzielnego człowieka.

I czemże są wobec tego dawne jego maski i koturny, czem wszystkie gorączki polityczne, febry ideowe, erupcye nadczłowiecze, jeśli nie dyagnostyczną wprost cechą energii duchowej? czem, jeśli nie reakcyą tłumionego życia?

Gdzie bujny temperament z bystrym duchem kojarzą się siłą młodości, tam nawet nikczemność bardzo zdolnego człowieka ma coś z hazardu, karkołomnego rzutu i niespodzianki: i w tem jest zadatek własnej woli. Taki nie potrafi się nigdy ukryć całkowicie za ideową tarczą, uczynią to raczej bardziej limfatyczne, kunktatorskie i mniej zdolne głowy, typu *Disciple*'a. Tamten, wyzywający swym postępkiem wszystkich, obnaża zwykle nieopatrznie najboleśniejsze swe miejsce: jego łatwo z nóg zwalić. Typ *Disciple*'a przylega do swej namiętności płasko i przyziemnie i potrafi zawsze jeszcze w porę cofnąć się do swojej skorupy, — ów nie ma nigdy tak długich, a zwłaszcza tak pilnych i metodycznych namiętności. Ten jest właśnie „uczniem,“ zapożyczającym inteligencyi od mistrza, a ideowej broni z książek; wszystko, czego się dotknie, a więc i własną namiętność zaczyna wnet traktować fachowo i metodycznie; jest wreszcie schematem schematycznej psychologii Bourgetowskiej. — Tamten jest nawskroś moszczem i fermentem idei, dojrzewa nią wewnętrznie i kompromituje ją nazewnątrz w postępkach; a co ważniejsza, i te postępki stają się dlań fermentem całkowicie bezinteresownej pracy ducha w głębokiej i serdecznej jego ekspiacyi. Truposzek bourgetowski zdolny jest jedynie do pokuty, i to wówczas dopiero, gdy ma nóż na gardle; lecz i tę pokutę nawet sprawuje pilny uczeń metodycznie, zimno i w istocie swej nietwórczo, jak Bourget swe powieściopisarskie rzemiosło salonowego psychologa. — W postępkach tamtego, przy całym ich życiowym niesmaku, jest zawsze własna linia, jakaś niespodziana arabeska, nawet pytajnik danego postępku staje tu na głowie: ci ludzie niepokoją bardziej cudzą myśl, niżli cudze sumienia. To też, gdy moraliści z patetyczną flegmą preparują truposzka bourgetowskiego,—tego przedbiegacza wszyst-

kich heroldów obrzucają bez namysłu błotem: on jest żywszy, a więc niebezpieczniejszy, on wnosi więcej życia i fermentu naokół, niźli, wystygłszy, sam w to w przyszłości uwierzyć zechce.

Bo wszystko, co się tu rzekło, ma swe bardzo określone granice młodości. Gdy to jej żywiolowe kojarzenie bujnego temperamentu z bystrym duchem osłabią doznane krzywdy i roztropność, wówczas ze wszystkich postępków pocznie wyzierać płaskie i zezujące oblicze sprytu. Moraliści wiedzą, że to jest w życiu człowieka pora kompromisów, czynią też pierwsze kroki do pojednania pod wspólnym płaszczem obłudy.

Owe „trzy czwarte," tu milczeniem pominięte, zasługują może, prócz wzruszenia ramion, na refleksye na temat intelektualnego murzynizmu, wypowiadającego się całkowicie w bujnym fermencie młodości, przy obfitości i nadmiarze gestów. — „Uebermensche" z przedwczoraj dogorywają dziś duchowo jako bardzo uległe piony po biurach, tych katakumbach tylu naszych zdolności za ostatnie lat 40. Murzynizm ten pojęty został przez praktyczny rozsądek jako zasada ogólna i doprowadził do brutalnego wprost lekceważenia wszelkiego intelektualizmu ze strony wszystkich autorités i notabilités uroczystego zastoju.

Nadczłowieczeństwo realne i dzisiejsze, nadczłowieczeństwo z farsy jest, jak się rzekło, wynikiem nieporozumienia między młodą i starą naiwnością. Każde zamierzone wcielenie ideału w bezpośrednią realność może dać w rezultacie zawsze tylko karykaturę. Ideał skrzepia wolę temu tylko, kto prócz woli ma jeszcze i cel własny: ma go w sercu, w głowie, w trzewiach nieomal; kto jest fatalnością zamierzonego dzieła, jest na nie piętnowany właściwościami swego umysłu i doskonale udałem ciałem. A że takich ludzi dziś prawie niema, więc nadczłowiekowi zbraknąć może nawet ewolucyjnego materyału dla najdalszej bodaj przyszłości.

Wspomnieliśmy, że Zaratustra może się stać łatwo wiecznym zwiastunem samego siebie, że tego progu nadziei gotów nigdy nie przekroczyć. Instynktu i woli ze

swej krynicy ludziom on nie doleje: im głębsza studnia, tem wątpliwsze w niej te właśnie dary.—Czy, gdy uśpione, nie zbudzą się one raczej wobec tego, co na pozór tak lekkie i zewnętrzne, jak ów „piękna święty śmiech i drżenie?" Czy nie zbudzi ich raczej to, o czem raz jeden zdarzyło się marzyć nawet Zaratustrze: — „to najcichsze, to najlżejsze, jaszczurki jednej szmer, jedno tchnienie, jeden mig, oka jedno mgnienie:" — szczęście!?..

Zaś najmniej zdoła Zaratustra udzielić owych mocy tym, dla których z piersiby je sobie wydarł i w ich żyły przelał: przyjaciołom swym! — tym, którzy własną myślą połowę jego drogi już przeszli i zatrzymali się bezwolnie nad przepaścią nihilizmu: dzisiejszym ludziom wyższym. Współczucie dla nich było wszak ostatnim grzechem i ostatniem pokuszeniem Zaratustry: wszakże nim ostatnie południe nadeszło, minął temu współczuciu czas.

„Nie na was oczekuję w tych górach... Nie! nie! potrzykroć nie!.. Czekam na wyższych, bardziej krzepkich i zwycięzkich, na dorodniejszych ciałem i duchem: śmiejące się lwy przyjść tu muszą."

W ich nadejście, bodaj w najdalszej przyszłości, wierzy wraz z Zaratustrą i Nietzsche, opierając się na teoryach descendencyi, w ich koncepcyi z przed 40 lat, pojmowanej przytem dosyć ogólnikowo. Krytykowany w wielu miejscach Darwin (krytykowany czasem za siebie, częściej za Lamarcka) zostaje tu akceptowany dosyć bezwzględnie k'woli ogólnemu zużytkowaniu zasady przemiany gatunków w sensie postępowego ich rozwoju i celowej hodowli w kierunku fizycznego i intelektualnego udoskonalenia rasy ludzkiej.

To marzenie dzisiejszych humanistów, antropologów i lekarzy pozostaje tymczasem marzeniem, opartem na hypotezie, chwiejnej w zastosowaniu nawet do hodowli zwierząt, podlegającej dziś zwłaszcza ściślejszej rewizyi

i doświadczeniom w kierunku już wyłącznie naukowym. — Co się tyczy ludzi, to potężny czynnik życia społecznego, czynnik t. z. ekonomiczny (od którego pojęcie „walki o byt“ wywodzi się wszak genetycznie) będzie nikłe zabiegi „hodowli“ niweczył w olbrzymich masach ludności. Potęgując stokrotnie walkę o byt, odwraca on wszak jej naturalne wyniki wprost na opak. Zwycięzki struggle-for-lifer nie ma nic wspólnego z fizyczną lub intelektualną wyższością, a najmniej chyba ze śmiejącym się lwem.

Tenże czynnik paraliżuje całkowicie regulującą i utrwalającą moc doboru płciowego, zostawiając otwarte pole dla chaosu nietylko ras, plemion i warstw, cech narodowych i właściwości klimatycznych, lecz dla znamion uwstecznienia, kalectwa i chorobliwości.

W Spencerowskiej formule „przeżycie i utrwalenie najbardziej dostosowanego“ mieści się przedewszystkiem i najlepiej: „przeżycie miernego.“ Nie brakłoby na to przykładów ze świata roślinnego i zwierzęcego; a takim bywa niechybnie zwycięzki typ czynnika ekonomicznego. — Pozatem, w tejże formule mieści się doskonale: przeżycie skarlałego, najmniej wymagającego od życia, ekspensującego natomiast całkowitą energię na rozmnażanie się najobfitsze. Przykładem w naturze są te uwstecznienia pasorzytnicze, w których zwierzę, tracąc kończyny i organy wszelkie, całą nawet treść ciała, zamienia się w wór jaj, w którego otworze pasorzytuje znów do mikroskopowych rozmiarów zmarniały samiec. Czynnik ekonomiczny bierze pośród ludzi i tę species w szczególną opiekę, doprowadzając metaforycznie do podobnych mniej więcej rezultatów.

Formuła Spencerowska wyklucza całkowicie przeżycie i utrwalenie się typu pod względem budowy i czynności najbardziej złożonego, ujawniającego największą sumę energii w najróżnorodniejszych jej przejawach, a więc

typu doskonałego. Czyni to również i całokształt teoryi Darwina w jej konsekwentnem zastosowaniu do człowieka. — Z piekielnego kotła, jakim pod tym kątem widzenia jest dzisiejsze plenienie się ludzi, można dobyć nie ideał, lecz najczarniejszą grozę przyszłości. Zdawał sobie z tego sprawę i Darwin pod koniec życia; było to, jak sam powiada, zgryzotą jego starości.

Nieco inaczej przedstawia się sprawa z dzisiejszego punktu widzenia, którego nie uwzględniał, a po części nie mógł jeszcze uwzględnić Nietzsche. — Zakwestyonowana dziedziczność cech nabytych, będąc poważnym szkopułem dla konsekwentnego rozwinięcia darwinizmu, przenosi punkt ciężkości spraw descendencyi z indywidualności cielesnej zwierzęcia, będącego w bezpośredniem zetknięciu i walce z otoczeniem, w stokroć głębsze i bardziej zawiłe tajniki indywidualności komórek rozrodczych. Dokładniejsza rewizya doświadczeń hodowców poucza, że nowe odmiany nie powstają bynajmiej drogą darwinistycznego schematu; one zdają się jawić „nagle i niespodzianie, jak Minerwa z głowy Jowisza w całkowitym rynsztunku nowych właściwości i cech.“ I wówczas regularna dziedziczność podlega pewnemu zachwianiu w szeregu pokoleń: nowa odmiana bądź utrwala się na zawsze, bądź też, mimo krzyżowania z odpowiednio zmienionemi, powraca do dawnego typu; — rzeczy w praktyce już dawniej znane i mające u hodowców specyalną nawet terminologię. — U niektórych roślin dało się stwierdzić w onym okresie zachwiania dziedziczności w dotychczas równym łańcuchu pewną rytmikę w pokoleniach i zmianach, dającą się może ująć w wyraz matematyczny. Co więc w szeregu egzystencyj jednostkowych wydaje się nagłem i niespodzianem, ma swe głębsze powody i przyczyny (oraz inne ich falowania niźli rytmika istnień indywidualnych) w długim (nieskończonym?) genetycznym łańcuchu komórek rozrodczych, wobec których jednostka jest niby krótkotrwałą skorupą, niby rychło przemijającym pędem trwałego podziemnego korzenia.

Tak więc, obok potężnych czynników descendencyi wskazanych przez Darwina, wyjawiają się nowe, snadź ważniejsze. I skorupa może oddziaływać na genetyczne jądro przez dobór płciowy,

oraz przecinanie pewnych łańcuchów genetycznych w walce o byt. Na pierwszy plan występuje jednak zagadnienie układu sił w komórce genetycznej i zmiany zachodzące w historyi tejże komórki. Cokolwiek utrzymywaliby hodowcy, osiągnięte przez nich rezultaty są szczęśliwem utrwaleniem szczęśliwych przypadków. Nabyte cechy nie oddziaływają bezpośrednio na komórkę rozrodczą, a ujawnienie nowych cech i właściwości ma swój początek w głębokiem i wiecznem (?) źródle komórki rozrodczej.

Te wszystkie sprawy, dziś bynajmniej jeszcze nie jasne, komplikują się nieslychanie pod wieloma względami (chociażby przez dopuszczenie pośredniego oddziaływania komórek somatycznych na rozrodczą).

Bądź co bądź narzucają one uwadze z tem większym naciskiem najważniejszy czynnik wszelkiej ewolucyi: c z a s, potęgując go do rozmiarów, które mogą być mgnieniem w historyi ziemi, okresem długim w historyi gatunku, ale dla historyi cywilizacyi stają się nieomal wiecznością, czyniąc wszelkie marzenia cywilizacyjnej hodowli człowieka już zbyt iluzorycznemi.

To, z konieczności zbyt zwięzłe, omówienie spraw descendencyi było niezbędne dla tego właśnie wniosku, oraz dla wskazania, jak bardzo pokładanie nadziei w sztucznej hodowli p r z e n o s i p u n k t c i ę ż k o ś c i k o n c e p c y i n a d c z ł o w i e k a, czyniąc z ideału myśliciela i poety, z potężnej dźwigni psychicznej utopię przyrodniczą i społeczną.

To ostateczne oparcie ideału na schematycznym darwinizmie jest u Nietzschego ostatnim podźwiękiem dawnego pozytywizmu.

Tu zaś idzie przedewszystkiem o ewolucyę tych właściwości psychicznych, którym na wspak działa układ wszystkich sił społeczno-ekonomicznego rozwoju, wszystkie potęgi descendencyi. Nadmiarem skupionej w jednym osobniku energii stwarza sobie gatunek wroga, wychodzącego po za szranki jego interesów. (Podobnie nadmiarem skupionej w jednym narodzie kultury wytwarza naród wroga swych namacalnych, materyalnych interesów: wybujały, schyłkowy indywidualizm, wraz z jego kosmopolityzmem).

Wśród miliona lichych płonek, jeden monstrualny wyrostek odrywa się niejako od podziemnego, trwałego korzenia, wiedzie życie samodzielne i rozmnaża się inną drogą: jakby pąkami — w sferze ducha.

Czy, mimo niedającej się wykluczyć możliwości pewnej ewolucyi psychicznej człowieka, wszystkie utopijne szczyty nie pozostaną zawsze tam, gdzie ideał jest bądź co bądź bardziej u siebie w domu: w sferze ducha? Czy o jego powstaniu i utrwaleniu się nie będą decydowały czynniki dziś niemniej potężne: „walka o byt“ duchowy i „dobór“ pracowników z duchowego powinowactwa? Czy nie wytworzą oni przedewszystkiem tej atmosfery, w której będą mogły wreszcie dojrzewać i ujawniać się, dziś tlumione i paczone, najrzadsze, najcelniejsze okazy człowieczeństwa?

Bo tak często używane, nadużywane niemal, słowo kultura ma i dla Nietzschego, jak dla wszystkich wykwintniejszych umysłów wieku, ten tylko cel i to dążenie. Zewnętrzna zwartość i harmonia, piętnowana t. z. „stylem“ epoki, jest tylko jej powłoką, drogocenną skrzynią, w której spoczywają jej skarby duchowe, złożone przez owe najcelniejsze dusze.

Tą miarą mierzy też ludzkość wartość każdego narodu.

O klanach, czy też rodach władców dusz, nie wie nic nietylko historya, o nich milczy i legenda: tak dalekie były doświadczenia ludzkie od pomyślenia tej możliwości. W legendzie i historyi, jak i na oceanie bezkresnych możliwości natury, jawią się oni „nagle i niespodzianie, jak Minerwa z głowy Jowisza, w całym rynsztunku“ nowej i potężnej indywidualności. Przy coraz głębszem przewarstwianiu społeczeństw, bezkresna możliwość ujawnienia tych darów natury zastąpić może myślom utopię

sztucznego chowu. Morze człowieczeństwa jest większem źródłem życia i przyszłości, niźli najgłębsze nawet krynice w sztucznych opłotkach hodowcy.

A z tego morza występować będzie nie raz jeden, jutrzenka ideału w sferze czucia, wiedzy i woli: świętego, mędrca i twórcy zarazem.

IV.

Oto moja droga,—mówił Zaratustra do swych uczniów.—Jaka jest wasza? Droga?.. Niemasz jej zgoła!“

Oto moja droga,—mógłby powtórzyć wobec dzieła swego życia. Bo czemże było to wszystko: zagadnienie wartości dzisiejszej oświaty, dzisiejszej kultury wogóle, zagadnienie zrodzone potęgą kontrastu z najdoskonalszą kulturą Greków; czem było rozszerzenie tego problemu na kulturę moralną, na teoryę, genezę i wartość morału dla życia, na genezę i wartość probierza prawdy dla tegoż życia? czem kult geniuszów jako dźwigni kulturalnych, entuzyazm dla Schopenhauera i Wagnera, krótkie zboczenia w cieśnie angielskiego pozytywizmu, w męskie ślady moralistów francuzkich, aż do nieubłaganej analizy wszystkich

wartości współczesnego życia? Czemże była zuchwała próba „odwrócenia wszystkich wartości,“ koncepcya „woli mocy“ w przeciwstawieniu do bezprzedmiotowej „woli“ schopenhauerowskiej, wreszcie, dla wywyższenia człowieka i życia, stworzenie ideału „nadczłowieka?“ Czemże było to wszystko, jeśli nie drogą do samego siebie? Drogowskazy i konieczności tej wędrówki spostrzeże uważny czytelnik już w pierwszych pismach, będących jeszcze, tak co do formy, jak i co do treści, w całkowitej zależności od Schopenhauera. Złota nić jednego celu, zapatrzenie się w coraz to wyraźniej występujący jeden ideał życia rzuca się poprostu w oczy. Jest to rzadki pisarz, którego tomy ostatnie, mimo uprzednich a pozornych zboczeń i wpływów, odpowiadają na pytania i wątpliwości pierwszych.

Befreiung—oswobodzenie: to słowo Goethego o twórczości daje i tutaj dużo do myślenia. Czy każda droga duszy nie jest fatalną koniecznością zdzierania z siebie wylin w mozolnem docieraniu świadomości do czegoś, co, poprzez stawanie się wszelkie, właściwie ludzi pociąga i fascynuje,—do istotnie odrębnej własnej jaźni?

Taką jest droga i kres tej wędrówki. A cel jej ostateczny? — „Celu? — mógł był odpowiedzieć nie Zaratustra, lecz jego „Cień“ — celu? Niemasz go zgoła! Jak niema Boga, dobra, cnoty, prawdy!“

Lecz poprzez tę zawrotną przepaść nihilizmu przerzucił Zaratustra most aż ku wieczności:

Jest życie! oraz jego „wola mocy!“

Życie, powracające koliskiem wiecznego wrotu rzeczy wszelkich, „zawsze jednakie, zawsze sobie równe, zarówno w rzeczach wielkich jak i małych“ [1]).

---

[1]) Rzecz wprost niepojęta: Nietzsche ignorował całkowicie pytagorejskie pochodzenie idei wiecznego wrotu. Uważał ją za naj-

Mamyż koniecznie stać się wyznawcami Nietzschego? Czy nie stoimy tu już o krok od innej wiary: od metampsychozy, tem fatalniejszej, że powracającej po wieki wieczne do tożsamości? —

Czy nie spojrzymy na to kolisko, jako na konieczność poety, co, zawleczony przez myśliciela, psychologa i wychowawcę w wir życia, w wolę mocy, przecie ponad nie wzbić się musiał, by na tej paradoksalnej bodaj drodze ciągłego wrotu realnego życia trafić do wrót wieczności?.. „Nigdym nie napotkał kobiety, z którąbym dzieci chciał. Snadź ta jest kobietą, którą kocham.“ — Nie zwie się ona jednak „wolą mocy,“ „wiedzą,“ „mądrością:“ nie kochał snadź dosyć tych kobiet, którym życie swe oddał.

Porywała go snadź fala przechodząca górą ponad całym stworzonym przezeń światem. Nad psychologiem, wychowawcą i mędrcem, nad mistrzem nieugiętej siły życiowej, nad burzycielem moralności, nad pogromcą bogów, górowała siła fatalniejsza od śmierci: przemagało go może Fatum, co snadź nie tylko bogami, lecz i bogów pogromcami rządzi, — przemagał go niechybny mus poety, tęsknota każdego twórcy...

E pur si muove: „albowiem kocham ciebie o wieczności!“ —

I na odwrót: dla myśliciela i wychowawcy staje się ten pierścień wiecznego wrotu rzeczy wszelkich najpotęż-

---

szczytniejszą własną koncepcyę, tak przytem w swej potędze przepaścistą i zawrotną, że do objawienia tych swoich najgłębszych myśli przystępował i Zaratustra z tak szczerą trwogą, z tak korną nieufnością we własne siły i z takiem poczuciem musu ich wypowiedzenia, iż „w tę najcichszą godzinę“ dobywa się może uczuciowo najgłębszy ton owego wielkiego dramatu twórczej woli, jakim jest wraz z „Zaratustrą“ i życie Nietzschego.

niejszem potwierdzeniem życia i jego „woli mocy“: ostatniem „tak!“ i „amen!“ wygłoszonem (w ostatecznem przeciwieństwie do Schopenhauera) nawet wobec bólu... „Zgiń — mówi człowiek do bólu, — lecz powróć! Bo gdzie głęboki ból, tam rozkosz już już się jawi.“ Bo rozkosz głębiej drga i jest w życiu tchnieniem wieczności. Więc jeśli tylko życiową realnością i tylko bólem da się ta chwila okupić... „Hejże, jeszcze raz!“ woła w Zaratustrze nawet „najszpetniejszy człowiek.“ K'woli tej jednej chwili niech powróci wszystko, co się życiem zwało. Bo ta jedna okupi wszystkie inne; ona, i tylko ona

za wiecznem życiem łka,
wieczności chce bez dna, bez dna!

A to błogosławieństwo bólu k'woli rozkoszy, rozkoszy k'woli jej twórczej głębi i doznaniu za życia tchnienia wieczności: oto prawdziwa „śmiechu korona różańcowa,“ oto złote jabłko życia, jakie konający Zaratustra przerzuca uczniom swoim, szepcąc może stygnącemi wargi: „Hejże, jeszcze raz! niech w pierścieniu wiecznego wrotu rzeczy wszelkich powróci wszystko, co się m o j e m życiem zwało!“ —

Niech więc i dla nas owo wrotu kolisko wieczne będzie raczej odczuciem bezmiernej potęgi twórczych tęsknot w człowieku, raczej doznaniem bezkresnej pełni człowieczeństwa w geniuszu, które samo przez się jest w życiu tchnieniem wieczności. — Z tem uczuciem, z takiemi myślami, łatwo wyrzeczemy się pono wszystkiego, co jest z doktryny i dogmatu w onym „pierścieniu wiecznego wrotu,“ wszystkich nowych artykułów nienowego wyznania.

I z tem jeszcze trudno przyjdzie pogodzić się dzisiejszemu człowiekowi: jego przekonania zdają się mimo wszystko chylić ku temu, że, choćby nawet w świecie

rzeczy wszystko już było, każda twórczo ujawniająca się dusza jest czemś, czego jeszcze nie było. A czy te jej wysiłki wpadają w otchłań nicości, czy wplatają się w pierścień wiecznego wrotu rzeczy wszelkich, czy też zlewają się wszystkie w jakąś jedyność wszystkokrotną: — by którąkolwiek z tych szali przechylić, bodajby tylko w czuciu ludzkiem, potrzeba takiej potęgi sugestywnych środków, jakiemi nie rozporządza już geniusz poety. Te środki wytwarza geniusz rasy i wieki całe, a czas osłania je majestatem tajemnicy i objawienia.

Oto siłą kontrastu jawić się muszą dawne tajemnice, ujarzmiające myśl ludzką, na progu grobu. Pominąwszy nawskroś wrogi każdemu słowu Nietzschego kres Nirwany, — przypominać się muszą, naogół mniej wrogie, lecz dla pierścienia wrotu bardziej groźne koncepcye Upaniszad (tych Upaniszad wyprzedzających myśl ludzką na tysiącolecia, a będących np. dla Schopenhauera najgłębszemi księgami świata). Według nich, czas jest złudzeniem Avidyi (omamem wrodzonego realizmu). W języku dzisiejszych filozofów brzmi to za Kantem: czas nie jest istnością, lecz formą myślenia.

I czemże jest wobec tego pierścień wiecznego wrotu? — I tu oto jest filozoficznie słaby jego punkt, o który zahaczyć się on może w swym wiecznym obrocie.

Jak umierał Zaratustra? — zapyta może niejeden, zamykając tę niedokończoną książkę.

A czuć, że ona jest niedokończoną, jak nie mają końca wszystkie książki, mówiące o duszy ludzkiej, jak te księgi wschodu, z których Zaratustra pożyczył sobie imienia, a tu i owdzie nawet i formy. Po raz ostatni widzimy Zaratustrę, gdy, promienny niby jutrznia, schodzi z gór naprzeciw, już nie uczniom, lecz samodzielnym dzieciom

ducha swego. To pytanie, domagające się mroku i śmierci, może się wydać trywialnym dysonansem, wobec ogromnej pogody owego święta świąt: południa dnia siódmego, kiedy siewca po plon swój schodzi. A jednak ta przyczyna zewnętrzna, kończąc dzieło formalnie, wywołać musi raz jeszcze zadrganie przyczyn ostatnich, i to najsilniejsze.

Tak pytający nie zdziwi się więc zbytnio, znalazłszy w pismach pośmiertnych szkic na Część Piątą Zaratustry, a w jej zakończeniu zarys takiej oto sceny pod tytułem „Południe i wieczność:“

— Miasto zadżumione. Uczniowie powstrzymują Zaratustrę i chcą mu bronić wstępu w mury miejskie: on wstępuje nietrwożny. Przeciągają wielkim korowodem wszystkie formy pesymizmu: żądza „odmiany,“ żądza „nie,“ żądza „nicości.“ Zaratustra daje swe zwykłe objaśnienie: Bóg umarł, miałożby to być przyczyną największego niebezpieczeństwa? Zali nie powinno się to stać powodem największej otuchy? — Opuszczony przez przyjaciół (pociągniętych zapewne w trwodze przed dżumą korowodem pesymizmu) kona sam. Błogosławiąc w s z y s t k i m doznaniom swego życia, umiera błogosławiący. —

Przedewszystkiem jest w tym surowym szkicu zapowiedź potężnego końcowego akordu. Pozatem mówi to wiele o „Południu.“ (Chociażby ten korowód pesymizmu, jednak i mimo wszystko w ostatnią godzinę życia, to poniechanie przyjaciół, to błogosławieństwo udzielone nawet dżumie z nadmiaru i pełni własnego szczęścia!)—Do „wieczności,“ do pierścienia wrotu rzeczy wszelkich nie dorzuca ten szkic nic zgoła.

Wiemy wszakże już!—radosne potwierdzanie samego siebie stworzyło ów pierścień wrotu: w radosnem poczu-

ciu dokonanego dzieła życia błogosławi Zaratustra wszystkie swe doznania na ich wieczne wroty, a bezkresna zachłanność takiego szczęścia wszechświat cały za sobą pociąga.

Krańcowe przeciwieństwa mają nieraz bynajmniej nieprzypadkowe ku sobie pochylenia, niby bieguny odmiennej elektryczności, między któremi iskra światła paść musi. A gdy o tych tajemnicach grobu mowa, są jako dwie jedną grozą brzemienne chmury, które wiąże błyskawica. K'woli takim przeciwieństwom niech tu będzie przytoczona modlitwa konającego z upaniszady *Isi,* modlitwa do słońca, aby rozchyliwszy promienie swe okazało czcicielowi prawdy tajnię bytu. Może krótki błysk światła między temi przeciwieństwami pozwoli przynajmniej wyczuć, co w nich jest z przeciwieństwa dusz i czasów, a co z zawsze jednakiej konieczności ludzkiego ducha:

„Jak złotą tarczą przysłonięte
„Jest prawdy łono tajemnicze.
„O, uchyl słońce twą przyłbicę,
„Niech czciciel ujrzę tajnie święte!

„O Słońce, niebios wędrowcze ty samotny, wszech-„widzu jedyny, Boże promienny, Pratwórcy synu, „rozchyl promienie swe i w siebie wchłoń przepych swój „ognisty! Widzę już, widzę postać tę przejasną: Istota „w wnętrzu twem — to jestem ja!

„A teraz oddech mój niechaj wchłonie tchnienie „wszechświat przenikające, Tchnienie przedwieczne; „a ciało to niech ogień w popiół rozsypie... O, duchu „pomnij, na dzieło swe pomnij! O, duchu pomnij, na „swe dzieło pomnij!

„Niech Światło wiedzie nas, najprostszą wiedzie z dróg
„Do końca wszczętych dzieł, dróg wszelkich świadom Bóg!" [1])

W zmierzchu bogów wszystkich ten jeden żyje jeszcze w duszy współczesnej i on to w niej rodzi pragnienie drogi do dzieła najprostszej, drogi wolnej do samego siebie! W zamęcie czasów dzisiejszych, wśród „zmierzchu bożyszcz" wszelkich, wśród ruin i gruzów starych „wartości," poprzez trzęsawiska wszelkiej obłudy, pragnął Nietzsche przerąbać drogę do dzieła najprostszą wszystkiemu, co twórcze, co przyszłość wywyższonego człowieka ze sobą niesie. A czy tego władcę przyszłości nazwiemy „nadczłowiekiem," czy też człowiekiem tylko w przeciwstawieniu do dzisiejszych skarlałych, istotą o źrzałem i pełnem człowieczeństwie, — to jest przecież tylko rzeczą imienia.

Choć więc podręczniki nie zapiszą Nietzschego między wielkich filozofów, choć „literatury" nie zmumifikują go rychło, jako wielkiego poetę, stał się on przecie fatalnem przeznaczeniem czasów dzisiejszych: imienia tego myślący człowiek ominąć nie może, jak nie zdoła uchylić się od wewnętrznej rewizyi wszystkich „wartości" dzisiejszego życia, wszystkich nakazów morału i ideału. Ominąć to wszystko znudzeniem potrafi tylko pajac, przyklejać się do liter i tomów tylko ślimak, karmić się wyłącznie negacyą wszelkich wartości, oraz z konieczności tylko przełkniętym wraz z nią „ideałem," zdoła wyłącznie prze-

---

[1]) Tłóm. na podstawie przekładu Sitarama Sastri (The Isa, Kena and Mundaka Upanishads) oraz Deussena (60 Upan. des Veda). Angielski przekład doskonale dosłowny i całkowicie martwy, niemiecki z większym niby polotem, lecz i znacznie większą dowolnością. Tylko zestawienie obu może skontrolować polski przekład.

Ostatni refren jest według komentatora modlitwą otaczających.

żuwacz; wysnuwać wreszcie z tego wszystkiego dyrektywy życiowego łupiestwa umie pospolity opryszek, dla którego każda idea czasu przychodzi w porę, aby pozorować i osłaniać manipulacye zawsze chciwych palców. Zaś szaty rozdzierać będą stale ci wszyscy, którym to łatwiej przychodzi od myślenia i bardziej się ponadto opłaca.

Będzie Nietzsche długie jeszcze czasy „biegnącym ogniem,“ budzącym wszystko gnuśne, wypłaszającym z kryjówek wszystko zakłamane, będzie wreszcie tem, czem od pierwszego wniknienia w życie stać się zamierzył: — „wychowawcą, hodowcą, sfornego chowu mistrzem, który niedarmo nawoływał niegdyś samego siebie: „Stań się, kim jesteś! — [1]).

Wacław Berent.

[1]) Ten szkic „zamiast wstępu“ ma być przedewszystkiem wprowadzeniem i pierwszym akordem dla tych, którzy pisma Nietzschego po raz pierwszy do rąk wezmą. Ani wyczerpujące omówienie spraw duchowości współczesnej, o których tu przeważnie mowa, ani metodyczne rozpatrzenie wszystkich pism Nietzschego w ich rozgałęzieniach w dziedzinę teoryi poznania, nie było i nie mogło być moim zamiarem. Suplement do dzieł wydawanych w przekładzie polskim zawierać będzie studyum tego charakteru innego pióra. Niecierpliwy czytelnik znajdzie tymczasem zarówno w polskim jak i obcych językach niejedną rozprawę „o filozofii“ Nietzschego. W suplemencie znajdzie się wykaz najważniejszych.



MATKA. Rzeźba K. DUNIKOWSKIEGO.



„FRANCZESKI Z RIMINI,“ TRAGEDYI GABRIELA D'ANNUNZIO, FRAGMENTY. WYBÓR I PRZEKŁAD JANA KASPROWICZA.

AKT III.

Pierwszy dzień marca, dzień wiosny. Franczeska, otoczona towarzyszkami, Garsendą, Biankofiorą, Adonellą, Aldą i Altikiarą, czyta opowieść o Lancelocie z Jeziora. Dusza jej pełna niepokoju i tęsknoty. Uciekł ulubiony jej sokół, sny też miewa złowróżbne. Lęka się jednookiego Malatestina. Przekleństwo niech spadnie na niewolnicę Smaragdi, która jej pierwsza przywiodła Paola. Lecz nie, nie! — Smaragdi zgotowala jej szczęście. Ale to szczęście nie koi, przeciwnie, szarpie jej duszę. Gdybyż to była przy niej niewinna, gołębia siostra Samaritana! Lecz ta pozostała z rodzicami w Rawennie! Pierwszy dzień wiosny! Radować się trzeba i radość sprawić towarzyszkom. Garsenda wprowadza kupca z drogocennemi materyami. Franczeska hojnie obdarowuje towarzyszki. Kupiec to florencki — może ma wieści o Paolu. I owszem:

FRANCZESKA.

A w w jaki sposób przybyłeś, mój Dżiotto,
tu do Rimini?

KUPIEC.

Wielkomożna Pani!
Pełne jest przygód życie

każdego kupca. Trzeba
korzystać z wszelkiej chwili.
I mnie szczęśliwie tak się wydarzyło,
iż mogłem bezpiecznie odbyć
tę moją podróż w świcie
pana Paola. Pewnieć
nasze koniska tak dalekiej drogi
nigdy w tak szybkim nie odbyły czasie.
Z panem Paolem rzadko się spoczywa. —
Dzień jazdy wielce jest długi — o, długi...

FRANCZESKA zdaje się spokojnie przeglądać materye, ale w jej oczach mimowolny zjawia się uśmiech. Garsenda w klęczącej postawie najpiękniejsze wybiera suknie.

FRANCZESKA.

Takeście szybko jechali?

KUPIEC.

A jakże;
mogę powiedzieć — całkiem bez spoczynku,
wolno puściwszy uździenice. Rzeki
przebywaliśmy w bród, nieczekający,
aże opadnie woda. Pan Paolo
tak się zaś śpieszył,
tak ostrogami spinał
swego rumaka, że zawsze przed nami
był całą milę. Zda mi się, że ważne
ma tutaj sprawy. Wziął od miasta urlop
i niby wrócić ma za dwa miesiące
albo też mało co więcej
od chwili, gdy objął swój urząd.
Mogę powiedzieć — całe miasto w wielkim
zostawił bolu, bo jużcić w Florencyi
żaden godniejszy rycerz
nie bywał, mówię, naczelnikiem ludu.

FRANCZESKA.

Wezmę ten brokat.

KUPIEC.

Tak, wasza wielmożność.

A Bernardino della Porta z Parmy,
wybrany w jego miejsce,
nie godzien ani włoska
z pana Paola głowy.

FRANCZESKA.

Wezmę również
i ten aksamit.

KUPIEC.

A tę kitajkę, przetykaną złotem?

FRANCZESKA.

I owszem... owszem... Wielce mi do gustu...
A czy to prawda, że wy florentczycy
wciąż świątkujecie, że u was dzień za dniem
uroczystości, biesiady i tańce?

KUPIEC,

Prawda, madonno, wesoła to ziemia!
pełna uciechy,
ta ziemia florencka —
wszech kwiatem kwiatów jest nasza Florencya!

FRANCZESKA.

Wezmę tę srebrem przetykaną taftę...
A pan naczelnik rad bywał widziany
śród towarzystwa
pań i rycerzy?

KUPIEC,

Owszem, towarzystwa
wszystkie się ubiegały,
by go zapraszać do siebie,
iże jest wielce dworny i wymowny;
lecz, o ile mam wieści,
lubi samotność, był też nieco dumny,
i widywano go rzadko
u biesiadnego stołu...

Wiadomości te podniecają Franczeskę — wdzięczna kupcowi, najdroższe nabywa materye i wręcza je towarzyszkom w darze. Nagle zrywa się, jakgdyby dusza jej uleciała w dal. Wychyla się za okno ku jaśniejącemu morzu i patrzy, ręką przesłoniwszy oczy:

„Silne jest to słońce
marcowe, mocne i szalone!
Łódź jakaś płynie z purpurowym żaglem —
stada jaskółek powracają do nas...“

Słychać wesołe narzędzi muzycznych preludye — do komnaty wpadają towarzyszki z grajkami, z Dżianem Figo, astrologiem i lekarzem. Ale na melancholię Franczeski niema leku ani u mnicha Almodora, ani u astrologa; Dżian Figo, trefniś i grajek, wywołuje uśmiech na usta Franczeski:

„Madonna się zaśmiała!“ — woła BIANKOFIORE —

„Dżian Figo sprawił, że uśmiech zawitał
u naszej Pani... Idź, lekarzu miły,
do swego domu — idź razem z łaciną
i z swemi leki. Dziś pierwszego marca —
pieśń pragnie tańca, taniec pragnie pieśni —
Hej! Simonetto, zagraj!“ — —

I oto grajkowie na trybunie zaczynają od przygrywki. Zebrani cofają się wstecz, aby miejsce zrobić dla tańca. Adonella zdejmuje wieńce narcyzowe z złocistego pręta i rozdziela je pomiędzy towarzyszki, które się w nie stroją. Dla siebie zatrzymuje wieniec mający jako szczególną oznakę dwa skrzydła jaskólcze. Alda wyjmuje z gniazdka cztery pomalowane jaskólki, z drzewa, umieszczone na krótkich trzonkach, i daje każdej z towarzyszek, które w pozycyi tanecznej podnoszą je lewą ręką do góry. Tylko Adonella, mająca wieniec z jaskólczemi skrzydły, otrzymuje piszczałkę, naśladującą świegot jaskółek na wyraju. A podczas, gdy tamte tańczą i śpiewają, ona, w pewnych odstępach czasu, udaje, do rytmu, świegot, zwiastujący wiosnę.

ALDA.

W tym dniu pierwszego marca,
jaskółki, czeladzi boża,
powracające z za morza,
radosnej,
promiennej wiosny
najwcześniejsze gońce,
rozkosz i wonie
niesiecie i słońce!
W sukience czarnej i białej
znowuście zawitały
w naszem tanecznem gronie!
O czasie ty wspaniały,
o ty godzino wiosny!

ALTIKIARA.

Przyszedł marzec koić rany,
luty już pierzchnął srogi!
Rzuciliśmy płaszcz futrzany,
wdziewamy jedwab drogi.
Na kwietnie biegniemy rozłogi,
gdzie rzeka się rozlewa,
gdzie się ku niej chylą drzewa,
śpiewające —
idziem bawić się na łące
z kochankami,
tam, gdzie stropy
lśnią niebieskie ponad nami,
tam, gdzie zioła
woń dokoła
leją słodszą, bo je stopy
nagiemi depce wesoła,
rozmiłowana wiosna.

GARSENDA.

Patrzajcie na postać ziemi —
jak jest zmieniona, jak hoża.
By perła, blaski jasnemi
lśni się oblicze morza,
skowronek płynie w przestworza,
hen! w najgórniejsze niebiosy!
Brzmią już po gajach kosy
i dzika dłoń wichury,
w swej mocy ponurej
zawzięta,
rozrzuca gniazdka im świeże...
Ptaszęta!
Jaskółki! Wasz świegot szczęśliwy
jest jako dźwięk cięciwy,
a wasz ogonek, jak pierze
łuku — o dziwy! —
co trafia nas z ręki wiosny!

BIANKOFIORE.

O ty gromadko wesoła!
Wraz z nami tańczyć dziś macie!
Pociechy naszego koła,
w białej i czarnej szacie!
W tej naszej strojnej komnacie
niech rozśpiewaną mocą
rozbrzmiewa dniem i nocą
wieść o Izoldzie, tym kwiecie
ziemi islandzkiej. Bez troski,
rozradowane, w tych wiankach zwijecie
potem gniazdeczko, bo zasię
ta pani w rajskiej krasie,
ten cudny obraz boski,

to nie Franczeska, zda się,
to — — —

Tanecznice zwracają się nagłym ruchem ku Franczesce, w jednym szeregu wyciągają ku niej dłonie z jaskółkami i, bez robienia przystanku, wpadają w ostatni wyraz Biankofiory:

WSZYSTKIE RAZEM.

Wiosna!

Przy słowach „Niech w naszej strojnej komnacie“ — zjawia się we drzwiach Niewolnica. Podczas gdy grajkowie ostatnie wydobywają dźwięki, ona zbliża się cicho do swej pani i szepce jej coś do ucha, co ją odrazu wprawia w niepokój.

FRANCZESKA gwałtownie.

Biankofiore, Altikiara, Alda, Adonella,
Garsenda! Wielce wdzięczna
za ten wasz piękny taniec,
daję wam nowe suknie —
oto je macie! bierzcie!

Nachyla się nad rozrzuconemi materyami i rozdziela je pomiędzy otoczenie.

Tobie! tobie! tobie!

Grajek skrada się również ku niej.

I tobie również! Bierz to,
mój Dżian Figo, i naucz się milczeć.
A to, Garsendo, może być dla grajków —
niech sobie świeże uszyją kapoty
w prążki czerwone i żółte.
Przynieś, kupcze,
dwie jeszcze piękne sztuki — mistrz Izaak
weźmie to sobie i mistrz Almodoro...
A teraz idźcie,
poprzez dziedziniec, śpiewający wespół
pieśń o jaskółkach. Potem wrócisz, kupcze.

Garsenda cię zawoła.
Możesz zostawić towar
Aż do wieczora bawcie się w dziedzińcu.
Ty, Adonella, prowadź ich! Żegnajcie!
Szczęśliwej wiosny wam życzę!

Muzykanci zstępują z estrady i grając wychodzą. Dżian Figo w podskokach za nimi. Reszta, ukłoniwszy się Franczescе, wychodzi, z darowanemi materyami w ręku, w ślad za dźwiękami muzyki, śród szeptów i śmiechu. Niewolnica pozostała i składa porozrzucane materye. Franczeska oddaje się wzruszeniu. Wzburzona przechadza się po komnacie. Nagłym ruchem zwraca się ku alkowie i zsuwa zasłony, które dotychczas rozwarte pozwalały widzieć łożnicę. Potem staje przy pulpicie i rzuca wzrokiem na otwartą księgę; odwróciwszy się nagle, podołkiem sukni strąca lutnię, która z dźwiękiem pada na ziemię. Wypadek ten napełnia ją przestrachem.

FRANCZESKA.

Nie! nie! Smaragdi! Idźże, idź i powiedz,
by nie przychodził.

Słychać oddalające się granie. Niewolnica rzuca swe zajęcie i zwraca się ku drzwiom.

FRANCZESKA, z ruchem, jakgdyby ją chciała zatrzymać.

Smaragdi!

Niewolnica wychodzi. Po kilku chwilach, jakaś ręka odchyla portyery. Zjawia się Paolo Malatesta; drzwi zamykają się za nim.

SCENA PIĄTA.

Oboje w pierwszej chwili spoglądają na siebie, nie mogąc znaleźć słów; rumienią się. Słychać jeszcze oddalające się granie wewnątrz pałacu. Przez okno przelewa się do komnaty blask zachodzącego słońca.

FRANCZESKA.

Witam was, panie mój szwagrze!

PAOLO.

Oto przyszedłem, posłyszawszy granie,
by was powitać z powrotem.

FRANCZESKA.

Powróciliście rychło — razem z pierwszą
jaskółką. Me towarzyszki
śpiewały piosnkę taneczną
na przywitanie marca. Był tu również
i pewien kupiec florencki, przyjechał
wraz z waszą świtą. On pierwszy mi przyniósł
wiadomość o was.

PAOLO.

Zato o was dawno
nie było wieści. Nic ja nie słyszałem
o was od chwili strasznego wieczoru,
gdyście mi dali owy puhar wina,
przy pożegnaniu, życząc mi szczęśliwej
chwili powrotu.

FRANCZESKA.

Nie pomnę już tego.
Dużom się, panie, modliła.

PAOLO.

Nie pamiętacie?

FRANCZESKA.

Dużo-m się, dużo-m modliła.

PAOLO.

Jam dużo cierpiał.
Jeżeli prawda, że ci, którzy cierpią,

przezwyciężają,
to jam powinien przezwyciężyć.

FRANCZESKA.

Co?

PAOLO.

Moją dolę, Franczesko.

FRANCZESKA.

I wróciliście?

PAOLO.

Chcę żyć.

FRANCZESKA.

Już nie umrzeć?

PAOLO.

Ach, pamiętacie, jak wzywałem śmierci,
co mnie nie chciała? Może to przynajmniej
jeszcze baczycie?

FRANCZESKA zwraca się ku oknu, jakgdyby chciała niepowstrzymanej ujść namiętności.

FRANCZESKA.

Paolo!

Dajcie mi spokój!
Słodko jest żyć w zapomnieniu —
przynajmniej chwilę, zdaleka od burzy,
która nas łamie.
Nie przywołujcie, proszę,
cienia tych czasów w tę światłość wiosenną,
która mi gasi pragnienie,
niby ów napój rzeźwiący,

kiedym przez cudny przechodziła strumień.
Teraz ja myśleć wolę,
że moja dusza uciekła
od tych wybrzeży, ażeby się schronić
tu, gdzie muzyka jest cichą nadzieją.
Wolę zapomnieć o złem,
któregom wczoraj doznała,
którego doznam jutro,
ach, pragnę, pragnę, by całe me życie
z jego wszystkiemi żyłami,
z dniami wszystkiemi
i ze wszystkiemi odległemi sprawy
znalazło spokój choć na jedną chwilę,
by strumień
w głębinach morza, które się do mnie uśmiecha,
jeśli nie łudzi mnie łza, co w mych oczach
drży, a zaś upaść nie zdoła.
Dziś już spokojne to morze,
wczoraj tak dziko wzburzone,
dzisiaj błyszczące jak perła.
Dajcie mi spokój.

PAOLO.

Słyszę melodyę wiosny —
pieśń, spływającą z waszych ust na świat ten,
którą jadący słyszałem
w poświstach wiatru,
przy każdym skręcie, przy każdym zawrocie,
na szczytach wzgórz,
i na okrajach lasów,
i pośród szumu potoków,
gdy moja żądza,
skulona w siodle,
zdała się palić grzywę

rozszalałego rumaka;
gdy moja dusza,
niby wstrząsana pochodnia,
żyła-li szałem
i kiedy wszystkie jej myśli,
z wyjątkiem jednej, tak! z wyjątkiem jednej,
gasły poza mną, jak popiół.

FRANCZESKA.

Popiołem
są wasze słowa, Paolo, i niema
w nich miłosierdzia, i dotychczas w dzikiem
szaleństwie wichru żyje wasza dusza
i wlecze za sobą
me przerażenie.
Błagam was, błagam,
dajcie mi spokój,
o ty mój piękny, słodki przyjacielu,
przynajmniej jedną tę chwilę,
bym mogła w sobie dawną uśpić winę,
ach! i zapomnieć o wszystkiem,
i patrzeć w wasze oblicze,
jak ongi, za pierwszym razem,
w oblicze nieznajomego.
Albowiem jednej tylko rosy pragną
moje wyschnięte powieki —
mieć znów przed sobą cudowne zjawisko
tego pierwszego spojrzenia i znowu
czuć, że im łaska powraca,
jak nieraz we śnie czuły, że się zbliża
jutrznia poranna —
czuć, że się dla nich kryje ukojenie
w cieniu świeżego wieńca — — —

PAOLO.

W tym fiołkowym wieńcu
widziałem was wczoraj na łące,
gdzie, wyprzedziwszy mą świtę,
spocząłem, żądny samotni.
Słyszałem tylko dzwonienie
rzędu mojego wierzchowca,
który się pasł na murawie; widziałem
poprzez zagajnik wieżyce Meldoli.
Wami rozbrzmiewał
w blaskach poranku
wszystek świat wokrąg. Widziałem was w fiołkach,
i z wargi waszej popłynęły słowa:
„wielce-ć przebaczam, boś wielce ukochał."

FRANCZESKA.

Tak, powiedziane były te wyrazy,
i wielka spłynęła z nich radość...

Wzrok Paola błądzi po komnacie.

FRANCZESKA.

Nie rozpatrujcie się w rzeczach umarłych,
co się wydają radością,
a są-li wstydem i bolem.
Nie zwarzy ich jesień
i nie odświeży ich wiosna!
Patrzcie na morze, na morze,
które wraz z Bogiem dawało świadectwo
słowom wielkim, jaśniejącym
po za obrębem bitwy,
po za granicą dzikiego rozkrzyku,
a jeden z żagli płynął,
sam z swoją płynął dolą —
czyście widzieli? I wówczas

straszną przeszliśmy próbę.
Siądźcie przy oknie;
a nie uzbrojon, by mordować ludzi,
lecz bez srogości weźcie dziś, Paolo,
weźcie tę wiązkę
wasiłkowego ziela.

Wyrywa z wazonu krzew wasilkowego ziela i daje Paolowi, który, zbliżając się do niej, potknął się o zawiasy drzwi zapadnych.

FRANCZESKA.

Potknęliście się o pierścieniec wrótni,
które do dolnej prowadzą komnaty.

PAOLO nachyla się nieco, ażeby zobaczyć, o co się potknął.

FRANCZESKA podając mu ziele.

Weźcie to ziele... Powąchajcie... Pachnie.
Zasadziła je Smaragdi w tej wazie
k'pamięci swego ojczystego Cypru,
a podlewając je, śpiewa:
„Tobie ja ścielę
to wasiłkowe krzewie, —
śpij sobie na niem,
zrywaj, gdy zechcesz,
chłoń jego wonie,
ach, i pamiętaj o mnie!"
Ponoć we Florencyi każda z pań ma w oknie
kwiat wasiłkowy: czy to prawda? Może
opowiecie mi coś o waszem życiu?
Usiądźcie tutaj. Mówcie mi o sobie.
Jakeście żyli?

PAOLO.

Dlaczego
mam znów odświeżać w sercu

nędzę mojego życia?
Bolem mi było i smutkiem
to, co dla innych bywało rozkoszą.
Bywałem w domu słynnego śpiewaka —
zwie się Kazella —
gdzie się gromadzą znakomici męże —
między innymi Gwido Kawalkanti,
jeden z najpierwszych rycerzy, lubiący
przemawiać w rymach, i messer Brunetto,
uczony mówca,
który powrócił z Paryża,
i pewien młodzian
z Alighierich, nazywa się Dante.
Szczególnie drogim stał mi się ten młodzian,
bo pełen był myśli
i o miłości i bolu, i cały płonął,
słyszący śpiewanie.
I nieraz
do mego serca, co zawsze zamknięte,
niespodziewana płynęła zeń rozkosz,
albowiem śpiew przeuroczy
sprawiał, że nieraz cicho się wypłakał,
i ja, to widząc, płakałem z nim razem.

Oczy Franczeski napełniają się łzami, głos jej drży.

FRANCZESKA.

Co? płakaliście?

PAOLO.

Franczesko! Franczesko!

FRANCZESKA.

Wyście płakali? Paolo, niech będzie
błogosławiony ten, co was nauczył

płakać! Paolo, o spokój dla niego
modlić się będę.
Znowu was widzę, słodki przyjacielu,
takim, jak ongi!
Łaska spłynęła na moje powieki.

Jakby przemieniona z wielkiej radości, łagodnym ruchem zdejmuje wianek z głowy i kładzie go na znajdującą się obok otwartą księgę.

PAOLO.

Dlaczego wianek zdejmujecie z głowy?

FRANCZESKA.

Bom nie dostała go od was, jak wyście
dostali ongi ode mnie
różę z nad sarkofagu.
Uczułam,
że już fiołki nieświeże.

PAOLO wstaje, zbliża się do pulpitu i dotyka się fiołków.

PAOLO.

Prawda. Pomnicie? Owego wieczora,
w krwi skąpanego i ogniu, chcieliście
mieć w podarunku ode mnie
jaki hełm piękny. Dałem wam z wybornej
wykuty stali.
A stal i złoto nie więdną, jak kwiaty.
Lecz wyście hełm ten wypuścili z ręki.
Czy pamiętacie?
Ja go podniosłem. I od tego czasu
we czci go miałem,
niby królewską koronę.
Gdy wkładam go sobie na skronie,
czuję, jak we mnie wyrasta potęga

i jak w mej głowie żadna się nie rodzi
myśl, żeby z ognia nie była.

Nachyla się nad księgą.

Jakież to słowa spotkały me oczy!
„I większe na was spływały bogactwa,
niżeli świata całego dziedzictwo."
Cóż to za książka?

FRANCZESKA.

Przedawna opowieść
o Lancelocie z Jeziora.

Franczeska wstaje i zbliża się do pulpitu.

PAOLO.

Jużeście
ją przeczytali?

FRANCZESKA.

Nie, doszłam w czytaniu
do tego miejsca.

PAOLO.

Tu, do tego znaku?

Czyta:

„Nie chce niczego ode mnie"... Czytajcie
dalej.

FRANCZESKA.

Spojrzyjcie na lśniące to morze!

PAOLO.

Jedną, Franczesko, przeczytajcie stronę.

FRANCZESKA.

Patrzcie, to stado jaskółek,
cień rzucające na to morze lśniące!

PAOLO.

Czytajmy, Franczesko.

FRANCZESKA.

I jak się żagiel ten pali,
jakgdyby w ogniu!

PAOLO czyta:

„O zapewne, pani! —
rzekł Galeotto — on się nie ośmieli
i, bojaźliwym będąc, żadnej od was
nie będzie żądał miłosnej przysługi,
ale ja błagam za niego, a choćbym
nawet nie błagał, to wybyście sama
z własnej musieli pofolgować woli,
gdyż bogatszego nie znajdziecie skarbu...
A ona rzekła — — —"

PAOLO bierze Franczeskę za rękę i lekko ją ciągnie ku sobie.

Teraz wy czytajcie,
co mu odrzekła. Jesteście Ginewrą.
Czujecie, jak pachną
fiołki,
rzucone przez was? Czytajcie! czytajcie!

Skronie ich zbliżają się ku sobie, nachylili się nad książką.

FRANCZESKA czyta:

„A ona rzekła: Wiem-ci o tem dobrze
i tak uczynię, jak mi rozkażecie.
I Galeotto odpowiedział: Dzięki!

Pragnę was prosić, abyście go swoją
obdarowali miłością.“

Przerywa.

PAOLO.

Czytajcie dalej.

FRANCZESKA.

Nie, już słów nie widzę.

PAOLO.

Czytajcie dalej... „Zapewne...

FRANCZESKA.

„Zapewne,
przyobiecuję wam i to — odpowie —
tylko niech do mnie należy już cały,
tak jak ja cała należę do niego.
I niechaj będą wymazane wszystkie,
wszystkie przewiny“... Dosyć już, Paolo.

PAOLO czyta głosem złamanym i drżącym:

„Dzięki wam, pani, dzięki — odpowiedział. —
Pocałujcie go teraz w moich oczach,
na znak poczęcia prawdziwej miłości“...
Teraz, co rzekła ona — tak, co ona
odrzekła teraz — o tutaj, w tem miejscu.

Blade ich twarze tak się nachyliły nad książką, że ich policzki prawie dotykają się wzajemnie.

FRANCZESKA czyta:

— — „Odrzekła: przecz ja mam się dawać prosić,
gdy pragnę tego, jak i wy — —“

PAOLO czyta dalej głosem stłumionym:

„I zasię
odeszli na bok, i ona-ć królowa
ujrzy rycerza, iże nic go więcej
już nie rozpala, prócz żądzy całunku —
I wraz ująwszy go za brodę, długi
na uściech jego złożyła całunek."

PAOLO czyni tak samo z Franczeską i całuje ją. A gdy się usta ich rozeszły, Franczeska chwieje się na nogach i pada na łoże.

PAOLO.

Franczesko!

FRANCZESKA gasnącym głosem:

Ach, nie, Paolo!

Zasłona.

AKT IV.

Krwawy jednooki Malatestino wyznaje Franczescе swą miłość — przy wtórze jęków, dobywających się z pod kamiennej posadzki, wielkiej ośmiobocznej sali. To głos więzionego Montanja Parczitady.

Malatestino, odtrącon przez Franczeskę, grozi zemstą — czuć, że, leżąc chory pod opieką bratowej, miał czas i sposobność przekonać się o występnym stosunku jej do Paola. Na razie, aby dać upust wzburzeniu, dzikie chlopię, które zamordowało ulubionego sokola, schodzi do piwnicy i zabija Parczitadę —:

„*Chcę*“ — mówi do Franczeski — „*byście mieli*
nockę spokojną i sen przegłęboki.“

Podczas gdy Malatestino sprawia się ze swym jeńcem, wchodzi Dżianczіotto (Jan Kulawiec), mąż Franczeski, cały w zbroi, gotowy do drogi. Wybiera się do Pezaro, obejmować urząd podesty.

„*Ma się ku wieczorowi*“ — mówi doń Franczeska —
„*trzeba się wam posilić*“ — — —

Dżianczіotto zamyślony idzie za Franczeską ku stolowi, zastawionemu jedzeniem. Zdejmuje szyszak, odpina kołnierz stalowy i po-

daje Franczesce, która to wszystko z niespodziewaną składa zalotnością na jednej z ławek.

FRANCZESKA.

Będziecie mieli w drodze chłód przyjemny.
Przemiłą będzie noc wrześniowa.
Księżyc się zjawi około północy.
Kiedy będziecie w Pezaro,
panie podesto?

DŻIANCZIOTTO.

Rano koło trzeciej.
Będę się musiał zatrzymać na popas
u mego ojca w Gradarze.

Odpina sobie pas, na którym wisi miecz, i podaje go żonie.

FRANCZESKA.

A wasza miłość jak długo zabawi
w drodze?

Z lochów dobywa się straszliwy jęk Montanii. Franczeska drży i z rąk wypuszcza miecz, który wypada z pochwy.

DŻIANCZIOTTO.

Stało się! Nie drżyj, moja żono!
Będzie już cisza. Oby Bóg tak wszystkie
pościnał głowy naszych nieprzyjaciół!
Wicher już teraz przestanie rozsiewać
wraże nasienie pomiędzy
głazy rimińskie. I w całej Romanii
oby ich zniszczył Bóg w tym roku krwawym,
jeżeli taka jego wola —
a wówczas pierwsze święto wielkanocy
będą gwelfowie z Kalboli święcili
krwią gibelińską
Aldobrandynów degli Argogliosi.

Nachyla się, aby podnieść miecz, co wypadł z pochwy.

Zmarł papież Marcin i król Karol przedni
poszedł do Raju. Źle dla nas!
A zasię owy Pietro di Stefano,
w którym Honoryusz dał nam wielkorządcę,
nie jest przyjaciel nasz,
ni Polentanów, ni waszego ojca,
Franczesko! Rękę w pogotowiu
trzeba na mieczu trzymać wyostrzonym.

Czyni ruch nagim mieczem, który trzyma w ręku, przygląda się rękojeści i potem chowa go do pochew.

Ten mi się nie ugnie!

Chowa miecz do pochew.

FRANCZESKA.

Daj mi go, panie!
Już go raz drugi nie upuszczę.
A teraz siądźcie, posilcie się w drogę.

Dżianczіotto daje miecz Franczescc i siada na ławie przy stole.

DŻIANCZIOTTO.

Oto, moja żono,
ciągle o wojnie wam prawię, a dotąd
nigdy wam kwiatka nie dałem. Ach! twardzi,
twardzi jesteśmy. Do rąk waszych białych
dałem wam szyszak i miecz.
Malatestino zdobył się przynajmniej
na sokolika, Paolo
da wam zapewne kwiaty.
Jako naczelnik florenckiego ludu
w wszelkiej się wprawił dworności,
tylko że stracił nad brzegami Arna
swoją tężyznę, woli wypoczynek
niżeli trudy. Czas trawi codziennie
z grajkami swymi.

Łamie chleb, nalewa sobie wina, podczas gdy Franczeska siada naprzeciw niego, przy stole, brodę oparłszy na głowni miecza.

Lecz i wy, Franczesko,
wielce lubicie muzykę w komnacie.
Czyż towarzyszki wasze nigdy się nie znużą
ciągłem śpiewaniem: głos ich
powinien był zagłuszyć
jęk Parczitady. Wrychle
zmienicie twierdzę Malatestów
w gaj pełny słowików.

Je i pije.

FRANCZESKA.

Ja i moja siostra
Samarytana wyrosłyśmy w domu,
w naszej Rawennie, śród śpiewu.
Gardło ze złota miała nasza matka.
Już od najpierwszej młodości
krzepiła nam dusze muzyką,
jak woda zdroju krzepi trawy.
I matka nasza mawiała:
„Słodkie śpiewanie broni nas od licha.“

DŻIANCZIOTTO.

Zaś moja matka mawiała:
„A wiesz ty, jaka niewiasta najlepsza?
Ta, która przędząc myśli o kądzieli,
ta, która przędzie równo i bez węzłów,
ta, która przędząc, przędzy z rąk nie puści,
co przędzę równo owija na motek,
co wie, czy kądziel próżna jest czy pełna.“

FRANCZESKA.

Czemuście sobie nie wybrali, panie,
takiej niewiasty na żonę?

Słychać pukanie do drzwi żelaznych. Franczeska zrywa się na równe nogi, rzuca miecz na stół i chce uciekać.

FRANCZESKA.

Wraca Malatestino.
Nie chcę go widzieć! nie chcę!

GŁOS MALATESTINA.

Któż to mi zawarł dźwierze?
Wyście, bratowo, zamknęli?

Uderza nogą w drzwi.

DŻIANCZIOTTO.

Czekaj, poczekaj, otworzę!

GŁOS MALATESTINA.

Ach! Dżiowanni! otwieraj!
Dojrzały owoc niosę ci na drogę.
Figę wrześniową.
Bardzo jest ważka!

Kulawiec idzie otwierać. Franczeska przez kilka chwil podąża oczyma za jego kulejącym krokiem, potem wraca ku drzwiom, prowadzącym do jej komnaty. Exit.

GŁOS MALATESTINA.

Śpiesz się!

DŻIANCZIOTTO.

Już idę!

SCENA TRZECIA.

Dżianczіotto otwiera drzwi; na wązkim progu zjawia się Malatestino, trzymający w lewej ręce zapaloną pochodnię, w prawej zaś na pętlicy głowę Montanii, zawiniętą w chustę.

MALATESTINO podaje bratu pochodnię.

Masz to, braciszku, zagaś!

DŻIANCZIOTTO przydeptuje pochodnię i gasi.

MALATESTINO.

Była z tobą
twa żona?

DŻIANCZIOTTO szorstko.

Była.
Czego chcesz od niej?

MALATESTINO.

A zatem wiadomo-ć,
jaki ci owoc przynoszę.

DŻIANCZIOTTO.

A ojca
miałeś odwagę nie słuchać?

MALATESTINO.

Patrz ino,
jaka jest ciężka! Spojrzyj!

Podaje pętlicę Kulawcowi, który ją bierze i waży w ręku, a potem puszcza na ziemię. Głowa z głuchym pada łoskotem.

Tobie ją daję. Głowa
Montanii dei Parcitadi. Bierz ją,
przytrocz do siodła,
a przejeżdżając przez Gradarę, daj ją
wielkomożnemu ojcu i tak powiedz:
„Malatestino posyła ten zastaw,
byście nie mieli wątpienia
o jego bystrej czujności.
To was upewni, że więzień nie zemknie.
A za to
skarogniadego dacie mu wierzchowca,
tego z gwiazdkami na trzech nogach — dawno
obiecywaliście mu ten podarunek —

BIBLIOTHECA

przytem i siodło wysadzane złotem.“
Co za gorąco!

Pot ociera z czoła. Dżianczіotto siada ponownie do stołu.

Mówię ci, gdy ujrzał
płomień pochodni, jął sapać, jak rumak,
kiedy się stracha. Daj mi pić.

Jednym haustem wypija pełną czarę. Dżianczіotto siedzi ponury, żuje w milczeniu, nie mogąc połknąć jadła, jak byk przeżuwający. Morderca zajmuje miejsce, na którem siedziała Franczeska.
Skrwawiony tłumok bezwładnie leży na ziemi. Przez wielkie okno widać słońce, zachodzące za Apeninami; w blaskach jego złocą się szczyty i obłoki.

Zły jesteś?
Czy może chciałeś, abyśmy czekali
jaki rok jeszcze na okup
Perdeczittady? Mówięć, że daremnie
byłoby czekać; a to jest tak pewnem,
jak to, że dukat jest żółty.
Od dnia dzisiejszego
Malatestowie nie będą litości
mieli nad nikim,
dopóki starczy im kłów!
Wszakżeć to niema jeszcze dwóch miesięcy,
kiedy w Czezenie ojciec nasz — rzecz dziwna —
nie ściągnął skóry z wrażych szpon Konrada
da Montefeltro, a i Filipuczio,
bękart, dotychczas jeszcze żyw!
Niech będzie pochwalon
brat Alberigo,
gdyż umie jednym zamachem
ścinać i pień i latorośl.
Czas już, by każdy gibelin
był takim dla nas owocem,

jak oto dzisiaj kawaler Godente.

Bierze miecz, leżący na stole, i dłonią uderza o pochew.

Ten-ci jest owoc na każdą biesiadę
spokoju i zgody.
Nie gniewaj się na mnie,
mój Dżiowanni! Wierny-ć jestem,
ty się nazywasz Jan Kulawiec,
a ja się zowię Jednooki.

Milczy chwilę, potem złośliwie:

Za to Paolo zwie sie Piękny.

Dżianczíotto podnosi głowę i wzrok zatapia w oblicze młodzieńca. Wśród ciszy słychać brzęk ostróg, któremi Dżianczíotto uderza w posadzkę.

DŻIANCZIOTTO.

I ty się, widzę, stałeś gadatliwy.

Malatestino chce sobie jeszcze nalać wina. Brat trzyma go silnie za puls.

DŻIANCZIOTTO.

Nie pij już więcej! Odpowiadaj, cóżeś
zrobił Franczesce? powiedz,
czemś ją obraził!

MALATESTINO.

Ja? Czy to ona ci mówiła?

DŻIANCZIOTTO.

Coś mi się mienisz na twarzy.

MALATESTINO.

Co ci mówiła?

DŻIANCZIOTTO.

Odpowiadaj!

MALATESTINO z udanym uśmiechem.

Nie mogę odpowiedzieć.

DŻIANCZIOTTO.

Cóż ty znów knujesz przeciw niej? Odpowiedz!

MALATESTINO, nagle ożywiony, z błyskiem w klującej źrenicy:

Onać mówiła i, mówiąc, nie miała
zmienionej twarzy?

DŻIANCZIOTTO.

Strzeż się, Malatestino!
Popatrz mi prosto w oczy!
Jam-ci Kulawy, ale zawsze prosto
idę przed siebie. Ty zasię
krzywemi chodzisz drogami
i usiłujesz tłumić odgłos kroków.
Strzeż się, bo cię pochwycę
i nie wywiniesz mi się!
A teraz to jedno-ć mówię:
„biada, kto chciałby dotknąć moją żonę!“
Wiesz o tem dobrze, boś sam tego dożył,
że więcej upływa czasu
pomiędzy spięciem ostrogą
berberyjskiego ogiera
a jego daniem dęba,
niż między słowem mem a moim czynem.
Rozważ to sobie!

MALATESTINO głosem przyciszonym i ze spuszczoną powieką:

A jeśli z gniewem ujrzy brat, że inny
dotyka żony jego brata, jeśli
uczyni wszystko, by zapobiedz hańbie,
mów, czy jest winien?

I jeśli potem oskarżą go jeszcze,
że złe zamiary knuje przeciw żonie,
mów, żali słuszne jest to oskarżenie?

DŻIANCZIOTTO zrywa się przeraźliwie i ściska pięsci, jakgdyby chciał ubić młodzieńca. Wnet się jednak powstrzymuje i opuszcza ręce.

DŻIANCZIOTTO.

Malatestino! na katusze piekieł!
Jeżeli nie chcesz, ażebym to drugie
wyrwał ci oko, przez które twa chytra,
podstępna dusza jeszcze świat obraża,
to odpowiadaj! mów, coś widział?

MALATESTINO wstaje i cichym, kocim krokiem podchodzi ku drzwiom w pobliżu stołu. Stoi przez kilka chwil, nadsłuchując, potem nagłym ruchem otwiera drzwi i patrzy. Nie widać nikogo. Wraca i siada znów naprzeciw brata.

DŻIANCZIOTTO.

Gadaj!

MALATESTINO.

Tylko bez groźby! Nie boję się ciebie!
Wiedz o tem, bracie:
iżem nie nosił przyłbicy,
dziś jestem ślepy;
ty wszakże w domu swym nosisz
przyłbicę z nausznicami,
zakrywającą i oczy i brodę,
i nic nie widzisz, nic! w twój mózg z żelaza
żadne nie wpije się ostrze podejrzeń.

DŻIANCZIOTTO.

Bez paplaniny! do rzeczy! do rzeczy!
Gadaj, coś widział! Wymień mi nazwisko!

MALATESTINO.

Żali ci nie jest dziwnem,
że ktoś, co w grudniu wyjechał, odrazu
niespodziewanie porzuca swój urząd
i wraca do nas już w lutym?

Słychać trzeszczenie srebrnego puhara, który Dżianczioto łamie w ręku.

DŻIANCZIOTTO.

Paolo!

Nie! nie! to nie on!

Zrywa się na równe nogi i oddala od stołu; chodzi po komnacie, ponury, ze wzrokiem zamglonym. Przypadkiem potrąca chustę z głową Montanii. Zbliża się do wielkiego okna, skąpanego w odblaskach posępnego zachodu. Siada na krześle i chwyta się za głowę, jakby chciał myśli w jedno skupić ognisko. Malatestino bawi się tymczasem mieczem, nawpół wyciągnąwszy go z pochwy. Potem wsuwa go znowu napowrót.

DŻIANCZIOTTO.

Chodź, Malatestino!

Młodzieniec zbliża się lekko i szybko bez hałasu, jakby miał nogi z filcu. Dżianczioto trzyma go obu rękoma, wciska między swe zbrojne kolana i mówi z nim oddech na oddech.

DŻIANCZIOTTO.

Czy jesteś pewny? widziałeś?

MALATESTINO.

Tak!

DŻIANCZIOTTO.

Co? i kiedy?

MALATESTINO.

Wchodził kilkakrotnie.

DŻIANCZIOTTO.

Wchodził — gdzie wchodził?

MALATESTINO.

Wchodził do komnaty.

DŻIANCZIOTTO.

Co więcej? Nic to! Wszak-ci to bratowa.
Wchodzić ma prawo. Zresztą są z nią razem
jej towarzyszki. Widziałeś,
jak przyprowadzał grajków...

MALATESTINO.

W nocy... Daj spokój! Nie ściskaj! Na Boga!
Żelazne masz golenie!
Puść mnie!

Zwinnie uwalnia się od niego.

DŻIANCZIOTTO.

Czym dobrze słyszał?
Mówiłeś — — powtórz!

MALATESTINO.

W nocy!
Tak! tak! widziałem... w nocy!

DŻIANCZIOTTO.

Żebra ci zgruchocę,
jeżeli kłamiesz!

MALATESTINO.

Przychodził w nocy, powracał o świcie!
Tyś wtedy ruszył był na Urbinatów.

DŻIANCZIOTTO.

Na proch cię zetrę, gdy kłamiesz!

MALATESTINO.

Mam ci pokazać naocznie?

DŻIANCZIOTTO.

Pokaż, jeżeli nie chcesz
paść w mych śmiertelnych uściskach.

MALATESTINO.

Czy chcesz tej nocy?

DŻIANCZIOTTO.

Chcę!

MALATESTINO.

A będziesz umiał udawać?
Będziesz się umiał uśmiechać?
Ty się na uśmiech nie zdobędziesz.

DŻIANCZIOTTO.

Zemsta nauczy uśmiechu,
gdy szczęście nie nauczyło!

MALATESTINO.

A będziesz umiał całować
i ją i jego, nie gryząc?

DŻIANCZIOTTO.

Tak! będę umiał, bo pomyślę sobie,
że już umarli!

MALATESTINO.

W uściskach trzymać ją musisz,
rozmawiać z nimi i nie drżyć.

DŻIANCZIOTTO.

Bawisz się moją katuszą! O strzeż się,
ból ma dwa ostrza!

MALATESTINO.

Na Boga!
Puść mnie! nie ściskaj!

DŻIANCZIOTTO.

Dobrze — więc powiedz,
jakie masz plany? Prędko!

MALATESTINO.

Będziesz się musiał pożegnać
z nimi i dosiąść wierzchowca i z całą
wyjechać świtą bramą San Dżenezio
w kierunko do Pezaro.
Ja na koń siędę wraz z tobą.
Powiedz, żeś zgniewał się na mnie
za oną głowę Montanii, że musisz
pojechać ze mną do Gradary,
stawić przed ojca, aby mnie ukarał
albo przebaczył. W ten sposób
będą myśleli, że zostaną sami.
Potem, w noc późną,
pozostawimy ludzi, sami zasię
wrócimy w miasto bramą gattolańską,
nim jeszcze wzejdzie miesiąc.
Damy znak Ridziemu.
Ja się z tem sprawię, a ty najszybszego
dosiądź bieguna i weź też ze sobą
płatów sukiennych, może będzie trzeba
owinąć niemi kopyta,
bo wiesz, że nocą
drogi wydają echo
i że kamienie, mój bracie,
umieją zdradzać.

DŻIANCZIOTTO.

Zobaczę.
Pewny-li jesteś, że ich schwycę?

MALATESTINO.

Przestań,
przestań mnie ściskać! Mam też
na myśli niewolnicę —
tę z Cypru, ona to właśnie
spełnia tu służbę rajfurki.
Chytra i sprawna jest w czatach.
Widzę ją nieraz, jak węszy.
Schwycę ją w sidła i uduszę...
To moje sprawy... Ty zaś
nie myśl o niczem, dopóki
nie staniesz we drzwiach!

DŻIANCZIOTTO.

Na twą głowę! powiedz!
Czy uda mi się ich przychwycić?

MALATESTINO.

Puść mnie!
Puść mnie na Boga! Nie mnie ci tak dusić!

Przez drzwi z prawej strony słychać głos Paola.

GLOS PAOLA.

Czyś tu Dżiowanni?

Kulawiec puszcza Malatestina i, ogromnie pobladły, staje na równe nogi.

MALATESTINO.

Uważaj! uważaj!
Tylko się nie zdradź!

Gdy Paolo otwiera drzwi, Malatestino udaje, jakgdyby był wściekły na Dżianczиotta, krzyczy:

Puścisz mnie nareszcie?

Udaje, jakgdyby go ręce bolały w pulsach.

To twoje szczęście, żeś jest pierworodny!
Inaczej... Dobrze, Paolo, żeś nadszedł!

SCENA CZWARTA.

Paolo ma na sobie długą, bogatą suknię, sięgającą poza kolana, do kostek, w biodrach ujętą pasem, wysadzanym drogiemi kamieniami, za pasem sztylet z damasceńskiej stali. Włos kędzierzawy, nieprzedzielony, spada mu w swobodnym nieładzie na czoło, osłaniając je niby obłokiem.

PAOLO.

Co się tu stało?

MALATESTINO.

Patrzaj!
Dżiowanni gniewa się na mnie,
iżem nareszcie utracił cierpliwość
i uciszyłem na wieki Montanię,
nie mogąc dłużej słuchać jego jęków
(a i Franczesce trudno było sypiać),
nie mogąc słuchać
tych jednostajnych wieści,
które mi ojciec przysyłał:
„A strzeżesz-li go dobrze?
A umiesz strzedz, jak trzeba?
Z pewnością ci ucieknie!
Ty dasz mu uciec! Z pewnością dziś jeszcze
zbiegnie z więzienia i ty go nie schwycisz.“
Obmierzło mi to! Przez Bóg żyw! Jest głowa.

PAOLO.

I sam go ściąłeś?

MALATESTINO.

Sam, i znakomicie!

PAOLO przygląda się chustce z głową, bacząc, aby się nie poplamić krwią, przeciekającą przez chustę.

MALATESTINO.

I ty się także usuwasz
z obawy, aby nie splamić
sukni? O, nie wiedziałem,
że dwie posiadam siostry
tak delikatne!

DŻIANCZIOTTO.

Przestań się przekomarzać.
Paolo! żądam, by się udał ze mną
do ojca, do Gradary,
by się usprawiedliwił,
że był mu nieposłuszny.
Co o tem myślisz?

PAOLO.

Zda mi się, dobrze będzie, jeśli z tobą
pojedzie.

MALATESTINO.

Owszem! owszem!
Lecz wezmę z sobą ten zastaw!
Przytroczę go do siodła —
siodło wytrzyma.

Bierze chustę za pętlicę.

Gniewu

ojca się wcale nie boję. Nasz rodzic
ogromnie się ucieszy,
gdy mu rozwinę chustę — to wam mówię —
i da mi na wojnę
rzymskiego skarogniadosza,
a zaś na łowy obdarzy mnie siwkiem...

DŻIANCZIOTTO.

Gotuj się w drogę, nie zwlekaj, bo wieczór
będzie za chwilę.

MALATESTINO podnosi zawiniątko i chce odejść.

PAOLO do Dżiowanniego.

Ludzi
widziałem twoich gotowych do jazdy —
czekają tylko hasła, aby siadać.

Obaj bracia podchodzą do zagłębienia okna, stają naprzeciw promieni zachodu. Siadają.

MALATESTINO, odchodząc:

O jaka ciężka! A jest bez szyszaka.
Parczitadowie zawszeć wyglądali
jak bydło na rzeź! Wielkie
rogate głowy! Paolo,
woń się rozpływa lawendowej wódki
za twoim śladem... Uważaj, uważaj,
bym cię nie splamił krwią.

Exit.

PAOLO.

Zawsze ma szpony gotowe, by drapać.
Nasi żołnierze
mawiali, że we śnie
zamyka zawsze tylko jedno oko,
a zasię drugie ma zawsze otwarte!

A ja dziś myślę, że nigdy nie sypia
i że nerw jego srogości
wiecznie naprężon.
Stworzon jest na to,
aby zdobywać władzę
i zginąć od miecza,
ten nasz kochany braciszek.
Boże go wspieraj! Ty zasię
masz oto zostać podestą Pezara!
Nasz ojciec na skałę pezarską
spogląda z swojej Gradary
jako na pewną swą zdobycz. Niedługo
da mu ją, bracie,
twoja waleczność i twa mądrość.

DŻIANCZIOTTO.

Niema
jeszcze i roku, kiedyś ty, Paolo
został w Florencyi naczelnikiem ludu,
tak ja dziś jadę po urząd podesty.
Nie długoś bawił nad Arnem. Ja za to
zabawię dłużej, bo snadź się nie godzi
odbiegać swego urzędu. Lecz żal mi
zostawić Franczeskę samą
na taki długi czas.

PAOLO.

Raz po raz możesz przyjeżdżać. Pezaro
nie tak daleko.

DZIANCZIOTTO.

Podeście
nie służy prawo wyjazdu,
póki trwa urząd, ty wiesz to, a także
nie wolno brać mu ze sobą małżonki,

więc tobie powierzam mą drogą,
kochaną żonę, tobie,
który zostajesz.

PAOLO.

Zawsze
takem ją kochał, jak siostrę.

DŻIANCZIOTTO.

Wiem to, Paolo.

PAOLO.

Bądź pewny,
że strzedz jej będę dobrze.

DŻIANCZIOTTO.

Wiem to, Paolo. Z Rawenny
tyś mi ją przywiózł dziewicą
do mego łoża, strzegłeś
od wszego zła.

PAOLO.

Zarządzę,
by moja Orabile,
przybyła z Giadżiola
tu do Rimini dla jej towarzystwa.

DŻIANCZIOTTO.

A bacz-że na to, Paolo,
aby się pokochały
obie bratowe.

PAOLO.

Nieraz
Franczeska słała jej dary.

DŻIANCZIOTTO.

Idź ją zawołać Już późno.
Słońce już zaszło, a ja będę zmuszon
uczynić postój w Gradarze,
zasię o trzeciej trzeba być w Pezaro.
Sam ją zawołaj. Siedzi w swej komnacie —
zrażona srogością
Malatestina. Idź ją uspokoić,
by się nie bała, że zostanie sama.
Idź, idź, zawołaj.

Wstaje i rękę kładzie na ramieniu Paola, jakby chciał go zachęcić. Paolo zwraca się ku drzwiom. Kulawiec pozostaje i, nieruchomy, zabójczą towarzyszy źrenicą, aż do progu, krokom pięknego męża. Zaledwie Paolo znikł za drzwiami, Kulawiec podnosi rękę do góry, jak do przysięgi. Potem podchodzi do stołu i bierze połamany puhar, aby go ukryć. Odwraca się i wzrok jego pada na otwarte drzwi żelazne. Idzie, rzuca puhar w ciemnię i zamyka.

W drugich drzwiach zjawia się Franczeska przy boku szwagra. Przeprasza męża, że wyszła, wstawia się za Malatestiną, by go nie oskarżał przed ojcem za okrucieństwo.

DŻIANCZIOTTO.

Nie, lepiej będzie, jeżeli
pojedzie ze mną dzisiaj, dla waszego,
moja małżonko, spokoju. Paolo
zostanie z wami. Jemu was powierzam...

I cały już uzbrojon, przypomniawszy, jaki przed rokiem szalał bój, jak celnym strzałem z łuku położył Czinjattę rycerski Paolo, mówi do małżonki:

„... Daliście nam wówczas
Greckiego wina z Chios.
Piliśmy z jednej czary.
Napijmy się i teraz!

FRANCZESKA.

Brak jednej czary. Były dwie. Gdzie druga?

Patrzy, czy nie upadła na ziemię.

DŻIANCZIOTTO.

Jedna wystarczy — jak wówczas!

Nalewa wino do czary i podaje Franczesce.

FRANCZESKA.

Nie mogę
pić tego wina, nie jestem przywykła.

DŻIANCZIOTTO.

Haust tylko jeden, jak wówczas, a potem
dajcie szwagrowi, by i on się napił.

FRANCZESKA pije haust i podaje Paolowi.

PAOLO.

Szczęścia podeście Pezara!

Pije, w tył odrzuciwszy kędziory. U drzwi, po prawej, słychać głos Malatestina, który nagle otwiera drzwi i staje w progu, cały w zbroi. Zdala, w dziedzińcu słychać trąbkę.

MALATESTINO.

Już gotów
jestem, Dżiowanni! Oto znak, by siadać!
Na koń! na koń!

Zasłona.



AKT V.

Przez odchylone kotary, w pięknej komnacie, widać Franczeskę, w ubraniu, spoczywającą na łożu. Towarzyszki w białym stroju, z lekkiemi, białemi przepaskami naokoło twarzy, siedzą na małych stołeczkach, rozmawiają szeptem, aby nie przeszkadzać pani. Obok nich, na ławce, stoi pięć srebrnych lampek.

Towarzyszki mówią o głowie Parczitady, którą Dżianczioto przytroczył sobie do siodła. Franczeska wzdycha głęboko i majaczy — znać ciężkie ma sny. Nagle wydaje okrzyk przerażenia, powstaje z łoża, jakgdyby chciała przed dzikim uciekać pościgiem; rękoma czyni ruchy naokoło bioder, jakgdyby pragnąc uwolnić się od czyjegoś chwytu:

„*Nie! nie! to nie ja! to nie ja! Ratunku!*
Już mnie chwytają zębami! Już z wnętrza
wyjmują
serce! Ratunku!
Paolo!..“

Zapędza się, potem nagle staje, miarkuje się, blada, przerażona, podczas gdy towarzyszki starają się ją uspokoić. Niema nikogo — mówią — sen tylko jakiś nawiedził ich panią.

W zamku cisza — widziały tylko — mówi Garsenda:

„kogoś... co stał tam... Stał tam nieruchomy
tuż popod murem
jak posąg jaki... sam... Pas mu się świecił.
O nie... nie... madonno!
Niechże się Miłość wasza tak nie lęka!..“

Zbliża się do Franczeski i cichym mówi jej głosem: *„Messer Paolo.“*

„Czego chciał?“ — pyta Franczeska, a potem:
„Idźcie! idźcie!“

I towarzyszki zabierają swe lampki srebrne i kolejno, jedna za drugą, pożegnawszy się z panią, odchodzą. Ostatnia żegna się Biankofiore, zapłakana, rozczulona rozmową o siostrze Franczeski, Samarytanie. Zapala lampkę przy jednym ze świeczników i nachyla się, chcąc Franczeskę, na pożegnanie, pocałować w rękę:

FRANCZESKA.

Odejdź.
Przestań już płakać. Smutne myśli przejdą.
Jutro zaśpiewasz... Idź już...

Biankofiore zwraca się powoli ku drzwiom. Kiedy już ma wyjść,

FRANCZESKA, w pozie nasłuchującej, jakgdyby coś przeczuwając:

Nie odejdziesz,
Biankofiore?

BIANKOFIORE.

Nie, zostanę z tobą,
madonno! Pozwól mi zostać, przynajmniej
pókąd nie wróci Smaragdi.

FRANCZESKA waha się chwilę, potem:

Nie! odejdź!

BIANKOFIORE.

Niech Bóg, madonno, ma cię w swej opiece!

Ultima exit.

SCENA TRZECIA.

Słychać zamykanie drzwi. Franczeska, pozostawszy sama, podchodzi kilka kroków ku drzwiom, potem staje, nadsłuchując.

FRANCZESKA.

Niechże się stanie. To me przeznaczenie!

Podchodzi ku drzwiom zdecydowana.

Zawołam!

Waha się i wraca.

Jeszcze stoi! Stał przy murze —
Stał niby posąg, sam.
Pas mu się błyszczał w ciemni. Któż to mówił?
Któż to powiedział? Jakież to dalekie!
Pod hełmem twarz mu płomienieje cała.

Wizye, nakształt błyskawic, przenikają jej duszę.

Milczący patrzył wskróś dzirytów
swoich pachołków.
Strzała przeszywa mu głowę.
I już zmazane piętno zdrady!
Wychyla czarę, przechyliwszy głowę.
Ach! wszystko znika! znika!
Wróg w swojej garści trzyma
topór i tajemnicę!
„Macie mnie, kaci, macie!
Jestem po waszej woli!“
Ale żelazo ust nam nie rozdzieli:
tak! nie rozdzieli płomienia!

Chodzi po komnacie, błędna i znękana, z błyskawicami w duszy.

Tak. Stopionego nie rozdzieli płomia.

Podchodzi do stoliczka, bierze srebrne zwierciadło i przegląda się w niem.

O ty milczenie, ty wodo głęboka,
ty blady grobie mej twarzy
śmiertelnej! Jakiż głos tu
mówi, żem nigdy nie była tak piękną?
I w samotności płomiennej
tych waszych oczu żyłam
z taką skrzydlatą mocą,
walcząca zdala, samotna...
I jeden tylko głos
rozbrzmiewa z wieży serca
i wszystka krew ucieka...
Ach!

Słychać ciche pukanie do drzwi. Franczeska, przerażona, kładzie lustro na stoliku, gasi świecznik, podchodzi ku drzwiom, tłumiąc oddech, i woła przyciszonym głosem:

Smaragdi! Smaragdi!

GLOS PAOLA.

Franczesko!

FRANCZESKA gwałtownym ruchem otwiera drzwi.

SCENA CZWARTA.

FRANCZESKA z namiętnym oddechem rzuca się w objęcia kochanka.

Paolo! Paolo!

PAOLO ubrany tak samo, jak wieczorem, z odkrytą głową. Franczeska tuli mu się do piersi.

PAOLO.

O moje życie! Tęsknota ma k'tobie
nie była nigdy tak szaloną! Czułem,
że już do mego serca

wnikały słabiej duchy,
żyjące w twoich źrenicach. Ma władza
już się gubiła śród nocy, płynęła
z mojego serca wzburzonym
strumieniem krwi; ma dusza
tak była przerażona,
jak w onej tajnej godzinie,
kiedyś mnie z Bogiem przeszyła
swą strzałą
i tam zawiodła, zkąd niema powrotu,
choćby człek wrócić zapragnął.
Żali nie dnieje? Żali już dnieje?
Wszystkie już gwiazdy zgasły w twych rozwianych
włosach, w dziedzinie mroków, dokąd usta
już nie zdołają dotrzeć...

Franczeska przechyla się coraz bardziej, a on całuje namiętnie jej włosy.

FRANCZESKA.

Przebacz! Przebacz!
I ty mi snadź już byłeś
daleki i milczący,
z źrenicą suchą i martwą, jak wówczas,
śród tych dzirytów martwych, nieugiętych.
I sen, straszniejszy, twardszy od topora,
przeciął mą duszę na dwoje
i jak pień rzucił straconą
na głaz. I przyszło na mnie jakieś widmo,
które oddawna widuję,
a które mnie pożera.
I byłam napełniona
przestrachem i przerażeniem —
i drżącą mnie widziały towarzyszki moje,
ach! i płaczącą!

PAOLO.

Płaczącą!

FRANCZESKA.

Przebacz mi, przebacz, słodki
mój przyjacielu! Tyś mnie znów przebudził -
i oswobodził z lęku!
Jeszcze nie nadszedł poranek;
jeszcze się gwiazdy nie ukryły w morzu,
lato nie zmarło jeszcze; i tyś moim
i jam jest cała twoją!
I radość jest zupełna
w naszego życia płomieniącym ogniu.

Kochanek ją całuje z nienasyconą żądzą.

PAOLO.

Trzęsiesz się!

FRANCZESKA.

Drzwi otwarte
i chłodne tchnienie nocy
zawiewa k'nam. Nie czujesz?
To chwila
pełna milczenia,
co zimną sieję rosę
na grzywy rumaków w drodze.
Zamknij, Paolo, drzwi.

PAOLO zamyka drzwi.

FRANCZESKA.

Czyś ty ich widział na swe własne oczy
odjeżdżających?

PAOLO.

Widziałem.

Długom ci patrzał z wieży, aż ostatnia
zniknęła w mrokach lanca.
Chodź, chodź, Franczesko! Długie są przed nami
chwile rozkoszy,
z dziką melodyą jesieni, z płomienną
kaskadą samotności,
z gwałtownym biegiem rzeki,
co nie ma ujścia żadnego
dla nieśmiertelnych swych pragnień;
ulatująca chwila
lękliwą budzi mi żądzę
do życia tysiącem żywotów,
z drżeniem powietrza, które pieści ciebie,
z burzliwym morza oddechem,
ze szałem świata,
ażeby żaden z nieskończonych bytów,
które są w tobie,
nie był nieznany dla mnie,
abym nie umarł przedtem,
zanim z twych tajnych głębin
nie wydobędę
i nie skosztuję ostatnich
korzeni mojej rozkoszy.

Ciągnie ją ku aksamitnym wezgłowiom przy oknie.

FRANCZESKA.

Całuj mi oczy, rozcałuj mi skronie,
i moje lica, i szyję...
Tak... o... tak!..
Rozcałuj pulsy i palce...
Tak! bierz mi duszę i odwróć ją tak,
ażeby tchnienie nocy
znów ją zawiodło ku temu,
czem była!

By ją zawiodło ku odległym rzeczom
to słowo nocy,
i aby szczęście, raz zakosztowane,
zamknęło mi serce,
abym widziała ciebie
tym, jakim byłeś, nie tym, jakim będziesz,
o ty mój piękny, słodki przyjacielu!

PAOLO.

Zawiodę ciebie tam, gdzie zapomnienie.
Czas już nie będzie miał władzy
nad pożądaniem,
które przestanie być sługą.
Dzień z nocą stopi się w jedno
na ziemi, jak na wezgłowiu,
i ręce świata nie będą już mogły
rozdzielić czarnych ramion z ramionami
białemi,
ani nie rozplączą
włosów i żył posplatanych.

FRANCZESKA.

Wszak mówi książka, której nie czytałeś:
„Jednem byliśmy w życiu, tak jakeśmy
godni być jednem i w śmierci.“

PAOLO.

Niech będzie
księga zamknięta!

Wstaje, zamyka książkę na pulpicie, zdmuchuje światło.

Nie czytaj! Gdzieindziej
jest napisane Przeznaczenie: w gwiazdach
jest napisane, drżących
jak twoja szyja, i twe pulsy,

i twoje skronie,
może dla tego, że były
twoją koroną i twem przeznaczeniem,
kiedyś w płomieniach schodziła
z niebios na ziemię. A z jakiej winnicy
— powiedz — zerwałaś to przepiękne grono?
Woń upojenia
mają i miodu,
jak żyły, nabrzmiałe rozkoszą! Owoce
nocy! Miłości płomieniste stopy
wycisną słodki z nich napój. Daj usta!
Daj usta! Jeszcze! Jeszcze!

FRANCZESKA podaje mu się na wezgłowiu, nieprzytomna, zwyciężona. Nagle głęboką ciszę przerywa gwałtowny łomot w drzwi, jakby kto bił w nie pięściami, i kochankowie zrywają się przerażeni.

GŁOS DŻIANCZIOTTA.

Franczesko! otwórz! Franczesko!

FRANCZESKA skamieniała z przerażenia.

PAOLO badawczo rozgląda się naokoło, trzymając rękę przy sztylecie. Wzrok jego pada na obręcz drzwi zapadnych.

PAOLO głosem stłumionym.

Odwagi! męstwa! Ja się tu ukryję
za te zapadne drzwi,
a ty mu pójdziesz otworzyć.
Tylko mi nie drżyj! nie drżyj!

PAOŁO otwiera drzwi zapadne.

Pod uderzeniami Dżianczciotta podwoje zdają się rozpadać w kawały.

GŁOS DŻIANCZIOTTA.

Otwórz, Franczesko! Na twą głowę!

PAOLO.

Otwórz!
Otwórz! idź! ja zasię
poczekam tutaj pod oknem. Na krzyk twój
skoczę, jeżeli cię ruszy.
A tylko nie drżyj! Odważnie!

PAOLO schodzi, podczas tego Franczeska, nadsłuchując, chwiejnym zbliża się krokiem do podwoi.

GŁOS DŻIANCZIOTTA.

Otwórz, Franczesko! Na twą głowę, otwórz!

SCENA OSTATNIA.

Dżianczioto w pełnej zbroi, okryty kurzem, wpada, jak szalony, przez otwarte podwoje do komnaty i szuka brata. Naraz go spostrzega, ponieważ Paolo głową i ramionami wystaje ponad posadzkę, daremnie usiłując uwolnić suknię od żelaznej zapory, do której się przyczepiła. Franczeska, spostrzegłszy go również, wydaje krzyk przeraźliwy, podczas gdy Kulawiec rzuca się na cudzołożnika i, pochwyciwszy go za włosy, zmusza do wyjścia na górę.

DŻIANCZIOTTO.

Sameś się dostał w pułapkę,
ty zdrajco! Dobrzem cię chwycił
za grzywę!

FRANCZESKA rzuca się z groźnem obliczem na niego.

Puść go! puść go!
Na mnie się pomścij! na mnie!

Małżonek puszcza swą zdobycz.

PAOLO skacze na drugą stronę schodów i dobywa sztyletu. Kulawiec zrywa się za nim, wyciąga miecz z pochwy i ze strasznym rzuca się na niego impetem.

FRANCZESKA błyskawicznym ruchem rzuca się pomiędzy nich obu, a ponieważ mąż w rozpędzie nie może powstrzymać już ciosu, szpada pierś jej przeszywa. Franczeska zatacza się w kółko i pada w objęcia Paola, który sztylet wypuścił był z ręki.

FRANCZESKA umierając.

Ach! Paolo!

Kulawiec wstrzymuje się na chwilę. Widzi żonę w objęciach Paola, który ustami swemi zamyka jej konające usta. Kulawiec, szalony z bólu i wściekłości, drugim ciosem zadaje śmierć bratu. Oba splecione ciała zataczają się i padają, bez najmniejszego jęku i nie rozłączając się, na podłogę.

Kulawiec nachyla się w milczeniu i, na jedno przyklęknąwszy kolano, na drugiem łamie szpadę skrwawioną.

Explicit tragoedia.



ZAMEK LUCYLI.

Wyjechałem, pewnego wieczora, do zamku Lucyli. . .

Zapalone latarnie wielkiej kolasy znęcały błędny lot komarów nocnych, które ze szmerem żwawych skrzydeł wirowały dokoła tej niby gwiazdy uwięzionej a przyciągającej.

Z nadrzecznych przybywając urwisk, z wilgotnych o zmierzchu ogrodów, z zalanych ciemnością gąszczów różanych, z alej pomrocznych, — przeszywały drgającym wyrajem wrażliwe milczenie wieczoru, różano i płowo kładącego się na wzgórzach żniwnych i leśnych, het gdzieś ponad dachami miasta.

Ciężkie konie, z posplatanemi w warkoczyki grzywami i ogonami i z jakąś błahą różą na czole, biły kopytami o rozdźwięczny bruk pustego placu, i wysunąłem głowę przez drzwiczki, aby napędzić do pośpiechu pocztyliona, znającego drogi, wzgórza i całą okolicę, kędy, w cieniu ogromnych borów ochronnych, na ustroniu, pośród rozległych stawów i chłodnych sadzawek, w głębi

usianych gaikami parków, krył się zamek niezwykły i nikomu nieznany, do którego Lucyla zaprosiła mię, uśmiechnioną oczu obietnicą, na zabawy tryskające z fontan i kwiatów, na słodkie księżyce ponad wonnemi trawnikami, ponad stołami owoców i kryształów — tajemnice siedziby przystosowanej do jej sposobu czucia się kobietą — na upojenie, w jakimś samotnym a omdlałości pełnym, jak szczęście samo, buduarze, jej ciałem poprzez muślinów koronkę, jej włosami, tak nieodzownie oddanemi na pastwę surowym szponom grzebienia i tak ruchomemi w tem jeństwie, a teraz wolnemi nareszcie i rozsiewającemi wonną wichurę pudrów i deszcz prochów złotych, na zbudzenie się wreszcie, po odpoczynku na sofie, i na szeptane do ucha najcudniejsze baśnie wschodnie, paplaninę miłosną a naiwną zaczarowanych królewien w pałacach zabaw psotnych...

Ostatni owadek towarzyszył długo chyżej kolasie. Krążył dokoła latarni, przelatywał tam i z powrotem w wachlarzowatej smudze światła, która zdawała się igrać z nim i odtrącać go ku ciemności, kędy, pośród zdumienia wiosek w śnie pogrążonych, dzwoniły grzechotki zaprzęgów oraz kruche szyb powozowych kryształy.

Droga przez wzgórza i spadki, śród pól, gajów i żywopłotów, podwójne balustrady mostów rozdźwięcznych i żwirowatych, droga przez groble stawów i przekopy górskie, pod nocą ugwiaździoną i przy wietrze dławiącym się w wąwozach a łkającym cicho w listowiu.

Słupki przydrożne, jeden po drugim, białe śród mroku, drogowskazy na rozstajach, żebrak nad rowem, wszystko mówiło, że jedziemy ku zamkowi Lucyli.

Świt wzeszedł nad rolami i miastami nieznanemi i nad wysokiemi górami. Konie wietrzą het w oddali, po za skałami i widnokręgami, przystań przednich pastwisk i owsów radosnych.

Śród kwiatów-że-to uśmiechnie mi się liczko jej w przedsionku, czy też może wybiegnie sama aż do zakrętu drogi, aby czatować na przybycie podróżnika, na ukazanie się pudrowanej głowy pocztyliona, na strzelanie batów i trąbek odgłosy?

Słońce chyli się ku zachodowi; kolasa wciąż toczy się traktem; długa droga bez popasu rozczochrała perukę pocztyliona, poplątała grzywy końskie, a pył, który wcisnął się w otwory brzękadeł, głuszy ich dzwonność.

A jednak to tam, wiem doskonale, coś upewnia mnie, że to tam, pośród tych gajów, kryje się, u kresu dróg, pośród wód i ogrodów, zamek Lucyli.

Jakaś raca przepyszna, wytrysnąwszy z szelestem i trzaskaniem pośród nagłych muzyk w ten zmrok wieczorny, rozkwieci się oto za chwilę w promienisty bukiet złotych płatków i dyamentów gwiezdnych, i obwieści ponad gąszczami, w których rozebrzmią kaskady śmiechów i źródeł, blizkość frontonów i dachów.

Wieczór jest ciepły i cichy. Kędyż przysiadły białe gołębie, o których opowiadała mi, że krążą niby naszyjnik skrzydlaty nad jej siedzibą, upuszczając niekiedy z dziobków tęczujące opale w rozległe modre jeziora?

O jakże słodka byłaby gędźba ich skrzydeł! gdzież więc znak jaki ich obecności?

To tam, droga się kończy u wielkich głazów sterczących, które zagradzają biegnącą w górę aleję drzew: przeszkoda dowcipna, wskazująca każdemu, że tu wyzuć się trzeba ze wszystkich okazałości przybycia i przepychów zaprzęgu i że, z chwilą wstąpienia w dziedziny Pani, trzeba się oddać w pieczę jej wystawności gościnnej.

Poszedłem sam długą aleją śród milczenia i zmroku.

O kłamliwa i płocha Lucylo, czemuż przyobiecywałaś mi tyle zmyślonych rozkoszy: swą postawą — siedzibę królewskiego wykwintu, swemi włosami — słodycz jedwa-

biów i czarodziejstwo złota, swym głosem — pieśni i chorowody, swemi usty — barwę i upojność win świętych, pierśmi swemi — cudność owoców, swemi oczyma — wody spokojne, kędy marzenie zstępuje pomiędzy barki i łabędzie, między odbicia drzew okólnych i szlachetnych kamieni!

O Lucylo, cóż za smutna pielgrzymka do zamku twej duszy!

Bezradośnie zadrżałem w opuszczeniu twych komnat i pustce milczenia, o siedzibo popiołów! a przy odejściu, wzrok mój, tkwiący na zniszczonych fasadach i obnażonych frontonach, tych maskach nieuleczalnej nędzy wewnętrznej, ujrzał je raz jeszcze, kołyszące się chwiejnie w widziadlanem zwierciedle wód martwych dookoła, rozprzęgające się zwolna i jak gdyby stapiające w jakąś nicość ułudę swego kłamstwa.

Od świtu do wieczora, od wieczora do świtu, oglądałem z powrotem trakty i mosty, białe o zmroku słupki przydrożne, równiny, góry, miasta, i cóżbym mógł odpowiedzieć, gdyby żebrak na rozstaju, który wyciągał rękę po swój obol, lub gdyby dzieci wiejskie, co wdrapywały się na stopień powozu, aby wyżebrać jaką jałmużnę lub dar niespodziany, których odmówił im egoizm i zawrotny szał mojej żądzy, — rozbiły kamieniami szybę kolasy, w której powracał, smutny i zgnębiony, pogrom mego marzenia!

Z cyklu „Contes à soi-même“
PRZEŁOŻYŁ Z. P. Henryk de Régnier.

Z „Trofeów.“

Zapomnienie.

Świątynia w gruzach leży na przylądka czole.
Śmierć pomieszała tutaj, w płowej brzegu glinie,
Bohaterów ze śpiży, z marmuru boginie.
Gąszcz traw samotnych kryje sławną ongi dolę.

Niekiedy jeno, stado wiodąc pić bawole
I pełniąc spokój niebios i dal mórz w głębinie
Dźwiękiem muszli, zkąd echo starożytne płynie,
Czarno mignie w lazurze pasterskie pacholę.

Ziemia-Matka, i stare tkliwie pieszcząc bogi,
Rozzielenia co wiosnę, z daremną wymową,
Nowy akant nad prysłą kapitelu głową;

Ale człowiek, oziębły na sen przodków błogi,
Nie drgnie, słysząc w pogodnych nocy majestacie
Płacz Morza, co się żali po Syren swych stracie.

Nemea.

Odkąd pogromca zniknął w kniei czarnej mroku,
Pilnie śledząc po ziemi ślad łapy złowrogiej,
Jeden ryk przeraźliwy zdradził uścisk srogi.
Wszystko ścichło. Krąg słońca mdleje w krwi potoku.

Pasterz, co, cały drżący, wytężając kroku,
Ku Tyryntowi pierzchał przez ciernie i głogi,
Obraca się i — okiem rozszerzonem z trwogi —
Widzi pod lasem bestyę sprężoną do skoku.

Krzyknął. Postrach nemejskiej widział okolicy,
Groźnie rozwartą paszczę w zachodu krwawicy,
Las grzywy i kły lśniące, któremi rozdziera;

Bo zmrok, człeka ze zwierzem stapiając ponuro,
Pod straszną, zwisającą z Herkulesa skórą,
Potwornego jakiegoś stwarzał bohatera.

Antoniusz i Kleopatra.

Oboje spoglądali z tarasu wyżyny
Na Egipt w śnie tonący w noc duszną i parną
I na rzekę, co, Deltę przecinając czarną,
Ku Bubastis lub Sais toczy swe głębiny.

I Rzymianin, wódz-więzień, piastun snów dzieciny,
Czuł, pod stalną zbroicą, bojami ciężarną,
Jak na pierś mu zwycięzką mdleją, gną się, garną
Leżące mu w uścisku gibkich członków trzciny.

Zwracając blade lico z ciemnych włosów toni
Ku pijanemu tchnieniem nieodpartych woni,
Podawała mu usta i ócz jasność złotą;

A pochylony nad nią Imperator w szale
Ujrzał w wielkich źrenicach, gdzie lśnią gwiazd opale,
Całe morze olbrzymie z pierzchającą flotą.

Zdobywcy.

Jak wyląg białozorów z pustej gniazd kostnicy,
Wyniosłej nędzy swojej nie chcąc znosić dalej,
Ruszali z Palos wodze, włóczędzy zuchwali,
Pijani marzeniami, bohaterscy, dzicy.

Szli na zdobycz bajecznej złotych rud skarbnicy,
Która w dalekich żupach Sipang-ho się pali,
A wiatry peryodyczne pchały ich po fali
Ku Zachodniego morza tajemnej granicy.

Co wieczór, pełnym wiary w jutro walk epiczne
Zwrotnikowego morza tonie fosforyczne
Stroiły sny w czarowne, złociste miraże;

Albo znów—pochylonych na karawel przodzie
Olśniewały na niebios nieznanych obwodzie
Wstające z Oceanu gwiazd nieznanych straże.

Samurai.

Był to człowiek o dwóch szablach.

W roztargnieniu po dźwięcznej wodząc palcem biwie,
Ujrzała przez bambusów delikatne kraty,
Pośród wybrzeżnych piasków lśniącej, płaskiej maty,
Serc zwycięzcę, o jakim marzyła tak tkliwie.

To on. Szable u boków, wachlarz jak w podrywie;
Węzłowatego sznura i chwastów szkarłaty
Przecinają czerń zbroi; z ramienia bogaty
— Hizen czy Tokungawa — herb lśni połyskliwie.

Ten piękny, świetny rycerz, strojny w blaszki, znaki,
Z po za bronzów, jedwabiów i świecącej laki,
Zda się czarnym, olbrzymim, lśniącym skorupiakiem.

Spostrzegł ją, uśmiechnął się w brodę swojej maski,
A przy śpieszniejszym kroku drżące nad szyszakiem
Dwa rożki pozłociste żywsze sieją blaski.

Na posąg strzaskany.

Mchy zbożne — oczy wreszcie przymknęły mu smętne;
Bo w tej puszczy zapadłej szukałby napróżno
Dziew, co z mlek, win ofiarę lały ongi dłużną
Na ziemię, której znaczył granice pamiętne.

Dziś chmielów, bluszczów, kalin gałęzie pokrętne
Gęstwą złomek ów boski oplatają drużną;
Nie wiedząc, Pan czy Faun to, z ochotą usłużną
W rogi skroń potrzaskaną stroją mu odświętne.

Patrz. Skośny promień słońca, pieszcząc go łagodnie,
W twarz spłaszczoną ócz złote wstawił mu pochodnie;
Dzikie wino się śmieje krasą ust czerwoną;

I — czarodziejstwo ruchu! — szmer wiatru, dreszcz liści,
Cienie błędne, skry słońca, co drgają i płoną,
Wszystko — boga żywego w złomie głazu iści.

PRZEŁOŻYŁ Miriam. José-Maria de Heredia.

Różne drogi.

Na wierzchołku góry jest chłodno materyalnie, ale bliżej ku słoncu matematycznie, myślowo. Tam mieszka prawda. Ku prawdzie tej wiodą różne drogi, po których wspinają się poszukiwacze. Jedni z nich przystają i cieszą się krajobrazami, a niekiedy, aby lepiej się niemi nasycić, na pewnych średnich wysokościach osiadają. Inni, roztęsknieni za niziną, nie zdążywszy wejść, już się w dół staczają. Inni, zatopieni w swej myśli, ambicyą porwani, na oślep drapią się po stromiznie, aż im tchu zbraknie. Inni wchodzą świadomie i odmierzenie. Innych prawda olśniewa wizyą wpierw jeszcze, nim doszli. Innym intuicyjna pewność, że dojdą sami, pozwala na pomaganie słabszym, w drodze omdlałym, lub zniechęconym trudnościami. Nakoniec są inni, którzy, zwątpiwszy sami, gaszą zapał płonących, rzucają w nich kamieniami, grożąc, złorzecząc, szydząc i kusząc do cofnięcia się na dół, ku nim, złośliwym i niemocnym. Oni dali folgę swej żądzy w jakiejś przygodzie, a teraz, ziewając, wołają do siebie dla towarzystwa, niby dla pomówienia o onej prawdzie wielkiej, a w rzeczy po to, aby nudy swej zarazę wszczepić w niezakażonych jeszcze, niezwątpiałych, co żądzy nie ulegli. Kto na obłudne wołania tamtych odpowie, ten i sam ginie. Ale są jednak i tacy nieczuli odmieńcy, którzy na wszelkie wołania towarzyskie odrzucają tę odpowiedź:

— Jest prawda maleńka dla rzeszy: jeść trzeba; jest prawda większa dla królów: trzeba królować; jest prawda wielka dla samotników: trzeba duszę zbawić; i jest prawda największa: objawienie duszom zbawionym. Ku tej prawdzie dążmy wszyscy, a w niej się, nawet nie po jednej drodze idąc, spotkamy.

Jan Lemański.

Kronika miesięczna.

NAD MOGIŁĄ JULIUSZA SŁOWACKIEGO [1]).

Groza bierze przerywać ciszę grobu; groza tem większa, gdy w grobie leżą prochy tego, co gdy

... mówił pacierz tajemniczy
I o potomstwo wielkie prosił ducha,
To krzyczał z piersi — tak jak morze krzyczy,
A Bóg go słuchał tak, jak globu słucha.

Groza, aby martwy ten strasznego nie zrobił wyrzutu:

... Jam ducha w duchy wasze wrzucił,
A wy mnie chcecie z siebie wyrzucić językiem.

Zresztą, nad mogiłą pieśniarza

Złote palmy — niewidzialną koronę
Spuszczą z chmur turkusowych, ze złotego nieba
Róż ognistych nasypią! Więc też nie potrzeba
Kaznodziei poecie!

Nie do grobu więc mówić nam, lecz stojąc tu sprężać serca i wytężać duchy, nasłuchiwać tęsknie a trwożnie, żali grób do nas mówić nie zacznie. Bo wieją nad nim szelesty i poszmery dziwne

---

[1]) Mowa wygłoszona nad magicznym w swej ciszy grobowcem na cmentarzu Montmartre d. 3 Kwietnia r. 1898. Iż nic do dzisiaj niemasz w słowach tych do zmienienia, powtarzamy je tutaj (z paryskiego *Wolnego Słowa Polskiego*) w pamiętnym roku, gdy Warszawa po raz pierwszy głośno obchodziła rocznicę śmierci poety.

niby strun harfianych, bo widma jakieś i mary krążą tu w powietrzu, unosząc, niby odbicia i echa, to, co było najdroższem poecie. I oto „zkąd ten akord? gdzie ta harfa się odezwała?“

Cichy, wiatrzany a słoneczny, melodyjny a promienny, nieskończenia i tajemnic pełny, płynie zkądciś dźwięk *Eolion*, imię jednej z ostatnich, z epoki najotchłanniejszego marzenia datujących inkarnacyj ducha poety. I dźwięk ten rośnie, idąc, i potężnieje, niby rozjęk dzwonu srebrnego, a wokół niego pogrzmiewają wstrząsające rozhuki rapsodów *Króla Ducha,* wrą i szumią oceanowe pogwary bezbrzeżnego morza *Genezis z Ducha,* drżą i tętnią i głos dają tajemnicze otchłanie *Wykładu nauki* i *Listu do Rembowskiego.*

A gdy wsłuchamy się w hymnową, dytyrambiczną tych głosów symfonię, oto jawi nam się w olśniewającej chwale i królewskości oblicze ducha, które je wszystkie ujął, zaklął, ucieleśnił i w niewysłowną tę harmonię powiązał.

Królem był ci on, królem państw nieprzejrzanych, bogactw nieprzebranych, zastępów niepoliczonych. Obracajmy karty dzieł jego, tych annalów poczynających się od chwili, gdy wstąpił na święty tron poezyi, a ujrzymy, iż mocarzył nad wszystkiemi najsłodszemi upojeniami miłości, nad wszystkiemi najcięższemi bólami ludzkiemi, iż w dziedzinie największych porywów społecznych i narodowych ogromne słowa jego niby ciosy padały piorunowe, iż w zaczarowanym borze legend, podań, tradycyj panem był wszechwładnym i ukochanym. Wszystko to wrzało w nim, falowało, niby szlachetne wino w opalowej czarze, a tęczowemi i gędziebnemi bijąc w górę wytryski, zdawało się do gwiazd niepoliczenia nowe na niebiosach ludzkości przydawać gwiazdy. Dusza jego była

Jak instrumentu cedrowa szkatuła,
Którą muzykant napełnił przelotem
Tonów — i zamknął napełnioną grzmotem.

Rozhukany hippogryf jego wyobraźni nie znał granic żadnych, ni zawad:

.....moje pałace
To dęby dziwnie szumiące
Nad ślepym jak wietrzne burze,
A moje sioła to w górze
Słońca, gwiazdy i miesiące,
Pełne tęcz i rajskich ptaków,
Które ślepemu się marzą,
Bo mój wiek tak złotą twarzą,
Jak w pieśni wędrownych żaków
Upiór, wygląda z ciemnoty
Pełny cudów.....

A mowę, to berło mocarzy ducha, miał:

w jakieś anielskie kolory
Ubraną, która połowę
Słów zamieniała już w tony.

Ogarnął wszystko, co zgraję ludzką zajmuje, porusza i wstrząsa, dał wszystko, za co tylu innych jużby uwielbienie, miłość i chwałę zyskało. Ale to mu nie wystarczało. Bo on, według słów Krasińskiego: „trzymał nakształt harfy eolskiej duszę swoją wyżej nad wszystkich dłonie ludzi, śród powiewów nieba", bo on z pośród tych bogactw i przepychów tęsknie jednak

. . . . . skrzydlate obrócił ramiona
Wschodowi — chciwy nowego żywota,

by syrenie, nieodparte głosy wieczności i nieskończoności tak rozśpiewały mu się w duszy, iż, jak legendarny król Kofetua, rzucił wszystkie swe skarby, wszystkie swe bogactwa, wszystkie swe moce pod bose stopy wzgardzonej i odpychanej wśród ludzi żebraczki, której oczy patrzą wiecznie w dal, w nieskończoność, w niedojrzaność, w zagadkowość: pod stopy idei. Lecz nie tej samozwańczej, która ułamkowe i efemeryczne tworzy doktryny, jeno owej platońskiej, przedwiecznej i kresów nieznającej, która wiekuisty rytm bytu i ducha w tajemnem ukrywa swem łonie. Ukochał ją — i w chwili tej okazało się

. . . . . jak są różne przed prawdy mistrzynią
Orły — choć wszystkie jeden hałas czynią.

Oto duch, sprężony całą siłą upragnienia, całą potęgą niezwalczonych, nostalgicznych tęsknot ku pierwopoczątkowi swemu i ku najwnętrzniejszej swej istocie, zaprowadził poetę na skały oceanowe, na owe jedynie chwilowemi odblaski złocące się urwiska pośród otaczającego nas groźnego *mare tenebrarum* — i tam przed olśnionemi jego oczyma rozsłoniła się olbrzymia wizya, niby gwiazd ćwiekami do niebios przybita sklepienia, wizya wiekowych dziejów ducha, metamorfoz jego stopniowych i celów ostatecznych. W uszach rozegrzmiał mu groźny i tajemniczy śpiew:

Gdy wyrośniesz na człowieka,
Staną ci sny, jak liczny wróg,
I stworzysz świat, jak tworzy Bóg;
Ale nie świat szalonych scen,
Lecz nikły świat, jak ze snu — sen.
I złamiesz świat, i pójdziesz wbrew
Wojskami mar przeciwko ciał,
I będziesz myśl przemieniał w krew.
Nam dawał moc i od nas brał;

I będziesz król... lecz będziesz sam,
Albo więc idź, albo się złam...

Poeta nie złamał się, złamał natomiast wszystko, co w nim było słabością, pychą, miłością własną, zgodził się na samotność, na odrzucenie, na szyderstwa i potwarze, i poprowadził wojska tego, co pośród ludzi „marami“ się zwie, przeciwko wojskom ciał, które snadź właśnie są marami w obliczu wieczności. Podobnie jak ów drugi olbrzym myśli Hoene-Wroński, leżący również tu, w ubogim grobie na jednym z paryskich cmentarzy, ogarnął całość bytu i ujrzał, że świat nie jest chaosem oderwanych zjawisk i wypadków, że wszystko wiąże się w nim, sprzęga, z jednego wypływa praźródliska i ku jednym finalnym dąży przeznaczeniom, że jedynie w kryształne tego praźródła zapatrzywszy się tonie pojąć mozna znaczenie, rolę i charakter każdego poszczególnego fenomenu, i że najwyższem, orficznem zadaniem poety jest zamknięcie w swych tworach tego dna rzeczy, tej praistoty, tej esencyi, w której wszystkie zbiegają się i z której wszystkie w nieskończoność rozchodzą się łańcuchy. Porzucił wszystko i stanął, niby nowy Jakób, do walki z aniołem. I powstały te bezdenne, tajemnic pełne rapsody *Króla-Ducha,* powstały te hermetyczne po dziś, lecz brzemienne wielką przyszłością nowe Apokalipsy próz genezyjskich, powstały wreszcie, gdy poeta od istoty ku pojedyńczym zjawiskom jął zstępować, takie wiek swój — i nasz nawet być może — wyprzedzające poglądy, jak np. pisemko *O potrzebie idei.*

Z temi trąb cudownemi głosami odchodzi
I znika nam na zawsze z oczu...

— jak śpiewa chór o królu Jagielle w ułamku *Zawiszy Czarnego.*

Ale zanim odszedł, ileż starć, ileż bólów, ileż żółci i nienawiści znieść musiał. Wszystkie zbyt poziome dusze, nie mogące pojąć tych niezmiernych widnokręgów, wszystkie samolubstwa, wszystkie zarozumiałości weszły w sojusz braterski przeciwko temu, który burzył gmach nędzy i płaskości dusznej, wyganiał z ciepłych zakątków i utartych dróg i chciał „zjadaczy chleba w aniołów przerabiać“. Przewidywał to poeta:

Prędzej czy później deszcz piorunów lunie
Na orła, który słońce miał na oku.
Na mnie — żórawia z wyciągniętą szyją
W przyszłość — pioruny Boże jeszcze biją.

Niekiedy jednak nadmiar nędzy, nadmiar zniewag, nadmiar szyderstw i napaści święte w nim budziły oburzenie:

Zgroza! lokajstwo w zbrojach, na oblicze
Włożywszy hełmy, staje mi na drodze —

woła w jednem miejscu. Gdzieindziej z jakąż goryczą mówi przez usta owego nieziemsko pięknego króla Sparty, Agisa:

Dajcie wody lustralnej! W tę pozłotowinę
Miesiąca zapatrzony, śniłem dziwne cuda.
Kleomen! Dajcie wody — lepiej mi bez luda.
Jestem wszakże człowiekiem i mam ludzkie cele.

A gdzieindziej jeszcze z jakąż rezygnacyą zdaje sobie jasno sprawę z nieprzyjaźni świata i z zupełnego swego opuszczenia:

„Mówię to po rozwadze głębokiej, a nie dla chwały własnej — mówię, abym nie zataił przed światem mocy Bożej — pewny, że to wyznanie w wieku dzisiejszym ujmie mi cześć w obliczu świata, który chętnie one rzeczy szalbierstwu albo chorobie zwykł przypisywać, sądząc, że ujmują powagi rozumowi i stają na drodze cielesnym i ciągle w górę idącym usiłowaniom narodów“.

Ale raz wybrawszy drogę nie cofnął się z niej.

..... vo per vie men calpestate e sole
(więc dróg się trzymam dzikich i samotnych),

powtarzał zapewne za Michałem Aniołem. Ufał w przyszłość:

Czekaj — wstaniemy oboje po latach,
Gdy błysną łuki tęcz nad okolicą!
Wstaniemy razem z wielką jaką zgrają
Harfiarzy, co jak anioły śpiewają,
Czekajże, liro, śpij!

Przyszłość ta do dziś nie nadeszła. Nie dziw, że poeta nie był zrozumiany przez współczesnych swych, nie dziw, iż miał w nich słuchaczy głuchych lub nawet wrogów, klątw i urągania pełnych:

..... taki jest wieczny
Wielkich duchów na ziemi ciągły spazm serdeczny.

Nie dziw — nie mówiąc już o *Królu-Duchu* lub *Genezie z Ducha,* które dla rówieśnictwa na siedm, zda się, pieczęci zamknięte były — iż nawet rzeczy, w których poeta bliżej ziemi zstępował, miast wielbicieli wrogów mu czyniły. Chodzono po powierzchni, on ku głębiom wołał.

Czyliż mógł go zrozumieć naród, „który stał przewodnikiem i wzorem ludów, a zszedł na małego naśladowcę innych narodów“, gdy poeta, karcąc rodaków, że „we własnym duchu twórczość swą postawili pod ideałem *kolorowego ułana*“, stwierdzał, iż „taka bezwładność ogarnąć musi powoli masę narodu, która ciągle ku celom

ostatecznym nie jest jako morze przez gwiazdę miesięczną podnoszona“?

Złorzeczono mu lub szydzono, czytając zdania następujące:

„..... nad *ideałem ułana,* nie zniszczywszy go wcale, owszem świętością go celu podnosząc, postawić trzeba wyższą ideę prawdziwą, matkę czynów, którąby, w niebo prowadząc ku celom ostatecznym, wskrzeszała pył drogi, po jakim stąpa.“

„Bóg bowiem chce Polski, aby czynila wysokość między wysokościami, do której dążą w ideałach inne narody.“

„O Wy! w narodzie... którzy w kontrakcie społecznym albo w jezuityzmie albo w konstytucyjnych machineryach szukacie sil waszych... dlaczegóż nie pomyśleliście o wyjęciu z dusz waszych dawnej polskiej idei, która była *zbudowaniem kraju na wolności Ducha ludzkiego z zastrzeżeniem wolności dla wszystkich świętych z ducha zaprzeczeń,* a która bez zgody duchów trwać w żaden sposób nie mogła.“

„Cudów pragniesz? lecz te będą w rozbudzeniu się duchów, w objawieniu się nagłem naszej *wewnętrznej polskiej natury,* która teraz oszukaną jest i uśpioną brzękiem różnych opinij.“

„Nie lękaj się! że jako dziecko w początkach będziesz szczebiotał pomiędzy ludami, nie mogąc zrazu wytłómaczyć się wyraźnie z zapałów twoich.“

„Ideą podbijaj Duchy narodów, aż cię ukochają dla wielkości i anielstwa celów twoich! A wszyscy dopomogą do czynu.“

„Któż pomoże ludziom niepotrzebnym, którzy oświadczają wyraźnie, iż chcą dom swój na to tylko odebrać, aby w nim używali dostatków i wczasów albo czynili rzeczy prawom innych narodów podobne?“

„Twarz swoją duchową wymaluj przed narodami! — a żaden lud nie zaśnie, ale westchnie, aby się twarz ta ciałem zjawiła...“

„Oto już opinią jest, że myśleć nie umiesz, a dobry tylko jesteś do korda, jak gdybyś nie wziął testamentu żadnego po Ojcach twoich i nie wiedział o żadnym Ducha polskiego rozkazie!“

Dwóch ludzi, podobne, nieledwie identyczne, w tym samym prawie czasie, wygłaszało zdania: bardziej ściśle, bardziej filozoficznie Hoene-Wroński, bardziej tęczowo, bardziej gędziebnie ten, nad którego grobem stoimy. Obaj nietylko przez współczesnych niezrozumiani i odepchnięci byli, lecz po dzisiaj, mimo lat 50-ciu prawie, jakie nas od chwili ich zgonu dzielą, zostali mytem, z którego złotolitej szaty szmat jakiś zaledwie tu i ówdzie po rękach ludzkich

się błąka, a reszta ginie i rozpływa się w mroku niewiadomości... czy niechęci poznania.

Poszliśmy niby naprzód, ale snadź nigdy tak jak dziś nie byliśmy „zdrowi“ i rozsądni — i dla tego wszystkie one cuda ducha, które przed chwilą grób ten przed oczy nam przywołał, wydają się sędziom w państwie literatury, a za nimi i tłumom, — szaleństwem, zdziecinnieniem, upadkiem geniuszu. I chciałoby się z goryczą i ironią powtórzyć za Dantem:

„O voi ch'avete gl'intelleti sani!“

albo za naszym poetą:

O wy, którzy się nigdy nie spotkacie
Z prawdziwą twarzą waszego tu stróża!
Dla których żywot widzialny jest w chacie,
A Bóg w błękitach próżnych się zanurza,
Dla was są próżne tych czynów postacie,
Dla innych — ducha ton i straszna burza
Owiewająca moją pieśń...

Przyjdą snadź czasy, gdy jasność się stanie, gdy ludzie i ludy pielgrzymować snadź będą do tych ksiąg dziś prawie nieznanych. Kto wie?

Kto wie? (powiada sam poeta)—*jak słońca przyjdą tysiącami!*

Dziś głucho jeszcze o tem. Słyszymy za to głosy nawołujące, aby proch ten święty, nad którym stoimy, do ziemi przenieść ojczystej.

Nie będzież to jednak, nie rzeknę świętokradztwem, lecz przynajmniej sprzeniewierzeniem się temu, który ducha wyżej cenił nad ciało, który w chwilach przedzgonnych marzył, aby po nim poszła do kraju przedewszystkiem ta „siła fatalna“? Nie wyjdzież z popiołów poruszonych głos:

Ciekawy byłeś lecz niezapłakany,
Nie ducha jego szukałeś, lecz kości...?

Przypuszczamy, że tym, którzy o drogie te prochy wołają, brzmi w duszy żałosny wiersz Danta o pozbawionej gwiazd takich krainie północnej:

„O settentrional vedovo sito,
Poichè privato sè di mirar quelle!“

Trzeba jednak te gwiazdy pierwej na niebach dusz rozżarzać. Do ciał, do zmysłów mówiąc, martwe i niepewne się tworzy bożyszcza, do duchów wołając — prawe, wiekuiste bogi. A poczynajmy zawsze od siebie, bo tylko to innym dać możemy, co sami posią-

dziemy uprzednio. Niech owa światłość ogromna, rozlana w tworach tego, którego dziś wspominamy, rozświeci nam dusze niby lampy alabastrowe. Wtedy przeleje się sama do dusz innych — i taka sercami wszystkiemi zatarga tęsknota, że skromny grób ten świecić nam w myślach będzie, jak góra z szafiru z ukrytem w łonie promienistem słońcem. A gdy, pątnicy, przyjdziem wówczas proch zabierać, będzie on już tylko znakiem widomym, symbolem tego, cośmy dawno wzięli sercem i duchem.

Miriam.

POWIEŚĆ.

Stefan Żeromski. ***Popioły.*** 3 tomy. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa.— Wacław Sieroszewski. ***Brzask.*** Warszawa, nakł autora. Skł. gł. w adm. „Prawdy."— Marceli Schwob. ***Krucyata dziecięca.*** Przełożył Miriam. Warszawa, nakł. red. „Chimery."—Karol Irzykowski. ***Pałuba. Sny Maryi Dunin.*** Lwów. Księg. polska. B. Połonieckiego. — Eliza Orzeszkowa. ***Czciciel potęgi.*** Warszawa. Gebethner i Wolff. — Conrad (Konrad Korzeniowski). ***Lord Jim.*** Przekl. Em. Węsławskiej. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb.—Anatol France. ***Gospoda pod Królową-Gęsią-nóżką.*** („Wyboru pism" tom II-gi). Przeł. J. Sten. Lwów. Polskie Tow. Nakładowe.—Gabryela Zapolska. ***Sezonowa miłość.*** Warszawa. Bibl. Dz. Wyb.—Jerzy Żuławski. ***Na srebrnym globie.*** Lwów. Tow. Wydawnicze.—Kazimierz Gliński. ***Pan Filip z Konopi.*** Warszawa. Gebethner i Wolff — Jan Augustynowicz. ***W pryzmacie.*** Warszawa. Centnerszwer i S-ka. — Al. Kielland. ***Kapitan Wörse.*** Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — Ad. Krechowiecki. ***Mrok.*** Warszawa. Gebethner i Wolff. — Bol. Biernacki. ***Biuraliści.*** Warszawa. Bibl. Dz. Wyb.—Edm. Paszkowski. ***Jasne wody.*** Lwów. Tow. Wydawnicze. - J. Gordon. ***Kaukaz czyli ostatnie dni Szamyla.*** Warszawa. Skł. gł. w księg. Wende i S-ka.

Popioły, przez Stefana Żeromskiego. — Twórców podzielić można na dwie kategorye: na medyów swej epoki i na magnetyzerów przyszłej. Pierwsi są odrazu czyli w ogólnym rysunku zrozumiali i sami łatwiej się tłómaczą, znajdując dokoła żywe komentarze swej istoty. Drudzy są nieujęci jak rebus w nieznanym języku; postać ich z mgieł społecznego *niestworzonego* wynurza się fragmentarycznie, dziwadlanie; ich odsyłacze gromadzkie nie sformułowały się jeszcze w Nieświadomości ludu, któremu są jakby nową od niebios nawianą suggestyą. Sami przeto uświadamiają się mozolnie, wypowiadają nieraz błędnie, chaotycznie. Nie dziw: toć nie słuchają gwarów ulicy, lecz wyznań bogów jutra. Łowią błyskawice intuicyi w ciemnościach. W tamtych jest krystaliczna doskonałość formy; ci mają cudowną mozolność narodzin. Dzieła pierwszych są zwierciadłami epoki; utwory drugich nie mają widocznego związku z żadną; oderwane od czasu i miejsca, pokutują fatalnie w jakiejś przestrzeni wiekuistej... I takiemi są „Popioły" mi-

mo cały swój polski „empire,“ do którego autor *przypadkowo* przyczepił swą błędną psyche i jej obłoczne państwo snów i wspomnień. Nie myślimy robić mu tu zarzutu z tej pysznej kotwicy stylowej: stwierdzamy tylko jej *akcesoryjność* i organiczny autora „eternizm“ [1]).

Indywidualność człowieka rzeźbią szczerby, któremi uwięziony dajmon potęgi wyłamuje się z tępych ograniczeń organicznych; fizyognomia nasza jest hieroglifem walki z własnemi ułomnościami. Żaden może twórca u nas w tym stopniu, co Żeromski, nie „urósł z tego, co boli,“ nie powstał z tego, co pokonał. Najpiękniejsze jego pieśni są jąkaniem się boskiego niemowy; najcenniejsze jego cnoty są zwyciężonemi, a częściej *okrążonemi* błędami; najdroższe skarby — łupem wydartym *niemocy*. Nieustanność jego procesu rozwojowego nawet, to coraz potężniejsze wzrastanie poznawcze i twórcze ma za przyczynę jakieś tajemnicze spętanie, walkę z jątrzącemi więzami, z nieodgadnionem zaklęciem. Bóg w nim jakiś niewiadomy pasuje się bez wytchnienia z jego nieudolnością techniczną; nurt twórczy rwie niezmęczenie tę skałę, co padła w poprzek między nim a światłem wypowiedzeń, i znaczy jego pochód artysty tytanicznemi rumowiskami... Nie czem innem są „Popioły,“ to kalekie dzieło niewymownego *geniuszu,* którego *talent* cały jest *źle nastawiony* i chroma na swych przeciągniętych lub niedociągniętych strunach, i na tych, które mało kto rozumie, i na tych, bardzo nieraz prostych i zasadniczych, których w sobie znaleść nie może. I oto doszliśmy może do najprawdziwszej formuły: Żeromski jest przedziwnym *geniuszem bez talentu;* inaczej: ogromną siłą twórczą bez łatwości artystycznej. Ujawnia się to najdosadniej w fakcie, że, mimo całą dobrą wolę i poddawanie się wpływowi współczesnych tendencyj społecznych i form pisarskich, *nie potrafił* napisać ani jednej rzeczy tendencyjnej i ani jednej prawdziwej powieści! Do-

---

[1]) Jak bardzo przeczuciowym, wyprzedzającym jest charakter twórczości Żeromskiego, dowodzi bodaj *nastrój bohaterski* „Popiołów,“ nastrój, któremu naród później dopiero zaczął podlegać: suggestya czy antycypacya?

Co do „eternizmu“ Żeromskiego, to nie sprzeciwia się on bynajmniej ani owej Norwidowej „nad-narodowej“ narodowości (rozkwitającej nie w sztucznej hodowli, lecz właśnie z hartowania); ani też istnieniu w autorze silnych uczuć i twórczych impulsów patryotycznych. Zawszeć one jednak w pochodzie jego artystycznym są epizodami; (że nie będziemy zauważali, ile w nich przeważa pierwiastek wspomnień staroświeckich, szlachecko-chłopskich). Rdzeniem tworzenia pozostaje u niego instynktownie *dusza*, interes psychologiczny,— „zmysł wewnętrzny,“ zdolny do nieskończonych adaptacyj i do szczególnych między niemi upodobań. Wpływy-kształtujące uczyniły go w tym wyborze — bonapartystą.

wodzi to absolutnej *niemocy naśladowczej,* niezdolności *nauczenia się,* szczytnej tępości geniuszu, którą go natura zmusza do rąbania dróg własnych, gdyż, w przeciwieństwie do reszty ludzi, przychodzi mu to jeszcze *najłatwiej*...

Zasadniczą przyczyną tej tępości genialnej, istotą owych trudności, tam, spętań, jest spowijający Żeromskiego tuman marzycielstwa, roztargnienie czy niedobudzenie zmysłów poznawczych, zewnętrznych. jest wrodzony mu *stan półsomnambuliczny,* odosabniający go wśród wiecznie żyjącej fali zjawisk. Duchowy jego dotyk jest tknięty pewnym bezwładem: jak w sennej zmorze, paraliż ramion wypuszcza upragnioną marę; wrażliwość jego nie ma żywej pewności rzeczy; nie czuje rzeczywistości świata, obcym mu jest sens konkretu. Ztąd tak względnie mało *bryły* w jego pismach, ztąd niemoc w owładnięciu i kształtowaniu rzeczy. Ztąd nieproporcyonalne reakcye wewnętrzne na te bodźce, którym udało się przerwać jego zadumaną nieczułość. I oto co się dzieje: nadmiar życia wewnętrznego zmusza go do wyjścia z siebie, do tworzenia, zatem do zetknięcia się ze światem zjawisk, a spotkawszy się z anestezyą (która uwarunkowała nadmiar wewnętrzny), rozpoczyna z nią fatalnie walkę. Wszystkie utwory Żeromskiego noszą na sobie jej piętno. W „Popiołach" wzrosła ona do rozmiarów tytanicznych, do cyklopowego trudu, do siły dominującej, do prawie świadomego hasła.

Jak dla wielu innych, doba „Chimery" miała na twórczość Żeromskiego wpływ rozstrzygający, wyrwała go gwałtownie z bierności półsennej, w której tonęliśmy wszyscy beznadziejnie. Nakazy „życia wytężonego," ambicyi argonautowych, świadomości władczej, *czujności ustawicznej,* „wiedzy królewskiej" i twórczości sybillicznej zohydziły twórcom ich niziny estetyczne i wzbudziły w nich godną bogów a pożerającą żądzę wyrośnięcia ponad siebie, szturmowania w niebo natchnień, odetchnięcia „całem powietrzem Arabistanu," wprzęgnięcia w rydwan bohaterskiego turnieju wszystkich smoków swej siły, wszystkich władz swej natury. Zdawało się, że zagrzmiała trąba archanioła; rozkaz zbudzenia był wszechpotężny: umarli przewracali się w grobach swych, śpiący zrywali się na nogi i skrzydła, Samsonom odrastały lwie grzywy i łamali okowy długich, wiecznych, zdałoby się, zaklęć. Dokonywały się „transfiguracye," dokonywały się i ich parodye. Zapanował przesąd „ostatecznych konsekwencyj" filisterska obawa przed szczegółem pospolitym, wymuszoność szczudlana, pretensye wieszcze, przesady wytworności, dosadności, obowiązującego szaleństwa, karykaturalne natężania się wedle recepty, „nieforemne" wysilki wzniosłości, „bon ton" nadczłowieczeństwa.

Tylko bardzo nieliczne, trzeźwiejsze lub taktowniejsze jednostki uniknęły raf podwodnych tej „burzy i prądu.“ Wszyscy jednak zyskali na potężnej elektryzacyi. — Żeromski należał do tych, których głębokie uśpienie (kołysało go całe społeczeństwo) przy nadzwyczajnych zasobach wnętrznych skazywało na chaotyczność gwałtownych przebudzeń, na wchłonięcie prawdy i fałszu, ideału z zabobonem, na poddanie się natchnieniu i jego modzie, na rozpętanie swej natury w pewnych kierunkach i zagważdżanie jej w drugich. Powstały „Popioły.“

Charakter przejściowy tych niesłychanych *kronik Rafałowych* objawia się przedewszystkiem w ich *chaotycznej* (na podobieństwo mgławic) *syntetyczności.* Zamknięta w sobie, skończona piękność wielu fragmentów przeczy jej tylko pozornie: bo chaos (rozbity już na pewne stałe ośrodki, jakby przyszłe globy) tworzą właśnie one swem luźnem, daleko tylko spokrewnionem nagromadzeniem w jedną introligatorską niemal całość. Robią one wrażenie wielkiego inwentarza, rachunku wspomnień artysty, który, przed jakimś ważnym nowym okresem życia i jego nowemi czynami, chce się czegoś pozbyć, wyzwolić głowę i ręce od nawiedzeń, wziąć rozbrat z widmami przeszłości, ucieleśniając je *raz na zawsze,* i zaprasza je na Heliogabalową ucztę pożegnalną, zaprasza wszystkie bez wyjątku: wspomnienia dzieciństwa i młodości; czary miłości i bóle wygnania; „góry, doliny;“ kraje oglądane w wyobraźni i na jawie; sny straszliwe; zdumiewająco żywe ewokacye historyczne; przeżycia globowe; widoki mistyczne i krajobrazy dusz rozlicznych; kolibry przedziwnych ulotnych wrażeń; halucynacye najdzikszych gróz życia i wyobrażenia; wszystko, co przeżył w tych trzech działach swej energii: w Mistyce, Halucynacyi i Komentarzu. Te trzy udzielne królestwa pociągają jego instynkty, i zjednoczonym szturmem do jego pióra obezwładniają wysiłki kompozycyi, ładu. Tej nagance potrójnej zawdzięczają „Popioły“ swe niezmierne, prawie potworne bogactwo, i swą także *niepowtarzalność.* Niesłychanie rozrośnięta działalność autora musi się w przyszłości zróżniczkować, jeżeli nie chce, aby się wzajem podusiły te bujne i różnorodne pędy, które w „Popiołach“ wyrosły, i jeżeli ma osiągnąć doskonałą i wszechstronną pełnię artystyczną. Trzy odtąd formy twórcze czekają, aby je uświetnił: — *medytacya mistyczna* (jak np. Ruysbroeck'owe), *fantazya wyzwolona* (Poe, Krasiński i t. p.), *życiorys* wreszcie (komentarze psycho-historyczne), który z jego rąk mógłby przyjąć chrzest nowego stylu. Formy te wyzwolą go nareszcie od utrapień powieściowych: od *łańcuchowej ciągłości* faktów, sprzecznej z naturą jego *zapatrzeń* wizyjnych; od

pomysłowości fabuły, niezgodnej z jego instynktem kontemplacyjnym; i od *dyalogu,* kłócącego się z jego „monologiem wiecznym."

Inną organiczną cechą „Popiołów" jest ożywiający je *punkt honoru mistrzowstwa,* ambicya wirtuoza „całej liry." Dzieło robi wrażenie „majsterstyku" wyzwolin ostatecznych... Autor jest tu atletą, łamiącym swój własny marmur we wszystkie możliwe kształty, artystą, który, znudziwszy sobie powszednie nałogi pisarskie, stawia swemu kunsztowi najtrudniejsze problematy wizyi i stylu, autotwórcą, żądającym ujawnienia się wszystkich potęg ukrytych w jego człowieczeństwie. Jak Artura Rimbaud'a, opętała go „alchemia słowa;" jak on, chciał „posiadać wszystkie krajobrazy," „uczył się" „pisać milczenia, noce, notować niewyrażalne," „przyzwyczajał się do halucynacyi prostej..."

Zdumiewający jest plon tej twórczej autodydakcyi, tego doświadczalnego „training'u" artysty. Osiągnął to, co zamierzał: *wszechstronną potęgę ekspresyi.* Ujarzmił smoka SŁOWA, który słucha wszystkich jego rozkazów. Lapidarny, dyszący, Tacytowy styl opisów wojny zamienia się w pędzel romantyczny lub impresyonistyczny zależnie od krajobrazu; uczonym i pełnym ciekawości à la Huysmans staje się w rzeczach erudycyi, jubilersko wybrednym w terminach, gdy chodzi o nieco manierowe klejnoty wrażeń; w bitwach polowych gra barwami Kossaków i Brandtów; Mantua i Saragossa zieją grozą Goyi; ze staroświecką elegancyą ubiera damy i pozuje młodzież Cesarstwa; wszystkie farby odurzenia ma w czarodziejstwach balu i przepychach magnackich. Umie w słowach otwierać słowicze gardła szczebiotów dziecięcych i rąbać po chłopsku i żołniersku rzezie San-Dominga. Ma niewysłowione związki wyrazów na rozpacze, które budzi piękno, na szały tęsknot po gajach, i ma hańbiące szpicruty na wszystkie nikczemności żądzy i strachu. Każdy kompleks kultury przetapia na swój metal, a taki obraz Wenecyi np. jest niedoścignionem arcydziełem ekspresyi. Ma słowa złożone pełne uroku, omówienia upojone i upajające, onomatopeje samorzutne, nawet gramatykę nagina do swych skrótów szkicowych. Przełożył na język swej duszy wszystkie znane sobie okolice, cywilizacye, barbarzyństwa, klasy dusz i ludzi, wszystkie rozkosze i męczarnie, wszystkie brutalności i cudowności istnienia. Zwalczając swą anestezyę doszedł do ekstatycznej nadwrażliwości, którą skierowywa *dowolnie* jak lunetę ku *wyczerpaniu do dna* potrzebnych mu zjawisk. Ujarzmił swą niemoc, poddał ją swej woli. Nie mógł *zmienić* swej natury, ale ją *przebóstwił.* — I cierń zakwitł różą.

Jest przecie dziedzina, w której zjawia się mistrzem z bożej

łaski raczej, niż z magii Woli, władcą nietylko „prawem zdobywcy,“ lecz z urodzenia: jest nią *epika liryczna,* inaczej *Mistyka.* Tu „kłęby przezroczystości“ jego mowy mają tajemniczą poufność świętych doktorów średniowiecza, z tą różnicą, że terminy symboliczne zastępuje słowem bezpośrednio opisowem. Maluje wszystkie stopnie marzenia, wszystkie otchłanie ekstazy; nie obce mu są święte machiavellizmy stylu i przenośni, wytryski bożego jakiegoś dowcipu, humor moralizujących ryby i ptaki Antonich i Franciszków, pozdrowienia anielskie dla drzew i kwiatów, znaki nieumówione ze wszystkiem, co żyje... komunie miłosne z łąkami, z turniami, z jeziorami...

Próba zjednoczenia powieści historycznej z psychologiczną — zamiar gigantyczny — w „Popiołach“ zrobiła fiasco. Kwestya legionów, polskiej masonii i polskiego „żołnierza-tułacza“ nie znalazła tu historyozoficznego oświetlenia. Traktowana epizodycznie i trochę specyalnie (z punktu „koloru“) wzbogaciła tylko wyobraźnię narodową i rozjątrzyła jej ciekawość. Psychologia obyczajowa epoki jest również ułamkową. Lecz *wysiłek* twórczy użyty dla osiągnięcia celu opłacił się zkądinąd sowicie: dobył na jaw wiele nieznanych stron jego indywidualności, objawił ogrom potencyalny jego geniuszu, *zwiększył prężność jego muskulatury,* podniósł go w hierarchii duchów.

Nie we wszystkich jednak kierunkach są „Popioły“ krokiem naprzód. Jak wspominaliśmy, ideał „twórczości wytężonej“ ma w sobie złe pokuszenia, i Żeromski niezawsze umiał je od siebie oddalić. Przytem auto-hodowla nie uchodzi bezkarnie: ciemną jej stroną jest pewna mniej więcej uchwytna *sztuczność...* „Popioły“ nie mają przedziwnej, bezpośredniej prostoty „Opowiadań“ ani ich *dokładności tonu.* Autor tępił w nich również (wyjątkiem „Kulig“) ten boski śmiech niewinnego serca, który w dawnych jego utworach niekiedy się rozlegał. Formułka szczytności symbolicznej krępuje tu i owdzie i wyszczudla postać rzeczy. Spotykamy się też z małodusznemi przemilczeniami t. zw. powszedniości życiowych (jakby istniały rzeczy banalne — dla *żywego* ducha). To znów czuć, że autora obowiązuje nastrój „górny i chmurny.“ Innym razem pewna ociężałość sprawia, że okrąża przedmiot zamiast go ugodzić w serce. Zdarzają się i pokusy krasomówczej krągłości, *bezwłady rytmiczne.* Gorszą jest zdarzająca się od czasu do czasu fizyczna inercya procesu pisania: autor, najwidoczniej na razie próżen myśli, kreśli słową nikłe i zbyteczne, czekając, w myśl maksymy, że „apetyt przychodzi *w miarę jedzenia,*“ aż się dalszy ciąg cerebracyi nawinie.— Wspomnimy wreszcie o nałogowem „pijaństwie smutku,“ wiodącem

do sadyzmu wyobraźni, o upodobaniu w melancholii, która wedle moralistów jest najniebezpieczniejszem z sideł szatańskich; w języku codziennym tłomaczy się to jako ścieżka do abulii i zatrucie żywych sił wrażennych. Drobiazgi te jednak i niedopatrzenia giną w cudownym ogromie tych ksiąg bajecznych, w których jedna z najdrogocenniejszych dusz świata otwarla przed nami swój Sezam.

Brzask, przez Wacława Sieroszewskiego.—Ogólną cechą książki jest jej niezmierna widnokrężność, szeroki, wolny oddech pod ogromnem niebem, nad polami bez końca, ustawiczna komunikacya z czterema punktami kardynalnemi, z obłokami, puszczami, wodami...

Autor, równie jak Żeromski wrażliwy na „przyrodę," jest jego skrajnem przeciwieństwem w sposobie odczucia, wolnem od wszelkiego marzycielstwa, zapatrzenia. Tu przewagę zyskała nieustanna zmysłowa czujność, bystra ruchliwość uwagi, — jasne, błyskawiczne, przeszywające spostrzeganie, trzeźwość kompletnego obudzenia, zdolność absolutnego wyczerpania chwili bieżącej, dzięki doskonałemu aparatowi zmysłowemu, wyrobieniu moralnemu i niezwykłej inteligencyi.

Wszystkie te cechy skupiły się zwłaszcza w utworze p. t. „Dno nędzy." Jest to historya gromadki trędowatych w Syberyi wschodniej. Najczarniejsze przerażenia zdrowych i normalnych ludzi stały się tu codziennością; człowiek *doprowadzony do minimum* ogląda życie „z tamtego brzegu" i odkrywa, że „szczęściem i rajem straconym jest właściwie to pogardzane życie powszednie...", że w najprostszych jego zdarzeniach może być rzewna poezya, w najprostszych zadowoleniach niewymowna rozkosz, Przytem, ta na tło jeziornego krajobrazu rzucona gromadka Jakuckich paryasów jest zindywidualizowana z mistrzowstwem epika w wielkim stylu. Mergeń-ludojadka, Prąd-trędowaty pogański poeta, opowiadający cudne baśnie podbiegunowe małej nagiej Byterchaj, Anka — ofiara miłości małżeńskiej — wszystko to postacie niezapomniane, już nietylko wyborne rysunkiem, lecz jeszcze owiane najczystszem uczuciem ludzkości. W tej niesłychanej opowieści oglądamy życie chorych pędów człowieczeństwa, zachowujących jego niezniszczalne cechy aż do okrutnej śmierci przed gnicie i rozpadanie się ciała; całą tego tajemniczego rodzaju okrutność i dobroć, materyalizm i poezyę, nędzę i blask i wreszcie zagładę w płomieniach występku i paszczy apokaliptycznej bestyi — niedźwiedzia, pożerającego osłupioną ze strachu, małą, nagą Byterchaj...

Krucyata dziecięca, przez Marcelego Schwoba. — Ideą wyłaniającą się z utworu jest tragizm wiekuistego złudzenia Ludzkości.

Złudzenie to powstaje z antynomii „skorego ducha i mdłego ciała;“ niecierpliwej nadziei a mozolnych dokonań. Intuicya rodzi się z duszy odrazu jak Minerwa; lecz realizuje się, uspołecznia ciężko, boleśnie i ułamkami. Idea-pragnienie ma prostolinijną bystrość strzału; lecz środowiska materyalne i społeczne bieg jej tysiąckroć załamują i szczerbią. Formuła ideału wyraża boską prawdę; lecz płodzi w życiu absurda, jeżeli, wziąwszy ją za hasło, nie opanujemy gruntu jej materyalizacyi. Entuzyazm „ma racyę,“ lecz jeśli się nie uprzenikliwi życiowo, wiedzie do zagłady. Prostym jest promień światła, lecz przebijając fale wód, przybiera kształt spiralny... O tej elementarnej prawdzie wie od wieków stara Ludzkość, i od wieków o niej zapomina, gdy w dniach wielkich zbiorowych egzaltacyj rozsądną jej powszedniość rozświeci jaki szczytnie bezmyślny fajerwerk rozpłomienionej intuicyi. Zapomina wtedy o swem zaklęciu w ciało, o swej naturze mieszańczej, o srogich koniecznościach materyi; zna już tylko dostojnego ojca-ducha, czuje już tylko skrzydła; przepadają „gorzkie a zbawienne“ nauki doświadczenia; „rozum“ jej gaśnie w łunie jasnych obłędów. Powstają „białe głosy“ obnażonej, więzy łamiącej psychy. Ekstatyczni ślepcy ją prowadzą, świat realny ma dla niej tylko mistyczne znaki, z rąk mądrości berło przechodzi do majaczących dzieci. Równowaga bosko-ziemska zachwiewa się nawet u stróżów świadomości świata. Gnani tyraniczną suggestyą nadziemskich swych instynktów, szaleją hypnotyczni zapaleńcy, — a sroga Rzeczywistość smaga ich i tępi bezlitośnie, jako zjawiska bezpodstawne na tym świecie połowicznym. Chwiejne nawy z „krucyatą dziecięcą“ dziesiątkuje burzliwe morze przesilenia; reszta idzie w pęta „niewiernych,“ którym odebrać miała Jeruzalem. Ale te dzieci „nie boją się wcale, bo nie widzą nic.“ Jedna tylko stuletnia czuwająca mądrość ojcowskiego serca krwawi się nad obłędem „ślepej wiary“ i przed Sąd Boga, „który się nigdy nie objawia,“ pozywa „miraż nieba,“ który mu dzieci obłąkał i zagubił...

Oryginalność impresyonistyczną kompozycyi nasunął autorowi instynkt psychologiczny, ta dominanta współczesnego umysłu, usiłującego zoryentować się w nieskończonej względności zjawisk i wzbić się po nad nią w sfery (względnie) absolutne. Poczucie twórcze go nie zawiodło. Z oglądania *jedynego* faktu wskróś przezrocza dusz różnych (papieży, saracenów, dzieci, pisarzy, trędowatych, żebraków zakonnych) wytwarza się w naszej wyobraźni żywa wizya tego dziejowego zdarzenia-symbolu, ze skróconym lecz potężnie ewokacyjnym aparatem cech epoki i z ogromną, wieszczą, melancholiczną perspektywą na rzeczy człowieka i Boga-Niewiadomego.

Język cichy i prosty jak modlitwa. Tłomaczenie mistrzowskie, transpozycya twórcza na ton polskiej mowy.

Pałuba, przez Karola Irzykowskiego. — Pod znak powieści ciągną dzisiaj wszelkiego rodzaju mistrze i ochotnicy Wiedzy, niedoszli lub przyszli historycy i socyologowie, kronikarze i zbieracze „dokumentów,“ psychologowie i psychiatrzy, utopiści i wynalazcy, eksperymentatorzy i twórcy hypotez, — natury zbyt wielostronnie bujne, albo zbyt żywiołowo-intuicyjne, by się wypowiedzieć chciały, mogły lub umiały w specyalnych i suchych monografiach. Dla tych wszystkich *odkrywców*, dla tej awangardy postępu, powieść „jest czemś nie jednolitem, ale naczyniem na różne treści, prowizoryczną, pomocniczą jedynie formułką dla pewnych dążeń...“ Taką pseudo-powieścią jest „Pałuba,“ dzieło nieodwołalnie poronione jako całość artystyczna, lecz nader ważne i ciekawe jako samodzielna próba *stenografii* i *mikrografii duchowej*.

Nie udało się autorowi pisanie jakoby *na dwie ręce*, prowadzenie jednoczesne i równoległe akcyi zewnętrznej i duchowej, statecznego łańcucha faktów i kapryśnej gmatwaniny psychicznej. Drobiazgowe notowanie cerebracyi bezpośredniej, przy wrodzonej mozolności słowa i nadmiarze myślowych skojarzeń, pochłania nieproporcyonalnie wiele czasu i miejsca, oddala od kręgosłupa idei, wikła autora w nawiasy, wtrącenia i odsyłacze, odbarwia fakty. Część winy spada na metodę ekspozycyi: jednostajnie, aż nużąco analityczną, podczas gdy zjawiska zwłaszcza nieświadome znajdują o wiele głębszą ekspresyę w *impresyonizmie*, w skrócie barwnym. Nadmiar tłomaczeń zaciemnia sprawę... i nic tak nie wyjaśnia rzeczy— jak rzecz sama, naga.

Autor ułatwił sobie zadanie (drobnowidztwa wiwisekcyjnego) wyborem typu: ominął organizacye spójne, zoryentowane, „całe,“ jak mówią francuzi, — i wziął duszę o życiu nadwątlonem, w której procesy składowe biorą górę nad syntetycznym (jak w trupie). Strumieński jest wszechstronnym wykolejeńcem, znieprawiającym się w leniwej samotności, dającym ujście swej zasypiającej energii w tyranii i kabotynizmie wiejskiego intelektualisty, w gnuśnych eksperymentach hypnozy, fantazyach „satanicznych,“ pospolitych miłostkach i złośliwościach rozjątrzonej nudy (pierwszy stopień sadyzmu). Takiem przynajmniej jest wrażenie czytelnika, choć tu i owdzie przebijają inne względem tej postaci intencye autora.

Ale też nie w wartości moralnej „bohatera“ i nie w dziele jako całości znajduje się punkt ciężkości tej ciężkiej księgi. Tkwi on w „ubocznych produktach“ nieudanego aktu twórczego: w bajecz-

nie subtelnym materyale zebranych spostrzeżeń, w genialnych błyskach intuicyi, w trzeźwym sceptycyzmie obserwatora, obnażającego wszystkie auto-szalbierstwa i „szmery“ nieświadomości, cały proces *nutrycyi* psychicznej, „tajemnice intelektualne i technikę zdarzeń.“ Świetne aforyzmy, niesłychane skojarzenia myśli, olśniewające uwagi robią z tej niezdarnej *powieści* księgę pochłaniającą i niezapomnianą; w ich imieniu przebacza się autorowi wszystkie jego pedanterye, a nawet i snobizmy...

Co do „Snów Maryi Dunin,“ jest to niefortunna parafraza Poe'go. I tu jednak, wbrew absolutnemu brakowi talentu kompozycyi i opowiadania (ujmowania życia), uderza i olśniewa zdolność uogólniań spekulatywnych i przemożny instynkt rzeczy utajonych. Sposób pisania jest tu wprost przeciwny jak w „Pałubie,“ która wydaje się reakcyą *mówienia wszystkiego* po fazie metody *przemilczeń*. Żadna z tych metod nie odpowiada temperamentowi autora, skazanemu na dalsze poszukiwanie formy. Znalazłby ją może (opuściwszy otwarcie powieść—której swobodne ramy zawsze jednak obowiązują do pewnego epizmu) —w „essai'u“ filozoficznym choćby à la Nietzsche, który tak niewątpliwy wpływ wywarł na jego umysł.

Czciciel potęgi, przez Elizę Orzeszkową. — Jest to powieść z tezą, czyli pokaz dydaktyczny, ilustrowane rozumowanie. Powtóre teza ta jest niemoralną, ba fałszywą, uwodzącą pozorami prawdy, ukutemi *ad hoc. Najpotężniejszy musi być najlepszym,* a jedynie gmatwanina spraw żywota może tej oczywistej prawdzie kłam zadawać, co uczyniła i szanowna autorka.

Teza przytem powieść tę ukształtowała, robiąc ją monoideową, sprawiając jej docentryczność sztywną, kurczową niemal, bliskocelną i ubogą, gdyż rozgałęzianie pojęć mogło pokpić sprawę, której tu proces wytoczono z tym jednym zamiarem: wygrania jej. Dokoła szkieletu-twierdzenia grupują się obrazy-dowody; z bogactwa życia usuwa się jego boskie przeciwieństwa, zostawiając jedynie to, co służyć może za akcesorya. Żadnych epizodów, dygresyj, przelotnie bodaj roztwieranych żywiołowo perspektyw. Zewsząd wyczuwamy prostolinijność doktryny i strategię obywatelską; artyzm jest jeno okrasą, formą propagandy, archeologia — transpozycyą jedynie.

Przytem ta strona starożytnicza jest traktowana nieco naiwnie, po gospodarsku; Libya np. zanadto przypomia St. Cloud, pani Gorgo — grodzieńskie Chaje i Chaity. Znać kobietę-profankę w rzeczach erudycyi klasycznej, pośpieszne samouctwo (które, jako wypływające ze świadomości własnych braków, jest zawsze trochę —

spóźnione...), niezdolne zastąpić oddychanie od dziecka kulturą, która dotąd jest przeważnym udziałem mężczyzny.

Zkądinąd, w skutek swej natury wrodzonej czy nabytej, kobieta obraca się w ciaśniejszem kole doświadczeń, jest pastwą grubszych złudzeń, dłużej w nich przebywa, wiele jej władz pozostaje w uśpieniu lub ociężałości — z własnej winy lub winy czasów. Takim często niezbudzonym zmysłem jest poczucie grotesku. W życiu zwykłem, od fiasca ratuje ją często bierność lub milczenie. Ale w twórczości demaskuje się cała — a wtedy...

Na ogół biorąc, talent Orzeszkowej ma dużo z Cybeli, której uroczystość opisała z całą plastyką i przepychem swego bogatego, płodnego, karmiącego i ciężkiego talentu. Skrzydlata swoboda wyobraźni, gra intelektualna, precyzya tonu są jej nieznane. Dziwna, a może i nie dziwna jest wobec tego częsta, zbyt częsta sofistyczność jej pióra...

Lord Jim, przez Conrada (K. Korzeniowskiego). — Książka przedziwna, niezwykłej treści i artyzmu, roskosz dla trochę bodaj wybrednego czytelnika. Jest to dramat „bohaterskiej imaginacyi," „żądzy sławy większej, niż barki unieść zdolne," pół-bezwiednej megalomanii, „wyidelizowanego egoizmu;" albo inaczej: proces, w jednostce, *imperatywu doskonałości*, który w swej najwyższej człowieczej egzaltacyi staje się imperatywem *próby śmierci*... nieustraszonego, dobrowolnego salto mortale...

Autor jest człowiekiem kulturalnym w stopniu u nas niemal niedoścignionym, artyzm jego wytrawny, wybredny, absolutnie sobą władający, mądry, czujny, intelektualny, stoi na wysokości najwyższych angielskich mistrzów powieści (np. Meredith); goni prawdę w załamach światłocieniowych, uchwytnych tylko dla „wiekuiście uważnych," czujnych: w szlachetności indywiduacyi, obcej grubym truizmom, w mgnieniach, przebłyskach, we „wrażeniach psychicznych," odczytywanych przez mózg momentalnie, z pominięciem, rzecby można, ich zmysłowego głoskoskładu... Kocha się w paradoksalności zjawisk, uszlachetnia słowa zwykłe nadzwyczajnem zestawieniem, którego wymaga jego nad-subtelna cerebracya, rozkłada rzeczy napozór nierozkładalne, zawiłe nad niemi robi doświadczenia i odbudowywa je, stokrotnie, zdumiewająco, nieprzeczuwanie wzbogacając. Dodajmy bezkreśne perspektywy świadomości zupełnej, „całej liry" człowieczeństwa, i piękny, mądry uśmiech dojrzałości wobec przedziwnych naiwności rzeczy przeżytych... Dodajmy nieustanny wzgląd na czytelnika: nie jest to „sobie śpiewający" improwizator, lecz świadomy działacz słowem, strategik wrażenia, Machiavell wciąż liczący się

z naszym punktem widzenia, ze stopniem napięcia naszej uwagi; chytry i wymyślny amfitryon uczty intelektu, lubujący się w pozornym a głęboko skomponowanym bezładzie, magik oszołamiający widza szybkiemi obrotami jednej i tej samej a coraz inaczej kształtującej się bryły zjawiskowej, mistrz pointe'y. Nienajmniejszym urokiem powieści jej jest charakter „kolonialny.“ Ojczyzna rozszerzyła się tu na cały glob — i śmiały, wypukłopierśny, bystry lot wędrownego ptaka, szeroką i mężną swobodę obywatela świata, człowieka wyzwolonego, czuje się tu aż do rdzenia w biegu jasnej myśli, w rozwijaniu się obrazów, w szlachetnej flegmie i wszechżyczliwości...

Gospoda pod Królową-Gęsią-Nóżką, (raczej *stopką*), przez Anatole'a France. — Znakomita parafraza staroświeckich awanturniczych opowieści francuskich w rodzaju Le Sage'a, zmodernizowana w magicznym tyglu intelektualizmu paryskiego. Autor, w przeciwieństwie do Verlaine'a, dochodzi do najwyższego artyzmu prostoty nie przez odrzucenie „literatury“ (dla wrażliwców zawsze niestrawnej), lecz przez najszersze jej przyswojenie i owładnięcie; erudycya, ta rzekoma kula u nogi wyobraźni, rozszerza mu skrzydła fantazyi, lekkiej, olśniewającej dowcipem, zaostrza jego intuicyę barwy epoki, wzbogaca nieprzebrany humor jego duszy nieśmiertelnie pogodnej, gallo-platońskiej (jeśli tak rzec można). Stylem wstrzemięźliwym (sobre), lotnym, niepochwytnie dosadnym, podobnym do gry iskier elektrycznych, stylem „bez jednej chwili słabości,“ wywołuje przed oczy nasze niezapomniane postacie sprośnych mnichów, szalonych i praktycznych wietrznic, naiwnych łobuzów, sylenowatych mędrców, rozpustnych szlacheckich brutali, brudnych talmudystów, uczonych kuglarzy... zanurza ich w mieniącej się nieustannie atmosferze jakiegoś intelektualnego zaczarowania, błyska przed nami ich mądrością i szaleństwem, ich cnotą i występkiem, nieodgadnioną dwulicowością natury; zaprowadza między nimi nieprawdopodobne dysputy, dobywa z nich niesłychane autoparodye, co chwila kojarząc absurd z głęboką prawdą, ironię z rzewnem westchnieniem, „anioła“ z „bestyą.“ Z tych fantasmagoryj intelektu, z tego dyalektycznego tańca wśród mieczów, czytelnik wychodzi z duszą dziwnie rozjątrzoną, pokłutą jak od mnóstwa niewidzialnych szpad, rozbudzony i rozchwiany, otrząsając się z niewiadomego zaklęcia, „omanu,“—wielkim, barbarzyńskim głosem udręczenia wołając o wyzwolenie od tych sideł zbyt subtelnych, zbyt — ucywilizowanych, wołając o klucz mistyfikacyi, o nić Aryadny, coby go w tym labiryncie utrzymała w komunikacyi ze zwykłą, znajomą mu prawdą o logice czynów, o rozumności życia, o niezawodnej powadze pewnych, najwyż-

szych typów człowieczeństwa. Powiewna i lekka igraszka myśli żartobliwie-głębokiej ukrywa tu przed nami otchłań zagadek groźnych; działa tu może i stara zawistna melancholia zwierząt ciężkich i niemrawych, gdy je swobodny lot ptaków zachwyci. Lecz niewątpliwie smuci się w nas, wobec tych sceptycznych znieważeń, stary, dziki instynkt nieskazitelności idealnej, czy poprostu jednolitości, który się buntuje, gdy mu powiadają, że jego bogowie „są czcigodni zarazem i nędzni.“

Sezonowa miłość, przez Gabryelę Zapolską.—W swym pstrym kinematografie autorka suggestyonuje życiodajny wpływ flirtu na temperamenty limfatyczne. Rzecz zyskałaby na głębi, gdyby autorka skomplikowała akcyę równomiernem rozwinięciem jej w obu partnerach, nie robiąc, jak to uczyniła, z „budziciela“ prostego *repoussoir*'u dla „budzonej.“ Los, który usidlił „bohaterkę,“ powinien był mieć zasadzkę i na „bohatera.“ Tak chce stary i nikomu nie przebaczający smok Życia, tak chce i Sztuka. Ale na tę sprawiedliwość może nie stać autorkę, doskonałą malarkę kobiet, lecz zawsze niedostateczną, powierzchowną w typach męskich, zawsze szarżowanych.

Romans ten *dziełem sztuki* nie jest, sprzeciwia się temu jego zasadnicza *płochość* (nie treści, lecz ujęcia). Zastanawia jednak nieprzeciętnym talentem fotografii migawkowej, który znakomicie pochwycił *zapach* lata w Zakopanem, a do wyżyn artyzmu wzniósł się bajecznie wypukłą postacią „gazdziny.“

Na srebrnym globie, przez Jerzego Żuławskiego.—Fatalizmem autora jest echowość, epigonizm, brak absolutny inicyatywy twórczej, daremne szukanie swego szlaku na cudzych drogach. „Na srebrnym globie“ jest nieudaną choć staranną parafrazą fantazyj naukowych, z echami „Anhellego.“ Ale niedostatek pomysłowości technicznej, fantazyi awanturniczej i poezyi zrobiły z tej wyprawy na księżyc — nudny a w ustępach miłosnych obrzydliwy romans, upiększony tylko tu i owdzie pięknym lecz powtarzającym się pejzażem. Zabójcze są dlań ewokacye Verne'a, Poe'go i Wellsa. Plan—jak zwykle u autora—jest szeroki, ale nie na sposób poetycki, natchnieniowy, lecz uczony, szematyczny. Przypomina spis treści książek socyologicznych... Są w nim najnowsze hypotezy naukowe, brak antycznej twórczej syntezy, niema *intuicyi*. Z nagromadzonych materyałów do zobrazowania psychosocyologicznych dziejów Człowieka po przez gwiazdy nie trysł nigdzie płomień prawdy *artystycznej*.

Pan Filip z Konopi, przez Kazimierza Glińskiego. — Autor

z przysłowiowego nazwiska stworzył postać polskiego Bayarda, lwa z sercem gołębiem, i rzucił go na tło epoki „Trylogii“ Sienkiewiczowskiej, której ta fantazya historyczna jest jakby uzupełnieniem rodzajowem. Autor niejako do ostatnich granic rozmachu, junactwa, jowialności, pantagruelizmu i beztroski doprowadził tężyznę Kmiciców i zabawność Zaglobów, natchniony w ich kreśleniu przez atawizmy swej brawurowej organizacyi. Tym poszeptom fantazyi rycerskiej, nieposkromionego humoru, szeroko rozśmianej ochoty życia, żywiołowej poezyi instynktów, miłości barw, zgiełku, przepychu, oddał się autor całkowicie, zapamiętale, poświęcając im bez namysłu prawdę życiową a czasem i artystyczną, wpadając chwilami w farsę, to znów dla efektu popełniając ogromne niemożliwości... (król na ślubie np., albo popas 2 tygodniowy w gaju). — Gliński jest naturą bardzo jednolitą, ale talentem niewytrawnym, wciąż młodzieńczym; nie zna frasunku o kompozycyę i cieniowanie, źle rozmieszcza punkty ciężkości i wciąż gra *forte*. Nawet ogólna idea utworu rozwija się przypadkowo, w pełnym biegu pisania. Ztąd nierówność i niespodzianki. Bohater powieści, przez trzy czwarte dzieła serdeczny szaławiła, w ostatnich dopiero rozdziałach wyrasta na posąg ze śpiżu. Głębia moralna ostatnich jego czynów dziwi czytelnika i wytwarza w jego umyśle łamanie się postaci. Autorowi nie chciało się spóźnionej głębszej koncepcyi rozszerzyć na karty już napisane, — i jakby w dopisku dal rzecz najważniejszą. Szkoda to prawdziwa.

W pryzmacie, przez Jana Augustynowicza. — Rdzeń talentu autora wciąż jeszcze śpi. Ztąd wynika, że choć w pewnych, że tak powiemy, jego okolicach, pogłębił się znacznie, streścił i uświadomił artystycznie, na ogół jednak żyje suggestyami i parafrazami — inteligentnemi, zresztą, — cudzych rytmów, form i motywów. I tak, „W lesie“ rządzi *zadumanie* Żeromskiego, „Porankiem“ ma punktuacyę Altenberga, „W przelocie“ pożyczyło demonicznego człowieka we fraku od Hoffmana czy Heine'go. Niektóre jednak drobiazgi oddychają już większą bezpośredniością: „Epizod“ pachnie złowrogo rzezimieszkami; „W nastroju“ jest doskonale nastrojone erotycznie; „Historya o grajku“ aż dławi ohydą szynków i „szantanów.“ Są to, zdaje się, zwiastuny bliskiego już rozkwitu w pełnię twórczej siły nowelisty obyczajowego, o zacięciu cierpkiem i gryzącem.

Kapitan Wörse, przez Aleksandra Kiellanda. — Obrazek z życia nadmorskiej mieściny skandynawskiej, w której nieco gruby spokój wnosi ferment, dla niektórych fatalny, purytańska i pół-obłudna sekta religijna „obudzonych.“ Zaleca się charakterystyczną pro-

stotą i subtelnem niekiedy, a szkicowem cieniowaniem, uwypuklającem barwę lokalną, zajmującą. Nigdzie zresztą nie przekracza granic poprawnej mierności.

Mrok, przez Adama Krechowieckiego. — Jedyną i decydującą dla nas wadą książki jest brak talentu powieściowego. Autor zdaje się nieodpowiednio zużytkowywać swą inteligencyę, erudycyę historyczną i łatwość piśmienniczą, zmuszając je do pracy *wyobraźniowej.* Skutkiem tego nietaktu są psychologiczne i dramatyczne szablony i nieodstępna od nich — nuda.

Biuraliści, przez Bolesława Biernackiego. — Licha próba zobrazowania stosunków biurowych. Autor nie włada obserwacyą świadomie celową, mogącą od biedy zastąpić brak bezpośredniej wrażliwości, i woli operować utartemi fałszami beletrystycznemi; fabułą jest zwykła, drobna „Panama.“

Jasne wody, przez Edwarda Paszkowskiego.— Mizerny „dziennik duszy“ „moderne.“ Śladami możliwego w następstwie talentu są: wybór środowiska samodzielny (zarząd wielkich dóbr), tu i owdzie żywsze tętno stylu i barwniejsze słowo, w końcu kilka stron realistycznych niezłych. Autor powinienby pomyśleć o gruntownej powieści *społecznej.*

Kaukaz czyli ostatnie dni Szamyla, przez J. Gordona. — Zaletą opowiadania jest barwny i bujny temat. Robota autorska znamionuje wrażliwy lecz kunsztu pisarskiego nieświadomy dyletantyzm. Są tu jednak stronice zajmujące i barwne, tam mianowicie, gdzie żywość przedmiotu zwalczyła nieudolność artysty. Sympatyczny jest w autorze zapał, lecz przejawia się zbyt naiwnie (transfuzya w rzecz samą nie nastąpiła) i występuje samopas, tyradami, zamiast tętnić w treści.

Włast.

VARIA.

CHOPIN, wielki poeta tonów,

> *... ten, co Polskę głosił, od zenitu*
> *Wszechdoskonałości dziejów*
> *Wziętą, hymnem Zachwytu —*

nie może w ziemi rodzinnej doczekać się pomnika. Przed kilku laty pozwolono go wznieść w Warszawie, ale snadź zadarmo, z powietrza, cudem, jednocześnie bowiem zabroniono zbierać publicznie składki na jego budowę. Zakaz ten w dniach ostatnich dopiero uchylony został, w chwili dla *składek* na pomnik *artysty* wyjątkowo

niepomyślnej, bo w czasie rzeczywiście wielkiego pod względem materyalnym wyczerpania, i razem w momencie zapomnienia o wszystkiem, co nie jest walką partyjną lub polityką. Składki mimo to popłyną niezawodnie (za głęboko ten czarodziej sięgnął w serca i dusze rodaków), ale powolniej niewątpliwie, niż w innych okolicznościach. Może to i lepiej. I komitet i rzeźbiarze powołani będą mieli więcej czasu do zastanowienia się nad powagą i wielkością zadania. Bo hańbą byłby drugi pomnik wartości Mickiewiczowskiego, a przyznaniem swej bezsilności — jakaś rodzajowa, półkolista ławeczka z biustem czy posągiem, skopiowana z luksemburskiego ogrodu czy z parku Monceau...

J. M. DE HEREDIA odszedł, żegnany we Francyi cudownemi poetów głosami. W przeglądzie *le Feu* (1/XII 1905) ukazał się „Hołd“ zbiorowy jego pamięci, pod którym czytamy nazwiska L. Dierx'a, Sully-Prudhomme'a, de Regnier'a, Verhaeren'a, S. K. Leconte'a i innych. Oto kilka wierszy z Dierx'a:

Celui-là dort tranquille en sa gloire. Il a pu
Opposer à la mort d'un geste interrompu
L'émail éblouissant de son oeuvre...
— — — — — — — — — — — — —
Un linceul de splendeurs le garde et le revêt
De tous les radieux éclats dont il rêvait
— — — — — — — — — — — — —
... et l'écho répercutant son nom
Le fait bruire ainsi qu'un lumineux Memnon.

U nas uczczono nie poetę, lecz „członka Instytutu“, wielkość patentowaną. Świadczy o tem fakt, iż najpanegiryczniejsze a pełne komicznych potknięć się [1]) nekrologi i felietony ukazały się w pismach zajadle zazwyczaj zwalczających nielubianą w Warszawie „sztukę dla sztuki“, której Heredia żywem był uosobieniem. Dowodzą tego również wzmianki zdawkowe lub zupełne milczenie o M. Schwobie i H. Rebell'u, których zgon niemniejszą dla literatury francuzkiej był stratą, ale którzy nie posiadali przystawki *de l'Institut.*

FLORENCKIE TOWARZYSTWO „LEONARDO DA VINCI“ uczciło wspaniale pamięć swego wielkiego patrona, systematycznym szeregiem odczytów, mających oświetlić różne z kolei cechy tego ducha nadludzko wielostronnego. Chlubne zadanie rozdzielono między najlepszych znawców i miłośników genialnego twórcy. We „wstępie“, *E. Solmi,* autor doskonałego studyum o Leonardzie i wydawca

[1]) Jeden z felietonistów robi Heredię uczniem Villiers *de L'Isle* Adam'a (zamiast Leconte *de Lisle*'a); drugi, pasując niezrównanego *plastyka* na *myśliciela* i filozofa, sprawia — dla *repoussoir*'u — łaźnię „bezmyślnemu (!!) parnasiście“ Leconte de Lisle'owi. Niech żyje pewność siebie!

jego *„Fragmentów literackich i filozoficznych"*, opowiedział z wielką erudycyą historyę życia i dzieł autora *Wieczerzy,* oraz losy jego rękopisów. Potem mówili z kolei o genialnym Winczyaninie: *M. Reymond,* profesor uniwersytetu w Grenobli i słynny znawca sztuki toskańskiej, — jako o uczniu Verocchia; *A. Conti,* jeden ze zwiastunów i proroków kultu leonardowskiego, — jako o malarzu; *A. Favaro,* głośny badacz historyi nauk,—jako o prekursorze w dziedzinie wiedzy doświadczalnej; *F. Bottazzi,* z uniwersytetu Genueńskiego,— jako o znawcy biologii i anatomii; *W. Spinazzola,* dyrektor neapolitańskiego muzeum ś. Marcina, — jako o architekcie; *B. Croce,* słynny krytyk neapolitański,—jako o filozofie; *I. Del Lungo,* historyk literatury i subtelny znawca prozy włoskiej, — jako o pisarzu. Wreszcie, w zakończającym seryę „epilogu", *J. Peladan,* genialny mistyk francuzki, — poddał głębokiemu rozbiorowi istotę twórczości Leonarda, zwracając uwagę na dajmoniczne jej cechy. Zapowiedziana konferencya *G. d'Annunzia* „O życiu wewnętrznem Leonarda", która w pamiętających pełny głębokiego wczucia się poemat *Per la morte di un capolavoro* wielkie obudziła zaciekawienie, nie doszła do skutku z powodów niewiadomych.

Jak widzimy, serya odczytów nie była może dość zupełna i wyczerpująca; pewne luki i braki odrazu rzucają się w oczy. Tłómaczy wszakże organizatorów trudność znalezienia odpowiedniej ilości prelegentów, łączących w sobie kapitalne znawstwo przedmiotu z talentem konferencyjnym. Z innej strony — mimo starań o najpowołańszych znawców w każdym zakresie — nie wszystkie odczyty stały na wysokości zadania. Konferencye Bottazzi'ego i Favara grzeszyły ogólnikowością oraz pewnym doktrynalizmem naukowym. Reymond z nieco płytką paradoksalnością podnosił wartość mistrza na koszt ucznia. Przypominało to podobne — przed laty dziesięciu — zapały francuzkie dla Luini'ego, również na niekorzyść Leonarda. Croce'go żądza oryginalności *à tout prix* zaprowadziła w zaułki ciasnego pedantyzmu i... niekonsekwencyi jednocześnie.

Większość odczytów atoli była pierwszorzędna i odpowiedziała godnie zamiarom inicyatorów. O Solmi'm już mówiliśmy. A. Conti, odrzuciwszy wszelką drobiazgowość krytyczno-historyczną, starał się w potężnej ewokacyi przelać w słuchaczy te wzruszenia, jakich sam doznawał przed trzema arcydziełami mistrza: *Wieczerzą, Pokłonem magów* i *Giocondą,* poczem — poddawszy obszernemu rozbiorowi rysunki Leonarda — udowadniał głęboko i dowcipnie, jak dalece tenże w różnych przejawach swego geniuszu był przedewszystkiem — malarzem. — Del Lungo — na podstawie zwięzłego lecz wy-

razistego przeglądu prozy włoskiej od zaczątków aż do Galileusza, oraz licznych cytat z rękopisów Leonarda — uwydatnił przejrzyście, jak bardzo ten „omo sanza lettere“, nie troskając się o formę i poddając jeno rytmowi własnej myśli, odczuwał jednak nieświadomie wpływ humanistycznego otoczenia i jak łatwo, gdyby był chciał, mógłby pod względem pisarskim wyprzedzić Galileusza. — Jedną z najpiękniejszych była konferencya Spinazzoli, pokrewna poniekąd w poglądach ciekawej a mało komu znanej u nas rozprawie J. Bołoza Antoniewicza p. t. „Świątynia zagadkowa Leonarda da Vinci“. Zaznaczywszy, iż badacze niesłusznie poświęcają zazwyczaj niewiele miejsca i czasu temu działowi twórczości Leonarda, i przebiegłszy pokrótce oficyalne jego tytuły do miana inżyniera oraz budowniczego (roboty hydrauliczne i fortyfikacyjne), prelegent rozebrał szczegółowo opisy i rysunki architektoniczne, rozrzucone po manuskryptach jego. Mimo szkicowości wykonania, są to rzeczy kompletne aż do szczegółów, gotowe do wcielenia plastycznego. Znajdujemy śród nich: idealny dom dzisiejszy, potężną świątynią centralną (cały szereg projektów), nowy zupełnie typ kolosalnej, amfiteatralnej świątyni do kazań (teatro da predichare), gigantyczny pomysł mauzoleum świeckiego, wreszcie wspaniałą wizyę całego nowego miasta, naszkicowaną aż do szczegółów, aż do rozkładu ulic i konstrukcyi budynków. Przejrzyście i z wielką potęgą kolorytu uwydatnił Spinazzola całe piękno, całą jedyną w dziejach architektury okazałość tych dzieł przedziwnych, które czynią z Leonarda jakiegoś zdumiewającego, olbrzymiego prekursora czasów, zrywającego z wszelkiemi tradycyami przeszłości, jakiegoś brata ludzi dzisiejszych, a w większości pomysłów brata tych, którzy dopiero kiedyś po nas przyjdą.— Peladan, po zbytecznych wogóle, a zwłaszcza wobec powyższego, żalach, że Leonard nie ograniczył się do malarstwa, lecz rozpraszał w innych dziedzinach, — z wielkim polotem, wczuciem się i głębokością uwydatnił spirytualizm wyrazu jako główną cechę jego arcydzieł. Oczy Monny Lizy nie są oczyma kobiety; są to oczy Leonarda spoglądające w wieczność. Długo — mówił prelegent — starałem się nadaremnie przeniknąć tajemnicę tego spojrzenia. Aż — wpatrując się w sfinksa czuwającego nad pustynią afrykańską—zrozumiałem nagle Giocondę. Dwa te uśmiechy są identyczne, są tym samym uśmiechem myśli czystej, który niby promień przebiega wieki.

Wszystkie odczyty wydane być mają niezadługo w jednej księdze zbiorowej.

CHIMERA.



OKUŃ. 1903.

CHIMERA—TOM IX—ZESZ. 27.

REDAKCYA—WARSZAWA, NOWY ŚWIAT, 22.

TREŚĆ

TOM IX. ZESZYT 27. — XII/MCMV.

KRONIKA MIESIĘCZNA

Autolitografię okładkową odbito w zakładzie W. GŁOWCZEWSKIEGO w Warszawie.

Światłodruk z rysunku K. TICHEGO wykonano w chemigrafii B. WIERZBICKIEGO; autotypie i cynkotypie — w zakładzie TOW. AKCYJNEGO S. ORGELBRANDA SYNÓW w Warszawie.

Papier wyrobiono dla Chimery w fabryce C. A. Moesa „Pilica."

Składał i łamał JÓZEF PERŻAK. — Odbijali na maszynie: tekst — ALEKSANDER TATAROWSKI, autotypie — TOMASZ STANKOWSKI, okładkę — FRANCISZEK ADAMCZEWSKI.

Pod zarządem PIOTRA UKLAŃSKIEGO

Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów w Warszawie

Fortepian Szopena.

(Do Antoniego C....)

La musique est une chose étrange!
Byron.

L'art?... c'est l'art — et puis, voilà tout. — *Béranger.*

I.

Byłem u Ciebie w te dni przedostatnie
Niedocieczonego wątku
— Pełne, jak Myth,
Blade, jak świt... —
Gdy życia koniec szepcze do początku:
„NIE STARGAM CIĘ JA — NIE! — JA UWY-
DATNIĘ!..“

II.

Byłem u Ciebie w dni te, przedostatnie,
Gdy podobniałeś — co chwila, co chwila —
Do upuszczonej przez Orfeja liry,
W której się rzutu moc z pieśnią przesila:

I rozmawiają z sobą struny cztery,
Trącając się
Po dwie — po dwie —
I szemrząc z cicha:
„ZACZĄŁ-ŻE ON
„UDERZAĆ W TON?..
„CZY TAKI MISTRZ!.. ŻE GRA... CHOĆ ODPYCHA?“

III.

Byłem u Ciebie w te dni, Fryderyku!
Którego ręka — dla swojej białości
Alabastrowej, i wzięcia, i szyku,
I chwiejnych dotknięć jak strusiowe pióro —
Mieszała mi się w oczach z klawiaturą
Z słoniowej kości...
I byłeś jako owa postać, którą
Z marmurów łona,
Niźli je kuto,
Odejma dłuto
Geniuszu — wiecznego Pygmaliona!

IV.

A w tem, co-ś grał — i co zmówił ton, i co powie,

Choć inaczej się echa ustroją,
Niż gdy błogosławiłeś sam ręką Swoją
Wszelkiemu akordowi —
A w tem, co-ś grał, taka była prostota
Doskonałości Peryklejskiej.
Jakby starożytna która cnota,
W dom modrzewiowy wiejski
Wchodząc, rzekła do siebie:
„ODRODZIŁAM SIĘ W NIEBIE,
„I STAŁY MI SIĘ ARFĄ WROTA,
„WSTĘGĄ ŚCIEŻKA...
„HOSTYĘ PRZEZ BLADE WIDZĘ ZBOŻE...
„EMANUEL JUŻ MIESZKA
„NA TABORZE!“

V.

I była w tem Polska, od zenitu
Wszechdoskonałości dziejów
Wzięta tęczą zachwytu —
Polska—PRZEMIENIONYCH KOŁODZIEJÓW!
Taż sama zgoła,
Złotopszczoła...
(Poznałciżebym ją na krańcach bytu!..)

VI.

I — oto — pieśń skończyłeś — — i już więcej
Nie oglądam Cię — — jedno słyszę
Coś... jakby spór dziecięcy...
— A to jeszcze kłócą się klawisze
O niedośpiewaną chęć,
I trącając się z cicha
Po ośm — po pięć —
Szemrzą: „POCZĄŁŻE GRAĆ? CZY NAS OD-
PYCHA?..“

VII.

O Ty! — co jesteś Miłości profilem,
Któremu na imię DOPEŁNIENIE;
To — co w Sztuce mianują Stylem,
Iż przenika pieśń, kształci kamienie...
O! Ty — co się w Dziejach zowiesz ERĄ,
Gdzie zaś ani historyi zenit jest,
Zwiesz się razem: DUCHEM i LITERĄ
I „CONSUMATUM EST...“
O! Ty... DOSKONAŁE — WYPEŁNIENIE,
Jakikolwiek jest Twój i gdzie... znak,
Czy w Fidiaszu? Dawidzie? *czy w* Szopenie?
Czy w Eschylesowej *scenie?..*

Zawsze — zemści się na tobie: BRAK...
— Piętnem globu tego niedostatek:
DOPEŁNIENIE... go boli...
On ROZPOCZYNAĆ woli
I woli wyrzucać wciąż przed się zadatek!
— Kłos?.. gdy dojrzał jak złoty kometa,
Ledwo że go wiew ruszy,
Deszcz pszenicznych ziarn pruszy,
Sama go doskonałość rozmieta!

VIII.

Oto — patrz, Fryderyku!.. to Warszawa:
Pod rozpłomienioną gwiazdą
Dziwnie jaskrawa — —
Patrz, organy u Fary, patrz! Twoje gniazdo,
Ówdzie patrycyalne domy stare
Jak POSPOLITA RZECZ,
Bruki placów głuche i szare
I Zygmuntowy w chmurze miecz.

IX.

Patrz!.. z zaułków w zaułki
Kaukazkie się konie rwą,

Jak przed burzą jaskółki,
Wyśmigając przed pułki
Po sto *— po* sto *— —*
— Gmach zajął się ogniem, przygasł znów,
Zapłonął znów — — i oto pod ścianę
Widzę czoła ożałobionych wdów
Kolbami pchane — —
I znów widzę, acz dymem oślepian,
Jak przez ganku kolumny
Sprzęt podobny do trumny
Wydźwigają... runął... runął... Twój fortepian

X.

Ten!.. co Polskę głosił, od zenitu
Wszechdoskonałości dziejów
Wziętą, hymnem Zachwytu —
Polskę, przemienionych kołodziejów,
Ten sam — runął — na bruki z granitu!
— I oto, jak zacna myśl człowieka,
Potérany jest gniewami ludzi,
Lub JAK — OD WIEKA
WIEKÓW — WSZYSTKO, CO ZBUDZI!
I oto, jak ciało Orfeja,
Tysiąc pasyj rozdziera go w części;

A każda wyje: „nie ja!..“
„Nie ja!“ — *zębami chrzęści* — —

Lecz Ty? — lecz ja? — uderzmy w sądne pienie,
Nawołując: „CIESZ SIĘ, PÓŹNY WNUKU!..
„JĘKŁY GŁUCHE KAMIENIE:
„IDEAŁ SIĘGNĄŁ BRUKU — —“

1865. Cypryan Norwid.

VI.

Milczenie, co się otwiera, a nie zamyka nigdy... Milczenie, które wstaje i idzie w czarną dal...

Głos słychać w ciszy.

Poszum-li to wiatru żałosny, żałosny?... Świst-Poświst-li to wzdycha u krat, czy jeno serca strudzonego jęk w pustej piersi?

Z głębin wychodzi zmora cicha. Oczy jej kaprawe, jak u mysznieńskiego biskupa, a piersi pełne szlochu. Staną owe oczy, zawalone bryłami łez, naprzeciwko oczu Walgierza, a usta wieszczka płaczącego naprzeciwko ust. Głos kusiciel, głos tajemniczej mądrości przepływa wpośród nocy. Słyszy go Walgierz w głębinie duszy swej, jakoby głos własnego sumienia.

A gdzie na duszę padnie ciężka łza wieszczego głosu, tam wyrasta subtelnie piękny kwiat rozczarowania,

szerzą się nikłe, urocze barwy zwątpienia. Wokół wyrasta jasna łąka, wirydarz chwiejny, wysoki. Zdaje się oczom w ciemność patrzącym, że widzą wieszcze zioła w podwórcu świętej kontyny, zaczarowane kwiaty u źródlisk bijących z ziemi.

Uludne badyle i mniemane kielichy, wykwitłe z krwi, co uszła z żył świętych jeleni i w żyły się wtoczyła kwiatowe, wylewają zapach wieczysty.

Szept wokół senny:

— Rycerzu, rycerzu...

Czyliżeś kiedy był za drzwiami jęku, azaliś wstępował kiedy do ciemnicy serca, co bije ostatni raz?

Gdzieżeś był, noszony przez konie sławy we wichrach, kiedy żegnał oczyma zorzę niebiosów pobity mieczem twoim?

Czyliżeś słyszał stękanie i trzask stannicy złamanej, a szloch i łomot upadającej chorągwi?

Rycerzu, rycerzu...

Wysłuchaj teraz, jak brzmi tętent dolatujący konia zwycięscy, a jak szczękają podkowy w błonach ucha tego, co został na krwawem polu i cicho leży sam jeden.

Bądź pozdrowiony, samotny!

Bądź pozdrowiony, samotny, od nas, które rośniemy za wrotyma wieczności, a pamiętamy o wszystkiem.

Niech się twe serce strudzone uciszy.

Niech dusza spocznie w sobie samej.

Spojrzyj, samotny, strudzony, w źródło wody wiecznie wytryskającej i twarz swoją rozeznaj... —

VII.

Rzecze pan:

— Azali jeszcze knujesz zemstę?

— Knuję zemstę.

— Oto ci mówię miłościwe słowo. Zważ je w sumieniu, mocno ujmij rozumem. Z włostów odwiecznych idziesz rodu, jako i ja. Aleś upadł z ręki mojej i zwalon jesteś na wieki. Nie będziesz już nigdy księciem na Tyńcu, nad Wisłą białą i nad szumiącemi lasami. Czy mię rozumiesz?

Odpowie więzień:

— Nie.

— Czemuż nie rozumiesz sprawy tak oczywistej?

— Jakże, będąc włostem z krwi pradziadów, mogę zarazem włostem nie być?

— Dla tego nim nie jesteś, że ja jestem tobą.

— Czemże ja się stałem, jeśli ty jesteś mną?

— Jesteś niczem, ponieważ jesteś w kajdanach.

— Czyli się tylko nie mylisz?

— Nie mylę się. Któżby mógł koniądza zabić bez kary? Nikt. Ja zaś mógłbym cię zabić bez kary, a tejże chwili mógłbym rozkazać trupa twojego wywlec za próg i rzucić w zgniłą fosę. Jakież twe życie? Skinę i być przestaniesz...

— Skiń!

— Zechcę, ażebyś żył w moich oczach wielmożnych, i musisz żyć. Taka ma wola. Tak musisz żyć, jak ja zechcę. Myśl długo nad głębokością mej łaski. Mogę cię zabić i trupa twojego rzucić w fosę, a ja cię życiem daruję i bratem zowię.

— Jakże to mam uczynić, żeby zaprzestać być sobą? Daj mi radę, o bracie.

— Daję ci radę: zapomnij!

— A jakże się to czyni, żeby zapomnieć, ty, który wszystko wiesz?..

— Odwróć oczy od rzeczywistości i patrz w złudzenie. Patrz w złudzenie swego majestatu. W złudzeniu jest siła życia. Rycerską wolę, rycerską moc, wszystką rycerską duszę zarygluj w pieśń, podobnie, jak ja ciebie zamknąłem w dyby. Pieśń sobie wyśpiewaj o swej wielkości... —

Śmieje się pan.

Więzień zamilkł. Popadł w zadumy, w sny.

Oczy ma w ziemię wbite, plecy zgięte, ręce rude i żelazne, jak zardzewiałe żelazo skoblicy.

Wlecze się jego senna myśl.

— Stołek mój wyniosły uczynił Wiślimierza mądrym, potężnym. Miejsce moje wysokie uczyniło go wielkodusznym. Mógłby mię Wiślimierz zabić bez kary, a dał mi życie. Jest Wiślimierz potężny, mądry i dobry. Jest jakoby ojciec mój rodzony, bo mi życie darował.

Cóżem ja jest, zapomniany? Cóżem ja jest zaiste? Któż mi odpowie? Możem jest zaprawdę nie rycerz i nie woj, możem jest zaprawdę jeno siepacz i sługa?.. —

Śmieje się kajdaniarz do myśli swej. Podnosi ją ku światłu nędznemu i patrzy w nią krwawemi oczyma.

A w głuchą noc, w ciemną noc posłyszą ludzie, że śpiewa samemu sobie:

— Sławo! Sławo!

Nad szyszakiem moim ze stali lustrzanej latalaś, nad piórami zaramiennych skrzydeł były twe drogi. W mieczu-zbójcy, gdym go z pochwy wydzierał, lubiłaś oglądać oblicze.

Sławo! Sławo!

Tętent kopyt po zeschłym stepie kochałaś duszą, a krzyk mój w wielkim boru nosiły twoje skrzydła promieniste ku odległym plemionom.

Sławo! Sławo!

Dzisiaj wydartą mam pawęż i szłom i pas. Zakuty jestem w okowy i na ziemi waruję. Podlejszy jestem od psa, co pod cudzym wzdycha progiem, bo pod własnym leżę progiem, a nikczemniejszy jestem od lisa, bom w żelazach.

Zapomniala o mnie ziemia rozkwitła i zapomniały śniegi zimowe, woda rzeczna, tonie jeziorzysk i leśna cichość.

Zapomniały o mnie kości, mogilnem próchnem zasypane.

Jestem sam jeden, gdyż opuściła mię dusza moja.

A gdybym podniósł głos tak wysoko, jak lata łamignat orzel, co się w niebie z lotem oczu ściga, a gdybym rozszerzył głos głęboko, aż ku popieliskom przedwiecznym, nikt wołania nie usłyszy, tylko je słyszę ja, sam jeden.

Wróci się pod serce cielesne moje, skąd wyszło, jakgdyby hak z żelaza.

Spojrzyjcież oczy moje w rzeczy ziemskie nieustraszonem wejrzeniem, a nie przeleknijcie się niczego, cokolwiekbyście ujrzały!

Idę odważny do wrót zawartych nieszczęścia mego i pięścią nieustraszoną zakołacę, jakom do wrót starej kontyny kołatał.

Zła moja dola! — rzekł mi wróż.

Wyjdź-że z ciemnej bożnicy, moja zła dolo!

Pokaż się, dolo!

Niechaj cię ujrzą źrenice moje!

Niechaj się tobą nasyci moja zgłodniała myśl. Niechaj cię ujmie dłoń moja chciwa, jakom ujmował zabójczy puinał.

Lecz już się umknął od dłoni mojej rycerski miecz, od boku mego urwał się nocny towarzysz, puinał.

Zła moja dolo!

Ujmę w dłoń młot najemnego nędzarza.

Na długim łańcuchu łez a w wiadrze beznadziei spuszczę się, górnik samotny, w sztolnię czarną, w rozwarty szyb przepaści. Pójdę korytarzami w kamieniu niedoli kutemi.

U boku broni żadnej. Na głowie szyszak pogardy. Z za ramion skrzydła pośmiewiska szeleszczą. Na kościach nic, jeno strzępy poszarpanych łachmanów przepychu ducha.

Nic, jeno w ręce młot, a w oczach płomień.

Nic, jeno w piersiach—samotnego serca łoskot głuchy.

Pójdę, zła moja dolo, do końca.

Zajrzę w komorę tajemną.

Porwę w dłoń wyschłą, w dłoń oszalałą stylisko

młota i będę w czarną ścianę tajemnej komory dzień i noc kuł.

Albowiem w czarnej ścianie, ja sam, zła moja dolo, wrośnięty w kamień leżę.

Będę bił niestrudzenie, aż rozwarte oczy wykuję, aż obuchem zwalę w puste piersi kamienne.

Uderzę samego siebie oczyma w martwe oczy i konającą dłonią pochwycę puste, kamienne piersi. —

VIII.

Słyszy nad sobą znajomy głos:

— Udały...

Zadrżał w sobie, rzekomo ziemia, kiedy ma ogień z głębiny wyrzucić, zakipiał, jako morze od wichru. Głos... Podniesie oczy.

Nad nim Mściw z puszczy. Twarz Mściwa mądra, zimna, posępna.

Rzecze:

— Przychodzę cię nawiedzić, Wdały Walgierzu.

— Witaj, gościu, co godność moją pamiętasz.

— Bogowie z tobą!

— I z tobą, gościu.

— W złej cię nawiedzam doli.

— W istocie, jestem ubogi, gdyż odwróciły się losy moje. Ale siądź, gościu, i spocznij w dziedzinie mojej.

— Nie twoja to już, bracie, dziedzina.

— Czyjaż, o bracie?

— Mojego i twego pana, Wiślimierzowa.

Zapadł w milczenie Walgierz Udały. Pochylił głowę, zamknął powieki. Zda się gościowi, że więzień śpi. Czas mija.

Rzecze Mściw:

— Nadaremnie, nadaremnie trwasz w uporze.

— Trwam.

— Jakież twe życie!

— Żyję.

— Zapomnij, przyjacielu, o tem, co nigdy już, przenigdy nie wróci.

— Jużem, przyjacielu, o tobie zapomniał i twoje imię już nigdy, przenigdy na wargi moje nie wróci.

— Harda twa mowa.

— Harda jest mowa kajdaniarzy.

— Ta to hardość bezrozumna mocno cię trzyma w skoblach i klubach.

— Ciebieby pęta czterykroć mocniejsze nie utrzymały, giermku Wiślimierzowy.

— Słuchaj mię! Potężny jest Wiślimierz. Naszedł przez sługi swe i włódarze dziedzictwo moje w borach. Otoczył tyn mój tynem straszliwym zbroic. Ile w tynie słupów, tyle chłopów przepotężnych wokoło postawił. A w jednej ręce sprawca ich miał kajdany z żelaza, w drugiej dary ze złota, twojego, bracie, skarbu ozdoby. Więc mi rozum męski nakazał przyjąć dary, uchylić czoła. Cóżem miał czynić, powiedz sam?

— Jużeś, zdrajco, powiedział.

Odszedł Mściw.

Snuje samotnik własną myśl, tkankę pajęczą. Spływa na myśli swej w jaskinię wewnętrznej ciemności, jak pająk na nici swej:

— Ach, cóż jest czyn?

Jakże nędzny jest czyn!

Czyn jest nikczemny, czyn jest dostępny dla draba i zbira, któremu sprawca drogę i cel wskazuje.

Król polski niezwyciężony, którego cesarz udusić w żelaznych ręku nie może, zląkł się bosego biskupa. A biskup słaby był, jak gąsię w lipcu, jak mucha na jesieni.

Czegóż się zląkł przepotężny? Chudej ręki bezsilnej, gdy się dźwignęła, oczu łzami zasłonionych, gdy wejrzały... —

Snuje więzień wątłą nić swoją:

— Straszny jest widok cierpienia. Niezwyciężoną jest zemsta krwi przelanej. Łamie krzywda miecz i trzaska w drzazgi puklerz. Boi się Wiślimierz moich bezsilnych rąk, lęka się mojego jęku nocnego, drży, kiedy wzdycham —

IX.

Wolno z wysokości wierzchnicy zstępuje Cudna.

Sama jedna po stopniach idzie. Skierowała cicho kroki w więźniowy kąt. Senne, jedwabne słychać stąpanie, łagodne, jak szelest pajęczej, szkarłatnej pawłoki, co ciało jej królewskie przesłania. Oczy żony wyniosłe, brwi zwiedzione, na ustach niemasz uśmiechu. Spojrzała w oczy nędzarza.

Słowo słychać:

— Łaskę przynoszę.

A gdy ów milczy, groźne pada ostrzeżenie:

— Jeśli będziesz milczał, odejdę. A odejdę nazawsze. Proś mię, a może łaskę uproszoną zleję na czoło twoje.

Dusi się rycerz błotem słów, szlocha w sobie, tarza się w barłogu hańby. Aż, przezwyciężony od długiej nędzy, wymówi:

— Łaski!

— Masz zniżyć głowę do stóp. Na znak.

— Zniżę głowę.

— Wyrzeczesz się przeminionej sławy i snu o sławie.

Spojrzał w nią Walgierz krwawemi oczyma. We wzroku jego nanowo kiścienie ze żmij, w zimnym uśmiechu strzała zatruta ciemierem.

— Cóż mi dasz, — pyta, — za przeminioną sławę moją? Za co kupisz mój ostatni o niej sen?

— Będziesz spuszczony z łańcucha.

— Będę spuszczony...

— Rozwidnią się nad tobą dni szczęśliwe: pójdziesz za kute drzwi bez straży w ogród wewnętrzny.

Pójdziesz sam jeden w przechadzki chłodne, obrosłe krzewem kaliny, któreś rękoma dla mnie sadził. Wspomnisz tam dzieje naszej miłości... Spojrzysz w ogromne niebo świętej Pogody, w puste, szerokie, usłane chmurami, zobaczysz, jak się na krajach ziemi opiera. Będą nad tobą korony drzew... Posłyszysz, jak szeleszczą dostałe trawy w samotni twego ogrodu, gdy go nawiedza cichy wiatr i ciepły deszcz... —

Chichocze Walgierz, śmieje się głucho:

— Posłyszę, jak szeleszczą...

— Straż cię w okowach powiedzie na basztę zamku. Z przeziorów między belkami i z widzierów dachowych ujrzysz głuche, zadumane bory po górach, święte buki po szczytach i szare daleko grzebienie skalnych osypisk. Spojrzysz we Wisłę kochaną, jak spomiędzy lasów, srebrnobiała, kręgiem, półkolem wypływa, jak się u skał falisto zatacza i cicho w puszczy ginie zielonej...

— Cóż ci mam dać za jej widok?

— Oddasz mi, władczyni swej, i Wiślimierzowi, panu swojemu, pokłon powinny. Gdy każemy, pójdziesz, jak wierny sługa i jako włódarz, w orszaku. Będziesz

u stołu pańskiego obficie jadł i będziesz tęgie wino pił, ile wola...

Duma Walgierz głęboko. Chwieje się jego głowa tam i sam.

— Przysięgę złożysz na wieczny czas, za siebie i za syna, gdybyś go miał z poddanki naszej. A będziesz w poczcie sług jeden z najpierwszych. Przed Mściwem z puszczy staniesz i krok trzymać będziesz w orszaku.

Ściska Walgierz głowę swą żelazem oków.

— Proporzec pański poniesiesz i miecz potrzymasz. Strzemię podasz wsiadającemu na koń. I zstąpi na cię łaska pańska. Nie jeden dar cię spotka. Złożysz skarb z darów i z pracy swej, z łupów na wojnie uciułasz mienie. Puści ci wtedy pan osiedle w boru. Będziesz granicy jego strzegł na wzór Mściwa. Jam to dla ciebie uczyniła, ja, Cudna, którą kochałeś i jeszcze w skrytości kochasz. Spojrzyj na mnie dawnemi oczyma, które-m ongi miłowała. Walgierzu, Walgierzu!

Dla ciebie to uczyniłam, przez pamięć twojej miłości. Wypełnij wszystko, co-m rozkazała.

Czy spełnisz wszystko pod przysięgą? —

Przytakuje Walgierz głową strzaskaną od nieszczęścia, a startą i zdeptaną od niedoli.

Mamroce, sepleni, śmieje się, jąka. Szlocha:

— O, duszo moja, duszo moja... Spełnię wszystko, co-ś rozkazała... Wszystko spełnię pod przysięgą...

X.

Przyszedł Mściw z puszczy dla odebrania od poddanego ślubu pokory. A gdy się zniżył i zagiął obcęgi pod spoidła śrub i gdy miał pierwsze rozłamać ogniwa, ujrzał, że oczy Walgierza nie widzą, a 'z gardła bucha szyderczy śmiech. Ciało leżało nieruchomo, wyciągnięte w żelaziech, jakgdyby na miękiem łożu. A z warg się zrywał śmiech niegodziwy, śmiech bezsilny.

Zawołał Mściw:

— Wstawaj z barłogu!

— Nie wstanę, sługo!

— Pójdziesz ze mną w ogród zamkowy.

— Nie pójdę, sługo!

— Szalony, cóż zamierzasz?

— Jeszcze, sługo, nie przyszła godzina moja.

— Zginiesz w barłogu!

— Jeszcze nie przeszła godzina twoja. Jeszcze-m się, widzisz, siłami straszliwemi nie podkopał pod samego siebie i jeszcze-m samego siebie z moich kamiennych ramion, z ramion nieżywych i bardzo zgarbionych nie zwalił.

— Cóż myślisz czynić, obłąkany!

— Będę, sługo, płakał krwawemi łzami dopóty, aż łzy moje z martwego kamienia wykapią ducha wiecznego.

— A więc — przepadnij!

Cisnął Mściw na zuchwalca gniewny błysk oka i gniewnym znakiem ręki skazał go na zapomnienie.

Więc zapomnieli o nim na śmierć ludzie ziemi. Zapomniał o nim potężny pan — i Cudna żona.

Wzgardzili jego imieniem wygasłem włódarze, męże wojenni, czeladź, żołnierze.

Zapomniało o nim sumienie gminnego ludu i zapomniała skrzydlata pieśń rycerzy po ostrych zamkach i zmowa nocna — i wieść szeptana w zaułkach wsi — podanie ślepe a głuche — i baśń daleka, baśń ostatnia, baśń wędrownica, kurzem zasuta dróg...

XI.

Wlecze się długość nocy.

Trwa cisza. Świerszcz jeno, towarzysz jedyny przeklętej doli, niewidzialny świadek bezsennych nocy, skrzypieniem mierzy czas.

Płyną przez ciemność myśli leniwe, ogłuchłe, z wygnitemi oczami. Ponad jeziorem wiecznego rozczarowania wloką się długim orszakiem. Spływa z warg nadaremne westchnienie. Toczy się jęk w dół bez dna.

Obmierzło już szyderstwo, wstręt budzą łzy.

Ostatek wielebnego męstwa, ostatek pracy...

Kruszy się i sypie w proch kamień ducha.

A za kratami głucha noc.

A za kratami wzdycha wiatr.

Świst-Poświst do krat przyleciał... Westchnął... Przeszumiał...

— Świstu-Poświstu... — wzywa ku niemu Walgierz Udały... — Och, wietrze, wietrze!..

Och, wietrze wiosenny, wonny!

Już na mnie przyszedł czas. Zanieś, wietrze swobodny, królowi polskiemu żegnanie moje. Powiej mu w twarz rozgorzałą. Na skrzydła weź żegnanie moje i na stanicę rzuć... Niechaj zaszumi wielka chorągiew nad dumającą głową królową... —

Słyszy Walgierz w nocnem milczeniu szelest kroku. Gniew nim pomiata, że mu ostatni pogwar duszy roztrąca zbir.

Patrzą w mrok z nienawiścią kocie więźnia źrenice, oczy skąpe i podejrzliwe. Badawcze ucho chwyta szept:

— Walgierzu...

Gnuśnie milczy niewolnik. Śmieje się w duszy z szeptu nocnego, czyjkolwiek jest.

— Rycerzu... — pozywa głos.

Milczy kajdaniarz. Przebiegła jego mądrość, jak niewidzialny szpieg, obchodzi wkoło szept, a opasuje go nićmi obojętnego badania.

— Książę!

Ocknął się w piersiach szloch dawny-przedawny.

— Wodzu!

Omdlałe serce wzdycha w nocy:

— A choćbyś była złudzeniem ciemności, witaj, maro, co mię pozdrawiasz...

— Piękny!

— Kto-ś jest?

— Poprzysiąż mi wiarę wieczną, miłość wieczną, a ja wzamian kuny twoje rozłamię.

Szeptane, zimne, przemądrzałe słowo:

— Rozerwij kuny, bym ci uwierzył.

— Dam ci w rękę twój własny miecz.

— Ktośkolwiek jest — daj koncerz!

— Poprzysiąż mi wiarę wieczną, miłość wieczną.

— Ktośkolwiek jest, poprzysięgam ci wiarę wieczną, jeno mię puść.

— Twarz moja jest potworna, a ciało krzywe.

— Gdybyś była potworna stokroć bardziej, niż jesteś, przysięgam ci wiarę wieczną, miłość wieczną, — jeno mię puść.

— Jestem straszna i bardzo stara...

— Pokocham cię, jeno mię puść.

— Jam to jest Wiślimierzowa rodzona siostrzyca. Imię me Zdrada.

— Piękne jest imię twoje, kochanko Zdrado. Obejmę cię uściskiem, — jeno mię puść.

— Jeśli mię weźmiesz za żonę, tem oto dłutem i obcęgami, które Mściw piastuje, odkręcę śruby, rozłamię ogniwa kuny.

— Żono ma wieczna, odkręć śruby zardzewiałe. Oto me ręce pragnące uścisku...

— Przysięgaj na miecz rycerski, na pawęż...

— Przysięgam na miecz rycerski, na pawęż i na pas, że cię na wieki poślubię, o Zdrado, jedyna, co-ś mnie w ciemnicy nie zapomniała...

Wtedy odemknie siostra Zdrada kluczem ze skarbca wykradzionym zamki klubów, a zardzewiałe mutry odkręci, spojenia zaklepane rozłamie.

Ręka Walgierza w przestworze błądzi...

Popręg żelazny spod ramion spadł, jak pas niciany. Z gardzieli kuna odeszła, jak miękki kołnierz. Z nóg się zzuwają żelaza...

Namacał rycerz w ciemności kurczem miłosnym głowicę wielkiego miecza, co go ze skarbu wykradła kochanka Zdrada.

Na głowę wdziewa swój własny, olbrzymi szłom.

Okrywa w nocy pośpieszną dłonią piersi blachami. Goleń opasze plechą. Wdział rękawice żelazne.

Wstał z ziemi.

Westchnął.

W barach się olbrzymich przeciągnął.

Szepce ku niemu miłosne słowa kochanka.

Pochwycił rycerz prawicą gardziel siostrzycy Wiślimierzowej, Zdrady.

Zdusił ją na śmierć, zanim krzyk wydała, zanim wydała dech. Rzucił targaną od kurczów śmiertelnych w swe legowisko, w łoże boleści, wysiedziane w kamieniu, — z chichotem twardym zwycięscy.

Już stąd odejdzie!

Krok jego dźwięczy i trzaska, kiedy w milczeniu idzie olbrzymi przez mrok w łożnicę małżonki swojej.

Rozdarł kotarę.

Zerwał lampę ze ściany i w oczy śpiącym przyświeca.

Krzyk jego lwi:

— Ocknij się, Cudna, duszo moja!

Porwą się śpiący. Szept białych warg... Dygocą bezsilne ręce. Patrzą w przybysza skostniałe oczy.

— Cóżbyś powiedział, władco na Tyńcu, gdyby cię koniądz Walgierz ze snu twardego przyszedł budzić? Wrócił już Udały Walgierz z wyprawy dalekiej. Obszedł już kroki pracowitemi świat. Był daleko, — och, daleko! Był głęboko, — och, głęboko! Widział już oczyma własnemi wszystko, na własne uszy wszystko słyszał. Wstań, bracie! —

Uniósł z nad czoła ciężkie szłomu żelaza i straszne jamy oczu odsłonił.

Śmiech jego — ryk tygrysa.

Podźwignął miecz i od straszliwego zamachu rozdarł, rozszarpał drgające ciała.

Jak strzelenie piorunu rozlega się jego krzyk po wnętrzach zamku, leci w sale, krużganki. Ciosy miecza budzą zdrajców na chwilę, by im śmierci błyskanie pokazać.

Pada przed nim gawiedź na twarz.

A inni rozewrą na ścieżaj drzwi, a inni cześć mu wyją, a inni za nim kroczą, jako radosny hufiec poddanych.

Idzie Walgierz wielkiemi kroki przed siebie.

Spadł aż do drzwi podziemia.

Wyrwał je z zawias.

Tam oto, w lochu mogilnym, brat Wydrzyoko gnije. Oczy jego, jako próchno, w ciemności świecą.

Rozerwał Walgierz mieczem więzy. Chwycił współbrata w ramiona.

Szepcą, szlochają...

Wstępują dwaj po stopniach zalanych krwią. Idą w krużganki zasłane trupami, w dziedzińce wiślańskiego zamczyska, w sienie, w bramy, przez mosty, w świat...

XII.

Na wzgórzu, skąd widać zgliszcza tynieckiego zamczyska, stał Walgierz Wdały. Mocny, bojowy koń spienioną żuchwą gryzł wędzidło, a ziemię pod sobą kopytem niecierpliwie bił.

Wiatr wzdymał i szarpał zwisłą grzywę rumaka i wielobarwne pióra rozwiewał bujnie na przyłbicy książęcej. Tuż przy koniądzu siedział w siodle Wydrzyoko. Za nim orszak bojowników zatoczył półkole.

Milczą rycerze, szanują wodza dumanie głębokie.

Głęboko duma Walgierz, patrząc w dymy skłębione, w słupy iskier dalekie.

— Pójdziemy teraz, wiciądzu, — powiada Wydrzyoko, — na nowy bój, na żywot nowy. Nowe w puszczy na wysokościach wyrąbiem toporem polany. Nowe osiedla założym. Nowe gniazda dla ludu gminnego. Nowe zamki strzeliste wzniesiemy ponad cyplami stromych skał...

— Tak, bracie, nowe zamki!

— Uderzymy w ziemię nieżywą, w ziemię jałową, w ziemię płoną, ostrzem narzędzi z żelaza i dobędziemy z jej łona śpiew rozkochanych niewiast, gwar dzieci i wielki hymn mężów, schylonych nad zagonami złotej pszenicy i żyta, co się srebrzy pod niebem. Od naszych czynów, wodzu, poczną się nowe dzieje! Z naszych ramion zstąpi na ziemię pokolenie potężne i piękne. A ono będzie twórcą pokoleń, których pochód nieskończony iść będzie w wieczność pod niebem świętej Pogody.

— Tak, bracie mój!

— A tyś to sprawił. Wielki zamach twojego miecza czcić będą w pieśni nigdy nieumierającej pokolenia szczęśliwe, kiedy się po pracy zejdą na polanach wiecowych. Jesteś wielki, jako ta nieobeszła ziemia, wysoki, jak Tatry-góry...

Cicho, cicho ku zgliszczom zaśmiał się Walgierz Udały. Jego ręka żelazna szarpnęła wodze konia. Miecz w strzemię trzasnął.

Zadumane oczy przebodły dymy i zduszone płomienie. Wyciągnął dłoń:

— Tam moja wielkość... — wyrzecze spomiędzy głębokiego śmiechu. — Do słupa moja wielkość przykuta. Nowe zamki, jakoby gniazda orłowe wydźwignę na szczyty gór, nowe sioła rozsadzę po puszczy, jak ule pszczół, pszeniczne i żytnie ziarno rozsieję po stokach, gdzie rośnie jałowiec, po nizinach, kędy kwitną kaliny...

Lecz już wielkości nie zaznam.

Wielkość moja, do słupa żelaznego przykuta, w tamtych się dymach ogniem przepala. —

— Pójdziemy, wiciądzu, polskiego szukać króla!

— W jakiej też stronie, w którym też boru, z jakimi wrogi wojuje wielki król? Gdzie słychać krzyk skrwa-

wionych pułków, pieśń bojową, wielki wrzask trąb? Z której też strony nadleci echo?

Pójdziemy, bracia, w ciemną głuszę świętej góry i bogi krzykiem zwołamy.

Nad przyszłością pokoleń ich wieczną osadzimy stolicę. Tam-to w kontynie wieszczowej, starej, pod cieniem buków, nadleci ku nam Poświst-wiatr. Nadleci ku nam z końca świata, echo przyniesie, kędy w lasach polski król...

Powiem królowi prawdę głęboką, prawdę, co się tam oto w ogniu pali.

Otworzę królowi oczy jasne... Pokażę królowi duszę kamienną... —

Stefan Żeromski.



Rysunek węglowy KAROLA TICHEGO.

MEWLANA DŻELALEDDIN RUMI.

Były to straszliwe czasy Dżengis-hana, gdy mongołowie niszczyli prastare kultury Azyi i dziewicze kraje Europy. Pierwsza wściekłość jego napadu uderzyła na ziemie leżące za Oksusem—tam krzewiło się najstarsze siedlisko kultury: Samarkanda i Bochara, miejsca zborne uczonych, ksiąg, akademij — sławnych na Wschodzie. Te miasta, zwane w starym języku Moghów targowiskiem umiejętności, uległy pożarom i spustoszeniu — uczeni zakrwawili się pod mieczami zwycięzców, lub rozproszyli się na wszystkie wichry pustyn. Dżengishan wjechał w wielki meczet i kazał rzucić Koran pod kopyta swego rumaka, jak to uczynił w 200 lat potem Mohammed II ze świętemi księgami chrześcian. Nie miał on religii, ani oświaty — jednego ze swych sekretarzy, władcę Mosulu, ściął — za to, że napisał zbyt piękny list. W zbiorze jego praw „Jassa" niema jednego słowa o ludziach twórczych i uczonych. Był to zagrabiciel w znaczeniu najbardziej nieludzkiem.

Wyparta ze swych wielkich siedlisk — kultura chroni się do krolestw pomniejszych na zachód i na południe. Tak na dworze Saad Ben Senghi'ego w Szyrazie tworzy poeta Saadi swój Ogród Różany—a pod rządami sułtana Alaeddina Kejkobad stała się Kouja miejscem pielgrzymiem uczonych wszystkich narodów Azyi, którzy tu doszedłszy do ostatnich granic lądu — gdzie tylko morze kładło granicę ich dalszej ucieczce—czuli się przed mongołami w ciszy bez-

piecznej. Alaeddin wybudował i odnowił dziewiętnaście miast, wiele meczetów, klasztorów i kolegiat. Dniem zajęty sprawami państwa, nocą powierzał się pracy uczonej, a ulubioną księgą jego była Alchemia Uduchowień — Gazali'ego.

Z radością też powitał Dżelaleddina Rumi, który z ojcem swym emigrantem długo wędrował—aż w Ikonium zajęli się nauczaniem wiedzy zewnętrznej i wewnętrznej. Mewlana stał się w tem znakomitością, lecz swój prawdziwy duchowy rozwój zawdzięczał dopiero Szejchowi Szemseddin Tebrizi, domniemanemu synowi straszliwego księcia assassinów.

Całą ludność wzburzył Szems Tebrizi przeciw sobie, pozyskał tylko jednego wielbiciela i wybrańca—lecz tym był Dżelaleddin.

Zmuszeni opuścić miasto, błądzili tak mistyk ze swym mistrzem lat dwa po Syryi — i wsparty na tej kolumnie tworzył Dżelaleddin swoje natchnione, dziwne Mesnewi. Na skrzydlach najwyższego religijnego natchnienia, wysoko krąży on nad względnościami wszystkich religijnych dogmatów i form, wzlata nietylko nad księżyc i słońce — lecz ponad przestrzeń i czas, ponad stworzenie i nad anankę, nad praukład, który zawarły dusze z Bogiem, nad samą nieskończoność—gdzie wiecznie modli się do źródła, które ma w sobie—i w roztapiającej się miłości, zapomina na wieki człowieka — dla Tego, który jest zwornikiem wszystkich mrocznych i świetlanych sklepień i tajemnicą łączy i wspiera niepojęte głębiny Jaźni.

Mówią o Mewlanie: zbłąkanych w pustyni mroku i miraży prowadzi on w ogród istotnej mądrości.

Zmarł r. 1262 w Ikonium, dzisiejszej Konji w Małej Azyi, gdzie dotąd lśni jemu poświęcony ogromny, wspaniały, zielony meczet — tudzież klasztor założonego przez Dżelaleddina zakonu mistycznych derwiszów.

Jego księga dwuwierszów *Mesnewi,* oraz dwa dywany (około 1400 gazel) postawiły go na wyżynach, nietylko obok największych poetów Firduziego, Nizamiego, Saadiego, Hafiza i Attara: jest to księga wszystkich mędrców od Bosforu aż do brzegów Gangesu.

[Joseph v. Hammer: Geschichte d. schönen Redekünste Persiens. Wien 1818.]



Z PIERWSZEGO DYWANU DŻELALEDDINA.

EI AASZIKAN EI AASZIKAN IMRUZI MA IMU SZUMA.

O miłośnicy, miłośnicy! jesteśmy dziś rzuceni, tak jak wy,
w głęboką otchłań, a któż ciemnych pozna jeszcze?
Gdy potop dziejów wezbrany jest falami—przechodzą fale
[jak wielbłądy —
a mroki morskie się nie troszczą, że ginie w nurtach syn
[powietrza.
Widzenie me wybucha płomieniami — lecz żyję wciąż w od-
[męcie fal —
jak ryba dyszeć muszę burzą, lecz moją falą już jest grzech.
Mojżeszu, synu Umrau—w morzu się zjaw i uderz laską—
(przynosi mi do głowy stare wino wciąż nowe szały i ma-
[rzenia!)

— — — — — — — — — — — — —

Jest nam świat jak góra Synaj — tęsknim wciąż jak Moj-
[żesz wzejść na wirchy —
a gdy błyśnie żar objawień—kamienista góra pęka w dwoje.
Jeśli chcesz klejnoty widzieć—z nich tu masz łańcuchy gór—
kłak zieleni, trochę słomy stają się wnet kwiatem tu.

Wina nie chcę — upojony jestem samym dźwiękiem szkla-
[nych czar —
winogradniku, o winogradniku—czemu jesteś na mnie zły?
ja uniosłem tobie winne grona—a tyś z głowy mej zasłonę
[wziął.

CHUISZRA DŻUN CHARI DIDEM SUI GÜL BI GIRICHTEM.

Kiedym ujrzał, żem jest cierń — wnet schroniłem się w gę-
[stwinę róży;
kiedym ujrzał, żem jest kwas — wnet zmieszałem się z ne-
[ktarem trzciny.
Kiedym ujrzał, żem jest jad — prędko wlałem w czarę
[lek teriaku;
kiedym ujrzał na dnie męt—zaczerpnąłem źródeł nieśmier-
[telnych.
Kiedym ujrzał, żem jest mrok — na Jezusie gwiezdnym
[wsparłem dłoń mą;
kiedym ujrzał, żem jest grób—otworzyłem bramy wiecznych
[sadów.

— — — — — — — — — — — — —

EI CHAKI KEHI PAJET RISEKI FELEKI BUDI.

Ty, którego opyloną nogę ogląda Niebo z zawiścią —
w prawiekach dusza ma i twoja były tylko jednem.

W domu malarza chińskiego widziałem cudny obraz,
co z lic aniołów i ludzi zaczerpnął ich duszy i krwawień.

Wiele słów prawdy spoczywa wśród ukryć nocą,
wiele kolumn ognistych zabłysło w mrokach zwątpiałym.

— — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — —

O Szems Tebrizi, w twych barwach słonecznych powstaję —
wprawdzie umarły jestem, lecz tyś mój wkrąg śpiewny Ocean.

NEWBEHARA DŻANI MAJI DŻIHANRA TAZE KUN.

Wiosną jesteś duszo ma — więc do życia odnów świat —
uczyń łąki znów świeżemi—w zagajnikach róże uczyń nowe.

Mroczy się cmentarny las—żaden słowik tu nie śpiewa —
wiatr od morza przestał dąć — morze, chmury i wiatr
[wschodu uczyń nowe.
Niech wśród jodeł lilia lśni i wymową srebrną nuci wolność—
kwiaty, pszczoły i motyle niech tu lecą—ty pasieki w lasach
[uczyń nowe.
Niech zaszumi dębów chór, zakołyszą sosny w takt,
i turkawkom z góry Karmel—ich majowe pieśni uczyń nowe.

Z krzewin leśnych dymi pył—rosy białe lśnią w pokorze,
na mogiłach pnie się bluszcz — idź, modlitwy serca uczyń
[nowe.
Wszak miłości pragną róże, a piorunów ciemne góry —
wieszczu wzleć—skrzydła zrzuć—i wyżyny natchnień uczyń
[nowe.
Już błyskawic słowo grzmi—moschus chmur użyźnia ziemię—
z mrocznych burz ty świętym wstań — nawet niebo w sobie
[uczyń nowe.

BIBLIOTHECA VNIV. IAGELL.

Kwiaty złocą wniebowzięte, księżyc wschodzi ponad toń —
ty w świątyni ponad stawem błądź i milczenia w sobie uczyń
[nowe.
Piorun bije w nieba dom — i ten huczy jakby dzwon —
ty muzykę wielką bogów — nawet bogi w światłach uczyń
[nowe.
Tajemnice już zamierzchły — gnije bagno ludzkich dusz —
alchemiku boży wstań — sny młodości zadżumionym uczyń
[nowe.



Z WTÓREGO DYWANU DŻELALEDDINA.

MECHASSIB EI JAR MIHMANDAR IM SZEB.

Nie śpij druhu nocy tej—tyś jest Duch, a myśmy chorzy—
Nocy téj.
Odpędź z twoich oczu sen — tajemnica się rozwidni —
Nocy tej.
Tyś jest Jowisz na niebiosach— wśród gwiazd krążysz fir-
[mamentu —
Nocy tej.
Nad otchłanie Orła pędź, bohaterem jest twój duch —
Nocy tej.
Prawd lodozwał Cię wydźwignie, zazielenią się ruiny —
Nocy tej.
O, jak cicho — inni śpią — ja i Bóg jesteśmy sami —
Nocy tej.
Jaki szum—szczęście wschodzi—prawda skrzydłem opromie-
[mienia—
Nocy tej.
Gdybym przespał aż do ranka—jużbym nigdy nie odzyskał
Nocy tej.

Targowiska już ucichły—patrz na rynek gwiezdnych dróg—
Nocy tej.
Lew i Orion, Andromeda — i Merkury krwawo lśni —
Nocy tej.
Wpływ złowieszczy miota Saturn, Wenus płynie w złotym
[dżdżu
Nocy tej.
Zamilknięciem wiążę język — lecz ja mówię bez języka —
Nocy tej.

MERD CHODA MEST BUD BI SZERAB.

Mąż Boży pijany jest bez win —
mąż Boży syty jest bez mięs.

Mąż Boży w wiecznem jest zdumieniu,
mąż Boży trwa bez snu.

Mąż Boży nie jest wiatrów pył,
mąż Boży nie jest mróz ni żar.

Mąż Boży jest w chałupie król,
mąż Boży jest w pustyni skarb.

Mąż Boży jest świątynią posłuszeństwa,
mąż Boży jest grodem dobrych czynów.

Mąż Boży w niewierze jest wierzący,
mąż Boży nie zna cnót ni grzechu.

Mąż Boży jest uczonym w Bogu,
mąż Boży uczonym nie jest ksiąg.

Mąż Boży jest morzem niezmierzonem,
mąż Boży dżdżem jest bez nawałnic.

Mąż Boży głęboko jest ukryty —
mój synu! znajdź go, idąc w mroku.

DŻIHAN JABIM WE GHAIRI MA CHIALEST.

Znalazłem świat, reszta jest niczem —
tu jest raj — gdzieindziej grzech.

Bądź upewniony: posłuszeństwo
poza tą ścieżką wiedzie do zguby.

Nic nie ogarnie głębin świata,
gdzie nawet wady są cnotami.

Wszechbyt jest Boga czystym odblaskiem —
lecz oko twoje miesza widzenia.

Ze szczytów głupstwa w dal mądrości
przechodzi miłość, znika człowiek.

Dusza zwolniona z pęt omamień —
w niepodobieństwa żyje zamku.

Tam odnajduje biegun świata —
i tak zakańcza spór od wieków.

HER KI RUCHSARI TU BINED BEGÜLISTAN NEREWED.

Kto ujrzy Twoje lico, nie tęskni za ogrodem róż;
kto z Ciebie mękę ma — po leki ziół nie idzie.

Kto w mroku twej komnaty przepędzi z Tobą noc —
oglądać tulipany i wasyliski ten nie idzie.

Gdy znalazł Chizer rubin kochanki ust,
do innych śródeł życia po wieczność już nie idzie.

Tonąc w miłości dżdżu, chcę, by mnie zabił grom —
lecz zmarły człowiek mój przed ołtarz już nie idzie.

Mężowi nieprzystojna trwożyć się błysku lanc —
kto trwożnym jest, niech w boju wir nie idzie.

Gdy nie ma nadziei odnaleźć Ciebie w raju —
niechaj miłośnik sam w Edenów mur nie idzie.

Z przed wieków miłość Boża stygmat wyżegła mi —
tak, że ma dusza już za Tobą w pomrok idzie.

Śpiewałem, Szems Tebrizi, pustyni Twojej hymn:
król magów jest szaleńcem, kiedy za gwiazdą swą nie idzie.

MEN AN RUS BUDEM KI ASUMAN NEBUD.

Jam istniał, gdy nieba nie było — i wśród wieczności
[pyłu istnienia nie było,
gdy oprócz Druha mego aureoli i Boga z nad głębin
[nikogo tam nie było.
Imiona są stworzone z mych warg w czasach, gdy nas
[i mnie nie było —
i już modliłem się, gdy w łonie Maryi jeszcze Mesyasza
[nie było.

Milując poznałem krzyż i chrześcian, lecz tego, com szukał,
[na krzyżu nie było —
w pustelni żyłem wśród klasztoru, gdy jeszcze zakonu i pie-
[kieł tam nie było.
Z wielbłądem szedłem do Kaaby — gdzie również proroka
[młodości nie było —
jadąc do Herw i Kandahar marzyłem o tem, czego na świe-
[cie nie było.
Wdzierałem się na górę Kaf, gdy jeszcze Anka widać
[nie było —
zapadłem siedem niebiosów w głąb', na siedmiu ziemiach nieba
[i gwiazd nie było.
Pytałem u bram losu o miłość mą — i wyrok brzmiał, że
[nigdzie jej nie było —
jasnowidzeniem szedłem w dal — lecz oprócz mroków niczego
[tam nie było.
W Gehennę serca zapadł wzrok — i tu z przed wieków
[Jego lśnienie było —
zdumiony go ujrzałem, zaiste! choć w Nim atomu jednego
[nie było —
i oprócz Szems Tebrizi maga — nikogo w równem natchnie-
[niu nie było.

ADŻEB AN DILBER GÜDŻA SIBA SZÜD.

Powiedz mi, gdzie Piękny jest? Ten wsród burzy górski cedr—
[Gdzie on jest?
Kiedy płomień świecy łka, On beze mnie w nocy sam —
[Gdzie on jest?
Straż pytałam miejską w bramach: — Czy z wielbłądem szedł
[w pustynię?— Gdzie on jest?
I w winnicy błagam najemników: — Pięknych Książę, czy nie
[wiedzą, — Gdzie on jest?

W lasy drzew prawiecznych wchodzę.—Mój miłosny jeleń
[szukał wody—Gdzie on jest?
o północy wstałam we śnie—i przechodzę wśród upiorów—
[Gdzie on jest?
Z moich oczu płynie rzeka—i zapada w morze ciemne —
[Gdzie on jest?
gwiazd się pytam i miesiąca—czy On widzi je beze mnie—
[Gdzie on jest?
Mędrców pytam i podróżnych—w tłumie ludzkim jego niema—
[Gdzie on jest?
o, powiedz mi, Szems Tebrizi! Ty, będąc słońcem, wiesz
[wszystko — Gdzie on jest?

ID AMED ID AMED WE AN BACHTI SAID AMED.

Święto idzie, święto idzie, — szczęście idzie tu!
trąby weź, hymny graj — księżyc idzie tu.

Święto idzie, miłośniku—słyszysz dźwięki sfer?
z najwyższego tronu nieba Zbawca idzie tu.

O pieśniarze, o tancerze szukający nowych gór —
przez otchłanie tej Gehenny zamek szczęścia idzie tu.

Wielu mędrców wszak z podziwu nagle ciemnych stało się,
gdyż nieznany widm korowód z napowietrza idzie tu.

Czarnoksięską mocą poi i w proroków zmienia nas —
różdżką świętą tego Władcy z mogił ziemnych idziem tu.

W korowodzie bohaterskim widm krążących, gwiezdnych dusz —
nieskończona Mleczna Droga — nad otchłańmi idzie tu.

Bądź radosny, tajemniczy. Tajemniczy — wolny bądź —
wsiane jedno ziarno szczęścia — całem zbożem idzie tu.

Wśród milczenia—jako lilie, wśrod umartwień jako głaz—
duszę swoją daj wieczności — zamek boży idzie tu.

GEH SAF BUDEM GEHI GHISZ AN NIS CHOSZ WE IN NIS CHOSZ.

Jam lśniący — mgławy, śnieżny—czarny jak demon:
Dobrem jest tamto i to.
Jutrznia—gryf nocny Simurg—zwierciadło Maga Salomona:
Dobrem jest tamto i to.
Pył—wicher—morze—wulkan—miłość—gród nienawiści:
Dobrem jest tamto i to.
Lampa—mogiła—skała—wosk topniejący:
Dobrem jest tamto i to.
Księżyc—mroki—poranek—gromnica ponad zmierzchem dusz:
Dobrem jest tamto i to.
Wciąż zmieniam barwy, wciąż miejsce—umieram, płynę
[i wschodzę:
Dobrem jest tamto i to.
Z grobu mój sztandar i trąba — w niebiosach rozpięty mój
[namiot:
Dobrem jest tamto i to.
Człowiek mój zmarłe jest zwierzę, zwierzęta mam z Diwów [1])
[— Aniołów:
Dobrem jest tamto i to.

---

[1]) Duchy złe.

Słuchają mię Hury i Peri[1]*—sam jestem wiecznie w pustyni:*
Dobrem jest tamto i to.
Z pokorą serca wyznaję — jam ten, co idzie wśród mroku:
Dobrem jest tamto i to.
Mówię to z słońcem nad głową: rozjaśnij się— w mrok
[zejdziesz znów!
Dobrem jest tamto i to.

MAHI HEFTÜM ASÜMANEM ËI PÜSSER BIDAR BASZ.

Jam księżyc raju siódmego—jam lampa najwyższego tronu—
Czuwaj Młodzianie!
Dusza ma błądzi w labiryntach, z mroków i jaśni ja mękę
[mam—
Czuwaj Młodzianie!
Rozjarzam wam mój żar rubinów—ja trwam, a otom już
[przeminął w wieki —
Czuwaj Młodzianie!
Jam katarakta wód duchowych — i odźwierciadlam ziemię
[niepowrotnie —
Czuwaj Młodzianie!
Wróg mię oblega czarnym obozem — ja lampy świecę z mi-
[łości baszt —
Czuwaj Młodzianie!
Miłość rozwiera bramy niebiosów—a jam zamkniętych wieżyc
[Muezzin —
Czuwaj Młodzianie!
Księżyca pustka mym ołtarzem — woń jego snów ogrodem
[moim —
Czuwaj Młodzianie!

[1]) Hury i Peri—piękności piekła i oblubienice raju.

Mówiłem ci jak upiór w błysku milczeń: nic jaśniejszego
[niemasz nad ten mrok mój —
Czuwaj Młodzianie!

DANI SIMÁA DŻI BUD SAUI BELI SZÜNIDEN.

UWAGA. Mistyczny taniec czyli korowód (simáa), w którym derwisze obracają się każdy dokoła siedzącego spokojnie szejcha, — uzmysławia taniec mistyczny gwiazd, podczas gdy towarzyszący flet wyobraża muzykę sfer.

Ten mistyczny taniec znany był już grekom, jak o tem świadczy napis na grobie pewnego, w samotrackie misterya wtajemniczonego młodziana. Szejch pośrodku wyobraża słońce lub wyższy jeszcze ośrodek systemu gwiezdnego. Muzyka nie jest oszołamiająca i dzika — raczej smutna i łagodna, która przez jęki fletu wyraża skargę stworzenia oddzielonego od Twórcy, kropli od morza, energii świetlanej od słońa.

Nucone przy tem wiersze tchną najczystszą miłością i nauką sofich, która świat ukazuje jako niebyt, zjawisko, a Boga jako jedyne istnienie, do którego pielgrzym dochodzi tylko przez najwyższe wyrzeczenie się i ofiarę.

Wiecie, czem są korowody? to w pradoli i w przedbycie
w zgromadzeniu cieniów wyrzec: tak! za dusz miliony.

Wiecie, czem są korowody? zniszczyć siebie, tworząc Boga,
i do raju sięgnąć, co nie minie, wśród niebytu.

Wiecie, czem są korowody? na drodze miłości
toczące się serce od bramy wiecznej do bramy.

Wiecie, czem są korowody? walką dusz olbrzymią,
gdzie myśl jak ptak krąży w ulewie krwi własnej.

Wiecie, czem są korowody? obłęd patryarchy,
który Józefa gzło niósł po drabinie z niebiosów.

Wiecie, czem są korowody? kwitnący kaduk Mojżesza,
którym zniszczył on magię Faraona bytu.

Wiecie, czem są korowody? bożą tajemnicą,
która bez dróg prowadzi po górach pustyni do Boga.

Wiecie, czem są korowody? jako Szems Tebrizi
widzieć raj oczyma duszy z najgłębszej otchłani.

BIA — BIA — KI TUJI DŻANI DŻANI SIMÁA.

O przyjdź, przyjdź! Ty jesteś duszą, duszą korowodu,
o przyjdź, Ty jesteś cedrem w wielkim lesie korowodu.

O przyjdź, gdyż nie był nikt jak Ty i nie będzie nigdy,
o przyjdź, gdyż równego Tobie nie ujrzy oko korowodu.

O przyjdź, słoneczne źródlo bije w Twoich mrokach,
tysiąc jutrzenek tańczy rozświt korowodu.

Tysiącem hymnów mówi Tobie harfa korowodu,
ja tylko słowo powiem milczeń korowodu.

Po górach labiryntu idziesz z nieznanego świata,
gdyż ponad śmierć i nad życie jest mrok korowodu.

Wzniesionym jest wysoko gmach siódmego nieba,
lecz ponad gwiazd krużganki jest wschód korowodu.

Słoneczny pył, gdy nasycony blaskiem jest promienia,
zaczyna drgać milczących głębin tańcem korowodu.

O przyjdź! tu jest miłości wulkan, przyjdź, o Szems Tebrizi!
zostanie ciemnym, kto w raj nie wstąpi świateł korowodu.

SERI BER AR KI MA BAREWIM BE SERI ISZK

Głowę wznieś — my chodzimy po szczytach miłości —
jedno mgnienie iść będziemy w błękitach miłości.

Śmierć mówiła do mnie o wiecznej miłości —
o winie bożem, które topi śmierć falą miłości.

Łańcuch bytu ja zerwałem wszechmocą miłości,
w święto mroków urodziła mię matka: Duch miłości.

O, zapytaj miłość, jakby ujść miłości —!
bój—do światów aż zgaszenia — jest życie miłości.

Pojawiają się widma na niwach miłości —
od ich cieni dyamentowych lśni zorza miłości.

Ciało swoje daj jak złoto męczarniom miłości —
złoto pył jest, gdy nie zużyć na zasiew miłości.

Powiem ci, dlaczego Morze ciemnościami bluzga?
gdyż je mocą swą potworną mży księżyc miłości.

I dlaczego z ziemi lepił Demiurg hurysy?
gdyż jest ambrą przepojona tchnień słońca miłości.

I dlaczego niebo wiecznie po otchłaniach krąży?
magnetyczny sen je uwiódł gwiaździstej miłości.

Powiem ci, dlaczego wodę ten wiatr miesza w wiry?
gdyż głębinę chce zamienić w stuliście miłości.

I dlaczego mrok wieczorny zwiesza nad ziemią zasłony?
by ofiary miłujące skrył namiot—bezbrzeże miłości.

Tajemnicę wam rozgłaszam sfer, planet, żywiołów,
gdyż straciłem już moc moją w turniejach miłości!

DŻI KARISTAN KI DARI ENDER IN DIL.

Jakąż pracownię nosisz w sercu?
jakie bożyszcze lśni w twem sercu?

Nadeszła wiosna, czas zasiewu —
któż wie, co ty urodzisz w sercu?

Zasłona kryje świat zewnętrzny,
lecz nam rozchyla magię w sercu.

Tulacz swe nogi wsparł na kałuży,
lecz jego wirch bez chmur jest w sercu.

Gdyby nie było marzeń nad ziemią,
nie lśniłby wówczas księżyc w sercu.

I gdyby nie był los mój władztwem Króla —
nie miałby Bóg zamczyska w sercu.

Jest to mityczna niezbrodzona puszcza,
gdzie łów szatanów odbywa się w sercu.

Tu morze myśli bije fal głębiami,
fosforescencye i Lewiatan w sercu.

Zamilknę, gdyż myśl nie znurkuje moja
tych krajobrazów w mojem własnem sercu.

ËI AASZIKAN ËI AASZIKAN ES AALEM BI DŻAN AMEDEM.

Miłośnicy, miłośnicy! przyszedłem ze świata dusz —
duszo, ugnij się — ja szukam kochanka mojego.

Rozsądni, rozsądni — gdzież ja zabłądziłem?
o, nie pytajcie mnie, gdyż nie przychodzę z pamięcią.

Wiedzący, wiedzący — gdzie blask tajemnicy?
wiedzącym jestem ja, gdyż zna mnie Ten, co wie.

Wędrowcy, wędrowcy — goniąc moją gwiazdę,
padam i wstaję znów, w ciężarze mych skrzydeł nadchodzę.

Oczyszczeni, oczyszczeni! ogień uczynił mię
jak eter lekkim—wlatam przez bramy serc.

Wino darzący, darzący! zabierzcie ode mnie to wino,
gdyż jako Żar Ptak jestem zakochany w Mroku.

Bliźni moi, bliźni! oh, odejdźcie precz!
jestem stygmat bólu w otchłani Wiecznego.

Magowie, magowie! patrzcie, że idę na Wschód —
i tam nad duszami rozbłyskam księżycem mej Wiedzy.

MEN BENDËI SULTANEM SULTANI DŻIHANBANEM.

Jam rab jest Padyszacha, jam świata Padyszach. —
odkąd ujrzałem blask, idę zdumiony i błądzę.

To mówię jak papuga, to śpiewam jak Żar Ptak,
jestem nadczłowiek i zwierzę najniższe wśród morza.

Jam duch, jam cisza, jam nawałnic grom —
Archanioł słońca, mitycznego króla syn.

Jam raj — i piekieł czarownice wraz —
jam lśnienie boskie—wszechludzkości grzech.

Jam góra i doliny—gwiazda, moczar zły —
jam budowniczy sfer, żywiołu ślepy gniew.

Ja tworzę ranny świt, zagaszam słońce —
jestem zewnętrze zjawisk, i zjawisk tajna jaźń.

Jam światło magów wiodące wielbłądy i króle —
ja z planet zmarłych tworzę życia hymn.

W milczeniu noszę wiar ognistą tarczę —
jam wschód zwątpienia, jam hydry tysiąc głów.

Ja prawdę znam—i wśród jej kolumn błądzę —
ja mrok, rosienie gwiazd, jam cmentarz—grobów pył.

Jam wiekuistnie sam i nigdy znajść się nie mogę —
jam dawno zmarły—tu, jam nagi—w masce.

Ja nie wiem—lecz mój Duch jest mędrcem — ze mnie —
jam tułacz i Mekki chram—jam Szatan— król Salomon.

Jam żył wraz z Noem, zamknąłem się w Korabiu —
i jam potopem dżdżył—tonąłem w burzy.

Jam miłość — kochanek mroku, upojony tajnią —
jam ziemia obiecana—mrący w pustyni lud.

Ja walczę—i poddaję się w moment tryumfu —
jam Faraona wróg—lecz i Mojżesza.

Ja Mag i żebrak, rana i strzała w niej —
rzucam się sam w otchłanie, i wyjść już z nich nie wydołam.

Jam w lesie, gdzie są święci—i Chrystus w lupanarze —
dźwigam okowy zła — ja Prometeusz!

Jam światłość mroków, skrzydła mam ćmy—spalone,
jam sieć—i pająk—i muszka—i męczarnie.

Jam Samum, Morze Martwe—blask i mrok w pustyni —
jam potępieniec, Czart — jasnowidzący w piekle.

Jam król haremów i żebrak w noc wichrową —
ja zmarła wieczność, co siebie już poznała — —

nie było mnie, nie będzie nigdy — —
jestem Twórca.

HU SENEM BER KUDZIAM HER SZEB SI DIL HU SENEM.

Do nieba wołam każdą noc — ze serca Hu!
wieczności Boga pełen krzyczę: Ja Hu! Men Hu!

Każdego ranka jutrznia—w nocy księżyc wschodzą tu —
do słońca, ziemi śpiącej i księżyca wzywam: Ja Hu! Ja Hu!

Na najdrobniejszej z ros zakwita promień Tajemnicy —
ja grucham jak turkawka w lesie — grru!

Gdy w sercu Bóg—jest więc Bóg ze mną—jam w Bogu;
Boga ujrzę, gdy wejdę do wiecznego snu.

Ponad nicości wodami tworzy mię wiecznie Bóg —
On się odzywa we mnie: Jam jest, Jestem: Ja Hu! Men Hu!

W mej duszy mam wyryte złotem imię Boże —
jam pieniądz Boga i dźwięczę wam: Ja Hu!

Za Szems Tebrizi kto idzie, choć ciemny jest jak księżyc,
rozświeci noc—otchłanie mroków blaskiem tym: Ja Hu! Ja Hu!

ËI AASZIKAN ËI AASZIKAN MEN AASZIKI DIRINE EM.

O miłośnicy, miłośnicy, miłuję długo.—
chóry zbawionych, błogosławieni—miłuję długo!

Nie było raju ni Adama—nie było wieków:
istniałem już — ja smok ogniowy — miłuję długo.

Tworzyłem się lat siedemkroć tysięcy —
żyłem w pralasach, idąc w dal: miłuję długo.

Gdy żar komety wśród ciemności mknął —
nie istniał nikt prócz moich snów — — miłuję długo.

W noc przeznaczenia, gdy duchy rzekły: tak!
ja byłem pierwszym świadkiem ich—miłuję długo.

Jam przeżył dzieje Zendy i Koranu, mnie
zmartwychwznosił Jezus Pan: miłuję długo.

Nim Mohammed otchłanie zmierzył koniem —
jam zeszedł już z siódmego raju gór: miłuję długo.

Wy, co na skrzydłach swych dźwigacie tron —
podnieście wyżej go, o, cherubimy! miłuję długo.

Więc, śmierci, wyznaj, że nadszedł już Majestat,
co ukrzyżuje mnie na tchnieniu gwiazd: miłuję długo.

Wodzem upiorów idę przez bór życia —
i wchodzę na ścieżynę prawd: miłuję długo.

Matki cztery mam—ojców dziewięć mam —
przeznaczenia księgi tworzę—duch: miłuję długo.

Powiedz Tebriziemu, że przyszedł Greczyn —
i mówi jak Mewlana wiekom w śmiech: miłuję długo.

O miłośnicy, miłośnicy! któż jest Szems Tebrizi?
on światłem, co w proroku błyska w dal: miłuję długo.

AMED BEHAR ËI DOSTAN MENSIL SUI BOSTAN KÜNIM.

Wiosna jest — idźcie, przyjaciele, do sadu —
wy obcy rajom — wniknijcie do wnętrza tych wrót.

Chcemy dziś latać, jak pszczoły wśród róż i akacyj —
będziemy budować nasz pałac z wielu komórek jak ul.

Tu huczy grzmot: nie grajcie już więcej w ukryciu —
niech pękną trąby z nadmiernych symfonij miłości.

Niebo chmurzące tu krąży — obłąkani — jam król wasz —
przynoszę duszę mą w ofierze dziś miłującym.

Łańcuchy rwać! niech każdy z kuźni olbrzymiej
wykuwa słońce nad światem w ogniach zadumy.

My żary serca rozdmijmy miechem w wulkany —
i wszystkich mędrców świata weźmy za czeladź do kuźni.

My rzucim ziemię w otchłanie, w nowe niebiosa
zwrócimy biegun świata: zenit nadirem.

W milczącej sumie mądrości stworzymy owo Jedyne,
któremu służyć będziemy, nad gwiazdy krążąc wśród Duszy.

ISZKA TÜRA KAZI BEREM KI ESZK SICHEM HEMDŻU SANEM.

Miłości, uklękam przed Tobą i płaczę w mroku jak bożki —
idę z pustyni bezbrzeżnej, gdzie tylko są raje męczarni.

Miłości, mityczny posągu! Ja jestem Tobą, Ty we Mnie —
wodospad, groza niewiadoma, Ty świt i strącenie do piekieł.

Ty jesteś wymowa fantazyi, a w życiu milczenie —
Ty — bezrozumna, uparta, ślepa i niewierząca!

Władczyni królów, która tronujesz na gwiazdach duchowych,
bez śladu na powierzchni, wulkan w głębinie.

Ty wszystko w niczem! magowie Ci służą wszechmocni,
gdyż ich uwalniasz od zgonu, jak rój meteorów.

Tyś kwiatem róży—wampirem, górą i chmur błyskawicą—
obrazie tysiąc-zmienny jedynego pędzla.

Kto się zbliży do Ciebie — duszę oddaje za Ciebie —
w męce powiadam: idź precz!—lecz zostań! mówię w pokorze.

ocą w mem uwielbieniu wzlatam na skrzydłach aniołów—
w południe chciałby mój gniew karać to słońce piekłami.

Wszechświat jest w Twojej niewoli—nie wspomnę mrocznych
[przywidzeń —
które nisko w Twej głębi płyną, rozpiąwszy sztandary.

Za każdem tchnieniem serca nowe przybliża się widmo —
a dusza przed niem drży, jak w starem zamczysku pachołę.

Zamilknę, aby świat zmarły nie powstał z mogił milczenia—
w raz inny powiem nie mniej—lecz więcej też nie wypowiem.

MA TADŻI SERIFRASI HEME CHALKI CHUDAIM.

Jesteśmy aureolą nad narodem Bożym —
myśmy książęta są światów i pustyń.

My boży świt, w którym sam płomień zagasa,
my źródło życia mroczne, wyjące w otchłani.

Jesteśmy — nas niema — i będąc, jesteśmy nie sobą!
my wędrownicy — skarb — droga i karczma rozstajna.

W świętym niebycie tworzymy, mrąc — musimy przetrwać —
królować nad nicością — w mrokach męcząc — kochać.

JA REBB DŻI JAR DAREM SZIRI SZIKAR DAREM.

O Panie, jakiego lwa, jakiegoż druha mam!
w mej piersi on poluje na tysiąc orłów.

Gdy uciekałem raz, ścigany falą miłości,
słyszałem krzyk: nie ujdziesz przed spełnieniem losu.

Księżyca pytałem w mroku o mój księżyc —
rzekł mi: ja przed nim zakryłem się chmurą tęsknoty.

Złocił się świt i wzeszło słońce krwawe, —
nagle ujrzałem w niem ranę z jego strzały.

Zaszumiał wicher i gnał jak pogoń piekła w pustynie
i leciał za nim jęk: zaklęte mam serce od czarów.

W morzu odbijał się wulkan — i tworzył razem to widmo
z lodowych brył, nieugaszalne ogniem —: myśl szatana!

Milcz, nieme serce z wyciętym na wieki językiem —
— Chcę to napisać! — mówi. — I wstyd mi za me serce.
— — — — — — — — — — — — —

I cóż ja ujrzę w żywiołach? żyjąc w zamku bożym
i po winnicach błądząc, z mroków piję wino.

DER DŻIHAN GISI AASZIKI MEST EI MUSULMANAN MENEM.

O ludzie wschodni! miłością upojony w tym wszechświecie [jestem,
poganin i wierzący—pijany życiem mnich—jam jest!

Jam nieba tron od pyłu aż do Plejad,
pomyśl: od wstrętu do roskoszy drabiną tą jam jest.

Mahomet na dwa strzały z łuku stał od tronu Boga —
jam boży tron—pra-słowo Jana, Wedy i psalm—jam jest!

Jam fetysz gwiazd, Golgoty krzyż—Baal i Dagon —
jam czarny aerolit—i, gdzie ofiary się zarzyna, chram — [jam jest.
Na siedemdziesiąt sekt i dwie dzieli się gałąź wiary —
lecz jeden pień—wierzącym co trwa u drzewa stóp —jam jest.

Zrozumiej ogień, powietrze, wodę, ziemię —
wodą, powietrzem, ziemią, ogniem—i nadto coś—jam jest.

Jam kłamstwo przybite na krzyżu wiar, jam ciężar ziemi,
jam zło przeklęte—idący wśród wyzwoleń duch—jam jest.

Z najgłębszych piekła zim — najwyższy żar płomienia,
raj niewyśnionych snów, niszczyciel gwiazd—jam jest.

Na ziemi tułam się, z chmur skrzydła wlokę w otchłani —
człowieczy ból, aniołów hymn, szatana myśl: jam jest.

Jam nieświadomy—i znany tylko mnie—o, skończ męczarnie!
gdziekolwiek idę —jestem duszą. — Przeminie świat: jam [jest.

EGERET MURAD BASZED KI NEMIRI WE BIMÄNI.

Gdy nie chcesz umrzeć — lecz trwać chcesz: zerwij ze świata
[ludem,
wyrzeknij się ciała, i duszy, i serca wyrzeknij się z trudem.

Wyrzeknij się wiary, niewiary, zemst i umiłowań —
nie patrz na gwiazdy, co płyną wśród żałób i pochowań.

Wyrzeknij się miłości i twego istnienia —
swą piersią nie oddychaj, lecz żyj z Mrocznego tchnienia.

Gdy siemię róży zamiera w cmentarnej pustce ziemi —
powstaje z tej nicości kwiatami krwi wonnemi.

I kłos ryżowy wschodzi, niosąc swe ziarna w dani
ptakom i ludziom i niebu i czarnej bagnistej otchłani.

Fakirze! jeżeli Jaźni jesteś miłośnikiem,
zapomnij o mnie — idź w dale, nie pomnąc o nikim!



TŁÓMACZYŁ I TWORZYŁ Tadeusz Miciński.

YSEULT O BIAŁYCH DŁONIACH.

OSOBY:

KSIĘŻNA YSEULT O BIAŁYCH DŁONIACH, wdowa po Tristramie z Lijones.
BISKUP z Tamis.
MESSIRE KAEDIN.
KURWENAL.



Scena przedstawia wielką salę dolną w zamku Arundel. Ściany są pokryte czarnemi chustami, drzwi zasłonięte draperyami. Około głównego wejścia stoi zbroja Tristrama z Lijones z czaszką ludzką w helmie i z przytwierdzonym do prawej rękawicy ciężkim toporem wojennym. Jedno z okien jest otwarte; przed niem siedzi na krześle z poręczami Biskup. Messire Kaedin chodzi niespokojnie po sali.

BISKUP. Nie znam księżny.

MESSIRE KAEDIN (zatrzymując się). Naprawdę? Przecieżeście ją chrzcili.

BISKUP (z gniewem). Odpowiedź godna was. Zamknijcie okno. Br... zimno w tym przeklętym zamku.

MESSIRE KAEDIN (zamykając okno). Zkąd ten nagły gniew?

BISKUP. A na świętego Jerzego! w tym zamku czuć śmierć. Te czarne zasłony, i ta zbroja w kącie, i ta

cisza... Rzekłbyś, że ktoś kona w sąsiedniej izbie. Nie cierpię śmierci.

MESSIRE KAEDIN (śmieje się).

BISKUP. Śmiejesz się? Dożyj lat moich, to się z śmierci śmiać przestaniesz. Tak, to lekko umrzeć w bitwie, w szczęku oręża, wtedy, gdy się myśli tylko o tem, żeby innym śmierć zadać. A widziałeś ty kiedy trupa pod całunem, nieruchomego trupa, na którego twarzy płachta się zagina, tworząc jakby nową białą twarz bez wyrazu? Ręczę, żeś jeszcze nigdy nie myślał o tem, iż może nadejść chwila, gdy do niego będziesz podobnym. (Widząc, że Messire Kaedin stanął przy oknie i z zajęciem patrzy na podwórze,—głośniej:) No — i czegoście mię tu przywlekli?

MESSIRE KAEDIN (odwracając się). Przyjechaliście dobrowolnie.

BISKUP. Dobrowolnie, dobrowolnie... Miałem z sobą jednego pachołka z kijem, a wy pięciu rycerzy w pełnej zbroi i to nazywa się dobrowolnie.

MESSIRE KAEDIN (wzrusza ramionami).

BISKUP (ze wzrastającym gniewem). Co mnie obchodzą wasze spory i kłótnie? Wy chcecie pomocy Rogera z Parmenii przy waszych gwałtach i grabieżach, a ja mam namawiać siostrę waszą do ślubów powtórnych. To nawet nie przystoi dostojnikowi kościoła. Stan wdowi jest błogosławiony i święty, pisze, pisze... (bardzo prędko) św. Paweł w liście do Koryntyan.

MESSIRE KAEDIN. Dałbym szyję w zakład, że tego św. Paweł nigdy nie napisał.

BISKUP. A może i nie, ale co to was obchodzi? (Ogląda się ostrożnie.) Czaszka w hełmie. I potrzebne to ludzkie kości wystawiać na pokaz innym... Czy ona mię zresztą usłucha? Ojca przecież słuchać nie chciała.

MESSIRE KAEDIN. A widzieliście też takiego, coby

starego księcia słuchał? Ja nie. Rychło patrzeć, jak go do jakiej komory zamknę, żeby nam wstydu nie robił.

BISKUP. Jakto?

MESSIRE KAEDIN. Pije dużo i dziewkami bawi się nad miarę. W jego wieku. I do spraw moich się wtrąca.

BISKUP. Złym synem jesteście, Messire, wiem o tem.

MESSIRE KAEDIN (z gniewem). Ja! (Przez zaciśnięte zęby:) Jest też komu o złych mówić synach!

BISKUP (prędko). Pomówię chętnie z księżną; postaram się nakłonić ją do waszej woli.

MESSIRE KAEDIN. Gdyby ona ze mną mówić chciała, nie potrzebowałbym waszej pomocy, ale nie chce. Zrestą byłem dziewosłębem Tristramowi.

BISKUP (Ironicznie). Nie mieliście szczęśliwej ręki.

MESSIRE KAEDIN. A pies, kłamca, łotr bezczelny! Zaklinał się na swoją cześć rycerską, że tamtej już nie kocha. Szkoda, że słów jego nie pamiętam, pięknie mówił. A później... Każdy giermek, każdy paź, każdy chłop wiedział, że zdradzał siostrę moją dla tej ścierki irlandzkiej, gotowej...

BISKUP. Dość tego! Stary jestem, a stanę z wami w szrankach dla obrony jej czci.

MESSIRE KAEDIN. Nie będę się bił z wami.

BISKUP. Czemuście Tristrama nie wyzwali na rękę? A na św. Jerzego! mimo twych pięciu rycerzy nie śmiałbyś szczekać tutaj swych oszczerstw, gdyby Tristram żył jeszcze.

KURWENAL (wchodzi i kłania się głęboko obecnym). Księżna będzie tu za chwilę.

BISKUP. Gdzie była?

KURWENAL. Na grobach. Modliła się.

BISKUP. Przebaczyła więc wszystko? Przyznam się, że mi trudno temu uwierzyć; zapomnieć, tak, to możliwe, ale pamiętać i przebaczyć, to nad siły ludzkie.

KURWENAL. Bo też księżna jest świętą. Nienawidziłem niegdyś żony pana mego, bo on jej nie kochał, a dziś całowałbym ślady stóp jej na piasku.

MESSIRE KAEDIN. A jabym cię żywcem ze skóry obdarł, za to, że panią swoją do coraz nowych łez i żalów pobudzasz.

KURWENAL. Nie ja winien jestem, jeśli księżna nie godzi się na nowe śluby.

MESSIRE KAEDIN. Nie ty! Więc kto, podstępny rajfurze?

KURWENAL. Mimo całej czci, jaką mam...

YSEULT (wchodząc). Co to kłótnia? w moim zamku, jak w karczmie przejezdnej? Ach, to ty, mój bracie! (Chce się cofnąć).

MESSIRE KAEDIN (podchodzi do niej szybko i bierze ją za rękę). Pół roku cię nie widziałem. (Przypatruje się jej. Z uśmiechem:) Blada jesteś. Wyglądasz, jakbyś za swemi zaciśniętemi ustami kryła jakąś wielką tajemnicę. (Nachyla się nad nią i chce ją pocałować).

YSEULT (usuwając się gwałtownie i starając się wyswobodzić rękę). Proszę cię, odejdź. (Do Kurwenala:) Kurwenalu, nie mówiłeś mi wcale, że Messire Kaedin przyjechał?

KURWENAL. Zabronił mi wspominać o sobie.

MESSIRE KAEDIN. Musiałem użyć podstępu, żeby cię zobaczyć. A tak stęskniłem się za tobą.

YSEULT. Czego chcesz ode mnie?

MESSIRE KAEDIN. Przyjechałem w towarzystwie biskupa z Tamis. On ci powie o wszystkiem.

YSEULT (kłaniając się biskupowi). Wybaczcie, że dotychczas was nie pozdrowiłam. To wina mego brata, nie widziałam was.

BISKUP. Bóg z tobą, córko moja.

YSEULT (spostrzegając, że Messire Kaedin i Kurwenal zostali w sali). Kurwenalu, zaprowadź Messire'a do sali biesiadnej, niech dziewki moje mu służą. (Messire Kaedin otwiera usta, żeby siostrze odpowiedzieć, namyśla się, macha ręką i wychodzi; za nim Kurwenal.)

YSEULT (oddychając głęboko). Nareszcie. (Do biskupa, uprzejmie:) Czego żądacie ode mnie, jestem gotowa do wszelkich usług.

BISKUP (prędko). Przyjechałem na żądanie ojca twego.

YSEULT (zimno). Tak.

BISKUP. Domyślasz się zapewne, czego chcę od ciebie.

YSEULT (milczy).

BISKUP. Ojciec twój życzy sobie, żebyś poślubiła Rogera z Parmenii.

YSEULT (j. w.). Tak.

BISKUP. Nie jestem za tem, żeby wdowy po raz drugi wychodziły za mąż, stan wdowi jest błogosławiony i święty, ale ojciec twój stary potrzebuje opieki i miłości. Gdybyś poślubiła Rogera, stary książe znalazłby w tobie i mężu twoim podporę swej starości, obronę przeciw wrogom. Znasz swego brata, więc wiesz chyba, że on przedewszystkiem...

YSEULT. Pozwólcie, że okno odemknę, duszno w tej sali.

BISKUP. Rób, jak chcesz. (Yseult otwiera okno). Samotna jesteś, dzieci nie masz, dobre to, pókiś młoda, ale czem żyć będziesz, gdy włos twój osiwieje. Samotna starość jest podwójną starością, Yseult. Kto będzie przy tobie, gdy przyjdzie twoja ostatnia godzina? Sługi twoje? Rozbiegną się, gdy sił ci nie stanie do rozkazywania, i nie będzie komu zamknąć ci oczów, gdy skonasz. Przejdziesz przez życie, jak cień, nie zostawiając po sobie nawet wspomnień. Nikt modlić się nie będzie za ciebie, nikt

nie da na mszę za twoją duszę. Kto wie, o ile lat dłużej będziesz przez to w czyscu?

YSEULT (z uśmiechem). A jeśli pójdę do piekła?

BISKUP (z gniewem). Gdybym nie wiedział, — poznałbym po tym bezbożnym żarcie, że jesteś siostrą Messire'a Kaedina.

YSEULT. Wybaczcie mi, mówiłam, co myślałam, a musicie mi i więcej wybaczyć: tak dawno nie widziałam ludzi, że zapomniałam, jak należy przyjąć i uczcić takiego gościa, jak wy. Muszę...

BISKUP (niecierpliwie). Zostaw to, chcę od ciebie tylko wyraźnej odpowiedzi: czy poślubisz Rogera?

YSEULT. Nie!

BISKUP. Namyśl się dobrze, za lat parę nikt cię za małżonkę pragnąć nie będzie.

YSEULT (półgłosem). Póki trzymam zamki i ziemie po matce mojej...

BISKUP. Myślałby kto, że płaczesz najwierniejszego i najlepszego małżonka! Każdy truwer śpiewa o miłości Tristrama z Lijones do królowej Kornwalskiej, a ty mu dochowujesz wiary po śmierci nawet. Tristram był najpiękniejszym i najdzielniejszym z rycerzy, ale ciebie skrzywdził.

YSEULT (ze spuszczoną głową, bardzo cicho). Skrzywdził mię!

BISKUP. A... czujesz to sama!

YSEULT. Skrzywdził mię. Czemu przyszedł i zmusił mię do miłości. Dawniej nie było istoty ludzkiej, nie było kwiatu, pieśni, chwili dnia, któraby nie miała cząstki mojej miłości; ale później kochałam tylko jego, i wszystko inne niczem mi było, i ja niczem byłam bez niego.

BISKUP. I nawet po jego śmierci nie możesz zapomnieć o tem?

YSEULT. Przecież on był życiem mojem i duszą moją! Wszak lata całe siedziałam tu, przy tem oknie,

patrząc na gościniec, prowadzący z północy. Serce moje i oczy moje leżały na kamieniach tej drogi, którą on miał przyjechać. A gdy ciemno było, zamykałam oczy, które nie mogłyby go zobaczyć, i drżałam przy każdym szczęku oręża straży, przy każdem wyciu psa, rżeniu koni. Rozumiesz, lata całe. A on przyjeżdżał czasami. Wtedy zamykał oczy, jak ja, całował usta moje i mówił „Yseult!“ I wtedy wiedziałam, że on dlatego zniszczył życie moje, by módz małżonkę swoją nazywać tem imieniem, imieniem tamtej. I to wszystko ma umrzeć bezpowrotnie, nie być: i ból mój straszny, i poniżenie, i miłość moja, i te długie lata, które strawiłam tutaj w zamku? Ja sama mam to wykreślić z życia mego, zapomnieć? Ależ ja zapomnieć nie mogę.

BISKUP. Życie jest długiem, Yseult, a młodość krótką. Spójrz na mnie, i ja byłem młodym niegdyś, kochałem i nienawidziłem, byłem sławnym i dzielnym, silnego ramienia i silnej myśli. A dziś? nic z tego nie pamiętam. Bo jeśli nawet wspomnienie przyniesie mi jaką chwilę minioną, to zdaje mi się, że to raczej wspomnienie z jakiejś księgi rycerskiej, którą czytałem niegdyś, niż z własnego życia mojego. O wszystkiem się zapomina.

YSEULT. Prawda, byłeś niegdyś Messirem Jerzym z Dolois. Czy miałeś wrogów, których nienawidziłeś, tak, wszystką krwią swego ciała, oddechem każdym, każdą myślą swoją, wrogów, którzy w snach stawali przed twojem łożem, i których życie kładło się kamieniem na piersi twoje? Miałeś?

BISKUP. Niema człowieka bez wrogów. Miałem.

YSEULT. Czy ich zabiłeś?

BISKUP (niespokojnie). Tak, być może.

YSEULT. I nie zaraz, i nie prędko. Pewnie długo układałeś plan zasadzki, wysyłałeś szpiegów, żeby wiedzieć, kiedy wyjeżdżają z zamków swoich, czekałeś

na nich ukryty w lesie. Albo może nagle z nieopisanem szczęściem spotkałeś ich w bitwie? Nie poznałeś ich po barwie i po zbrojach, tylko po biciu serca swego. Czy zabiłeś ich odrazu, czy też przedłużyłeś im chwilę konania?

BISKUP (z westchnieniem). Byłem wielkim grzesznikiem, ale nie tobie przystoi przypominać mi grzechy moje. Jabym tak chciał zapomnieć.

YSEULT (twardo). To są najpiękniejsze wspomnienia życia twego.

BISKUP (krzyczy). Yseult!

YSEULT. Widzisz, a ja się zemścić nie mogłam. Musiałam czekać cierpliwie, aż Bóg zlituje się nade mną i przyśle mi go konającego do mej komnaty. Zdaje mi się, że mogłabym stać lata całe i patrzeć w jego zrozpaczone oczy, jak wtedy, gdym mu rzekła, że czarne żagle wieją z okrętu Kurwenala. Ach, gdybym jeszcze raz jeden mogła usłyszeć jej jęki nad jego ciałem. (Uśmiechając się:) Nigdy podobnych jęków nie słyszałam. Myślałam, że skonam ze szczęścia, jak ona z boleści.

BISKUP. Straszna jesteś, Yseult. Nie dziwię się, że mąż twój odwrócił się od ciebie: serce twoje to gniazdo wężów.

YSEULT. To jego wina! Serce moje było podobne niegdyś do ogrodu pełnego wonnych kwiatów. Było smutne i słodkie, jak zachodzące słońce. Czyż nie skrzywdzili mię oni?

BISKUP. Należy przebaczać.

YSEULT. Nie przebaczę, i w godzinie śmierci mojej nie przebaczę, i potępioną będę po śmierci, bo przebaczyć nie mogę. Czyż nie skrzywdzili mię oni?

BISKUP. Tak, krzywda twoja wielka. Ale zostaw umarłych. Patrz, na grobach ich kwiaty kwitną, róże je

oplotły. Zapomnij o nich. I dla ciebie jeszcze róże kwitnąć mogą, jak tym umarłym.

YSEULT. Róże na ich grobie! Każdy truwer śpiewa o różach na grobie Tristrama z Lijones i Yseulty z Irlandyi, każdy truwer śpiewa o ich miłości. Ale przysięgam, że, gdyby oni wtedy nie umarli, nie śpiewanoby ani o Tristramie, ani o Królowej Kornwalskiej, tylko o zemście Yseulty o Białych Dłoniach, o mojej zemście!

BISKUP. Choćbyś ich własną dłonią zabiła, choćbyś zamordowała ich w tak strasznych mękach, jakich jeszcze dotychczas nikt nie śmiał użyć, dziś nie żyliby już i twoja zemsta mogłaby się tylko nasycać ich grobami. Przestań więc żałować niepopełnionych grzechów.

YSEULT. Nie żyliby, mówisz? O wy, serca barbarzyńców, zabić to się u was zemstą nazywa! (Śmieje się:) Zgładzić wroga? Nie, niech żyje i cierpi, i niech wie, że tylko śmierć może być końcem jego bólu. I niech się boi tej śmierci, jak tylko ludzie bardzo nieszczęśliwi bać się jej mogą. Ja się też dawniej bałam umrzeć.

BISKUP. Nie zostanę tu ani chwili dłużej, nie chcę nic mówić z tobą. Odejdź, albo zawołaj ludzi, słyszysz, rozkazuję ci.

YSEULT. Nie, teraz powiem już wszystko. (Szeptem:) A jeśli oni wtedy nie umarli, a jeśli ja kazałam złożyć do ziemi puste trumny? Jestem panią nieograniczoną w moim zamku, jeden Kurwenal mógłby mię zdradzić, a przecież to tak łatwo zamknąć usta ludzkie na wieki. A później...

BISKUP (również szeptem). A później?

YSEULT (j. w.) Widziałeś kiedy lochy pod tym zamkiem? Są tak głębokie, że nie słyszy się uderzenia kamienia, padającego na ich dno, i tak ciemne, że trzeba trzymać pochodnię przy twarzy więźnia, by ujrzeć jego oczy. Gdy schodzę do nich, taki ciężar kładzie się na

piersi moje, że zdaje mi się, iż żywcem wstępuję do grobu. Ale ja często schodzę do lochów.

BISKUP. Sama?

YSEULT (j. w.). Kat idzie ze mną i ustawia tam w dole narzędzia tortur. Przysięgam, że nikogo niema na torturach. To ja sama jęczę, i głos mój odbija się od ścian więzienia. Nie, tam niema ramienia, które napróżno pręży się pod ciężarem żelaza, chcąc zerwać więzy, przykuwające je do kamieni lochu; jeśli kajdany dźwięczą, to tylko dlatego, że upadły z rąk pachołka. Tam przecież nigdy niema nikogo oprócz nas dwojga: mnie i kata. Tylko czasami idzie ze mną jedna z dziewek moich z kochankiem, i słyszę wtedy ich urywany szept miłosny i westchnienia. Przysięgam ci, że nie wiem, kto wyje wtedy w ciemnościach nieludzkim głosem. Nie wiem... może...

BISKUP (głośniej). Nie mów szeptem.

YSEULT (nie podnosząc głosu). Tam w dole nawet szept słyszą. Czy wiesz, że lochy są pod tą salą. Często siaduję tutaj i każę przyjezdnym truwerom śpiewać pieśni, zawsze tylko o Tristramie i Yseulcie. I oni to słyszą, tam w dole. I wtedy zdaje mi się, że palce ich skutych rąk wpijają się w mur, i cały zamek drży od ich bezsilnego bólu nad przeszłością.

BISKUP (zrywając się). Dość tego! oni są tu w zamku.

YSEULT. Cóż znowu, przecież w kaplicy leżeli z odkrytemi twarzami. Gdyby żyli, czyż są tortury, które wymogłyby na mnie zdradzenie tej tajemnicy? Czyż nie znaleźliby oswobodzicieli? Jak sądzisz, kochałyby się jeszcze te dwa ohydne kościotrupy, gdyby ujrzały się teraz? Może byłoby to największą karą dla nich, ujrzeć się teraz? Zresztą gotowam zejść z tobą do lochów, przekonasz się, że tam niema nikogo.

BISKUP (po namyśle). Nie, nie chcę, niech Messire Kaedin idzie z tobą.

YSEULT. Byłaby to za wielka pokusa dla mnie, być może, iż zatrzymałabym go tam na dole.

BISKUP. Brata twego!

YSAULT. Czemu nie umiał bronić praw moich przyjaciel Tristramowy! Dlaczego nie pomścił mnie, gdy był czas po temu, dlaczego nie zabił go w jej ramionach? Zdaje mi się, że nicby mi już do szczęścia nie brakowało, gdyby on był w lochach razem z nimi.

BISKUP. Mówisz tak, jakby oni żyli jeszcze.

YSEULT. Krwią mego serca żyli po śmierci, upiory, ale teraz umarli. Gdy mówiłam do was, zaczęli blednąc i konać. Znikli i już nie wrócą, ale może być, że ja odejdę z nimi. Pozwólcie mi się oddalić, nie mogę dłużej...

BISKUP (niecierpliwie). Idź, idź.

YSEULT (odchodzi, chwiejąc się. Przechodząc koło zbroi Tristrama, opiera się na niej. Topór urywa się i spada na podłogę, która wydaje głęboki ton, jakby zakończony jękiem).

BISKUP (zrywa się, krzycząc). Oni są tu w zamku!

YSEULT (odwraca się i mówi zimno i spokojnie). Cóż znowu, przecież to Kurwenal przyjmował was na moście zwodzonym. Jeżeli on żyje, to pan jego nie może być w lochach mego zamku.

BISKUP. To prawda, nie myślałem o nim.

YSEULT (zamyślona). Co się tyczy Kurwenała... A wiecie, że mieliście racyę, mówiąc, iż starość zapomina. Mimo całej swej rozpaczy Kurwenal zapomniałby o Tristramie, zniósłby nawet czaszkę w tym hełmie. Ale ja jestem przy nim i codzień słowami rozkrwawiam ranę jego serca, codzień przypominam mu o panu jego i, sama płacząc, patrzę, jak łzy płyną po jego starczej twarzy, jak z oczu

jego wyziera wielka rozpacz beznadziejna — i niezmierna radość zalewa mi serce. (Wychodzi).

MESSIRE KAEDIN (który widocznie przy drugiem wejściu oczekiwał końca rozmowy, wbiega pośpiesznie.) No i cóż, mówiliście z siostrą moją?

BISKUP. Ja z nią? Sam szatan mówił ze mną dzisiejszego wieczora.



A. Hertzówna.



BOSKIEJ KOMEDYI DANTA PIERWSZA I DRUGA PIEŚŃ O PIEKLE. TŁÓMACZENIE Z WŁOSKIEGO PRZEZ CYPRYANA KAMILA NORWIDA.

O PIEKLE — PIERWSZA PIEŚŃ.

W południu życia, straciwszy już drogę,
Do jak ciemnego dostałem się boru,—
Dziś jeszcze wspomnieć bez strachu nie mogę,
Opisać nie śmiem — bo czarny, bez toru,
Przeczarny — śmierci jaśniejsze wspomnienia!
Lecz, ile zysku uniosłem z tej próby,
Żeby słusznego nie uszło baczenia,
Opowiem. — Mrok mnie otoczył był gruby,
Od kiedy drogę straciłem prawdziwą:
Więc jakby we śnie precz byłem niesiony,
Aż kędy ziemia podnosi się krzywo
W kształt góry, słońcem na barkach złocony.
I aż tam oczy podniosłem z otuchą
Ku opiekuńczej podróżnych światłości;
Po całodziennem martwieniu się skruchą,
Obawy próżen i serca ciężkości.
Jak ten, co, jeszcze z oddechem tłumionym

Zaledwo brzegu dopadlszy z głębiny,
Oczy ku falom obraca spienionym, —
Podobnież umysł mój onej godziny,
W samej ucieczce obrócon za siebie,
Zdawał się przeszłość podziwiać zdradliwą,
Co rada chłonie śmiertelnych i grzebie,
Na niepowrotne zamknięta ogniwo.
Niedługo wszakże, pokrzepion na sile,
Już mam się dalej, lecz z trudem niemałym
Dla spadzistości — zkąd, cały na tyle
Oparty, przed się wstępując, wisiałem.
Gdy oto w samem wędrówki zaczęciu
Pantera *ku mnie wybiegnie z uboczy,*
Nie uciekając, jak zwyczaj zwierzęciu,
Lecz owszem ślepie zawodząc mi w oczy.
Tak, że już wrócić — mniemałem — słuszniejsza,
I po kilkakroć cofnąłem spojrzenie —
Ale był piękny czas — ranek — co zmniejsza
Obawę — słońca wschodniego promienie,
I one gwiazdy, świadkowie odwieczni
Miłości, która wszystko to stworzyła.
A wszystko piękne!.. Zkąd jakoś bezpieczniej
I o tej bestyi, coby mi wróżyła,
Mniemałem — barwę dziwiąc jej krzyczącą.
Aliści z trwogi nieledwo ochłonę,
Gdy okrutnego lwa *paszczę wietrzącą*
Spostrzegłem — w moją zawrócił ją stronę,
Szaleństwem głodu długiego miotany,
A niemniej w szkielet zachudła wilczyca
Tuż za nim — tej ja widokiem zmieszany,
Skoro mi ślepie jej padły na lica,
Zadrżałem — dalszej niechając podróży.
Więc jako kupca, co lekko zyskiwał,
Gdy potem długo i próżno się nuży,

Aż wreszcie straci: tak mnie los zażywał.
Niepokojony wilczycy oczyma
Cofnąłem kroku — i noga za nogą
Zaszedłem wreszcie napowrót, gdzie niema
Słonecznych blasków, w dolinę niebłogą.
I napotkałem tam postać błądzącą,
Która mi zdała się trawić milczeniem
Od wieków, — tej ja zawezwę gorąco:
„Kto jesteś, nie wiem, śmiertelnym czy cieniem,
„Ale mnie widzisz w potrzebie straszliwej,
„Odpowiedz, poradź!“...— „Śmiertelnym już byłem,
„Nie jestem*— dom moj Mantua, a niwy*
„Lombardyi moją ojczyzną — nie żyłem
„Za Juliusza, acz w on czas zrodzony,
„Raczej, gdy August przyświecał nad Rzymem,
„A Jowisz niebem sprawował zmyślony.
„Wtedy ja byłem poetą i rymem
„O Anchizesa głosiłem nasieniu,
„Co z Ilionu uszło spalonego —
„Lecz ty — ach! czemuś powrócił cierpieniu —?
„Patrz — oto góra radości — dlaczego
„Nie podążyłeś, gdzie prawdy stolica?..“ —
A ja: „O! Mistrzu — poznaję — Wirgili!..“
I wraz rumieniec zapalił mi lica
I rzekłem — „od tej nie opuść mię chwili,
„Ile żeś wieszczów światłością i czołem,
„Ile że źródłem jesteś prze-obfitem,
„Gdzie i ja czasu znużenia czerpnąłem,
„Zkąd wszystko u mnie, co niepospolitem!
„Jeśli mi powrót zarzucasz niewczesny,
„Patrz, oto żywa przede mną zapora,
„Która mię w lament wprawiła bolesny;
„Od ciebie rady chcę, jak od Doktora.“
A on — „Do innej podróży się sposób,

„*Tej ci wilczyca zabroni, tak chciwa,*
„*Że lubo wiele zgładziła już osób*
„*(I wielu jeszcze przyszłość nieszczęśliwa),*
„*Niczem się nażreć nie może to zwierzę,*
„*Ale po strawie głodniejsze niż pierwej;*
„*Ona i inne zużywa lubieże,*
„*Z wieloma twory łącząc się bez przerwy.*
„*Ale nadbieży* chart, *ten ją owładnie —*
„*Bo żądze jego nie będą ziemskiemi,*
„*Raczej o cnotę*, *um, miłość, zagadnie.*
„*Pomiędzy* Feltro *a* Feltro — *po ziemi,*
„*Dla której czysta skonała królewna.*
„Eurjal, Turnus *i* Niso — *on gończy*
„*Pies za wilczycą podąży, aż gniewna*
„*W otchłaniach, które kolebką jej, skończy.*
„*Przeto idź za mną, jać będę przodkował,*
„*Ale przez państwo wynijdziesz ztąd wieczne,*
„*Gdzie będziesz słyszał i będziesz żałował*
„*Lamentujących za życie bezpieczne;*
„*Gdzie będziesz duchy oglądał, jak płaczą*
„*Przez wieki końca żebrzące, bez końca,*
„*I te, co kiedyś zbawienie zobaczą,*
„*Jaśniejsze — przeto, że tęsknią do* słońca.
„*Lecz jeśli ówdzie, zkąd słońce to świeci,*
„*Podążysz chucią,— nie moja już droga:*
„*Ja wrócę — czystszy niech z tobą uleci*
„*Przez nieodzowność wyroków do Boga,*
„*Gdzie radość wieczna — i kędy, żem krzywy,*
„*Do panowania i Tronów i Chwały*
„*Nie jestem furtą — — o! bardzo szczęśliwy,*
„*Komu się takie urzędy dostały!*“
Więc ja — „Poeto! przez Boga żywego,
„*Którego jeszcze nie znalеś — Poeto!*
„*Sprawuj mną, niechbym uniknął raz złego*

„I, kędy lament, zobaczył — mów — gdzie to? —
„Do furty Piotra Świętego mnie prowadź.“
. . . .
Więc tak Wirgiliusz pocznie mi przodkować:

O PIEKLE — DRUGA PIEŚŃ.

— Skonały światła dziennego promienie,
A szare mroki, co idą za niemi,
Okryły prace — i wszelkie stworzenie,
Krom mnie jednego, spoczęło na ziemi.
— Podróży znojem i znojem współczucia
Na ciągłą walkę zmieniłem oddechy:
Zwłaszcza, że umysł, z dziennego okucia
Wyzuty, wierniej malował mi grzechy.
O Muzy! — i ty, potęgo tworzenia!
Swoich mi natchnień nie odmów na dobie,
I ty, co lotne utrwalasz widzenia,
Pamięci! próbę nastręczam i tobie.

Więc rozpocząłem tak:

„Wieszczu — niżeli
„W przeszłości otchłań stąpimy głęboką,
„Zważ, czyli wytrwam? — Bo są, co widzieli,
„Jako Eneas — acz równie miał oko
„Śmiertelne. — Temu człek zdrowej uwagi
„Ani się będzie dziwował, gdy wspomni,
„Jak pełną miarę i jakiej to wagi
„Do jego losów wiązali potomni.
„Zkąd i Bóg, złego odwieczny pogromca,
„Pobłogosławił wędrówkom Enea,

„Że — jako Ojciec, nie obcy łakomca,
„Na siedmiu wzgórzach nim zatknął trofea,
„Już pierwej — o czem śpiewałeś uczenie —
„Te rzeczy palec odsłonił mu Boży;
„I że Anchiza stárego nasienie
„Rzymowi kamień węgielny założy. —
„Co większa, wniósłbym o tymże pielgrzymie,
„Że może celom służył oddalonym
„I tym, co później usiedli na Rzymie
„W tyarze Piotra i w płaszczu złoconym.
„Bo i z dwunastu wybrane naczynie
„Pielgrzymowało z Anioły Bożemi
„Po słodkość prawdy— — lecz mojej przyczynie
„Czyliż ktokolwiek zaufał na ziemi? —
„Jam nie Eneas, nie Paweł — i u mnie,
„I u znających mnie tyla niewarty.
„Więc, jeśli przeczę, to zechciej rozumnie
„Osądzić — prawy-m, czy tylko uparty?“
To mówiąc, byłem jak człowiek niestały,
Który co chwila odwleka zaczęcie,
I u stóp ciemnej wstrzymałem się skały,
Ile niewczesnem — bacząc — przedsięwzięcie.
Alić się do mnie cień ozwie wspaniały:
„Zwątpienia twoje znam (ileż to razy
„Szlachetną one porywczość cofały,
„Jak zwierza — cienia fałszywe obrazy!)
„Lecz, abyś trwogę pokonał niesławną,
„Wiedz, kto mnie natchnął współczuciem dla ciebie,
„Niżeliś o nie zawezwał niedawno.
„Jam z owych, którzy ni w piekle ni w niebie,
„Ale w limbowem przestają czekaniu;
„Tam, skoro dumam, — głos cichy lecz miły,
„Przeanielskiemu podobny śpiewaniu,
„I oczy słońca jaśniejsze — sprawiły,

„Żc usłuchałem rad świętej dziewicy.
— „Mantuańczyku — mówiła — o którym
„Niedość, że w twojej i obcej stolicy,
„Ale i w świecie powieści są wtórym,
„Patrz — oto człowiek, którego na ziemi
„Kochałam, — smutny, gdy w miejscu bezludnem
„Przeszkody znalazł, cofnięty jest niemi.
„Czyli już zbłądził? nie sądzę — lecz w trudnem
„Zdarzeniu, własnej nieufna przyczynie,
„Zaklinam ciebie, ty słowy wieszczemi
„Wczas mi go wesprzyj, i żałość niech minie.
„Jam Beatricze, a mieszkam z takiemi,
„Że tylko miłość wywołać mnie może,
„I wyszłam ztamtąd — gdzie obym już była!..
„Gdzie przed oblicze stanąwszy znów Boże,
„Będę się z twojej usługi chwaliła. —
„Tak kończy — ja zaś rozpocznę: — O! święta,
„Za której sprawą człek wyższe ma czoło
„Nad stworzeń tłuszczę, co z nimże zamknięta
„W księżyca obrót i niebios tych koło, —
„Co mi polecasz, chociażbym w tej chwili
„Wykonał, — jeszcze winilbym się mocno
„O opieszałość — lecz oświeć mię — czyli,
„Z jasności w otchłań zstępując tu nocną,
„Skoro cię żądza powrotu zapala,
„Ty się jej odjąć nie lękasz — i czemu? —
— „Posłuchaj — lękać się tylko zniewala
„To, co być może szkodliwem bliźniemu,
„Lecz nic innego. — Mnie dano jest z góry,
„Że ani ogień piekielny, ni wasza
„Niedoskonałość mej skala natury.
„Błogosławiona tam *jest, co uprasza*
„Ze skutkiem. — Ona, gdy w Łasce pożąda,
„Nieodwołalne zmieniwszy ustawy,

„Do Lucyi rzekła: — „Wierny twój wygląda,
„Żali go wesprzesz w czas trudnej przeprawy?
„A ja go twojej polecam przyczynie.“

„*Więc Lucya, że jest okrutnym przeciwną,*
„*Opuści miejsce i ku mnie popłynie,*
„*Kędy z Rachelą siaduję przedziwną,*
„*I w te się ozwie słowa: — „Beatricze —*
„*Ty, coś jest czujną w chwaleniu przed Panem,*
„*Miałażbyś sidła dopuścić zwodnicze*
„*Na męża, który — niezwykłem się mianem*
„*Dla ciebie jednej okrywszy — zasłynął?..*

„*Który cię tyle ukochał — a oto*
„*Czy widzisz? — oto, ledwo że nie zginął.*
„*Czy słyszysz? — jęczy, dociśnion zgryzotą.*

„*Wokoło rzeka grozi mu śmiertelna,*
„*Oceanowi nierada hołdować*
„*Ni ludzkiej dłoni — lecz w prądzie tak dzielna,*
„*Że jeszcze po niej nikt nie śmiał żeglować.*“ —

„*To słysząc, z świętej powstałam ławicy,*
„*A ufna w Muzie, przez której natchnienie*
„*Twoi się nawet wznieśli zwolennicy,*
„*Zstąpiłam.*“ — *Na tem skończywszy mówienie,*
„*Poczęła okiem naglić mię zroszonem.*

„*I uczyniłem co rychlej, jak chciała —*
„*Przed bestyą własnem zakryłem cię łonem.*
„*Lecz teraz — kiedy dostępną ci skała,*
„*Cóż poczniesz? — czemu, z błędnemi oczyma,*
„*Nie postępujesz — jak człowiek trwożliwy?*
„*Gdzież serca ufność? — i jeszcze coć trzyma? —*

„*Wszakże na dworze niebieskim trzy panny*
„*Błogosławione — piastują twe losy,*
„*A ja ci pochód wróżę nieustanny.*“ —
— *Jak kwiaty nocą zamknięte dla rosy,*
Kiedy je słońce z pomroku wywola,

Na ukrzepionej powstawszy łodydze,
Już całem okiem patrzają dokoła. —
Tak i ja — trwogi gdy wczas się zawstydzę —
W te słowa rzekłem: „O! wielce łaskawą
„Ta opiekuńcza istota na Niebie,
„I ty, że moją przejąłeś się sprawą.
„Wiedz, że odtychmiast ślubuję dla ciebie
„Wszelaką serca i myśli powolność,
„Bo tyś mi drogę uprościł zawiłą,
„Strwożony umysł wybiwszy na wolność.
„Więc idź — niech jedną i wolą i siłą
„Zdążamy odtąd. Więc sprawuj, jak wodze
„I mistrze czynią“ — — tu słów już nie było,
Ale po dzikiej ruszyliśmy drodze.



Anamorfozy.

(Z cyklu: Viraginitas.)

I.

Zwycięzcy bezładnie wkraczają w bramy ojczystego miasta. Szeregi rozśpiewane, brudne, wrzeszczące, pomieszane z kobietami, które wyszły naprzeciw, daleko na drogę, porwane uniesieniem, niosąc gałęzie rozkwitłej topoli, oliwek i wawrzynów, zmieszane i równe we wspólnym szale radości.

Zbroje Greków cynowe, miedziane i skórzane są pogięte, pełne dziur i załamań, tuniki podarte, nierzadko krwawe szmaty na czołach i piersiach.

Ale wściekłe upojenie świeżej walki i zwycięztwa świeci jeszcze w ich oczach, ponurych od mordu, na ich wargach, rozwartych od pragnienia i krzyku.

Jakaś kobieta z ludu, w krótkiej do kolan odzieży ciemnej barwy, z dzieckiem na ręku, ssącem chciwie jej pierś odkrytą, z dumą objęła wolnem ramieniem szyję brodatego męża, w nagolennikach mosiężnych, o nagim torsie i brzuchu, obciągniętych skórą spaloną słońcem na

bronz, w krótkiej, marszczonej tkaninie do połowy ud i w jednym sandale, — gdy druga, bosa, owiązana stopa znaczy krwawe ślady w drożnym pyle.

Inna, silna dziewczyna, o wysokiej piersi i ustach jak rąbek purpury tyryjskiej, w zapale rozdaje wojownikom pocałunki swoich warg wilgotnych.

Na czele jedzie młody wódz.

Sam jeden nieruchomy i obojętny, pośród okrzyków ubóstwiającego go ludu i przyćmionych, długich spojrzeń kobiet, którym na jego widok białe uda wstrząsa dreszcz boski—

Wojsko niesfornym tłumem przeciąga teraz koło Akropolis, zkąd spogląda na nich nadnaturalny, dwakroć olimpijski posąg Pallady, mija świątynie o tympanach jaśniejących płaskorzeźbami i frontony pałaców powlekane w zagłębieniach lazurem i złotem.

Ochrypli i okryci pyłem, zasiedli w końcu koło długich stołów, zastawionych do uczty, jaką miasto podejmuje swych obrońców.

Nad ranem dopiero rozejdą się żołnierze do domów i ognisk, — wróci młody mąż do opustoszałej łożnicy, ojciec rodziny w grono dzieci nagich i sprężystych, jak młode Fauny, rolnik do pługa i siewu, rzemieślnicy do swych warsztatów, artyści do pracowni.

Złotnik pójdzie wykuwać metalowe przepaski w kształcie dyadematów, kryte płaskorzeźbą, a zwane „stefane,“ powszechną ozdobę głowy bogiń i kobiet wykwintnych, — dla mężczyzn obrączki złote lub cykady; — cyzelować srebrne, owalne, matowe zwierciadła, z posążkiem Hebe, zamiast rękojeści; — drążyć w agacie i alabastrze kosztowne flakony na pachnidła lub trucizny; — wycinać cudne gemmy i kamee na chalcedonie, onyksie, karniolu, heliotropie, hyacyncie i chryzolicie, lub czynić ze złota miniaturowe lusterka, szkatułeczki, amorety i motyle, dawane do grobu młodym umarłym kobietom.

Snycerz w tym samym celu podejmie modelowanie, za pomocą drewnianej łopatki, delikatnej gliny, wziętej z łoża rzeki — nada jej kształt drobnych, zadziwiających figurek, które później powleczone zostaną złotem i jasnemi barwami, — lub tworzyć pocznie harmonijne i czyste kontury to waz i amfor, o wysmukłych uszach, to lamp i kaganków z blado różowej terrakoty.

Malarz lub woskownik, w którego ręce przejdą te przeczyste formy, poprowadzi korynckie szlaki na tle ciemno-żółtem, lub rzuci purpurowe malowidła na tło z hebanu, albo natrze barwnemi liniami na białej powierzchni rysunki bogów i śmiertelników, albo nałoży je woskiem, rozpuszczonym w najdelikatniejszej, rozgrzanej oliwie.

Tymczasem jednak wszyscy ci twórcy nieświadomi siebie pozrzucali z uznojonych czół cisnące je kaski, porozluźniali rzemienie zbroic, odrzucili miecze — i obu rękoma unoszą do ust popękanych czasze greckiego wina, napełniane obficie, ze skórzanych worów pod ścianami, przez kobiety, niosące z rozkoszą swoim bohaterom sok winnej jagody, białość swych piersi i odpoczynek w uścisku giętkich ramion.

Tylko ich młodego wodza nie ma z nimi.

Ledwie zdał starszyźnie krótką sprawę z przebiegu bitwy, zawrócił konia od progów Akropolis, wprost do słynnych łaźni miejskich, — zkąd, wyszedłszy po dwóch godzinach, męzki, gibki, namaszczony oliwą wonną, skoczył na grzbiet konia i ruszył wyciągniętym kłusem.

Jedzie nagi, jak przykuty na pysznym ogierze, maści lśniąco-spiżowej w czarne pręgi, o rozdętych nozdrzach i czarnych jak onyks kopytach. Ma narzuconą na ramiona białą chlamydę, którą wiatr unosi, u boku krótki miecz, oprawny w srebro, brylanty i skórę krokodyla, na głowie podłużny, złoty hełm syrakuzański, z przodu wybiegający w uskrzydlone ciało Chimery — —

II.

Niewielki, odkryty portyk, o dwudziestu czterech kolumnach z wytwornemi kapitelami z marmuru fiołkowego, — wybiega w ogród, cienisty, wonny, spokojny.

Poprzez smukłe pnie kolumn, rozstrzelone pod architrawami w koryckie liście akantu, — lśni z jednej strony ogromny promienisty brylant słońca, z drugiej złota moneta księżyca. Strop nieba jest koloru heliotropu i mieni się nakształt opalu.

W delikatnych blaskach, złocących rąbki tkanin, kilka młodych kobiet zajmuje marmurowe siedzenia, w pozach pełnych spokoju.

Słynne to kobiety, przedstawicielki heteryzmu ateńskiego, zgromadzone w domu Aspazyi, na zwykłem posiedzeniu „Akademii Miłości.“

Są tu:

Rhodis, spartanka, „z obnażonemi udami.“ Ciało jej smukłe, sprężyste, o skórze matowej na łonie, na

ramionach i lędźwiach lśniącej i naoliwionej, opięte ciasno na silnych muskułach, bardziej młodziencze niż dziewicze, ciało Androgyne. I ten sam profil, czysty i bezpłciowy, co może należeć zarówno do Narcyza, jak i do Ifigenii. Ciężkie kędziory włosów leżą jej nad czołem, o tonie kości słoniowej przez czas wyzłoconej, jak pęki ciemnoniebieskich, wilgotnych hyacyntów — —

Safo, „jawna,“ — slowik lesbijski, w wieńcu złotych narcyzów, w śnieżnem peplos, co jednym prostym fałdem spływa z ramienia, oparta o kolumnę, z lirą dziewięciostrunną w ręku i wzrokiem, krwawą tęsknotą, błądzącym po nad ogrodami — —

Prześliczna Lais, liliowo-ramienna, w której żyłach płynie krew błękitna i wybija się subtelną siatką po całem ciele, — o łonie świetlanem i niebieskich cieniach — —

Młoda Kleo, o czystej, stromej piersi Najady, o oczach jak księżycowa, jasno-zielona aquamarina, mieniących się, kąpiących i przezroczystych, jakby nieustannie opłukiwanych słoną falą, — i o liniach wiotkich, jak kwitnąca trzcina —

Elichryzya — której ciało iskrzy się jak posąg ze srebra pod przezroczą, fiołkową tkanką — i której oczy zdają się pachnąć jak złote laki — —

U stóp tych kobiet, obutych w sandały wiązane wysoko, — pod kolumnami portyku, — na ścieżkach ogrodu, — grupują się i przechadzają mężczyźni starsi i młodsi, wiodąc rozmowy ożywione, w kwestyach sztuki, myśli, a zwłaszcza rozkoszy, oświetlanych z różnych punktów przez te kobiety, które są jej artystkami, — przez tych myślicieli, prawodawców, poetów, wojowników, lekarzy, filozofów i kochanków.

A w tych ludziach, w tych fałdach lekkich tkanin, w tych prosto-linijnych marmurach — jest jakiś wielki spokój, posągowej bladości.

Wszedł młody wódz.

Na powitanie podnosi się kobieta, jak pomysł rzeźbiarza, która zdaje się być panią tego zebrania — i tych mózgów...

Wódz pochyla przed nią nisko głowę męzką, przepyszną:

— Bądź pozdrowiona, Aspazyo —

Odpowiada głosem o cudownej głębi:

— Witaj nam, Alkibiadesie — —

Nowy gość został otoczony odrazu. Wieść zwycięzka wyprzedziła go tutaj dźwiękiem złotej surmy i leżała na dnie tych wszystkich dusz płomieniejących, — ale żadne słowo banalnej chwalby nie zawtórowało okrzykom ulicy —

— Szkoda, że przyszedłeś za późno, aby wysłuchać deklamacyi nowego wiersza Simonidesa z Kos, w którym głosił cztery warunki zupełnego szczęścia, stawiając piękność ciała w drugim rzędzie — mówił nie bez chełpliwości urodziwy Chalkos —

— I ma racyę, — potwierdził zbliżający się właśnie malarz, Apelles z Jonii, — mamy tego dowód świeży na boskiej Fryne. Udowodniono jej udział w spisku przeciwko państwu i stawiono przed sąd. Uratowała ją piękność, na zasadzie, że w tak nadmiernej urodzie jest tyleż pierwiastku boskiego, co w cnocie.

— Mówiąc o Fryne, — wtrącił Alkibiades, — nie wiem, czy znanem wam jest najświeższe zdarzenie, jakie przed chwilą opowiedział mi Alkajos, w łaźni miejskiej. — Praksyteles darował jej niedawno jedno z dzieł swoich, zostawiając prawo wyboru. Z tym jednak Fryne nie śpieszyła się zbytnio. W kilka dni potem, gdy kobieta i rzeźbiarz trawili wspólnie w jej domu czas na pieszczotach, wbiegł przerażony niewolnik z wieścią, że pracownia w płomieniach. „Ratujcie Amora i Satyra!“ — porwał się artysta. „Uspokój się, — rzekła Fryne, — to tylko ja

chciałam wiedzieć, które z twych dzieł jest najlepsze. Biorę Satyra."

Uśmiechnęli się słuchacze. Poetka Safo zaś podjęła ze strun lutni pieśń o Erosie, najmłodszym z bogów, najsubtelniejszym, gdyż stąpa i zatrzymuje się na najczulszych rzeczach: na sercach, — jest lotnym jak woń, bo wnika w dusze i opuszcza je, zanim go się odgadnie, — ma cerę kwiatu, gdyż dzień przesypia na dnie kwiatu, — i wylata o zmierzchu, jak wieczorny motyl lub ćma złota.

Alkibiades zbliżył się do Safo:

— A jednak mylisz się, Jasna, — przemówił, — gdyż Eros jest żądzą, a więc brakiem czegoś. Jest on synem Głodu, — chudy, brudny, bosy, — sypia na gołem polu, między kamieniami, — ale, chciwy piękna i mocy, zdobywa je śmiałością, podstępem, czynem, geniuszem, wytrwaniem. —

Skłonił się jej i oddalał — gdy Trazymachos, sofista, zaprzeczający różnicy dobrego i złego, i Prodikos, głoszący wstręt do życia, podeszli ku niemu, aby z podłużnego świstka odczytać mu półgłosem satyrę niewiadomego autora, krążącą po mieście, a wymierzoną przeciw jednej z obecnych kobiet:

— Prześliczna Lais, kiedy przepędza dnie w próżnowaniu, z czarą w ręku, porównaną być może do orła. Młoda i śmiała, porywa jagnięta i zające, aby je spożyć w swem gnieździe spokojnie, — zestarzawszy się, stanie się bojaźliwą i powolną, — i na dachu jakiej rudery oczekiwać będzie pojawienia się lichego zwierzątka... —

Poczem Alkibiades zbliżył się do Aspazyi, rozmawiającej z Apellesem, — i poczęli umawiać się o jutrzejsze odwiedziny w pracowni artysty, celem obejrzenia najnowszego obrazu: „Atalanta i Meleager."

III.

Alkibiades, bożek ludu, władca słowa zwięzłego i płomiennego, jak pociski oblężnicze, uszedł rozentuzyamowanym tłumom po jednem z przemówień publicznych, w których grał wedle swej fantazyi na strunach tej zbiorowej duszy, zamkniętej w ciałach rubasznych i spoconych.

Tedy—otoczywszy ręką ramiona młodego człowieka o głowie Parysa — przechadza się z nim po najdalszych przedmieściach Aten.

— Jutro udamy się nad morze, a ztamtąd pojedziemy na Kipr, jeżeli chcesz tego koniecznie. Uczynię to dla ciebie tem chętniej, że właśnie zbliżają się Adonye. Jako Kipryda wynurzy się tym razem Fryne, zwana Chryzeis, dla włosów przecudnego tonu,— i którą zresztą Praksyteles wziął faktycznie za model do posągu bogini. Trzeba, żebyś ją zobaczył, ty, pół - italczyku, — powrócony ojczy-

źnie dopiero dzięki jakiejś etruskiej histryonce. Nie lubię Rzymian, — nie podniosą oni nigdy ani wojny ani rozkoszy do godności filozofii. Patrz, Lykosie, — przerwał, zatrzymując się raptem.

— Gdzie?

— Tu, po nad ten mur... Nie darmo liczymy się przecież do najwyższych między Ateńczykami... Bez aluzyi — dodał ze szczególnym uśmiechem.

Jest wczesne popołudnie. W rozsłonecznionych ogrodach młodość i wesele tryska, jak perlista fontanna; na trawnikach pod drzewami kładą się chłodne fiołkowe cienie. Rozbujana wysoko huśtawka unosi dwie młode dziewczyny, podrażnione rozkosznie prądem szybko przecinanego powietrza.

W perspektywie pełnej blasku — rój swawolnic złotobrewych i złotorunnych nurza się i pluska w chłodnych nurtach potoku, przepływającego ogrody, — pełnego teraz różowych świateł ciał kobiecych, w których zgięciach falujących i zmiennych usymbolizował się wdzięk, mienienie, wieczny śmiech źródeł — —

Ślepy starzec lutnista, prowadzony przez pacholę, przystanął nad brzegiem, opiewając dzieweczki ukąpane w potoku, — równa je różom, rzuconym w fale rzeki Eurotasu —

Alkibiades spojrzał z ukosa na młodzienca, z zajęciem przechylonego przez mur, na który wyskoczył.

— Przyjacielu, — rzekł, — jeżeli istotnie postanowiłeś w swej wiejskiej siedzibie spróbować życia jako Faunowie leśni, — wybierz którą z tych pliszek. Jak uważam, nie zdają się budzić w tobie zbytniego wstrętu, — a choć to orzechy jeszcze zielone, ręczę ci, że potrafią być komedyantkami wcale niegorszemi, niż aktorka z zawodu—

Lykos namarszczył się zaraz — ale Alkibiades roz-

śmiał się młodzieńczo, oparł obu łokciami o mur i spojrzał mu w oczy:

— Dajno pokój! Wiesz, że cię kocham...

— Gdy ją ujrzysz, Charitę...

— Rad ci będę przyznać, że ją ziemia w rozkoszy zrodziła, — ale mogę cię zapewnić, że sama rodzić będzie, jak zwykła kobieta. A jeśli ty mnie zjawisz Charitę, — to ja ci ukażę samą Panią Kipryjską —

Lykos nie miał czasu odpowiedzieć.

Kilka starszych dziewcząteк, smukłych jak Tanagryjki, zbliżało się w tę stronę. Idą jedna za drugą, w stronę bielejącego pod murem posążku Erosa, — podobne Erseforom, nosicielkom rosy —

Biedny, mały, oślepiony dzieciak Afrodis — stoi tak opuszczony na kręconej, jońskiej kolumence!

Już skręcają na ścieżkę pod murem—przechodzą— —

Tamta z podwójną piszczałką grecką, — ta z kwiatem amaryllisu...

Profile tych główek helleńskich są zbyt poważne, aby nie miały wiedzieć, że są obserwowane —

Nagle jedna z najładniejszych podniosła wprost śmiejące się spojrzenie ku twarzy Lykosa — i pomknęla naprzód z lekkim krzykiem — —

Towarzyszki zwróciły się do niej z udanym gniewem:

— Myja!.. mucho utrapiona...

A potem spojrzawszy w górę — pierzchły także...

Ale nie przeszkodziło to mężczyznom usłyszeć półgłośnego szeptu:

— Jaki ładny! Czy on zowie się: „Er“ — wiosna?

— Nie — śliczna! zwę się Lykos. — Jak wilk nocą wyruszam na łup...

IV.

Z głębi morza — morza greckiego, które według Homera mieni się barwami wina i fiołków — — wyszła ona: Anadyomene—wynurzająca się...

Przyniosła ją do brzegu fala spieniona jak grzbiet delfina — i zstąpiła na ziemię.

Stojąc na ciepłym piasku nadbrzeżnym, pozwala osuszać swe różane, przezroczyste ciało—w jego najtajniejszych zgięciach — oszalałym ustom słońca i tchnieniom wielotysięcznego tłumu. —

— Fryne! Fryne! — szedł krzyk schrypły, jak pomruk tygrysa w parne noce —

Młody pasterz w tunice lnianej, w kapeluszu nakształt grzybka, opasany skórą baranią, przysłonił oczy jak olśniony; — nędzny rybak padł na kolana, szepcząc coś bezdźwięcznie; — ogorzały żeglarz witał gromkim okrzykiem to drugie słońce, wstające z łona wód; — dostojny pa-

trycyusz rzymski, niesiony w lektyce ponad głowy pospólstwa, utkwił iskrzące oczy w jej piersi, oddychającej światłem, — którą równocześnie starzec plugawy, w oznakach senatorskich, ssie spojrzeniem białych, rybich oczu —

Ona tymczasem strząsa wokół przecudnej twarzy obłok lotnego złota i wlokąc go za sobą przez powietrze, jak długi szlak światła, — zwolna iść zaczyna — —

A gdzie przeszła — Niepokalana — Afrogeneja — z pian urodzona — — milkł jęk żądzy — i szedł tylko śladem jej stąpania szept uwielbienia:

— Chryzeis — Ty, złota, złota...

Tylko z pośród kolumn doryckiego portyku, zajmowanego przez Zenona i jego uczniów, widnieją brunatne chitony i płaszcze stoików, — i razi chłodem ich wzrok obojętny. — —

Rzeka Adonis toczy wody różowe od krwi zabitego kochanka Złotowłosej, — wśród gaju mirtów starych, których cień śliczny przyjmuje w siebie Kiprydę, idącą opłakiwać zgon Ulubionego —

Nikt ze śmiertelnych nie może widzieć bogini w rozpaczy, nikt za nią podążyć wyciętą w gąszczach ścieżką, u której końca stoi biała świątynia:

Na piedestale jaspisowym jaśnieje zdala posąg tego, co się zrodził z drzewa myrrhy, — pana, kochanka Persefony, która zatrzymuje go na swych łąkach krwawnikowych, zroszonych białemi łzami asfodeli...

Ciało Najurodziwszego utoczone z kości słoniowej, draperye z matowego złota.

Bogini wstępuje po stopniach do wnętrza świątyni — i zaraz białe zasłony, na obręczach z kości zawieszone między kolumnami, zasuwają się za nią — —

Wtedy kobiety zgromadzone u wejścia do gaju świętego poczynają biegać dookoła z głośnym jękiem, targając włosy, — podczas gdy chór mężczyzn, z narzędziami

muzycznemi w ręku, silnemi głosy rzuca w przestrzeń hymn do Zeusa —

Trigonon i flet frygijski, syrinks i cytara — zgodnie wtórzą rytmicznym strofom męzkiej pieśni, — domagającej się dla miłości — powrotu szczęścia...

Zapadł już matowy, fiołkowy, pachnący zmrok, — gdy białe zasłony rozsunęły się ponownie:

Ale posąg Adonisa znikł za tumanem jakiejś mgły złotej, — a na tem tle, u stóp cokołu, rysuje się nieruchoma, prześliczna postać bogini, której uśmiech wita kogoś dalekiego...

Za kierunkiem jej uśmiechu obracają się spojrzenia tłumu — i tam, gdzie metalowy dysk księżyca tkwi wbity w krąg niebios, — ujrzano występujących z czarnego lasu stuletnich wawrzynów dwunastu nagich młodzieńców, z formingami w ręku —

W rzędach po trzech idą ku świątyni, strząsając po drodze ze strun cyter z metalu i kości oną pieśń, którą stworzył Orfeusz, wyprowadzając Eurydykę z ciemni Erebu — —

Oto mocą tęsknoty przywołany z łąk Elizejskich, wraca Adonis — pan — utajony między towarzyszami —

Bogini wyciąga ku Umiłowanemu ramię świetlanę:

Za wstępującym do wnętrza zapadają zasłony, — tym razem na całą krótką noc wiosenną, — dostatecznie przecież długą, by w niej zamknąć i wyczerpać całe życie miłości — —

Z pozostałych jedenastu młodzieńców, jeden z jękiem rzucił formingę o kamień — i kładąc na głowie zgięte ramię gestem rozpaczy — biegnie ku morzu...

Słone fale przepływały za chwilę nad młodem ciałem, — jego żądzą i zawiedzioną nadzieją — —

V.

Tułacza komedya z italskiej krainy Etrusków zatrzymała się w małym lasku na Kiprze, korzystając z Adonyj, które tłumy ludu na wyspę zgromadziły.

Amfiteatr stanowi murawa. Kilka połamanych kolumn i kawałek mozaikowej posadzki, na której nimfa arkadyjska Syrinks zmienia się w trzcinę przed pościgiem Pana, — pozostałe ze zrujnowanej świątyńki tego leśnego bożka, służą za improwizowaną scenę dla biednej, tułaczej drużyny artystycznej.

Przedstawienie ma się właśnie rozpocząć. Publiczność zebrana, nie wykwintna wcale, posila się zimną rybą i świeżemi figami. Kobiet niewiele, — zarówno scena, jak sala widzów, jest dla Greczynek zamknięta. Ledwie kilka wyzwolenic lub zalotnic dostrzedz można między tłumem, — za to mężczyzn, młodych i starych z wyższych sfer — nie brak.

Histryoni w maskach komicznych, bez koturnów, używanych tylko do tragedyi, w chitonach nieco dziurawych, — krążą wśród tłumu, rzucając sarkastyczne uwagi i zwroty.

Teraz schodzą się aktorki. Idą jedna za drugą, w jasnych, kolistych płaszczach i sandałach z pachnącego drzewa.

Młode komedyantki są bez masek, — natomiast mają peruczki płowe lub czerwone — i barwiki na uśmiechnionych twarzach.

Przedstawienie rozpoczęto. Graną jest Lizystrata, komedya Arystofanesa.

Alkibiades i Lykos stoją nieco na uboczu, pod cienistem drzewem myrrhowem.

— Czy ona tu jest?

— Nie... — odpowiada Lykos niepewnie. — Nie widzę jej — —

— Czekajmy końca przedstawienia, wówczas dowiesz się. Teraz zaś, radzę, oddalmy się trochę. Grają licho. W dodatku, niepokój twój staje się widocznym. Martagon i Leukippos od chwili rozmawiają o tobie.

Usunęli się w cień gaju, idąc nieznanemi ścieżkami. Lykos jest ponury i patrzy w ziemię.

Z boku, między młodemi pniami, mignęła bursztynowa główka, oblana smugą świetlną, — i zaraz znikła, jak jej własny uśmiech — —

— Słuchaj-no, Niobido, — rzekł Alkibiades, pociągając towarzysza za tunikę, — czy twoja Chloe ma długą rzęsę złotą?

— Zdaje się tryskać z jej oka jak promień światła...

— A skórę ma różową?

— Mówiłem ci już, że ciało ma utkane ze światła, róż i mleka. — Jest tak wiotka i przezrocza, jak figurka wyrzeźbiona w blado-różowym wosku, jak...

— Dobrze, dobrze... Powiedz mi jeszcze, czy jest wesoła i ma oczy ciemne?

— Jak fiołki... Złoty uśmieszek igra zawsze na jej ustach, wygiętych w łuk Erosa.

— Tedy szukaj swojej Hamadryady w tych gąszczach, bo mi tam coś mignęło — mdłego, cienkiego i nikłego — jak wrażenie z twego opisu —

— Alkibiadesie! — zawołał z wyrzutem młody człowiek, ale równocześnie poskoczył we wskazanym kierunku —

— Śpiesz — i niech cię prowadzi Nike...

Alkibiades z uśmiechem zawrócił także w tę stronę, — ale szedł powoli, ociągając się i przystając po drodze.

Kiedy ich wreszcie dostrzegł — Lykos stał przed młodą dziewczyną, naprawdę wdzięczną jak wiosna, — której z ramion opadł jasny płaszcz — i w której uśmiechu chęć pierzchnięcia walczyła z innem jakiemś wrażeniem —

Młodzieniec trzymał piękną głowę nieco przechyloną i deklamował po łacinie:

— „W inną ode mnie odwracasz się stronę — gdy cię nie ujrzę z towarzyszek rojem — oczy twe stają się wnet zalęknione — i duże, — patrzysz na mnie z niepokojem...“

W tej chwili Chloe krzyknęła lekko i wznosząc, jak gołąb, ramiona, porwała się do ucieczki — gdy Lykos, obejrzawszy się szybko, przytrzymał ją za rękę:

— „...Schodzisz mi z drogi...“

Tu Alkibiades mu przerwał:

— „...przeto nie łaskawsze — są dla nas oczy twe od sarnich oczu, — tak łania wprzódy, nim umknie na zawsze, — złotem w zieleni błyśnie na uboczu. — Płochliwą-ś sarną jest, która zbłąkana — bez matki, sama pomyka

w bezdroże, — przed szmerem liścia drży... drżą jej kolana... — i gadu szelest zatrwożyć ją może..."

Lykos podjął:

— „...Przebóg! dziewczyno... Jam nie zwierz dziki, co zaszedł ci drogę, — w którego paszczy krwawe łupy giną, — jabym ci szczęścia więcej, niż dać mogę, — dał!.."

Alkibiades kończy:

— „...Przeto mówię-ć i słuchaj tej rady: — niech cię strach próżen przed nami nie płoszy, — za matczynemi nie chodź ciągle ślady — boś już dostałym kwiatem dla — rozkoszy..."

Dziewczyna stała cicho — czarem poezyi zdjęta — póki ostatnie nie przebrzmiały słowa... Teraz zaś zgięła się w łuk i wymknęła z rąk Lykosa, wprzód nim się spostrzedz zdołał —

Ale Alkibiades zwinnym skokiem zastąpił jej drogę:

— Wstrzymaj się, Różanopalca,— i nakłoń ucha, abym ci opowiedział myt boski, który znać będzie ci pożytecznem. Żył raz na ziemi pewien rodzaj istot, które nie znały miłości. Potęga i wolność była ich udzialem — a własna moc upoiła ich jak wino — i Zeusa za pana uznawać nie chcieli. Wtedy Gromowładny rozdwoił ich tak, że z każdego stworzył mężczyznę i kobietę, i zesłał na nich miłość. A od jej żaru skruszyła się w nich siła i boska pogoda, i padli w proch u stóp pana hyacyntowych kędziorów. Ściągnął wtedy bóg do swego boku błyskawicę karzącą i dozwolił, by się w miłości łączyli, — a tak odzyskali siłę i szczęście. Nie godzi się przeto, dziewczyno, wyrokom Zeusa w poprzek stawać, ani gniewu jego ściągać na siebie —

— Co mam czynić? — szepnęła blada —

— Poddaj się miłości!.. — usłyszała ten sam głos, obezwładniający serce —

— I zezwól, Charito... — gorąco wpadł mu w słowo Lykos — abym, nim trzykroć Apollo przejedzie strop niebios na słonecznych rumakach, — przyjechał po ciebie na mym wozie, zaprzężonym w cztery białe źrebce, i uwiózł cię do mego wiejskiego domu, z przezroczystym ciennikiem, nakrywanym chłodnemi gałęźmi orzecha, — gdzie ściany wnętrza malowane sandyksem i oświetlone terrakotowemi lampami czekają pachnące na swą śliczną panią, — gdzie włożę ci na palec pierścień opalowy i gdzie pierwszy płomień zaniecisz na naszem ognisku—o! moja...

— Eheu! Masz nielada talent krasomówczy, Lykosie. Z tem wszystkiem, czy naprawdę sądzisz, moja ładna, że temu Narcyzowi nie będzie do twarzy w wieńcu z bluszczu i akantu, w szafranowych sandałach bożka Hymenu i z pochodnią z barwionego wosku? Ależ zapewniam cię, że łydki ma niegorsze, niż ów dyskobol biegnący z gałęzią oliwną w amfiteatrze w Olimpii, — i że na konkursie męzkiej piękności, urządzanym w Arkadyi, otrzymałby z pewnością pierwszą nagrodę —

Chloe patrzy wielkiemi przerażonemi oczyma w twarz Alkibiadesa. Gdy umilkł — wyjąkała:

— Ktoś ty jest?

Uśmiech pełen swawoli przemknął mu po ustach:

— Hermes Psychagog — kierownik dusz...

Skłonił jej się — i jak się zjawił, tak nagle znikł w gęstwinie.

Idąc z powrotem ku teatrowi, widział w myśli źródło Kallirhoe, do kąpieli przedślubnych, tryskające z pod skały z łomami marmuru, — gdzie na kawałku wygładzonej ściany rzeźbiarz wykuł w płaskorzeźbie dziewczynę tańczącą z uśmiechem przed bogiem rozkoszy i płodności —

Chloe tymczasem ochłonęła ze zmieszania, w jakie ją wprawił obcy; radosna jak dziecko, zarzuciła oba ramiona na szyję Lykosa i zauważyła ze śmiechem:

— Wiesz? to przecież zupełnie tak, jak w komedyi Antyfanesa...

Potrząsła rozpierzchnięte wokół różowej twarzy jasne włosy, nawpół uwięzione w siatce złotej:

— Pan — ujęty wierną miłością niewolnicy, bierze ją za żonę — taką szczęśliwą! Taką bardzo szczęśliwą — jak ja!

Śmieje się promiennym śmiechem, w którym igra młodość jak słońce, — istna wcielona różowa komedya...

VI.

W Atenach, w olbrzymim teatrze o ścianach z marmuru czarnego, przerzniętych gdzieniegdzie błękitną żyłą, jak gdyby były rozłupane błyskawicą, — przez długi szereg miesięcy zamkniętym głucho na miedziane bramy z płaskorzeźbionemi fryzami, — otwarto z wiosną scenę dla Eschylowskich posępnych mytów.

Wśród ciemnego przepychu wystawy, — aktorzy płaceni krociami, — występujący na koturnach, wznoszących ich na poziom nadludzki,—i w metalowych maskach, potęgujących głos do siły nawałnicy, — rozpoczęli szereg ponurych tragedyj, gdzie człowiek wyolbrzymiony walczy i pada w tytanicznej walce z surową, nieodmienną Ananke.

Dotąd dano już w szeregu przedstawień: Siedmiu wodzów pod Tebami, Eumenidy i Prometeusza.

Aspazya i Alkibiades nie opuścili żadnego.

Po przedstawieniu wracali razem do jej marmurowego domu, gdzie, nim chłód wieczoru i wczesnej wiosny zaczął przejmować im członki, przepędzali godziny, leżąc na kitrosowych łożach, przy trójkątnych srebrnych stołach, zastawionych przez kucharza z Sybaris, obok wysmukłych kruż z winem,— przeciągając spoczynek i rozmowę, wśród płynących z ogrodów ech dziwnych pieśni obcych niewolnic o oczach smutnych jak u zranionej antylopy, — albo przy widoku majaczącej wśród zmierzchu rozkosznej „romeiki“ Atenek, co zdala dawało złudzenie, jakby jońskie posągi z oślepiająco śnieżnego marmuru opuściły swe piedestały, łącząc się w koła taneczne.

Gdy tęsknota przejęła im ciała, szli do tajemnej, złotej sali Hermafrodyty, pełnej rzeźb lubieżnych,—gdzie oślepiająca rozkosz łączyła na chwilę ich byty tak dokładnie, jak ową nimfę i półboga, — poczem Hypnos na krótko przymykał im powieki lekkim i czystym snem.

Gdy się zaś ocknęli, pełni radosnej pogody z posiadania wzajem czegoś doskonałego, — poczynali się przechadzać zwolna po posadzce z elektronu, pod którą spodem przechodziły rury z gorącą wodą, — tak, że rozgrzewając się roniła zapach, działający jak pieśń Anakreonta — —

Albo też stawali oparci o siebie, jak dwoje bogów, o głowach nieco za małych, jak u posągów, — a Psyche ich, oswobodzona od tęsknoty i szału zmysłów, zapalała im na ustach myśli skrzydlate...

Czasem w te noce ateńskie, Alkibiades ujmował małą lirę siedmiostrunną i przy jej wtórze śpiewał jaką pieśń lesbijską —

Tak właśnie dzisiaj legł u ubóstwionych stóp kochanki, siedzącej w marmurowem krześle — złożył głowę na jej kolanach — i patrzył w jej białą, cudowną twarz, gdzie złota jasność ócz wilgotnych pali się w ciemnych głębiach, jak światło podwodne...

Płomienna bladość jego nagiego ciała lśni matowo śród złotych przymgleń — —

Kobieta ma na sobie delikatną tkaninę barwy złotej, głęboko osuniętą z ramion, na głowie złoty kask kochanka z Chimerą, rzucający cień na jej profil nieruchomy —

— Aspazyo — przemówił po długiej chwili milczenia — dobrze uczyniłaś. Gdyż chcę cię mieć bez przerwy i zawsze z tą dziewiczą, nieskażoną piersią, bez brunatnej obwódki macierzyństwa, — dopóki cię nie znudzę lub ty mnie, — gdyż człowiek jest zmianą, jak mówią sofiści —

Aspazya odpowiada:

— Zapewne mają słuszność. Nie broni nam to pomarzyć kapryśnie. Życie jest marne. Kazałam ukrzyżować dziś niewolnicę, ponieważ przekonałam się, że kochała cię skrycie. Zazdrość ugryzła mnie w serce jak gad. A teraz jesteś mi obojętny, jak pierwszy przechodzień. Za chwilę będę cię jeszcze pragnąć. Ale przyjdzie dzień, w którym pragnienie wyschnie, jak źródło. I twoje życie niemniej marne. Te zwycięztwa, które niosą ci sławę, nie są niczem lepszem od twych szaleństw, które ściągają na twą głowę potępienie. I wkrótce znudzi cię jedno i drugie...

Alkibiades rzekł, nie zmieniając postawy:

— Epikur twierdzi, że bogi, w które zresztą wierzy, mają ciała i mózgi utworzone z atomów wytworniejszych, niż wszyscy śmiertelnicy. Gdyby tak było, to ty zapewne jesteś boginią, gdyż nie spotkałem takiego ciała na posągach, ani takiej mądrości w wyroczni delfickiej... Ale w tej chwili nie mogę odczuć twych słów, gdyż czuję w sobie życie samo, jak łuk Herakla drżący... Czy ta niewolnica już umarła?

— Zapewne. Ukrzyżowano ją przed zachodem.

Alkibiades zbierał z posadzki rozsypane złote laki —

— Tyś jej dała śmierć — ja jej zaniosę te kwiaty...

Wziął płaszcz i wyszedł z sali — —

W długą chwilę powrócił bez niego i zajął poprzednie miejsce u nóg Aspazyi, która także pozy nie zmieniła —

Czas jakiś trwa milczenie, — kobieta przerwała je pierwsza:

— Żyła?

— Tak. Ale wszelkie siły ją uszły i, opuściwszy na piersi głowę, tak białą, jak jaki biały kwiat, zdawała się już umarłą. Lecz gdy podszedłem do jej stóp z kwiatami — poznała mnie i imię moje wybiegło na jej umęczone usta. Zdjąłem ją wtedy z krzyża i kołysałem na ręku... Nie mogła już mówić, ale oczy jej patrzały na mnie tak, jak na boga. Powiedziałem jej — że ją kocham... Wtedy z tych oczu biednych trysły łzy. — Umierające jej ramię siłą miłości — bo nie fizyczną — owinęło mi szyję. Zaraz potem zaczęła mi zasypiać na ręku jak dziecko — i tak cicho umarła.— Złożyłem ją naszem łożu w portyku, przykryłem moim płaszczem i złote laki położyłem jej na sercu — —

Aspazya milczała.

Alkibiades podjął:

— Przeżyłem chwilę czaru. — Więc znów dobrze zrobiłaś, żeś dała na śmierć tę dziewczynę. Gdyż może prawdę rzekł Epikur: że jedynem dobrem życia jest rozkosz i zgon.

Uśmiechnął się do siebie rozmarzająco — i odchyliwszy głowę, począł jak pierwej patrzeć w twarz kochanki —

A w jej głębi powstawała właśnie żądza, — ciemna i śmiertelna, jak zaraza...

Ale nie wyrzekła słowa.

On tymczasem mówił znowu:

— Sądzą o mnie, że podlegam ataumazyi — tak dalece nic nie jest w stanie mnie zadziwić. A przecież nieu-

stannie podziwiam ciebie. Jesteś jak anamorfoza: rysunek, przedstawiający się z każdego punktu inaczej... Kiedy dla ciebie dawałem kuć posąg, — byłaś mi naprawdę wszechmądrą Palladą; — kiedy na twych posiedzeniach zabierałaś głos w dysputach artystów, — nazywałem cię Dyaną Efezką, o tysiącu piersi; — kiedy w nocach rozkoszy jawisz mi się niekiedy w swej nieogarnionej potędze kobiety pożądanej, — dusza klęka przed tobą, jak przed złowrogą Hekate, boginią nocnych strachów i czarów. — A teraz, gdy patrzę na twą twarz, w złotym cieniu mego hełmu, — oślepiony zwę cię Chimerą... Ofiaruję ci dyamenty — pyszne i straszliwe, jak twoje oczy, bliźniacze gwiazdy Dioskury —: wróć światło mym źrenicom, gdyż nic — prócz ciebie — nie widzą...

Kobieta z przeciągłym jękiem zarzuciła ramiona na szyję kochanka —

A on poddał ją pieszczotom rafinowanym, opartym o szaleństwo, grał na jej ciele, jak na harfie, rwąc najczulsze wiązania nerwowe — miłość czynił muzyką...

E. Łuskina.

RÓŻE.

ARS EPHEMERA.

(Miłośnica.)

Jako ofiarna będziesz czara
Purpurą młodej krwi dymiąca,
Jak żywa lampa gorejąca
W nawyku głuchych katakumbach!

U miłosnego źródła mocy
Szukając lampie swej oliwy,
Wyrzeźbisz życie w posąg żywy,
W młodości nagość i posągu!

Zwierciedląc słońce w grobowisku,
Jak słońca wolą — sobą mowna,
Twem życiem — życiu orędowna,
Jak kwiat wytryśniesz na pustyni!

I padniesz, młody pąk zerwany,
Dyszący śmiercią kwiat weselny,
Ty symbol życia nieśmiertelny,
Na uczt życiowych gnuśne stoły.

I będziesz — „szczęścia obietnica,"
Jak róża w pąku zadrzemana,
Cudzemi wargi potargana
I cudzym jadem zwiędła w pąku.

(Marzenia.)

O, cieplarniane blade róże,
Wy próżnej troski puste wiana,
Ta śmierć leniwa cnotą zwana
To płonnych kwiatów życie płonne.

Bo tem jest kwiatu czar śmiertelny,
Tem jest pąk ducha grzechem żywy:
Dla ziarna — zguby własnej chciwy,
On życiem, śmiercią siemię stwarza!

Więc nie płacz, śmiej się, miłośnico,
W śmiech wszystkich piekieł potępieńczy:
Tak w łachman życia — życie wieńczy
Marzenia kształt niepokalany...

(Fale.)

Słoneczną my rodzone wolą,
W otchłaniach czasu wciąż tonące,
Tęczowych rzeczy tęcze lśniące:
My kwiat i czerw i siemię razem.

Hen od wieczności idąc proga,
My fale bytu wiecznie wrotne,
Miłości moce wszystkokrotne:
My życie, grzech i śmierć pospołu.

Słonecznej woli na obiatę
Twą czarę życia grzechem pienną,
Tę tęczę rzeczy wiecznie zmienną,
W otchłaniach czasu zatopimy.

Zaś z tęczy onej duchem snute
Miłości moce wszystkokrotne
My fale bytu wiecznie wrotne
Hen do wieczności zniesiem proga.

ARS AETERNA.

(S-ta Clara ad S-tum Franciscum.)

O krynico ty wieczysta,
Krwi odkupnej święte wino,
Duszo winem tem pijana,
Sztuki matko i przyczyno,
Ducha siło promienista,
Studnio moja niezmącona,
O RADOŚCI!.. O RADOŚCI!..

Najjałowszej smutnej roli
Urodzajna roso święta,
Kwiecie z ciernia w czole Pana:
Lilio woli niedraśnięta
Cierniem krzyża i niedoli,
Gdy mi radość w życiu kona,
Radość w skonie niech zagości!



Serce dziecka się rozpęka
Jak skarbnica ofiar krwawa;
Ta obiatna, słodka męka
Tobie, siewco, plon oddawa.

Twego siewu — nasze dary,
Jako hostya w wardze dzieci,
Słowo proste, słowo wiary
Wskroś niech serca nam prześwieci!

Serce nieme w piersiach boli.
Sięgnij, Siewco, po to serce!
Rzuć radości Twej niewody,
A nam wszystkim w poniewierce
Na Odrodzin ześlij gody
Róże ducha, lilie woli!

(S-tus Franciscus ad S-tam Claram.)

Tu róża twa dogasa już,
W popiele serc na pylną murz
Wnet wytli się płomienny pąk:
Czerwony kwiat z marzenia łąk
Życiowy wnet zasypie kurz.

Golgoty sen kto duszą śnił,
Z Chrystusa ran pragnienie pił,
Na krzyż się swój oddawszy rad,
Pożogi skrę ten nieci w ślad.
...Kto zna swą moc? swych źródło sił?!

Tajemnic pąk! z Golgoty kwiat!
W płomieni siew zapłodni świat,

W Odnowin dusz czyscowy wir
Dziecięca skra w próchnicy czyr!
...Kto przyszłość wie? Kto jutrznię zgadł?!

(Geniusz żebraczy.)

O gaya saber! — *kunszt radości!*
Weselnej sztuki gędźbo cicha,
W pogrzebnym dzwonie ton twój czyha,
W kostnicy duch twój dzisiaj gości.

Roztęsknień nutę w dzwonów granie
I surmy głuche w psalm rozpaczy
Powplatał geniusz ten żebraczy,
Co — życiu wieścić zmartwychwstanie —

Na wszystkie wlecze się cmentarze,
By przy stypowej smutku czarze
Pijanym śmiechem być w pogrzebie;

Potargać szydem kir żałobny,
Podeptać w tańcu świeże groby:
„To ziarna! — ziarna! legły w glebie!..“

Wacław Berent.

SYN CZŁOWIECZY.

Czy ty mi byłaś kiedy ukojeniem
I moją ciszą czy ty byłaś kiedy,
Wieczorna ciszy rozkwieconych łąk,

Co pachną w cieple zmierzchów bladozłotych,
W godzinę smutną gasnącego słońca
Za poczerniałą kolumnadą drzew?

Czy ty mi byłaś kiedy ukojeniem
I moją ciszą czy ty byłaś kiedy,
Ciszy zamierzchłych, zasępionych dni,
Kiedym wybiegał w pola zbóż kwitnących,
Na moje bujne, rozległe zagony,
Pić chłód oparów i ziół mocnych woń?

A gdy mój oddech skwarny, przyśpieszony,
W jedno się zlewał z mokrych pól oddechem,
Z oddechem mokrych i pachnących pól,
Które mię brały w ogromne objęcia,
Jako skazaniec bierze krzyż w ramiona,
Na umieranie, na mękę, na śmierć —

A kiedym na twarz padał w prochy ziemne
Przed męki ludzkiej potwornem zjawiskiem,
Głusząc zlęknionej duszy mojej krzyk,
Który z krwią serca bluzgal mi na usta,
Złączone w długim, zimnym pocałunku
Z wargami trupio wykrzywionych bruzd —

A gdy tak ziemia podała mi usta,
Nabrzmiałe wiecznych rozkładów stęchlizną,
Bym z nich śmiertelne sny o życiu pił —
Czy ty mi byłaś wtedy ukojeniem
I moją ciszą czy ty byłaś wtedy,
Ciszy zamierzchlych, zasępionych dni?

Tam — widzę złote, wielkie, bezprzestrzenne

Moich pól zżętych umarłe ścierniska
W bladej przestrzeni, pokąd sięga wzrok,
I widzę łąki, rdzą śmierci przeżarte,
Pełne ziół zwiędłych o barwie przegniłej,
I step podartych, podeptanych traw.

I pomnę chwilę świętej tajemnicy,
Którą moc ciszy czyniła nade mną
W jasnej bezbrzeży spustoszonych pól.
Wtedy mi duszę porwał ból odwieczny
Przeistoczonej w rozpacz wszechmiłości
I obłęd twórczych, rozpętanych sił.

Więc tak mówiłem śpiesznie, bez oddechu:
O, rzuć mię ciszy w martwość zwiędłych kwiatów,
W śmiertelny bezwład odpocznienia rzuć!
O, daj mi wrosnąć każdą tkanką ciała
W stygnący zagon tej mogilnej ziemi,
I każdym nerwem, każdym skrzepem krwi!

Więc tak mówiłem śpiesznie, bez oddechu:
Z tajemnem źródłem roślinnego trwania
Daj mi ślub wieczny na życie i śmierć,
A za grób, wspólny z zielskiem, co usycha,
Daj mi obszarów polnych bezgranicza,
Po których wichry rozniosą mój proch!

Bo otom spróchniał aż do głębi serca
I niemasz we mnie nic — jedno popioły,
Gdy spłonął duszy gorejący krzew.
A wichry wstały wyciągając skrzydła...
A dzień ku ciemnej wieczności się chyli
I już dogasa mój ostatni dzień!

Po rozkwieconych łąkach i zagonach
W złocie wiosennych zmierzchów Chrystus chodzi,
W świetlistej szacie chodzi wszerz i wzdłuż,
A kwiaty chłoną mękę Jego czoła,
Łzy Jego oczu piją zamiast rosy,
Miast słońca nikłą zgasłych oczu jaśń.

A On kwitnącej błogosławi ziemi
O takiej smutnie zamyślonej porze,
Kiedy na niwy pada ciężki zmierzch,
A Jego ręce — długie, zwiędłe ręce,
Jako u ślepców, w przestrzeń wyciągnięte —
Na ścieżkach nagich złoty ścielą blask.

A idzie wolno i zbóż nie roztrąca,
Co w mgle dymiącej stoją wytężone,
Objęte ciszą skamieniałych snów,
I kwiatów polnych szeroko otwartych,
Jak oczy w otchłań tajemnic zwrócone,
Nie depce, idąc, i nie łamie traw.

A idzie Chrystus równym, polnym szlakiem
W dal oniemiałą, w bezmiar chmurnej nocy,
Na pustej równi ociemniały kres,
A za Nim idzie męka wszechczłowiecza,
I męka moja w Jego ślady idzie,
Wlokąc za sobą zwiędłych skrzydeł cień!

I słyszę w sobie krzyk pragnącej duszy:
O, Chryste, Chryste! czemuś mię opuścił?
Na jedną chwilę w moje pola wróć!
Straszno bez Ciebie żyć — i tak samotnie,
I taką pustkę głuchą dookoła
Za towarzyszkę dni niezmiernych mieć!

I słyszę w sobie krzyk pragnącej duszy:
Straszno bez Ciebie i żyć i umierać
Duszom, co miały żórawianą moc
Z wyciągniętemi na wschód lecieć skrzydły
I burzyć czarne, zastygłe jeziora
Sykiem na wichry rozpostartych piór!

A On odchodzi równym, polnym szlakiem,
Jasny jak wierzchy drzew o wschodzie słońca,
Wtopione w bryzgi złotopłynnych zórz,
A za Nim idzie męka wszechczłowiecza
I męka moja w Jego ślady idzie,
Wlokąc za sobą zwiędłych skrzydeł cień!

Spłowiał zmierzch złoty. Na pożółkłem niebie
Czernią się zdala drzew przydrożnych plamy,
Owdzie zwał w cieniu skamieniałych strzech,
Co, osypiskom mogilnym podobne,
Tak Chrystusowi zasmuciły duszę,
Gdy się rozglądał po równinie wstecz...

Stanął. Znów idzie. Teraz mokre kłosy
Od strony wschodniej zabiegną Mu drogę
Całować brzegi jaśniejących szat
I, płacząc w ziemię łzami mgły skroplonej,
Do stóp Mu padną: Bądź miłościw, Chryste!
A On odchodzi w ciszę, w bezmiar, w noc.

O, bądź miłościw, Chryste, smutnej ziemi,
Ciężarnym kłosom, kwiatom, które więdną,
I duszom zmarłym litościwy bądź!
I duszom, które widzą śmierć przed sobą
I zasmucone idą w przemoc śmierci,
O, Chryste, Chryste, litościwy bądź!

A Ty odchodzisz? depcąc ludzkie ręce,
Co się ku Tobie zewsząd rozpostarły,
Ze wszystkich krzyżów na padole łez?!
A ciemność rzucasz w oczy tym, co patrzą...
Na wypłakane oczy żwir mogilny
Nie upadł nigdy bezlitośnie tak!

Na wypłakane oczy — Chryste, Chryste!
Na zwiędłe serca zaklinając Ciebie,
Wołam: W bezmiary moich pragnień wróć!
A cisza polna tak mi odpowiada:
To było widmo tych dni, które przeszły,
To było widmo niepowrotnych dni.

Michał C. Bielecki.

NA WIEJSKIEJ DRODZE.

Już mrok szemrze, już przypływ nocy grać poczyna;
Już się w nirwany mgłe zachodnia łuna żarzy,
Już wschodzą okna chat i lśnią, jak rój lichtarzy,
Już idą chóry gwiazd, już bije ich godzina.

Więc już... Wieczności rytm — nic więcej się nie zdarzy,
Nic, tylko złotych gwiazd świetlana pantomina,
Nic, tylko nocy szum, oddali głębia sina,
Tylko miraże lśnią śród nocy w kształt witraży.

Noc rośnie — idę w dal — tam świerki płaczą szumnie,
Szemrzą rzeźbione w rym festonów, jak na drodze,
Po której idzie tłum i niesie wieszcza w trumnie.

Przede mną księżyc lśni — dal skryta — idę w trwodze...
Coś równolegle zbyt... tej drogi brzegi płyną —
Czyżbym ja w Wieczność już tą wiejską szedł drożyną..?

* *

Huragan gwiazd—jak parno—wichr dmie, skrzypią drzewa—
Coś oddech mi urzekło—ten wichr ma w ustach żar—
Za mną przebyta droga mknie w kształt złowrogich mar—
Jak światłocieniów żgło wichr szarpie noc i zwiewa.

Gdzież pójdę — niewidzialny proch pędzi w nocny skwar,
Tnąc w oczy szczerbi wzrok i lustro widzeń ścmiewa;
Jak przez rozbite szkło, dał, świerki, gwiazd ulewa
Przelewa się rytmicznie do powiek drżących szpar.

Wichr dmie — gdzież idę, gdzie —do chaty — ale po co —
Jam jest przydrożny słup: mnie stać na drodze nocą;
Po moich spojrzeń strunach rozpiętych szczytem drzew

Drży prąd z Wieczności stacyi, mknie Znikomości wiew,
I tętni w krwi i sączy apatyi łzy zamroczne — —
I cóż mi z chaty, cóż — ej, tu na ziemi spocznę...

KOLENDA.

Słyszę, w tętencie godzin noc pada z szelestem;
jak przeczułem, o gwiazdy dzwon błękitów trąca;
idę w świerkowych lasów rzeźbionej katedrze,
w cieniu gotyckich stalli szukam zapomnienia;

przez cudowne poema szpilkowych gałęzi
przezrocza toń błękitów gwiazd źrenicą wgląda.
— cicho — oddech zamiera — dreszcz przeszłości czuję —
co to — w poszumie wiatru składam ton piosenki —
Kolenda — tak — chcę, pragnę schwycić ton jej prosty —
I marzy mi się wieczne Boże Narodzenie: — —
Szumią wkoło choiny, szumią, boże drzewa,
świecą przybrane cudnie w gwiazd złociste cacka —
Więc jestem dziecko, dziecko... i wyciągam ręce
i dotykam gałęzi — gwiazdy w dali płyną,
drzewo w jesiennej fazie zadumane drgnęło
w tęsknocie mojej ręki, osowiałe, ciemne —
Jestem dziecko, ach, dziecko — gdzież moja piosenka...
Od dziecka kocham tylko z gwiazd uwite cacka.

Ludwik Eminowicz.

---

*

O nocy letnich szmaragdowe gaje
W srebrze księżyca —
Dyamentowe ruczaje,
Nad któremi śni
Karawanami mgły
Tajemnica —

O nocy letnich szmaragdowe świty,
Blednięcia gwiazd —
Ciche z gajów powroty —
Nietoperze loty
Do gniazd —



O, ponad nocą brzask płonący śniado!
Chmur czarne włócznie,
Zgiełk dzwonny ros
Nad ziemi twarzą bladą —
U łona tej zimnej, śpiącej,
W jej kruczy spowite włos
Półsenne słońce — —

O noce letnie! o jutrznie!

* *

Oto mi z oczu spływa kraina, w której zjawiłeś się majem—
Oto w zakręcie żegna mnie dom,
W którym się zrodził i umarł nasz świat —
Oto mi z nóg ucieka ląd,
Zkąd, dzieci nieme, patrzyliśmy w dal —
Nazawsze odpływam ztąd —
Prądem znaczonym wśród fal wzrokiem dzieci —
Ach, w bezmiar wiedzie ten prąd!
I nie wiem, gdzie znaleźć w bezmiarze
Ten kraj, ten dom, ten ląd —
W które mi zstąpisz majem.

* * *

Uśmiechasz się z studziennej głębi moich snów —
Wykwita ku mnie, z otchłani dookolnych, uśmiech twój —
W zaklętem uśmiechu twego kole stoję niema —
Na dnie mej duszy leży, jak słońce w jeziorze —

Otchłani jestem dziecko: czarnej, smutnej;
W niebie szczęśliwem nie umiem kochać słońca.
Kocham słońce w jeziora mrocznej głębinie —
Uśmiech Twój —

* * * *

Zakołatałam do pustej chaty,
Do zrzuconego z gałęzi gniazda,
Do raju naszego wrót —
Może jesteśmy w tej norze głuchej —
Zakryte gniazdem ranne gołębie —
Może trwa w tajni cud?
Przez ciemne szyby zajrzałem z nocy —
Nie pusty dom nasz! płacz w nim i czar...
Łka niemą kłótnią tęskniące echo,
Całowań iskry wirują chmarą,
Błyskawicowy krąży się żar —
Spojrzenia tajne, milczące szały
Palą się złotem w pustyni ścian —
W framudze smukły krzyż z dyamentu płonie —
Na ziemi dymi się trumienny krzyż...
W błyskawicowem ścian zaklętych kole
Cień stoi smukły — pręży głowę wzwyż —
W cień, co mu z ramion schyla się do czoła —
W cień, co rękami rąk się jego chwyta
I w nieme żalem, w zachwycone usta
Całuje smukły cień...

* * * * *

Księżyca kryształowy, płynny mróz ściął ziemię

W czarne, ostre, po brzegach rozbłyskane cienie.
W bezmierną noc samotną, obcą, chłodną,
W tę głębię niebios podwodną,
W te dyamentowe mgły
Buchnęły tchem piekarnianym
I ogniem kuźni
Tysiączne okna i drzwi...
Na lodowate księżyca bezbrzeże,
Na wiekuisty przypływ bladych fal,
Na zgiełk żałosny od umarłych łąk,
Od księżycowych hal —
Zionęły pustką pośmiertną
Samotne nad miastem wieże
I opuszczone w niebiosach —
...W zwojach firanek na framug marmury
Chylą się ciężkie rozognione czoła
I sploty bezsilne rąk
Przed tym dokoła
Bezmiarem zimnej stali —
...Na zimny, nagły wiatr,
Ginący wilczym susem w morzach liści — —
Na płynną taflę lodu, która mrożąc pali —
Kładą się usta błagające, drżące
W zgubionem słowie
Serc, co już wszelkiej zbyły nienawiści,
Lecz ran zabliźnić nie mogą —
Ani dać skrzydla miłości spętanej...
Przed księżycowem, niemem w zenicie obliczem —
Tęsknota w piersi kagańcowej kracie
Płomieniem kłębi się, miota —
Z krat się wyrywa dziką ognia szmatą —
Płonącą żagwią krwi z śmiertelnej rany —
Najgłębszą iskrą żywota —
Drga szałem w chłodnej miesięcznej poświacie —

Drga chwilę — pjana życiem i zatratą —
Dymna — czerwona —
Rwąca się z mogił ku mogile —
Wichrem niesiona w bezdenne otchłanie —
Między tą czarną ziemią i tem modrem niebem —
— I kona, w prądzie księżycowym kona —
Tym samym wichrem, co ją niósł, zgaszona —
Gnając za wiecznym, w wieczność kroczącym pogrzebem...

CIENIE.

Przez jasne liście majowe
Idę daleko.
Trumny się za mną wleką
W ros lśnieniu —
Płowe —
Milczące trumny z cieniu.

W trumny ciche cienie blade,
Powiewne zwłoki —
Niedosłyszane echa —
Tułacze obłoki —
Twarzą ku niebu kładę —
Trup się uśmiecha. —

Ciagnę je gnuśnie na giętkiej
Rozkwitłej świeżo
Gałęzi białej pamięci —
Tak cicho leżą
Te smętki...
Po piasku suną bez śladu

Skrzydłem owadu
Z poblaskiem rozpierzchłej rtęci...

Marya Komornicka.

WIEŻA ŚPIEWAJĄCA.

Trąć rymów akord. Grają. O czem? O czembądź.
Zali powiesz, co płacze w dzwonów grze? w wód fali?..
Pchnąć w dzwon serce, w dźwięk duszę, najprościej, najśmia-
Dzwonią-ć, drżą-ć, jak kochanków głosy o czembądź. [lej—

Dzwon rozbujali. Jęknął. Drży splot krokiew, bali...
Dzwony zwą-ć do płakania gdziebądź, gdziebądź...
W dali gór białogłowych na turnie się piąć,
Gdzie bialej coraz, czyściej, i ciszej, i dalej...

O, bądź mi pozdrowiona, ciszo farnej stalli!
Biali mi w dzwon dzwonnicy niechby z wyżyn grali!
Spłyń, zalej mnie, melodyo, szumem turni! Zbłądź,

O, zbłądź do mnie, ty falo! Graj mi pieśń łez, żali!..
Hej! — zdjąć brzemię tłoczące w dół, i wzwyż lot wszcząć,
W rozpieśnionej oddali, wśród hal, mórz — gdziebądź!

Jan Lemański.

SZYMONOWI ZIMOROWICZOWI.
Elegia.

Gdy beznadziejny czekasz Libityny

I cichym żalem dusza się odzywa,
Myśl moja w twoje ulata krainy,
Ta sama boleść z piersi się wyrywa.
Tak! Niechaj blizkim sercami i drogim
Lat tyle blada doda Persefone,
Ile nam cięciem zabrały złowrogiem
Okrutne Parki i nieposkromione.
Z uczucia szałem i krwi wrzącą falą
Weszliśmy silni w ludzkie pokolenie,
A oto członki w gorączce się palą,
Niechybne śmierci jawiąc wybawienie.
Więc bądźcie zdrowi, współbracia żyjący,
I słodka w gaju żegnaj Filomele;
Idę, gdzie potok porywa mnie rwący,
Gdzie los przedwcześnie z przodkami podzielę.
Na cichej stanę Elizejskiej błoni,
Gdzie boska Luna nigdy nie zachodzi;
Tam czuła Psyche znajdzie mnie w ustroni
I wnet powiedzie, gdzie bytują młodzi.
Tam Cię odnajdę śród tłumu w tej chwili —
I pamięć wdzięczną przyniosę Ci z ziemi,
A twoja twarz się uśmiechem umili —
I pójdziem razem ścieżkami srebrnemi...

Mi. Ja.

UDERZENIA.

Są głuche duchów błędnych uderzenia,
są myśli parte, jednak wtrzymywane,
są tak bolące otchłanie MILCZENIA,
jak dusze ludzkie, w granity wkowane.

Jak myśl Aniołów, pełna potępienia,
o gwiazd skrwawionych uderza się ścianę, —
tak ducha mego cierpię uderzenia,
tak myśli bolą, które wtrzymywane — —

Chciwego ŁONA pożogą skalane,
padają w niże Drugiego Milczenia:
w posępnych pragnień nieukojną ranę — —

Są myśli parte, jednak wtrzymywane —
są głuche duchów błędnych uderzenia. —

SMUTEK ŻYCIA.

Śliskie, wilgotne macki potwora
na duszy mojej sny promieniste
wpełzły — — i płacze zwiedziona, chora,
jak Ty w godzinę śmierci, o Chryste!

Ohydne smutki idą z wieczora
przez okien trupie źrenice szkliste — —
pełzną wilgotne macki potwora
na duszy mojej sny promieniste — —

Smutna błazeńska szata upiora
zaściela kirem szlaki gwiaździste — —.
Sfinksy, dławiące werwę aktora,
kładą na duszy sny promieniste
śliskie, wilgotne macki potwora.



* *

Odumarli mnie w drodze moi przyjaciele,
bom szedł na Nowe Życie — w Krainy Zachwytu!
— pogrzebali się sami w prochu i w swem ciele — —
sam! sam jeden wyskrzydlam ducha w toń błękitu!

Ciężko mi..! W dół spojrzałem —: jak w czasie zakwitu,
ród ziemski barwą błyszczy — — Śmierć te kwiaty spiele!!
— Jam wieczny! przyszłość moja w Krainach Zachwytu!
— Odumarli mnie w drodze moi przyjaciele — —

TAK MÓWI PROROK:

Po długiej Nocy Martwych — cóż będzie dla Świtu
prócz łachmana? — Ten stleje. — Skry niemasz w popiele!
O! Wiecznego Żywota nędzni tępiciele!

Sam jeden iść musiałem w Krainy Zachwytu — —
Odumarli mnie w drodze moi przyjaciele — —

PSALM MOJEJ WIARY.

Za nic mam zmącone fale przeczuć ciemnych
i płytki śmiech bezdusznej nędzy tłumu:
ja Ołtarz nocą palę, w misteryach tajemnych
oglądam świat i patrzę w pełzanie Rozumu — —
— — A gdy oczy dławię i spalam Tobą, Niepojęty!
Tyś — Bóg mój, bo w bezkresy idą Twoje ślady,
że dłonie Twoje męczą, więc chwalę Cię, Święty!
Jak uczeń w mistrza, patrzę w Ciebie — blady — —
— — i sił — — sił mi braknie! — Szatan dawał skrzydła;
spłonąłem, bo „on“ Twoją odwieczną Tęsknotą!
Dziś z niczego buduję: larwy i straszydła

czerepy kładą — zmęczony jestem tą robotą — —
Ach, objaw mi się białą zorzą Cudu!
wymów twe SŁOWO nad ślepem dziecięciem!
— ja nie wiem — oracz jestem pełen trudu — —
dla Ciebie? — spal mnie Twem zaklęciem!!
a gdy w stosie poruszy się Feniks, Myśl Nowa — — !
— — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — —
— Czy mam klaskać, czy płakać, nie wiem *dzisiaj, Panie!*
— popioły rozgrzebuję — — — Lśni kropla rtęciowa!
— to z niemocy zrodzona łza — — za MYŚL nie stanie!
— — — — — — — — — — — — —
Za nic mam zmącone fale przeczuć ciemnych
i płytki śmiech bezdusznej nędzy tłumu!
Ja Ciebie szukam w SŁOWA misteryach tajemnych —
— Jużem stąpił w przedsionek płonącego tumu.

Jan Rundbaken.

MELANCHOLIA.

„La chair est triste, hélas, et j'ai lu tous les livres."

Ostatnie słowa się złamały.
Zgasł na twych ustach uśmiech dziwny.
Za chmurę zaszło słońce złote
I zaszumiały w parku drzewa.
Powiędły bzy już i opadły,
A jeszcze nie zakwitły róże.
Paź zerwał struny swojej lutni,
Oczy królewny się zrosiły.
Wszyscy rycerze w zamku smutni.

Bohater zwątpił w swoje siły.
Trefniś w swej duszy ma tęsknotę,
Na łożu śmierci król wszechwładny.

Wszystko na ziemi już poznałem.
Żal mi, że nie mam troski żadnej.
Niczego nie chcę, nie dbam o nic.
— A więc skończona już rozmowa.
Smutne jest dziwnie twe spojrzenie.
Urwały się ostatnie słowa.
Okropna cisza jest dokoła,
Coraz to dłuższe, bledsze cienie.
Zginął mi w duszy obraz słońca.
Zagrały liście i szuwary.
Boję się tej melodyi końca.
Powoli mrok zapada szary.

Władysław Tatarkiewicz.

Tyle chwil zgasło — wszystkie z niebios rodem —
W których Bóg sercu spełnić dał marzenia...
Czemuż ta jedna wciąż się wypłomienia
Z mózgu, wciąż błyska okiem wiecznie młodem?

Chwila, gdy mi się wydarłaś z ramienia,
Dziewczyno, mlekiem płynąca i miodem!
Chwila — jak wulkan wrzący duszy spodem —
Wściekła od wstydu, zemsty, rozżalenia!

Czyż mogłem wiedzieć, że ten żal utraty

Wyskrzydli z serca taki blask bogaty?
Tylem zapomniał ust, sycących miody —

A niezdobyta zmysłów twych ponęta
W ranie pamięci wzrasta wciąż! Zaklęta
Perła przedziwnej, wyszukanej wody — — — —

Mamert Wikszemski.

CZARNE TUJE.

Owiły czarne tuje
Znużoną głowę moją:
Twój cień się przy mnie snuje
Jak blask wśród sinej mgły.

Na sennych oczach czuję
Bolesne ust twych płomię;
W me serce niewidomie
Spływają twoje łzy.

Twe myśli niepokoją,
Anielstwo twe się żali —
W powietrznej, szklanej fali
Źrenice twoje skrzą — —

Tęsknota duszę truje,
Sny jasne jej nie koją:
Owiłyż czarne tuje
Znużoną głowę mą!

Stanisław Wyrzykowski.

KAMIENNY BÓG.

W kamiennej ciemnej grocie, z boleści skamieniały,
Przeżywam dni ostatnie mojego żywota.
Poczęła mię myśl grecka i ludzkich dusz tęsknota,
Wyszedłem z dłoni mistrza świecący, nagi, biały.

A dziś mię więzi mokra, porosła mchami grota,
Żem jest od wody śliski, spękany i zmurszały,
Przez pierś żelaznym drutem przybito mię do skały,
U stóp mych gniją liście w kałuży pełnej błota.

Pamiętam raz — wiatr jęczał — wpatrzyłem się wybladły
W miesiąca krąg zielony — jak oko w mgłach rozwarte.
Wtem z hukiem (o nieszczęście!) ramiona mi odpadły!..

Odtąd lat tyle konam w powolnej, długiej męce.
O ciało moje, wilgocią bezlitośnie zżarte!
O ręce moje, wy biedne zdruzgotane ręce!!

Henryk Zbierzchowski.



OSKAR WILDE.
Apokryf idealny.

Oskar Wilde czyli świetność i nędza człowiecza.

To wiemy. Ale:

Oskar Wilde czyli ludzka potęga metamorfozy?

Wedle tej potęgi palingenetycznej świat dusz dzieli się na dwie kategorye:

na twory jednożyciowe (w świecie roślinnym odpowiadają im jednoletnie zioła, zboża, kwiaty)

i na twory wielożyciowe. Tu klasycznym symbolem jest Motyl; w nich istotnie zmartwychwstaje Psyche.

Więc może: Oskar Wilde czyli ludzka zdolność palingenetyczna.

I.

Pierwsze dane jaźni i losu.

Pierwszy akt życia. Pierwsza o(d)słona tajemniczego rdzenia istotnej duszy Oskara.

Natura bogata i niezwykła, dziedzicznie kulturalna, obudzona, czyli niepotrzebująca budzenia (w formie klęsk życiowych), wymagająca do zupełnego rozkwitu swych nadzwyczajnych własności (gotowych w pąku) podniet przyjemnych, t. j., względnie słabych, inaczej: podniet szczęścia, tak zwanych pomyślności.

I Los, któremu chodzi przecie tylko o ROZWÓJ swych wychowańców, daje mu te niezbędne tymczasem warunki rozwoju.

Oskar, otoczony zbytkiem, kulturą duchową i rzeczową, przyjaźnią i podziwem, wchłania w siebie „hojne dary“ otaczającej go atmosfery i realizuje wyzwolone przez nią energie w sposób dotychczas niewidziany — z kapryśną samowolą genialnego jedynaka.

To, co inni zdobywali w pocie czoła, — on przyswaja sobie z naturalną łatwością instynktu, atawistycznej już formy czucia i myśli. Długie procesy ewolucyjne stały się w nim zwięzłą kwintesencyą. Całkowanie dziedziczne — samorzutną prostotą wyższego rzędu. Żmudne ćwiczenia zabłysły w nim świąteczną paradą.

Jest w nim niesłychana giętkość i wygimnastykowanie, nieustraszone zuchwalstwo i karkołomna swoboda dzieci cyrku, co, zda się, ujrzały świat na trapezie i uczą się chodzić — na linie. Jest w nim i fachowość tych cygańskich „dzieci bandy“, ich wzrok nieomylnie krytyczny w rzeczach kunsztu, przedżyciowe wtajemniczenie.

Dziecko bandy estetycznej! do ostatnich granic wrażliwości i sofizmu rozwinięte, dzięki przyjaznym warunkom, co jak mądre wieszczki czuwają, aby się co do joty wypełniły wszystkie utajone cuda ich materyału doświadczalnego.

Zenit?

Być może, gdyby, jak tylu innych, powstał z surowszej gliny, *o własnym* mozole dobił się tego szczytu. Wtedy,

jak tamci, byłby się go uczepił mocno z tą jedną myślą, by z wysokości — nie zlecieć.

Ale dla niego — urodzonego linoskoka! dziecka bandy! przez rasę wyniesionego jak ramieniem jakiego Heraklesa lub Krzysztofa! Dla niego — autochtona Olimpu! Czemże dla niego jest zlecieć! Ciśnijcie ptaka w otchłań: będzie w powietrzu tańczył...

Taniec — prędko się sprzykrzy. Człowiek jest urodzonym galernikiem. Nieśmiertelni potwierdzają tylko ogólne prawidło. Źle mu w szczęściu. Bezradne skrzydła tęsknią do ciężkiej, ciężkiej taczki. Od tego rosną.

Zwyczajni nieśmiertelni zaczynają od galer, kończą na ułaskawieniu. Naprzód grom, co budzi, potem pogodny zachód słońca.

Ale cóż będzie z tym, co, nawspak, otworzył oczy na radość?

Chyba — nieszczęście.

A Oskar ma dość, dość pomyślności. Ziewa ze szczęścia. Znosi je przez nałóg poprostu...

II.

I oto z pod pierwszej warstwy jaźni ma się wydobyć druga.

Zwolna środowisko dotychczasowe (oplot warunków zewnętrznych, bezinteresowny dar czy „przyzwolenie“ Losu) staje się niewystarczającem. Dusza jak pisklę dusi się w skorupie tego psychicznego jaja. Zbliża się kres pierwotnej inkubacyi.

Dość szczęścia; to dlań teraz za dużo — za mało — wogóle niepotrzebne. Przesyt łączy się zawsze z niedosytem. Potrzeby zaspokojone znikają, demaskując ukryte

BIBLIOTHECA VNIV. IAGELL.

za niemi głodne innych paszcze. Oskar-Tannhäuser łaknie goryczy. Wyrósł z dzieciństwa pomyślności i trzeba mu czegoś — *„de sérieux"*. To, czem żył dotąd, to nie życie było, lecz zabawa. Świadomość ta zabarwia się lekceważeniem. Stara się być dopuszczonym do Powagi-życia. Ale ta wielka pani otacza się niezwyciężoną etykietą przed błyszczącym profanem. Jak Minotaur króluje w sercu labiryntu. Strażą pałacową są dziwne zaiste sfinksy. Świetny profan, odesłany z niczem, wraca do Wenusbergu. Lecz głód powagi, wniesiony do gry, staje się *Perwersyą*, ujawnia się okrucieństwem. Wykwintne ono — ironia, paradoksalność, umyślne stawanie na głowie, forsowanie wszelkiej nuty: oznaka przekwitów. Dojrzały do nowych eksperymentów losu, nie reaguje na nudne łaskotanie zbyt słabych już odczynników. Wszelka wymyslność myśli, uciech, wzruszeń—wyczerpana. Wszystko, co w dotychczasowym stanie rzeczy zdolen był *sam* stworzyć, pobudzić, wywołać, — wywołane. Trzeba mu czegoś *zzewnątrz*, niezależnego od jego woli a nawet najdalszej intuicyi, niespodzianego, absolutnie Nieznanego. Koniecznym staje się udział potęgi, co złamie zaklęte koło dotychczasowego kojca.

WYZYWA LOS.

Ukryty za wybredną ironią, wykwintną niedbałością goga Sztuki, paradoksem genialnym, cichą udręką wynalazczej nudy, Dajmon Oskara domaga się g r o z y życia; chce się zmierzyć ze Straszliwem. Ztąd magnetyzm zbrodni. Dlaczego pozostał jałowym? bo istotnie straszliwem jest tylko nieobliczone, niespodziane, od woli naszej niezależne. Autoinscenizacya kończy się zawsze fiaskiem — (o ile w kulisy nie wpełznie SMOK nieproszony).

On wyzwał smoka.

Cały sławny i gorszący skandal procesu wygląda od początku do końca na dzieło jego woli; nie tej zdawko-

wej, codziennej, świadomej — lecz owej głębszej, żywiołowej, zdradziecko za naszemi plecami spiskującej dążności ewolucyjnej, która, z nami lub wbrew nam, rzeźbi nasze przeznaczenie.

Patrzcie, z jak zuchwałą beztroską, z jak zimnem szaleństwem prowokuje apokaliptyczną bestyę; drażni się z nią, bluźni jej lekkomyślnie; za jakąbądź cenę, tyranicznie, obudza jej wściekłość. Czemu? bo *ona jedna* mu teraz potrzebna. Jak roślina do wody, tak on całą swą bezwiedną Psyche wyciąga się ku niezbędnej, dobroczynnej, wyzwalającej, twórczej KLĘSCE.

Smok przyjmuje wyzwanie niechętnie — jak zawsze; to ciężka bestya i z góry ma zapewnione zwycięstwo. Ostrzega. Radzi dobrodusznie: odstąp, póki czas. Ale się zbliża — bo Smokowi niewolno nie przyjąć wyzwania. To jego obowiązek — kata.

Zbliża się żółwim krokiem. Za każdym calem pyta o zezwolenie. Oskar przykuty do łoża szczęścia drży z niecierpliwości, za każdym calem to przyzwolenie daje. Drwi z potwora, urąga mu. Irytuje go ta powolność. Rzekłbyś: czuje się zelżonym, że się z nim obchodzą tak oględnie. Za cóż go mają? za gagatka Fortuny? Nie stać-że go na — ciężkie roboty? Przestanie-ż być sobą, gdy rzuci „słonecznik“, monokl, a nałoży kitel katorżnika? Kitel galernika! nowy szyk...

A Los-Dobrodziej, Los-Papa, który lubi, aby jego pupile pożądali swej konieczności i dopraszali się bata, Los-Mentor w swej wymyślnej a straszliwej dobroci dawał się w Oskarze rozwijać *apetytowi niedoli,* rozkwitać ostatecznemu Fiat tego demona Rozwoju.

Oskar, z własnej i nieprzymuszonej woli wykreślony z księgi wolnych ludzi, okryty hańbą, ścigany przez zemstę, oplwany śmiechem, podaje się łańcuchom.

Wyrok zapada. Dziecko szczęścia — galernikiem.
Co za awantura!
Lecz wtedy! — — —.

III.

O nędzo! o boleści!

Smok targował się o otwarcie paszczy. Lecz raz uczuwszy dobrowolny łup pod zębem — nie żartował.

Wszystkie siekacze potwora zatopiły się w ciele „jedynaka“. Erę piekła otworzył chrzest — brudnej kąpieli, w której, po oskrobaniu czterech drabów, zanurzono wykwintną skórę olimpijskiego więźnia.

Po dobrowolnym nadludzkim akcie przyjęcia męki nastąpiła ludzka, bierna katusza. Po szczytnem i nieugiętem CHCĘ — straszliwe, nędzne MUSZĘ, cierpienie bezprzytomne, w którem ostatnim śladem godności człowieczej było już tylko — znieść do końca, „cokolwiek się zdarzy“.

Zniósł. Chwała tym, co chcieli. Chwała stokroć większa tym, co *chcieli do końca.*

IV.

Smok gryzł go, żuł, ssał — aż go zgryzł, zżuł, wyssał, wypluł z paszczy krwawej. Gehenna go wyrzuciła — na paryski bruk.

Zgaszonego, mówią — bez talentu, sławy, pieniędzy, ojczyzny, przyjaciół; wygnańca samotnego i powtarzającego z pamięci dawne pańskie odruchy i błyskawice intelektu.

Tak mówią interwiewerzy brukowi. Tak chce moralność na użytek dusz dziecinnych, przed któremi zakryta jest wielka kabała życia. Tak chcą tych dusz pasterze, którzy wyzyskali świetną sposobność dla dotworzenia nowego stracha - pokusy ku nawróceniu grzesznych tchórzów. Ileż budujących przykładów na użytek ludzkiego drobiazgu wyrobiono w ten sposób! Całe muzeum pokazowych straszydeł czeka na odsłonięcie groteskowych masek z twarzy nieprzeczuwanie promiennych! O zacna przewrotności Losu! pełny humoru centaurze! zuchwale skrzydlata mądrości! Wielbię twe filantropijne skandale, twe okrutne zadośćuczynienia i rozczarowania radosne, wielki Machiavellu - Janusie!

Oskar Wilde, wynaturzony dekadent, po hańbie długiej katorgi wyszedł z więzienia złamany i pusty.

Tak chce potoczna moralność nizin.

Ale pod obłokami krąży legenda. — Oto:

Do ostateczności bezcelowem powodzeniem doprowadzony siłacz, poddał się, w braku czegoś lepszego, srogim próbom sromu i samounicestwienia, a wyszedłszy z nich zwycięsko, ujrzał się znów wolny pod niebem, wyższy nad sławę, pomyślność, talent, z którego wyrósł jak z paplaniny dziecinnej, w wyszarzanem ubraniu, lecz okryty jaśnią, samotny, lecz obcujący z Bogami, niemy i bez pozy w wielkości swej ciszy, — bezsławny bo nieśmiertelny widz i żywioł nieujęty świata.

Wedle wieści potocznej umarł opuszczony od wszystkich, w nędznej „szangarni“; złoto jego sztucznej szczęki poszło na koszta pozgonne, a trumna zeszła w ziemię bez łzy jednej.

Lecz legenda chce, że zastępy aniołów zleciały do izby, aby przyjąć duszę wyzwoloną do Raju, kędy, z łachmanów nędzy rozpowity, jaśnieje blaskiem „duchów gwałtownych“ i zwycięskich.

Ta legenda jest podobno fikcyą, którą obala cyniczna rzeczywistość i jej dokumenty. Legenda się nie spiera.

Ona tylko śmie twierdzić, że, w takim razie, fikcya ma racyę idealną, a cyniczna rzeczywistość zrobiła brutalne fiasco ze wspaniałym eksperymentem ewolucyjnym, który *„powinien był“* się dokonać wedle linii klasycznej nakreślonej przez legendę.

Takie cuda doświadczalne działy się już przecie. Gdzież się więc tutaj skrył fatalny błąd obliczeń?

Przyszłość może wyłowi zatopiony klucz tajemnicy.

Marya Komornicka.

Z nowej poezyi obcej.

BALLADA ŻYCIA POWIERZCHNEGO.

I rosną dzieci z głębią dziwną w oczach,
Co nic nie wiedzą, rosną, mrą sieroce,
I wszyscy ludzie idą swemi tory.

I z cierpkich słodkie robią się owoce,
I opadają w noc jak martwe ptaki,
I po dniach kilku gniją w traw omroce.

I zawsze wieje wiatr, i wciąż jednaki
Słyszym i mówim dźwięk słów różnych niby,
I czujem znużeń i rozkoszy znaki.

I drogi biegną śród traw, i sadyby
Wkrąg stoją gęste, w drzew, wód, świateł wianie,
Lub groźne znów, lub trupio zrosłe w grzyby...

Na co kto wzniósł je? i tak nieprzejrzanie
Wiele? i żadnej śród nich takiej samej?
Czyliż co zmienia śmiech, płacz lub konanie?

Cóż nam to wszystko i tych zmian omamy,
Nam, cośmy wielcy i sami od wieka
I celów — idąc — żadnych nie szukamy?

Cóż mi, żem widział tylu rzeczy rozczyn?
A jednak wiele rzekł, kto „wieczór" rzekł:
Słowo, z którego żal, zaduma ścieka,
Jako miód ciężki z dziuplowatych woszczyn.

WIELU JUŻCI...

Wielu jużci musi zemrzeć w dole,
Kędy statków ciężkie zgrzytają wiosła,
Inni żyją w górze tam, u steru,
Znają ptasi lot i gwiazd odległe kraje.

Wielu leży ciągle, z ołowiem w członkach,
U korzeni zgmatwanego żywota,
Innym krzesła, trony wzniesiono
W jaskiniach Sybill, w salach królowych,
I siedzą tam oto jak u siebie,
Z lekką głową, lekkiemi rękoma.

Lecz cień pada od żywotów tamtych
Na te inne, na górne żywoty,
I te lekkie tak są z ciężkiemi
Jak z powietrzem i ziemią związane:

Prazapomnianych ludów omdlałości
Otrząść nie mogę z mych ciężkich powiek,
Ani stłumić w przerażonej duszy
Głuchych waleń się gwiazd oddalonych.

Wiele losów z moim wraz się przędzie,
Byt je wszystkie plącze jakby w igraszce,
I mym działem więcej coś, niż życia
Gibki płomień albo szczupła lira.

PRZEŁOŻYŁ Miriam. Hugo von Hofmannsthal.

SYRENA.

O zmroku, gdy cichnie plusk fali,
szemrzącej wśród drobnych kamieni,
na morzu, w mgle szarej, w oddali,
słychać lament, śpiew słychać syreni.

Śpiew rośnie i w niebo ucieka
i wreszcie się łamie w rozpaczy,
a woda łka w algach; zdaleka
widmo żagla białego majaczy.

I sunie się z lekkim chybotem
łódź-widmo, wzdłuż cichych fal prądu,
w szarości, i niesie z powrotem
dusze smutne, stęsknione do lądu.

Lecz ląd się oddala zielony...
ucieka, ucieka wybrzeże
i wszystko unosi: i dzwony
Anioł Pański głoszące, i wieże,

i chaty nad skalnem urwiskiem,
w mgle szarej pomału niknące,

i dymy nad jednem ogniskiem,
i okienko to jedno świecące.

(*Z cyklu: Myricae.*)

POCAŁUNEK ZMARŁEJ.

I.

Poranek milczący i szary,
woń grzybów się ściele po łące,
na trawach łzy, w górze opary.

W bezruchu, w mgle lekkiej, przejrzystej,
topole ciemnieją drzemiące
i słychać pociągu poświsty.

Czy ranę mam w sercu? dziś we śnie
słyszałem płacz, słowa szeptane,
ktoś wzdychał nade mną boleśnie —

na ustach palącą mam ranę.

II.

I ktoś ty? czy kiedy się dowiem,
przypomnę? Zkąd przyszłaś tą nocą
zapłakać nad mojem wezgłowiem?

Płakałaś: jam czuł, jak w źrenicach
łzy wielkie ci świecą, migocą
i czułem ich zimno na licach,

i czułem, jak usta szukały

ust moich — i czułem ich drżenie,
i próżno wznieść chciałem, omdlały,

powieki — dwa ciężkie kamienie.

III.

Ktoś ty jest? Zkąd przyszłaś w noc ciemną?
Czyś blisko? czy widzisz mnie może,
Znasz, płaczesz w cichości nade mną?

Kto jesteś? (coś drgnęło w oparach)
Tyś pewno z tych drogich — o Boże —
a nie wiem, że leżysz na marach...

I nie wiem, dlaczegom drżał cały,
jak we mgle trzęsące się liście,
gdy głosy się dziwne ozwały

w dalekim pociągu poświście.

(*Z cyklu Myricae.*)

KIJ PIELGRZYMI.

Wyciął z gęstego płota kij sękaty,
popatrzył wkoło — a było to rano
(smutny, a słodki poranek). I w światy

poszedł. A płot ten zieloną był ścianą,
okalającą wielki cmentarz stary,
gdzie matkę jego kiedyś pochowano.

I błądził odtąd samotnie. Do pary

kostur miał tylko. Przez deszcze i spieki
szedł, to się ciesząc, to smucąc bez miary.

I widział góry, doliny i rzeki,
wszystko. A sercem wyrywał się skrycie
tam, odkąd stopy był, ach, tak daleki.

Wątpił o zmierzchu, a ufał o świcie,
i szedł wciąż dalej, gdzie wiodła go droga.
Martwy był owoc, ale kwiat miał życie.

U niezliczonych świątyń klękał proga
i tonął w modłach, lub stał na uboczy,
aby pozdrawiać ludzi w imię Boga.

A jedni „raka“ mówili mu w oczy,
a drudzy: „ave,“ inni uciekali,
podobni chmurze, gdy nisko się toczy.

Znużon jest teraz. Nie pójdzie już dalej
(był wieczór smutny a słodki), przystanie,
trochę odpocznie, trochę się pożali.

I stoi znowu przy zielonej ścianie,
znów przy tym samym płocie cmentarzyska,
gdzie jego matka ma wieczne mieszkanie.

Stoi a patrzy na mogiłę zbliska,
jak wtedy. Ale zmęczone jest ciało.
Co łkało w sercu, to serce znów ściska,

lecz niema tego, co w duszy się śmiało.
I oto stoi, schorzały, bez woli.
I spostrzegł nagle, że wiosnę już całą

przestał. A kostur wrósł w ziemię powoli
i żył, miał liście (ostatni się trzyma
jeszcze i chwieje), soki ciągnął z roli

pod stopą jego; przed jego oczyma
kwitł może. Teraz starzec, pochylony
nad nieruchomem swem życiem pielgrzyma,

zda się, w dalekie wędruje gdzieś strony.

(*Z cyklu: Poemetti.*)

PRZEŁOŻYŁA Anna Bronisławska. Giovanni Pascoli.

TA Z RELIKWIARZA.

Patrz! idę z relikwiarza melancholii oto
I sunę niewidzialnie przez komnatę złotą,
Gdzie wszystko, co po zmarłych twoich pozostało,
Spoczywa w cennych skrzyniach, obramione chwałą.
Jam ta — co ich pamięci zaduszne dni święci
I zbiera zwolna wieczorem skróś cienia
Z wnętrza klejnotów czarnych łzy milczenia.

Oto zmierzchu wyroczna i smutna godzina...

Jestem relikwią twej miłości bladej,
Kwiatów i rzeczy, których zatarte już ślady;
Jam ta, która ci twoje zmarłe przypomina,
Choć one padły do zapomnień dołu
Z tą nikłą, białą wiązanką pospołu
Lilij, rosnących na stawie.

Patrz! ich naszyjnik w łamliwej oprawie
Dzierżę dotychczas zbożnemi palcami...
A skoro-m ścmiła spojrzeń pożegnalnych tyle,
Stałam się cząstką i pierścieni onych,
Leżących w pyle,
Osamotnionych
Po za grobami.

Wieczór nadchodzi i zcicha wydzwania
Anioł Pański za zmarłych śród twego mieszkania.

Twych antenatów rudowłosych pomnę:
Toć oni byli niedawnemi czasy
Bohaterami twej rasy...
Jeden z nich dał ci męstwo chciwością ogromne
I śnienia za kraj świata mknące niespokojnie;
Popatrz na jego medale i krzyże! —
A kędyby cię stopy nie poniosły chyże,
Wspomnij tych, którzy w mękach konali na wojnie,
Gdy, mając pełne usta krwią przesiąkłej ziemi,
Gryźć ją musieli... Dzisiaj przed oczyma twemi
Kłębi się ich nienawiść i pociski świécą;
Oto ich ostre szpady, tnące błyskawicą —
I pióropuszów las się barwny jeży,
Co wiał niegdyś nad strojem złocistym rycerzy. —

Godzina pocałunek na witrażach składa...

Oto księga nabożna o klamrze poczwórnej! —
Z niej się modlili wszyscy twoi od pradziada,
Gdy im Chrystus rozświetlał szlak żywota górny.
Tam we floresach i święte Patrony
Z kwiatami w ręku; z postawy atleci,
W ornatach z lamy, lecz korne jak dzieci,

Znaczą grubą pozłotą proste antyfony.
Choć znaki żółte palców i brzegi naddarte
Nadwerężyły niejedną już kartę,
Moc jednak i powaga bije z księgi starej,
Gdyż przez wiek cały ducha sączono w nią wiary.
W inkrustowanych kasetach mych na dnie
Więżę oczka turkusów patrzące bezradnie
Obok onyksów — a pamięć ich żywa...
Tam jutrzenki różowe błyszczą do tej pory,
I fioletową mgłą proszą wieczory
Stopione razem w dzwonne ogniwa.

Gdy stawię nocą tu kroki bezgłose,
Wszystkie relikwie odwiedzam koleją
I źdźbła melancholicznej miłości im wniosę,
Wówczas mnie głosy żałosne owieją
Z dali mrocznej i smutnej, że tak — zda się — raczej
Biada jakaś bezsterna, błędna łódź rozpaczy,
Gdy złoży wiosła czarne krzyżem na swem łonie.

A widząc, że w klejnotach i cackach gniew płonie,
Że tęsknią kwiaty, — żalę się ich męce;
Więc oczu stałą pieszczotą je darzę,
To pelą włosów swych okręcę,
To hołd im składam rąk pokłonnym gestem
I służebnicą ich milczenia jestem...

Godzina już śmierć rzuca na ścmione witraże. —

Inne relikwie koją gwałtowność daremną
Dyamentów i wnet się zdrzemną;
Lecz te — co w tobie — czają się, by ożyć z chwilą,
Gdy się twych wspomnień wierzeje rozchylą...

Słuchaj i pomyśl: nadchodzi godzina! —
Bo w twych ścianach podzwonne łkać znowu poczyna.

Patrz! strojna w świetne, choć żałobne szaty,
Jestem strażniczką tej złotej komnaty,
By w tobie rzutem niemego kamienia
Do dna poruszyć martwą toń sumienia.

(*Z cyklu: „les Vignes de ma muraille"*).

PRZEŁOŻYŁA
L. Kalenkiewiczowa (El-ka). Emil Verhaeren.

Kronika miesięczna.

GLOSSY.

Warszawa mogłaby być jednem z najpiękniejszych miast w Europie, gdyby należycie korzystała ze swego położenia. Niestety, zamiast dążyć do objęcia z obu stron rzeki i przeniesienia nad tę naturalną arteryę głównych ognisk swego ruchu i życia,—przez cały ciąg ubiegłego wieku, wbrew tradycyom starego miasta, oddalała się od niej bezplanowo, bezładnie, tworząc ciasne, przykro proste ulice i jeszcze przykrzejsze między niemi, bezcharakterowe domów kwadraty. Kolosalny obszar Powiśla, tyle zawierający w sobie ciekawych rozwiązań, wegetował tymczasem, zwłaszcza od chwili powstania zjazdu Pancerowskiego, lub zapychał się, wbrew wszelkim zasadom nie estetyki już tylko, lecz i higieny, fabrykami, których dymy i wypary, niesione powiewy odrzecznemi, przesycały i tak coraz gorsze miejskie powietrze. Myśl naprawienia tego błędu zasadniczego nasuwała się niejednokrotnie i niejednemu. Miasto odbierało nawet (jak np. w słynnym projekcie Devarsa) zupełnie pozytywne i sformułowane w tym kierunku propozycye, które jednak dla takich czy innych powodów nie dochodziły do skutku. Drobne, z Powiślem związane a przez zarząd miejski na własną rękę podjęte roboty, jak np. zjazd od ulicy Karowej, są pod obu względami: i estetycznym i praktycznym, prawdziwie wystawowemi bezmyślnej mizeryi okazami. Zdawaćby się mogło, że budowa tak dawno i gwałtownie potrzebnego nowego mostu u wylotu alei Jerozolimskiej powinna była zwrócić uwagę, czyją należy, na konieczność wygotowania głębiej obmyślonego, twórczego planu regulacyjnego całej, dotychczas po macoszemu traktowanej, a właściwie o przyszłości miasta stanowiącej dzielnicy nadrzecznej, z uwzględnieniem odpowiednich na dziś i na jutro arteryj komunikacyjnych między górnem miastem i dolnem. Wbrew słusznym oczekiwaniom, ze zwykłą bezplanowością ogłoszono konkurs tylko na szczegół pojedynczy tej wielkiej całości, t. j., na dojazd do mostu przez aleje Jerozolimskie. Co gorsza, z szeregu nadesłanych, niekiedy bardzo pięknych projektów, wybrano ową homerycznego śmiechu godną, wstydem war-

szawskie budownictwo okrywającą, ścianę z windami, która, w razie wprowadzenia jej w wykonanie, byłaby na długo (aż do nieodzownej demolacyi) murem odgradzającym Warszawę od jej naturalnych, nieuniknionych dążeń i zadań. Dzięki protestom estetyków naprzód i artystów, a potem Stowarzyszenia Techników, wiekopomny ten ze swej naiwności projekt wstrzymany został — i podobno nowe jakieś, w szerszym już zakresie, konkursy ogłoszone być mają. Sam fakt wszakże i pojawienia się tej *énormité* i wyboru *jej właśnie* z pośród licznych projektów, w połączeniu z przesmętnym naogół, z punktu widzenia estetycznego, stanem inżenieryi i budownictwa warszawskiego (*vide* wspomniany zjazd od ulicy Karowej, oraz wszystkie prawie budowle, od kościołów do kamienic), słuszną przejmuje obawą, czy i te nowe zamierzenia dość przewidująco, nie dojutrkowo, i dość twórczo, z odpowiedniem wyzyskaniem warunków położenia pomyślane zostaną. Warszawa rośnie jak na drożdżach, ale w jakiś trafowy, barbarzyński sposób, hańbiący poprostu w epoce angielskich *garden-cities*. Bezładny, bezcharakterowy konglomerat jej powiększają nieustannie coraz nowe zlepki pozbawionych również planu i charakteru, niemających ani placów ani ogrodów, ciasnouliczkowych dzielnic i przedmieść. Z rozrostem tym potęguje się ruch wozowy i pieszy, któremu za jakie lat 50 nie podołają stanowczo ciasne już nieco dzisiaj centralne arterye miejskie: Nowy Świat z Krak. Przedmieściem i aleją Ujazdowską, oraz wstrętna w bezperspektywowej prostolinijności swej ulica Marszałkowska. Dzisiaj już, z góry myśleć należy o otworzeniu nowych wielkich dróg, bulwarów śródmiejskich, rozłożystych *avenues*, któreby temu wzmożonemu ruchowi należyte dały ujście, a zarazem doprowadziły do zacieśniającego się coraz bardziej środka miasta nieco powietrza. Te wielkie, szerokie, hojnie zadrzewione ulice wyobrazić sobie można, bez nadmiernych ekscesów demolacyjnych, tylko na stoku między Nowym Światem i Krak. Przedmieściem a Wisłą: jedna mogłaby biedz w jego połowie, mniej więcej od ulicy Rozbrat do Marjensztatu, druga nad samą rzeką. Połączenie pomiędzy niemi oraz dzisiejszą arteryą centralną winienby tworzyć, zamiast obecnych prostopadłych i przeto stromych przecznic, szereg ukośnie, łagodnemi spadkami zbiegających ulic i uliczek. Tak więc sprawa Powiśla nie ogranicza się do kwestyi jakiego takiego połączenia dolnej dzielnicy z górną. Chodzi o coś znacznie ważniejszego: o dającą się już dzisiaj przewidywać konieczność przesunięcia całego centrum miasta bliżej ku rzece i o znalezienie dla wielkiego przedsięwzięcia tego najodpowiedniejszych rozwiązań. Czy mamy ludzi

fachowych, zdolnych do tego rodzaju planowań na wielką skalę? Z dzisiejszego sądząc wyglądu Warszawy, wątpićby o tem raczej należało. Ale może znalazłby się ktoś z młodych, którzy nie zagrzęźli jeszcze w ciasnej rutynie, nie zatracili jeszcze fantazyi i smaku, nie stali się jeszcze prostymi wyrobnikami technicznymi. Ostatni konkurs na dojazd do mostu mógł pewne w tym kierunku rozbudzić nadzieje. W każdym razie, aby daremnie nie wywalać drzwi dawno już otworem stojących, należałoby się przedewszystkiem zaznajomić z tem, co gdzieindziej, w zakresie budownictwa miast, przekształcania dzielnic, rozszerzania przedmieść i t. p., po dziś osiągnięto. A osiągnięto bardzo wiele. Świadczą o tem zarówno imponujące urzeczywistnienia w Wiedniu, Monachium, Brukselli, jak i cały szereg dzieł wyczerpujących lub broszur zwięźlejszych Buls'a, Sitte'go, Stübben'a, Henrici'ego, Göller'a, Gurlitt'a i innych. Aby przestudyowanie tych rzeczy miało doprowadzić do jakichś naśladownictw i egzotyczności, obawiać się niema potrzeby. Dla istotnie zdolnych, twórczych jednostek (o niedołęgów nie chodzi) będzie ono tylko rozszerzeniem widnokręgów i stymulem pożądanym, a przedewszystkiem przypomni, komu należy, dwie następujące, zapomniane u nas widocznie, albo też niezrozumiane w dostatecznej mierze reguły:

1) że bez należytego planu przewodniego wielkie miasto może *rozrastać* się niezdrowo, lecz nigdy *rozwijać* pomyślnie;

2) że estetyka miast, polegająca na twórczem wyzyskaniu warunków miejscowości i sharmonizowaniu z niemi całego rozkładu ulic, placów, parków, budowli, — nie jest zbytkowym jeno dodatkiem, bez którego obyć się można, lecz streszcza w sobie wszystko, co stanowi o pomyślnej ewolucyi danego wielkiego mrowiska, i przeto stanowi istotną, wyższą od najpraktyczniejszych brzydot, praktyczność.

Tredecim.

POWIEŚĆ.

Wł. St. Reymont. *Chłopi.* 2 tomy. Warszawa. Gebethner i Wolff. — *Z jednego strumienia*, szesnaście nowel przez dziesięciu autorów, z przedmową E. Orzeszkowej. Warszawa. Skl. gł. w księg. Wendego i Sp. — Stefan Żeromski. *Aryman mści się. Godzina.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — An. France. *Historya komiczna.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — St. Przybyszewski. *Synowie ziemi.* Lwów. Księg. Polska. — M. Pawlikowski. *Obrazki i opowiadania.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — A. Gide. *Prometeusz źle spętany.* Lwów. H. Altenberg. — A. Czechow. *Opowiadania.* Warszawa. M. Borkowski. — Z. Niedźwiedzki. *Erotyki.* Lwów. Księg. Polska. — M. Jokai.

Biała dama z Liwoczy. 2 tomy. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb.—J. Terpiłowska. *Przystań.* Warszawa. Gebethner i Wolff.—P. Bourget. *Po szczeblach.* 2 tomy. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb.—E. Orzeszkowa. *Mirtala.* Warszawa. Gebethner i Wolff.—G. Zapolska. *Jak tęcza!* Lwów. Księg. Polska.—T. Prażmowska. *Romans Gąski.* Warszawa. Nakł. i druk S-nów Niemiry.—Multatuli *Maks Hawelaar.* 2 tomy. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb.— G. de Maupassant. *Na wodzie.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb.— K. Gliński. *Obrazki z przeszłości.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. —M. Konopnicka. *Na normandzkim brzegu.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — M. Prévost. *Listy do Frani.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — G. Daniłowski. *Dwa głosy.* Warszawa. Gebethner i Wolff.—A. Miller. *Trzy cmentarze.* Warszawa. J. Fiszer. — W. Przeradzka. *Fragment.* Warszawa. Nakł. F. Przeradzkiego.—W. Żmudzki. *Z pamiętnika psychopaty.* Lwów. Księg. Polska. — *Wybór nowel francuzkich,* tłóm. M. Rakowska. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — G. Deledda. *Po rozwodzie.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — A. Gjems Selmer. *Nad dalekim cichym fiordem.* Warszawa. G. Centnerszwer i Sp.— A. Niemojewski. *Listopad.* Łódź. Rychliński i Wegner.—St. Nałęcz Ostrowski. *Przed burzą.* Warszawa. Gebethner i Wolff.—Hall Caine. *Izrael.* Warszawa. H. Cohn.

Chłopi: *Jesień, Zima,* przez Władysława Reymonta. —W porę, symptomatycznie przyszedł utwór Reymonta: „zwierciadło“ przedhistorycznego chłopstwa polskiego — w przededniu jego gromadnego wejścia „z wolnej i nieprzymuszonej woli“ na widownię dziejów.

W prawdzie, gdyby autor był poczekał nieco, to współczesne wypadki i bijący z nich nastrój byłyby może wpłynęły i na podniesienia dzieła na wyżyny np. CHŁOPSKIEJ EPOPEI. Byłoby to nawet do odrobienia w następnych częściach tej tetralogii, gdyby autor chciał poświęcić plan pierwotny i tomową proporcyjność dzieła szerszym aspiracyom twórczym, których istnienie zdaje się potwierdzać epicki finał 2-go tomu (zkądinąd historyozoficznie całkiem chybiony). Jakkolwiekbądź — w oczekiwaiu rapsodu jakiejś pepesowsko-maryawickiej Iliady Mazurskiej, — przypatrzmy się Reymontowi-*naturaliście* i w jego czarodziejskim kalejdoskopie oglądajmy przyszłego bohatera dziejów i sztuki, w przededniu duchowej i społecznej rewolucyi czy rewelacyi.

Tu zgorszyć się musimy wszelkim w autorze brakiem dreszczu proroczego, wszelkiej intuicyi historycznej. Rażącą jest poprostu w jego dziele nieobecność jakiegobądź śladu ideowych czy nawet tylko agitatorskich fermentów. Tłómaczy się to dwojako: popierwsze, dominującym w autorze wpływem *folkloru,* jego barwistości tak ponętnej dla sensualizmu artystycznego; powtóre—genezą dzieła.

„Chłopi“ są jedynym w swoim rodzaju eksperymentem twórczym. Tu wchodzimy już nie w kontakt, lecz pod niepodzielną władzę Bartkowego królestwa. Artysta zamknął się w samem jego sercu, zidentyfikował się z przedmiotem studyów, usiłował posiąść go przez absolutne i bezpamiętne oddanie się, z właściwą sobie determinacyą zanurzył się weń z głową. Nic przeto dziwnego, że się

tak dzielnie podjęte zadanie udało; nietylko posiadł doskonałą znajomość chłopskiego życia, inwentarz jego domowy, gospodarczy, obrzędowy i t. d., wszelkie postawy jego namiętności, prac, zabaw i wytchnień; nietylko odczuł i uwydatnił *odwieczny ład,* utrzymywany w tej masie kmiecej potęgą zwyczaju, ugruntowanej klasyfikacyi zajęć, stanowisk i symbolów religijnych; — co ważniejsza — posiadł istotę duszy chłopskiej, przyswoił sobie jakby źródło żywe i oryginalne jej bytu, zkąd płyną jej odruchy uczuciowe i językowe.

Nic dziwnego również — niestety — że przy takiej niemal medyumicznej metodzie stracił wszystko inne z oczu, nie zestosunkował swego objektu z epoką i całością społeczeństwa, nie zachował w sobie żadnej krytyki niezależnej, żadnego historyozoficznego rzutu oka. Został w zaczarowanem kole „wsi głuchej". Co prawda — jeżeli to może być kompensatą — wydobył wszystkie jej zaklęte skarby.

W tych naturalnych swych ograniczeniach zamknięte dzieło jest jednak jeszcze niemałym wysiłkiem twórczym. Autor — instynktownie ciążący ku tematom rozległym — zadał tu swemu talentowi trud godny jego sił. Tu już nie chodzi o jakąś względnie prostą, kilkuosobową figurę psychologiczną, lecz o problem gromady, o odtworzenie organizmu Wsi we wzajemzależności jej ruchów drobinowych (indywidualnych), funkcyonalnych (grupy wedle płci, wieku, majątku i t. d.), wreszcie pospólnych (chwilowe syntezy nastrojów religijnych, roboczych, opiniowych, bojowych i t. d.). Jak jaki Gargantua, wyrosły na mleku Syreniem, musiał autor położyć sobie na dłoni swe Lipce (nazwa wsi-bohaterki utworu) „niby srebrną misę o modrych wrębach lasów, przez którą, jak srebrne przędziwo... migotała rzeka" (t. II. str. 4.). Obfitość przytem materyału wymagała złożonego procesu tworzenia. Natchnienie przyzwało do pomocy *ład,* któryby rządził temi rojami ludzkiemi, kwatermistrzował im roztropnie w ramach dzieła. Z improwizacyi trzeba było przejść do kompozytorstwa.

I oto mamy pomnikową „historyę naturalną" tej odrębnej odmiany ludzkiej, którą jest chłop polski — wnuk puszczy, syn piachu, — o historyi niemal geologicznej tylko, dobywający się na powierzchnię życia ogólnego wraz z gruntem ogołacanym z lasów, które kołysały tysiącletnie jego bytowanie; zagadkowy tym niepomiernie długim snem, atawizmami, które ten w nim złożył, nieodcyfrowanym sensem odwiecznej niedoli i nędzy, wreszcie utajonemi potęgami, które w nim nagromadziło kolejne działanie wytchnienia i ucisku.

Chłop Reymonta nie jest tym „młodszym bratem szlachcica",

którego w nim niektórzy z rozrzewnieniem dopatrują. Przeszedł on szkołę tak odmienną, że junacza fantazya, która jest cechą narodową, a dominantą szlacheccyzny, w nim schodzi na drugi plan, zjawia się tylko okolicznościowo. Tu przeważającym stanem ducha jest „ton ostry, zapamiętały, mazowiecki", jest c h o l e r n o ś ć. Pierwotna słowiańska zgodność, bierność, opieszałość, pod wielokrotnem działaniem niewoli, nędzy, krzywd i walki o byt, ustąpiły znacznie energii zaciśniętych zębów, hardości stłoczonych uraz, zgryźliwości trosk nieustannych, cierpkości twardego doświadczenia, nieustannemu wrzątkowi gniewnych przekleństw, — temu jednem słowem h u m o r o w i w ś c i e k ł e m u, który wogóle znamionuje przejście od śpiączki do wolności, a w szczególności charakteryzuje współczesne demokracye. Wysunięcie na pierwszy plan tej gwałtownej goryczy wyróżnia Reymontowego chłopa od wszelkich Konopnickich, Prusowych i innych chłopów naszej literatury i jest jedyną w nim cechą epoki. Inne rysy jego charakteru — somnambulizm, hulaszczość, „poredzanie", chciwość (inny rezultat twardej doli, lecz jakże złagodzony i daleki od ohydnej namiętności typów Zoli) i t. d., zanotowane już przez poprzedników Reymonta, znalazły w nim tylko wyraz indywidualny, często dosadniejszy, lokalnie barwniejszy, pełniejszy.

Reymont bowiem jest wirtuozem ekspresyi charakterystycznej i grotesku. Ucieleśnił duszę chłopską w całej galeryi bajecznych typów (chłopskie matrony, gospodarze „kwardzi", ewangeliczni nędzarze, opętańcy młodzi, dzieci...). „Stawia" on swe figury z niezachwianym aplombem intuitywnej pewności; chwyta z niezrównanym humorem ich dualizmy prostacze („przysięgała się przed tą Częstochowską, że świnia jej"...). Świetnym jest w d y a l o g a c h (dziw, że go nigdy nie skusiła scena). Przepysznie charakterystyczne, szeroko rubaszne, to znów subtelnie ironiczne, ostre lub cierpkie, umajone nieocenionemi aforyzmami i rymami przysłów, przechodzą one niekiedy w dziwne rozhowory dusz komunikujących sobie swą tajemniczo rozkwitającą wiedzę o wszystkiem. —

P l a n dzieła jest prosty i szeroki. Idąc za natchnieniem prawdziwego artyzmu, autor zaczerpnął go z natury samego przedmiotu: chłopa-gromady, poddanego ziemi i żywiołom. Rozczłonkowanie materyału wedle odwiecznego cyklu Pór nasuwało się samo przez się, a wprowadzenie tego zegaru „Dni i Prac" nadaje dziełu urok swojskiego „poematu natury", podtrzymującego tradycye klasycznej starożytności.

Inauguracyą jesienną kierowała myśl celowa i dojrzała: siewów, zaczątków przyszłego życia, powierzonych na daleką metę

zstępnej fali życia, które, dążąc do swego minimum, w zimie ma przejść przez punkt martwy, by ku wiośnie nanowo zatętnić i coraz intensywniejszym rytmem dążyć ku maximum letniego rozkwitu, wybujałości. Stopniowanie to jednak nie jest dostatecznie przeprowadzone w akcyi; spotykamy tu raczej wciąż odnawiające się ku niemu intencye. Zresztą nie przesądzajmy o całości.

F o r m a powieści jest zresztą nienowa. Autor wypełnił tylko gotowe ramy. Głównemi organami są tu całostki epizodyczne; rzecz otwierają „opisy natury". Te zaś składniki istotne uważał autor za stosowne powiązać ze sobą tokiem opowiadania w tonach niższych.— E p i z o d y są liczne i przeważnie wysokiej wartości. Niezapomniane są niektóre, np. szał taneczny o świcie, w ciemnej izbie, w szafirowych smugach księżyca; albo zadymka w lesie i śmiertelne znużenie zbierającej susz kobiety; albo bukoliczna scena kochanków w oborze. Cały wogóle romans Jagny i Antka, chłopskiej Galatei i wściekleca, jest arcydziełem odczucia i potęgi. To Reymontowy „Tristan i Izolda". Uroczo naiwną jest scena dzieci, sprawdzających, czy w Wigilię „krowy ludzką mowę znają". Są tu zresztą niespamiętane dziwy i cudności. — „O p i s y n a t u r y" („koncertowa" strona artysty) urastają nierzadko do poematów czasu, ziemi i nieba, zachwycają grą żywiołów i zespołem wszelkich zjawisk w jeden nierozpłątany wir życia. — Co do o p o w i a d a n i a, w którem poprzednie części dzieła zaznaczył, to, mimo że usiane gęsto ciekawym szczegółem, jednak *artystycznie* było zbyteczne (nie mówiąc już, że rozwlekło rzecz niepomiernie). Podobne w powieściach m i ę d z y-a k t y są swojskim przesądem. Stworzyło go lenistwo lub niezaradność inicyatorów tej formy, ustalił precedens. Najwyższe formy artystyczne są od nich wolne. Wyczerpującym być można bez rozwlekłości. Moment powinien skupiać treść dni wielu, jak soczewka promienie. Nie jesteśmy wrogami starych form—broń Boże! Niechaj tylko adaptują się z żywem natchnieniem, a nie zamieniają się w wygodną pochylnię dla odruchowej myśli.

R. ma ogromną siłę nastrojową i p l a s t y c z n ą. Pierwotna jego natura wprost w oczach naszych przetwarza świat na swoje wyobrażenie. Dodajmy słowiańską d u c h o w o ś ć wrażeń. W szczepie tym projekcya stanów wnętrznych jest mniej stanowczą niż w innych, zachowuje jakby ciepło miazgi, która ją wypromienia; Psyche jest intuicyjnie świadomsza swej złudnej roboty. Działa tu zapewne owa specyficzna skłonność do marzeń, która na dwóch skrajach skali stwarza gapę — i wieszcza. Ztąd łatwe chwianie się aksyomatu rzeczywistości, ztąd transpozycya uczuć na obrazy. Ztąd

predestynacya do ultra-psychologicznego stylu. R. posiada go samorzutnie. Miewa huragany i tęcze słów, określenia świeże jak wiosenne kły hyacyntów, otwiera słowami tajemniczą grotę duszy, kędy „wybłyskają“ i „przygasają“ uczuciowe emanacye jaźni. W tych wizyach zjawisko duchowe zdaje się powracać do swego źródła, przenikać swój substrat fizyczny, rozświetlać ten punkt dla wiedzy niepochwytny, tę obrączkę przymierza, z której wystrzela korzeń — i kwiat. Święty dreszcz nas przebiega, żeśmy oto u genezy życia —

Lecz i tutaj łączy autor olśniewające uzdolnienia z rażącem lekceważeniem kunsztu. Jest on dotychczas bez stylu, rozrzutnym tylko bogaczem słów wszelkich. Brak mu dyscypliny, ostrej, wewnętrznej czujności artystycznej. Nie ma ambicyi fachu. Pozwala sobie na monotonie, blagi, pośpiechy, niedbalstwa, nadużycia przymiotników, zwrotów na „iż“ „że“ „tak“ i t. p. (czysta piła!), podlega obsesyi krągłego okresu, przeciąga „rzewliwości“ i „tęsknice“ jak Barcewicz. Nie ma w krwi, świętej maksymy Sztuki, że wszystko, co nie jest niezbędne, jest zbyteczne. Negatywna, redukująca strona kunsztu w zupełnem opuszczeniu.

Z quasi-dyalektu, którym są pisani „Chłopi“, dałby się wyciągnąć cały słownik mazurski. Dla cudzoziemca niezrozumiały, ciekawy, prostacki i jędrny, twórczy, onomatopejowy, język ten nosi ślady tych przyczyn niepochwytnych, które go wytwarzają, tych „klusek w gębie“, dławionych przekleństw, głębokich ekstaz, gestów naśladowczych. Wyborne są również kręcenia już gotowemi wyrazami w myśl nowych zaoczeń (np. „samson“) i zwroty swoiste, pachnące izbą i polem, pełne niespodzianych skojarzeń, pomysłów niemal fantastycznych.

W „Chłopach“ zbiegło się długoletnie doświadczenie polskiego folkloru i sztuki narodowej w swym okresie wstępnym, szukającym dróg i materyału. Dzieło Reymonta ujęło tę bogatą pracę w akord syntetyczny i stoi na pograniczu ery nowej, w której u zbiegu ścieżek empirycznych zakipi źródło, ze stosu buchnie płomień zbudzonego i pełni sił swych świadomego GENIUSZU NARODU.

Z jednego strumienia, szesnaście nowel przez dziesięciu autorów z przedmową E. Orzeszkowej. — Książka, poważnych rozmiarów i pięknie wydana, — mimo liczne współpracownictwo ma charakter ściśle jednolity, monotonny niemal. Oddzielne nowele stanowią jakby rozdziały tej Księgi Niedoli polskiego żydostwa. Owiewa je duch wysokiej i czystej filantropii (w znaczeniu wyrazu etymologicznem), przenika wzruszenie litosnej sympatyi; rzadszym jest koncept lub humor, jeszcze rzadszą ciekawość bezstronna, badaw-

cza. Jak z przedmowy zacnej inicyatorki i z ducha całości wypływa, dzieło to jest raczej dokumentem, manifestacyą szlachetnego stosunku polskich twórców do współczującego z nami od wieków i upośledzonego plemienia Izraela; — na czoło przeto wysuniętym został zwłaszcza pierwiastek moralny, sercowy, i utwory tym czystym, ciepłym humanizmem natchnione. W tym akcie życzliwości i dobrej woli słabiej się przeto uwydatnia żywioł chłodniejszy, lecz może bogatszy w barwy i donioślejszego znaczenia: żywioł dociekań psycho-społecznych, etnologicznych. Nic w tem dziwnego: naprzód, zbliżenie się nasze do mas żydowskich miało podstawy etyczne; powtóre, łatwiej Polakowi o łzę wzruszenia, niż o bystrą życzliwość naukową takich np. Francuzów. Ztąd jednostajność trochę biadającego głosu litości (zkądinąd najzacniejszej); ztąd jednostronne pogłębienie tematu i znajomość stosunkowo powierzchowna jeno wszystkim dostępnych szczegółów. *Całokształt życia żydowskiego* dostaje zaledwie kilka przenikliwszych promieni, a to w nowelach Junoszy („Cud na Kirkucie") i Orzeszkowej („Silny Samson"). Ten ostatni zwłaszcza wtajemnicza nas genialnie w oderwany i halucynacyjny żywot talmudysty, rzuconego z wielką prawdą na bogate tło żydowskiego mrowia, jego nędzy i uciech, — a moment zetknięcia się marzyciela z rzeczywistością został oddany zwięźle i z potęgą. — Wszystkie w książce zamieszczone utwory są mniej więcej znane już i piór sławnych. Spotykamy się tu z bajecznym „Chałatem" Gomulickiego; ze sławną „Chawą Rubin", tak powściągliwą i rzetelną, Świętochowskiego; wreszcie ze słusznie głośnym „Srulem z Lubartowa" (Szymańskiego), usynowionym przez ziemię przybraną za to, że wiele — tęsknił. — Kilka piór mniej mistrzowskich nastroiło się do ogólnego tonu i nie psuje wrażenia, choć niczem go nie przymnaża (Daniłowski, Dalecka).

Aryman mści się. Godzina, — przez Stefana Żeromskiego. — Książka ta, w linii artystycznego rozwoju autora, zaznacza moment nader ważny: świadome porzucenie jarzma szablonów realistycznych, oraz poddanie się wolne a nieprzymuszone indywidualnej intuicyi twórczej, skłaniającej się do streszczeń symbolicznych, do wielkich, uroczystych skrótów idealnych. Niniejsza jednak rzecz, mimo „lwi pazur" stylu i przepychu inwencyj poszczególnych, do najudatniejszych nie należy. Myśl utworu—zemsta materyi na człowieku, który ją w sobie zgwałcił w imię ducha, — inaczej: niezniszczalne fatum „podwójnej jedności" ludzkiej, przedstawia się w dziewiczym Janie-pustelniku i jego niewieściej pokusie chudo, wątło, zbyt specyalnie, nie mówiąc już o groteskowo okrutnym

obrazie Jana *upalającego sobie palec za palcem przez noc całą*... Należałoby przytem sprostować stanowiące w utworze ideę fundamentalną złudzenie, jakoby ascetyzm płciowy i odludztwo były bezwzględnemi prawidłami „magów,“, tych mistrzów harmonii i kapłanów praw natury —

Drugi utwór, *Godzina,* choć także niepochwytnie wymuszona (gdy porównać z bezwiedną swobodą „Opowiadań“), jest niezwykle przenikliwym nastrojem szpitalnym, gdzie melancholia złotej jesieni, ziąb gruźliczny, biały kornet siostry pod oblatującym liściem, półhalucynacye bolesne, myśli gorzkie jak śmierć, ohydne „marzydła“ i trwoga przedoperacyjna tworzą całość prawdziwie Żeromską, łzawą i okrutną, delikatną i ponurą, brutalną i sentymentalną, rozmarzającą i gnębiącą — bezprzykładną — —

Historya komiczna, przez Anatole'a France. — W wartkiej formie noweli — studyum psychopatyczne nad zjawiskiem opętania warunkowego. Fantastyczność tematu rozświeca się ścisłością badania naukowego, zajmującego jak paryski felieton. Błysk doktorskich okularów poprzez spódniczki baletowe. Całe mistrzowstwo przedziwnego umysłu autora — w bańce mydlanej.

Przekład bardzo lichy, bez znajomości języka tłómaczonego, fałszujący oryginał na każdej stronicy. Dość go porównać ze wzorowym przekładem „Gospody pod Królową Gęsią Nóżką“ przez Stena.

Synowie ziemi, przez Stanisława Przybyszewskiego.— Jest to utwór mieszańczy, w którym zmierzch berlinskich czy skandynawskich improwizacyj twórczych łamie się i kłóci ze świtaniem symfoniczności narodowych. W zetknięciu z możnym aniołem kultury ojczystej, zdezoryentowała się dotychczas indywidualność autora. Nowy i potężny wpływ szczepu uciska zwłaszcza demoniczne odruchy jego talentu i narzuca jego silnej wrażliwości na środowisko—*ideowe* imperatywy, z któremi w „Synach Ziemi“ nie doszedł do ładu, i które fałszywie załamują się w nieprzygotowanym na ich przyjęcie pryzmacie. Ztąd oportunizm tem przykrzejszy, że jest zarazem instynktowy — i świadomy. Z opadnięciem wód natchnienia wystąpiła wirtuozya fabrykująca stany twórcze i podniecająca się frazesem, zaakcentowały się wszystkie mniej szlachetne rysy tej wyjątkowej twórczej postaci. Dygresye polemiczne rażą nieodpowiednim często akcentem, a bezwzględnie marną jest przedmowa.

Naturalnie zarzuty te tyczą się całości utworu. Zkądinąd nie brak w nim pięknych fragmentów. Pierwsze rozdziały zwłaszcza zawierają wspaniałe symfonijne motywy, a początek drga aktualnością w wielkim stylu. Zbyt mało to jednak jak na autora „Wigilij“.

Obrazki i opowiadania, przez Mieczysława Pawlikowskiego.— Przeciętne nowele ze stemplem Zacharyasiewiczów, owej epoki, gdy resztki romantyzmu żyły w niektórych duszach po sąsiedzku z postulatami prawdy realnej, a dobre szlacheckie czasy zapoznawały się z powagą warunków nowych. „Testament Napoleona“ razi dobrodusznie tatusiowem traktowaniem błota w duszy ludzkiej. Czcigodnej starości przywilejem jest światłe umiarkowanie w sądach, — lecz pobłażliwość bezkrytyczna świadczy o niezależnem od wieku stępieniu zmysłu moralnego, o zakażeniu się tolerowanem zepsuciem, którego najszpetniejszą może formą jest zmateryalizowanie życiowe. — „W grudniowe dni“ ma tu i owdzie zalety ciepłych (trochę piecuchowych) nastrojów i dziwi — w tem otoczeniu — dekadenckim motywem dziewczyny - wampira. — Reszta jest bez wartości. — Zebranie tych bezpretensyonalnych i małoważnych drobiazgów jest niepotrzebnym aktem pietyzmu, który się zbyt często u nas wyraża uwiecznianiem — nawet słabych stron ludzi zkądinąd zasłużonych. Tę świadomość zresztą czyta się między wierszami—przedmowy, będącej rodzajem *usprawiedliwienia.*

Prometeusz źle spętany, przez Andrzeja Gide'a.—Jedna z tych świetnych i wielostronnych alegoryj w których człowiek-twórca próbuje schwytać niezłowione, słowami uświadomić to, co błyskami poczuć wnętrze jego przeszywa: PRZEZNACZENIE swoje, tak jak je formułuje księga lub wyrok zwierzchniego Demiurga; *plan labiryntu* życia, *technikę bożą* swego losu.

Alegorya dajmoniczna o „świętem żądle“, którem cięta wije się i gna ślepo a wyrocznie biedna Io ducha; o prometejskim „orle“, nie dopuszczającym sprzecznego z ewolucyą błogostanu, lecz żyjącym z jego sił żywych, jak niebiański jaki pasorzyt... Słowem, o tym ukrytym w każdym psychicznym kompleksie fermencie IDEI, właściwości dominującej, rdzeniu duszy, pierworodnej treści, istotnej indywidualności naszych mętnych ustrojów, dręczącej nas aż do skutku — *ujawnienia się* — czy to pomyślnego i szczytnego (cnota, geniusz) czy anormalnego i karykaturalnego (obłęd, występek, mania).

Ironiczna, bulwarowa alegorya o boskim hodowcy orłów, „pierwszym bodźcu“ życia, twórcy suggestyj, wszczynającym „we wnętrzach ludzkich inaczej tak pustych“ proces dążenia i udręczenia, wiodącym na poniewierkę i męczeństwo, kołowacizny oczarowań, zawikłania w sieciach zdradziecko obudzonej i już dalej samocucącej się w pomyłkach samowiedzy.

Alegorya o tem zbudzeniu „bezinteresownem“ przez zjawisko niepojęte, przez absurd „mistyczny“, burzący nagle cały dotychcza-

sowy ład myśli i zmuszający ją tem do nieustannych ćwiczeń dokoła — sfinksa, pedagogicznej sztuczki w rękach tego, „który kazał się nazywać Bogiem". Odtąd nieszczęsnego opętańca trapić będzie mania poznania, wyjścia z siebie na punkt, z którego wyświetlają się mistyfikacye Losu, kulisy tych okrutnych, wychowawczych feeryj. Życiem codziennem będą mu popłochy i łamańce niezgrabnej myśli, śmieszne dramaty niedołęstwa i paniki, skrupułów i niedorzeczności; pozna wszystkie manowce dyalektyki, zboczenia wrażeniowe, poczucia tendencyjne, rozszerzenia się po żyłach jadu kłamstw bezczelnych i urągliwych złudzeń. Trwać będzie w tumanie, nagle przez kłęby mgły spostrzegając dalekie i nieznane światła, które go na chwilę krzepić będą szeptem, że jednak nie zszedł z drogi do światłości, i ze dawna jasność była jeno mrokiem nieświadomej ślepoty, która go oto zwolna opuszcza... „Pomóżcie mi poznać siebie samego! przez litość!" woła Damokles wśród swych dywagacyj...

Przychodzi wreszcie wytrzeźwienie; zludzenia się rozwiewają, wraca kwadratowa równowaga, ze śmiechem nad tragiczną farsą, którą się przeżyło. Czlowiek *zjada* swego orła—zbiera owoc realnych korzyści (dojrzenie) z trudu położonego przy ciężkich robotach *urojenia,* w podziemiach Minotaura...

Opowiadania, przez Antoniego Czechowa. — Zbiór wybornych anegdot satyrycznych lub tylko humorystycznych. Z tych krótkich wartkich obrazów wylania się życie rosyjskie, życie opłakanego społecznego i duchowego mrowia, wlokącego się niedołężnie i bezświadomie po swej krzyżowej drodze; znalazły tu swój wyraz niektóre zwłaszcza kalectwa duszy słowiańskiej, jej nerwowa, rzekłbyś, niewolniczość, pokora, służbistość, wydana przez los kaźni, poniewierki i zgnębienia, mających wymordować z niej uśpioną godność, poczucie prawa i mocy... Oko autora zatrzymuje się z tajemniczą predylekcyą na tem wszystkiem nędznem, poniewierającem się i poniewieranem, na tych „szczątków ludzkich" tonie, barwie, dekoracyi łachmaniastej, zaniedbaniu, trwożliwych nałogach; wdycha zapach tytoniu i monopolki, notuje akcenty służalcze. Jak to słusznie tłómacz w swej trafnej przedmowie zaznaczył, Czechow jest twórcą objektywnym, operującym faktami i rzeczami i przez ich zestawienia osiągającym efekty psychologiczne. Jest to metoda (jeśli dla tworzenia można użyć tego terminu) wytrawna i kunsztowna. Ma i ona jednak swe niebezpieczeństwa, a Czechow niezawsze je omija: jest niekiedy oschłym, niepamiętnym „odwiecznej prawdy" nawet w burlesku, ubogim — w miłosierdzie takiego np. Dickensa.

Kontrast z temi szkicami hołoty stanowi „Żarcik“, perla młodzieńczej swawoli i poezyi lekko zasmuconej.

Erotyki, przez Zygmunta Niedźwiedzkiego. — Naga i krótka, lecz „wiecznie nowa“ prawda o „wiecznie męskiem“, oglądana przez temperament młodego szlachcica na „kontraktach“ lub „jarmarku wełnianym“; poezya „młodych ogierów“, rozlicznie skombinowanej „rui“ ludzkiej, swawolnego, impetycznego i ostatecznie niewinnego „odwiecznego“ szału. Rozhukanie krwi — żadnej deprawacyi. Farsy, „kawały“, anegdoty kawalerskie, tu i owdzie ciekawy obrazek obyczajowy, to wszystko trzeźwe w swem szaleństwie, nieobłudne, bystre, wiedzące „gdzie raki zimują“, dowcipne, prostackie — jak rozmowa po nie wiedzieć którym kieliszku, okupujące treść drastyczną bujnym rytmem życia, świeżością czasem bukoliczną i — rzecz bardzo znamienna — zachowaniem mimo wszystko taktu artystycznego, smakiem. — „Ja chcę, ja potrzebuję, ja muszę je kochać... kochać bez granic, bez pamięci, jak owad, jak pies, ptak, zwierzę swoją samicę, wszystkiemi instynktami istoty mego gatunku“... mówi autor w którejś noweli, i czytelnik mimowoli poddaje się bachicznemu urokowi tego „okrzyku odwiecznego szału“.

Biała dama z Liwoczy, przez Maurycego Jokai'a. — Powieść z czasów nieudanej na początku XVIII w. rewolucyi węgierskiej. Historya genialnej intrygantki, „anioła-szatana“. Typ to, wysoce romantyczny a przytem prawdziwy, *lekkiego bohaterstwa,* przebiegłości i prostoty, zapału i zimnej krwi, cnoty i grzechu, skojarzonych *ideą* (nieco ciasną, i to jest błąd rysunkowy tej postaci). Fatalizmem tej magnetycznie pociągającej istoty jest, że w grze stronnictw, do której weszła, zachowała świadomość własnego celu. Skutkiem tego, rzucana od jednej partyi do drugiej, stała się ofiarą potęg, które wciągnęła w swe zuchwałe rachuby, jako narzędzia swej ambicyi. Tymczasem nieproporcyonalnie potężne te narzędzia ją zużytkowały i zmiażdżyły... Nie przebaczono jej zuchwalstwa gracza, głową przypłaca niespokojność swych przebystrych władz duchowych. Śmierć jej robi tragiczne wrażenie zemsty ciężkiego, zbiorowego życia za *brawurę* niezrównaną tej lotnej i wartkiej kobiety; charakterystyczny koniec awanturników. Zdają się ginąć za twórczy zamęt, w jaki wprawiają stojące wody życia. Łapią się we własne, z nieposkromioną swadą rzucone sieci, a nieubłagany zbiorowy sędzia rzuca ich zagładzie z tą samą lekkomyślnością, z jaką ongi sami stawiali na kartę losy jednostek i ludów... Tak spełnia się odwieczne prawo odwetu, biblijnego „oko za oko“.

Piękna ta staroświecka powieść w stosunku do współczesnej

jest może mniej świadomą artystycznie, lecz może bardziej intuicyjną. Dzisiejsza dbałość o tło znajduje równoważnik w ewokacyjnej sile dodanego szczegółu. Fabuła nie jest pretekstem problematu, lecz problematem samym, łańcuchem hieroglifów. Lwi pazur bujnego talentu znaczny wszędzie—w bystrości toku, wypukłości postaci, dramatyczności i pomysłowości scen, jednolitości akcyi, znakomitej mimo pewne splątania (łatwe w takiem spiętrzeniu). Młody dzisiejszy twórca niejedną znalazłby naukę na tych samorzutnych kartach starego mistrza.

Przystań, przez Julię Terpiłowską.— „Uspołecznienie“, sielankowe zresztą i utopijne, wydaje się w tej książce prawomyślną osłonką dla nieumiarkowanego rozflirtowania (charakteryzującego te smętne czasy przymusowego kobiecego bezrobocia — we wszystkich, starych i nowych dziedzinach). Zkądinąd autorka nie jest bez talentu, umysł ma zdolny i żywy, choć rozprasza go w *dyskusyach,* zamiast skupić w obserwacyi rzeczy *przeżywanych,* tego jedynego wiecznego źródła świeżości. Spotykamy się tu również z dowcipem, szkoda tylko, że degenerującym często w małostkową kobiecą złośliwość.— Pewne bezwartościowe naiwności światopoglądu znikną zapewne z czasem i doświadczeniem.

Po szczeblach, przez Pawła Bourget'a.— Jest to, w formie powieści, staranne i ciekawe studyum obyczajowe. Talent badawczy autora, obrawszy sobie tym razem temat rozleglejszy i głębszy, wydał rzecz godną rozpamiętywania, w której teza (koniecznie) dostępuje wyżyn idei. Jest nią *fatalny tragizm skróconych procesów ewolucyjnych* w narodzie i jednostce. Rozwój ich podlega prawu ciągłości i mądrej powolności („*savante lenteur*“, jak mówi Guaita). Tylko uwzględnienie czynnika CZASU gwarantuje ich harmonijność, trwałość i normalność. „Przeskakiwanie szczebli“ nie uchodzi bezkarnie, wytwarza proces chorobliwy, — gwałtowny, rewolucyjny, katastroficzny, pociągający tragiczne reakcye, cofania się. Tak się mści Czas, złośliwa wróżka, nie zaproszona na gody. (Czasy muszą „się wypełnić“, tak lub owak). Autor wtajemnicza nas poglądowo i z prawdziwem mistrzowstwem w *technikę* tych reakcyj. Mianowicie dzieje się to skutkiem dysharmonii z otoczeniem. Powstawanie nowych środowisk, układanie się waruków, stosunków, narastanie ich dokoła nagle wyrwanej z gruntu rodzimego i wywyższonej przez ambicyę jednostki, — jej słowem *otocz życiowa* jest dziełem zmudnem, nie dającem się już żadną miarą przyśpieszyć, tak ściśle określonem w czasie jak np. ciąża, od tysiąca nieśpiesznych czynników zależnem. (Przyjaźń, znajomości, wżycie się w obyczaje i tra-

dycye nowych sfer i t. p.). Otoczy tej pozbawiona, przedwcześnie wyrosła indywidualność narażona jest na wszystkie katusze, pokusy i klęski „wyrwania z korzeniem“, a przedewszystkiem na samotność rodzącą obłędy złudzeń, zwątpienia i chucie. Zniesienie „kontaktu“ duchowego ze społeczeństwem wnosi w duszę jednostki nierównowagę i jej symptom: negacyę, wytwarzającą ateizm, odrzucenie rodziny, komunizm chaotyczny. Stracony zmysł toku społecznego wytwarza anarchię, a w ślad jej negacyę czynną, czyli zbrodnię. — Książka, jak widzimy, jest protestem przeciw szalonemu napięciu dzisiejszego karyerowiczowstwa, wyścigów z przeszkodami na wyże duchowe i społeczne. Jest to głos prawicy normującej. Przeciwwagę widzi autor w powrocie do hierarchii, rodziny a zwłaszcza religii, która jedna, jako dusz mistrzyni, może wpłynąć na zwolnienie gorączkowego pulsu ambicyj i żądz. W tych postulatach, zdaniem naszem, spotyka się nadzwyczajna głębia i przenikliwość *analityczna* Bourget'a ze swoją naturalną granicą. Genialny krytyk jest lichym prorokiem. Nie uwzględnia on *prawa retrospekcyi,* mocą którego przeszłość nie zmartwychwstaje, ale *się przetwarza.* Dawne czasy wrócić się nie mogą: najkonserwatywniejszym nawet naturom stały się zbyt ohydnemi ich gwałty i okrucieństwa. Dążymy bez wątpienia do nowej hierarchii, rodziny, religii, ale ich odrodzonego typu nie oglądała jeszcze ziemia. Ustrój ich kształtuje się powoli w tym właśnie chaosie nędz, nadużyć i szaleństw skrajnych, których zło przemijające zaślepia Bourget'a na ich twórcze własności. I tym razem „religia cierpienia ludzkiego“ osłabia w nim religię ludzkiej siły i przyszłości... Aktualny interes książki stanowi znakomity obraz stosunków paryskich, „uniwersytetów ludowych“, warstw studenckich i robotniczych.

Mirtala, przez Elizę Orzeszkową. Jedna z tych fantazyj historycznych, na które autorka transponować lubi współczesne zagadnienia społeczne. Bohaterem raz jeszcze jest lud żydowski, jeden z głównych wybrańców jej rozlegle współczującego serca. Żywioł moralny, współczucie, jest i w tem dziele głównym motorem jej twórczości, z krzywdą nieraz dla bardziej intelektualnych czynników historyozoficznego lub psychologicznego badania. Innym, słabszym już bodźcem jest wyobraźnia, gatunku raczej efektowego, dekoracyjnego. Niemniej udane są pewne obrazy, np. dom Helwidyusza, kolumnady Rzymu, „tańce trojańskie“ i zjawienie się Bereniki w cyrku. Są to udatne malowidła olejne z epoki Siemiradzkich. Typy są również nieco oleodrukowe. Styl jak zawsze trochę przekwieco-

ny. Wszystko to staranne, zacne, popularne, a przytem nieprawdziwe i ogólnikowe — jak komunał.

„Jak tęcza“, przez Gabryelę Zapolską. — Bezwiednie monstrualny amalgamat rzeczy poważnych i płochych, w którym autorka dała miarę swego nieuleczalnego snobizmu. Wyraził się on w wyborze tematu „mistycznego“ (rozdwojenie osobowości), w „secesyjności“ akcesoryów i pozie „estetycznej“, któremi zastąpiła dawne naturalizmy i findesiècle'izmy, równie powierzchowne, echowe. Organiczna jakoby niemożność uświadomienia, ciasnota horyzontów bezinteresownych, niepoprawnie pensyonarska idealizacya, fałszująca kokieteryjnie naturę i przebieg zdarzeń, oto smutne cechy tej orgii narcyzowej próżności kobiecej. Uderza przytem ślepota na przedstawiane charaktery: bohaterka mimo wszystkie usiłowania uwytwornienia duchowego jest opłakaną nędzarką ducha i ciała; partnerzy jej są martwemi kłamstwami. Zręczne są tylko, jak zawsze, szkice środowisk modnych.

Pewne tematy są nazawsze niedostępne dla pewnego rodzaju talentu; godność zaś pisarska polega na tem, by ręką niepowołaną nie profanować rzeczy, których należycie uczcić się nie umie. Motyw sparodyowany przez p. Zapolską wymaga kapłaństwa geniuszu, poetycznej potęgi symbolu (np. myt, legenda) albo bystrej i rzetelnej przenikliwości badawczej (np. Bulwer, A. France). Wszystko inne jest śmiesznem zuchwalstwem grubości duchowej.

Romans gąski, przez T. Prażmowską. — Rzecz bez wartości, tu i owdzie barwiona bladym talencikiem szkicowania; czcze szafowanie słowem i złośliwość, która się autorce wydaje równoznaczną ze zmysłem satyry. Złudzenie!

Maks Havelaar, przez Multatuli'ego. — Książka jest ciekawym dokumentem procesu uświadamiania się natury *lewicowej*, trybuniej, zagnanej przez Los przekorny w „prawicę“ administracyi państwowej. Wśród warunków sprzecznych, przeto energicznie uświadamiających, uwyraźnił się w urzędniku holenderskim instynkt „oporu władzy“ konfliktem zbudzonego, wrażliwego sumienia demokratycznego z okrucieństwami kolonialnego systemu. „Maks Havelaar“ jest aktem sumienia, pamfletem beletrystycznym, natchnionym skutecznością „Chaty wuja Toma“. Nie wierzymy jednak w *zupełny*, jak to zbyt często autor powtarza, brak ambicyi artystycznej. Przeczy temu często zdradzająca się chętka literacka (ciężkie próby „humour'u“, dygresye groteskowe, idealizacye). Pominąwszy duży pono rozgłos polityczny dzieła, otrzymujemy rzecz niezdarnie skomponowaną, bezsilną w ekspresyi, z której wyskakiwać zdaje się piękny i poe-

tyczny epizod o „Adindzie“ i „bawołach“. Do niego właściwie można było zredukować tak oryginał jak tłómaczenie.

Na wodzie, przez Guy de Maupassant'a.—Jest to dziennik podróży genialnego i „zniechęconego“ artysty francuskiego, czyli człowieka, którego atawizmy, tradycye kulturalne i tryb życia czynią niemal niezrozumiałym dla naszego ostatecznie prowincyonalnego pól-barbarzyństwa. Ta może duchowa niewspółmierność omamiła autora pobieżnej zresztą przedmowy, gdy tego dyletanta pesymizmu o myśli ruchliwej, wszechstronnej lecz krótkiej (zkąd paradoksalność), nazywa „myślicielem surowym... idącym do końca swojej myśli“. Umysł Maupassant'a nie przekracza nigdzie sfer średnich artystycznej Europy. Wartość jego niezniszczalna, jego „jedyność“ tkwi w czemś całkiem innem. Mózgowcem nigdy nie był ten genialny, niesłychany *wrażliwiec,* u którego inteligencya zdaje się być tylko fosforyzacyą niezrównanych zmysłowych, uczuciowych i intuicyjnych *sensacyj,* wizyj „żywszych od rzeczywistości“, jakby nieustannie „wdychał eter“ i świat przewrażliwionemi i chciwemi zmysłami oglądał w spotęgowaniu malignowych niemal roziskrzeń. Ta wiecznie czujna, bezpośrednia i hodowana, sześciokrotna pobudliwość w okresie najwyższego rozkwitu, chylącego się melancholią i niepokojem ku katastrofie, unieśmiertelniła te przedziwne karty z podróży, gdzie każdy szczegół wykwita zaklętym czarem osobnego poematu, gdzie w oczach naszych życie przemienia się w baśń z tysiąca i jednej nocy. Tu i owdzie wplątane dygresye historyczne i rozmyślania są nader ciekawe, ale mniejszą posiadają wartość.

Przekład świadczy o uzdolnieniu, lecz i niedbałości tłómaczki: obok doskonałych stronic i na nich spotykamy błędy słownikowe, składniowe i nawet gramatyczne.

Obrazki z przeszłości, przez Kazimierza Glińskiego. — Na talencie autora, jak indyjska „karma“ długoletnich „tygodnikowych“ rozpraszań, ciąży nałóg oleodruku, banalności sielankowych i sentymentalnych. Smutne te odruchy sprawiają, że „Dwa szczęścia“ np. jest przeszarżowaną idyllą historyczną i nie osiąga pełni barw istotnych, a za to razi beztaktami artystycznemi. Z tej również przyczyny „Ostrzeżenica“, wspaniała w swej zwięzłości dramatycznej, ideowej głębi, zrozumieniu epoki i wstrząsającej symboliczności faktów, nie posiadła jednolitej doskonałości (mdłe spotkania króla z kmieciem). W „Kowalowej górze“, znakomicie zebrany materyał baśni nie zapłonął sensem wyrocznym. „Historya prawdziwa“ jest kapitalną (choć znaną) farsą, wybuchem homerycznego humoru. Reszta jest nieuleczalnie błaha. Legendy Chrystusowe godne kalendarza...

Na normandzkim brzegu, przez Maryę Konopnicką.—Zbiorek jest ozdobą nowelistyki polskiej. Są to treściwe syntezy pewnych grup wrażeniowych, pełne, okrągłe okienka wybite na nieskończoność, wizye życia nadmorskiej Normandyi. Szumi i przelewa się morze „wzdęte jakby odedna tchnieniem płuc olbrzymich", zatapiające barki i wyrzucające trupy, kształtujące i niszczące „swych ludzi", ten odrębny a tak człowieczy lud rybaków; oglądamy ich zabobony i bohaterstwo, czystośc rodową i namiętność zysków, „newrozy" tęsknot i „zaloty hypnotyczne" („Przy drzwiach otwartych," jedna z najpiękniejszych nowel, stylowo najczystszych), ich jaskrawe odpusty i hałaśliwe targi, ich starość, steraną aż do ostatniego włókna, pogrążającą się w unicestwienie z wegetacyjną rezygnacyą więdnącej rośliny. Nad tem wszystkiem tchnienie bezwiednego, codziennego fatalizmu, „zlewającego się i jednoczącego z prastarym bólem świata", „idącego ludami", podawanego „przez czasy czasom, przez narody narodom, jak gorejąca pochodnia..." („A capella").

Mniej udany jest cykl „Ci mali". W „Szlendakach" jest coprawda magia ruin i barw gobelinowych; lecz „Mój zegarek" jest fiaskiem recepty *o wielkiej idei w małym temacie,* a „Hanysek" nie został doszkicowany.

Autorka stoi w zenicie swego uświadomienia artystycznego,—obraca się z zupełną swobodą w swej duchowej pracowni i używa wytrawnie narzędzia swego bogatego, giętkiego i żywotnego stylu.

Listy do Frani, przez Marcelego Prévost'a. — Głośny autor pieprznych „Listów kobiecych" i „Pół-dziewic", wrodzony miłośnik i znawca kobiety współczesnej, nawrócony przez „Dziewice mocne" emancypacyi do odtwarzań szlachetniejszego typu nowożytnej Walkiryi, w „Listach do Frani" odnawia tradycye najlepszej francuskiej sztuki epistolarnej, a przytem rzuca ciekawo światło na stosunek oświeconego mężczyzny do coraz potężniej rozwijających się prądów równouprawnienia. Jestto stosunek przedewszystkiem *ojcowski,* ale nie Jowisza do Minerwy — raczej znużonego starca do ostatniej niespodzianie rozkwitającej latorośli... „Zbudzenie Brunhildy" odbyło się żywiołowo, bez jego woli; i to zdaje się go przedewszystkiem zachwycać, zniewalać do pokornego niemal polecania swych służb wiernych i doświadczonych młodej, niespożycie świeżej monarchini. Jest oczarowanie i hołd poddańczy w szlachetnych, przyjaznych i czułych radach pół-zakochanego „wuja" Frani, które kreślił rozrzewniony i macierzyńsko zaniepokojony rozsądek, a których skuteczność jest wątpliwa, jak wszystkie paliatywy, bez siły suggestywnej, jak wszelka kompromisowość w dobach energicznej akcyi. Charakte-

rystycznem jest, że te kokosze troskliwości wychodzą dziś od mężczyzny.

Po za praktyczną wartością wielu wskazówek i ceną dokumentu, wielkim powabem książki jest ożywiająca ją *instynktowa miłość potomstwa;* wprawdzie, jak mówiliśmy, bez grandezzy starego boga dla swych bożąt (porównaj z „Wyszehradem" Zeyera), ale może tem wzruszająca, że tak bezinteresowna, cicha, zapatrzona w przyszłość należącą do innych, z zaparciem się siebie błogosławiąca nową, odrodzoną, młodzieńczą Ludzkość, w której nie będzie pana i niewolnicy, w której obie równe moce świata staną naprzeciw siebie „nie jak wrogi" —

„Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych — Bogi".

Dwa głosy, przez Gustawa Daniłowskiego. — Nieco mdły talent autora reaguje żywiej na tematy czerpane ze specyalnych warunków życia w Królestwie. Małe jednak i nieuświadomione postulaty twórcze i artystyczne utrzymują go wciąż na niskich poziomach miernoty. A przecież bogaciej uszczegółowione tło i samoistniejsza a żywa charakterystyka godziłyby się doskonale z tym sentymentem idealistycznym, który dziś rozpływa się w wodnistej treści, nie podtrzymywany kanwą faktu, nie wchłoniony przez Rzeczywistość. Bliższe zaznajomienie się z francuską nowelą obyczajową, tak jędrnie epicką a tak przepłomienioną uczuciem (np. Eekhoud, Maupassant, i t. d.) miałoby bez wątpienia wpływ korzystny.

Trzy cmentarze, przez Antoniego Millera. — Coś jak parafraza „Nieboskiej" przez dyletanta pełnego dobrych chęci lecz małych sił i nieodpornego na suggestye. Razi górnolotność zimna i szafowanie na traf słowem błyskotliwem i wymyślnem. Dobrym na przyszłość symptomatem jest zmysł kompozycyjny przy zupełnym zresztą braku uzdolnienia poetyckiego. Znamionowałoby to nieuświadomione zdolności innej kategoryi.

Fragment, przez Wiktoryę Przeradzką. — Samodzielne studyum dziecka-anarchisty z natury. Znać osobiste zetknięcie się z opisywanemi warunkami nędzy moralnej i społecznej, zdolność obserwacyjną i krytycyzm. Zakres jednak trochę ciasny, przytem świat „pięknych dam" traktowany szablonowo-idealnie a w dodatku niewyraźnie, zbyt „po za czasem i przestrzenią", co się kłóci z realistycznością tematu i faktury. — Obiecujące jako próba.

Z pamiętnika psychopaty, przez Wacława Żmudzkiego. — Martwiące wyznania organizacyi chorej i ubogiej, pozbawionej w szczerości swej poczucia niesmaku. Ponura i płaska historya,

wzbudzona przez literaturę zboczeń i zwichnięć, lecz bez ich horyzontów, napięcia, talentu.

Wybór nowel francuskich, tłómaczyła M. Rakowska. — Perłą zbioru jest „Przygoda Tseila“ Villiers de l'Isle-Adam'a, pięknie, okazale i mądrze inscenizująca znane zjawisko *suggerowanego domysłu,* którego potęgę wyzyskiwano po wsze czasy dla rządzenia ludźmi — *przez ich własną cerebracyę.* — „Żona“ Villetard'a ma zalety lotnego przeglądu życia kobiety. — „Legenda Orła“, (zwłaszcza „Ona“), d' Esparbès'a, ma w sobie okropność wojny, siekaninę ciał, woń krwi i grozy mistyczne. — Drobiazgi Schwoba świetnieją psychologią trafną i niezwykłą. — Naogół rzeczy mniej ważne, nie pierwszorzędnego znaczenia, choć nacechowane miarą, zwięzłością i „esprit'em“ francuskiej kultury. — Przedmowa zdradza pisanie „z urzędu“, bez wielkiego przekonania i pewności siebie...

Po rozwodzie, przez Gracyę Deledda. — Jedna z wielu powieści ludowych włoskich. Pochodzenie (z ludu) i klimat, wyzwalające z wielu despotycznych na Północy i wśród „sfer wyższych“ przesądów, przyczyniły się do bezpretensyonalnej swobody, braku przesad uczuciowych i do bezpośredniości wrażeń. Fatalizm jednak kobiecej natury czy warunków, w których żyje, odbił się na chudości epickiej dzieła. Ciekawemby było zbadać, o ile ta niemoc realistyczna piór kobiecych (zkądinąd tak lirycznie bujnych) ma źródło w niemocy życiowej, w słabym instynkcie Rzeczywistości (tak zresztą systematycznie przytępianym przez całokształt moralnych, prawnych i policyjnych ograniczeń, zakazów, strachów paraliżujących).

Nad dalekim cichym fiordem, przez Agot Gjems-Selmer. — Nieco przewdzięczony (chroniczna przywara twórczości kobiecej), mimo to często wdzięczny obrazek życia skandynawskiego, ekscentrycznego klimatu dalekiej Północy, — zórz, lodów, huraganów, jasnych nocy i czarnych dni—i załamania się ich w egzystencyi dziecinnej dokoła ogniska domowego, którego czar wzrasta w tych strefach niegościnnych. Kilka zwłaszcza krajobrazów (np. z reniferami) żywemi barwami i plastyką zostaje w pamięci, a dzieci, dla których książka przeznaczona, będą przepadały za niektóremi „Stilleben'ami“ „domku lalek“.

Listopad, przez Andrzeja Niemojewskiego. — Autor ma w wysokim stopniu poczucie dotykalnej, bryłowatej realności życia. Znać tu wszędzie twardą lecz skuteczną szkołę „psiej skóry“, osobistego doświadczenia, wczesnego rozgarnięcia mglistości i niepewności narodowego marzycielstwa. Tej rzeczywistości jest on poniekąd niewolnikiem. Siły wolne, lotne, wyobraźniowe zostały w nim upośle-

dzone na rzecz dokładności życiowej, ptak na rzecz drzewa, skutego z gruntem, w którym potęgę swą czerpie.

Powyższy zbiorek szkiców, dość zresztą różnorodnych, wywodzi się naogół od „Germinal'u", a raczej od ech, które obudził w atmosferze demokracyi krajowej. Związki pokrewieństwa łączą je też z dziełami Jerzego Eekhoud'a, choć nie dorównywają mu ani bujną i zuchwałą dramatycznością, ani patosem odczucia, ani artyzmem. Zrobimy tu wyjątek dla „Po dniu wypłaty" i „Ojca"; oba te utwory są artystycznie skończone, pełne ponurego tragizmu, a obraz trupów wyłaniających się z pola błotnego „kurzawki" i oświetlonych lampkami górniczemi („Ojciec") wstrząsa potęgą ewokacyjną i tym samorzutnym symbolizmem, który tkwi w każdem silnem wrażeniu. Ironia mniej się udaje autorowi, zbyt na nią masywnemu; sentymentalizmy psychologiczne psują tu i owdzie całość. — Ale perlą cichego wdzięku jest „*Sarenka*", idylla kobiecości - rozrodczej, a duży urok marzenia filozoficznego ma „Ołowianka".

Przed burzą, przez Stanisława Nałęcz-Ostrowskiego. — Rzecz podana jako całostka z cyklu, lecz w istocie tylko tom niedokończonej, mechanicznie urwanej powieści. Ujawnia ona talent istotny, wicher wyobraźni, poczucie natury i nastroju, ale też silną skłonność do fuszerki popłatnej i powierzchowną inteligencyę. Historya jest dla autora tylko dekoracyą dla psychologii banalnej i płytkiego idealizmu, sposobnością gadania pseudo-archaiczną okrągłością okresów; nigdzie przeczucia niezmiernej powagi odwiecznej gry dziejów i przerażającej głębi charakterów, które na barach tytanicznej świadomości przyszłość świata noszą. — Silne suggestye „Trylogii" Sienkiewicza.

Izrael, przez Hall Caine'a. — Opowiadanie jednym tchem wyrzucone z wyobraźni rozognionej mistycznie pojętemi męczarniami bytu. Ta fanatyczna niemal religia Opatrzności stanowi jego jedność i siłę suggestywną. Przyczynia się do tego tło egzotyczne, maurytańskie, przedstawione z wyrazistością rzeczy widzianych. Fabuła jest po staroświecku bajeczna, rozwichrzona i porywająca, lecz pogłębiona symbolizmem nieraz przedziwnie głębokim i wzruszającym. — Wadą dzieła jest brak punktacyi dramatycznej, rozczłonkowania w łonie kurczowej jakby jedności. Skutkiem tego kulminacyjne momenty nieześrodkowują akcyi, wszystkie zdarzenia stoją na jednym planie, opowiadanie nie staje się nigdzie wizyą kompletną, teraźniejszością. — Przekład niezawsze wystarczający.

Włast.

KSIĄŻKI NADESŁANE.

POEZYA. — Al. Bugski. *Cienie.* Poemat. Warszawa. Nakładem autora. — Dante Alighieri. *Boska komedya.* Przekład Edwarda Porębowicza. Część III: *Raj.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Z. Krasiński. *Irydion.* Přeložil Fr. Kvapil. Praha. J. Otto. (Sbornik Svietove poesie, sv. 88). — Liliana. *Płomienie.* Warszawa. Druk. Uniw. Jagiell. w Krakowie. — Fr. Nietzsche. *Tako rzecze Zaratustra.* Przełożył W. Berent. („Dzieł" tom I-szy). Warszawa. Nakł. J. Mortkowicza. — Fr. Nietzsche. *Dytyramby Dionyzyjskie.* Przełożył St. Wyrzykowski. („Dzieł" tom IV-ty). Warszawa. Nakł. J. Mortkowicza. — Br. Ostrowska. *Poezye.* Lwów. Polskie Tow. Nakładowe. — M. Pierwocha. *U krynicy.* Warszawa. Skł. gł. u Gebethnera i Wolffa. — G. Porębski. *Poezye.* Kraków. Druk. W. L. Anczyca. — Sł. Pruszyńska. *Poezye.* Warszawa. J. Fiszer. — *Psalm sromu.* Głos z za grobu. Poznań. J. Leitgeber i Sp. — Leopold Staff. *Ptakom niebieskim.* Lwów. Księg. Polska. — P. Verlaine. *Wybór poezyi.* Przekład Barbary Beaupre. Warszawa. Nakł. J. Mortkowicza. — J. St. Wierzbicki. *Ku słońcu.* Lwów. Tow. Wydawnicze. — H. Zgórska. *Miłość.* Druk. A. Krzyżanowskiego w Łomży. — J. Żuławski. *Xięgi niektóre z żydowskich pism starego zakonu wybrane.* Lwów. H. Altenberg.

POWIEŚĆ. — E. Bulwer Lytton. *Zanoni.* Przekład M. Komornickiej. 3 tomy. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — T. Jeske-Choiński. *Gasnące słońce.* Tomów 4. Warszawa Bibl. Dz. Wyb. — Conan Doyle. *Pamiętniki Holmsa, słynnego ajenta londyńskiego. I.* Warszawa. Skł. gł. u M. Borkowskiego. — M. Czerny. *Odłogiem.* 2 tomy. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — W. Gąsiorowski. *Orlęta.* Lwów. Księg. Polska. — W. Gomulicki. *Brylantowa strzała i inne nowele.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — M. Gorkij. *Więzienie.* Warszawa. Nakł. wydawnictwa „Isis". — V. Hladík. *Barevné skizzy a malé povídky.* Seszit I. Praha. J. Otto. — V. Blasco Ibanez. *Rudera* (la Barraca). Przekład A. Świderskiej. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — Z. Kaczkowski. *Rozbitek.* 4 tomy. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — R. Kipling. *Pod niebem indyjskiem.* Przeł. A. Gawrońska. Lwów. H. Altenberg. — Selma Lagerlöf. *Legendy Chrystusowe.* Przekł. W. Młodnickiej. Lwów. Księg. Polska. — Selma Lagerlöf. *Gösta Berling.* 3 tomy. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — D. Miereżkowskij. *Piotr i Aleksiej.* S.-Pietierburg. Izd. M. W. Pirożkowa. — M. New-Twain. *Orfeum warszawskie w roku 1910.* Warszawa. — Wł. Orkan. *Herkules nowożytny i inne wesołe rzeczy.* Kraków. Spółka nakładowa „Książka". — St. Przybyszewski. *Androgyne.* Wydanie nowe. Lwów. Tow. Wydawnicze. — F. de Roberto. *Złudzenia.* 2 tomy. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb.— M. Rodziewiczówna. *Jerychonka.* 2 tomy. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — M. Rodziewiczówna. *Straszny dziadunio.* 2 części. Warszawa. Nakł. „Wędrowca". — M. Rodziewiczówna. *Błękitni.* 3 części. Warszawa. Nakł. „Wędrowca". — M. Rodziewiczówna. *Na fali.* 2 tomy. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — M. Rodziewiczówna. *Na wyżynach.* 4 części. Warszawa. Nakł. „Wędrowca". — L. Rygier. *Mój wuj, jego jeleń i nowe prądy.* Warszawa. M. Borkowski. — J. Rzewuski. *Symfonia bólu.* Nowele. Warszawa. Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. — H. Taine. *Żywot i myśli p. F. T. Graindorge.* 2 tomy. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — Oskar Wilde. *Opowiadania.* Przekł. M. Feldmanowej. Warszawa. G. Centnerszwer i S-ka.

DRAMAT. — J. Kasprowicz. *Bunt Napierskiego.* Poemat dramatyczny. Wydanie nowe. Lwów. Tow. Wydawnicze. — St. Kobyliński. *Beati.* Kraków. Skł. gł. u Gebethnera i S-ki. — St. Krzywoszewski. *Biały królik.* Petersburg. Księgarnia Polska. — Wł. Orkan. *Wina i kara.* Kraków Spółka nakładowa „Książka". — J. Słowacki. *Zawisza Czarny.* Z autografu wydał Artur Górski. Warszawa. Gebethner i Wolff. — Z. Wójcicka, *Ewa.* Lwów. H. Altenberg. — J. Żuławski. *Ijola.* Lwów. Księgarnia Narodowa. — J. Żuławski. *Wianek mirtowy.* Lwów. Księgarnia Narodowa. —

STUDYA LITERACKIE. — L. Bioy. *Brelan vyobcovanych.* Babice p. Lesoni-

ce (Morava). „Studium". — P. Chmielowski. *Najnowsze prądy w poezyi naszej.* Wydanie trzecie. Lwów. H. Altenberg. — Ola Hansson. *Jasnowidze i wróżbici.* Przeł. St. Lack. Warszawa. Gebethner i Wolff. — Wł. Jabłonowski. *Wśród obcych. Zarysy i notatki literackie.* Lwów. Księgarnia Polska. — R. Plenkiewicz. *Mikołaja Reja z Nagłowic Etyka. 1505—1905.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb.

ROZPRAWY ESTETYCZNE. — J. Blockx (syn). *Poradnik dla artystów malarzy i miłośników obrazów.* Przeł. K. Mordasewicz. Warszawa. Skł. gł. u J. Fiszera. — T. Jaroszyński. *Zaranie malarstwa Polskiego.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — F. Starczewski. *Scola cantorum oraz Wincenty d'Indy jako pedagog.* Warszawa. Druk. W. Cywińskiego. — F. Starczewski. *Program porównawczy różnych szkół muzycznych.* Warszawa. Druk. W. Cywińskiego. — K. P. Wize *„In der Stunde der Gedanken". Ueber die schoenen Künste.* Berlin. R. Trenkel.

PISMA FILOZOFICZNE. — H. Beyle (de Stendhal). *O miłości.* Przeł. W. Mitarski i St. Lack. Lwów. H. Altenberg. — G. L. Duprat. *Kłamstwo.* Przeł. J. Lorentowicz. Warszawa. Gebethner i Wolff. — Fr. Nietzsche. *Poza dobrem i złem.* Przeł. St. Wyrzykowski. („Dzieł" t. II-gi). Warszawa. Nakł. J. Mortkowicza. — Fr. Nietzsche. *Z genealogii moralności.* Przeł. L. Staff. („Dziel" t. III-ci). Warszawa. Nakł. J. Mortkowicza — Fr. Nietzsche. *Zmierzch bożyszcz czyli jak filozofuje się młotem.* Przeł. St. Wyrzykowski. („Dzieł" t. V-ty). Warszawa. Nakł. J. Mortkowicza.—J. Payot *Wykład moralności.* Przekł. J. Warnkówny. Warszawa. E. Wende i Sp. — K. Wagner. *Prostota w życiu.* Tłóm. Wł. Zarembina. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb.

KWESTYE SPOŁECZNE. — Sz. Askenazy. *Uniwersytet warszawski.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Dr. H. Herkner. *Kwestya społeczna w zachodniej Europie.* Lwów. Polskie Tow. Nakładowe. — E. Key. *Nowe szkice.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — H. Konic. *Samorząd gminny w Królestwie Polskiem w porównaniu z innemi krajami europejskiemi.* Wydanie drugie. Warszawa. E. Wende i Sp. — Dr. St. Kutrzeba. *Historya ustroju Polski w zarysie.* Lwów. Księg. Polska. — Dr. E. Löbl. *Kultura i prasa.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — G. Maier. *Prądy i teorye społeczne.* Warszawa. G. Centnerszwer i Sp. — W. Blake Odgers. *Angielski samorząd miejscowy.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — Wł. Studnicki. *Rozwój form politycznych i stosunki ekonomiczne Szwajcaryi.* Lwów. Tow. Wydawnicze.

HISTORYA. — J. Bieliński. *Żywot ks. Adama Czartoryskiego.* 2 tomy. Warszawa. Gebethner i Wolff. — Al. Kraushaar. *Dwa szkice historyczne z czasów Stanisława Augusta.* 2 tomy. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — A. Sorel. *Kwestya wschodnia w wieku XVIII.* 2 tomy. Warszawa. Gebethner i Wolff.

PAMIĘTNIKI. — Ad. Moszczeński. *Pamiętnik do historyi polskiej w ostatnich latach panowania Augusta III i pierwszych Stanisława Poniatowskiego.* Z przedmową H. Mościckiego. Warszawa. Gebethner i Wolff.

ETNOGRAFIA, FOLKLOR, PODRÓŻE. — Okakuro Kakuzo. *Przebudzenie się Japonii.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — P. Loti. *Indye.* Przekł. J. Jankowskiego. 2 tomy. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — B. T. Washington. *Autobiografia murzyna.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb.

ARCHEOLOGIA. — M. Wawrzeniecki. *Poszukiwania archeologiczne w Królestwie Polskiem, dokonane przez M. Wawrzenieckiego 1903 r.* Kraków. Akademia Umiejętności.

BADANIA PRZYRODNICZE. — Dr. Th. Zell. *Czy zwierzę nie ma rozsądku?* (Uwagi o duszy zwierzęcej). Warszawa. Bibl. Dz. Wyb.

PEDAGOGIA. — K. Drzewiecki. *Nauka czytania i pisania.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — C. Niewiadomska. *Elementarz. Nauka czytania i pisania z obrazkami i wzorkami pisania.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — C. Niewiadomska. *Pierwszy rok gramatyki.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Ad. Szymański. *Najlepszy elementarz świata.* Kraków. Druk. Uniw. Jagiell.

WOJSKOWOŚĆ. — Cap. Burchard - Belavary. *Histoire du 5-e bataillon de chasseurs.* (Algerie—Crimée—Italie—Metz). Paris. H. Charles-Lavauzelle.

WYDAWNICTWA ZBIOROWE. — *„Safrus"*. Książka zbiorowa poświęcona sprawom żydowstwa. Pod red. J. Kirszrota. Warszawa. Tow. dla wydawnictw żydowskich „Safrus". — *Poezya.* Zeszyt I. Warszawa. Gebethner i Wolff. — *Studium.* Czerwenec L. P. 1905. Babice p. Lesonice (Morava). J. Deml.

NUTY. — *Hołd.* Słowa Wł. Bukowińskiego. Muzyka F. Starczewskiego. Warszawa. — *Naprzód.* Słowa Wł. Bukowińskiego. Muzyka F. Starczewskiego. Warszawa.

VARIA. — Bennet Burleich. *Państwo wschodu czyli wojna japońsko-rosyjska 1904—1905 r.* 4 tomy w dwóch. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — Dr. W. Hojnacki. *Z dziedziny sportu.* Lwów. Księg. Polska. — Fr. Nietzsche. *Dzieła.* Przełożyli W. Berent, K. Drzewiecki, L. Staff, St. Wyrzykowski. Wydał J. Mortkowicz. *Prospekt.* Warszawa. MCMV. — *Sprawozdanie z działalności Teatru Miejskiego w Krakowie w latach 1899—1905.* Kraków. Czcionkami drukarni „Czasu". — *Ucieszne teatrum albo sprawiedliwe niektórych niewiast karanie u Warszawy* odpisał i przypisami opatrzył Maryan Wawrzeniecki. Warszawa. J. Fiszer. — J. T. Wydżga. *Do serc i mózgów.* Skł. gł. u M. Borkowskiego. Warszawa.

VARIA.

ZESZYT NINIEJSZY stanowi zakończenie tomu IX-go Chimery. Tom X-ty (ostatni) ukaże się niezadługo w postaci potrójnego (28/30) zeszytu 30-arkuszowego z wyjątkowo licznemi dodatkami artystycznemi.

ANTYKWARYAT POLSKI, szeroko i fachowo prowadzony, powstaje nakoniec w Warszawie pod firmą *Hieronim Wilder i S-ka* (ul. Berga № 8). Ma on uwzględniać nietylko książki, lecz także rękopisy, autografy, obrazy starszych szkół, ryciny i sztychy. Rzecz dawno, a zwłaszcza od przerwania się wysiłków Giejsztora, gwałtownie była potrzebna. Szczerze inicyatorom życzymy powodzenia.

PARYSKA L'ART DÉCORATIF rozpoczyna wydawnictwo wolnej seryi tek graficznych 14-ma akwafortami *J. Pankiewicza.* Edycya na holenderskim papierze Van Geldera obejmować będzie tylko sto egzemplarzy, poczem płyty zostaną zniszczone. Każda odbitka ma być numerowana i podpisana przez artystę. Cena egzemplarza w wytwornej tece — 200 franków. Prospekt wydawnictwa podaje reprodukcye autotypiczne czterech nader interesujących pejzaży kwasorytowych z Paryża i Rouen. Ale mają w tym cyklu być rzeczy „rapportées d'un peu partout."

CHIMERA.

CHIMERA

revue mensuelle de litterature et d'art.

22, rue Nouveau Monde, Varsovie.

Sommaire du N-ro 27 — Decembre 1906.

TEXTE: C. Norwid — *le Piano de Chopin;* St. Żeromski — *le Roman du preux Walter;* Th. Miciński — *Mewlana Djelaleddin Roumi* (traductions et transpositions); Am. Hertz — *Yseult aux mains blanches;* Dante Alighieri — *l'Enfer. Chants I et II;* E. Luskina — *Anamorphoses;* V. Berent — *les Roses;* M. C. Bielecki — *le Fils de l'homme;* L. Eminowicz — *Sur le chemin du village, Cantique de Noël;* M. Komornicka — *les Ombres;* J. Lemański — *la Tour qui chante;* Mi-Ja — *à S. Zimorowicz;* J. Rundbaken — *les Coups, la Tristesse de la vie, Ainsi parle le prophète, le Psaume de ma foi;* W. Tatarkiewicz — *Melancolie;* M. Wikszemski — *Tant de moments . . .,* St Wyrzykowski — *les Ifs noirs;* H. Zbierzchowski — *le Dieu de pierre;* M. Komornicka — *Oscar Wilde. Apocryphe ide l;* H. von Hofmannsthal — *Ballade de la vie extérieure, Certains sûrement . . .;* G. Pascoli — *la Sirène, le Baiser de la morte, la Canne du pèlerin;* E. Verhaeren — *Celle des Reliques.* — — — Revue du mois: *Glosses, les Romans, Bibliographie, Divers.*

PLANCHES HORS TEXTE: Raphaël Santi — la Tête de Dante (fragment de la *Dispute*); Ch. Tichy — *Fusain.*

DESSINS DANS LE TEXTE — de Korin, T. Niesiolowski, Fr. Siedlecki, Fr. Wojtala.

COUVERTURE — autolitographie de Ed. Okuń.

CHIMERA,

WARSZAWA — NOWY ŚWIAT, 22.

TOMY DOTĄD WYDANE (I—IX) nabywać można pojedynczo po rb. **3,** z przesyłką po rb. **3** kop. **50.**

TOM I tylko razem z tomami II, III i IV.

ZESZYTY POJEDYŃCZE — po cenie oznaczonej na każdym.

Cena zeszytu niniejszego rb. 2.

Zeszyt potrójny 28/30 czyli tom X (ostatni) pod prasą.

REDAKTOR i WYDAWCA — ZENON PRZESMYCKI.

CHIMERA
WARSZAWA

SPIS RZECZY,

ULOŻONY ALFABETYCZNIE WEDŁUG NAZWISK AUTORÓW.

(TOM IX. — 1905.).

BIBLIOTHECA VNIV. IAGELL.